

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

10801/II

ST. TARNOWSKI

6 131

HISTORIA LITERATURY POLSKIEJ

TOM I.

WIEK XVI.



BI
B1.
10801.
I.

W KRAKOWIE,

W DRUKARNI »CZASU« POD ZARZĄDEM JÓZEFA ŁAKOCIŃSKIEGO.

1900.

32251/2



77/II



NAKLADEM AUTORA.

PRZESŁAWNEMU

UNIWERSYTETOWI JAGIELLOŃSKIEMU

W PIĘCSETNĄ RÓCZNICĘ JEGO ODNOWIENIA

PRZEZ KRÓLA WŁADYSŁAWA JAGIEŁŁĘ

W HOŁDZIE CZCI I PRZYWIĄZANIA

Z ŻYCZENIEM DŁUGICH WIEKÓW ZASŁUGI I CHWAŁY

TEN SKROMNY OWOC PRACY SWOJEJ

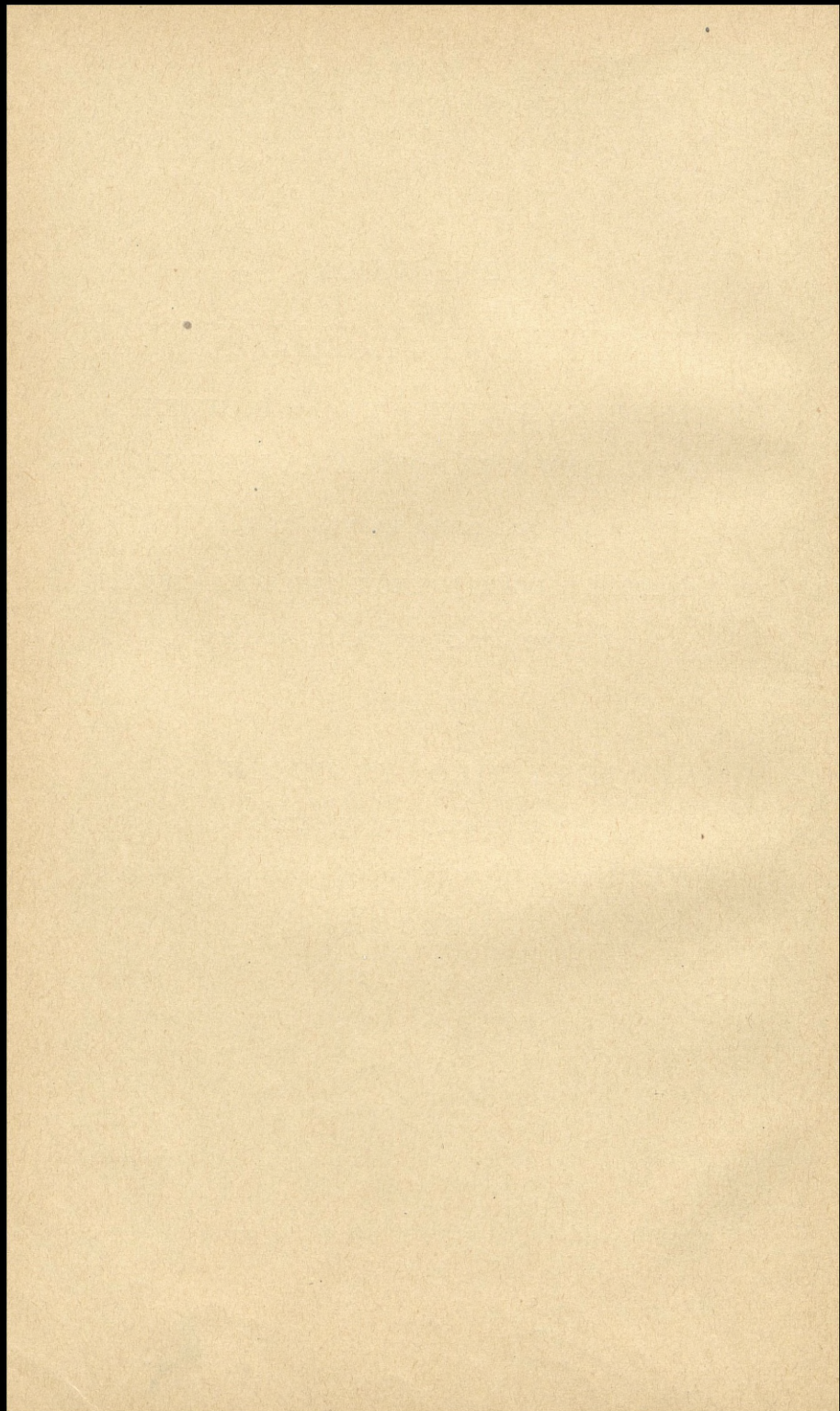
POŚWIĘCA

JEGO NIEGDYŚ UCZEŃ

OD TRZYDZIESTU LAT SŁUGA

A W TYM PAMIĘTNYM ROKU NAD ZASŁUGĘ SWOJĄ

REKTOR



PRZEDMOWA.

W samych początkach mojego nauczycielskiego zawodu, mówili mi życzliwi starsi, że wykłady to nie dosyć, *verba volant*, potrzeba książek: i zapytywali, jak sobie wyobrażam tę część swego zadania, co myślę napisać i wydać.

Ustalonego, rozważonego planu, nie miałem przed laty trzydziestu: zamiar tylko, ogólny i nieokreślony. Myślałem, że jeżeli czas i rozum wystarczą, to powinienbym zdobyć się na całkowity obraz historyi literatury polskiej; niektórym zaś pisarzom, lub dziełom, poświęcić osobne prace, większe czy mniejsze, stosownie do ich znaczenia.

Zamiar, choć w owym czasie niezupełnie jasny, wykonywał się przecież. Rozpraw o różnych pisarzach polskich, zebrała się liczba dość znaczna. Są trzy prace większe, książki, o *Pisarzach Politycznych XVI. wieku*, o *Kochanowskim* i o *Krasińskim*. *Wypisy dla szkół wyższych*, ułożone ze współpracownictwem profesorów (dziś dyrektorów) Wójcicka i Próchnickiego, obejmują we wstępach do każdego okresu i w życiorysach pisarzy, najpotrzebniejsze wiadomo-

ści o literaturze polskiej, jej cały ciąg i ogólny zarys.

Ale do tej obszernej historyi literatury, choć czułem się do niej poniekąd obowiązany, nie miałem odwagi przystąpić. Wstrzymywała mnie myśl, że jeżeli ona ma być tak dobra jak to rozumiem, i jak chciałbym ją napisać, to muszę sam wiele się jeszcze nauczyć, wiele uzupełnić, wiele pogłębić. Przekonanie z pewnością słuszne i niezmiennione dziś, kiedy tę książkę wydaję. A jednak wydaję ją, bo czas nie stoi, bo lata idą, a któż wie wiele ich jeszcze mam przed sobą? Lepiej samemu za życia zrobić co się może, choćby niedoskonale, niż zostawić ludziom kłopot porządkowania i brakowania mnóstwa papierów. W tej żmudnej pracy zaś, kto wie, czy wydawcy nie zostawiliby ustępów, które sam chciałbym bądź wykreślić, bądź poprawić? Lepiej podjąć tę pracę samemu. Zresztą, doskonałości niema na tym świecie, dla książek jak dla wszystkich innych rzeczy; a ktoby chciał dzieła swoje do niej doprowadzić, pracowałby nad nimi do śmierci, a celu przecieby nie dopiął. Książka zaś może się przydać, być pożyteczną, choć od doskonałości daleka, ma wiele w sobie usterek i braków.

Wahanie, pasowanie się z własną myślą, byłoby może trwało jeszcze długo: przerwała je, zmusiła do postanowienia, okoliczność zewnętrzna.

Uniwersytet, w którym niegdyś pobierałem nauki, a któremu służę od lat trzydziestu jako profesor, z którym więc złączony jestem całym życiem, a więcej jeszcze wszystkimi wspomnieniami jego i Polski, obchodzi pięćsetną rocznicę swojego nie

założenia, ale odnowienia i uzupełnienia. Kiedyż złożyć mu hołd, kiedyż ofiarę choćby skromną ze swojej pracy? okazać uczucia jakie się dla niego ma w sercu? Druga taka sposobność nie zdarzy się aż za sto lat. A więc tej nie przepuścić, tylko czem można i jak można przyłączyć się do obchodu tej rocznicy, dodać choć cokolwiek do tych pamiątek, które przed przyszlými wiekami mają świadczyć, żeśmy przeszłe umieli szanować i kochać. W tej myśli, w tem uczuciu, wielu moich kolegów profesorów wydaje prace umyślnie w tym celu podjęte, na tę pamiątkę przeznaczone. Profesorowi Literatury Polskiej przystało postarać się o pracę z jej zakresu: a powód, rok pięćsetny, nie pozwalał zbyć się czemś małym, wymagał takiej, która przynajmniej kosztowałaby piszącego trochę trudu. Słusznie zaś jest, żeby *Historia Literatury Polskiej*, jeżeli miała kiedy być napisaną przez jej profesora na Uniwersytecie Jagiellońskim, wyszła w tym pamiętnym uroczystym roku.

Wychodzi więc, może nie najlepsza, ale największa i najtrudniejsza z książek jakie w życiu miałem do napisania. Jest ona owocem długoletniej pracy, nauki nabywanej i udzielanej. To samo co w niej, było w moich lekcjach, obszerniej tylko wykładane, a zmienione i poprawione w miarę przybywających nowych wiadomości.

Sąd oczywiście nie należy do mnie. Uważam jednak za potrzebne, nie uprzedzać zarzutów i odpierać z góry te, które przewidzieć się dają, ale wytłómaczyć dla czego pisałem w tych rozmiarach i w ten sposób.

Słyszałem zdanie, że książkę tak dużą można napisać, ale nie można takiej przeczytać. Nie śmieję się z tej uwagi; owszem, mam ją za trafną. Dawno przeszły te czasy, kiedy wielka książka nie odstraszała, ale imponowała i pociągała. Życzliwą też była rada: „jeżeli chcesz być czytany i pożyteczny, staraj się streścić w jednym tomie, co najwięcej w dwóch“. Nie mogłem jednak pójść za tą radą. Nie z wrodzonego rozwlekłego sposobu pisania tylko, ani, proszę wierzyć, z lenistwa, ale z namysłu i z przekonania. Zdaje mi się — chciałbym się mylić, ale boję się, że się nie mylę — zdaje mi się, że oprócz wielkich poetów, i oprócz nowości, Polak nawet wykształcony, nie czyta, nie zna swoich pisarzy. Nie można nawet ani żądać, żeby ich wszystkich znał, ani się dziwić, że nie zna. Człowiek, nawet nie bardzo zajęty, nie ma czasu zaglądać do starych książek; człowiek zajęty ma go tem mniej. Z tego wynika, że ogromną większość pisarzy zna z nazwiska tylko i z małych wyjątków: czyli, że o literaturze swojej ma wyobrażenie powierzchowne, niedostateczne. Zatem, jej historia, jeżeli ma spełnić swoje zadanie i czytelnikowi dać wyobrażenie o głównych epokach i głównych pisarzach, musi wchodzić w szczególności, musi przytaczać treść dzieł, choćby najkrócej, ale koniecznie. Skoro zaś to robić musi, to rzecz prosta, że nie może być krótką, nie może się zamknąć w jednym tomie. Zresztą, jeżeli chodzi o taką essencję, o takie streszczenie dziejów literatury polskiej, to takowe już jest zrobione. W *Wypisach dla klas wyższych* jest to, co Polak jako-tako wykształcony, o swojej literaturze koniecznie wiedzieć powi-

nien. Gdyby zaś z tych wypisów wyjąć ustępy i życiorysy, a opuścić wyjątki z autorów, zrobiłaby się z tego właśnie taka jednotomowa, skondensowana *Historya Literatury*. Że niniejsza jest za wielka, przyznaje; że ją mało kto przeczyta, przypuszczam i wierzę. A jednak wydaję ją jaka jest, z dwóch powodów:

Pierwszy jest ten, że choć dla wielu za obszerna, przez to ani pociągająca ani przydatna, to dla niektórych pożyteczną być może. Kto się więcej literaturą polską zajmuje, kto z zawodu zajmować się musi, profesor gimnazjalny naprzykład, a sam nie ma sposobności wszystkich autorów przeczytać, temu może się przydać obszerniejsza o nich wiadomość, i streszczenie ich dzieł główniejszych. Inny zaś, choć się z obowiązku literaturą nie trudni, może czasem mieć ochotę lub potrzebę poznania pewnego w niej szczegółu, pewnej postaci lub kwestyi; i taki, nie potrzebując czytać wszystkich tomów od deski do deski, zajrzy do jednego z nich i znajdzie w nim odpowiedź, przynajmniej wskazówkę odpowiedzi, na pytanie, które go obchodzi. I takiemu więc duża książka przydać się czasem może.

To więc jest jeden powód. A drugi jest następujący:

Nie mogę wiedzieć jaką będzie *Historya Literatury* w wieku XX., ale sądzę, że będzie inną jak w XIX-tym, że będzie musiała wyrobić sobie jakiś nowy kształt i nowy sposób postępowania. Pisarze i książki tak się mnożą, pisma jednodniowe tak zaczynają wiele ważyć i znaczyć, że obszerniejsze szczegółowe zdanie sprawy z tych mas papieru, będzie niepodobieństwem. Cokolwiek nastąpi, przy-

puszczam, że nasz sposób obrabiania tej nauki będzie musiał ulegz zmianie. Zanim więc do tego przyjdzie, niech zostanie jedna *Historya Literatury Polskiej*, pojęta i napisana tak jak my rozumieliśmy to w naszej drugiej połowie XIX-go wieku, a obszerna, większa. Większej, prawdę mówiąc, nie mamy. Wiszniewski założył swoją na tak wielkie rozmiary, że jej skończyć nie mógł. Mickiewicz swoją z konieczności musiał kreślić ogólnymi tylko rysami. Maciejowski był niewątpliwie bardzo uczony, ale może tak uczony, że aż pedantyczny; czy zaś widział pisarzy i dzieła jak są, czy zdawał z nich sprawę dokładnie a jasno, to wydaje mi się mniej pewnem niż jego uczoność. Wójcicki jest zbyt powierzchowny, wystarczyć nie może. Z nowszych, te *Historye Literatury*, które mnie wydają się najlepsze, Bartoszewicza i Spasowicza, są właśnie takie krótkie, jednotomowe. Niech więc zostanie jedna duża, przynajmniej jako ślad i pamiątka swego czasu, znak jak ta nauka w tym czasie była rozumiana i uprawiana.

Nie tak jak żąda najnowsza teorya, jak wymaga świeżo zdobyte stanowisko nauki? Na ten sąd jestem przygotowany, i nie bronię się od niego, ani przed nim nie ustępuję. Znam tę teoryę, która mówi, że kto traktuje kwestye naukowe, historyczne czy literackie, ten powinien być ściśle *objektywnym*: wystawić fakt, czy człowieka, czy dzieło, jak jest, wytłómaczyć dla czego jest takim a nie innym, ale od wszelkiego sądu, od własnego zdania się strzedz. Jego rzeczą i zadaniem jest przedstawienie tylko; wniosek i sąd jest prawem czytelnika. Autor wystę-

pujący z sądem własnym, nie tylko przekracza prawo swoje a wkracza w cudze, ale samoświadcząc, własną ręką zmniejsza i obniża wartość swojej pracy, bo przecież nieomylnym być sobie nie rości, a jego sąd mylny i czytelnika może uwieść i rzetelnej prawdzie jego dzieła zaszkodzić.

Ta teoria ma pozór ścisłej logiki, ale nawrócić się do niej nie mogę.

Naprzód dla tego, że nie widzę iżby praktyka zgadzała się z teorią. Ci, którzy najbardziej żądają dla niej uznania, głoszą ją jako swoją zasadę i hasło; ci nawet, którzy ją stworzyli, nie widzę żeby jej się trzymali. Jedni mają swoje formułki, swoje axiomata, do których przymierzają pisarzy i dzieła, i podług których sądzą. W tej pracy przymierzania częstokroć nie obchodzi się bez naciągania i dociągania. Axiomat czy formułka są przy takim postępowaniu dowiedzione, usprawiedliwione, *quod erat demonstrandum*: ale ta prawda, to rzetelne przedstawienie rzeczy, które miało być celem, a które jest istotnie zadaniem naukowej pracy, te bywają nieraz poświęcone. Gotowe axiomata, formułki, uchodziły za naszych czasów za rzeczy niezgodne z naukową metodą, jej wręcz przeciwne.

Inni są zgodniejsi z sobą, wierniejsi swojej teorii, formulek pod fakta czy książki nie podkładają, i tych do miary tamtych nie naciągają. Ale to własne zdanie z którym się taić chcą, i nie zdanie tylko ale uczucie, ale sympatya czy antypatya, ale polityczna doktryna lub nawet namiętność, te bez ich wiedzy i woli odzywają się głośno i wyraźnie z każdej karty, z każdego niemal słowa ich książek.

Nie dziwię im się, ani bioreę za złe; jestem mocno przekonany, że inaczej być nie może: tylko, gdyby nawet ich teoria zdawała mi się słuszną, to ich praktyka osłabiłaby mi wiarę w teorię.

Nie sądzę zaś, żeby teoria była słuszną: żeby pisarz nie miał prawa wyjawić swego zdania, żeby miał obowiązek je zamilczeć. W takim mniemaniu utwierdzają mnie przykłady wielkich pisarzy, wielkich uczonych, wielkich myślicieli. Nie krył się ze swoim zdaniem i sądem, ani ze swoim uczuciem nawet, żaden z wielkich historyków przeszłości, od Tacyta aż do Macaulaya; nie krył się Leibnitz, ani Bossuet, ani — jeżeli go kto woli — Spinoza, ani Hegel, nie krył się Lessing. Większych niż oni, a nawet im równych, w naszym dzisiejszym okresie nie widzę; i myślę, że jeżeli najpotężniejsze umysły wszystkich wieków w pewien sposób zadanie pojmowały i wykonywały, to jednak w tym sposobie coś prawdziwego być musi.

A gdy do takiego wniosku doprowadza obserwacya i doświadczenie, to popiera go rozumowanie.

Czy jest słusność, czy jest prawda, w tej doktrynie, która każe piszącemu wyrzekać się zdania i sądu? Pomijam to, że choć się wyrzekać chcą, to wyrzec się nie mogą, i pośrednio nieraz bezwiednie swoje zdanie i sąd wyjawiają. Ale chodzi mi o zasadę samą. Ona nietylko nie bywa wykonywaną w praktyce, bo jest z natury rzeczy niewykonalną, ale ona jest fałszywa sama w sobie. Dlaczego piszący nie ma powiedzieć otwarcie co myśli? Na jakiej zasadzie odmawia mu się tego prawa? Że on się mylić może? Że jego zdanie drugiemu może wy-

dać się fałszywem? To nie racya. Każdy może się mylić, bardzo często mylić się musi: a nikt drugi nie jest obowiązany zdanie jego przyjmować na wiarę i iść za nim ślepo. Czytelnik nie ma żadnego obowiązku przyjmować sądy autora, ma wszelkie prawo je odrzucić. Ale, żeby autor nie miał prawa myśleć i sądzić, żeby miał być tylko fotograficzną płytą, która odbija, a sama jest nieruchoma, bierna, to nieprawda. Naprzód żaden, nawet kiedy najbardziej chce, nie potrafi, nie może być biernym, bo jest człowiekiem nie płytą szkła, bo myśli i czuje; jego myśl i uczucie musi zawsze domieszać się do tego co on pisze. Ale prócz tego, on ma prawo powiedzieć co myśli, dla tego, że jest człowiekiem, że myśli. Ma prawo i sądzić. Ma prawo powiedzieć, że podług jego sumienia to jest dobre, a to złe, podług jego rozumu to jest mądre, a to głupie; podług jego uczucia to jest piękne a to brzydkie, to szlachetne a to niskie. Czytelnikowi wolno nie iść za jego zdaniem, ale jemu wolno zdanie mieć i wypowiedzieć.

Idę dalej, i mówię, że to jest nie tylko prawem piszących, ale ich powinnością. Niewolno mu, nie godzi się, zmieniać, naciągać, przekreślać, fałszować. To jest zasada i przykazaniem w pracy naukowej. Ale mieć sąd i wydać go jest dozwolone, godziwe, a nawet obowiązujące. Istotą i celem naukowej pracy jest prawda: ale prawda nie jest abstrakcją, ideą, unoszącą się gdzieś wysoko w obłokach. Gdyby taką była, nie dałaby się ani poznać, ani zużytkować. W przystósowaniu tylko, i przez nie, my ograniczeni ludzie możemy prawdę poznać, ją zrozumieć, nią się przejąć i z niej korzystać. Największe od-

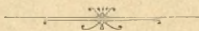
krycia przyrodników, wtedy dopiero i przez to mają całą swoją wartość i wagę, kiedy zostały zastosowane do potrzeb życia i nauki. Bez tego zostałyby prawdami martwemi, bez użytku i ceny. Z odkryciami i prawdami umysłowemi, na polu czy historyi, czy filozofii, czy wreszcie krytyki literackiej, jest tak samo. Przystósowanie prawdy do pewnego zjawiska (faktu czy dzieła), czyli sąd objawiony a należycie poparty o fakcie czy dziele, zbliża teoretyczną abstrakcyjną prawdę do rzeczywistości, czyni ją przystępną, zrozumiałą i pożyteczną.

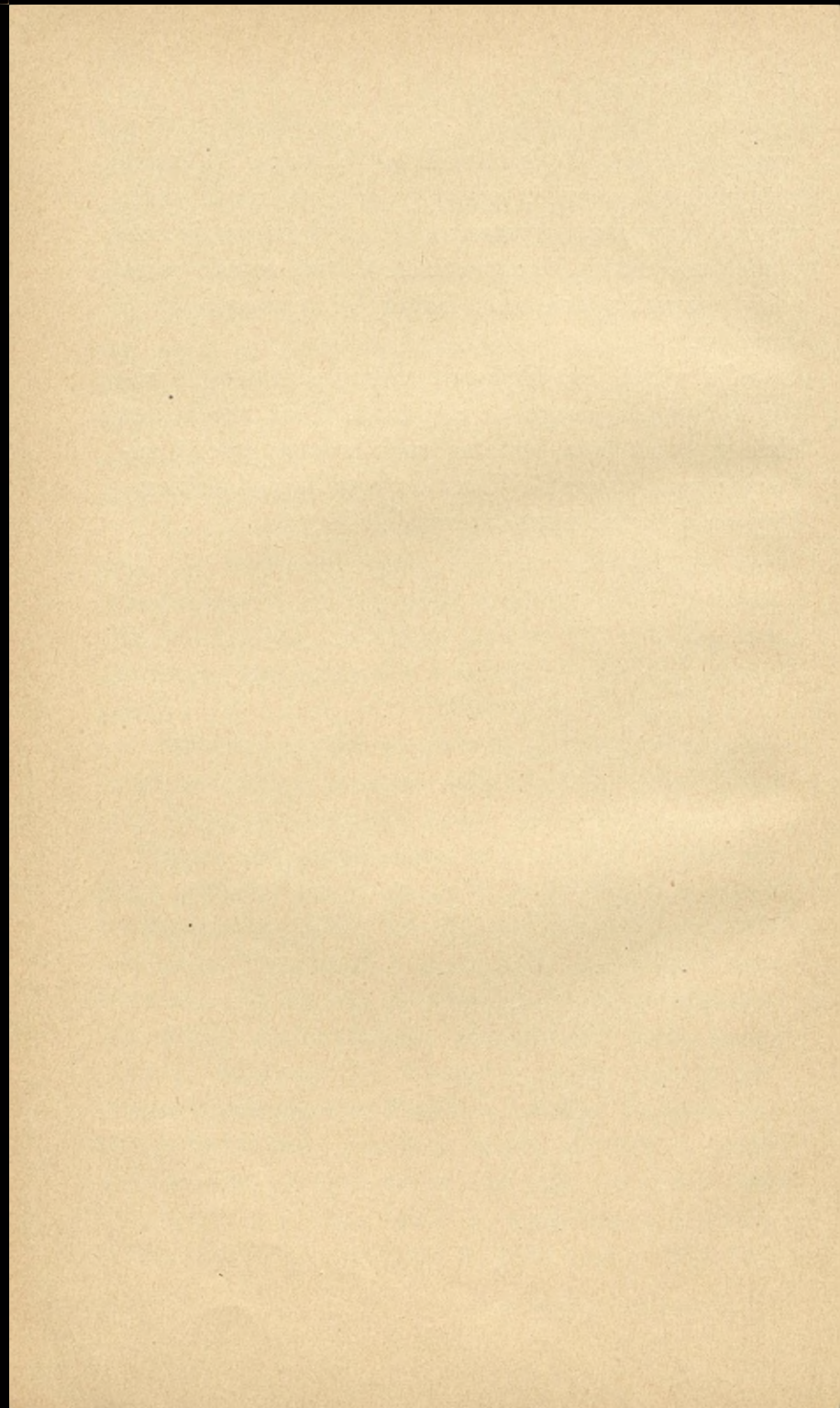
To na wytlómaczenie starego stanowiska którego się trzymam. Stare jest, to prawda, ale nie przestarzałe. A że tak stare i tak trwałe, to wskazuje i dowodzi, że musi jednak być w niem coś słusznego, coś zgodnego z naturą ludzką i z naturą nauki.

Uważam jeszcze za potrzebne wytłómaczyć dlaczego nie mówię o stanie szkół i nauk. Miałem na celu Historję Literatury tylko, nie historję oświaty w Polsce; stan szkół zatem nie wchodził w zakres mego zadania. Kiedy zaszły w nim zmiany, wywoływały zmiany dobre lub złe w piśmiennictwie, wypadało te wspomnieć i zaznaczyć, ale też to i wystarczało. Co się zaś tyczy nauk, to te w większości swojej (przyrodnicze, teologiczne, filologiczne, prawne, lekarskie i t. d.) są z natury swojej kosmopolityczne; przez Polaków choćby najznakomitszych uprawiane, one dają miarę oświaty i nauki w Polsce w pewnym czasie, ale nie są pomnikiem i wyrazem polskiego ducha i usposobienia, polskich uczuć, pojęć, lub dążności w tym czasie. Nie mó-

więc już o tem, że ktoby chciał o stanie i losach różnych nauk mówić, musiałby sam te nauki znać; wzgląd powyższy wystarcza do wytłómaczenia, że o nich nie mówię. Przypominam tylko, że tak samo robią wszystkie jakie znam Historye Literatuy obcych narodów.

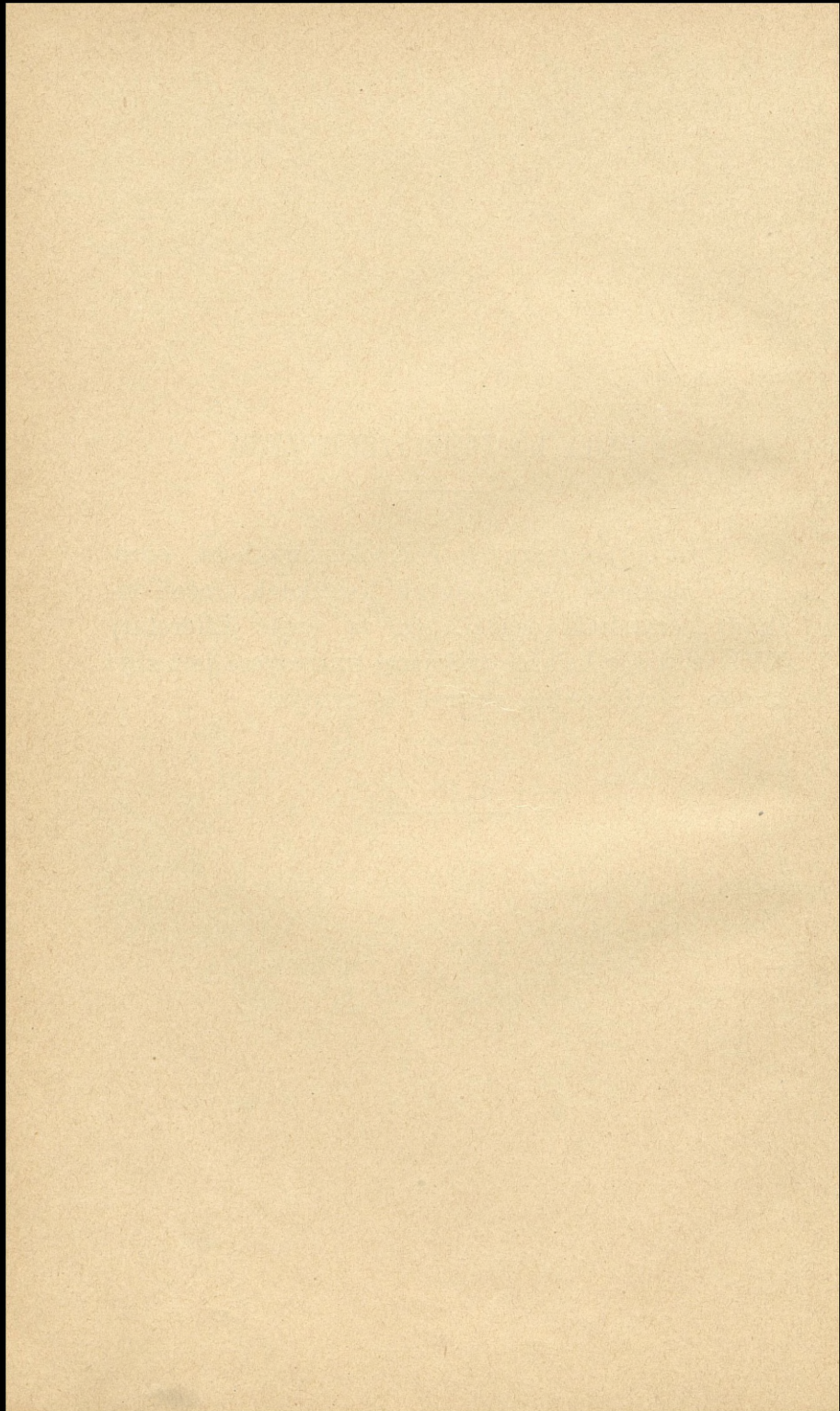
Co w tej jest błędnego, to inni poprawią i sprostują; dopelnia czego w niej brak. Dziś niech ona idzie w świat jaka jest, na znak wdzięczności i miłości swego autora dla Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oby na pożytek nauki i czytelników.





UWAGA DO TOMU PIERWSZEGO.

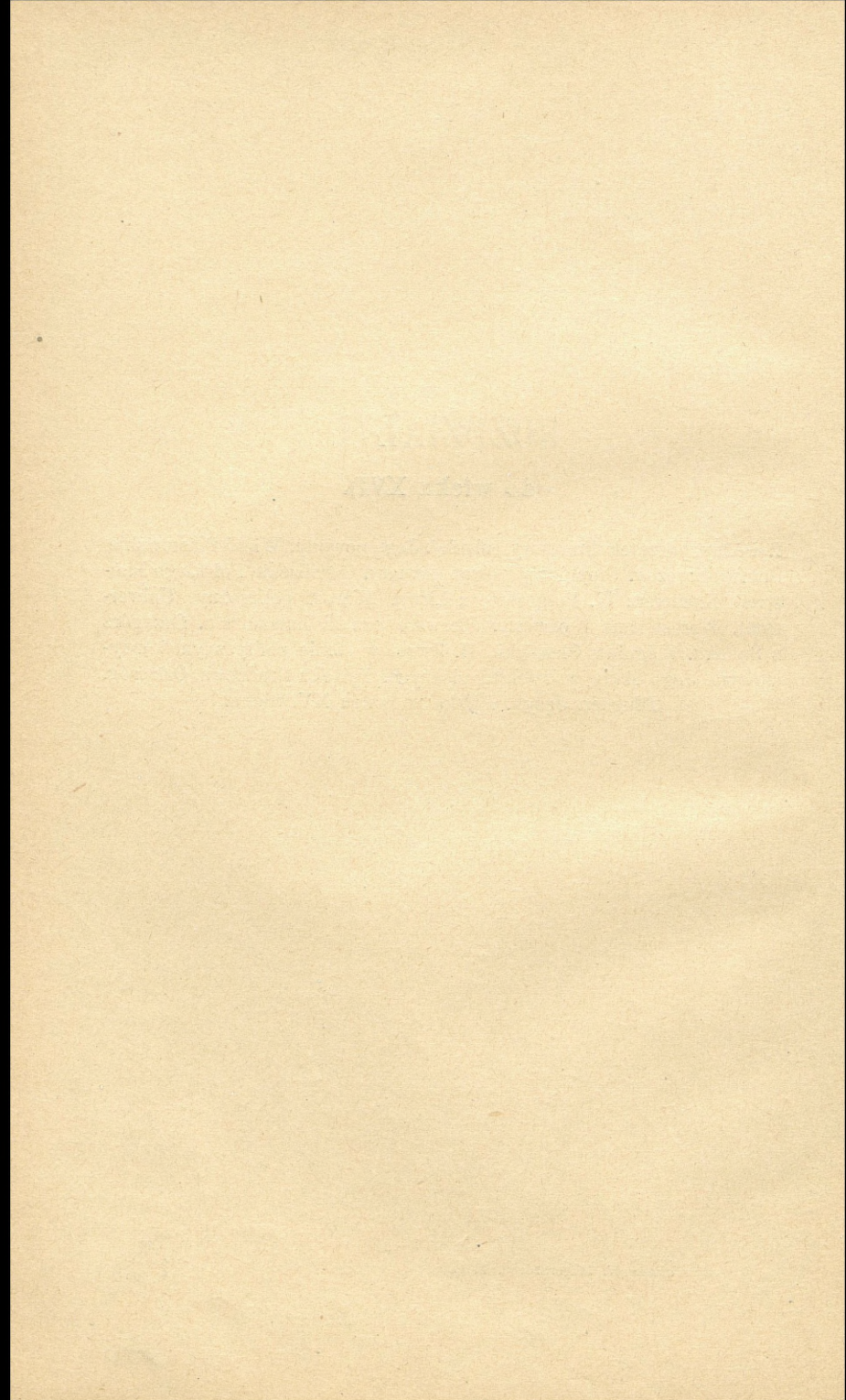
Pisarzy politycznych i Kochanowskiego, obrobiłem obszernie w osobnych książkach. Jeżeli łaskawy czytelnik osądzi, że ta część Literatury XVI. wieku w książce niniejszej traktowana jest zbyt krótko, niech zechce zajrzeć do tamtych.



ROZDZIAŁ I.

(do wieku XVI).

I. Późny początek literatury polskiej. Jego powody. Wiek Piastowski. Stan polityczny. Stopniowy postęp oświaty. Odrodzenie Polskiego Państwa. Kazimierz W. Połączenie z Litwą. Wzrost polityczny. Uniwersytet. Wzrost nauk i oświaty. Pierwsze oznaki humanizmu. Grzegorz z Sanoka. Zbigniew Oleśnicki. II. Zwrot w stanie politycznym i umysłowym. Jego ślady w dziełach pisanych. Paweł z Brudzewa. Ostroróg. Długosz. Język. Polska w końcu XV. wieku.



I.

Późny początek literatury polskiej. Jego powody. Wieki Piastowskie. Stan polityczny. Stopniowy postęp oświaty. Odrodzenie Polskiego Państwa. Kazimierz W. Połączenie z Litwą. Wzrost polityczny. Uniwersytet. Wzrost nauk i oświaty. Pierwsze oznaki humanizmu. Grzegorz z Sanoka. Zbigniew Oleśnicki.

Dziejów literatury polskiej nie możemy rozpocząć od zamierzonych przedchrześcijańskich czasów: ani będziemy śledzić w dzisiejszej znanej nam poezji ludu, jakie w niej są pierwiastki i pozostałości, sięgające jeszcze pogańskiego i słowiańskiego, przedchrześcijańskiego i przedpolskiego stanu naszego narodu. Ani od tej chwili dzieje te datować będziemy, kiedy zorganizowane po raz pierwszy rycerstwo świeżo zorganizowanego państwa, odezwać się miało, jak chce legenda, bojową pieśnią do Boga-Rodzicy; ani nawet za początek literatury polskiej nie weźmiemy tych czasów, kiedy przyjezdny, obcy kronikarz, spisywał pierwszą kronikę polskich bojów Krzywoustego bohatera; ani tych nawet, kiedy zachodnim obyczajem mnich Polak, zaczął pisać po łacinie co z dziejów zasłyszał lub pamiętał. Ani te echa historycznych jakichś pieśni, które doleciały jeszcze do uszu kronikarzy XVI wieku, a do nas dostały się w urywkach, jakie oni zapisali, ani pierwsze tłumaczenie Pisma św., Psalterze Małgorzaty i Biblie Zofii, nie będą dla nas tym pierwszym milowym kamieniem, od którego się droga naszej literatury poczyna i liczy. Poezji ludu w jej kształcie ówczesnym nie mamy: dzisiejsza może dać pole do mozolnego ale dowol-

nego zawsze, a zatem wątpliwego dociekania, domyślania się, które z niej cząstki i atomy mogłyby dać się odnieść do pierwotnej natury i pierwotnej przedchrześcijańskiej cywilizacji, ale nie daje nam prawa mówić o przedwiecznej jakiejś samorodnej instynktowej poczui. Mówić o literaturze bez żadnego materialnego widomego przedmiotu, bez żadnego dzieła, a choćby tylko fragmentu, choćby śladu dzieła, byłoby rzeczą marną, tak samo jak żeby bez znanych faktów, nawet bez podań i legend, chciał kto odgadywać bieg jakiejś historyi, która była może, ale znikła bez śladu i bez pamięci. Podanie o rycerstwie, śpiewajacem Boga-Rodzicę, jest wskazówką zapewne, jest nawet dowodem pewnego historycznego, politycznego i cywilizacyjnego stanu. Ale ta wskazówka nie wskazuje bynajmniej, a tem mniej nie dowodzi zarodków piśmiennej literatury. I tak samo nie dowodzi ich kronikarz, sporadyczny wyjątek, obcego pochodzenia do tego, który spisuje wyprawy i zwycięstwa ulubionego księcia. A nawet gdy o wiele wiele później, weźmie się do pisania kroniki rodowity Polak, Kadłubek, to i on dowiedzie tylko, że cywilizacja, że potrzeba pisania i spisowania dziejów, zrobiła przez ten czas pewien postęp, że się udzieliła rodowitym mieszkańcom, ale i on nie będzie znakiem poczynającej się literatury, bo będzie znowu sporadycznym wyjątkiem, bez towarzyszy i następców, bez ciągłości, początkiem jakimś ale bez dalszego ciągu, zatem nie bez znaczenia dla historyi, skoro jakieś wiadomości podaje, ale bez znaczenia dla historyi literatury, bo nie ma tej historyi, nie ma literatury bez ciągłości, bez nieprzerwanego następstwa piszących. Są to zapewne oznaki, że literatura powstać tu kiedyś może, ale to nie literatura, nie jej początek nawet. I tak samo te ułamki pieśni w polskim już języku, albo te choćby późne przekłady Pisma św., dla historyi języka są zabytkiem bardzo ważnym i ciekawym, dla historyi literatury nie: bo jedne są tak skąpe i drobne, że ani treść ani forma ich rozpoznać się nie daje, a drugie są tylko przeniesieniem w swój język treści i formy, wziętej z kądinąd.

Wieki zatem przechodzą, wiele wieków, od chrztu Mieczysława aż do chrztu Jagielly, i dużo jeszcze dłużej, a o polskiej literaturze mówić nie mamy prawa. Literatura jest, kiedy albo w ustnem podaniu utrzymują się powszechnie i długo jakieś jej we własnym języku dzieła (jak niemieckie Zagi), albo kiedy naród jakiś zaczyna pisać we własnym języku, i to nie jeden raz, nie jeden człowiek, nie*przypadkowo, ale stale, z potrzeby pisania wielu ludziom świadomej; i nie o jednym przedmiocie, ale w szerokim i coraz szerszym zakresie wszystkich przedmiotów, jakie obejmuje czy myśl ludzka, czy nauka, czy życie osobiste i zbiorowe.

Z tego wynika, że u nas literatura zaczyna się naprawdę aż w XVI i to dobrze w XVI wieku, bo przedtem są tylko jej zarody i pierwiastki. Późno to bardzo, i Polak, który się nad tem zastanowi, który sobie przypomni, jak od gockich jeszcze czasów ciągnie się nieprzerwanem pasmem literatura niemiecka, a od saxońskich, jeżeli nie celtyckich angielska, jak literatury ludów romańskich miały już za sobą długą historję, długi szereg zmian, a nawet epok, i niejedno imie wielkie po wszystkie wieki, kiedy on jeszcze pisać nie zaczął, nie myślał, na pierwsze wrażenie czuje się upokorzonym i gotów się wstydzić. Ale niema czego. On jest młodszy od ludów zachodnich, on później na świat historyczny przyszedł, on prócz tego mieszkał w najdalszym zakątku tego europejskiego świata i najpóźniej promienie światła odbierał, i ta „młodszość jego cywilizacyi“, którą Szujski niejedną zagadkę jego dziejów tłómaczył, była też powodem, że nie mógł mieć przekładu Biblii współczesnego Ulfilasowi, ani słyseć pieśni Trubadurów i Minnesingerów, ani pragnąć i rozumieć Sonetów Petrarki, Nowell Boccaccia, tem mniej Boskiej komedyi Dantego.

Z tego późniejszego początku i z tego geograficznego położenia Polski wynikało, że jej historia musiała mieć inny charakter, jej życie, jej potrzeby, inne warunki: jej walki inne skutki aniżeli na zachodzie i południu. Tamte narody starsze nie tylko wychowywały się dawniej, ale chowały się równocześnie, równym krokiem; jak uczniowie w jednej

klasie, tak one były mniej więcej na jednym stopniu cywilizacji pod względem czy prawa, czy politycznej i społecznej organizacji, czy nauki, czy obyczajów. Kiedy między nimi zdarzały się wojny, to skutki tych wojen były polityczne tylko, mogły zmienić stosunek sił, ale nie były cywilizacyjne, nie mogły zmienić ani obniżyć poziomu cywilizacji. U nas było inaczej. Już pierwszy zaród przyszłego państwa za Mieczysława musiał na dwie strony prowadzić walkę o byt: strzedz się losu Słowian nadelbiańskich, pochłonięcia przez silniejszy i wykształcniejszy organizm niemieckiego cesarstwa, i zarazem opędzać się dzikszym od siebie sąsiadom od północy i wschodu. Przyjęciem chrześcijaństwa zabezpieczył się Mieczysław na obie strony; zachodnim nieprzyjaciółom odejmował pozór napaści i podboju, przeciw wschodnim zwracał się silniej oparty o cały zachodni europejski porządek rzeczy. A krok ten był tak mądry i tak się poszczęścił, że już następca Mieczysława mógł się rozpętać z tej zależności, którą ojciec przyjąć musiał, włożyć koronę, i stać się nie tylko głową państwa, lecz na wszystkie strony potężnym, groźnym, zdobywcą. Ale Chrobry u nas, jak Karol W. na zachodzie, zanadto swoje społeczeństwo wyprzedził, i stworzył porządek rzeczy, którego ono bez tej genialnej głowy utrzymać nie mogło: wzmocnione wprawdzie, zorganizowane lepiej, podniesione na wyższy stopień, po jego śmierci znalazło się przecież w podobnym jak dawniej położeniu, w konieczności ustawicznej obrony pomiędzy cesarstwem z jednej strony, a mniejszymi sąsiadami Czechami, Rusią, Jadrzyngami, Prusakami i Pomorzanami z drugiej. Z przeniennym szczęściem, z chwilowemi przestankami, walka ta toczy się bez ustanku: każda wojna z Niemcami i Czechami jest obroną indywidualności i odrębności słabo jeszcze zakorzenionego państwa i niedokształconego narodu: każda wojna z Rusią, Prusakami i Pomorzem jest obroną cywilizacji już nabytej i posuniętej ku wschodowi, nie daje jej cofnąć i odepchnąć z obwołu ku środkowi, z którego wyszła. Naturalny, z całego ówczesnego pojęcia i stanu prawa i państwa wynikający podział terytorium między synów Krzywoustego, pogor-

szał to położenie nowem i największem niebezpieczeństwem, rozdzieleniem sił, niemiuniknionem współzawodnictwem, wojnami domowemi, i przymierzami to z tym to z owym niebezpiecznym sąsiadem, które służyć miały interesom tej lub owej piastowskiej dzielnicy, ale szkodzić musiały jedności i niezależności politycznej, przyszłości narodu i państwa. Cywilizacya jednak nie cofała się w tym okresie czasu, owszem, szła naprzód. Pod wpływem Kościoła, dawnej Bolesławowskiej tradycyi, i wzoru sąsiednich niemieckich urzędów, kształciły się prawa, wyrabiały i ustalały się siły i wpływy społeczne, zaludniały się potrochu przestrzenie, osadzały się i budowały się miasta, układały się warstwy ludności. Jak trąba powietrzna spadły na to wszystko napady tatarskie, i wywróciły wszystko niemal, co było na powierzchni. Ale korzenie szczęściem były już dość głębokie i silne. O politycznej wielkości, o połączeniu rozdrobnionego terytorium Polska ówczesna myśleć nie może; ale jej praca cywilizacyjna idzie krok w krok za ustępującymi Tatarami, i gdzie oni zostawili pustkowia i zgliszcza, stara się sprowadzić, zwabić, osadzić człowieka, czy szlachcica na większym, czy kmiecia lub sołtysa na mniejszym kawalku ziemi, czy Niemca mieszczanina, rzemieślnika, kupca, w powstającym z gruzów mieście, czy zakon wreszcie, który nadaną sobie ziemię miał uprawiać i osadzać, a przyległą sobie ludność moralizować, cywilizować, nawet uczyć czytać i pisać.

Ta praca cywilizacyjna XIII-go wieku w warunkach trudnych i nieszczęśliwych nie ustaje, nie daje się przerwać, nie cofa się, ale idzie naprzód w różnych kierunkach, i przygotowuje, umożliwia postęp polityczny, restauracyę państwa. Że wiek takich wypadków i stosunków, nie stworzył, nie począł literatury, temu nikt dziwić się nie ma prawa. A jednak i w tym kierunku zrobił on krok naprzód, pierwszy uczuł potrzebę dziejopisarstwa, wydał pierwszego kronikarza Polaka. Ogół przecież, ogół nie prostego ludu ale bogatszych i znaczących, oczywiście nie mógł być dość rozwiniętym, dość myślącym na to, by mógł wydawać pisarzy i piśmiennictwo. W duchowieństwie i na książęcych



dworach musieli z pewnością być ludzie stopniem cywilizacji zbliżeni do sąsiednich Niemców lub Czechów, niektórzy już jeździli po naukę do Włoch, w Bolonii składali niebawem osobną nacyę. Ale większość tej warstwy, z której wyszedł późniejszy senat i późniejsza szlachta, nie ma jeszcze tej reflexyi, która jest początkiem świadomości, a za którą dopiero idzie popęd i potrzeba wypowiedzenia tego, co się myśli lub czuje, chce albo wie. Społeczeństwo w tym stanie, piśmiennictwa jeszcze wydać nie może. Wyszło już z tego wieku i stanu, w którym powstają prawie bezwiednie samorodne, naiwne, ustne literatury, na pisaną jest jeszcze za młode.

Przyszedł wiek XIV, z nim początek końca wieków średnich. A jak poczynał się nasz nowy świat polityczny i społeczny, tak rozwijać się zaczął z zarodków i nasz świat umysłowy, naukowy, filozoficzny i literacki. Jak król w rodzaju Filipa Pięknego był poprzednikiem i zwiastunem takich jak Ludwik XI i jemu podobni założyciele późniejszego monarchizmu, tak Petrarca znowu był poprzednikiem i zwiastunem późniejszego humanizmu. Ten świat, który w drugiej połowie XV dojrzał i objawił się zupełnie, zaczął się w początkach XIV-go.

I u nas także różni się on bardzo od poprzedniego i rozpoczyna epokę nową, politycznego wstępnego działania, dążenia do zjednoczenia terytorium, do wskrzeszenia państwa. Przywalona przeciwnościami, sparaliżowana podziałem, żyła przecież pamięć dawnego Piastowskiego państwa, pragnienie jego restauracyi, poczucie tej restauracyi jako swego prawa. Nikt nie był dość silnym, żeby do tego celu dojść, a nawet do niego śmiało dążyć; ale w każdym prawie pokoleniu Piastów znajduje się taki, kto tę tradycyę i tę dążność reprezentuje, komu spać nie daje utracona korona nadziadów. Kiedy po Tatarach ten kraj odetchnął nieco, kiedy schodziły z pola Jadźwingi, Pomorzany i Prusaki, kiedy Ruś była osłabła i w rozkładzie, a Litwa w podziałach także i zajęta swoim wielkim wrogiem Krzyżakiem, kiedy cesar-

stwo osłabło także od śmierci Rudolfa, zatrudnione wewnątrzniemi niemieckimi i włoskimi sprawami, nie mogło czujnie śledzić tego, co się działo na jego wschodnich granicach, wtedy przyszła pora, że wspomnienia i marzenia Piastowiczów, mogły się stać praktycznem dążeniem i działaniem. Poznański Przemysław już przez chwilę ma koronę na głowie: zaraz po nim zdaje się, że słabe i małe państwo o własnych siłach ostać się nie zdoła, że może tak będzie istnieć przy Czechach pod ich osłoną jak w swoim czasie Litwa przy Polsce: aż wreszcie znajduje się człowiek zdolny uchwycić, wyobrazić i wykonać dziedziną myśl zjednoczenia i królestwa, i zaczyna się to, co Szajnocha pięknie nazywał Odrodzeniem Polski za Łokietka.

Małe to było Królestwo, narażone ze wszech stron na niebezpieczeństwa, i niepewne jutra, ale było: Księstw różnych zostało wiele, ale pośród nich i nad niemi stanęła na nowo Polska. Chodziło o to, by ją utrzymać i zabezpieczyć. A zatem zgoda od wschodniej granicy, zgoda z Litwą; a wojna na zabój i przez całe życie z zachodnim nieprzyjacielem, z Krzyżakiem, który Pomorze osiadł, Kujawy trzyma, Mazowsze buntuje, Wielkopolskę najeżdża i łupi. Ta wojna to wielkie dzieło króla, szlachty, duchowieństwa, obudzonej samowiedzy i myśli polskiej, dzieło okupione niejednem folgowaniem wewnętrznem, a nie dokonane, nie uwiecznione zwycięstwem stanowczem. Korzyść polityczna odniesiona przez Łokietka była ogromna, ale była niepewna zawsze i potrzebująca ustalenia.

Przyszedł Kazimierz, i jak niegdyś protoplasta rodu Mieczysław, powiedział sobie, że trzeba podleżeć gdzie przeskoczyć nie można. Zrzekł się pretensyi do Szlązka, zrzekł się walki z Zakonem, ustąpił mu wydartyeh ziem, na wojnę i zwycięztwo nie czuł się dość silnym. Na to trzeba było większego rozleglejszego państwa, szerszej podstawy; i dla tego, by ją zyskać, by się na niej rozeprzeć na Rusi, poddaje się niekorzystnemu pokojowi z Zakonem, a o Węgry Polskę opiera, królowi węgierskiemu ją przekazuje, na to, by kiedyś w przyszłości to „wielkie państwo mogło wziąć

odwet na Niemcach. A pamiętajmy, że jakiegokolwiek były rządy Ludwika, wiodły one do rządów Jadwigi, do połączenia z Litwą, do Grunwaldu". (Szujski: Charakterystyka Kazimierza).

Była więc Polska nie materyalnie tylko połączona, ale organicznie złożona, występująca z wszelką świadomością swoich celów i swoich środków, ze znacznym tych środków zasobem; występowała po raz pierwszy od Obrobrego z tak świadomą siebie i w zewnętrzne stosunki sięgającą polityką. Była państwem, i przez przyłączenie Rusi państwem dużem; była społeczeństwem, i weszła przez Kazimierza energicznie i czynnie w kolo i w kolej europejskiej cywilizacji. Założony w Krakowie (acz nietrwały), zawiązek późniejszego uniwersytetu, jest jednym ale znaczącym szczegółem w tej pracy.

Ten postęp polityczny i cywilizacyjny wydaje się, a poniekąd jest, powstrzymany za Ludwika. Zależność od obcego króla, sposoby którymi on władzę swoją w Polsce utrzymuje, warunki za które otrzymuje przyznane następstwo jednej z córek, odśrodkowe dążenia różnych części Polski, ośmieszone obcymi rządami nadzieje i widoki różnych Piastowiczów, a wreszcie i najbardziej sprawa sporna między Polską a Węgrami o posiadanie Rusi, sprawa dla Polski żywotna, wszystko to złe strony i złe skutki tego węgierskiego połączenia i panowania. Ale złych skutków było mniej niż być mogło, i słusznie bardzo ratuje Szujski polityczną reputację Polaków otaczających Ludwika, kiedy mówi, że „trzymali się oni Ludwika, dogadzali mu, podzielali opinię Kazimierza W-go, że Polska pod egidą potężnych Węgier jest bezpieczniejszą; obiecywali sobie, że otrzymawszy niegdyś córkę królewską, męża jej sami wybiorą. Ale widzieli złe Ludwika, widzieli oderwanie Rusi, zamykali drogę Węgom, chcieli, żeby Polak tylko mógł być urzędnikiem królewskim". Czyli, pod obcym królem a może wbrew jemu, bronili całości państwa i bronili polskości rządu.

Rozum polityczny społeczeństwa polskiego, który za Kazimierza występować nie miał potrzeby ani sposobności,

który się dopiero uczył i kształcił — teraz zaczyna objawiać się i działać samoistnie, a jak się rozwijał, jak rósł i jak działał, to się pokazało po śmierci Ludwika.

Małżeństwo Jadwigi było takim politycznym pomysłem, tryumfem i areydzieniem, jakiemu równego historia polska nie ma do pokazania. Ta walka na dwie strony, ta obrona cywilizacyi zachodniej przed wschodem i zabezpieczenie siebie samych przed zachodem, która była przeznaczeniem i zadaniem polityki polskiej od Mieczysława aż do Kazimierza, ta wzięła obrót taki, o jakim Łokietek ani Kazimierz nie marzył. Chrześcijaństwo i cywilizacya posuwały się na daleki wschód, od którego na teraz niczego obawiać się nie mogły, skoro przyjęła je Litwa; Ruś opierać im się nie mogła, a nie było jeszcze ani Turków ani Rosyi. Krzyżakom odrazu odjęło się racyę bytu, a ich drapieżnej nawale na wschód, pozór. Z małego państwa Łokietkowego, z większego lecz jeszcze nie utrwalonego Kazimierzowego, tworzyło się państwo, jakiemu równego nie było na północy i wschodzie, państwo, którego słabą stroną i nieszczyściem było chyba to, że wewnętrzna siła, że zasoby ludności i skarbu nie zupełnie wystarczały ogromnej przestrzeni. Ale ta słaba strona nie odrazu widzieć się dała, odrazu zaś widocznem było, że zmienił się stosunek sil w Europie; że to państwo polskie, dotąd w obronem tylko stanowisku trzymające się ostrożnej i skromnej polityki, zaczyna znaczyć i ważyć w losach państw ościennych; że ta Polska, która omal że nie stała się przyczepką do czeskiej a później do węgierskiej korony, teraz góruje nad Czechami i Węgrami, im daje podporę, daje (a czasem odmawia) królów, i na tem polu przez wiek cały prowadzi i wytrzymuje współzawodnictwo z rosnącym także domem austryackim. Czy było jej winą czy też koniecznością, że z tego pola zesła, że tej wielkiej ambicyi zrzekła się w wieku XVI? Zawsze to pewna, że w XV ona jest i chce być mocarstwem w całym tego słowa znaczeniu, a Czechy, które się proszą o unię z Polską, Węgry, które polskiego króla powołują na swój tron, jak niedawno jeszcze Polska węgierskiego, a ten król polski, który trony są-

siednie synami swoimi osadza, to horyzont polityczny tak szeroki i wspaniały, jak się drugi raz przed nami nie roztoczy. Otworzył go ślub Jadwigi, a rozszerzył Grunwald. I to jest pod względem politycznym zenit, punkt kulminacyjny, na którym świetny i sławiony wiek XVI już nie stoi. Politycznemu wzrostowi zaś odpowiada i towarzyszy cywilizacyjny postęp; jeden i drugi wyprzedza rozwój a nawet początek polskiego piśmiennictwa, do którego jeszcze daleko.

Daleko; ale jego popęd, jego *spiritus movens*, poczyną się teraz, a z horyzontem politycznym rozszerza się także horyzont myśli i wiedzy. Literatury nie ma, ale skromna i rychło zaniedbana Kazimierzowska szkoła, zamienia się w tę *universitas*, która nas do literatury usposobi, wykształci i przygotowuje.

Że społeczeństwo zdolne było cel uniwersytetu spełnić, i że on miał w sobie warunki życia, dowodzi to, że w przechowanych nazwiskach profesorów, najwięcej znajduje się nazwisk polskich. Sprowadzano sławnych cudzoziemców w początkach, jak ich sprowadzano jeszcze w XVI wieku, dla ozdoby, dla chwały, dla wielkiej w tym lub owym przedmiocie nauki: ale znajdowano na miejscu ludzi do obsadzenia licznych i rozmaitych katedr, znajdowano matematyków i lekarzy, filologów i kanonistów, komentatorów Cicerona lub Virgiliusza, i nadewszystko komentatorów św. Tomasa i Arystotelesa.

Ale jacy byli ci nauczyciele Polacy? Z ich owoców ich poznać. Ci matematycy naprzykład, którzy wykształcili Kopernika i rozwinęli jego zdolność genialną, musieli sami mieć zdolność, rozum i naukę. Świadcstwa pisane cudzoziemców i ich stały a wielki napływ do Krakowa dowodzą przecie także, że nauka, jak ją w owym wieku w Europie pojmowano, musiała tutaj być udzielaną dobrze. Obecność mistrzów krakowskich przy soborach i traktatach była może tylko hołdem oddanym nauce i Akademii, a nie ich osobistej zdolności? Ale gdyby tak było, to ci obecni na soborach doktorowie, mimo obecności, nie byłiby na nich grali roli znaczącej, nie byłiby zabierali głosu stanowczego w spra-

wach, obchodzących świat cały, jak sprawa *an Papa supra concilium an concilium supra Papam*, nie byłiby wygrywali przed niechętnym i uprzedzonym trybunałem papieży i cesarzów spraw tak trudnych, jak sprawa Polski przeciw Krzyżakom.

W tej ich obecności na soborach, w tych ciężko pisanych traktatach czy o kwestyach teologicznych, podówczas wstrząsających światem, czy o kwestyach więcej świeckiej i politycznej natury, jest znowu dowód, że ta nauka ówczesna, którą wyobrażamy sobie oderwaną od świata, że ona właśnie przeciwnie chciała i umiała należeć, mieszać się do całego historycznego życia, być mu potrzebną.

Organizacya uniwersytetu w głównych zarysach była od Jagiełły ta sama co dziś, ta najlepsza podobno, naturalna i racjonalna, oparta na czterech głównych kierunkach i zakresach nauki i wiedzy, a na czterech tym grupom nauk odpowiadających wydziałach. W nauce samej, w metodzie, i w urządzeniach zmieniło się od tego czasu bardzo wiele; ale w podstawach organizacyi i w zwyczajach dzisiejszych, przechowało się tyle jeszcze ówczesnego, tradycyjnego, że w niejednym ich przepisie lub zwyczaju poznaje się ten sam, którego my się trzymamy.

A skutki tego uniwersytetu? Czyż trzeba je tłumaczyć? On dopiero stał się węzłem żywym pomiędzy Polską a europejską oświatą i nauką. Przed nim był związek przypadkowy i powolny przez jednostki; teraz przez niego zaprowadził i ustalił się związek nieustanny między nauką jaka była na zachodzie i południu, a coraz nowemi następującemi po sobie warstwami ludności polskiej. Nie mówiąc o szkołach niższych, od uniwersytetu zależnych, które się po kraju mnożyć zaczęły, ale sama tylko rozchodząca się po kraju liczba ludzi choćby nie uczonych, ale już wykształconych, musiała zmienić fizyognomię i podnieść umysłowy poziom społeczeństwa. A jak uniwersytet ściągał do siebie uczniów Węgrów albo Niemców, nauczycieli bądź powołanych bądź szukających miejsca i powodzenia z nad Dunaju i Renu, z nad Tybru a nawet czasem i Tagu, tak na odwrót Polak

zamożniejszy, rozciekawiony, zajęty nauką w Krakowie, szedł jej szukać tam, gdzie spodziewał się znaleźć jaśniejsze jeszcze i silniejsze jej ogniska, do Włoch, do Paryża, i wracał z głową otwartą na inne polityczne, naukowe i nawet towarzyskie stosunki, wypolerowany tem przetarciem się w świecie, rozmiłowany w tej wyższej cywilizacji, której zakosztował, i pragnący jej coraz więcej, potrzebujący jej w życiu. Zaczął się teraz na wielką skalę ten związek, to wychowanie Polski w zachodniej cywilizacji, która dzięki Bogu uformowała jej charakter, jej dzieje, i wybiła na niej swoje piętno tak silnie, że go nie zatrzeć nie zdoła. Rozpoczął kiedyś to wychowanie Polski dla cywilizacji Kościoła, i on położył fundament pod cywilizacyjne działanie innych pierwiastków. Na tym fundamencie osadziła się później cywilizacja polityczna, państwo, prawo, i świadomość swoich stosunków, potrzeb i celów. Cywilizacja naukowa przyszła dopiero po tamtych; a za nią dopiero, jako jej skutek, zjawiała się, o wiele jeszcze później piśmiennicza. Ta zaś trzecia warstwa, to uzupełnienie cywilizacji nastąpiło przez uniwersytet krakowski. Jak dla państwa polskiego pod względem politycznym, tak dla niego pod naukowym i cywilizacyjnym był wiek XV najszcześniejszą, najpiękniejszą epoką. Przy uroczystem otwarciu uniwersytetu 25 lipca 1400, kanclerz jego i biskup krakowski Piotr Wysz, dziękował i wieszował królowi, a mowę swoją (w zakończeniu pierwszej lekcji prawa kanonicznego) zamykał wróżbą, że „Akademia ta póty stać będzie, póki się berło królewskie nie złamie“. Berło się złamało, a ona przecież stoi i służbę tę samą pełni, tem ważniejszą, tem potrzebniejszą właśnie, że tamtego berła nie ma, a pod jej wtedy nadanemi berłami, kształcić się mają pokolenia, zdolne być społeczeństwem i narodem: wyrabiać się mogą, oby w podobnie jędrnym i zdrowym jak wtedy cywilizacyjnym i politycznym duchu.

Sława uniwersytetu w wieku XV zasadzała się głównie na kanonistach; później dopiero na naukach matematycznych. Ale jego charakter był przeważnie teologiczny; on sam pojmował się jako do tych nauk głównie powołany,

dla nich stworzony; wydział tym naukom poświęcony miał pierwszeństwo i poniekąd wyższe stanowisko nad innymi.

Nie była przecież obcą cześć i uprawa literatury starożytnej, a ślady późniejszego uwielbienia starożytności, zarody tej zmiany, którą z czasem w naukach i w filozofii wywoła humanizm, daje się widzieć dość wcześnie. Musiał ten zapal dla autorów rzymskich i na nich opartego wykształcenia, nie tylko między uczonymi się objawiać, ale głęboko do ogółu przenikać, skoro już w kilka lat po założeniu uniwersytetu (1406) człowiek prywatny (Nowko profesor Akad. i proboszcz św. Wojciecha) funduje katedrę Retoryki, przeznaczoną głównie do wykładania Cicerona i Quintilliana; inna katedra poświęcona była łacińskiej gramatyce: w połowie wieku już na dobre i stale, ale prawdopodobnie dużo wcześniej, tłómaczy się i objaśnia Virgiliusz, Horacy, Owidiusz, Terencjusz i Plautus. Starożytność zajmuje coraz większe miejsce pomiędzy naukami, coraz lepiej jest znana, coraz bardziej podziwiana, a to znak, że czas niedaleki, kiedy ona wywrze swój wpływ stanowczy na naukę, na europejskie literatury, na filozofię, i wreszcie ale nie najmniej na same polityczne stosunki, na pojęcie państwa i społeczeństwa.

Ten w Europie rozwijający a u nas poczynający się kierunek, ma swego ciekawego reprezentanta, którego można by nazwać pierwszym w Polsce humanistą, a w każdym razie poprzednikiem humanistów. Grzegórz z Sanoka, nieprzyjaciel filozofii scholastycznej, tak tem swoim niezależnym stanowiskiem zadziwił naszych uczonych z końca XVIII i początków naszego wieku, tak się im wydał wyższym nad swój wiek i śmiałym, że w wielkim zapale uznali w nim prawie drugiego a raczej pierwszego Bakona. Przesada jest oczywista i nie potrzebuje zbijania: nie można stawiać obok siebie dwóch ludzi, z których jeden dał początek nowej metodzie i wszystkim późniejszym systemom filozoficznym, a drugi dostrzegał tylko trafnie stron słabych filozofii sobie współczesnej, i wytykał je rozumnie albo dowcipnemi słowy wysmiewał. Bakonem Grzegórz nie był, ale był do późniejszego, młodszego od siebie humanisty włoskiego i niemiec-

kiego już wcale podobny, zapalem i ciekawością do nauk, namiętnem zamilowaniem starożytnych, opozycją przeciw dotychczasowej nauce, niezawisłością w myśleniu i swobodą w mówieniu, która nie była (u niego jeszcze) niedowiarstwem ani nawet lekceważeniem, ale nie była już bez pewnego sceptycyzmu. Podobny wreszcie do nich gustem nie tylko do czytania ale i do pisania łacińskich poezyj, podobny satyryczną żyłką i ostrym językiem, podobny wreszcie ostrożnością, bacznością o siebie, dbałością o swoją wygodę i karyerę.

Ciekawy i chciwy nauki musiał być chłopiec, który w dwunastu latach uciekł od ojca do Krakowa i zaczął się uczyć. Nie miał o czem: konieczność szukania chleba pędziła go z miejsca na miejsce, z miasta do miasta, aż daleko do Niemiec. Zarabiał na życie jako nauczyciel (często wędrowny, jakich pełno było zagranicą w tym i jeszcze w następnym wieku), uczył gdzie się dało, a przytem uczył się, i przesiąkał podziwieniem dla starożytności, dla wyższej ogłady i cywilizacji, i dla tego krytycznego zmysłu, który zagranicą budzić się zaczynał. Wrócił do Krakowa (może znowu w gonitwie za lepszym losem) i doczekał się lepszego losu. Jego nauka, znajomość autorów starożytnych, prawdopodobnie łacińskie wierszyki, a nadewszystko śmiała, zapewne słuszna krytyka sposobu wykładania i objaśniania autorów łacińskich, zwróciły na niego uwagę. Został Bakalarzem Artium, uczył w Akademii, poszedł (jak się dziś mówi) na guwernerkę do bogatych paniczów a ztamtąd wyżej, bo na magistra Artium i na nauczyciela samych królewiczów. A z tego został towarzyszem, doradcą podobno w sprawach politycznych i spowiednikiem króla Warneńczyka. Nie opuścił go do ostatka, podobno spieszył na ratunek kiedy go ujrzał w niebezpieczeństwie: ale się cofnął, jak mówi jego biograt panegirysta Kallimach. Przypuścmy, że tylko dostać się do niego i ocalić go nie mógł.

Ale po śmierci króla, czemu on do Polski nie wraca, on świadek naoczny, kiedy tam nie wiedzą, wątpią, kiedy ta niepewność przykra a nawet szkodliwa? Czemu on, do-

radca zmarłego króla, a Kazimierza także nauczyciel, nie spieszy do Polski, kiedy tam zamieszanie i wahanie? Czemu swoim rozumem nie próbuje na nie zaradzić? Czemu nie stara się wpłynąć na Kazimierza i dopomóc do ukończenia Bezkrólewia? Siedzi kilka lat na Węgrzech. Dobrze mu tam, wygodnie? Czy nie był czasem wygodnym, o siebie dbalym a na resztę obojętnym egoistą, jak ogromna większość uczonych Greków i Włochów humanistów w drugiej połowie XV wieku?

Wraca po kilku latach: miany za zmarłego, przyjęty jest z wielką radością, i posunięty na arcybiskupstwo lwowskie. Kardynał Zbigniew konsekruje go niechętnie; może nie podoba mu się to usposobienie świeckie i literackie, może instynktem przeczuwa w Grzegorzcu ten zmysł krytyczny niebawem tak niebezpieczny dla hierarchii, której był filarem i obrońcą. Czy Grzegórz nie jest prawowiernym, czy lekceważy religię i Kościół? Bynajmniej; zdaje się, że był i wierzący i pobożny, choć w obyczajach nie zbyt podobno przykładny. A jednak z tych różnych maxym lub doweipów, które przechował Kallimach, wieje już jakiś duch sceptyczny: naprzykład oburza się Grzegórz, kiedy kto mówi, że Bóg zsyła cierpienia na ludzi dobrych, żeby wypróbować i ustalić ich enotę. To wytłómaczenie (w chrześcijaństwie po wszystkie wieki znane i przyjęte powszechnie) jego razi, wydaje mu się niedorzecznem, nie godzi się z jego pojęciem dobroci i sprawiedliwości Boga. Arcybiskup trzyma przy sobie i obсыpuje łaskami wywołanego z Rzymu Kallimacha; nie przestrzega więc zbyt skrupulatnie solidarności z głową Kościoła, a nie może sobie odmówić przyjemności rozmawiania i czytania z uczonym, który zna doskonale pisarzy rzymskich i greckich. Do polityki się nie miesza, nie lubi jej, nudzi się nią, unika kłopotu i odpowiedzialności; ale kiedy sposobność objawienia swego zdania się nadarzy, to pokaże się, że on jest stronnikiem przewagi władzy królewskiej, i to w tej chwili, kiedy władza kościelna, zagrożona przez Kazimierza w swoim stanowisku, broni się z rozpaczliwym wysileniem. Kiedy czyta historię, to także z obudzonym zmy-

słem krytycznym, i śmieje się z podań Kadłubka a sam usiłuje dociec rzeczywistych, podobniejszych do prawdy i do historyi początków polskiego narodu (choć ich nie znajduje). Wiersze łacińskie pisze źle, ale je pisać lubi i szuka z nich chluby. Wszystko to rysy właściwe nowoczesnemu już człowiekowi; już w nim jest ten duch pytania, ten kierunek lekceważenia, sceptycyzmu, za którym przyjdzie z czasem duch przeczenia. Ducha sceptycyzmu przed nim chyba się w Polsce nie widziało.

Zbliżeni do siebie stanowiskiem Arcybiskup lwowski i Biskup krakowski, stoją jak reprezentanci dwóch różnych światów. Grzegorz jako człowiek, jako uczony i jako duchowny, należy do nowego poczynającego się: kardynał Zbigniew pojęciem życia, należy do kończącego się świata. Ale pojęciem i zamiłowaniem nauki, wyprzedza ten świat i jest najczynniejszym, głównym krzewicielem oświaty w swoim czasie. Przez połączenie tych dwóch kierunków stoi na przelomie dwóch epok cywilizacyi, na przejściu z jednej do drugiej. Ostatni, najdzielniejszy ze wszystkich, reprezentant tej arystokracji rządzącej, która od śmierci Ludwika do śmierci Warneńczyka trzymała ster państwa w swem ręku, Oleśnicki ma całą jej zdrową tradycję polityczną, a zarazem całą jej zazdrosną namiętność władzy. Miał ją we krwi, w temperamentie, wyniósł ją z tej szkoły politycznej, a podniósł do wyższej potęgi przez to, że zajmował i duchowne stanowisko. Z przywiązania i z przekonania reprezentant interesów Kościoła, obrońca jego zwierzchniej władzy nad świeckim porządkiem rzeczy, Zbigniew, który jako świecki nie byłby ustępował i poddawał się, jako Biskup tem mniej chciał i mógł ustępować, że istotnie w interesie Kościoła działając, identyfikował swoją politykę z bezpieczeństwem i nietykalnością zasady, tradycyjnego średniowiecznego stanowiska Kościoła. Był to obowiązek, wzgląd sumienia; ale ten wzgląd przypadł doskonale do natury i do skłonności Zbigniewa, mieszał się z nią, a połączenie tych dwóch pierwiastków wydało dopiero tę konsekwencyę i tę miłość władzy, którą posiadał w stopniu niezmiernie u nas rzadkim. Polityk wielki,

doskonale znawca interesów polskich, Oleśnicki pracuje całe życie nad tem, żeby zwierzchność władzy duchownej nad świecką utrzymać; ale zarazem przestrzega zazdrośnie jak największej możliwej niezależności swojej i polskiego Kościoła wobec Rzymu. Popiera przez czas jakiś zasadę wyższości Soboru nad Papieżem, później stwarza tę ciekawą neutralność w tej kwestyi, której się Polska długo trzymała. Katolickiego charakteru Polski i rzymskiego w niej wpływu tak broni, że do Unii z Czechami nie dopuszcza, bojąc się zhussycenia Polski, i wiedząc, że to pociągnęłoby za sobą odrodzenie się krzyżackiej potęgi; o krucyacie przeciw Turkom marzy jak Pius II, i w węgierskim Warneńczyka tronie widzi do niej środek i pewne nadzieje zwycięstwa; przygotowaniem Unii Florenckiej pozyskuje wschód dla Kościoła (zdawało się, że stale), słowem, wielki mąż w Kościele i wielki mąż stanu: ale broniąc w Polsce władzy kościelnej, broni i swojej.

A właśnie wypadł na czasy, kiedy władza świecka wyzwalala się w całej Europie, kiedy obiecywała sobie wziąć górę nad kościelną, kiedy na gruzach średniowiecznego układu stosunków, zaczęła się podnosić budowa nowoczesnej monarchii, nowoczesnego państwa. Dążność ta miała i w Polsce swego wyobraziciela, Kazimierza, i ztąd nieuniknione starcie. A kiedy do tego starcia przyszło, odezwała się w kardynale świecka, oligarchiczna polska żyłka i natura, i on, przez całe życie stróż i filar, na władzy opar tego porządku, przeszedł w opozycję gwałtowną, dał przykład podkopywania powagi króla, przyczynił się do tej przedwczesnej emancypacji poddanych, i przedwczesnego zbyt wielkiego ich wpływu, które sprawiły, że Kazimierz, nowoczesnej monarchii w Polsce złożyć nie zdołał, że państwo polskie nie zdołało nigdy zupełnie się wykształcić i dojrzeć. Pomagał do tej emancypacji i król sam, w swoich znowu widokach; ale kardynał, zamiast z nim razem ubezpieczać władzę, podkopywał ją on także. Przeświadczony o słuszności i o politycznej zbawienności swojej zasady,

Zbigniew sam może o tem nie wiedział, ale przez oligarchiczną dumę i passyę władzy, szkodził zasadzie tej władzy od chwili, jak ona jemu wysunęła się z ręki. Robił to, co za Zygmunta III robił Zamoyski, co później bez jego dobrej wiary, wielkiej myśli, i wielkiej zdolności, robiło w Polsce tylu, aż do ostatka. Uczony bardzo i o naukę dbały, pojmuję ją przecież tylko na teologicznej podstawie, i o teologiczny charakter uniwersytetu dba najpilniej. A jednak, z zapalem nie mniejszym, owszem głębszym, czynniejszym, skuteczniejszym niż Grzegorz, miłuje i krzewi odkrywającą się po wiekach starożytność. On sprowadza rękopisma, on rozszerza znajomość i cześć autorów rzymskich, przez to zakłada fundament późniejszej humanistycznej oświaty i literatury. Listy jego, a głównie do Eneasza Sylwiusza, dowodzą, jak był na wskrós przejęty tem nowem tehniem swojego czasu. Niemniej przecież średniowieczna jednolitość i jednostajność, wspólna kościelna podstawa wszystkich funkcyj i kierunków życia, jeden pień, z którego się te wszystkie gałęzie rozchodzą, ale od którego oddalić i odłączyć się nie mogą, i który je wszystkie temi samemi żywotnemi sokami zasila; to jego ideał, to świat, jak on go pojmuje. A tymczasem świat rzeczywisty odbywał właśnie wielkie przeobrażenie i zaczynał kwestyonować wiele rzeczy, które w przekonaniu ludzi dawnego autoramentu nie podlegały pytaniom, nie przypuszczały dyskusyi. Każda z tych gałęzi zaczęła się czuć czemś odrębnem, każda chciała być sama przez się; każda dążyła do tego, żeby się od pnia oddzielić, zapuścić swoje korzenie i wyrósć na nowe drzewo, dawnemu nie koniecznie przeciwne, ale od niego niezależne, różne, jemu współrządne i równe. A kiedy całem swoim korytem buchnęła do Europy literatura i filozofia starożytna, kiedy Kościół, w najważniejszej dla siebie chwili, popadł pod koniec XV wieku w smutny stan upadku, nie dziw, że dawny świat wyszedł ze stawów, a co się wtedy zwicznęło, to się dotąd nastawić nie dało.

Ten świat nowy, którego jednym z charakterystycznych zwiastunów był Grzegorz z Sanoka, objawił się w Pol-

sce naprzód nie na religijnym lub naukowym, ale na politycznym gruncie, pod formą dążeń Kazimierza Jagiellończyka do rozszerzenia i ustalenia monarchicznej władzy (dążeń odpowiadających dobrze, choć bez takiego skutku, współczesnemu powstawaniu absolutnych monarchij na zachodzie), i pod formą jego walki z władzą duchowną.

II.

Zwrot w stanie politycznym i umysłowym. Jego ślady w dziełach pisanych. Paweł z Brudzewa. Ostroróg. Długosz. Język. Polska w końcu XV wieku.

Na ten czas przejścia ze średniowiecznego do nowożytnego świata, wypadają pierwsze dzieła, które do polskiej literatury śmiało już liczyć możemy. Nie są one jeszcze pisane po polsku (na takie jeszcze długo trzeba czekać), ale są to już dzieła: są z polskiej myśli i świadomej siebie dążności powstałe, dążność tę i cechę polską mają wyraźnie, a związek ich z ówczesnym stanem narodu jest najściślejszy, tak, że choć w obcym języku, są to już polskiego ducha plody i polskiego piśmiennictwa początki. Nie mamy zaś na myśli tych teologicznych lub filozoficznych traktatów, którym treść sama nadaje zawsze pewien charakter kosmopolityczny, ani tego co w przedmiotach ściśle naukowych ówczesni Polacy pisać mogli, bo nie o historię nauki lub nauk nam chodzi, tylko o historię literatury samej; takich więc dzieł szukamy, takie mamy na myśli, które do jej zakresu ściśle należą.

Pomijamy te wiersze łacińskie, które zaczynają się zjawiać, a im dalej, tem częściej. Nawet kiedy pisane przez Polaków, nawet kiedy odnoszą się do jakiegoś współczesnego w Polsce zdarzenia albo człowieka, nie są one niczem innym jak próbą pióra, examinem z łaciny i wierszowania, który zapewne i piszącemu i czytającemu musiał podobać się bardzo i imponować: ale wszystkie te wiersze były spowodowane tylko chęcią zrobienia czegoś, co robili Włosi albo Niemcy,

i naśladowaniem tego, co się u nich widziało. Są to zresztą wiersze pisane przy okazji, z przypadku, przez ludzi zajętych czem innym; tacy zaś poeci, choćby nieudolni, którzyby łacińskie wiersze uważali za swoje główne zajęcie a przynajmniej za swoją największą chwałę, poeci z professyi a przynajmniej z silnie rozbudzonego dyletantyzmu, zjawiają się dopiero pod koniec XV wieku.

Przed nimi zaś występują, a od nich nierównie więcej znaczą tacy, którzy piszą małe traktaty o bieżących kwestiach politycznych (dziś powiedzielibyśmy broszury), i dają początek naszej literaturze politycznej — nad nimi, jeżeli nie przed nimi, jest Długosz. — Pierwszem tego rodzaju pismem, jakie wykazać możemy, jest *Tractatus de potestate Papae et Imperatoris respectu Infidelium*, Pawła z Brudzewa, Pawła, syna Włodzimierza, jak się sam podpisywał, Rektora krakowskiej Akademii. Traktat ten pisany był w roku 1415, dla Soboru Konstancyeńskiego, pod którego rozsądzenie król Władysław Jagiełło poddał sprawę Polski z Krzyżakami.

Traktat ten, złożony jest z dwóch części. Pierwsza mówi o władzy Papieża, druga o władzy cesarza nad niewiernymi; każda obejmuje jedenaście pytań i odpowiedzi, z których dopiero wynika praktyczna, obu częściom wspólna konkluzya, że Krzyżacy nie mają żadnego prawa do Litwy, bo podług nauki Kościoła, Papież nie ma prawa nadawać komukolwiek ziemi niewiernych, którzy z chrześcianami żyją w pokoju, a tem mniej może takie prawo mieć cesarz, który w wyprawach na niewiernych jest tylko narzędziem Papieża i wykonawcą jego rozkazów. Wszystkie zatem mniemane nadania, jakimi się Krzyżacy zasłaniają, są nieważne i żadne, a oni obowiązani są zwrócić wszystko co nieprawnie zabrali i trzymają.

Traktat, pisany syllogistycznym sposobem, jest bardzo ścisły w rozumowaniu, bardzo silny w dowodzeniu. Mały, ale poświęcony sprawie w owym czasie największej wagi, jest ciekawym pomnikiem historycznym: przez sposób pisania, przez gruntowną naukę i przez rozumne przedstawienie sprawy, jest ciekawym pomnikiem ówczesnej oświaty pol-

skiej i weale zaszczytnym początkiem polskiej literatury politycznej.

Nie da się to już równie śmiało powiedzieć o następnym piśmieniu politycznej treści. Henryka z Brzezia *Tractatus contra Cruciferos Regni Poloniae invasores*, pisany podczas wojny trzynastoletniej (prawdopodobnie w roku 1456), za cel główny ma dowodzenie, że duchowni nie powinni być pociągani do opłaty podatków na wojnę, jak to Zjazd Grudziązki był uchwalil. Nie odznaczający się ani dobrym sposobem pisania, ani szczególną bystrością, traktat ten przez to jest ciekawy, że tak wcześnie powstaje już na opieszałość i niedbalstwo w służbie wojennej.

Te dwa dziełka poprzedzają niejako trzecie, nierównie od nich ważniejsze, od którego zwykle datujemy początek naszej literatury politycznej, Jana Ostroroga kasztelana Międzyrzeckiego a w końcu Poznańskiego (* 1420 † 1501), *Monumentum pro Reipublicae ordinatione*¹⁾.

Ostroróg uważany jest za ojca naszej literatury politycznej, jego dziełko za ziarno niejako, w którym zamknięte są różne jej późniejsze pomysły i kierunki. Istotnie znajduje się w niem w zarodzie wiele uwag i żądań, które szerzej rozwinięte, powtarzać się będą przez cały ciąg wieku XVI i dłużej. Jak zczasem Modrzewski, tak teraz Ostroróg żąda jednego powszechnego prawa dla wszystkich, a zniesienia różnych praw i sądów (przedewszystkiem Magdeburskich). Organizacya wojska jest ta sama, o jakiej ściśle wykonanie dopominać się będąc Orzechowski i inni. O uporządkowanie

¹⁾ Wegner, Bobrzyński, Caro, Pawiński, Rembowski, zajmowali się szczegółowo tem dziełem i jego autorem. Pomiędzy wieloma kwestyami spornymi, była i ta, czy *Monumentum* pisane było przed Sejmem Piotrkowskim roku 1459, czy roku 1477. Za tą ostatnią datą oświadcza się Bobrzyński, z powodów, które naszym zdaniem, są przekonywujące. Najnowsza praca Dra Prochaski oznacza rok 1473, i uważa *Monumentum* nie za program istotnej naprawy, tylko za okolicznościowe pismo, w duchu dynastycznej i centralizującej polityki króla Kazimierza. Jeżeli istotnie tak jest, to niemniej urządzenia jakich Ostroróg żąda, byłyby dla Polski korzystne, a jego dzieło ma wartość bardzo niezwykłą.

skarbu woła on pierwszy, tak, jak wielu następnych. W postępowaniu sądowem żąda zmian, podobnych jak Górnicki. W tem jeszcze do swoich następców podobny, że o teorię się nie troszczy, jest reformatorem empirycznym: i że nie domyśla się potrzeby silnej władzy rządzącej, wykonawczej, a przynajmniej takiej nie żąda.

Politycznie niezaprzeczenie rozumny, na swój czas nawet znakomity, Ostroróg widzi i wskazuje trafnie nie jedno złe w stanie ówczesnej Polski; naprawa jakiej żąda, byłaby dla niej niewątpliwie korzystną a może zbawienną. Ale historycznie, jako świadectwo i pomnik swego czasu, jest niezmiernie zajmujący i ważny. Widać w nim już rozwinięty, świadomy siebie patryotyzm, i dbałość troskliwą, zazdrosną, o niezależność korony polskiej i o jej godność. W odwiecznym, a za jego czasów w Polsce żywym, sporze między władzą duchowną a świecką, on stoi zawzięcie przy swoim królu. Przez to jest wiernym reprezentantem czasu i myśli Kazimierza Jagiellończyka i jego młodych senatorów. Ale na tem nie dość: zalatuje już od niego ta niechęć do Kościoła, która z czasem wybuchnie w Lutrze. Papież jest dla niego obcym Panem, któremu poddani króla polskiego — Biskupi — posłuszeństwa przysięgać nie powinni. Chytre Włochy wyciągają pieniądze z całego świata, choć Bóg żąda od ludzi serca nie pieniędzy. Appelacye do Rzymu w sprawach duchownych są zupełnie zbyteczne; Prymas i Biskupi polscy, wystarczą na to, żeby każdą sprawę osądzić.

Przez to wszystko, przez wpływ francuskich legistów z XIV wieku, na których się kształcił, przez dążność poddania władzy duchownej pod świecką, jest Ostroróg i wiernem odbiciem ówczesnej Europy, i wiernym wyobraźcielem nowych pojęć w ówczesnej Polsce. Przez dbałość o zewnętrzne różnice między stanami, o ściśle odgraniczenie rang i tytułów, jest znowu ciekawym okazem ówczesnej arystokracji polskiej, która niedawno jeszcze rządząca, a już w stanowisku swoim zachwiana, szuka sposobu na zabezpieczenie swego znaczenia. Nosi też na sobie dość wyraźne ślady wpływów zagranicznych, zwłaszcza francuskich, i charaktery-

stycznej skłonności do zagranicznych wzorów i zwyczajów. Byłoby przesadą mówić, że w pojęciach swoich wyprzedza swój wiek, a w rzeczach politycznych jest umysłem genialnym: ale jest w swoim czasie reformatorem znakomitym, umysłem niewątpliwie wyższym, a dziełko jego pierwsze, poświęcone naprawie Rzeczypospolitej, zawiera wiele istotnych warunków tej naprawy. Gdyby niektóre jego pojęcia były się lepiej rozeszły i przyjęły, a jego pomysły organizacyjne były wprowadzone w życie, to w wieku XVI poprawa Rzeczypospolitej byłaby i mniej potrzebną i łatwiejszą.

Te pisma polityczne były pierwszymi, zrodzonymi już z czysto polskiej myśli, zatem pierwszymi, które już śmiało zapisywać można do polskiej literatury.

Historja Długosza jest najznakomitszem dziełem pisaniem, jakie nam wiek XV zostawił: najznakomitszem dziełem historycznym, na jakie się przeszłość nasza zdobyła, a zarazem co do czasu pierwszym znakomitem, jakim się nasza literatura może pochlubić. Dziwne to a może jedyne zdarzenie; zazwyczaj rzeczy pisane z popędu uczucia lub wyobraźni, wyprzedzają o wiele te, które do powstania potrzebują dojrzałej reflexyi i sądu, poczyta wyprzedza prozę a zwłaszcza historyę. U nas, z powodów, których wytłomaczyć nie umiem, pierwszym wielkim pisarzem jakiego naród wydał, jest historyk.

Czy Długosz, który po sobie miał wielu takich co go okradali (mniemając, że poprawiali) ale nie miał takich następców, którzyby w jego ślady iść a nawet dobrze go naśladować byli zdolni, czy miał jakich poprzedników? Czy wyjątkowy fenomenalny historyk wystrzelił niespodzianie bez widocznej przyczyny, lub też czy się u nas już przed nim na lepsze pojęcie i pisanie historyi zanosilo?

Kronikarzy mieliśmy oddawna. Każdy okres czasu może jakiegoś swojego wykazać. Ale wszyscy oni tak nieskończenie od Długosza niżsi, że tylko materialnie chronologicznie jest on ich następcą; moralnego związku i pochodzenia dopatrzeć się nie można. Jeden jest przed Długoszem kronikarz niezwykle, zajmujący, w wiadomości bardzo obfity, ro-

zumny i pelen bystrego i własnego sądu, to Janko z Czarnkowa. Tego możnaby uważać za praecursora i poprzednika Długosza, bo ten oznacza postęp i wyższy stopień w kronikarstwie. Ale większa jest odległość i różnica między nim a Długoszem, aniżeli między nim a dawniejszymi Gallami i Kadłubkami. Ale jeżeli nawet Janka za historycznego ojca i mistrza Długosza, uważać nie można, to znówu nie można zaprzeczyć, że musiały przed Długoszem być u nas lepsze i szersze pojęcia o historyi i jej zadaniu, i pragnienie historyi lepszej. Nie były one oczywiście powszechne, owszem, prędzej wyjątkowe: ale że były, na to są ślady wyraźne. Już ten zmysł krytyczny, z jakim Grzegorz z Sanoka wyśmiewa podania starego Kadłubka i prostować się je stara, jest takim znakiem czasu; szkoda zaiste nieodżałowana, że owa historia Warneńczyka, którą on napisał, zaginęła. W uniwersytecie czytano i komentowano Kadłubka, ale czy komentarze były językowe tylko czy też i historyczne także? W każdym razie, że Długosz nie był jedynym, który rozumiał i wiedział czem historia być powinna, dowodzi list współczesnego mu Piotra z Bnina, Biskupa kujawskiego, który Wiszniewski przytacza (Tom V, str. 13, 14), a w którym tenże, krytykuje Kadłubka i żąda od niego pojęcia rzeczy i przymiotów, jakie właśnie posiada Długosz. Ten zaś? Nie mała to chluba i pociecha widzieć cudzoziemców przyznających, że cała Europa nie miała w wieku XV takiego jak on historyka. Jest to tak piękne, że aż się wierzyć nie śmie; i kiedy Mickiewicz (w Kursach Lit. Słow.) porównywa Długosza z Commineusem i przyznaje mu wyższość, posądza się Mickiewicza o poetyczną przesadę, albo o złudzenie narodowej miłości własnej? Ale kiedy zdanie to samo słyzy się od obcych, od historyków z zawodu, i to bardzo poważnych, a do tego niemieckich, zwykle nie skorych do przyznawania wyższości Polakom, wtedy można już nabrać śmiałości i wierzyć, że tak być musi. Porównanie to Długosza z historykami zagranicznymi, jego do tych stosunek i rodzaj jego nad tańtymi wyższości, podaje w głównych zarysach Szujski (Opowiadania i Roz-

trząsania — Stanowisko Długosza — str. 350, 351, 355, 356) Z charakterystyki tej wynika, że jako pamiętnikarze i opowiadacze, historycy współcześni (i dawniejsi) zwłaszcza francuzcy, mają więcej od niego talentu i wdzięku: ale że jako historyk Długosz jest głębszym od wszystkich, a najwięksi tylko Commineus i Guicciardini mają bliską i podobną wartość.

Że w tem przeobrażeniu, jakie się odbywało w wieku XV, Długosz należy więcej do dawnego aniżeli do nowego świata, to aż nadto wiadome. Jego pojęcie historii i obowiązków historyka, jest wyższe niż u wszystkich średniowiecznych kronikarzy w Europie: ale pojęcie życia, człowieka, świata, jest całe przejęte i wykształcone tym średniowiecznym ideałem religijnej jedności, posłuszeństwa dla Kościoła, zależności człowieka od Boga i jego przed Bogiem odpowiedzialności, wyższości względów moralnych nad praktyczne i utylitarne, jakich się u historyków młodszych, u Machiawela, nie znajdzie. Człowiek ze szkoły Zbigniewa Oleśnickiego, przez niego wykształcony i ustalony w swoich wyobrażeniach i przekonaniach, nie mógł być innym i myśleć inaczej. Że jest takim, to na historyków późniejszych wkłada obowiązek, żeby to jego stanowisko mieli zawsze na uwadze, żeby nie byli jednostronnymi gdzie on jednostronnym jest, żeby podania jego uzupełniali, gdzie tego potrzeba; jemu wartości to nie ujmuje, a pewagi dodaje.

Ale tego ducha się trzymając, nie był Długosz ani ślepym ani obojętnym na stan i postęp nauki, i historii w szczególności: a znajomość i zamiłowanie starożytności miał tak jak młodszy od niego humaniści. Jeżeli lepiej i głębiej od nich rozumiał potrzebę zbierania i badania źródeł, jeżeli je usilniej i sumiennie poznawał, choć z nich nie zawsze trafne konkluzje wyciągał, i choć z drugiej strony podziałem, układem swego dzieła przypominał kronikarzy średniowiecznych, to na rzymskich nie mniej się kształcił, i chciał pisać jak oni, Liwiusza sobie za wzór obierając, w czem niewątpliwie nie obeszło się bez wpływu Oleśnickiego, zapalonego wielbiela starego historyka. Zmiana jaka się odbywała podówczas w historyografii europejskiej, a we Włoszech poczęła

w XIII jeszcze i XIV wieku, udzieliła się Francuzom i Niemcom w XV, dotknęła i jego także.

Rozum że jest wielki i powaga charakteru, zbytecznie mówić. Ale co z dzieła wychodzi jasno jak słońce i imponuje, to instykt poczucia politycznego interesu Polski, i wielka interesu tego znajomość. Namiętności, narodowej nienawiści lub osobistego uprzedzenia, pomimo wyraźnej niechęci do niektórych osób lub dążeń nie znać, owszem sprawiedliwość jest wszelka i wielka; jedynem uczuciem, które Długosza opanowało, które jest silniejsze od niego, jest przywiązanie i uwielbienie dla kardynała Zbigniewa. To widocznie było miejsce święte i nietykalne jego serca: tego jednego podziwia, kocha, a nie sądzi. O innych, czy ich kocha czy nie, czy z nimi zasadami i przekonaniami połączony lub rozdzielony, ma zawsze sąd poważny, raczej surowy, i mówi o nich to co ma za prawdę otwarcie, bez ogródki, *sine acceptione personarum*, choćby to był sam król (a raczej, bo to u niego jeszcze nie byłoby dowodem) choćby to był sam Papież. I tak samo to co ma za prawdę, mówi o narodzie polskim i do niego. I tu strona najpoważniejsza może, najpiękniejsza jego natury i jego patryotyzmu. Prawdziwą może być miłość każda, ale zawsze ta najlepsza, przyjacielska, małżeńska, rodzicielska, czy miłość ojczyzny i rodaków, która się nie zaślepia, ale kochając sądzi, sądząc chce podnieść, a dlatego właśnie, że kocha i bardzo, chce, żeby to, co kocha, było jak najlepszem, pragnie kochając mózdz czeić i podziwiać, żeby mózdz kochać tem więcej.

Patryotyzm Długosza surowy i smutny, jest tej natury, tego rodzaju co patryotyzm Skargi, a domysł może nie będzie zupełnie marnym, że natura ludzi musiała być podobną: w świeckim i historycznym tonie Długosza, daje się nieraz rozpoznać myśl podobna i podobne uczucie, jakie o wiek później odezwie się w kaznodziejskim błagalnym groźnym i proroczym tonie Skargi.

A jak tamten był słuchanym, ale nie usłuchanym, tak ten był czytany, używanym, okradanym nawet, ale nie lubionym ani uznanym głośno tak, jak mu się należało.

Historycy zarzucają Długoszewi z ważnych rzeczy dwie. Jedna jest ta, że bez braku przyjmuje źródła i na nich się bez krytyki opiera; druga, że jest tendeneyjny, że pisze świadomie i umyślnie na chwałę swojej ojezyny, i dlatego wiele przemileza lub pomija, przez niejedno przeszłizga się lekko, czasem wprost naciąga albo przekręca. Ale to o nim powiedziawszy, ci którzy poddali go śledztwu najgruntowniejszemu i najbardziej bezstronnemu, dodają zaraz ¹⁾, że te wady wspólne są całemu dziejopisarstwu jego wieku, a Długosz jest pośród niego zjawiskiem zupełnie wyjątkowem. Żaden nie dorówna mu gorliwością w zbieraniu i zpożytkowaniu źródeł, i długo jeszcze żaden z późniejszych. Metodą i zaletami konstrukcyi przewyższa Bonfiniusa a nawet Eneasza Sylwiusza. Współczesna historyografia niemiecka stoi daleko za nim pod względem tak metody jak i formy. Francuskie i włoskie dziejopisarstwo pamiętnikowe z końca XV i początków XVI wieku, Commines, Guicciardini, Machiavelli przewyższa Długosza i sztuką opowiadania i subtelną przenikliwością. Ale Długosza jednostronność lub tendeneya, z tamtymi porównana, wyda się jeszcze gołębią niewinnością. Jeżeli wreszcie rozważy się w całości ogrom dzieła Długosza, to „naprózno w całej literaturze XV wieku szukałoby się pomnika, któryby mógł godnie stanąć obok niego. Żaden naród nie doczekał się wówczas swojej historyi, na tę miarę co dzieje Długosza“.

Gdzie znalazł się taki historyk, gdzie historyk wszystkie sprawy swego narodu nie tylko uszykował i spisał, ale je z ducha tego narodu pisał, a ze stanowiska jego potrzeb, jego korzyści, jego zasług lub błędów sądził, tam już jest dziejopisarstwo narodowe. I tam, choć ten historyk pisał w obcym języku, można mówić o zaczętej już narodowej literaturze.

Dzieło znakomite jest, nauka stoi świetnie a uniwersytet kwitnie, w zamożnych miastach powstają budowle

¹⁾ Bobrzyński i Smolka: *Długosz. Jego życie i stanowisko w piśmiennictwie*. Kraków 1893.

i szlachetne, i oznaczone osobnem piętnem „Jagiellońskiego stylu“. Z drzewa rzeźbi się ołtarz Maryackiego kościoła, a z marmuru grobowiec Kazimierza Jagiellończyka; oświata i cywilizacya rozwija się w Polsce tak pięknie, że serce rośnie z podziwu i chluby. Rosłoby i z radości, gdyby nie późniejsze smutki. Ale wśród tego ogólnego wzrostu i rozkwitu jak wygląda, jak się rozwija, jakim jest polski język?

Z tych zabytków jakie po nim zostały, czy dawniej znanych, czy świeżo odkrywanych a umiejętnie badanych¹⁾, odnosi się wrażenie, że i on także był już bardzo rozwinięty, do piśmiennego użytku zdatny. Te ułamki kazań lub pieśni, te przekłady kościelnych modlitw, a choćby tylko sam największy z tych pomników, „Biblia królowej Zofii“, to wszystko świadczy, że ówczesny język polski, to nie było pierwotne ubogie narzędzie do koniecznego porozumiewania się ludzi między sobą, ale że się użyciem, w kościele głównie ale i w rozmowie ludzi wykształconych, już wykształcił i rozszerzył. Czy jest słabszy i jednostajniejszy od współczesnego francuskiego lub niemieckiego, nie mamy prawa sądzić; widzimy tylko, że jest nietylko zasobny ale bogaty w wyrażenia, ma zupełnie wystarczającą obfitość słów; ma zwroty przyrodzone zapewne, instynktowe, ale jędrne, własne, liczne, a często tak doskonale, że żal tylko czemu wyszły z użycia. Ma formy gramatyczne wyrobione, ustalone, a może liczniejsze i rozmaitsze od naszych dzisiejszych. Jest też po czterech lub blisko pięciu wiekach zupełnie zrozumiały; aż dziwne, jak mało przestarzały. Są wyrażenia zaniedbane i zapomniane, są inne, które zmieniły swoje znaczenie, są zwroty, które wyszły z użycia: ale ogółem wzięwszy, wnosi się z tych zabytków, że każdy Polak dziś żyjący, mógłby rozmawiać z Długoszem i Zbigniewem, z Jadwigą nawet a może i z Kazimierzem (jeżeli text Kazań Gnieźnieńskich sięga istotnie XIV wieku), jak ze swoimi współczesnymi. Zważywszy zaś postęp ogromny, jaki ten język zro-

¹⁾ Brüekner, Malinowski, Nehring, Kętrzyński, Małecki, Wisłocki, Przyborowski, Bruchnalski i t. d.

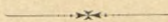
bił w wieku XVI a później w XIX, dochodzi się do wniosku, że ta bliskość języka dawnego z dzisiejszym, to nie jest skutek zastoju i skrzepnięcia w raz nabytych formach. On nie stanął, nie zatrzymał się na miejscu, nie skamieniał w dalszych swoich latach, tylko w tych wczesnych on już był bardzo dobry. Kiedy go widzimy w druku, on na pierwszy rzut oka wydaje nam się dziwacznym i do dziś nam znanego mało podobnym. Ale spróbujmy oczyścić go z ówczesnej ortografii niestalonej a istotnie dziwnej, spróbujmy słowa te same napisać tak, jak je dziś piszemy, a przekonamy się, że i brzmienia i formy są te same, bardzo rzadko i bardzo mało zmienione. Porównajmy język tych zabytków XV wieku, z tym językiem, jakim pisze Rey naprzykład, czy różnica okaże się dużą i znaczną? Wnosimy z tego, że jeżeli nasi Polacy w wieku XV nie pisali we własnym języku nie, prócz tego co było koniecznie potrzebnem w Kościele albo w praktycznej czynności sądowej lub innej, to nie z winy języka. Język ten był do piśmiennego użytku już dostatecznie przydatny i sposobny, tak świadczą naprzykład *Pamiętniki Janczara* jeżeli w XV wieku na polski język przełożone: że go tak nie używano, to powodem musiała być panująca wśród ludzi oświeconych łacina, a wśród ogółu mniej wykształconych stopień wykształcenia jeszcze za niski, jeszcze nie dochodzący do potrzeby i do pragnienia czytania. Jednak w pieśniach religijnych znać tu i owdzie nie tylko uczucie, ale nawet czasem jakieś błyski wyobraźni, (naprzykład *Pieśń o Matce Bolesnej* z rękopismu Świętokrzyskiego, *Pieśń o śłym Alexym* z Bibl. Jagiellońskiej). W świeckich, czasem zdarzy się coś nakształt humoru; a w każdym razie nie jeden rys obyczajowy weale ciekawy (naprzykład *Pieśń o Zachowaniu się przy stole*, i *o czei niewiast* z Bibl. Petersburgskiej). Są to oznaki, że autorowie tych wierszy nie byli zupełnie bez talentu, i że gdyby było się pisać po polsku więcej i częściej, rozwój literatury mógłby był nastąpić wcześniej.

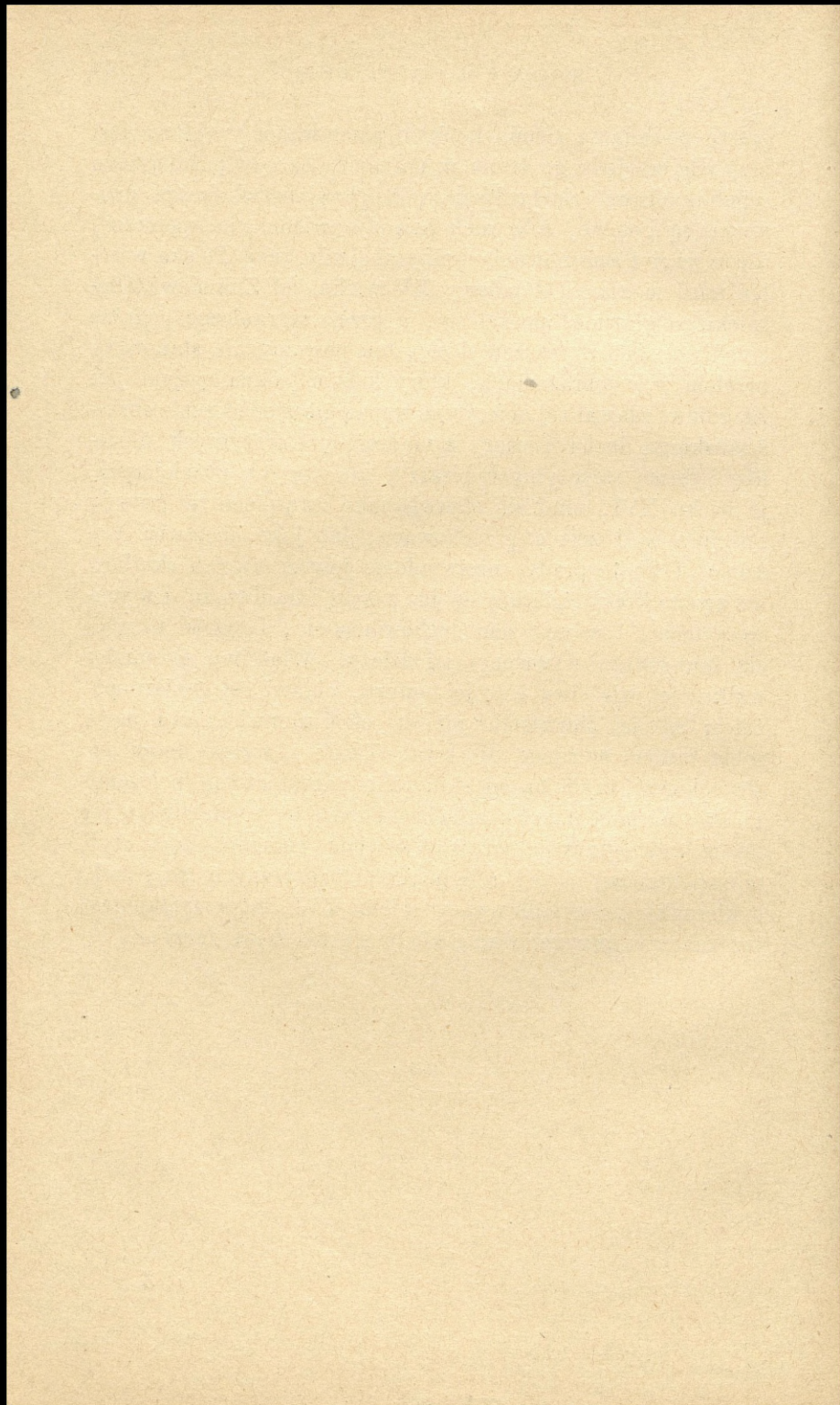
Tak kończył się wiek, a na swoim schyłku miał już złożone w sobie zarody tych walk, pierwiastki tych spraw, które rozwinięte i dojrzałe miały się stać historią wieku

następnego. Turek był w Konstantynopolu i z niego zagrażał chrześcijańskiej Europie. Wyniesiona przez greckich uczonych znajomość i cześć starożytnych, szerzyła się szybko i wzmacniała się coraz większym zapalem. Druk roznosił już książki. Pod następcami Piusa II staczał się Rzym coraz głębiej w zepszczenie i zepsucie. Gotowe było już to co miało sprawić przemianę podstawnych pojęć, i to, co miało ułatwić rolę Lutra, rozszerzyć bunt przeciw Kościołowi. Maurów nie było już w Hiszpanii, Kolumb odkrywał Amerykę, a Hiszpania jak Ameryka miała przejść w dom Habsburski z córką Aragońskiego Ferdynanda. Król francuski wyprawiał się po raz pierwszy za Alpy na podbicie Włoch. Fundamenta późniejszej Monarchii już były założone przez Ludwika XI., przez Ferdynanda, przez Henryka VII. Współzawodnictwo Francji i domu austriackiego, niebezpieczeństwo tureckie, humanistyczna oświata, elementa kościelnego odszczepieństwa, czyli to wszystko, co stało się treścią i duszą dziejów XVI wieku, było już, niewidzialne jeszcze, ale wzbierające i dojrzewające.

Tak samo i w Polsce koniec wieku XV ma już w sobie te pierwiastki, z których składa się wiek XVI. Kazimierz potrafił złamać potęgę duchowieństwa i senatu, nie potrafił ugruntować swojej władzy; z bukowińską klęską Olbrachta upadły nadzieje i warunki skupienia tej władzy w rękę króla, wytworzenia w Polsce nowoczesnego państwa. Jagiellońska potęga, oparta na trzech tronach, polskim, czeskim i węgierskim, została nietrwałym zjawiskiem, częścią bo królowie nie byli równi swemu zadaniu, częścią bo dom Habsburski był bogatszy w siły i środki, a swobodniejszy w swoim działaniu: częścią bo niebezpieczeństwo Litwy zmuszało główną uwagę zwrócić na obronę wschodnich i północnych granic. Wielki książę Moskiewski, wyzwolony już z pod Tatarów, mógł śmiało i statecznie wypychać się w Litwę. Tatarzy przez nieosiadłe niestrzeżone stępy mogli się wdzierać w Polskę. Już polityka państwa, już wszelka zmiana praw, już wszelka wojenna wyprawa, zawisła jest od zgody szlachty na sejmikach a niebawem na sejmie, już

prawo posiadania ziemi, i prawo piastowania urzędów, jest przywilejem jednego stanu w narodzie. Zarody późniejszego republikanizmu szlacheckiego, późniejszej bezwładności państwa, są gotowe, a w nich powody zwiehnienia społecznej równowagi i zmarnowania politycznej siły, jaką Polska w sobie mieć mogła. Od połowy XV wieku, od Zbigniewa Oleśnickiego głównie, począł się, a przez zagraniczne podróże i nauki Polaków rozszerzył się, ten powolny ale stanowczy przełom w wyobrażeniach, który ludziom dawniejszym jak Zbigniew, zdawał się obiecywać wspaniałe zjednoczenie chrześcijańskiego ducha i wiary z mądrością starożytnych filozofów i formą starożytnych pisarzy, ale który u późniejszych, w wieku XVI, miał się objawić jako zwątpienie w prawdy religijne w Kościele przechowane, lub jako nienawiść Kościoła. Dwa te prądy, nieświadome jeszcze swoich skutków ani swego kresu, ścierają się już z sobą i na dworze, i w uniwersytecie, i w wyższem duchowieństwie, i wśród uczącej się lub świeżo wyuczzonej młodzieży. Właściwy przedmiot walki, jej właściwy cel, jej natura, objawi się dopiero później; ale jej pierwiastki już są, choć niewidoczne i może sobie samym nieznane. Moskwa, Turek i wzrost domu austriackiego, czyli to, co stanowi o zagranicznem położeniu Polski; parlamentaryzm szlachecki czyli to, co stanowi o jej stanie wewnętrznym; wreszcie oświata humanistyczna czyli to, co stanowi o jej religijnych i politycznych pojęciach, o kierunku jej cywilizacji w wieku XVI, to wszystko jest już znacznie przygotowane, kiedy się ten wiek zaczyna.

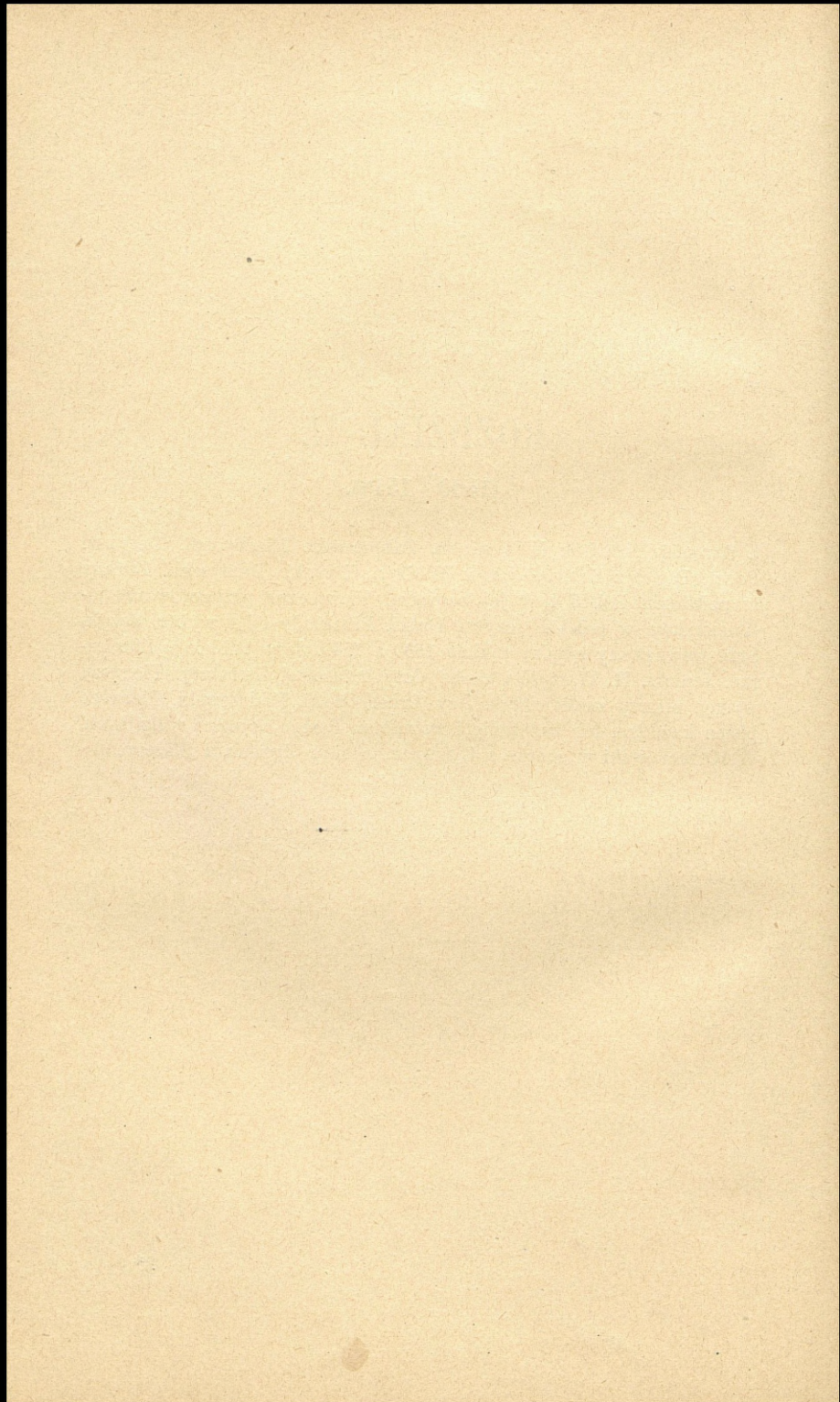




ROZDZIAŁ II.

(1500—1548).

I. Skromny początek XVI wieku. Zaborowski. Miechowita. Decyusz. Poeeci: Paweł z Krosna. Jan z Wiślicy. Krzycki. Dantyszek. Zmiany w położeniu Polski i w jej oświacie. Nieznaczące przygotowania piśmiennictwa w polskim języku. Druki. Przekłady i ich wybór. Język. Stan wewnętrzny między rokiem 1530 a 1540. Jego odbicie w literaturze. Janicki. II. Wartość i cecha dotychczasowej literatury. Pierwszy występ pisarzy znakomitych. Rey, Orzechowski, Modrzewski. Pierwsze pisma każdego. Ich znaczenie i znamiona. Postęp nowości religijnych. Orzechowski w sporze z Biskupem. Śmierć Zygmunta Starego.



I.

Skromny początek XVI wieku. Zaborowski. Miechowita. Decyusz. Poeci. Paweł z Krosna. Jan z Wiślicy. Krzycki. Dantyszek. Zmiany w położeniu Polski i w jej oświacie. Nieznaczące przygotowanie piśmiennictwa w polskim języku. Druki. Przekłady i ich wybór. Język. Stan wewnętrzny między rokiem 1530 a 1540. Jego odbicie w literaturze. Janicki.

Zaczął się wiek ten skromnie, niepokaznie. Wprawdzie około pierwszego jego roku otwiera się w Krakowie pierwsza drukarnia (Haller) — przedtem zjawiały się, ale nie trwały — a w zagranicznych drukarniach ukazują się nierzadko traktaty uczonych polskich (Mikołaja z Błonia, Mateusza z Krakowa, Jakóba z Paradyża, Marcina Polaka): dowód, że ci uczeni polscy byli poważani i czytani daleko za granicami swego kraju. Tu na miejscu znać prasy mają coraz więcej do roboty, skoro około roku 1510 mnożą się drukarnie, a obok Hallera zjawia się Ungler, niebawem Vietor i inni. Wydają książki kościelne i naukowe, wydają prognostyki, kalendarze, panegiryki i nawet autorów starożytnych. Ale jeżeli wnosić ztąd można, że wzmagala się potrzeba czytania, to nie znać przecie, żeby ta wielka dźwignia piśmiennictwa i oświaty jaką był druk, odrazu wydawała swoje skutki. Są ludzie piszący, ale to, co piszą, nie pozwala mówić, jakoby literatura szła naprzód. Kronika, czy traktat o jakiej politycznej kwestyi, pojęciem i formą należy jeszcze do przeszłego XV wieku, rozumem i talentem zostaje daleko w tyle za Długoszem lub Ostrorogiem. Zjawiają się poeci i łacińskie wiersze w liczbie większej niż przedtem, a niezadługo znajdują się wśród nich jeżeli nie talenta, to osobistości wybitne i cie-

kawe: ale w pierwszych latach wieku jest ta poezya tylko dość niudolnem naśladownictwem panującej w Europie mody, a znaczenie i zasługę ma chyba przez to jedynie, że przygotowuje i zapowiada, po części kształci, pisarzy już cokolwiek wyższych.

Jako pomnik czasu naprzykład ciekawy jest Stanisława Zaborowskiego Traktat *de Natura Jurium et bonorum regis et de reformatione Regni ac ejus Reipublicae regimine*. Pisane w pierwszych latach XVI wieku (drukowane 1507) odbija w literaturze tę chwilę ważną, kiedy król Aleksander rozdawnictwem dóbr koronnych marnotrawił skarb; zapowiada późniejsze długie i głośnie eksekucyjne spory, kiedy dowodzi nieprawności tych nadań i domaga się ich zwrotu. Zaleca się widocznem i szlachetnem uczuciem miłości ojczyzny i jej niebezpieczeństwa od Turków, Tatarów i Moskwy; ma tę zasługę, że woła o gotową obronę, o wojsko i o skarb zaopatrzony. Ale te myśli i uczucia dobre wyrażają się w ciasnej i ciężkiej przestarzałej formie scholastycznej. Ten świeży powiew, ten szerszy pogląd na świat, jakim tchnie Ostroróg a niezaprzeczenie i Długosz, zdaje się, że ustał i zniknął. Autor musiał mieć i rozum i szlachetną wolę, ale stopień jego oświaty zdaje się być niższym, zakres jego myśli ciasniejszym, niż był u tamtych. Podobnej różnicy dostrzega się i na historykach. Miechowita (1456—1523) lekarz, astrolog, historyk, poniekąd i geograf (*de duobus Sarmatiis*), miał wielką sławę u współczesnych i jeszcze u późniejszych; ale jego *Chronica Polonorum*, wydana w roku 1519, pisana oczywiście długimi może laty przed wydaniem, jest skróceniem Długosza, i to niezbyt dobrze wykonanem, po rok 1480, suchem zapisaniem ważniejszych zdarzeń odtąd do roku 1506. Decyusz, który patrzył na całe niemal panowanie Zygmunta Starego († 1545), i pióro swoje poświęcał chwale króla i jego domu, nie jest mniej, raczej więcej od tamtego i powierchowny i suchy. Paweł z Krosna, w roku 1499 już bakałarz uniwersytetu Gryfijskiego, w 1507 *magister* krakowskiego, za dwoma nawrotami jego profesor wykładający autorów starożytnych, zmarły 1517, jest pierwszym co do

czasu w szeregu zjawiających się poetów łacińskich, nauczycielem tych młodszych, którzy piszą z nim równocześnie, a często z tych samych okazji, na te same temata czy zdarzenia. Ale pierwszy co do czasu, co do zdolności jest słabym. Jest tych wierszy dość dużo, a znawcy przyznają im biegłość w łacinie, znajomość obszerną poetów starożytnych, nawet pewną zręczność i wprawę w rytmie. Ale pod temi zewnętrznymi technicznymi zaletami, nie można dopatrzeć się ani żywszego uczucia, ani bystrzejszej myśli, ani wreszcie własnego pomysłu, czy to w jego wierszach religijnych na cześć Św. Stanisława i Św. Władysława, czy w tych świeczkach, które pisze do swoich węgierskich przyjaciół i protektorów (Perenyi, Turzo, Bathory), czy to wreszcie w historyczno-panegirycznych, pisanych na zaślubiny króla Zygmunta z Barbarą Zapolską, na jego mośkiewskie zwycięstwo, i na zapowiedziane ożenienie z Boną. Jego uczeń Jan z Wiślicy, zmarły młodo, zdaje się rychło po roku 1516, miał śmielszą od swego mistrza ambicję, skoro się zrywał na poemat bohaterski (*Bellum Pruthenum*), i naśladowający Virgiliusza jak zapewne mniemał. Ale jako pisarz łaciński niższy jest, zdaniem znawców, od swego nauczyciela, a talentem jeżeli mu dorównywa, lub nawet go przewyższa, to jeszcze nie znaczy jakoby wznosił się ponad zwykłą naśladowniczą mierność.

Zaczynają przecie i na tem polu, z natury rzeczy dość jałowem, zjawiać się jeżeli nie wielkie talenta, to przynajmniej ciekawe typy i ciekawe wiersze: ludzie o własnej i charakterystycznej fizyognomii, zajmujący przytem jako świadectwa swego czasu. W roku 1509 wychodzi w druku pierwszy wiersz Andrzeja Krzyckiego.

Rozumny człowiek, giętki dworak, duchowny świeczkiego i światowego usposobienia, zamilowany w poezyi starożytnych i naśladowający ich z zapalem a niezupełnie bez zręczności i skutku, bardzo dbały o swoje wyniesienie i stanowisko, a uważający i swój stan duchowny i swoją poezję jako dzielny ku temu środek, w obyczajach prawdopodobnie a w pismach z pewnością zbyt wolny (zwłaszcza na księdza),

Krzycki nosi na sobie wszystkie znamiona tego humanisty i dworskiego poety, który wprawnym i ozdobnym piórem, giętkim charakterem i podchlebstwem, umie się stać potrzebnym i pożądanym na wszystkich ówczesnych europejskich dworach, dochodzi nieraz do znacznego stanowiska w Kościele lub w państwie, używany bywa do różnych spraw i czynności, a czasem przez rozum i prawdziwą zdolność, umie się stać nawet pożytecznym. Krzycki zdobył sobie i sławę jako poeta, skoro wychwalał go nawet wielki Erazm, i sławę zdolnego człowieka, skoro doszedł do najwyższej w Kościele polskim i w państwie godności Prymasa. Stosunki pokrewieństwa, znaczenie rodziny, mogły oczywiście wiele mu w tem dopomóc: ale pomagała także ta zdolność pisarska, ta znajomość starożytnych, ta poezya, którą posługiwał się zręcznie, żeby z jednego szczebla na drugi coraz wyżej wychodzić.

Uczony humanista XV i XVI-go wieku ma w całej Europie dwa typy, raczej dwa stopnie, dwa rodzaje. Jeden jest wielki rodzaj uczonych prawdziwych i na wielkie rozmiary, restauratorów klasycyzmu, jak dawni towarzysza Magnificus we Florencyi, jak później Muretus i Erazm; drugi rodzaj, ludzi wykształconych, zamilowanych w literaturze klasycznej, w których to zamilowanie budzi chęć do naśladowania: z mniejszą nauką, lub mniejszą zdolnością, ci mniej niż tamci od siebie żądają. Ambicya ich jest zaspokojona, jeżeli napiszą Oracyę na wzór Cicerona, albo złożą wiersz łaciński — i to sztuka, i to budzi podziwienie, jedna sławę u współczesnych, i tym kosztem tańszym uchodzi się za męża uczonego, za humanistę — jedni tworzą i uprawiają naukę na prawdę, drudzy sami dla siebie w niej smakują, ale są jej mniej potrzebni i przydatni. Jednak, że chęć zbiera do popisania się ze swoją nauką, że wstyd być zupełnie bezpłodnym, kiedy się z uczonymi przestaje i na ich sławę patrzy z niejaką zazdrością, więc próbuje się jakichś rzeczy mniejszych, pisze się jakiś traktacik, jakiś wierszyk, na mocy którego dostaje się prawo obywatelstwa w republice uczonych.

Kto wie, czy nie tym powodom przypisać trzeba poezye Krzyckiego Człowiek od młodości ćwiczony w naukach, z łacina naturalnie zupełnie oswojony, zdolny i rozumny zapewne, skoro używany kilkakrotnie do poselstw zagranicznych, widział zapał, z jakim czytano i naśladowano literaturę starożytną, sam w niej zasmakował, i naturalnie mógł zapragnąć sławy podobnej dla siebie; a była ona do zyskania tem łatwiejszą, że ani on sam od siebie, ani nikt od niego nie żądał niczego więcej, prócz zbudowania wiersza. Wiersz łaciński, z jaką taką miarą, przypominający rytmem lub jakim zwrotem którego z poetów rzymskich, to był szczyt zadania; kto go dopiął, *omne tulit punctum*.

Pierwszy znany nam wiersz Krzyckiego (1509) sławi zwycięstwo króla Zygmunta pod Orszą, drugi (1512), poświęcony jest jego ożenieniu z Barbarą Zapolską. Pobudzało ono do natchnienia wszystkich naszych ówczesnych poetów. Starszy Paweł z Krosna pisze jedno *Epithalamium*, pisze drugie młody Dantyszek, a trzecie Krzycki. Wszystkie są zbiorem naśladowanych ogólników tylko; ale Krzyckiemu znać ta poezya posłużyła najlepiej, skoro został kanclerzem (sekretarzem) młodej królowej. Jako taki, kiedy król w roku 1514 poszedł na wojnę moskiewską, pisze poeta elegię, niby list do niego od utęsknionej małżonki, na wzór heroid Owidiusza, i wzbudza wielkie dla siebie podziwienie. Niemniej wierszami na drugie orszańskie zwycięstwo, na cześć Św. Kazimierza, na śmierć wreszcie młodo zmarłej królowej. Przypuszczenie jest bliskie, że te mniejsze wiersze, erotyczne i satyryczne, (te ostatnie zwłaszcza), w których Krzycki więcej okazywał talentu niż w poważnych, musiały w znacznej części powstawać w tych latach, kiedy autor (urodzony 1482) był jeszcze młody, i jeszcze nie wyświęcony na kapłana (1519). Po śmierci królowej, sekretarz króla, używany przy poselstwach zagranicznych, nie zaniedbuje służby Muz, a zawsze w tych dworskich i praktycznych celach. On, który tak niedawno oplakiwał zgon Barbary Zapolskiej, stroi teraz swoją lutnię na powitanie królowej Bony, a w *Epithalamium*, na jej cześć napisane, kładzie bez wahania i wstydu

kilka wierszy, które już służyły nieboszczce Barbarze w *Epithalamium* z roku 1512. W złośliwym epigramie najteższy, nieraz dowcipny i cięty, w wierszyku rozpustnym otwarty i rubaszny w sposób dla dzisiejszego czytelnika nieprzyjemny, wydaje się Krzycki na pierwszy rzut oka pospolitym tylko choć sprytnym dworakiem, który o sobie tylko myśli i o swoje dobro jedynie się stara. Wrażenie to utwierdza się, kiedy się widzi, jak on według swojej potrzeby tym samym ludziom podehlebia, a szczypie ich, wyśmiewa, lub surowem słowem piętnuje, kiedy mu nie zrobili tego, czego pragnął. Tak było z królową Boną naprzykład, kiedy go ominęło spodziewane biskupstwo Poznańskie; tak z Krzysztofem Szydłowieckim. Jednak sąd bezwzględnie surowy nie byłby sprawiedliwym. To nie jest człowiek z charakterem, ale nie jest człowiek bez dobrych uczuć. Ambicya, dbałość o karierę, lekkie obyczaje, to wszystko w nim jest: ale jest obok tego i wiara, i gorliwość o Kościół, i troska o ojczyznę. Pobożność w jego wierszach zdaje się być szczerą. Obawa na widok poczynającej się Reformacyi, przewidywanie jej następstw, wskazuje i umysł głębszy i przywiązanie do wiary; a niebezpieczeństwa ojczyzny, wewnętrzne zawikłania i zewnętrzni nieprzyjaciele, kunszachty cesarza z carem, Brandeburczyk, Turek, przejmują go tym strachem o przyszłość, który będzie się odzywał przez cały ciąg XVI wieku, a u niego odzywa się po raz pierwszy, i tak wcześniej! w roku już 1522 (*Religionis et Reipublicae quaerimonia*).

Współczesny Krzykiemu, jak on ksiądz i Biskup, jak on dyplomata i literat, Dantyszek, jak on pisze wiersz na ślub Barbary Zapolskiej w roku 1512, a na moskiewskie zwycięstwa w 1514: i jak on obraca się w tem samem kole przedmiotów okolicznościowych i historycznych, wierszy pobożnych i wierszy erotycznych. W tych ostatnich mniej od Krzyckiego śmiały i gruby, a więcej może uczuciowy, w epigramie mniej złośliwy i cięty, choć dowcipu nie pozbawiony, Dantyszek także musiał mieć u współczesnych sławę nie małą, skoro od cesarza Maksymiliana dostał wieniec laurowy, a od Karola V szlachectwo. Czy celem tych grzech-

ności był poeta, czy poseł polskiego króla, już nie dojdziemy. Dzisiejsi znawcy i krytycy przyznają mu mniej biegłości w łacinie i mniej cech wybitnych i własnych niż Krzykiemu. Pod względem dobrego i żywego uczucia jednak nie zdaje nam się, żeby tamtemu ustępował: raczej że go przewyższa.

Kiedy tak ci łacińscy poeci jedni schodzą z pola, drudzy wstępują w swój zawód, a z dodatkiem tylko paru kronikarzy sami stoją na scenie naszej literatury, zmienia się tymczasem świat i zmienia się Polska. W Rzymie to Juliusz II i Leon X, we Francyi Franciszek I, w Hiszpanii po Ferdynandzie młody Karol I, a niebawem i w Niemczech po Maksymilianie Karol V. Ameryka odkryta, w ślad za Kolumbem płynie za morza Cortez i Pizarro, podbija Meksyk i Peru. Już prasy puściły w obieg wiele ksiąg pełnych starożytnej mądrości, i nowoczesnej sceptycznej myśli; już ludzie czytają i Macchiavela i Aretina. Już z pod ziemi wyszedł Laokoon i Belwederski Apollo; już Michał Anioł zamalował sklepienie Sykstyńskiej kaplicy, a Rafael stancję *della Segnatura*. Rozbiera się już stara Bazylika Św. Piotra, a Bramante dźwiga nową. W tym potężnym akkordzie umysłowych i zmysłowych rozkoszy, odzywa się ton złowrogi: to Luter przybija swoje tezy do drzwi Wittemberskiego kościoła. Świat geograficzny podwoił się odkryciem Ameryki. Świat myśli i wiedzy rozszerzył się bardziej, ale i rozdarł się wewnątrz. Zaczynają się wieki poczęte w Odrodzeniu i Reformacyi, wielone w państwo wszechwładne jako w najwyższą zasadę i najwyższe prawo, a skutkiem tego kończące się w politycznej i społecznej rewolucyi, w moralnej i umysłowej anarchii.

W tej poczętej nowej epoce zaczęła się i nowa Polska. Znikają jej średniowieczne pierwiastki, stosunki, znamiona; występują inne, te, które nosiły w sobie zaród jej przyszłych losów, na trzy wieki. Monarchiczne plany czy ideały, o których marzył Kazimierz i Jan Olbracht, stanowczo udaremnione. Państwem takim jak Francya lub Hiszpania, choćby nawet państwem konstytucyjnym jak Anglia, już Polska się

nie stanie. Formuje się jako jedyny w swoim rodzaju organizm, jako szlachecka demokracja, a im dalej w lata, im silniej działają wpływy wieku, tem bardziej wyrabia się w niej ta świadomość i miłość, raczej ta illuzja, demokratycznej szlacheckiej równości i republikańskiej wolności. Illuzja: bo ta równość dawała się zawsze -- i jak zawsze -- wodzić na pasku i wywodzić w pole przez zręcznych agitatorów; a mniemana wolność wiodła do swawoli, do rozprzężenia, do negacyi państwa. Król Zygmunt poczyna roztropnie. Zaopatrzenie skarbu i organizacja stałego wojska, to jego pierwsze myśli przewodnie. Czy on był zbyt powolny, czy senatorowie zbyt zazdrosni i samolubni, czy posłowie nie dość świadomi swego celu i obowiązku, nie tu miejsce roztrząsać. Dość, że zbawienne reformy nie weszły w życie pierwszy raz w roku 1514, a później nie jeden raz jeszcze. Siła zaś wojskowa i jej warunek, siła pieniężna, potrzebniejsze są niż kiedykolwiek. Z Turkiem wprawdzie pokój; o odwecie za Bukowińską klęskę niema co myśleć, trzeba się go wyrzec. Ale w Moskwie jest Wasyl, w Wiedniu Maksymilian, i oba zmawiają się na Polskę; a w Brandeburskim siostrzeńcu znajdują zawsze gotowego pomocnika. Ta Jagiellońska potęga, na trzech tronach oparta, nie daje spokojnie spać staremu cesarzowi. Musi ją zwalić. Król węgierski i czeski nie ma dość sił na to, by się bronić na dwie strony, od Turka i od Niemca. Król polski nie ma dość sił na to, by się bronić od cesarza, od Moskwy i od Krzyżaka! Trzeba się ugiąć; trzeba się rzec wielkich marzeń o potędze domu; trzeba się z cesarzem ułożyć w Presburgu, i kosztem dwóch małżeństw okupić sobie spokój od niego. To pierwsze zrzeczenie się wielkiego w Europie stanowiska, pierwsze okrojenie polskiej polityki, konieczne i nieuniknione w swoim czasie; ale za niem poszły inne, jedne z nieszczęścia bez winy własnej, drugie z własnych błędów.

Przychodzi Luter. Nauka jego zaczyna przesiąkać do Polski, od Prus, od Gdańska, dostaje się wgląd z każdą niemal drukowaną książką: a staje się sposobnością wyborna, pokusa nie do przewyciężenia, dla wielkiego mistrza Krzy-

żaków. Napróżno król kładzie tej nowej wierze zapory w surowych edyktach, napróżno Dantyszek grozi Gdańskowi jak Jonasz Niniwie (*Jonas Propheta*); nowa nauka zbyt jest dla natury ludzkiej ponętna, zbyt silnie upozorowana zgorszeniami w Kościele, iżby się nie szerzyć mogła.

Poczyna się więc wpływ *Reformacyi*, wzmagają się wpływy *Odrodzenia*. Ten rósł bez przerwy, odkąd druk roznosił dzieła starożytnych autorów, odkąd zagęściły się nauki młodych Polaków na uniwersytetach zagranicznych; ale z przybyciem królowej Bony dopiero otworzyła mu się Polska na oścież, i buchnął całym swoim wezbranym prądem. Aż dotąd musiał Polak szukać i uczyć się tej nowej oświaty daleko za swoją granicą; teraz ona przychodzi go szukać na miejscu, u niego w domu, i wnika w niego wszystkimi porami dworskiego przykładu, towarzyskiego obyczaju, mody, smaku, czytania i wykształcenia. Aż dotąd ze wszystkich obcych działała na Polskę najsilniej sąsiednia cywilizacja niemiecka; od tej chwili ta usuwa się w głąb, a miejsce jej zajmuje cywilizacja południowa i zachodnia, romańska, włoska na wiek cały z górą, francuska po niej.

Dwa główne czynniki składowe historii XVI-go wieku i jego cywilizacyi, rozłam jednolitego chrześcijańskiego społeczeństwa na dwa, i wpływ starożytnych, są i w Polsce, i przetwarzają ją jak całą Europę. Ale oprócz nich jest i trzeci. Jeżeli cały świat ówczesny jest wyrzucony z równowagi moralnej i umysłowej przez niezmierny przypływ wiadomości z jednej strony, a przez zachwianie odwiecznych pojęć i wierzeń z drugiej, jeżeli dalej wewnętrzna równowaga każdego państwa musiała się zachwiać przez rozterki i walki religijne, to w Polsce wstrząśnienie (nie religijne, ale polityczne i społeczne) musiało być silniejszym niż gdzie indziej, dlatego, że sprawa religijna i ogólna zmiana pojęć, padła na nią w chwili, kiedy sama była w stanie nieustalonym, w stanie przejścia, przetwarzania się wewnętrznego. Dawny stosunek sił i na nim oparta równowaga Polski XV wieku, były zniszczone: coś nowego miało się wykształcić. Różne pierwiastki dążą do tego, żeby się stać środkiem cięż-

kości i siłą dominującą w państwie, a w tem swoim dążeniu kierowane i rządzone są przez te religijne namiętności i przez te pojęcia polityczne jak filozoficzne, które panują nad całym ówczesnym światem. Jedni z nas wciągają je w siebie i ulegają im bez namysłu, ślepo, często w dobrej wierze; inni używają ich za środek do swojego jakiegoś politycznego lub osobistego celu. Przeobrażenie polityczne, rozpoczęte na schyłku XV wieku, dostarczało samo dość materiału do wewnętrznych zapasów i walk na długo; ale zmieszane z rozterką religijną i z mnóstwem pojęć nowych, olśniewających, a zazwyczaj źle rozważonych i przetrawionych, stało się chaotycznym fermentem, w którym jasna świadomość i zamiaru, i interesu, rozkłada się i rozplywa zamiast się ustalać i skupiać. We Francyi i w Niemczech sprawy religijne sprowadzały wojnę; polityczne interesa i namiętności sprowadzały i wojny, i nawet spiski z nieprzyjacielem postronnym. U nas wiek XVI takich nie widział. Ale we Francyi i w Niemczech państwo wyszło z tych zapasów cało, bo wzburzenie religijne zastało tam polityczną równowagę, stały środek ciężkości. W Polsce ten właśnie był zachwiany, niepewny, nieustalony. Bez tego dodatkowego wstrząśnienia byłby się może szczęśliwie ustalił: ale pod działaniem tyłu naraz pierwiastków wzburzenia, nie dziw, że ustalić się nie zdołał na prawdę, tylko pozornie i źle.

Dość, że trzy pierwiastki naszej historii, i naszej cywilizacyi XVI wieku, sprawa religijna, humanizm, i proces wewnętrzного przeobrażenia, występują już coraz widoczniej między rokiem 1520 a 1530. Sprawie protestantyzmu król Zygmunt niechęący, nieopatrznie oddaje największą usługę, kiedy mu pozwala założyć obóz czy fortecę pod swoim bokiem, w Prusach Książęcych. Największy to błąd jego życia: odstąpienie sprawy katolickiej przeciw protestantom, i w sprawie polskiej nieostrożność, która się z czasem pomściła — wiemy jak. Powód był uczciwy, poniekąd uniewinniający: uspokoić się od Brandeburezyka, żeby całą siłą zwrócić się w inną stronę, ratować od Turka synowca, i Węgry, pośrednio i Polskę i chrześcijaństwo. Ale wyrachowanie zawiodło.

Ludwik zginął pod Mochaczem, a Albrecht został jako udzielny i dziedziczny książę, poprzednik późniejszych królów pruskich i niemieckich cesarzy. Ciekawie zachowuje się literatura wobec tego faktu. Krzycki, urzędowy obrońca, wysiła całą sztukę swego stylu i dyplomatycznego sprytu, żeby w liście do Pulleona króla zasłonić, wytłumaczyć, a rzecz samą wykrotnie za nieszkodliwą udać. Znać wobec oburzenia, wywołanego w Rzymie, w Madrycie, w Wiedniu, dwór polski czuł potrzebę ratowania swojej sprawy i dobrej sławy.

Dantyszek znowu, może podczas tych poselstw, jakie sprawował w interesie Baru i Rossanu, marzy o wielkiej lidze panów chrześcijańskich, o krucjacie na Turka, i błaga Klemensa VII, żeby do niej zagrzewał i wezwał. Zapewnia, że gdyby tylko Papież zrobił pokój między świeckimi panami (mały warunek!), to zjednoczy w swoim ręku nieprzeliczone i niezwyciężone wojska przeciw księżycowi. Układa nawet plan kampanii, a co więcej, rozdział zdobyczy, niedźwiedziej skóry Turka. Naprzód trzeba zająć Bosfor, żeby mu odeciąć odwrót i pomoc z Azji; wtedy król polski, który sam jeden zaczynać z nim nie może, wypowie mu pokój i postara się o to, żeby zabezpieczyć się raz na zawsze od hordy; cesarz, któremu przedstawia jego własne niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo Wiednia i Rzeszy Niemieckiej; cesarz na tej wojnie zyskałby wybrzeża i wyspy morza Śródziemnego: Tunis i Marocco, tak niewygodne sąsiedztwo Włoch i Hiszpanii, Cypr i Rodos i Syryą. Jest to ciekawe, bo może w tym wierszu odzywa się missya dyplomatyczna poety ambasadora, i polityka jego króla; a dyplomata może tęższy od poety. Skarży się tylko, że włóczy się za tym cesarzem z miejsca na miejsce, z Niemiec do Madrytu, ztamtąd do Bolonii, a nie wskórać nie może, i w zakończeniu zaklina jego i Papieża, żeby raz przecie ogłosiłi powszechną wyprawę na Turka.

A tymczasem przygotowuje się, zapowiada się, coraz bliższe przyjsie literatury polskiej. Nie występuje wprawdzie żaden pisarz głośniejszego imienia: z wyjątkiem Wapowskiego, który w tych latach oczywiście już nad kroniką swoją

pracuje. Od poprzedników swoich, Miechowity i Decyusza, znacznie wyższy, historyk, geograf, poeta, potrochu nawet astronom, sekretarz królewski, a za młodu w Rzymie *cubicularius* Juliusza II, którego wielbi jak największego z papieży, Wapowski stara się Długosza kontrolować, prostować, i w ozdobniejszej niż on formie dzieje Polski opisać. W pismach swoich obyczajny i czysty, w miłości ojczyzny gorący, w wierze katolickiej gorliwy, Wapowski jako historyk ma niezaprzezony talent. W czasach dawniejszych nieraz trafnie prostuje podania swoich poprzedników: w nowych i sobie współczesnych ma znajomość spraw politycznych, ma pewną żywość w opowiadaniu, i ma sąd rozumny, poważny, a wolny od namiętności. Późniejsi, którzy z niego korzystali, jak Bielski i Kromer, przerośli go sławą i lepiej od niego utrzymali się w naszej pamięci, ale dziejopisarską zdolnością może go nie przewyższali.

Kopernik z pewnością w tym już czasie duma nad obrotem ciał niebieskich i wyrabia swój system. Ale to nie widoczne jeszcze, nie wiadome, a w literaturze zawsze jeszcze na przodzie Krzycki i Dantyszek. Krzycki, z latami poważniejszy może i pobożniejszy. Może wzrost nowych wiar i świeckie niebezpieczeństwa, musiały go trapić, niepokoić, bo coraz częściej następują po sobie pisma poważnej, religijnej, i nawet smutnej treści. *De afflictione Ecclesiae* (1527), *De ratione et sacrificio Missae* (1528). Oba sławią, a Dantyszek nawet we francuskim języku, Obertyńskie zwycięstwo: czy sam przełożył, czy postarał się tylko o przekład swojej *Victoria Moldarica* na *La très grande victoire du Roy de Poloine etc.* (w Antwerpii i w Paryżu, 1531). Ale zawsze to jeszcze ta zwykła, powszechna, konwencyonalna, humanistyczna literatura.

Pod nią jednak przygotowuje się nieznacznie inna; wychodzą z pod ziemi pierwsze zdziebelka tego polskiego słowa, którego plon dojrzeje jeszcze nie prędko, aż kiedy wiek przejdzie swoją pierwszą połowę. Ukazują się polskie druki. *Żywot Chrystusa Pana*, ze św. Bonawentury przez Opecia tłómaczony, pierwszy raz w roku 1518, następnie wiele razy.

W ślad za nim różne inne książki, duchowne i świeckie. Tłumaczone, nie oryginalne jeszcze, jak *Historya Umęczenia Pańskiego na polskie pienie* wydana (1515 (?) czy to samo co *Zwierciadło Umęczenia Pańskiego* z roku 1522?), jak *Rozmowy króla Salomona z Marcholtem* (1521). Zjawiają się kalendarze (Szadka 1525), traktaty filozoficzno-moralne, jak *Fortuny i Cnoty Różność* (1524). Każdy niemal rok przynosi nowe, i w nowych przedmiotach. *O Prawach i Földrowaniu* (1529) ma treść prawniczą. *Żywoty Świętych* (św. Anny i św. Alexego 1529, *Istoria o świętym Józefie Patryarsze* (1530) treść pobożną. W roku 1531 zjawiają się po raz pierwszy i odtąd mnożyć się będą, luźne przekłady psalmów, aż wreszcie w roku 1539, wyjdzie całkowity *Zołtarz* Wróbla. Tym tłumaczonym modlitwom towarzyszą pieśni i rozmyślania, jak Trzycieskiego *Powszednia Spowiedź* (1532), jak *Tarcza duchowna* lub *Wyprawa Duszy na tamten świat* (1533). Książki treści świeckiej nie pozostają w tyle. *Gadki z pisma wielkiego philosopha Aristotelesia*, i Bielskiego *Żywoty Philosophów* wychodzą w roku 1535, a zjawiają się nawet książki treści naukowej, Falimierza *O Ziołach i mocy ich* (1534), Jędrzeja z Kobylina *O puszczeniu krwi* (1535), Kłosa *Algorithmus* to jest nauka liczby (1538).

Wszystkie razem dowodzą, że budzi się chęć i potrzeba czytania w języku polskim; a choć nie tworzą jeszcze literatury w prawdziwym znaczeniu tego słowa, to przecież sama ich treść, sam wybór pism tłumaczonych na język polski, wskazuje kierunek nowy, od panującego humanistycznego odmienny. Ci tłumacze i wydawcy, zdają się mieć na oku przedewszystkiem cel praktyczny, chcą zaspokoić jakąś potrzebę, albo wyrzucić jakiś wpływ, osiągnąć jakiś skutek. Nie chodzi im, jak humanistycznym poetom i pisarzom o sukces w małym kole dworskich lub uczonych czytelników, oni tłumaczą i wydają dla wielu. Wszyscy śpiewają pieśni lub psalmy, wszyscy potrzebują mieć kalendarz, wszyscy lubią budować się pobożnym czytaniem *Męki Pańskiej* lub *Żywotów Świętych*, wszystkim dobrze mieć pod ręką najpotrzebniejsze wiadomości z higieny, o puszczeniu krwi naprzykład.

Wszyscy lubią się i śmiać, i śmiejąc się mądrych rzeczy się dowiedzieć, a więc wszyscy radzi będą czytać *Rozmowy Marcholta*. Te pierwiastki literatury polskiej, przeznaczone są dla ogółu, chcą jemu dogodzić, przydać się, lub się podobać. Zstępują „z pałaców sterczących dumnie“, i szukają związku z rodzimym gruntem i bieżącym życiem. Dążność religijna, propaganda protestancka, daje z pewnością popęd silny temu kierunkowi: jak sama znowu wywoła działanie podobne ze strony katolickiej, obronę swojej wiary i sprawy nie przed niektórymi i uczonymi tylko, ale przed umysłem i uczuciem każdego, choćby prostaczka. Dość, że drukowane słowo polskie mnoży się i rozchodzi.

Jakie jest? Jaki jest ten wczesny a dotąd nieuprawiany, biegłą ręką nietknięty język? Różny; ale ogółem wziawszy, wcale już dobry. Pod piórem Bielskiego, nawet w tych najwcześniejszych *Żywotach Filozofów*, ma taką piękność w swojej nieświadomej prostocie i czystości, że może uchodzić za typ i wzór polskiego języka, jak go Pan Bóg stworzył, wrodzonego, żadnym obcym wpływem nie dotkniętego i nie zepsutego. Tego stopnia naiwnej piękności języka, nie znajdzie się zapewne w żadnym jego zabytku z pierwszej połowy XVI wieku; ale wszystkie wskazują, że to jest język już do piśmiennego użytku przydatny. Jest on nawet, i to od dość długiego już czasu, przedmiotem badań i pracy, może nie bardzo umiejętnej ale starannej. Jeszcze w roku 1520 wyszły (po łacinie) Zaborowskiego *Rudimenta Grammatices* z dodatkiem ortografii, czyli sposobu dobrego pisania i czytania w polskim języku. Ta gramatyka ma wydań kilka, a w roku 1528 wychodzi w Gdańsku *Abecadło Polskie*, w 1531 *Dictionarius* łacińsko-polski, niemiecki i węgierski.

Tak doskonali się narzędzie polskiej myśli, a wyrabiają się te przedmioty i wpływy, które ją mają zajmować, ostrzyć, i wreszcie do dojrzałego wyrazu doprowadzić Oświata ogólna, na starożytnych oparta, przenika coraz głębiej i rozpościera się coraz szerzej. Sprawa religijna wzrasta, wzmaga się, coraz silniej działa na umysły, staje się już u niektórych namiętną po stronie protestanckiej: strona katolicka

długo jeszcze będzie za mało czynną. Wewnętrzny stan polityczny i społeczny coraz wyraźniej potrzebuje naprawy. Świadomość tej potrzeby coraz wyraźniejsza; ale świadomości i chęci nie odpowiada skutek. Do tej naprawy nie jest coraz bliżej, ale owszem coraz dalej. Przemiana społeczeństwa z zupełnego i organicznego na częściowe i jednostronne już się dokonała: miasta pozbawione znaczenia, włościanin obrócony w poddaństwo, stopniowo coraz cięższe. Szlachta zostaje sama na placu; ale tak zostawszy, czuje tylko, że coś zrobić powinna, nie wie co ma zrobić. Przy niej, czy nad nią, wielkie arystokratyczne rodziny i pozycje, bez władzy i stanowiska prawnego, ale dbałe i zazdrosne o utrzymanie i o wyniesienie siebie, korzystają zręcznie, przebiegle, z niejasności i niedojrzałości tego, co było ówczesną opinią publiczną w Polsce. Mały król ukoronowany wprowadzie już w dziesięciu latach, spokojne następstwo tronu zapewnione; ale jego ojciec zaczyna się starzeć, jego matka zaczyna rządzić ubocznymi a psującymi środkami, i korona traci stopniowo na ufności, na powadze, na władzy. Reforma skarbowa i wojskowa z r. 1527 uchwalona, ale nie wykonana, nie wchodzi w życie. Reforma praw, w roku 1534 odrzucona. Umysły zaczynają się burzyć, domagać się ścisłej unii z Prusami i Litwą, zwrotu nadań nieprawnie trzymanyh, odzywa się po raz pierwszy hasło *Execucyi*. Ale pod to hasło podszywa się nowatorska pokusa oderwania się od Rzymu, i możnowładcza polityka jątżenia szlachty a osłabiania króla, i ta niejasność myśli, nieświadomość celu i środków, która była znamieniem ogółu rycerstwa, a nieszczęściem i jego i ojczyzny. Sejm roku 1535 nie był stanowczym dowodem, ale był groźną wskazówką, że Polska nie do równowagi i mocy zmierza, ale w zamieszanie i rozprzężenie zapada.

Literatura to czuje, i staje się wyrazem obawy o przyszłość; występuje w niej, tak wcześnie, ten rys znamieny, główny, ciąglej patryotycznej obawy i patryotycznej przestrogi. Dyalog *de Asiama Dieta*, jest pierwszą u nas polityczną broszurą i polityczną satyrą: spowodowało ją przerażające „azyatyckie“ zamieszanie, bezmyślność, niedołęztwo,

piotrkowskiego sejmu 1535. Część pierwszą, ostrzejszą, surowszą, pisał Stanisław Odrowąż i Stanisław Łaski; druga łagodniejsza, podnosząca niby na duchu, ale nie weselej na prawdę patrząca w przyszłość, wyszła z pod pióra Krzyckiego, zpoważniałego już wiekiem, urzędem, a zapewne i frasunkiem; i była łabędzim śpiewem tego pierwszego u nas humanisty o wybitnej fizyognomii i osobistości, a rzetelnym, w epigramie przynajmniej, talencie. W dwa lata później schodził Prymas do grobu; a na jego miejsce wstępował w łacińsko-polskiej poezyi, jego następca, jego wychowaniec, a przynajmniej protegowany, talentem od niego nierównie wyższy, pierwszy w Polsce prawdziwy talent poetyczny i pierwszy artysta.

Janicki jest figurą sympatyczną i ciekawą w naszej historyi literatury. Zapal do nauk klassycznych, do literatury starożytnej już musiał być u nas się rozejść, kiedy taki wiejski chłopczyzna, w jakiejś gnieźnińskiej szkole zaledwo trochę poduczony, tak się w łacińskim wierszu zakochuje, że go pisać próbuje jeszcze w dziecinnych latach. Piękne i zajmujące jest to życie młodego poety, który marzył o uroczych Włoszech, kiedy mu groził los włościanina rolnika; na ławce szkolnej, czytając Ovidiusza lub Virgila, snił o laurach, błękitach i marmurach, i płakał, kiedy sroga konieczność o mało nie kazała mu wrócić na polski zagon, zamknąć się między stodołą i chatą. Kto wie, czy nie stało się gorzej, że znalazł opiekuna, że się wyprawił do marzonej Italii? kto wie, czy zmuszony zostać gdzieś na roli pod Gnieznem, nie byłby na swój los narzekał, po polsku? Wysłany do Włoch, kształcący się tam z zapalem, uwieńczony laurem, wrócił do Polski sławnym poetą; ale cóż z tego kiedy poetą łacińskim. Gdyby był pisał po polsku, mielibyśmy może dwóch Kochanowskich; bo choć jego poezye, ogółem wzięte, nie mogą sprostać *Trenom* i *Pieśniom* tamtego, przecież jest w nich dusza, jest prawdziwe poetyczne uczucie, jest widoczny w formie bardzo delikatny zmysł artystyczny. Zapal dla klassycyzmu stworzył go i zniszczył, dał mu natchnienie, formę, zrobił go poetą

i laureatem: a zarazem udaremnił go, sprawił, że nam z tej poezyi i z tych jego wieńców nic.

Mistrz biegły w formie łacińskiego wiersza, ma i w usposobieniu coś klasycznego, coś pogodnego i wesołego, jakąś miłość życia i używania, jak żeby odziedziczoną po Horacym; a przytem, sprzeczność dziwna, i wdzięk jego nie najmniejszy, czasem jakiś cień smutku, rzewności, coś tęsknego, co wziął, czy z natury polskiej, czy może ze swego słabego zdrowia i przecucia bliskiego końca. Dziwna mieszanina, dziwna a wdzięczna. Raz olśniony pięknoscią Włoch, gotów zapomnieć o świecie, byle patrzeć na to słońce; ojczyzna sztuki jest jego jedyną ojczyzną, pod tem niebem i przy boku jakiejś pięknej Lidy czy Lalagi jest szczęśliwym i niczego nie pragnie. Za chwilę źle mu, tęskno, nudno, zadróści tym co marzną w północnej Polsce i patrzą na jej śniegi. Klasyk staje się nerwowym, kapryśnym, jak synowie epoki romantycznej. Czasem ze smutkiem użala się na swoje zdrowie, jak żeby przeczuwał koniec, czasem pobożnie zwraca się do modlitwy; czasem opisuje sam siebie, a z tych zwierzeń widać, że to była natura dziwnie sympatyczna, dobra, żywa, czuła, a przytem potrzebująca wdzięków i powabów życia. Gdyby miał pieniądze, mówi o sobie w VII Elegii, rozrzucalby je garściami; dla przyjaźni ma serce otwarte, widoku lez znieść nie może. A przytem lubi zbytek, wytworność, jedwabie i świetne kolory na sukniach, lubi miękkość i wygodę, a do miłości rwie się jak ptak do słońca.

Pierwsze to podobno w Polsce usposobienie artystyczne. Nie sama wrażliwość i drażliwość nerwów, ale wszystkie upodobania i skłonności, wskazują naturę, powtarzającą się często między artystami. Serce dobre i czułe, gotowe zawsze drugiemu wszystko oddać, a nie znoszące zwłaszcza widoku ludzi smutnych, wstręt wykwinny do wszystkiego co tłumne i głośnie, zamiłowanie zbytku i przepychu, miłość własna i drażliwość na urazy, czy to nie są rysy charakteru wspólne wielu artystom, czy Rafael i Van-Dyck, czy Słowacki, Chopin, Musset, nie byli trochę podobni do tego obrazu, który Janicki kreśli z siebie samego w VII Elegii.

Kiedy po skończeniu gimnazjum miał wracać na rolę, wziął go w opiekę Krzycki i wziął z sobą do Krakowa (może chciał oddać go do Akademii?); w czasie tego pobytu umarł Prymas, a młody poeta pozostał znowu bez opieki. Wtedy przygarnął go Kmita. Z tych lat datują niektóre jego pieśni i epigrammata, i zapewne elegie miłosne do Leucorrhoe i Alphesibei, a niewątpliwie wiersz *Querela Rplcae Polonae* z roku 1537 lub początków 1538. Pisany był oczywiście pod wrażeniem wojny kokoszej. Są w nim rzeczy słuszne, a uczucia szlachetne; ale znać, że autor ma lat dwadzieścia. Oburza się na *Proceres*, i słusznie: a tego nie widzi, że jego opiekun pierwszy na to oburzenie zasługuje. Bardzo sprawiedliwie upomina szlachtę *nil temere et petulanter agas*: ale zbyt naiwnie przyznaje jej, że *Libertas oppressa tua est*. Obraz Rusi, pustoszonej przez Tatarów weale patetyczny, a końcowa modlitwa nie bez zapалу. W drugiej części *Quereli (ad Proceres)*, to oburzenie na Senat jeszcze mocniej się odzywa. Czy młody poeta był tych wyobrażeń i dążeń, które później nieco wydały eksekucyjne stronnictwo szlacheckie z czasów Zygmunta Augusta? Być może; w każdym razie przeciw jego oburzeniu protestować nie można. Można tylko dziwić się, że klient Kmity jest tak śmiałym, albo tak naiwnym.

W roku 1538 Kmita wysłał go do Padwy. Uniesienie, szczęście, widoczne w Elegii do Odrowąża. Pierwsze tam napisane (podług Węclewskiego) Elegia XVII i XVIII. U Włochów dobrze położony, wysoko nawet ceniony, jak świadczą serdeczne, ale poufale wiersze do kardynała Bembo, jak świadczy dyplom doktorski i wieniec laurowy, wyrobiony mu od Papieża i uroczyste oddany w Wenecyi (1540).

W czasie tego pobytu ciągle przecież o Polsce myśli, boi się o jej los (Elegia XX do Odrowąża); może ma chwile smutku i czarno widzi pod wrażeniem rzuconej na siebie potwarzy. O co był oskarżony, nie wiedzieć; tyle jasno wymiarkować można, że usiłowano zaszkodzić mu u Kmity, i że oskarżycielem był Orzechowski.

W tym samym roku rozchorował się i wrócił, z porady włoskich lekarzy, szukać zdrowia w ojezystym klimacie. Opisuje podróż przez Styryę i Morawię (do Myszkowskiego, Elegia V); a po powrocie, w Krakowie, w czasie lepszego zdrowia i humoru, wiersze miłosne do Halszki, w czasie choroby i smutku Elegię VII, o sobie samym, do Wargawskiego, o rodzicach i rodzinnych stronach. Oprócz tych Życia Królów i Arcybiskupów gnieźnińskich, i Satyrę na niestałą odzież. Z poetów łacińskich, zdaniem znawców, najpodobniejszy jest do Tybulla i tego najwięcej naśladowuje. Zapożyczał się i u innych (powszechnym obyczajem wieku).

Po powrocie nie ustają wiersze miłosne. Ale te miłości nie musiały być bardzo głębokie, bo przedmioty ich zmieniają się dość często. W jednym ze swoich epigramów (38), skarży się, że kiedy się z pierwszej i drugiej miłości wyleczył, przyszła trzecia, która go dręczy. Nie zdaje się, żeby taka miłość i taka rozpacz była go wpędziła do grobu. Bardzo ładne są dwa wierszyki do dwóch wieńców, które mu przysłała owa Halszka; jeden był z róż, i przysłany w zimie, drugi wśród lata z sosnowych gałązek. Bardzo ładnie domyśla się symbolicznego znaczenia tego wianka i zamiaru swojej kochanki. Czasem poświęca wiersz jakiemuś historycznemu zdarzeniu, jak n. p. zajęciu Budy przez Turków, częściej skarży się, że złe zdrowie nie pozwala mu poświęcić swego pióra chwale własnej ojezyny i jej królów; lecz w ogóle rzadkie są wiersze, któreby miały związek z jakimiś historycznymi wypadkami. Do piękniejszych należy jeden z jego ostatnich zapewne, bo pisany już w roku jego śmierci, *Epithalamium* na ślub Zygmunta Augusta z Elżbietą; w nim piękny obraz młodej królowej.

Gdyby Janicki był pożył tylko kilkanaście lat dłużej, gdyby był mógł usłyszeć pierwsze wiersze Kochanowskiego, byłby zapewne porzucił swoją klasyczną łacinę, byłby spróbował pieśni polskiej, w której, wnosząc z charakteru jego pism, byłby może do Kochanowskiego nieco podobnym. Na nieszczęście, kiedy dopiął swego, kiedy w tych Włoszech, o których niegdyś marzył jako dziecko, był i nasycił się

widokami wszelkiej piękności, kiedy dostąpił tam największego dla poety zaszczytu, wieńca laurowego od Papieża, kiedy życie i tworzenie dopiero powinny były się zacząć, umierał w 27 latach. Ta śmierć tak wczesna, tak nieusprawiedliwiona, robi go jeszcze bardziej zajmującym; żałuje się go, jak żeby był doznał krzywdy, choć on sam, który zdaleka smutno patrzył na zbliżającą się śmierć, zdaje się witać ją spokojnie, a nawet z jakimś uczuciem pociechy kiedy się zbliżyła, jak świadczy napisany dla siebie samego nagrobek.

Szkoda go, a zwłaszcza szkoda, że nie pisał po polsku; postać sympatyczna i ujmująca, a talent niezaprzeczony i bardzo miły.

Z tymi trzema poetami dochodzimy do samej połowy wieku, bo śmierć ostatniego z nich, Dantyszka, zaszła w roku 1548, a ich poezya to wszystko, co przez całe te pół wieku zrodziło się u nas na polu literatury pięknej. Bardzo to mało, trzech poetów, z których jeden tylko prawdziwie poetycznie usposobiony, i to poetów, piszących w obcym języku. Kochanowski jest na naukach jeszcze, Rey pisze już, ale jako talent poetyczny, daleko zostaje za Janiekiem. Do śmierci Zygmunta Starego poezya polska nie ma nic więcej: to jest, niema jej wcale.

II.

Wartość i cecha dotychczasowej literatury. Pierwszy występ pisarzy znakomitych. Rey, Orzechowski, Modrzewski. Pierwsze pisma każdego. Ich znaczenie i znamiona. Postęp nowości religijnych. Orzechowski w sporze z Biskupem. Śmierć Zygmunta Starego.

Gdyby wziąć teraz to wszystko, cośmy dotąd w wieku XVI pisali, i gdyby zapytać co ta literatura ma w treści lub w formie swojego własnego, rodzimego, oryginalnego, czem się daje rozpoznać i odróżnić od tego co się pisze w tym samym czasie po innych krajach, odpowiedź wypadłaby skromnie, niepodechlebnie. Jest jedna różnica, że u nas pisze się mniej niż na zachodzie i południu; mniej niż w sąsiednich Niemczech. Jest druga, że tam są pisarze i uczeni takiego stopnia, jakiego nasi nie dochodzą; nauka i oświata przejęła tamtych głębiej i więcej niż nas, pobudziła do samodzielnej pracy czy myślą czy piórem. Spostrzega się dalej to, że w tych początkach naszej literatury jest wiele przejmowania i pożyczania od drugich; tłumaczenia lub przerabiania, o ile piszemy wtedy językiem polskim, naśladowania, kiedy piszemy po łacinie. Jedyną cechą własną, rysem charakterystycznym, który im dalej tem będzie się stawał wyraźniejszym, ale który w tych latach już jest, występuje inaczej i silniej niż u Francuzów, Włochów lub Niemców, to związek literatury z współczesnem życiem publicznem, jej niepokój i obawa o przyszłość. Satyr i wierszy okolicznościowych, natchnionych polityczną lub religijną rozterką, jest we współczesnej Europie wiele; jednak wiersze takie jak *Quaerimonia* Krzyckiego i Janickiego *Quaerela*, jak Dantyszka *De calamitatibus nostri temporis*, albo taki zaród politycznej broszury czy politycznej satyry jak *Asiana Diaeta*, mają patryotycznego uczucia i patryotycznego złego przeczucia więcej, niż się ich dostrzega u pisarzy zagranicznych.

To są podobno najbardziej oryginalne, najbardziej własne plody naszej ówczesnej literatury. Nie forma; satyra lub elegia dyalogowana była dawno znaną i oni ją przejęli od obcych. Ale wiersz z tendencją polityczną, ale satyra lub skarga na stan Rzpltej, ale wiersz okolicznościowy polityczny, ten jeżeli nie jako rodzaj nawet, to jako przedmiot jest polski. Zbytecznie mówić, że dla nas dziś te ich wiersze są najbardziej zajmujące; ale to trzeba wspomnieć, że jak u humanistów zagranicznych, tak u naszych (z wyjątkiem Janickiego) nagała ironiczna czy poważna najwięcej ma życia i siły. Ten rodzaj wierszy świadczy nie tylko dobrze o ich rozumie, ale najlepiej może o ich talencie. Smutno tylko pomyśleć, że tak wczesnie, kiedy jeszcze po polsku pisać ledwo się zaczynało, pierwszym ich krokiem w literackich usiłowaniach była już *Quaerimonia Rzpltej*, i druga na nieporządne Sejmy! A widać, że stan musiał być groźny, kiedy ich uczucie poruszone nim silnie, zdobyło się na słowa najlepsze, jakie napisać zdołali.

Ciągną się dalej te książeczki do potocznego użytku, z różnych obcych składane i przerabiane; ciekawe a nawet sympatyczne przez swoją naiwność, jak Pussmanna *O stworzeniu nieba i ziemi historia cudna*, teraz napisana (1543), choć później dopiero (1554) wydana. Ale to nie prawdziwi pisarze, nie prawdziwa literatura jeszcze.

Na tem dość jednostajnem i szarem tle, zaczynają jednak rysować się i wystawać kształty nowe, głowy o charakterze istotnie oryginalnym, umysły i natury bardzo już wybitnie, bardzo typowo polskie, a na powszechnej oświacie i na wypadkach własnego kraju tak wyostrzone, że kiedy chcą i potrzebują pisać, to w ich pismach okazuje się nie sam tylko zdrowy rozum i dobry zamiar, ale już nareszcie i talent i pisarska zdolność. Te wszystkie wpływy, które od początku wieku, i dawniej, działały na społeczeństwo polskie, większa skutkiem druku możność i większa chęć, większa cheiwość czytania, ten czar jaki na ludzi ówczesnych wywierała starożytność przez swoje pojęcia i przez swoje formy; ten wpływ jaki na myśl i na namiętność wywierają

nowości religijne przez swoje nauki, przez swoje ponętne obietnice i przez swoje napaści na Kościół katolicki; wreszcie te polityczne dążności, instynktowe, niejasne, w których miesza się i siła wojskowa, i reforma sprawiedliwości, i uporządkowanie skarbu (bez obciążenia kieszeni każdego), i opozycya przeciw wielkim panom, i ściślejsze zjednoczenie państwa, i nieufność względem dworu, i coraz wyraźniejsze pragnienie indywidualnej niekrępowanej wolności i stanowej niekrępowanej przewagi, wszystko to przenikało te umysły, to społeczeństwo polskie, stopniowo, długo, niewidzialnie, ale przeniknęło je tak na wskrós, że nareszcie ono zaczęło przemawiać samo za siebie, z własnego ducha i popędu, znalazło wyraz na wszystko co tylko w owym czasie było w jego myśli o sobie, w jego świadomości i w jego pragnieniu. Takim wyrazem są zawsze tylko ludzie działający, lub piszący. Zaraz po roku 1540 występuje ich trzech, z których każdy inaczej, innym sposobem i z innej strony, ale każdy wyobraża doskonale ówczesną polską oświatę, świadomość siebie, myśl i dążność, czyli pojęcie położenia i potrzeb narodu.

Jeden, wyobraziiciel najlepszy usposobień, pojęć, inteligencyi i stopnia oświaty ogółu ówczesnej polskiej szlachty; od tego ogółu wyższy, ale do niego bardzo podobny, bardzo zbliżony życiem i życia pojęciem, typ rzec można ówczesnego Polaka rodzajem umysłu i charakteru, typ zawsze się powtarzający natury polskiej. to Mikołaj Rey. Orzechowski jest także typowy jako Polak; ale typ polskiego umysłu i polskiego charakteru w niektórych szczególnych właściwościach i warunkach. Zdolnością, a w każdym razie nauką i wykształceniem od tamtego nierównie wyższy, więcej w sobie wchłonał i gruntowniej sobie przyswoił to, co mu podawał świat starożytny i współczesny europejski. Do ogółu polskiej szlachty podobny pewnymi stronami swego usposobienia, góruje nad tym ogółem, a wyobraża najoświecieńszych stopniem swojego wykształcenia. Wyobraża zaś tak dokładnie jak we współczesnej literaturze nikt drugi, tę częstą u nas skłonność do nadmiernego, niezem niekrępowanego wyrobienia własnego indywidualizmu. Wiek XVI wywarł ten

wpływ na bardzo wielu w całej Europie, w najrozmaitszych formach i kierunkach. Z polskich pisarzy wywarł go najsilniej na Orzechowskiego. On żąda, i myśli że żądać ma prawo, iżby zmieniały się prawa i zasady Kościoła, bo jemu podobało się zrobić coś, co się z temi prawami i zasadami nie zgadza. Przez to staje się w literaturze przypomnieniem i odbiciem różnych Kmitów i Zborowskich historyi. Ma przytem niestałość, brak konsekwencyi i statku, które także niierzadko spotykają się w naszych naturach i postępках. Stopień jego namiętności w temperamentcie, a jego talentu w piśmie, nie zdarza się często; ale w mniejszym stopniu spotkamy w każdym niemal pokoleniu i czasie, usposobienia i słowa podobnie namiętne, choć nie tak potężne. I w tem jeszcze do wielu z nas podobny, że tak pochopny do zaślepionego uwielbienia tego, co w ojczyźnie jemu do smaku czy do uczucia przypada. Przez to wszystko, przy swoim ogromnym talencie, raczej Polsce szkodliwy niż pożyteczny; a jednak miłujący ją rzetelnie, nawet gorąco, a w obawie o nią, dochodzący prawie do rozpaczey. Szlachetny z natury, tylko tą wybujałością swojego *ja* skrzywiony, Orzechowski, jest rozumem i talentem za wysoki, iżby mógł być typem ogólnym i zwykłym, ale jest niezaprzeczenie typem wielu znaczących i wielu z natury niezwykłych Polaków. Jest też we współczesnem zamieszaniu religijnych i politycznych uczuć i pojęć, namiętności i dążności, doskonałym wyobrazicielem tego wzburzenia i niestatku, które jest cechą jego czasu.

Ze wszystkich najgłębszy, najpoważniejszy, tak poważny i głęboki, że go nieszczęściem za wyjątkowego nie za typowego człowieka między sobą uważać musimy, Modrzewski, ma przez wszystkie wieki naszej historyi, mało sobie równych zrozumieniem położenia Polski, warunków jej pomysłności i siły. Nie jeden brak można mu wytknąć; ale nie można mu nie przyznać, że pod wieloma względami wyprzedza swoje społeczeństwo, nawet swój wiek. Ale mimo to jest i on wiernym, choć świetniejszym od innych wyobrazicielem tego wieku; częścią przez to właśnie, czego w nim brak, częścią przez to, co z dobrych i słuszych dążności

tego czasu wziął, tylko wyżej podniósł i lepiej wyłożył. Wreszcie i przez to do współczesnych podobny, że jest wiernym wyrazem ich religijnej dążności, namiętności i niekonsekwencji; a jak czas jego w wielkiej mierze dla tego nie zdołał dojść do prawdziwej reformy politycznej, że się reformą religijną zaprzętnął i zawikłał, tak on większą połowę swego zawodu i swoją wielką siłę udaremnił i zmarnował, przez to, że naprawę Rzeczypospolitej odłożył na bok, a oddał się mniemanej naprawie wiary i Kościoła.

On wydaje w roku 1541 pierwszą oracyę *de Poena Homicidii* (o karze na mężobójstwo). W roku 1543 Orzechowski *Wiernego Poddanego* i Oracyę *de bello adversus Turcos* (o ruszeniu ziemi przeciw Turkom), a Rey, *Krótką Rozmowę między Panem, Wójtem, a Plebanem*.

Pisma Modrzewskiego, te pierwsze jak i jego wielkie dzieło o *Poprawie Rzpltej*, tem się od innych różnią i nad nie wznoszą, że mają na oku głównie to, co było organicznym defektem dawnej Polski, zatem najbardziej potrzebowało rady i naprawy. Polska nie wyrobiła się na zupełny całkowity organizm społeczny: to stało się z czasem powodem jej politycznej słabości i jej upadku. Weszła w tę kolej dawno, zaraz gdy jej zabrakło dawnej Piastowskiej dynastyi; w pakcie Koszyckim króla Ludwika, złożone są pierwsze zarody późniejszej niezależności szlachty względem króla; a w drugiej połowie wieku XV-go już wzmaga się jej zbyt duża, wyłączna przewaga w sprawach politycznych. Za Olbrachta i Aleksandra objawia się dążność stanowcza nie do społecznego pierwszeństwa lub przewagi, ale do społecznej wyłączności. Szlachta chce skupić Rzeczpospolitą w sobie, chce nią być sama, a inne warstwy narodu odsuwa od samej możności znaczenia i wpływu, ukróca w słusznych i koniecznych prawach. Poddaństwo włościanina ustala się i staje się uciążliwszem; mieszczanie tracą prawo posiadania ziemi, zatem prawo piastowania urzędów, reprezentacyi w sejmach i t. d. Demokracya szlachecka, im silniejsza i bliższa zupełnego zwycięstwa, tem bardziej (podług powszechnego prawa czy zjawiska) staje się wyłączną, zazdrosną, uciążliwą arysto-

kracyą względem stanów nie szlacheckich. Zbytecznie mówić, że ta stopniowa atrofia dwóch części społecznego organizmu, nie dała mu rozwinąć tych zasobów siły politycznej, umysłowej, nawet wojskowej, jakie w sobie miał, i musiała albo wziąć koniec, albo ten organizm skazać na niemoc.

W tem mądrość i zasługa tych ludzi, którzy przyczynę wczesnie widzą i wskazują, a skutki zdaleka a trafnie przewidują. Modrzewski jest między nimi pierwszym i w swoim wieku najznakomitszym. Jego oracye *O karze na mężobójstwo* (pierwsza w roku 1541, trzy dalsze w 1543, 45, 46), wymierzone przeciw temu postanowieniu polskiego prawa, według którego plebejusz za zabicie szlachezca ponosił karę śmierci, szlachezca za zabicie plebejusza karę pieniężną. Modrzewski nie był ani pierwszym ani jedynym, który czuł niesprawiedliwość tego prawa a skutki jego przewidywał. Już Ostroń w swoim czasie powstawał na tę różność praw, choć zniesienia jej nie domagał się stanowczo. Król Zygmunt Stary wprowadził tę sprawę na sejm roku 1538, choć bezskutecznie. Ale Modrzewskiemu należy się ta zasługa i chwala, że mówi o tej sprawie najwyraźniej i najśmielej, z najgłębszem oburzeniem chrześciańskiego sumienia i politycznego rozumu, że skutki tej nierówności praw przewiduje i przepowiada z przenikliwością i roztropnością, którą dalsze nasze dzieje na naszą szkodę stwierdziły.

Oracye te wystarczyłyby na to, by ten początek literatury politycznej XVI wieku kazać uznać za świetny, i mądry, i szlachetny. Oracya *Philalethis Peripatetici*, nie jest od nich ważniejsza swoim przedmiotem, nie byłaby może zbawienniejszą w skutku (gdyby była skutek odniosła); ale była bardziej zadziwiająca, bo bardziej wyprzedzająca wszystkie ówczesne pojęcia społeczne, nie polskie tylko. Samo chrześciaństwo wystarczało na to, by naprowadzić na wnioski, że skoro dusze ludzkie i życie ludzkie są równe w obliczu Boga, to nie godzi się inaczej je cenić i karać w obliczu prawa. Ale czego Modrzewski u żadnego z dawniejszych czy współczesnych, swoich czy obcych, nie znalazł, co wy dobył z własnego jedynie rozumu i uczucia, to żądanie, żeby

stan miejski zachowany był przy swoim dawnym prawie posiadania ziemi. Prawo to, odjęte było mieszczanom w roku 1496, a zakaz przypomniany i obostrzony teraz, w 1538 i 1542. Modrzewski nazywa go niesprawiedliwym, okrutnym, niegodziwym. Ogranicza on ludzi w wolności poprawiania losu i nabywania majątku, o co każde państwo owszem dbać powinno; podkopuje samą zasadę własności, kiedy wyzuwa ludzi z dóbr, prawnie nabytych i posiadanych; jest skutkiem brzydkiej chciwości tylko i wzdardliwej niechęci jednego stanu przeciw drugiemu, i jest krzywdą, która się kiedyś na tem królestwie pomści i źle każe o jego przyszłości wróżyć.

Modrzewski nie żąda dla mieszczan równości w prawach politycznych, ale gdy te przywiązane były do posiadania ziemi, rzecz prosta, że z niego byłyby z czasem wyrobiły się i powstały. Wyobraźmy sobie taką możliwość życia i rozwijania się daną stanowi miejskiemu, wyobraźmy sobie opiekę prawa i sprawiedliwości, nadaną ludowi wiejskiemu, a przez takie dwie zmiany społeczeństwo polskie mogło być wykształcić się organicznie, zupełnie i potężnie. Te pomysły Modrzewskiego są tak dobroczynne i zbawienne, jak dotąd nie widzieliśmy w naszej literaturze, jak lepszych nie zobaczymy i później. Tymi on wyprzedza i przewyższa swoje społeczeństwo i swój świat; przez nie jest najgłębszym z naszych statystów XVI wieku.

Orzechowski od tej głębokości daleki, publicysta raczej niż statysta, przez to właśnie społeczeństwu swojemu bliższy, zrozumiały i więcej przez nie słuchany, korzysta zrzęcznie ze szczęśliwego zbiegu okoliczności, żeby świetnem wystąpieniem zrobić sobie odrazu wziętość, sławę, popularność. Nie potrzebuje na to nawet klamać ani udawać; może mówić to, co na prawdę myśli, bo myśli tak jak wszyscy. Potrzebuje tylko te myśli i uczucia wspólne, powszechne, wypowiedzieć z mocą, z życiem, gorąco i namiętnie, a to było mu łatwo, bo miał te przymioty w swoim temperamencie i w swoim talencie. Dostrzedz, że Polska własnymi rękami psuje swoją równowagę i swoją całkowitość społeczną, przez

to przygotowuje sobie polityczną słabość, to nie każdemu umysłowi dostępne, choć nawet nie zwykłemu; tego umysł zwykły nie zrozumie, nie ulęknie się, nie przyjmie. Ale to wie i rozumie każdy, że Turek jest wielkiem niebezpieczeństwem, że wojny niema bez wojska i bez pieniędzy; to widzi każdy, że stary król starzeje się i niedołężnieje, a królowa frymareczy urzędami i liche kreatury dopuszcza do wielkiego w królestwie znaczenia. Każdy się na to oburza i każdy myśli, na to obliczenie go stać, że jeżeli król młody nie będzie tęgim i dzielnym, to niebezpieczeństwa wzrosną a szkody mogą być wielkie. Ktoby im to powiedział, co właśnie myślą, a powiedział wymownie, gorąco i śmiało, ten mógłby liczyć na to, że cała Polska powita go z zapalem, jak wyobraziciela swoich uczuć i myśli, rzecznika swoich potrzeb i pragnień.

Właśnie na taką chwilę strachu przed Turkiem, oburzeń na królową Bonę, oczekiwań od Zygmunta Augusta i niepokoju o niego, trafił szczęśliwie Orzechowski. Czy ją świadomie wyzyskał, żeby sobie zrobić tę wziętość i poparcie, których zaczynał potrzebować, bo był się już wdał w targi z biskupem, czy bez takiego wyrachowania, ze szczerego serca, puścił w świat swoje pierwsze pisma, dziś się to już stanowczo stwierdzić nie da; a na stwierdzeniu nawet nie zależy, skoro pewnem jest, że sam na prawdę to myślał, tego żądał, to miał za dobre, co napisał. Pewnem i to, że temi pismami współczesnej Polsce podobać się koniecznie musiał.

Pierwszem była *Respublica Polona*¹⁾. Nie jeszcze w tym wieku nie było napisanem przez Polaka z takim retorycznym stylem i talentem, z takim doskonałym przyswojeniem wszystkich ozdobnych i wymownych zwrotów, jakie wiek ten podziwiał u starożytnych. Takiego pisarskiego talentu jeszcze Polska u siebie nie była widziała. A jeżeli to mogło,

¹⁾ Nie wydana, ale krążąca w odpisach. Zamieszczona w Tomicianach, znana Ossolińskiemu. Wydana przez Korzeniowskiego, *Ori-choviana*. Kraków 1891.

raczej musiało ją olśnić, to ująć i podbić ją mogła śmiała otwartość i siła, z jaką autor mówił głośno to, co po cichu powtarzali wszyscy. Skargi ówczesnej opinii na świeckich i duchownych dygnitarzy, na przekupstwo i inne nadużycia, na (wyraźnie nie wymienioną) królowę, wszystko co słuszne i co niesłuszne, jak to zakorzenione mniemanie, że w roku 1537 szlachta była zwołana pod Lwów, niby na wojnę, a na prawdę w tym celu, żeby się wyniszczyła z majątków, wszystko to szlachcie ówczesny czytał w tej Oracyi, z zapalem tym większym, że wszystko to sam myślał, a nigdy w takich wspaniałych słowach i okresach nie słyszał. Ale obok tych są tam i takie wyrzuty i zarzuty, jakich z Orzechowskim opinia publiczna nie dzieliła: a te wyszły już z jego głowy, są jego własnością i zasługą, i dowodem jak niezwykłego rozumu tak i rozumnego patriotyzmu. Pierwszy, to daremność, szkodliwość, niebezpieczeństwo sejmów, które się schodzą, gadają, radzą, a nie uradzają nic i rozchodzą się marnie nic nie zrobiwszy. Drugi, ważniejszy, trudniejszy, zwłaszcza rzadszy, tyczy się podatków. Orzechowski mówi wręcz, że jest niesprawiedliwie i niegodziwie zwałac podatki na włościan samych, kiedy oni już roboczną albo czynszami dosyć się wyplacają. Zważywszy, że nawet Modrzewski, najśmielszy z naszych statystów w tej sprawie, ledwo o uldze w podatkach natrąca, ale jej wyraźnie nie żąda, zważywszy, że nie w Polsce tylko, ale w całej Europie, poddany płacił podatki za właściciela ziemi, trzeba Orzechowskiemu przyznać, że jego głos jest jedynym tego rodzaju w ówczesnej Polsce, owszem w jego wieku: jest zupełnym i zaszczytnym wyjątkiem. Ale też wyjątkiem także i w zawodzie samego Orzechowskiego, który nigdy już w swoich pismach późniejszych nie powtarza tego, co było zaszczytem i zasługą największą jego pisma pierwszego.

Fidelis Subditus musiał mieć powodzenie jeszcze większe. Napisany z okazji ożenienia Zygmunta Augusta z Elżbietą, jest on wyrazem wszystkich skarg na jego złe wychowanie, wszystkich żądań, jakie ówczesna opinia królowi stawiać sądziła się w prawie. Przesada w jednym i w dru-

giem, deklamacye niesmaczne i niesprawiedliwe o tyranii i tyranach; twierdzenia niedorzeczne, jak to naprzykład, że król powinien być mędrszym i lepszym od wszystkich poddanych, musiały wydawać się właśnie szlachetnym objawem republikańskiej śmiałości i republikańskiej enoty. Wartości politycznej i politycznej myśli *Subditus* ma mało; ale jest historycznie ciekawy przez to, że daje dobrze poznać wyobrażenia ówczesnej Polski o królu i jego obowiązkach, i o sposobie ich wykonywania. Najrozumniejsi, najpoważniejsi nawet rozumieli, że król nie powinien siedzieć w stolicy, ale przejeżdżać się ustawicznie z miejsca na miejsce, żeby wszystko własnemi oczyma widział, poznawał, i wszystko zaraz naprawiał.

Służba wojskowa, pełniona na granicach, kolejno, przez trzy województwa w jednym roku, to najlepsza podobno myśl z całej tej książeczki. Nie Orzechowskiego wyłącznie: była przed nim na sejmach, a po nim będzie się powtarzała aż do XVIII wieku; ale lepsza jak nie, i szkoda, że nigdy nie wykonana.

Turcyki to w formie wspaniałych ciceronskich oracyj, broszura zagrzewająca do wojny z Turkiem. Po zdobyciu Budy, padł wielki strach na Polskę i zaczęło się gwałtowne wołanie o wojnę. Orzechowski łączy z niem swój głos, i dowodzi (nader blahymi argumentami, że zwycięztwo jest łatwe, moc turecka więcej pozorna niż rzeczywista, wielka koalicya panów chrześcijańskich zrobi się jak tylko król Zygmunt zechce: wszystko ułudne, nierzeczywiste, ale bardzo mile do czytania dla ówczesnej Polski, a miejscami, naprzykład, gdy kreśli niedolę ziemi węgierskiej i nam każe się bać podobnej, niepospolicie wymowne.

To pierwsza chwila jego zawodu; pierwsza i szczęśliwsza od następnych. Niebawem jego talent i jego zawód zejdzie na manowce, na drogę bez wyjścia, i nie przyniesie takiego jak mógł pożytku, często nawet zaszkodzi. W tym samym roku co *Turcyki*, wyszło już pierwsze jego pismo zupełnie prawowierne, *De Baptismo Ruthenorum*; w ślad

za tem pójdą inne, powody zejść z Biskupem, a z tych wywija się całe niaszczęśliwe pasmo jego dalszego życia.

W tym samym jeszcze roku (1543), wydał Rey *Rozmowę między Panem, Wójtem a Plebanem*. Czy niektóre psalmy, wydawane między rokiem 1530 a 1540, były przez niego tłómaczone, rzecz nie dowiedziona. Prawdopodobna, bo kto tak wiele przez całe życie pisał, ten musiał i zacząć wcześniej; dziwnoby było, gdyby zaczynał dopiero kolo lat czterdziestu. Ale, że pewności o jego pracach dawniejszych nie mamy, więc *Krótką Rozmowę*, musimy uważać za pierwszą.

Występuje nareszcie ten pierwszy z naszych autorów, piszących już polskim językiem, ta postać wielce oryginalna, postać szlachecka, który młodość spędził na zbijaniu bąków nad Dniestrem, potem się dworską służbą bawił, potem gospodarował, wsie kupował, miasteczka zakładał, po zjazdach i biesiadach jeździł, z wesolej biesiady śpieszył na sejmik albo na jakiś zbor protestancki, jadł i pił dobrze, w rubaszne żarty był płodny, religijnych nowości ciekawy i łakomy, ciekawy także polityki, spraw krajowych, ciekawy i o świecie o dawnych historyach coś wiedzieć; za młodu nieuk, próżniak i psotnik, później gospodarz, sejmikowicz, przy okazji teolog i kontrowersista, z pociągami do nauk i literatury, na starość moralista, filozof praktyczny, Rey, koncentruje w sobie wszystkie niemal kierunki ówczesnego życia polskiego i odbija wiernie wiele rysów polskiego charakteru. W tym umyśle pierwotnym, naiwym, którego dominującą własnością jest rozsądek, chłopski rozum, który się między ludźmi trochę wykrzesał, ale się niczego naprawdę nie wyuczył, odbija się wszystko, czem się ówczesna Polska zajmowała, o czem myślała, mówiła, pisała. Życie na pół ziemiańskie, na pół publiczne, wychowanie dworskie, jak wszystkich; większość chwytła ciekawie nowości religijne, w każdym domu szlacheckim na każdym zjeździe prowadzą się dysputy teologiczne, decyduje się gospodarskim rozumem, kto ma słuszność, czy Papież czy Luter, a zwłaszcza z wielką przyjemnością wygaduje się na księży, wypomina się wszyst-

kie wielkie zgorzsenia i drobne anegdotki o jakich kto slyszal lub wiedzial: Rey tak samo. Puszcza się śmiało na pole teologiczne, ale widocznie dobrze wie tylko jedno, to jest, że ten lub ów proboszcz miał złe obyczaje, ten biskup był cheiwy, ten przeor lub opat miał dobrą kuchnię lub piwnicę.

Polska ówczesna cheiwa jest nauki, admiruje starożytność, wierzy w nią naiwnie, ale w tem swojem pragnieniu oświaty dba więcej o ilość i łatwość, niż o jakość i pewność; Rey, zamłodu nieuk, później chce odbić czas stracony, uczy się na gwałt, czyta, chwytą wiadomości, z bogaca sobie głowę różnemi nazwiskami, różnemi powierzchownemi wiadomościami o wszystkim, wstydi się niewiadomości; ale kiedy już nie jest ignorantem, więcej od siebie nie żąda. Jest on typem Polaka XVI-go wieku, Polaka na pół oświeconego, jak Kochanowski naprzykład jest typem Polaka wykształconego, jak najwyżej. Reprezentuje on poziom umysłowy większości, i przez to jest bardzo ciekawym i nauczającym; a przez swoją oryginalność, przez tę właściwą fizyognomię, złożoną z rozsądku, poczciwości, rubasności, naiwności, podobą się, nabiera wdzięku, zajmuje, rozbraja i znajduje łaskę w oczach potomności. Współcześni poważali go wysoko, byli mu wdzięczni za to, że pisał po polsku, nazywali swoim Eneuszem. My potomni mamy te same powody do wdzięczności względem niego, ale oryginalność człowieka, usposabia nas może zbyt przychylnie dla pisarza. W zdrowym rozsądku Reya widzimy jakąś instynktową ale głęboką znajomość człowieka i świata, w jego rubasności upatrujemy dowcip: najczęściej zdrowy rozsądek, zdrowy niezaprzeczenie, pomysłów nowych, głębszych i własnych, nie wydaje, a dowcip jest typowym istotnie, ale prawie zawsze grubym tylko i płaskim conceptem.

Nie trzeba Reya poetyzować, ani patrzeć na niego przez szkła powiększające. Taki jak jest, ma on ogromną zasługę przez to, że pierwszy zaczął naprawdę pisać po polsku; ogromną wartość przez to, że daje poznać, jak może żaden inny w tym czasie, pojęcia i uczucia swego społeczeństwa, jego obyczaj, stopień jego oświaty, rodzaj jego umysłów.

Historycznie bardzo ciekawy, ze stanowiska literackiego jest Rey bardzo ważny i znaczący, jako wyraz już dojrzały tej potrzeby pisania po polsku, która się przed nim nieśmiało objawia, i jako ten, który pismami swemi daje popęd, przykład, zapewne i ułatwienie, innym. Ale przesadą byłoby przypisywać mu umysł genialny, a nawet wielki talent. Talent ten jest oczywiście, i w prozie okazuje się nie małym, oryginalnym; w poezyi za to słabym.

Taką cechę ma już pierwsze jego dzieło, *Rozmowa Pana z Wójtem i Plebanem*. Jeżeli zechcemy uważać ją za satyrę, to musielibyśmy wytknąć jej brak dowcipu i ironii; jeżeli za tendencyjną polityczną broszurę, to brak konkluzji, wniosku, rady. W jednym czy w drugim przypadku, wypadnie stwierdzić, że wiersz jej jest bardzo niedołężny, w stylu a nawet w rymach nie wyrobiony. Ale jeżeli popatrzymy na *Rozmowę*, jako na zabytek historyczny, na świadectwo czasu, to wtedy wartość jej okaże się inną i znaczną. Cokolwiek w owym czasie zarzucał i wytykał stan duchowny świeckiemu, świecki duchownemu, a włościański duchownemu i szlacheckiemu, to w tej książeczce jest, z dodatkiem jeszcze tego, co formujący się, jeszcze nie zupełnie gotowy protestantyzm, myśli i mówi o Kościele i księżach. Chwyta się na gorącym uczynku, trzyma się za puls ówczesną bieżącą opinię, w różnych jej odcieniach i w różnych warstwach narodu. Widzi się jak i dlaczego ona chyli się ku nowościom religijnym u szlachty, ku biernej i zrezygnowanej ale głębokiej niechęci u włościan; widzi się, w słowach Plebana, czego jednym i drugim brak, żeby byli tacy, jak Pan Bóg przykazał a ksiądz w jego imieniu naucza.

Ta forma satyry, którą Rey może przejął z Niemiec, gdzie uprawiana była bardzo pilnie, zwłaszcza przez protestantów, musiała się podobać i mieć powodzenie, skoro nasz pisarz nie jeden raz jej używa. My zarzucamy jej, że nie jest dość satyrą; ma trafną obserwację, ma zdrowe nauki, ale nie ma sarkazmu. Moralizuje i naucza: nie wyśmiewa, ani gromi. Współcześni nie żądali tak wiele: wystarczało im spostrzeżenie prawdziwe i nauka moralna. Mnożą się też dya-

logi Reya, wszystkie z dążnością satyryczną i moralizującą, a z wyraźniejszym może niż w owym pierwszym pierwiastkiem i charakterem satyrycznym. Przypisywana Reyowi, jeżeli nie z zupełną pewnością, to z wielkiem prawdopodobieństwem, *Rozmowa Gęsi z Kurem, Lwa z Kogutem*, i t. d. ma satyrycznego pierwiastku więcej. Odnosi się widocznie do pewnych szczególnych zdarzeń i ludzi: byłaby bardzo zajmująca, gdyby dziś po wiekach odgadnąć się dało, kogo autor miał na myśli. To wszakże nie jest zupełnie jasnem, i da się różnie tłómaczyć. Znaczenie niewątpliwe, a zarazem najwięcej satyrycznego charakteru i złośliwości, ma bezimienna, wydana przez J. Korzeniowskiego (1886) *Rzeczpospolita*, tułająca się po świecie i narzekająca, że nikt o nią nie dba. Pisana w roku 1549, jest przedsejmowym paszkwilem na króla, jego małżeństwo i jego stronników.

Czy *Żywot Józefa* (1545) jest dziełem Reya? Rzecz nie dowiedziona, możliwa; jeżeli prawdziwa, to byłby pierwszym jego przedsięwzięciem poetycznem; śmiałem, skoro ma niby być dramatem, a okazującym te właściwości (raczej niedostatki), jakie się widzi w jego wierszach późniejszych. Ale czykolwiek jest, jest ten *Józef* rzeczą ciekawą. Przerobiony z niemieckich i łacińskich dyalogów (Greffa, Crocusa, Garta i Diethera, jak dowiódł Nehring i Bruchnalski), długi ten wierszowany dyalog układem i budową trzyma się jeszcze średniowiecznych *Mysteryów*, bez komicznych intermedyów tylko; możemy przypuszczać, że te, które się u nas w owym czasie odgrywały, mogły być do niego podobne. Stylem i wierszem podobny jest do tego ostatniego zabytku *Mysteryów*, jaką jest *Rzeź Niewiniątek* w znanej nam dzisiejszej szopce. Jest w tym języku i stylu niezaprzeczenie coś rodzimego, pierwotnego, ludowego, pomimo rozwlekłości, zwłaszcza w chwilach i przemowach patetycznych, która psuje ten charakter pierwotnej naiwnej prostoty. Życia bardzo mało, ale chwilami jednak jest; głównie a prawie wyłącznie w tych rozmowach, gdzie autor mógł pomagać sobie tem, co widział lub słyszał, co znał z życia. Scena naprzykład, w której *Hausknecht* sam do siebie mówi otwarcie, co myśli o Puty-

farowej, a ona podsłuchuje i za to go z domu wypędza, jest niewątpliwie najciekawsza z całego dyalogu. Ale można także przypuszczać, że pierwsza rozmowa Zefiry z konfidentką Achizą (niby Fedra i Oenona), mogła się nieraz zdarzać w czasach Reya między młodą mężatką szlacheckiego lub miejskiego stanu, a jaką starszą i więcej zepsutą przyjaciółką. Narzekanie Racheli, gdy się dowiedziała o (mniemanej) śmierci Józefa, także nie jest bez charakteru. W podobny sposób oplakują dziś jeszcze swoich zmarłych wiejskie niewiasty.

Zmiany znaczne idą po sobie szybko, w latach niedługich. Nowe nauki religijne szerzą się i zagłębiają, nabierają konsystencyi, organizują się. Drukarnie coraz częściej i liczniej wypuszczają książki i broszury, służące tej propagandzie. Po stronie drugiej wprawdzie zaczynają się ukazywać pisma Hozyusza, pierwsze Kromera, oznaki i początki późniejszej obrony, ale tama nie może wstrzymać naporu wzbierającego prądu. Protestantyzm, a przynajmniej opozycja przeciw Kościołowi, wyrabia sobie główną kwaterę w Krakowie, dostaje sztab główny, który wskazuje cele, kieruje krokami, łączy usiłowania, a swoją wiarę w Lutra i Melanctona afirmuje coraz otwarciej, coraz energiczniej. Zyskuje też coraz więcej ochotników i rekrutów między ogółem szlachty, pozyskuje i znakomite siły. W tym sztabie głównym jest Jakób Przyłuski i Andrzej Trzycieski, jest i Modrzewski, i jest nie tak uczony i głęboki, ale łatwiej na ogół działający Rey. Wszyscy oni zapewne nie myślą jeszcze odrywać się od Kościoła, tylko chcą i mają nadzieję nawrócić go do tego, co sami mają za dobre, i poprawić; niemniej niechęć do Kościoła rośnie, staje się wyraźniejszą, namiętniejszą, a jej propaganda śmielszą i czynniejszą.

Służy jej Modrzewski Pismo jego *De Legatis ad concilium mittendis*, powstało w chwili, kiedy zapowiadziany a odkładany Sobór Powszechny miał się zebrać w Bolonii (1546), jest bardzo ciekawe i charakterystyczne. Oznacza ono, o ile już oddalili się ci przyszli dyssydenci od Kościoła, i wskazuje, jak wyobrażali sobie jego przyszłość, w jakim

kościelne chcieliby, i zapewne spodziewali się pozostać. Sobór Powszechny ma podług Modrzewskiego, i podług tej opinii polskiej, którą on wyobraża, składać się nie z katotyków samych, ale ze wszystkich wyznań chrześcijańskich. Myśl tę spotyka się w owym czasie nieraz, u prawdziwych i zupełnych katolików; rodzi ją nadzieja pojednania. Sobór ma wychodzić z powszechnego głosowania wszystkich wiernych, które następnie przez dwu i trzystopniowe wybory, wysyła trzech posłów. Sobór ten ma się wprawdzie odbywać pod powagą Papieża, ale równość głosu przyznana świeckim i duchownym; ale dyskusya o wszystkich artykułach wiary, która może się skończyć określeniem dogmatu, zgodnem z nauką Kościoła lub jej przeciwnem, wszystko to dowodzi, że autor zamiarem swoim sięga głęboko nie tylko w konstytucyę Kościoła, ale nawet w samą jego naukę. Być może, nawet prawdopodobne, że oni nie zdają sobie jasno sprawy z tego co robią, ze skutku i kresu tego, co przedsięwiora, marzą szczerze o naprawie Kościoła i o zjednoczeniu chrześcijaństwa; a tego nie widzą, że rozbijają jego jedność, a zmieniają samą jego naturę.

Rey w tych latach milczy, przynajmniej nie drukuje; w cichości tylko postępuje zapewne dalej na dyssydenckiej drodze i przygotowuje się do tej roli czynnej, wypędzania księży, zabierania kościołów, zakładania zborów, w jakiej niebawem występuje. Orzechowski nie reprezentuje wzmagającego się protestantyzmu; przeciwnie, występuje w obronie Kościoła (*Ecclesiae contra Lutherum defensio*, i *Pro Ecclesia Christi 1546*). Ale wyobraża on inny pierwiastek zaburzenia, inną właściwość swego czasu; namiętność, wolę, upór człowieka, wzniesiony nad wszystkie względy i prawa, indywidualność wybujałą i nie rozumiejącą, żeby cokolwiek mogło jej nie ustąpić.

Szarpie się ten ksiądz w więzach, które mu stan duchowny nałożył, a jego temperament gwałtowny każe mu nie spocząć dopóki się z tych więzów nie wyrwie. Nie zupełnie można mu wierzyć, kiedy mówi o sobie, że był przez ojea zmuszony do przyjęcia święceń kapłańskich. Człowiek

trzydziestoletni, a jeszcze z takim jak jego usposobieniem, nie łatwo daje się zmusić. Przypuszczać więc można, że się na stan duchowny godził; ale to pewna, że się z nim nie chciał zgodzić. Bezżeństwo księży ciążyło na niem swoją przysięgą, a nauki protestantów, których się nasluchał za młodu, a złe obyczaje wielu bezżennych kapłanów, każały mu wmawiać w siebie, że celibat jest dla dusz ludzkich i dla Kościoła zgubny. Ztąd, może po części ze krwi, skoro matka była rusinką, sympatya do greckiej cerkwi, która księżom pozwala się żenić. Ztąd w piśmie o *Chrzcie Rusinów*, wykrętne dowodzenie, że między tą cerkwią a Kościołem różnic nie ma, i że tylko pycha rzymska zmusiła Greków do oderwania się od jedności. Szczerem to twierdzenie być nie mogło, bo Orzechowski ignorantem nie był, i nie mógł tak nie znać historii Kościoła, iżby nie wiedział jak powstała schyzma wschodnia. Pismo podpadło, jak podpaść musiało, pod cenzury biskupie. Autor się poddał, obiecał poprawę. Ale niebawem wyszło w świat drugie pismo, *de Coelibatu*. Czy istotnie, jak się przed sądem biskupim tłumaczył, podstępnie bez jego wiedzy i woli wydrukowane? Można wątpić, znając jego usposobienie i postępowanie. Ale jakkolwiek-bądź, nie mogło być inaczej, jak że władza kościelna musiała wystąpić przeciw książce, uderzającej namiętnie na karność kościelną, i autora jej pozwać przed swój sąd. Ten skończył się spokojnie, i jak się zdawało szczęśliwie, lekką karą na obwinionego i jego obietnicą poprawy (1547). Ale już zatarg z Biskupem przybrał charakter ostrzejszy i stały; już Orzechowski jest na tej drodze, która przez przekręcanie i paradox, przez namiętność i upór, doprowadzi go do ożenienia.

Tak wyglądała, do takiej miary doszła, literatura polska, kiedy wiek XVI kończył swoją pierwszą połowę. Była zaledwo w początkach; ale była już bardzo przejęta starożytną filozofią i nauką, była w związku żywym z współczesnymi sprawami europejskiego świata, była odbiciem już dość wielostronnem polskiego usposobienia, życia i oświaty, z tem życiem wchodziła w związek coraz żywszy, i z niego

coraz więcej soków żywotnych czerpała, bo zaczęła używać własnego języka i używać go do dzieł, przeznaczonych dla czytelnika wykształconego. Wreszcie, miała na swoje usługi pisarzy prawdziwie znakomitych.

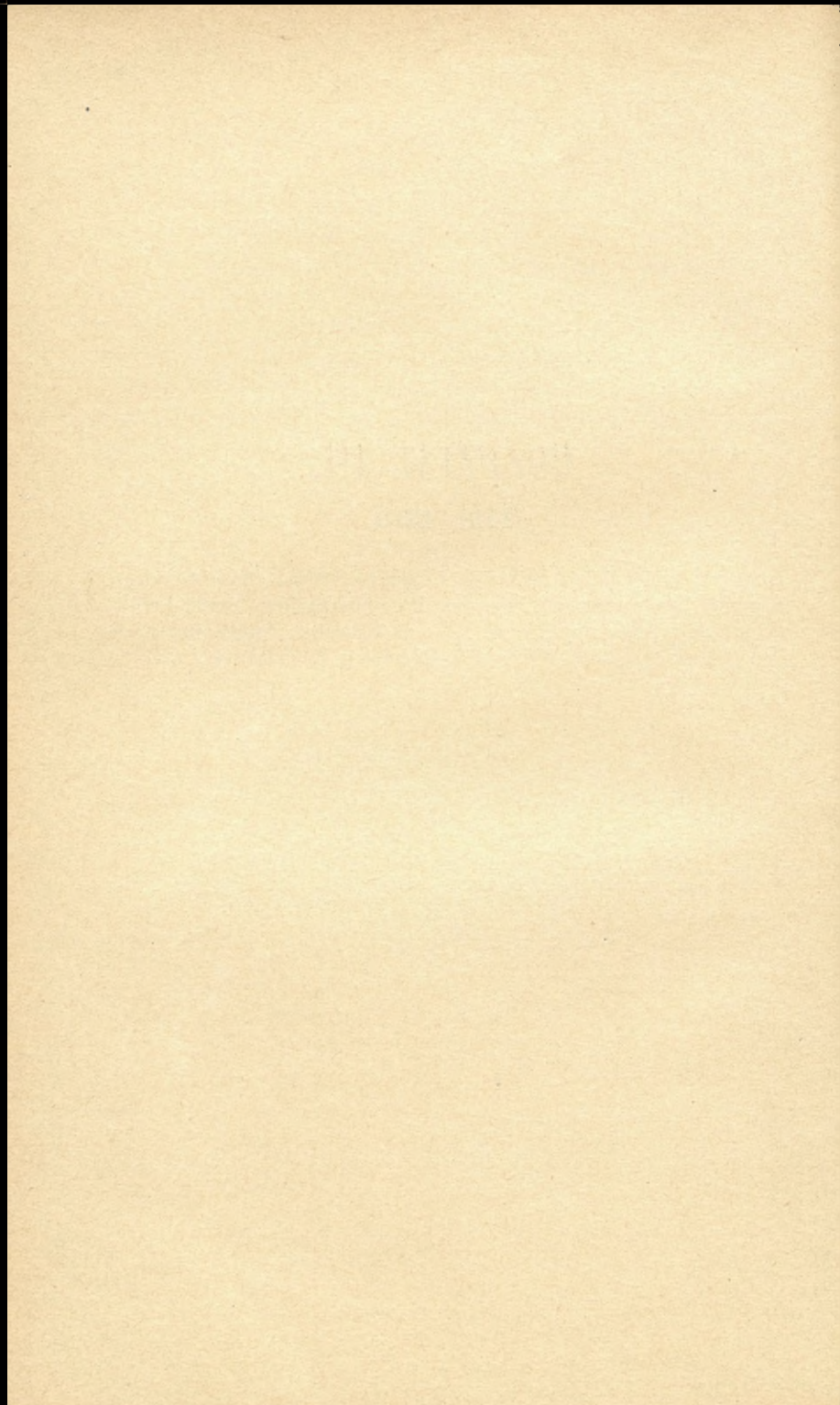
A wtedy, w roku 1548 „1-go kwietnia w dzień Wielkiej Nocy o samą wielką Mszę“, umierał w Krakowie na Zamku król Zygmunt Stary. Zgon jego oplakiwali a cnoty sławili w pięknych oracyach Biskup Maciejowski, Kromer, Orzechowski. Ale z tym zgonem i z panowaniem króla młodego, nastął nowy zwrot w dziejach Polski i w dziejach jej literatury.



ROZDZIAŁ III.

(1548—1557).

I. Sprawa królewskiego małżeństwa. Sprawa i pisma Orzechowskiego. Marycki. Modrzewskiego *Poprawa Rzeczypospolitej*. Statut Przyluskiego. *Idea Apocalypctica*. II. Historia Kromera. *Annale* Orzechowskiego. Reya *Wizerunek*. Występuje Kochanowski.



I.

Sprawa królewskiego małżeństwa. Sprawa i pisma Orzechowskiego. Marycki. Modrzewskiego *Poprawa Rzpltej*. Statut Przyluskiego. *Idea Apocalyptică*.

Przez pierwszych parę lat góruje nad wszystkim sprawa królewskiego małżeństwa. Religijne i polityczne dążenia i pomysły wzbierają i niebawem odezwą się z podwojoną siłą; ale na razie zagłuszone są gwarem podniesionym około Barbary. Każdy interes, i każda namiętność znajduje w tej sprawie wygodną przyczepkę, z nią się łączy, żeby trafiając w panujący ton uczucia i opinii, wtórując mu i podnosząc go wyżej, zyskać wziętość, popularność i z tą pomocą trafić do swego celu.

Tak Orzechowski. Zaledwo gruchła po całej Polsce wieść o ożenieniu króla, i wywołała gniew, oburzenie, wzburzenie unysłów, puścił w świat drugą część *Wiernego Poddanego*. Czy ona była drukowaną a później wycofywaną z obiegu i niszczoną, czy też rozchodziła się w rękopiśmiennych tylko kopiach¹⁾, wszystko jedno. Pisemko musiało mieć wielkie powodzenie, a królowi wiele szkodzić, skoro ten przykazał Orzechowskiemu ściągać rozpuszczone po świecie exemplarze. Co do treści politycznej, ta druga część *Subditusa*, jest powtórzeniem pierwszej z roku 1543, innemi słowami tylko. Nowem jest w niej to, co się odnosi do królewskiego małżeństwa. Orzechowski udaje, jakoby o niem

¹⁾ Pierwsze wydanie *Subditusa* dziś znane, jest z roku 1584.

nie wiedział, co jest trudnem do uwierzenia, skoro cała Polska trzęsła się od roku tą wiadomością i dodawanymi do niej komentarzami. Upomina tylko króla uroczyscie (a złośliwie), żeby się powtórnie ożenił, i to tak godnie, tak świetnie, jak za pierwszym razem. Gdyby go uwiodła miłość, która zgubiła Troję, która nieszczęśliwą Dido przyprawiała o śmierć, która niejednego dobrego króla zmieniła w tyrańca, to zgubi królestwo i siebie.

Ta apostrofa i groźba dla króla, która musiała podobać się rozjątrzonej przeciw niemu opinii, schodzi się z nowem a groźnem zawikłaniem w położeniu autora. Orzechowski, który po cenzurach na *Chrzest Rusinów* i na *de Coelibatu*, przyrzekł karności kościelnej pilnie przestrzegać, teraz nie tylko głośno i publicznie pochwalał mniemane ożenienie księdza Walentego proboszcza z Chrzestonowa, ale na sejmiku w Wiszni zapowiadał wręcz, że się sam lada dzień ożeni. Biskup Dziaduski pozwał go przed swój sąd. Chodziło więc o to, żeby mieć opinię po sobie, na swoim postawić, Biskupa zastraszyć potężnem poparciem, i sprawę wygrać. Łatwo być może, że Orzechowski szczerze był oburzony małżeństwem królewskiem, że wierzył, jak bardzo wielu, w krzywdzące pogłoski o Barbarze; niemniej pewnem się wydaje, że zręcznie chwycił w lot dobrą sposobność, żeby występując jako rzecznik i obrońca powszechnej opinii, zyskać jej względy i poparcie dla siebie.

Zupełnie już widocznym jest ten cel w drugim jego piśmie o tej sprawie, w tem, które Ossoliński znalazł pod tytułem *de Obscuro Regis Matrimonio*, a Korzeniowski wydał jako *Oracyę ad Equites Majoris Poloniae*¹⁾. Paszkwil niegodny, nawet gdyby był prawdziwym i słusznym; obelżywy w najwyższym stopniu dla Barbary, dla jej matki i braci, dla jej męża bolesny nad wszelki wyraz, rzucony był między szlachtę w roku 1550, przed owym sejmem na którym miała się toczyć sprawa małżeństwa, na który miała przyjść także sprawa Orzechowskiego z Biskupem. Wielkie w za-

¹⁾ Tytuł ten z współczesnego rękopismu Biblioteki Saskiej.

kończeniu pochwały arcyksięcia Maxymiliana, miały być ukrytą groźbą dla króla: jeżeli małżeństwa nie zerwie, będzie musiał złożyć koronę, następcą lepszy od niego jest już upatrzony.

Orzechowski tak istotnie pociągnął i podbił opinię, że Biskupi z obawy gorszych zaburzeń wstrzymali się od sądzenia sprawy. Poprzestali na przyrzeczeniu oskarżonego, że się nie ożeni, aż jak z Rzymu dostanie na to pozwolenie.

Przyrzekł: w początkach roku 1551 już się (niby) ożenił. Wtedy Biskup nie mógł już zrobić nic innego, jak wydać wyrok. Skazał Orzechowskiego na wygnanie z dyecezyi, na utratę wszystkich beneficyów kościelnych i na utratę czci. Wyrok ten poprawił jeszcze sprawę Orzechowskiego u szlachty. Protestanci musieli i tak stać po jego stronie; ale stanęli po niej teraz i katolicy także. Gdyby sądy duchowne miały szlachecica pozbawiać czci, to co stałoby się mogło? Nikt nie byłby już pewnym czy nie będzie od niej odsądzonym! Burza podniosła się taka, że Biskupi musieli się cofnąć. Sprawa została w zawieszeniu, aż do czasu kiedyby Rzym małżeństwo Orzechowskiego uznał za ważne, lub je potępił.

W tej chwili, tak dla siebie ważnej, napisał Orzechowski swój *List do Papieża Juliusza III*. W *Liście* tym domaga się uznania swego małżeństwa, a w przeciwnym razie grozi oderwaniem Polski od Kościoła. Urąga Papieżowi, że choćby go i skazał i wyklął, to nikt w Polsce na wolnym szlacheciu wyroku jego nie wykona. Dowodzi sofistycznie, że miał prawo się ożenić i żeniąc się zrobił dobrze, bo św. Paweł mówi *melius est nubere, quam uri*, a on nierządne życie ujął w karby świętego małżeńskiego stanu. Że on, jako ksiądz, Sakramentu małżeństwa przyjmować nie mógł, to pomija, jak żeby tego względu nie widział, jak żeby on wcale nie istniał. Ale nie dość mu na takim wyłamaniu się z kościelnej karności; rzuca się zuchwale na Kościół sam, na jego artykuły wiary. Papieży, dawniejszych i nowszych lży ostatnimi słowami, niewolę rzymską nazywa gorszą od tureckiej, a wreszcie, co najciekawsze, z urąganiem oświadcza Papieżowi, że ludzie śmieją się już ze spowiedzi i innych

podobnych wymysłów, bo zrozumieli, że to wszystko „mactwa“, któremi się prostych ludzi oszukuje i w strachu a posłuszeństwie trzyma.

List ten jest szczytem zuchwalstwa, niekonsekwencji, sofistycznego przekręcania i namiętności na wszystko zaślepionej, a szalejącej w swoim uporze. Przez to wszystko jest bardzo charakterystycznym jako krótki ale doskonały wyraz wszystkich złych stron i wad Orzechowskiego.

Nie on sam jeden przecież wypełnia całą literaturę z pierwszych lat Zygmunta Augusta. W roku 1551 wychodzi małe, szanowne dziełko Maryckiego *de Scholis seu Academicis*, jedyne jakie w tym wieku mamy wyłącznie sprawom szkół poświęcone. Uczony profesor Akademii krakowskiej, w tych latach najpoważniejszy może w jej gronie, ze stopniowego a coraz widoczniejszego jej upadku wziął zda się pochop do napisania tej książki, której celem jest podniesienie nauki i oświaty w Polsce. Żąda on, żeby rząd wziął szkoły pod swój dozór i opiekę, żeby nauczyciele mieli dostateczną płacę, bo przy tej, która jest, utrzymać się prawie nie mogą; żąda, żeby szkoły średnie (*municipales*) były ściślej dozorowane, a uczniów swoich nie na pokaz i pozór tylko, ale na prawdę uczyły. Całkowitego, a dopiero nowego programu organizacyi wychowania, choćby tylko zmienionego planu nauk i rozkładu ich na lata, niema; nauka zostaje jaką była, i zasadza się w szkołach średnich na filologię, w Akademii na filologię i filozofię (Aristoteles). Czegokolwiek przecież brak, to autor ma zasługę, a książka wartość, przez to, że zwraca uwagę ogółu na sprawę wychowania, że się o nią gorliwie troszczy, że jest w tym rodzaju pierwszą, a na długie czasy jedyną.

Dlatego należała jej się zaszczytna wzmianka. Ale po tej krótkiej wzmiance przejść jest pilno do dzieła naprawdę wielkiego, do takiego, które jest chlubą jedną z najświetniejszych naszej literatury XVI wieku, a szczytem i koroną jednej jej gałęzi. W tym samym roku 1551 wyszło po raz pierwszy dzieło Modrzewskiego *de Republica Emendanda*.

Te niedostatecznie określone i wyrobione ale silne instynkta i popędy, które pchają ówczesne społeczeństwo polskie do jakiejś poprawy Rzeczypospolitej, znajdują wyraz może najpoważniejszy w książce Modrzewskiego, która nosi ten tytuł. Nie bez żalu przychodzi wyznać, że wszystkie działania i uchwały sejmów ile ich było przez ciąg tego *execucyjnego* okresu, nie wydały na polu praktycznym nic, co by było tak całkowitem i tak dobrze rozważonem, jak jest na polu teorii reforma w tem dziele opisana. Jest ono niezawodnie skutkiem i wyrazem tego dążenia opinii do jakiejś zmiany i naprawy, tego uczucia, że jakaś jest konieczną. Tu zbiegają się i układają w porządku te żądania reorganizacyi wojska, skarbu, sprawiedliwości, które powtarzają się od lat przeszło dwudziestu na sejmach, a doraźnie odzywają w ulotnych politycznych pismach. Tu (na pierwszym niemal miejscu) szczegółowa na pozór ale w rzeczy i w skutkach bardzo zasadnicza kwestya kary śmierci za wszelkie męzobójstwo, tu występuje i ta druga politycznie niezmiernie ważna (a nieszczęściem niedość powtarzana i roztrząsana), jak wschodnie kresowe województwa zabezpieczyć od tatarskich najazdów. Tu znajdują się i te reformy ekonomicznej lub politycznej natury, o których często mowa jest na sejmach; tu i na wychowanie publiczne zwrócona jest uwaga; i wreszcie to co współcześnie przedewszystkiem zajmowało umysły, sprawa religijna, zmiana wiary i organizacyi Kościoła, znajduje wyraz, który można uważać za skład pojęć i żądań polskich zwolenników reformacyi ¹⁾.

Jakież są te pomysły najważniejsze, najlepsze, które każą uważać Modrzewskiego za umysł bardzo niepospolity, a jego dzieło za pierwsze i naczelne w naszej literaturze politycznej, za jedno z głębokich i świetnych w całej ówczesnej literaturze politycznej, a pod niejednym względem za wyprzedzające swój czas i naród?

W szczegóły wdawać się tu nie można; nie starczyłoby miejsca. Krótko zatem wyliczamy tylko te pomysły, które

¹⁾ Ten ustęp wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku* St. Tarnowski. „Literatura”. T. I.

autorowi przynoszą największą chwałę, a Polsce mogły przynieść największy pożytek.

Do takich należy w księdze pierwszej, (o obyczajach) żądanie, żeby król o swoich poddanych wszelkiego stanu jednako dbał i starał się o „porównanie między niemi“, nie ze strony majątku, urzędu lub dostojenstwa, ale przez pielęgnowanie wzajemnej życzliwości, zgodnego usposobienia. Środek na to wynaleziony nie mógłby wystarczyć: jest nim tylko pochwała lub nagana królewska. Ale w żądaniu samem tkwi głęboka znajomość wrodzonych wad polskiego społeczeństwa, i trafne przewidzenie, że ta społeczna niezgoda może się na niem kiedyś pomścić. Prawo uchwalania podatków przez obywateli, znane było wiekom średnim, a w Polsce nie przestało nigdy być wykonywanem; w reszcie Europy znikło dopiero, gdy w ślad za Reformacją przysłała zasada wszechwładzy państwa, wcielonego podówczas w absolutnego monarchę. Tem żądaniem więc nie wyprzedza Frycz swego kraju lub innych. Ale staje już wyżej od współczesnego społeczeństwa polskiego, gdy żąda odpowiedzialności urzędników i uporządkowania administracji, przez podział spraw między cztery główne dobrze określone urzędy (*ministra*). Żąda dalej, i to dość stanowczo, zniesienia monopolów; żąda wolności słowa (nie wspominając o druku). Dbą o porządek i bezpieczeństwo, i domaga się praw ścisłych a wykonywanych, co do dróg, mostów, szpitali, domów przytułku i pracy dla ubogich, cen targowych, zabezpieczenia od ognia. Nie posuwa się do wyraźnego żądania, iżby ludzie nieszlacheckiego stanu byli przypuszczani do urzędów, ale tak dobitnie i wymownie dowodzi, że za zdolnością i prawością nie za urodzeniem miałyby iść urząd, że widocznie i to porównanie ma na myśli, i tego pragnąłby dla Polski.

Księga druga o *Prawach*, zawiera te najistotniejsze podstawne warunki równowagi społecznej, których brak stał się niemocą Polski i jej nieszczęściem, a których przywrócenie mogło zmienić całą kolej jej losów. Dlatego tę księgę uważać należy za najważniejszą i najehwalebniejszą w całym dziele, owszem w całym zawodzie Modrzewskiego. Takich pomysłów

jest dwa. Pierwszy „znieść praw i karania różność“, czyli znieść to prawo, które karze grzywną i więzłą zabójstwo, popełnione przez szlachcica, a śmiercią zabójstwo popełnione przez plebejusza. Ta nierówność, to płacenie głów pieniędzmi, musi rodzić waśnię i nienawiści, i srodze się kiedyś na Rzpltej odbije.

Pomysł drugi, to zniesienie jurysdykcyi pana nad poddanym, a oddanie tego pod sądy zwyczajne. Nie trzeba mówić i tłumaczyć, że zmiana w tych dwóch prawach, mogła zmienić i poprawić cały stan społeczny Polski.

Ale prócz tego żąda Modrzewski i dobrej administracyi sprawiedliwości, a mianowicie: zniesienia rozmaitości praw i sądów, a zaprowadzenia tego samego prawa i tych samych sądów dla wszystkich; ułożenia porządnego kodexu; wreszcie zdjęcia z króla i sejmu obowiązku sądzenia spraw, a ustanowienia osobnego, stałego i wybieralnego trybunału. Myśl ta, znacznie już w owych latach rozpowszechniona, stała się rzeczywistością w lat trzydzieści później, za Bato-rego. Z tą wszakże wielką różnicą, że Modrzewski chce trybunału wybieralnego, ale przez wszystkie stany, kiedy rzeczywisty późniejszy trybunał był wyłącznie szlacheckim.

Trzecia księga o *Wojnie*, zaczyna od pięknego rozróżnienia wojny godziwej, a złej. Pierwsza prowadzi się dla obrony, obrony wiary, albo wolności i całości Rzpltej; druga dla zdobyczy i żądzy panowania. Każda wojna jest nieszczęściem, i dlatego słusznieby było zaprowadzić sądy polubowne, które w razie sporu między panami chrześciańskimi, miałyby wojnę usuwać. Ale jeżeli ona jest konieczną, a godziwą, wtedy dobry obywatel wszystko w niej poświęcić winien.

U nas, dla bezpieczeństwa Rzpltej potrzebne byłoby zabezpieczenie ziem ukraińnych, przez zakładanie na nich kolonij rycerskich. Dalej biegłość i karność wojska. Do pierwszej służyć ma kolejna służba szlachty w ziemiach pogranicznych, coroczne ćwiczenia i lustracye, wreszcie szkoły dla wojskowych. Do drugiej porządek w ciągnienu (szybka, dobrze uorganizowana jak dziś nazywamy mobilizacya), zarzucenie niepotrzebnych zbytkowych bagażów, wozów, pa-

chołków, i t. d., wreszcie rygor, trzymający żołnierza w karchach, żeby nie mógł łupić, grabić, ludzi krzywdzić.

Ale wojsko, żeby nawet najlepsze, nie zapewni zwycięstwa, jeżeli nie ma czem się utrzymać. Dlatego pierwszym warunkiem dobrej organizacyi wojskowej jest dobrze uporządkowany skarb. Podaje tu Frycz, rzecz u nas bardzo rzadka, całkowity plan takiego urządzenia skarbu; nie swój własny, jak mówi, ale Prymasa Łaskiego. Oto jego główne zasady.

Funduszem zakładowym skarbu ma być opłata jaką mu składa każdy obywatel kiedy obejmuje swój majątek, raz w życiu, mianowicie połowę rocznego dochodu. Kmiecie i mieszczenie, posiadający role, nie składają tej opłaty, pierwsi dlatego, że ich praca już jest objęta dochodem dziedziców; drudzy dlatego, że ich role są małe, więc z opłaty nie wieleby skarbowi przyszło. Dalej, co roku, płacą wszyscy, z wyjątkiem kmieci znowu, dwadzieścia procent od swego dochodu. Skarb taki nietylko wystarczyłby na utrzymanie wojska i na opłacanie sędziów (przy trybunale), ale wykazywałby znaczne zwyczajki. Te, za procentem cztery lub pięć od sta, mogłyby się wypożyczać ludziom prywatnym, a nawet miastom, z tym warunkiem, że w nagłej potrzebie Rzeczypospolitej, pożyczka musiałaby być na każde zawołanie zwróconą. Ten instytut kredytowy, nazwany przez autora Górą Zbożności, a ułożony na wzór włoski (*Mons Pietatis*), jest zadziwiający na swój czas, a mógł się okazać tak korzystnym, że my dziś mamy prawo mieć wielki żal do współczesnych, że się na tej organizacyi skarbu i kredytu poznać nie umieli.

Księga o *Kościele*, w myśli swego autora niewątpliwie najważniejsza, bo poświęcona kwestyi, która dla ówczesnego świata była pierwszą, nie wyszła w pierwszym (krakowskim) wydaniu *Poprawy Rzpltej*. Nie wyszła skutkiem zakazu władzy duchownej. W przedmowie świadczy autor, że ona jest napisana, ale ją zawistne losy wstrzymały. Od owego zakazu, biskupiego zapewne, odwołał się Frycz do synodu, odbywającego się w Piotrkowie. Synod, na wniosek Hozyusza, zatwierdził pierwszy wyrok. Dzieło, już pra-

wie wydrukowane, wyszło bez księgi o *Kościele* i o *Szkole*. *Confessio Fidei* Hozyusza, na tymże synodzie ostatecznie ułożona, zbija, nie wymieniając Frycza, wiele jego twierdzeń, znanych z rękopismu autorowi *Konfessyi*. Frycz tem silniej zapragnął ogłosić swoje, bronić się, zbijać nawzajem to, co wyczytał w dziele Hozyusza, którego także nigdy nie nazywa, w Polsce jednak wydać tego nie mógł; drugie wydanie *Poprawy Rzpltej*, tym razem zupełne, wyszło w Bazylei w roku 1554.

Księga o *Kościele*, daje poznać wybornie to stanowisko niejasne, utopijne, na jakim stało wielu ówczesnych różnowierców, ale i niektórzy z katolików także: to złudne mniemanie, że może nastąpić jakieś pogodzenie na polu artykułów wiary, jakieś zjednoczenie za pomocą kompromisów. Każdy coś ze swego ustąpi i wszyscy się pogodzą. Modrzewski, który w latach późniejszych coraz dalej i coraz namiętniej odstępował od Kościoła, w tej księdze o *Kościele* podaje się, i zapewne w dobrej wierze uważa się, za katolika. Wyobraża sobie, że Sobór, ale nie taki, jaki dotąd zapowiadano, ale prawdziwie powszechny, złożony z reprezentantów wszystkich wyznań chrześcijańskich, i nie z duchownych wyłącznie ale i ze świeckich, wynajdzie jakieś nowe a elastyczne formuły na artykuły wiary, w których wszystkie różnice wierzeń pomieszczać się wygodnie. Wyobraża sobie naturalnie, że ten Sobór zaprowadzi małżeństwo księży i Komunię pod dwoma postaciami; ale prócz tego wskazuje, jak mógłby zmodyfikować naukę o Łasce, o Przecistoczeniu Chleba i Wina w Ciało i Krew Pańską, o czei Świętych, o spowiedzi, o usprawiedliwieniu przez wiarę i uczynki. Słowem, jakieś stanowisko dziwne, zawieszony między katolicyzmem a protestantyzmem, w którym oczywiście długo utrzymać się nie mógł, musiał się przechylić na jedną lub drugą stronę. Przechylił się na protestancką. W dalszym ciągu tej książki podaje plan nowej organizacyi Kościoła: mianowicie wybór proboszcza przez głosowanie powszechne wszystkich wiernych w parafii, wybór kiskupa przez także, tylko dwustopniowe głosowanie wiernych z dyecezyi. Sposób wybie-

rania. Papieża znajdzie się dopiero w jego pismach późniejszych.

Księga o Szkołach, najmniejsza i najmniej ważna ze wszystkich, o organizacyi szkół i o naukach mówi tylko rzeczy ogólne, a jedyne żądanie określone, jakie z niej wydożyć można jest to, żeby koszt utrzymania szkół ponosili Biskupi.

Jaki jest związek dzieła Modrzewskiego ze współczesnym światem, europejskim jak polskim, z jego oświatą i z jego historią?

Wspólną z całą epoką ma on podstawę pojęć filozoficznych i filozoficzno-politycznych, opartą na starożytnych. Swoje pojęcia i żądania religijne, wykształcił oczywiście na uczonych protestantach niemieckich. Nie można wątpić, że znał także statystów i polityków humanistycznych; ale jeżeli ich znał i z nich korzystał, to żadnego z nich nie naśladował. Plan, układ, *Poprawy*, system organizacyi państwa, jaki się w niej znajduje, nie jest podobny do żadnego z ówczesnych statystów zagranicznych, jest jego własny. Żądanie zaś jednego prawa dla wszystkich, zniesienia jurysdykcyi pana nad poddanym, prawa posiadania ziemi dla mieszczan, i powszechnych podatków (z wyjątkiem kmieci), są o ile wiemy na całą ówczesną Europę jedyne.

Ze współczesną Polską łączy się Frycz w tem, że jak ona żąda organizacyi wojska, skarbu i sprawiedliwości, tylko organizację tę lepiej, praktyczniej widzi i określa. Jego żądania w rzeczach religijnych są wprost programem ówczesnych różnowierców polskich, jak dowodzi sejm z roku 1555 i 1556. Wyłączną własnością Modrzewskiego a zarazem jego wyższością nad ówczesną Polską, jego największą zasługą i chwałą, jest dążenie do oparcia reformy politycznej na reformie społecznej, i wskazanie najlepszej ku temu drogi; jedno prawo dla wszystkich, zniesienie jurysdykcyi pana nad poddanym, dopuszczenie mieszczan do posiadania ziemi, przez to pośrednio do urzędów. Wspólne zaś znowu z ówczesną Polską jest to, co stanowi stronę najsłabszą, wielki brak, jego *Poprawy Rzpltej*. On widzi, jak wszyscy, że ta poprawa

jest potrzebna, ale tak jak wszyscy nie widzi, a przynajmniej nie mówi, że pierwszym warunkiem tej poprawy jest stworzenie i zabezpieczenie władzy rządzącej. Pod tym względem Modrzewski nie przewyższa swoich współczesnych; pod wieloma innymi, przewyższa ich o tyle, że jego dzieło jest najlepszem, pierwszym w naszej literaturze politycznej tego wieku, a on jej postacią naczelną i na zawsze jedną z najznakomitszych.

Uzupełnieniem Modrzewskiego jest poniekąd Jakób Przyłuski. Tamten więcej teoretyk i myśliciel, ten prawnik i człowiek praktyczny. Oba zaś z tego samego stronnictwa, tak samo pragną poprawy Rzpltej, a przede wszystkim reformy, czyli Reformacyi w Kościele. *Statut* Przyłuskiego zawiera nie tylko zbiór praw, ale i ich wykład; z tych zaś jego komentarzy pokazuje się, że był w pojęciach i żądaniach religijnych z Modrzewskim (i z ogółem ówczesnych protestantów) zupełnie zgodny, tylko więcej od Modrzewskiego namiętny. W pojęciach politycznych ma jedną nad Modrzewskim wyższość: mówi, że tron dziedziczny jest lepszy od wybieralnego, bo pewniejszy, a elekcję uważa za dopuszczalną tylko w razie wygaśnięcia dynastyi. Ale z tej teoryi słusznej nie wyciąga praktycznego wniosku, nie żąda ustanowienia porządku bezkrólewia, i sposobu elekcyi na przypadek śmierci Zygmunta Augusta. W pojęciach społecznych znowu, i w żądaniach tej poprawy, zostaje poniżej Modrzewskiego. Pisma Przyłuskiego, jednego z głównych przywódców tego kierunku, prowadzą do wniosku, że to stronnictwo protestanckie i eksekucyjne miało jasną ustaloną świadomość tego, czego chciało w rzeczach religijnych, ale dużo mniej dobrze wiedziało, co rozumiało przez reformę polityczną i jak ją sobie wyobrażało.

Wsuwa się teraz niespodzianie między te pisma, głównie eksekucją zajęte, mała książeczka, taka ponura i smutna, taka przestraszona widokiem i przyszłością Rzpltej, że raczej wzięłoby się ją za produkt późniejszych już lat i wypadków, tego rozstroju, który się objawił za dwóch pierwszych bezkró-

lewiów, i za trzeciego: Dymitra Solikowskiego *Idea Apocalyptica*¹⁾).

Dzielko, w którem allegoryczna forma szkodzi treści, a szumna retoryka dobrym uwagom; dzielko, które nie wie dzieć dlaczego tak wczesnie trąci już zepsutym smakiem i wyszukanemi conceptami XVII wieku; ale pod niesmacznemi alegoryami kryją się myśli zdrowe i dobre.

Autor ma widzenie: we śnie, czy może w stanie jakiejś hallucynacyi, zdaje mu się że wchodzi do jakiegoś wielkiego obozu, wchodzi przez nikogo nie pytany i nie wstrzymywany. Obóz to nieoszańcowany, nie strzeżony, warty śpią twardo na swoich posterunkach, a dokoła otoczony jest wojskami nieprzyjacielskiemi, które zdają się czekać chwili szturm: to Polska.

A naokoło pełno namiotów i domów, w których ludno i gwarno, *Domus Rei privatae, Domus Cupiditatis, Domus Tyrannidis*, i z tego to domu widzi opisujący wyjeżdżającą straszną rycerkę na koniu, zbrojną, silną i zuchwałą, która wypada jak jedna z klęsk apokaliptycznych, i uderza na dom Rzpltej i Religii, nazywa się: *Licentia*.

Wewnątrz tego obozu mnóstwo namiotów i różnych przybytków, a w samym środku namiot Rzpltej. Obok niego trzy domy, na jednym z nich stoi napis *Domus Deserta*, to dom religii; obok drugi z napisem *Domus Violata*, przybytek sprawiedliwości; trzeci *Domus Consilii*, równie opuszczony i zaniedbany. To sam środek obozu, to niby rdzeń jego siły, w oplakany stanie.

Z domu Rzpltej, tak zagrożonej, wyjeżdża na obronę wóz bez dyszla (wóz którym kierować nie można), a na nim siedzi Rzeczpospolita sama, z Religią i Sprawiedliwością. Za niemi idą ich sługi: Mądrość i Nadzieja. Wszystkie razem myślą jechać do domu Senatu z wezwaniem, żeby im radził i ratował je w ucisku, ale w drodze zatrzymuje je Prawda i przestrzega, że tam ratunku szukać daremno, dom ten także opanowany przez nieprzyjaciół.

¹⁾ Ustęp ten wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

Na nieszczęsną Rzpltę rzuca się teraz zgraja przeciwników: *Amicitiae Simulatae*, *Inimicitiae Apertae* i *Odiium Intestinum* zrzucają ją z wozu i obalają na ziemię. *Direptio* rabuje i obdziera ją ze wszystkiego. Inne złe potęgi tymczasem, na czele *Curiositas* i *Atheismus*, napadają tymczasem na dom Religii i plądrują go do szczytu. Dom rady Senatu opanowała *Res Privata*; na domiar złego wychodzi z jakiejś kryjówki straszliwy smok *Interitus*, i chce Rzpltej zadać cios śmiertelny.

Na szczęście zjawia się przecież ratunek. Pierwszy budzi się *Sensus Ruinae* i woła na gwałt, a jemu w pomoc przybywa *Timor Domini*, i tak surowo, tak pięknie przemawia do żołnierzy, wałęsających się po obozie, że głosem jego poruszeni wszyscy, spieszą na ratunek Rzpltej. Przybiega *Prudentia* ze swojemi radami, lekarz *Charitas* opatruje rany Rzpltej, a *Wolność* uczy, że chcąc ją do zdrowia przywrócić, trzeba uderzyć w dzwon, który ma moc cudowną, a który się nazywa *Executio Legum*.

Powtarza się bitwa, i tym razem zwycięstwo zostaje przy dobrej sprawie: wszystkie monstra pobite lub spętane, jedna tylko *Licentia* zdrowa i cała uciekła.

Potem Rzplta uzdrowiona obchodzi obóz w tryumfalnej procesyi; *Repetitio bonorum Rplcae* zabiera do swego worka dobra rozszarpane; obce wojska, które stały do koła obozu odchodzą, ospała *Securitas*, odwołana z jego straży ustępuje miejsca *Vigilanti*; widząc to Litwini chcą się z Koroną zjednoczyć, a choć Retoryka sejmowa bruździ, *Aequitas* szczęśliwie doprowadza do skutku Unię, poczem w nadziemskiej jasności zstępuje z nieba *Gloria Perennis* i zostaje pośród obozu.

Niestety, ta druga, pocieszająca część widzenia, ta się nie sprawdziła, ale pierwsza zupełnie. Allegorya może jest niesmaczna sądząc po literacku, może nie potrzebna; ale jest aż nadto prawdziwa, a straszna istotnie jak przerażające groźby i przepowiednie Apokalipsy.

Literatura polityczna jest w tych latach, obok teologicznej i polemicznej, najżywszą; one tylko wydają u nas

dziela, które można nazwać wielkimi, a przynajmniej bardzo znakomitemi. *Respublica* Modrzewskiego i Hozyusza *Confessio Fidei Christianae* (1553), przyjęta z zapalem przez Kościół, tłómaczona na kilka języków, to dwie wielkie chwały polskiej umysłowości i nauki z tego czasu. Ale rozbudzone życie udziela się i innym gałęziom piśmiennictwa: i te zaczynają rozwijać się bujniej.

Pomijamy te ciekawe, naiwnością swoją sympatyczne, a czasem nie pozbawione żywszego zacięcia, małe książeczki, przeznaczone dla ogółu, dla przyjemnej a razem budującej lektury jak *Historye Rzymskie*, na wszystkie niemal języki w swoim czasie tłómaczone (*Gesta Romanorum*), u nas według Ptaszyckiego po raz pierwszy w roku 1553 wydane. Spieszymy do rzeczy poważniejszych i ważniejszych, do historii prawdziwej.

II.

Historya Kromera. *Annale* Orzechowskiego. Reya *Wizerunek*.
Występuje Kochanowski.

W tych samych latach, kiedy czynność Orzechowskiego i Modrzewskiego jest w samej sile, kiedy literatura polska właściwie jeszcze nie wyszła na wierzch, bo nie prawie w polskim języku z druku nie wyszło przed ogłoszeniem pism Reya, w roku, kiedy podług podania młody Kochanowski miał napisać swój pierwszy wiersz polski, historia zdobywa się na dzieło, którego nie można nazwać krokiem naprzód, w porównaniu do Długosza, ale dzieło ważne przez to, że współcześni uważali je za doskonałe, że odpowiadało wszystkim ich pojęciom o historii i spełniało wszystkie ich żądania, dzieło, które przez długi czas uchodziło za podstawę znajomości dziejów polskich, za *non plus ultra* rodzaju, a które rzeczywiście reprezentuje bardzo wiernie kierunek i charakter naszej historyografii XVI wieku.

W roku 1555 wychodzi Historia Kromera, *Polonia sive de origine et Rebus gestis Polonorum*.

Przed nim jedno dzieło wydała historyografia polska, i to na rok jeden przed dziełem Kromera (1554), Marcina Bielskiego *Kronikę Świata*. Nie *Kronikę Polską* wydaną, a jak zdaje się pewnem i dowiedzionem całkowicie napisaną przez jego syna w lat czterdzieści później, ale *Kronikę Świata*, rodzaj historii powszechnej od początku świata. Historia polska, doprowadzona do śmierci Zygmunta Starego, stanowi tylko część, jedną księgę całego dzieła, i jest w treści swojej powtórzeniem Wapowskiego, dokąd ten dochodzi, a później od r. 1535, jego kontynuacją. Reszta opowiada dzieje starożytne, podzielone ówczesnym sposobem na cztery monarchie, dalej dzieje wieków chrześcijańskich, Papieży i cesarzów, Historię węgierską, czeską, moskiewską, opis świata, nawet nowo wynalezione; a wreszcie podaje różne oderwane wiadomości historyczne, geograficzne, nawet etnograficzne. Do historyków należałoby sądzić o wartości tego dzieła i orzec, jak dalece ono jest wyciągiem i powtórzeniem z dzieł obcych, porównanie dokładne i jego rezultat należy do badania i sądu historyków. Tu wystarcza ogólna wiadomość, że dzieło to historycznym źródłem, historyczną powagą być nie może, tylko historyczną ciekawością. Dla literatury jednak jest ono ważne, wprowadza wielką nowość, której lepsi od Bielskiego historycy nie czuli potrzeby: jest pisane po polsku.

Wreszcie w roku 1555 wyszła Kronika Kromera, dzieło które doświadczyło na sobie zmienności losu i ludzkiej łaski. Przez współczesnych cenione niezmiernie, tak cenione, że niepowtórzonym może w dziejach przykładem, Rzplta sama w sejmie zebrana wyraziła autorowi uznanie jego zasług i swoją wdzięczność, a do tych tak zaszczytnych dzieł, król Stefan dodał kilka słów od siebie. Wieńce laurowe, dawane poetom przez Papieży lub książąt, wydają się obok tego małym tryumfem i chwałą. I nie dość na tem: Kromer i jego współcześni byli już dawno w grobie, a potomni przez długie czasy wierzyli w jego chwałę i w powagę jego książki. Przez wiek cały, może dłużej, był Kromer źródłem i podstawą wszelkiej znajomości historii pol-

skiej. Pokolenia całe, co o swoich dziejach wiedziały, to z niego; jeszcze Sobieski z niego uczył się historii polskiej, ojciec jego wyraźnie zaleca, że powagą, na której ma się zasadzać cała jego synów znajomość ojczystych dziejów, ma być Cromerus. Pod koniec dopiero XVII-go wieku błędnie jego gwiazda, słabnie jego wziętość, może dlatego, że na niedbałe wychowanie ówczesne był za obszerny, za szczegółowy, za dobry; wystarczały im krótkie *Compendia*, katalogi królów. Później, kiedy wreszcie wyszedł z ukrycia Długosz, kiedy się zaczął ruch wydawniczy i bibliograficzny, a po nim przyszedł ruch krytyczny i ten udzielił się historii, wtedy Kromer spadł ze swojej dawnej wysokości, wtedy sława jego słusznie przeszła na Długosza, ten został głównym źródłem informacyi i fundamentem polskiej historyografii, a dziś Kromer za powagę pierwszorzędną, za pisarza źródłowego nie uchodzi weale.

Czemu przypisać tę różnicę sądów? Jeden i drugi dają się łatwo pojąć. Słusznym jest nasz sąd dzisiejszy, ale sąd współczesnych był zupełnie naturalnym, nie mógł być innym. My dziś mówimy, że Kromer jest historykiem, który bez krytycznego sądu, nawet bez zadania sobie pracy sprawdzenia i zbadania wielu rzeczy, skraca, streszcza, czasem rozszerza, ale zawsze powtarza to, co przed nim napisali inni; co napisał Długosz do roku 1480, dalej co napisał Miechowita, Decyusz, Wapowski; mówimy, że nie stara się, ani faktów lepiej rozpoznać i w prawdziwym świetle przedstawić, ani ludzi i wypadków ze stanowiska bądź moralnego bądź politycznego sądzić; mówimy, że nie ma, ani wartości pisarza źródłowego, który podaje fakta w ich pierwotnym rzetelnym kształcie, ani pisarza krytycznego, który z tak podanych faktów składa całość i właściwy charakter dziejów i sąd o nich wydaje; mówimy, że jest kompilatorem, i to kompilatorem, który nie ma nawet tej zasługi jaką ma Miechowita lub Wapowski, żeby, powtórzywszy za drugimi dzieje dawniejsze, ciągnął je dalej i opowiadał wypadki, które na sam patrzył: Kromer bowiem kończy na roku 1506.

Wszystko to jest prawdą i dlatego mamy zupełną słuszność, kiedy do jego dzieła nie przywiązujemy tyle wartości ile do dzieła Długosza, albo do dzieł historyków późniejszych jak Heidenstein, Piasecki albo Kochowski, zamykających się w obrębie jednej epoki i będących dla tej epoki źródłami pierwszego rzędu.

Ale z drugiej strony nie powinniśmy się dziwić wielkiej sławie i wziętości Kromera u współczesnych. Dla nas jest on tylko kompilatorem, wulgaryzatorem historii polskiej, i dlatego jest nam i mniej potrzebny i w mniejszym u nas poważaniu. U nich, właśnie dlatego był w tak wielkiej cenie, że był kompilatorem i wulgaryzatorem; oni właśnie tego potrzebowali, a tej potrzebie czynił Kromer zadosyć w mierze bardzo szerokiej i z niepospolitą wcale do tego rodzaju dziejopisarstwa zdolnością. Przypomnijmy sobie, że oni historii polskiej jako całości nie mieli; mieli dawnych kronikarzy przed Łokietkowych, którzy w barbarzyńskiej formie rozpowiadali im o czasach odległych, które ich mniej obchodzily; mieli Długosza, który nawet gdyby był drukowany i wszystkim przystępny, byłby ich razil swoją średniowieczną łaćną. To wszystko tylko w rękopismach. I wreszcie mieli Miechowitę, którego z upodobaniem, z zajęciem czytać nie mogli. Nie mieli więc z kąd uczyć się historii polskiej, nie mieli jej w czym czytać, nie mieli z kąd zrobić sobie jasnego wyobrażenia o jej całości i ciągu. Historia częściowa, choćby najdoskonalsza, oparta na najsumienniejszym zbadaniu źródeł i podająca jako rezultat niewątpliwą prawdę, ale o pewnym tylko przeciągu lat, pewnych ludziach i wypadkach, byłaby im oddała przysługę nierównie mniejszą aniżeli taka, która nie wszystko miała z pierwszej ręki, nie wszystko sama sprawdzała, nie wszystko przedstawiała dokładnie, ale dawała ten ogólny obraz całości, który był dla nich właśnie pierwszą potrzebą. Oni chcieli i potrzebowali takiej książki historycznej, w której bez trudu i natężenia, jasno, zrozumiale, mogliby zobaczyć cały przebieg swojej historii. Że tam, ten lub ów szczegół może nie był zupełnie dokładny, o to nie pytali, nawet o tem nie wiedzieli; przestawali na

tem, że był im podany jasno, zrozumiale i śmiało, z całym pozorem pewnej i dowiedzionej prawdy, tak, że w niego wierzyć mogli, łańcuch dziejów nigdzie się im nie zrywał, żadnego ogniówka nie brakowało. Wogóle wiek ten nie wchodził w rachunek zbyt ściśle z historią, a cóż dopiero u nas, gdzie powaga książki i wiara w nią była tem większa, im ta książka była rzeczą świeższą i rzadszą, i gdzie potrzeba jakiejś historii polskiej całkowitej i prawdopodobnej, na którą się spuścić można było, była tak wielką, że współcześni byliby może umyślnie zamykali oczy na jej usterki gdyby je nawet dostrzedz byli mogli.

Że zaś tej ich potrzebie nikt nie mógł uczynić zadosyć lepiej od Kromera, to się nie da zaprzeczyć. Talent kompilatorski, talent rozpowszechnienia, popularyzowania historii, jest niezawodnie niższym gatunkiem talentu dziejopisarskiego: ale ten talent on miał w wysokim istotnie stopniu. Przede wszystkim pisze bardzo pięknie. Dziś nawet, kiedy przystępujemy do niego nie bez uprzedzenia, kiedy wiemy z góry, że nie znajdziemy u niego żadnych informacji, którychbyśmy gdzieindziej dostać nie mogli z pierwszej ręki, i kiedy czytamy w nim to tylko, o czem wszyscy od dzieciństwa wiemy, nawet dziś, czyta się ten Kromer przyjemnie, z zajęciem. Ma on ten dar u historyka bardzo cenny, że opowiada wszystko żywo a po prostu, jest jasny, jest zrozumiały, to co opowiada obejmuje się łatwo i zostaje w pamięci prawie bez jej nateżenia. Oprócz tego, wyborny łacynista, wzięł od autorów łacińskich nie samą tylko sztukę budowania zdań i okresów, ale co więcej, ich sposób pisania, ten ton tak właściwy historii, który nie jest nigdy ani zawilym ani górnym, a nigdy niskim, nigdy pedantycznym a zawsze poważnym. Wyobraźnią, fikcją, nie sztukuje nigdy swego opowiadania, nie poetyzuje weale; jeżeli co poda fałszywie, to w prostocie ducha, z naiwności nie z umysłu, przecież znać, że nie był on bez wyobraźni, bo jego opowiadanie jest zawsze żywe. Pisze sposobem kronikarskim, notuje wszystko, co się w pewnym roku stało; ale jakoś tak to robi zgrabnie, że rzeczy drobniejsze zostają, jak żeby w nawiasach, zni-

kają, a ważniejsze zostają w ciągu i naturalnym związku. Wzorem jego, jeżeli miał jaki wzór ze świadomością obrany, był z Rzymian zapewne Liwiusz, najulubiejszy z historyków w owym wieku; jednak trzeba Kromerowi oddać sprawiedliwość, że nie naśladowuje go w tem w czem go naśladować najłatwiej; retorycznym nie jest wcale, pięknych maxym i frazesów nie lubi, a mowy niby to miane przez wodzów przed bitwami i podobnie, choć daje, ale z umiarkowaniem.

Zważywszy te jego przymioty, dziwić się nie można jego wielkiej sławie i wziętości u współczesnych. On im złożył tę całość historyi polskiej, za którą łaknęli, i złożył ją pomimo wszystkich błędów rozumnie i pięknie; błędy jego były tego rodzaju, że świata ówczesnego nie mogły tak razić jak nas, a na odwrót jego przymioty musiały ich więcej jak nas ujmować. Ciąg opowiadania, jego jasność i żywość odpowiadały właśnie temu, czego oni od historyi żądali, a jego piękna i ozdobna łacina imponowała im wielce i podchlebiała ich miłości własnej; cieszyło ich to, że tym Kromerem i jego dziełem mogli się popisać przed zagranicą.

Dzisiejsza umiejętność mówi o nim, naprzód, że aż do roku 1480 powtarza Długosza, dalej, Wapowskiego żywcem, tak dalece, że po prostu całe ustępy z niego przepisuje. Potem zarzuca mu, że jest tendencyjny; że w czasie, kiedy swoją historję pisał, toczyły się w opinii wielkie walki o podstawy i warunki ostatecznej Unii z Litwą; Korona ciągnęła na stronę administracyjnej centralizacyi, Litwa przeciwnie chciała związku jak najbardziej luźnego. Kromer musiał stać po stronie Korony, i dlatego w całym ciągu dziejów Jagiellońskich, mówią historycy, nakręca fakta i przedstawia je tak, iżby z nich wydedukować się dała na tradycyi i prawie oparta centralizacya; dalej mówią, że jest kompilatorem, że nie ma ani sumiennosci badacza ani zmysłu krytyka, że jest o wiele łatwowierniejszy niż Długosz, a tam gdzie ma wątpliwości i chce rzecz krytycznie rozjaśnić, najczęściej ją zaciemni i zagmatwa zamiast rozjaśnić.

Nie można powiedzieć, żeby on się był wcale do obowiązku krytycznego badania nie poczuwał: owszem, on wątpli

w podaniu starych kronikarzy i stara się dojść prawdy o pochodzeniu i początkach narodu. Cytuje różne źródła, bizantyńskie, niemieckie, ruskie: musiał wiedzieć, że znać je był powinien. Podług niego Polacy nie są Wandalami, ani Dalmatami, ani niezem innem, tylko Słowakami, który to ród jest ten sam co Wendowie, a pochodzi z Sarmacyi, i z Lechem tu nad Wisłę przyszedł. Ale odkąd Kromer przyszedł do Lecha, opuszczają go wszystkie wątpliwości, zdaje mu się, że wyszedł na prostą drogę historycznej pewności i kroczy nią śmiało za drugimi; nie tylko powtarza wszystko, co starzy kronikarze mówili o Lechu, Wizymierzu i jego duńskich zdobywach, o dwunastu wojewodach, Krakusie, Wandzie, Popielach i Myszach, ale nadto ma wiadomości, których widocznie z żadnych już źródeł nie czerpał. Naprzykład, Lech rządził i zniewalał poddanych ojcowską miłością a nie tyrańską srogością; Ziemowit założył szkołę rycerską; o Piaście wie nawet jak wyglądał, był mały i krępy; a otrucie Stryjów Popiela i napad myszy opisuje tak szczegółowo i obrazowo, jak żeby na to był patrzył. Za to o stosunku Polski do Niemiec za Mieczysława, o politycznej stronie i konieczności przyjęcia chrześcijaństwa, ani słowa; może dlatego, żeby uniknąć mówienia o tej zależności od cesarstwa w jaką Polska ówczesna była weszła.

Wszystko to jako przykład jego łatwowierności i braku krytyki. Zarzucają mu nadto, że o czasach sobie współczesnych nie pisał, żeby się nikomu nie narazić. Jeżeli to prawda, to byłby charakterem jak talentem dziejopisarским, człowiekiem średnim, drugiego rzędu. A być może, że takim był: co do charakteru rzecz wiadoma, że miał swoje drobności, swoje próżności; być może, że miał i tę ostrożność lepszą dla dyplomaty, aniżeli dla historyka, i nie chciał dotykać współczesnych wypadków, żeby nie dotknąć współczesnych ludzi. Jeżeli tak było w istocie, jeżeli przez taką ostrożność urwał swoją historję na roku 1506 i czasów na które sam patrzył nie opisał, to ta ostrożność wyszła mu tym razem na złe. Uratowała go może od gniewu współczesnych, ale zaszkodziła jego powadze i sławie u potomnych,

bo przez nią został on tylko kompilatorem, a jego dzieło nie stało się źródłem.

Jakkolwiek bądź ma ono swoje miejsce zaszczytne w naszej historyografii, jak on sam w naszej historii. Wmieszany czynnie w ówczesną walkę religijną, najznakomitszy może po Hozyuszu obrońca katolicyzmu w tych latach, Kromer na polu polemiki religijnej, okazuje się pisarzem tak dzielnym, że literatura musi z uszanowaniem wspominać jego imię. On mianowicie ten przedmiot sporu, tę walkę między Kościołem a Lutrem i Kalwinem, te dowody i racje, które Kościół przeciw nim wytacza, robi przystępnymi dla każdego Polaka, umiającego tylko czytać. Jego *Rozmowy Dworzanina z Mniczem* (zwane krótko *Mnich* 1551, 1552, 1553, 1554) są naprzód doskonałą, bardzo roztropnie i praktycznie napisaną książką, każdemu zrozumiałą, każdemu zdolną trafić do przekonania; są dalej świetnym pomnikiem doskonałego języka; i są nie przez samą formę dyalogową, ale przez sposób rozumowania i dowodzenia, świadectwem, jak autor przejął się starożytnymi wzorami, i jak je doskonale umiał do swojej potrzeby i swego języka stósować. *Mnich* jest w swoim rodzaju pierwszym, ale i klasycznym dziełem; i on to dał ten wzór dyalogu, z którego niebawem korzystać zaczęli tyłu współczesnych i młodszych. Rodzajem, formą i dążnością, łączą się z *Mniczem* dyalogi Wita Korczewskiego (1553), *Rozmowy* o Poście, Czyścu i t. d.: wchodzą w tę samą kategorię pism polemicznych a praktycznych; ale sposobem pisania i rozumowania pozostają daleko za *Mniczem*.

Kromer nie jest jedynym w tych latach historykiem. Z nim równocześnie pisze Orzechowski swoje *Annale*, a te, choć im na tendencyjnym charakterze nie zbywa, są wyjątkiem w jego zawodzie. Wszystkie inne pisma, to broszury, rzeczy tendencyjne, publicystyka owego czasu. *Annale* są jedyną pracą Orzechowskiego, jedyną jego książką, a każą żałować, że ich nie ciągnął dalej i nie napisał całego przynajmniej panowania Zygmunta Augusta. Dziwne to, że człowiek tak zmienny i niestateczny, tak mało

skrupulatny, skłonny do naciągania i przekręcania faktów, pokazał niepoślednie zalety w zawodzie dziejopisarzkim właśnie, a jednak tak jest. Wprawdzie jego niestateczność i niezgoda z samym sobą, przebija wyraźnie w Rocznikach; to, co tu mówi o ludziach lub wypadkach, wręcz sprzeciwia się temu, co o nich mówi gdzieindziej. Jednak, pomimo tego, jest to dzieło prawdziwego historyograficznego talentu. Przedewszystkiem należy się Orzechowskiemu słuszna pochwała za to, że odstępował od tradycyjnego sposobu pisania kronik od Lecha, nie powtarza innymi słowami tego, co już wszyscy przed nim powiedzieli, o orle gnieździe, myszach Popiela, aniołach Piasta, żelaznych słupach Chrobrego i t. d., ale spisuje wypadki, na które patrzył. Było to niezaprzeczenie sprowadzeniem kroniki na właściwą drogę, jedynym sposobem, żeby ona miała wartość źródła historycznego, a Orzechowski pierwszy dał przykład tej zmiany, która była prawdziwym postępem w naszej historyografii. Powtórnie ma tę zaletę, że opowiada doskonale. Żywy, zajmujący, nie pomija rzeczy ważnych dla zajmujących, a te ważne umie opowiadać w zajmujący sposób. W tym zasługuje na pochwałę, że z umiarkowaniem daje piękne retoryczne oracye, a z większym zato staraniem treść i dążność rozpraw.

Nie trzeba zbyt ostro mu wyrzucać, że Słowian i nas Polaków wywodzi od Greków, a legendarnych braci Lecha, Czecha i Rusa czyni wielkimi wojownikami w służbie Aleksandra Wielkiego, który za ich zasługi dał im przywilej na ziemię, zamieszkałą dotąd przez ich plemiona. Zagadka pochodzenia narodów, nierównie mniej w owym wieku niż dziś rozjaśniona, podlegała bardziej niż dziś, najdowolniejszym często domysiom; a do tego, było to passją tego wieku, wprowadzać wszystko i wszystkich ze sławnych i wielkich początków. Jak honor domów prywatnych, tak i honor narodów, wymagał świetnego pochodzenia, a to samo uczucie, które Sforzom kazało wywodzić genealogię od Eneasza i Lavinii, powodowało i Orzechowskiego, że dla narodu polskiego szukał ojców nie mniejszych jak dawni Grecy. Zresztą cały ten fałsz nie zabiera nad kilkanaście wierszy, po

których zaraz przystępuje autor do historyi Zygmunta Augusta.

Pogrzeb starego króla, wyjazd młodego do Wilna a królowej Bony do Warszawy, wreszcie zwołanie sejmu do Piotrkowa, oto cała treść pierwszego Rocznika. Drugi obejmuje ten sejm i burzę o małżeństwo królewskie. Nie przytacza wprawdzie Orzechowski, jak Górnicki, sławnej mowy Boratyńskiego *in extenso*, tylko treść jej podaje, ale obraz całego zaburzenia jest u niego nierównie zupełniejszy, nierównie lepiej pozwala wyobrazić sobie, jak się to odbywało, jak się spór jątrzył, jak różne jego przejścia po sobie następowały, aniżeli opis Górnickiego. Pierwsza prośba Izby poselskiej do króla przez Boratyńskiego, odmowa króla, pomysł Prymasa, żeby grzech rozwodu królewskiego rozłożyć na wszystkich poddanych, odpowiedź królewska przez kanclerza, narada posłów z senatem, a wskutek tej, powtórne prośby do króla i przy nich sławna scena z Kmitą, któremu król głos odebrał, przez co podniósł dopiero wściekłą na siebie burzę, wyraz tej burzy w zuchwałym głosie Rafała Leszczyńskiego, wreszcie odjazd senatorów i posłów z Piotrkowa, anarchia jaka ztąd powstała, wszystko to opowiedziane porządnie i żywo, wysuwa się jedno z drugiego, jedno drugiem objaśnia: widzi się prawie, rozumie się doskonale jak to szło, jak ta burza wzrastała. Orzechowski, niedawno autor paszkwilu na *Obscurum Matrimonium*, zatem jeden z podżegaczy rozruchu, w Rocznikach mówi, że małżeństwo było wprawdzie nieszczęściem, ale nieszczęściem, które odstać się już nie mogło, i oświadcza się przeciw opponentom, słuszność przyznaje królowi, hetmanowi i kanclerzowi. O opponentach zaś mówi, że dla tej żony chcieli króla doprowadzić do abdykacyi a Rzpltę do bezkrólewia, małżeństwo zaś użyto za pozór wicherzenia. Nie małego zaś żywiołu do sporu dodawać miała, jak sądzono, królowa Bona, która za wzgardzoną się mając, podszezuła możnych w senacie ludzi, ażeby małżeństwo to, wszelkimi sposobami zerwali. To wszystko, co sam tak otwarcie i wyraźnie mówi, nie przeszkadza mu potem jak przedtem wychwalać i Bonę, i Kmitę, i innych

ówczesnych wicherzycieli. Jeden z niezliczonych przykładów jego zmienności, jeden z dowodów, że albo przekonanie o ludziach i rzeczach co chwila zmieniał, albo go nigdy nie miał.

Rozpoczęta na tym samym sejmie sprawa o wcielenie Prus i Księstwa Zatorskiego do Rzpltej (także pretext do wicherzenia), uniwersały królewskie zwalające na posłów i senat winę spetzłego na niezem sejm, wreszcie szczegółowo, jasno i zajmująco opowiedziana sprawa zaków krakowskich, uzupełniają ten drugi Rocznik.

W trzecim znowu Sejm Piotrkowski (1550), zwołany nie bez oporu króla, który nie chciał zbierać „tych sejmów na żarty, na których tylko źli ludzie szkodą Rzpltej zarabiają na oklaski gminne“. Orzechowski, rzadka u niego stałość w zdaniu, mówi o exekucyi w roku 1554, kiedy pisał *Annale*, to samo co później w Dyalogu: żąda naprawy Rzeczypospolitej, przedewszystkiem restytucyi jurysdykcyi biskupiej, nie chce zwrotu dóbr nadanych. Szczególnie zajmujący, choć naturalnie najmniej bezstronny jest ten Rocznik przez to, że opowiada w nim Orzechowski swoją własną sprawę, mianowicie mowę, w której na sejmie, pomimo oporu biskupów, zamierzonego małżeństwa swojego ze Straszowną bronił, dalej *colloquium* swoje z biskupami, wreszcie konkluzję, która zgodnym sposobem stanęła, że Orzechowski nie pierwaj się ożeni, aż jak dostanie na to dyspensę od Papieża.

Rocznik czwarty (w edycyi Krauzego i w przekładzie Włyńskiego) cały niemal zajęty jest sprawą własną, mianowicie dalszym jej ciągiem po ożenieniu z Magdaleną Chełmską, za co słusznie gani Orzechowskiego Ossoliński, że rzeczy ważniejsze i publiczne, mianowicie szerzenie się herezyi i spór o jurysdykcyę biskupią, pomija dla własnych; a Braun posądza go z tego powodu, że całe Roczniki były tylko pretextem do opisania sprawy własnej. Że tu bez przechwałek, stronniczości i dyalektycznych naciągów obejść się nie mogło, nie można się dziwić; zresztą Rocznik ten, czwarty, opowiada tylko śmierć Barbary i sprawy węgierskie, mianowi-

cie sprawę opieki nad małym Janem Zapolyą, aż do powrotu królowej Izabelli do Polski.

Sprawa jurysdykcji biskupiej, zaniedbana w poprzednim, staranniej traktowana jest w Roczniku piątym, w którym opowiedziany jest sejm r. 1552. *Interim* w sprawie jurysdykcji i zdjęcie klątwy z Orzechowskiego aż do orzeczenia papieskiego, podróż króla do Gdańska i do Litwy, wreszcie hold Wołoski, zamykają piąty Rocznik, czyli: historię panowania Zygmunta Augusta doprowadza Orzechowski tylko do końca roku 1552.

Szósty bowiem Rocznik, niewłaściwie do tych dodany w pierwszym Dobromilskim wydaniu, opowiada dzieje roku jeszcze 1537, a w Tomicianach (T. XVII) nosi właściwy tytuł „Obrady i mowy podczas głównego zjazdu Korony Polskiej pode Lwowem“.

Rocznik ten¹⁾, który o zdolności i sędzie Orzechowskiego daje gorsze od poprzednich świadectwo, wartości źródłowej ze wszystkich ma bodaj czy nie najwięcej. Naprzód opowiadania i sądu jest tam bardzo mało, tyle tylko ile koniecznie potrzeba, żeby mowy z sobą powiązać i ułatwić ich zrozumienie, (zdaje się, jak żeby autor umyślnie był się starał jak najmniej mówić sam od siebie); prawie całą zaś treść tego rocznika i całą jego wartość, stanowią mowy, które Orzechowski, naoczny świadek wojny kokoszej, zaraz jak sam mówi, w kilku dniach spisał. On sam wygląda w tem piśmie jak człowiek, który czuje doskonale, że to, co się stało, było złe i niedorzeczne: ale częścią boi się powiedzieć to i narazić się na niełaszkę panów braci, częścią zaś ma do tego złego pociąg i sympatyę, choć czuje, że złe jest złem. Inaczej nie można rozumieć niepojętej sprzeczności, jaka się w tej książeczce znajduje. Wszyscy mają słusność, wszyscy dobrzy, wszyscy mądry, wszyscy wielcy. Wielki obywatel i patriota Zborowski, jeden i drugi, Xiężki, Tarszycki i wszyscy inni, wielki obywatel, patriota i t. d. król, hetman Tarnowski, Kmita, który łagodnością uspokajał umy-

¹⁾ Podług Korzeniowskiego pisany w roku 1537.

sły; wielkie i mądre było przedsięwzięcie króla i wielka szkoda, że nie doszła wyprawa wołoska, do której nigdy już może tak pomyślnej pory nie będzie, ale wielkie dzieło i wielka zasługa była tych, którzy tę szkodę sprowadzili i za straconą Wołoszczyznę, wynagrodzili ojczyznę długą litanją trzydziestu kilku gravaminów. To jest wniosek, do którego się przychodzi po przeczytaniu Rocznika, jedno i drugie zdanie można wykazać na własnych słowach Orzechowskiego. Jak takie dwa przekonania mogły się godzić w jednej głowie, jakim sposobem ten sam człowiek mógł i jednej stronie przyznawać słuszność i drugiej jej nie odmawiać? Na takie pytanie jest tylko jedna odpowiedź: Orzechowski przekonania nie miał żadnego; czuł, że szlachta pod Lwowem postąpiła głupio i nie patryotycznie, ale powiedzieć tego i nie chciał i nie śmiał. Z drugiej strony nie śmiał znowu wbrew oczywistości, wbrew zdaniu najpoważniejszych ludzi, o których mu bardzo chodziło, powiedzieć, że Wojna Kokosza miała słuszność przeciw królowi. Zajął więc pośrednie dyplomatyczne stanowisko: nikogo nie obrazić, owszem wszystkim podkadzić, samemu jak najmniej się odzywać i nie kompromitować się. Książka w tym duchu napisana nie przydałaby się na nic, i mogłaby co najwięcej dać wyobrażenie o braku przekonania w autorze, gdyby nie to, że mimo jego woli, w tych mowach, które przytacza jako dziwy mądrości i obywatelskiego ducha, w tych gravaminach albo niedorzecznych, albo nie do zaspokojenia, albo tak błahych, że nie warte były nietylko straconej wyprawy, ale nawet straty marnych słów, nie przebijała wyraźnie cała umysłowa i moralna nędza tego smutnego faktu, i cała ślepa i bezmyślna płochosć tej nieszczęśliwej szlachty, która poszczuta intrygą powtarza z wraskiem jakieś hasła, których nie rozumie i nie sądzi, a przekonana jest, że broni swojej wolności i swojej ojczyzny.

Na ironię doprawdy wygląda to, co mówi do króla naprzykład Taszycki, że „nigdy nie prowadził wojny tak trudnej i tak niebezpiecznej, żeby w niej wierności, stałości, gorliwości naszej nie doznał“, i zaraz dodaje: „świadkiem

Włosza“. Świadkiem, prawda, ale bezmyślności waszej i nie dbałości o Rzpltą, mógł być król odpowiedzieć. Na ironię wygląda to, jak Orzechowski nazywa *Nobilitatiscitum*, w zakończeniu którego szlachta prosi, żeby król już te rzeczy kończyć raczył, bo oni już dwa miesiące próżno leżą pod Lwowem pospolitem ruszeniem! Jak żeby to król był winien, jak żeby on był ich tam trzymał? Orzechowski jednak unosi się nad tem i mówi, że „nigdy wielka ona i właściwa Polakom chwala świetniej nie zajaśniała“ i nazywa ich *gens sanctissima*. Prawda, że zaraz potem opowiada jak ta *gens sanctissima, moestissima* wracała do domu; znać tknęło ją sumienie, a rozsądek wracał po niewczasie. Sam płacze nad taką siłą, postawioną w polu na darmo i taką straconą sposobnością: ale upomnieć, zgromić, nie, tego nie robi, tylko w zakończeniu jeszcze przeprasza, że owych mów sławnych nie powtórzył tak pięknie jak były powiedziane, i jeszcze chwali Taszyckich, Zborowskich, Xiążkich i *duos principes senatus*, za ich mowy tak piękne i zachowanie tak szlachetne, a jednak tak wprost sobie przeciwne. Słusznie mówi o nim choć surowo Ossoliński, że „powinien był raczej wytknąć tajemne sprężyny, możniejszych zemstę i miłość prywaty, i na postrach wiekom wystawić szkaradę niesforenego rokoshu, który gdy królowi to płonnie, to złośliwie zajatrzonemi dokuczał zarzutami, granice kraju, wszelkiej obrony pozbawione, na łup Włoszy podawał“.

Nie uzupełnia tego braku i nie nagradza tej szkody. Panegiryk na uroczystość wesela Zygmunta Augusta z Katarzyną Austryaczką, który musiał na swój czas być tem, czem bywają dla nas codzienne kroniki po dziennikach, zdające sprawy z różnych wydarzających się dworskich parad i uroczystości. Po wiejskich dworach czytać musiano z niesłychaną ciekawością opowiadanie o przepychu, z jakim się odbył w Krakowie wjazd i koronaeya nowej królowej; wyobraźnie musiały skwapliwie chwytac te różne szczegóły i składać sobie z nich obraz licznych, jaskrawo ubranych pocztów wojskowych, złocistych powozów, jaskrawych wspinałych ubiorów, kosztownych podarunków, złożonych królo-

wej przez wszystkich monarchów Europy, począwszy od cesarza. O tem wszystkim prawi Orzechowski szeroko, stylem zanadto w stosunku do rzeczy wspaniałym i pompatycznym, a te szczegóły są właśnie głównem zajęciem tego pi-semka, bo choć same przez się drobne i nieznaczące, rzucają zawsze niejakié światło na obyczaje i sposób życia tego wieku.

Oprócz opisu uroczystości weselnych niema w Panegiryku nie, tylko nieskończone, przesadzone, areypanegiryczne pochwały Domu Austryackiego i Katarzyny. Dawny nieprzyjaciel i szkalownik biednej Barbary nie posiada się z radości na widok tej, która zajęła jej miejsce, i nie zna miary w umiesieniach i pochwałach. Wielki ród, wielkie enty, wielką mądrość, wysławia pod niebiosy, a nawet bezczelnie już zachwyca się i nad Wenerze nie ustępującą pięknoscia brzydkiej i odrażającej Katarzyny. A co z niej będzie za pożytek i chwala narodowi! „Zygmunt nieboszczyk niczem tak nie jaśniał jak swoim z Boną małżeństwem, która pierwsza cywilizacyę do Polski wniosła. Te bogactwa, ta obyczajów oglada, te nauki, ta wasza we wszystkich umiejętnosciach wysoka doskonałość, zkad się wzięły, jeżeli nie z Zyg-muntowego z Boną ożenienia? Bona to wszystko zrodziła: ona to z sarmackiej dzikości wyprowadziła nas do ludzkiego i okrzesanego sposobu życia, ona sprawiła, że cywilizacyą Włochom, nauką Grekom dorównaliśmy“. Gdzież dopiero zaprowadzi nas wpływem swoim Katarzyna, która nas już tak dobrze przez Bonę przysposobionych zastaje?

Pochwały austryackiego domu, świętego, najmądrszego, najpotężniejszego, nie mają końca ani miary. Ferdynand I zrobił dla Polski więcej niż ktokolwiek na świecie, uratował ją, zbawił, bo Polska niezawodnie byłaby zginęła, gdyby ten król wielkoduszny nie był jej dał córki swojej Katarzyny na królowę. Dlaczego? Pytać nie trzeba, bo odpowiedzi na takie pytanie niema; dość, że bez Katarzyny byłoby już po nas. Co więcej, taki jest związek między Polską a Austryą, między domem cesarskim a Jagiellońskim, że jedno bez drugiego być nie może i musialoby upaść. Gdyby Kazimierz nie był pojął areyksięźniczki Elżbiety, nie

bylibyśmy mieli króla Zygmunta i świętego królewicza Kazimierza; gdyby Ferdynand nie był miał za żonę Jagiellonki, gdzieby dziś były Węgry a może i Rzesza? U Turka. Tak samo pojąć nie można, coby się było stało z Polską, gdyby Zygmunt August nie był poślubił Katarzyny?

Odpowiedź łatwa. Że dom austriacki dobrze wyszedł na ożenieniu Ferdynanda z Jagiellonką, która ostatecznie wniosła w ten dom koronę węgierską, to jasne; ale gdyby Zygmunt August nie był się ożenił z Katarzyną, nie trudno domyśleć się, coby się było stało: byłby się ożenił z inną, a wtedy, kto wie, byłby może zostawił syna. Z przykrością też czytają się te zachwyty Orzechowskiego nad tem małżeństwem nieszczęśliwym i bezpotomnem, a wśród tych pompatycznie opisanych przepychów i uroczystości, myśl szuka bohatera tych festynów, biednego króla, i wyobraża go sobie tęsknie wspominającym straconą Barbarę, zrażonym na widok nowej żony i czującym do niej początki nieprzewyciężonego wstępu, i zadumanym smutnie o losach tej korony, dla której sam siebie w powtórnych ślubach oddawał na ofiarę.

Rey zmienił się znacznie przez te lata. Dawniejsze uważać można za pierwszy okres jego pisarskiego zawodu, teraz zaczyna się drugi. W tamtym pisywał rzeczy mniejsze, potoczne i tendencyjne, jak dyalogi; a kiedy przerabiał większego *Józefa*, miał niewątpliwie podobny cel, dydaktyczny i moralizujący, a nauką i morałem mierzył w ten ogół czytelników, których nazywa prostytutkami. Teraz cel jego został ten sam i zostanie do śmierci; ale sposób jest inny, zmienił się. Nie wiemy czy dość ściśle wyrażają się ci, którzy nazywają Reya pisarzem ludowym. W naszych czasach nazwa ta daje się tym, którzy książki swoje piszą wyłącznie, a przynajmniej przeważnie, dla ludu wiejskiego; mniej ważny czytelnik dzisiejszy mógłby z nazwą przenieść i pojęcie w wiek XVI. Rey tymczasem pisze dla szerokiej publiczności, dla ludzi mniej oświeconych, chce przez takich być zrozumianym, im dostarczyć i wiadomości, i obroku duchownego, i tej nowej prawdy religijnej, do której sam przyłgnął;

ale tak czyniąc nie ma na myśli wsi, tylko dwór, nie włościańskiego ale szlacheckiego czytelnika. Że zaś pojęciami, zwrotami, tonem, jędrnością mowy, zbliża się do wiejskiego ludu, tak, że my po wiekach widzimy niezaprzeczone podobieństwo pomiędzy starym pisarzem a dzisiejszym włościaninem, to nie ztąd wynika, jakoby on tego podobieństwa chciał i szukał umyślnie, ale ztąd, że przed wiekami to podobieństwo było większe, różnica w pojęciach, w mowie, w stopniu oświaty, była mniejsza między różnymi warstwami społeczeństwa. Cywilizacya bliższa swego początku, więcej pierwotna, utrzymuje się na jednym a przynajmniej bliskim poziomie, więcej rozwinięta dzieli się na różne stopnie.

Jakkolwiekbydz, za młodu Rey choć znany i sławny, brał się do pisania dorywczo tylko, pod wpływem okoliczności lub wrażenia. To, co dostrzegał lub myślał, zawarł w satyrycznym, raczej tylko dydaktycznym dyalogu, i na tem przestawał. Na dzieła, na systematyczne i pracowite pisanie się nie zrywał. Ale teraz jest inaczej. On sam przeszedł już młodość, a te wyobrażenia i te uczucia, które wyrażał, te dążności, którym służył, rozrosły się, dojrzały, spoteźniały. Protestantyzm coraz silniej czujący się w sobie, coraz ufniejszy w zwycięztwo, potrzebuje i propagandy śmielszej, głębiej sięgającej. Potrzebuje tem bardziej, że katolicy ocknęli się i zaczynają się bronić nie żartem. Trzeba ich uprzedzić, przed nimi zabezpieczyć te tysiące dusz i umysłów, które nie miały jeszcze sposobności poznać prawdę Bożą i nad nią się zastanowić!

Z takiego popędu wyszło pierwsze większe dzieło Reya, *Postylla* (1557).

Nam wydaje się to zarozumiałością i niesumienniścią wprost oburzającą, żeby człowiek bez głębszej nauki w ogóle, a bez żadnej już nauki teologicznej, śmiał się porywać na wykład Pisma Św. Tamten wiek nie brał rzeczy tak ściśle; a zwłaszcza nie brał ich tak protestantyzm polski. Odpowiedzieć jego bieżącej potrzebie, szerzyć jego naukę w sposób dla każdego zrozumiały, to wystarczało zupełnie. A czy wykład tej nauki i jej dowody były głębsze czy powierz-

chowne, czy z poważnych studyów wydobyte i własne, lub też z obcych (niemieckich głównie) i pobieżnych byle namiętnych pism pożyczone, o to nie pytał czytelnik, nie pytał też i autor. Potrzebie swoich współwierców uczynił Rey zadosyć *Postyllą*, wykladał ich naukę językiem przystępnym, namiętność przeciw Kościołowi podzegał usilnie. Dla czasów dzisiejszych, dla literatury polskiej, *Postylla* ma dziś to znaczenie, że była pierwszym dziełem większym, pisanem po polsku; że język jej nie tak piękny jak język Kromera w *Mnichu*, jest żywy, jędrny i prawdopodobnie służy i pomaga tym, co jak Orzechowski i Górnicki zaczęli niebawem pisać prozą polską na prawdę pięknie. Ciekawą jest *Postylla* przez to, że Rey, ze swoim zmysłem praktycznym, stosuje swoje nauki religijne i moralne do przykładów polskich z życia wziętych. Obserwacya i doświadczenie dostarczają mu coraz nowych i licznych przedmiotów; ztąd jest *Postylla* świadectwem i źródłem ważnem do poznania obyczajowego stanu ówczesnej Polski. Ale dar spostrzegawczy i zdrowy rozsądek jest podobno najbardziej charakterystycznym i największym przymiotem, jaki na podstawie tego dzieła da się przyznać umysłowi autora; żyłka satyryczna, koncepta lub charakterystyki nie bez pewnej siły, i zdolność napisania dużej książki dobrym prostym językiem, to znowu przymioty, które na tej podstawie przyznać można jego pisarskiemu talentowi.

Ale moralizator i propagator nowych religij, nie pozostał na jednym i na suchem nauczającym dziele. Wiek jego wierzył w *utile dulci*, a zamilowanie celu radziło służyć temu celowi działaniem na wyobraźnię, na uczucia; Rey napisał wielki dydaktyczny poemat. Czytał on przez te lata wiele, dowiedział się wiele o starożytnych dziejach i męzach, o filozofach, poetach; ta nabyta erudycya miała się przecie także pokazać i wydać plon.

Dydaktyczny poemat włoskiego humanisty Marcellego Palingeniusa *Zodiacus Vitae*, widocznie podobał mu się swoją treścią i wydał do jego celu sposobnym, skoro go przerobił. Przerobił, nie przetłómaczył. Wiele wprawdzie ustępów i wy-

wodów są prostym, nie zbyt wiernym, przekładem; ale dydaktyczny Traktat zdobi się u Reya powieściową niby fabułą, wędrówką młodzieńca. Ta wędrówka, te filozofy, które młodzieńcowi dają nauki, to już Reya wymysł i dodatek; a z jego własnej głowy wyszły oczywiście także te wszystkie, dla nas najciekawsze ustępy, które się odnoszą do ówczesnego życia i obyczaju polskiego.

„Wizerunek własny żywota człowieka pocziwego, w którym jako we zwierciadle snadnie każdy sprawy swe oglądać może zebrany y s filozofów y z różnych obyczajów świata tego“, jestto ni mniej ni więcej tylko poemat w dwunastu pieśniach, rozdziałami nazywa je autor, poemat, którym autor jak drugi Dant, opisuje piekło i niebo, w którym obok mędrców starożytnych, występują prorocy starego zakonu, chrześcijańscy święci obok Minerwy, Venery i Diany, w którym (zważywszy tę rozmaitość opisywanych miejsc i figur) fantazyja poetyczna Reya miała sposobność pokazać co umie; poemat dydaktyczno-moralny, ciekawy jako pomnik swojego czasu, jako świadectwo ówczesnego wyrobienia języka i zdolności poety, zajmujący przeto dla tego kto chce robić studia nad Reyem albo nad polskiem *Cinque Cento*; dla zwykłego czytelnika zabójczo ciężki.

„Sprawa tych książek — mówi autor w przedmowie — iest tha: Iż iest rzecz zmyślona y z innych uczonych zebrana która tak idzye: Iż Ipokrates on Philozoph sławny uczynił rzecz do discypułów swoich, wiodąc ie ku pocziwym enotom, y ku enotliwym stanom przypominając im y bojaźń bożą y bieg a omylność świata tego, którym discypulem jego każdy z nas rozumieć się może, iż nam tego wszystkim potrzeba. A to będzie Rozdział pirwszy który zową Ipokrates.

„Rozdział drugi, iż młodzyeniec ieden z onych discypułów słysząc ono upominanye które mu się dobrze podobało, nie zdało mu się ieszcze dosyć na thym, szedł niedaleko do drugiego philozopha którego zwano Diogenes prosząc aby mu to szyrzy rozwiódł“. I tak dalej: poemat cały jest wędrówką owego discypula Ipokratesowego od Filozofa do Fi-

lozofa, każdy z nich daje młodzieńcowi jakąś zbawienną naukę moralną jak ma żyć; żadna nie wystarcza mu zupełnie, ale wszystkie te nauki razem składają jakoby kodex obowiązków i zbiór prawideł, których człowiek trzymać się ma jeżeli chce żyć jak powinien. „A tak pod figurą tego tho młodzieńca każdy się z nas tak tulać a thak się pytać powinien o powinności swojej cnotliwej, aby nie żył jako inie nieme zwierze y nie tracił sobye marnie wezwania y błogosławyństwa swego“. Oto cel, dążność dzieła; a z niej już domyślać się można, że treść będzie ciężka. Dwunastu filozofów, dwanaście rozpraw o różnych marnościach i niebezpieczeństwach tego świata, o różnych cnotach i grzechach, to temat, którego i najpotężniejsza inwencya poetyczna urozmaicić i ozdobić by nie potrafiła. Tu zaś inwencya jest dziwnie naiwna, dziecinna, słaba, wiersz jak zwykle u Reya, rymujący na te same przypadki przymiotników lub imiesłowów, na te same czasy, liczby i osoby różnych czasowników, zatem nużący i męczący swoją pierwotną łatwością i jeduostajnością. Nie znajdując formy, nie znajdując natchnienia, wyobraźni, zdolności poetycznej, szuka się zalet dzieła i jego wartości w czem innem. Obfituje ono w ustępy satyryczne, szuka się więc w tych przyganach bądź dowcipu, bądź charakterystycznych rysów ówczesnego obyczaju; ale i tu znajduje się mniej, niżby się można spodziewać.

Kiedy więc ów cnotliwy młodzieniec, który tak gorąco pragnął nauczyć się swojej powinności, usłyszał od Hipokratesa, że człowiek z natury jest jak gola tablica, na której zostaje to, co się na niej zapisało za młodu, kiedy się dowiedział, że na tej tablicy zapisać się powinna przedewszystkiem poczciwość jako najważniejsza, a dalej rozum i nauka, kiedy usłyszał, że bogactwo, znaczenie i inne marności tego świata bez cnoty i rozumu są za nic, i kiedy pomiarował trafnie, że mistrz dopiero mu powiedział, iż jest jakaś cnota i że jest potrzebna, ale nie to czem ona jest i w czem polega, puszcza się na wędrowkę za szukaniem prawdy i nauki, i zachodzi naprzód do filozofa Diogenesa. Samo imię mieszkańca sławnej beczki, filozofa, który niczego

nie potrzebował, wskazuje, że ten rozdział poematu (drugi z rzędu) poświęcony będzie chwale mierności i wstrzeźliwości. Rzeczywiście prawi Diogenes o próżności bogactw i szkodliwości zbytków, a jakżeby był czytał Horacego, jako ostatnią naukę, daje mu *axiomat medium tenere beati*, „ci są błogosławieni, co się w środku dzierżą“. Axiomat nie Diogenesowej widocznie ale praktycznej, rozsądnej, a wygodnej Horacyańskiej i Reyowej filozofii życia. Rozdział ten o tyle jest tylko ciekawy, że przez oburzenie Diogenesa na zbytki przebija ówczesne wyobrażenie o zbytku, że można z niego poznać co w oczach Reya, zatem w oczach szlachty polskiej, uchodziło za zbytek wielki, zadziwiający, może gorszący. Te marmury, szpalery, pawimenta, fladry, to oczywiście przepychy ówczesnych zamków; tak musiało być na Tęczynie albo na Wiśniczu, tego wymagało wystawne i piękne urządzenie mieszkania. A że wedle stawu musiała być i grobla, więc wystawnym sprzętom odpowiadać musiał stół wystawny i wymyślny, w czem tamten wiek był o wiele mniej umiarkowany, o wiele dzikszy od naszego. Rey często wspomina różne jakieś potrawy dziwnych kształtów, udające z postawy lwa, słonia, krokodyla lub inne dziwne i niewidziane zwierze, a dla większej wspaniałości oklejone złotem malarskiem. Z oburzeniem gniewa się Rey, że lew taki udziałany w środku tygodnia, czeka niedzieli, żeby zadziwił gości na uczenie swoim widokiem, a tymczasem stwardniał, zczerstwiał, zepsuł się tak, że albo go ugryźć nie można albo strawić. Gniewa się także na zbytnią obfitość stołów, na rozliczne i drogie wina, na pijaństwo, którego skutki opisuje *con amore* w słowach, które dziś żadną miarą zacytować się nie dają; przypomina, jakie ze zbytków takich rodzą się przeróżne choroby, katarus, kankry, cyrogry, karbunkulusy. — Najtrafniejszy, dziś jeszcze najbardziej do przystosowania jest kiedy opisuje finansowe skutki wystawnego i zbytkowego życia. Co zabawne to, że skromny Diogenes, choć tak powstaje na zbytki, zna się na jedzeniu, na złą pieczeń oburza się tyle, co na złocone lwy, a z taką czułością, tak pieszczośliwie mówi o kurczątkach dobrze upieczonych, o tłustych prosiąt-

kach, o zajęczkach, ptaszkach, rybkach, sałatkach, wineczkach i t. d., że znać, iż ten Diogenes był jednym z zawołanych smakoszów i żarłoków swego czasu.

Porzuciwszy Diogenesa, którego nauka nie zaspokoila go dostatecznie, spotyka młodzieniec na drodze swojej Epikura. Nie trzeba nic więcej do obudzenia ciekawości w czytelniku. Jak mógł wyglądać ten mistrz wesolego używania w wyobraźni Polaka z XVI wieku? Jak pojmowano u nas rozkosz, obyczajną lub nie, pozwołoną lub zakazaną, mniejsza o to: ale czy ten Epikur Reya, ten Zamek rozkoszy, do którego on młodzieńca prowadzi, będzie miał jakie podobieństwo z otwartem, naiwnie niewstydliwem, a tak delikatnem, wyrafinowanem a klasycznie pogodnem używaniem życia, jakie jest w Dekameronie; albo czy będzie miał coś wspólnego z rozpustą współczesną włoską, rozpustą na wielką skalę i w wielkim stylu, która często zaprawna zbrodnią, zawsze była zaprawna namiętnością, zawsze wysokim artyzmem? Jednego i drugiego trudno spodziewać się w naszej Polsce a zwłaszcza u Reya; ale może znajdzie się w nim coś, co przypomni lubieżną, dowcipną, dworską nieprzyzwitość Brantôma, albo przynajmniej gruby śmiech i rubaszną wesołość Rabelais'go? Słowem, jego Zamek rozkoszy, czy będzie pełen namiętności, elegancyi i erudycyi, jak dwory Gonzagów, Estów, Medyceuszów, czy pełen elegancyi, dowcipu i płochości, jak dwór Franciszka I-go? Czy będzie dworem? Czy będzie karczmą? Nic z tego wszystkiego. Czy panował u nas pudor, który poecie tylko tonem moralisty i kaznodziei pozwalał mówić o rozkoszy, czy może, a prawdopodobnie, byliśmy tak jeszcze pierwotni, że nasza rozpusta trzymała się form najprostszych i najgrubszych, czy wreszcie Rey nie umiał lub nie chciał rozwodzić się nad tym przedmiotem, dość, że ktoby chciał z pomocą „Wizerunku“, porównywać rozkosz i rozpustę w Polsce ze współczesną włoską lub francuzką, dozna zupełnego zawodu. Epikur jest poważnym starcem, starannie ubranym, czerstwym, który tonem pedagoga pedanta, uczy młodzieńca, że jedyną prawdą i rzeczywistością w życiu, jest użycie, a królowa „Rozkosz“

zachowuje się w swoim zamku z przyzwoitością, której naj-surowszy cenzor nie znalazłby nic do zarzucenia. Łaskawie przyjmuje gości, każe ich częstować jedzeniem i winem, chodzi po swoim ogrodzie, rozmawiając z fraucymerem, słowem jakaś to rozkosz sztywna, nie powabna wcale. Być może, że Rey nie śmiał popuścić cugli fantazyi, że opinia ówczesna była surową, ale to pewna, że powaga i cnota mogłyby zachować się tak, jak ta Rozkosz. Same rysy konwencyjonalne i nieznaczące, które zarówno jej jak każdej innej personifikacyi służyć mogły: była piękna, bogato ubrana, otoczona licznym dworem, tyle. Dwór ten nazwany jest po imieniu, a te imiona jedne wskazują, że to nie jest siedli-sko cnoty. Fraucymer królowej składa Venus, a prócz niej wszystkie grzechy główne, nazwane swojemi łacińskimi nazwiskami, *Superbia*, *Luxuria*, *Invidia*, *Ira*, *Avaritia* i t. d. ochmistrze nazywają się *Fraus* i *Dolus*. Próżno zresztą szukać czegoś, coby rzucało choć najmniejsze światło na obyczajowość ówczesnej Polski, co najwięcej dowiemy się z tego ustępu poematu, co uchodziło u nas za piękny rozkoszny ogród. Oczywiście symetryczny, odmierzony ogród włoski. Wszystko to zaludnione ptakami, królikami, wiewiórkami, sarnami: co trochę to „chłodniki na rogach (symetrycznie) pięknie rozstawione, z cyprysowego drzewa i z kości słoniowej, wykładane kamieniami i perłową macią. Taki przepych oczywiście tylko w ogrodzie królowej rozkoszy mógł być, a nie w prawdziwych ogrodach polskich; ale z tego suchego inwentarzowego spisu Reya, w którym ani opisu ani uczucia natury dopatrzeć się nie można, można przecież zrobić sobie wyobrażenie o tem, co rozumiano u nas przez piękny ogród, a nie jest to zupełnie obojętnem. Zamiłowanie w sebludnem i ozdobnem otoczeniu domu, zamiłowanie kwiatów, naginanie natury do jakiegoś jej artystycznego ideału, jest zawsze znakiem cywilizacyi już posuniętej, smaku już kształcącego się. Ile razy Reyowi przyjdzie opisywać piękną naturę, zawsze opisuje ją w ten sam sposób, ogród Rozkoszy może służyć za przykład, z którego można powziąć wyobrażenie o wszystkich jego opisach.

Młodzieniec wpisany przez Epikura w poczet dworzan Rozkoszy, byłby pozostał w jej zamku, gdyby na jego szczęście nie była stanęła przed nim Minerwa, w towarzystwie swoich panien służebnych, Prudencji i Dyskrecyi, i ta, wyłajawszy srogo Epikura, Młodzieńcowi przedstawiwszy opłakane skutki wszelkiej rozkoszy, rozkoszy jedzenia, picia, próżnowania, rozkoszy Venusowej, kazała mu czym prędzej wychodzić z zamku tej, która

Zda się jakoby była bogini,
Lecz gdy lepiej obaczysz, podobniejsza k'swini.

(Porównanie ze wszystkich najulubieńsze widać pocie bo powtarza się ustawicznie i w wyrazach o wiele jeszcze dosadniejszych). Na utwierdzenie zaś w dobrych zamiarach obiecuje Minerwa Młodzieńcowi, że mu przyśle swego syna rozropne dziecię Ratio, które go wszystkich rzeczy potrzebnych do wiedzenia nauczy.

Wszystkie te mitologiczne maszyny, Minerwy, Diany, Venery, nieodłączne od uczoności ówczesnej, a tu używane tak niezgrabnie, i nieumiejtnie, i niepotrzebnie, dowodzą tylko tego, że Rey im więcej czuł w sobie brak nauki, tem więcej starał się go zakrywać. Zdobi zatem rzecz swoją imionami bogów i filozofów starożytnych, żeby też choć trochę na humanistę wyglądać; niekiedy nawet zapuszcza się w krytykę i popisuje ze swojemi wiadomościami, n. p. kiedy dowodzi, że to jest zmyślenie poetów, jakoby Venus była się urodziła z morskiej piany. Urodziła się ona jak wszyscy ludzie, z ojca Uraniusa i matki Lopade i była sławną z piękności białogłową.

Czwarty rozdział poświęcony jest ważnej kwestyi, co człowiek pocziwy począć ma z miłością i jak się pod tym względem zachować. Obiecany, mythologii nieznan syn Minerwy Ratio naprzód, a następnie filozof Anaxagoras, uczą młodzieńca, że miłość jest człowiekowi wrodzona, żaden uniknąć jej nie może, ale, że skoro miłość nieporządna, robi z ludzi błaznów, albo występnych, albo nieszczęśliwych, przeto człowiek pocziwy powinien się ożenić. Ta jest krótkka

treść rozdziału, wyciśnięta z długich rozpraw; a w tem wszystkim dwa ustępy zwracają na siebie uwagę. Jeden, w którym Rey rozróżnia cztery rodzaje miłości, i mówi, że jedna idzie z podchlebstwa (miłości własnej, próżności), druga z pożytku, trzecia ze zbytku (ze zmysłowości i rozpusty), czwarta dopiero z prawdy: rozróżnienie niezawodnie trafne. Druga rzecz ciekawa jest napaść Reya na bezzennych, a mianowicie na księży i zakonnice w gwałtownym tonie polemiki ówczesnej, echo tego, co w całej Europie mówili protestanci.

Sokrates (rozdział piąty), powtarza radę Anaxagorasa co do ożenienia, każe roztropnie wybierać żonę, dobrze chować dzieci, uczy mierności, roztropności, bojaźni Bożej; inny radzi trzymać się zdala od dworów, jeszcze inny dowodzi, że człowiek poczciwy nie powinien bać się śmierci. Platon naucza o nieśmiertelności duszy, o naturze ludzkiego ciała (cztery temperamenta), Zoroaster o wpływie planet na losy i usposobienie ludzi. Jeszcze inny daje małą lekcję geografii i fizyki, uczy, co są rzeki, góry, morza, co deszcz, śnieg, grad i inne fenomena w naturze; z tego wszystkiego najciekawszy jeszcze jest Zamek Tumultus, z satyrycznym zamiarem, choć niedołężnie kreślony obraz dworskiego życia, kto wie, czy współcześni nie odgadywali w nim jakich alluzyj do znanych sobie ludzi: ksiązę, znużony i wybladły, który o wszystkim musi myśleć swoją głową, nazywa się Zelator, a jego dworzanie zowią się Invidus, Cupidus, Avarus, Privat, Simulator, Rixa i t. d.

Po tylu naukach wreszcie, żeby się lepiej w enocie utwierdził, Młodzieniec zaprowadzony jest do piekła przez Solona. W piekle tem niema oczywiście nic Dantejskiego; za to jest teologiczny i polemiczny pierwiastek protestantyzmu. Teologiczny tam gdzie Solon uczy, że niema czyśca i powstaje na odpusty; polemiczny i satyryczny w tem, że całe piekło zaludnione jest księżami, biskupami, a zwłaszcza mnichami. Warto widzieć na co zdobyć się mogła fantazya Reya, kiedy się puszczała na obrazy straszne i przerażające. Oto jako przykład jego djabły: Warchoł król Rozterków, król Pychy, Żarłok król opilstwa, wreszcie jenerał

Lucyfer. Oprócz tego są gracze, złodzieje, oszusty, gamraci rzemieślnicy, kupcy, szynkarze, muzycy, żołnierze, a Żydów, Tatarów i Turków „jak szczurów w spizarni“.

Potem prorok Eliasz oprowadza go po raju; opis raju podobny bardzo do ogrodu rozkoszy, a nauki proroka ograniczają się do zwykłych przytyków do księży, wyrzekania na odpusty, spowiedzi, obrzędy katolickie i t. d. Przy wyjściu z raju, który Młodzieniec z żalem opuszcza, spotyka on Arystotelesa, który jako największy z filozofów, reassumuje nauki wszystkich poprzednich, uczy młodzieńca jak ma żyć poceziwie, a w zakończeniu poematu tłumaczy autor „sens tych książek“.

A więc ten poemat bez inwencji, bez wyobraźni, bez formy, оголоcony z wdzięku, upstrzony gdzieniegdzie ustępami satyrycznymi, których wartość leży nie w dowcipie, ale w tem jedynie, że rzucają niejaki światło na stan wyobrażeń i obyczajów w owym czasie, wartości poetycznej nie ma najmniejszej. Co do treści, Wizerunek wydaje się, jak żeby przygotowaniem do najznacniejszego z dzieł Reya, do Żywota poceziwego człowieka. Ten sam duch, ta sama dążność, to samo piętno zdrowego rozsądku, te same mechanicznie z nim połączone ozdoby ze starożytnego świata, te same nieraz myśli, argumenta, przykłady, porównania, cytacje. Tylko „Żywot“ ma nad „Wizerunkiem“ tę naprzód wyższość, że jest zupełniejszy, gruntowniej pomyślany, a potem i nadewszystko tę, że nie jest poematem.

I tak przeszło pierwszych dziesięć lat panowania Zygmunta Augusta. Dwa dzieła wielkiej wartości, ale oba w łacińskiej prozie. Zajmujących nie mało, są nawet i świetne jak Polonia Kromera; ale Kromer wyjątkowo tylko, dla praktycznej potrzeby pisze po polsku, a Orzechowski zawsze jeszcze tylko po łacinie. Rey uprawia prozę polską, i niewątpliwie przyczynia się do jej wyrobienia, ale jej jeszcze wysoko nie stawia. Poezyi zaś niema w tych latach zgola, bo nie jest nią Reyowy Wizerunek. A więc nie bogaty plon tych lat dziesięciu? Nie mały, skoro w nim mieści się największe polityczne i największe teologiczne dzieło polskie,

tego wieku. Ta zaś literatura piękna, ta poezya, która zdaje się uszpioną, której nie nawet nie zapowiada widocznie, ona już jest, już się rozwija w cichości, już ma na kwiat, i tylko patrzeć jak tym kwiatem niespodzianie, jak cudnie za-
błyśnie.

Czy wiersz Kochanowskiego *Czego chcesz od nas Pannie*, był, jak chce dawna tradycya, pierwszym, jaki młody poeta z zagranicy do ojczyzny przysłał, czy też, jak dowodzą nowsi krytycy, musiał być późniejszym, mniejsza o to. Mniejsza o wiersz ten lub ów, kiedy jest poeta i poezya. A Kochanowski już jest; już przebył swoje lata nauki, poetycznego terminowania we Włoszech i Francyi, i już wrócił do ojczyzny na to, by pokazać jaka rodziła się piękność, jaka idealna prawie szlachetność natury i żywota, jaka wysokość poetycznych natchnień i jaka artystycznych form doskonałość, kiedy wpływ starożytnego świata, wpływ humanizmu połączył się z naturą polską w jej lepszym gatunku, i z szlachetną otwartą inteligencyą.

A za te hojne dary, które od Pana odebrał, oddał ze swego jednego talentu, oddał dobry dzielny sługa myśl rozwiniętą i dojrzałą, uczucie wzniesione, słowo najwyższych rzeczy zdolne i godne, oddał ten kwiat twórczości ludzkiej, który się nazywa poezyą, i ten dla narodu swego tytuł prawny do liczenia się między oświecone i myślące narody, który się nazywa literaturą, prawdziwą i zupełną.

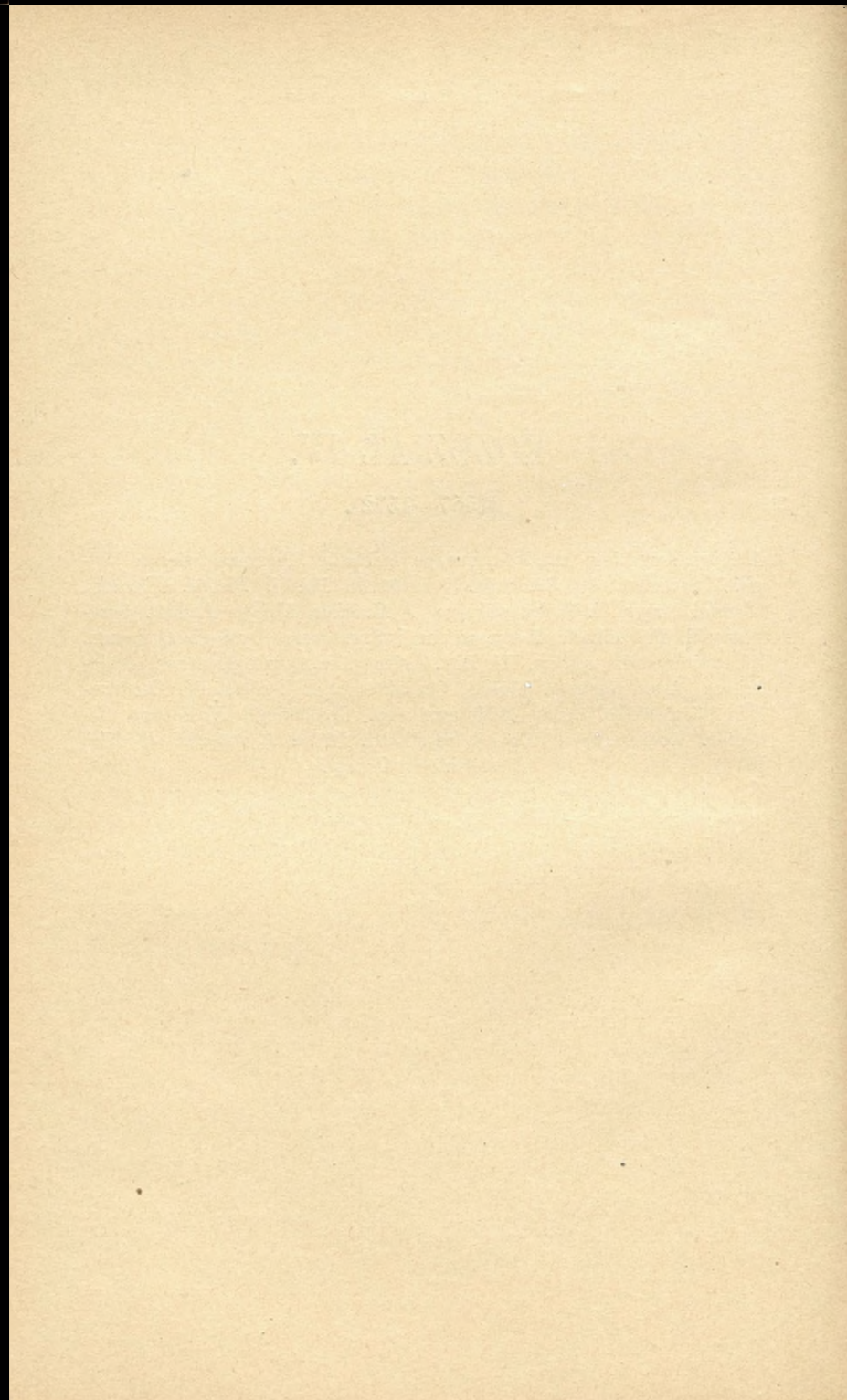
Słusznie jest od tej chwili datować nowy okres w historii tej literatury.



ROZDZIAŁ IV.

(1557—1572).

I. Kochanowskiego młodość, poezye łacińskie. Pierwsze wiersze polskie. Stosunek do Ronsarda. Powrót do Polski. *Pieśni. Fraszki. Zgoda. Satyr.* II. Modrzewskiego *O Kościele Księga Druga.* Orzechowski. Polemika z Modrzewskim i Stankarem. Dyalogi. Quincunx. Charakterystyka ogólna. III. Rey. Zwierzyniec. Żywot poczciwego człowieka. Apophtegmata. Figliki. Charakterystyka ogólna. IV. *Dworzannin* Górnickiego. *Sylwy* Modrzewskiego. Goślickiego *Najlepszy Senator.* Kochanowski. Wyjście ze służby. *Muza. Proporzec. Wróżki.* Ciesielskiego *Oracya.*



I.

Kochanowskiego młodość. Poezye łacińskie. Pierwsze wiersze polskie. Stosunek do Ronsarda. Powrót do Polski. *Pieśni. Fraszki. Zgoda. Satyr.*

Wiadomo, że dzieje młodości Kochanowskiego są bardzo niepewne. Nie będziemy tu tych niepewności roztrząsać, ani pomiędzy różnymi przypuszczeniami rozstrzygać, bo stanowczych dowodów nie ma za sobą żadne. Dawne podanie, jakoby przez czas jakiś był na naukach w Niemczech, zdaje się być uchylonem na zawsze; niewątpliwem jest, że się uczył w Krakowie, dłużej czy krócej nie wiadomo, a potem w Padwie i w Paryżu. Jak długo tam, jak długo tu? O to spierają się badacze. Niektórzy dowodzą, że pobyt we Włoszech trwał znacznie dłużej, w Paryżu znacznie krócej niż sądzono (dotychczas liczone na ten ostatni lat dwa). Podług tego zdania, wszystkie niemal wiersze łacińskie, dzielone dotąd między Padwę a Paryż, byłyby powstały w Padwie; i tam także miała dręczyć młodego poetę owa miłość, do Lydy, której tyle śladów pozostało w jego łacińskich wierszach. Nie zupełnie temu twierdzeniu wierząc, nie mając też niezbitych przeciw niemu świadectw, zostawiamy to pytanie w jego niepewności, a nie przypisujemy mu nawet bardzo wielkiej wagi. Gdzie Kochanowski swoje elegie pisał, i czy jego Lydia była Włoszką czy Francuzką, to rzecz obojętna; ważną jest tylko ta, że zagranicą łacińskie wiersze pisał, i pytanie, jakie te wiersze są, jakie ich w naszej literaturze znaczenie.

Nie dochodząc tu zatem, które z tych młodocianych wierszy gdzie i kiedy powstać mogły, bo takie dochodzenie należy do szczegółowego studyum o Kochanowskim samym, poprzestajemy na ogólnym sądzie o jego łacińskiej poezyi z lat młodzieńczych, z pierwszego okresu jego zawodu.

Uczeni znawcy literatury humanistycznej cenią ją dość nisko. Mówią, że znać po niej¹⁾, iż Kochanowski urodził się i kształcił w czasach przekwitającego już humanizmu. Nie roszcząc sobie prawa do przeciwnego zdania, to jednak na obronę elegij powiedzieć sobie pozwolę, że choćby były nie wiele warte, to w naszej poezyi znaczą one wiele, bo są pierwszą prawdziwą, godną tego imienia, poezją miłości. Porównajmy łacińskie wiersze Kochanowskiego z Krzyckim i Dantyszkiem, a przekonamy się, że różnica jest taka, jak między jego a Reya wierszami polskimi, jak między Drużbacką a Krasieckim.

Jaki ten wyraz, i jaki rodzaj tego uczucia? Rodzaj? dużo zmysłowości, która raz przyznaje się do siebie otwarcie, a jak u Kochanowskiego nie bez wdzięku, drugi raz łączy się z wyższem, szlachetniejszym uczuciem, nie znika, ale się tamtem zasłania; w takich razach przesadza zwykle sentymentalność, tkliwość, albo ponurość. A wyraz? Taki jak u wszystkich poetów tego czasu, przynajmniej u wszystkich łacińskich, konwencyonalny. Kiedy się skarżymy na to, że z Kochanowskiego poezyi tak nam trudno odgadnąć, czy wypadki jego życia, czy jego charakter, piętno indywidualne jego uczuć, to pamiętajmy, że pochodzi to z wpływu wieku, ze zwyczajów literatury ówczesnej, z wzorów, a nie z braku wyrobionej indywidualności jego samego.

Po dawnej poezyi włoskiej, i po starożytnej, wzięła spadkiem poezya miłosna w wieku XV i XVI w całej Europie ten charakter ogólnikowy i konwencyonalny. Kochanowski nie widział, nie czytał, nie znał innej; na tej się kształcił, u tej był w szkole: nie dziw, że nie mógł pisać

¹⁾ Ten ustęp wyjęty i skrócony z książki *Jan Kochanowski*. 1888 r.

inaczej. Pisał jak widział, jak wszyscy. A jeżeli jego miłość (zawsze) a jego poezya w tej pierwszej epoce ma tak mało cech indywidualnych i tak mało biograficznych pierwiastków, to powodów szukać trzeba nie w nim, ale w otaczającym świecie, w jego wzorach, we współczesnej literaturze europejskiej.

Zważywszy, że ta jego poezya młodzieńcza jest (prawe wyłącznie) miłosną, trudno od niej żądać, żeby nam powiedziała, jaki on był, co myślał, co czuł, pod innemi względami. O świecie zewnętrznym, naturze czy sztuce, nie mówi; o swojej ojczyźnie zaledwo mimochodem wspomina; ze swoich przekonań lub wyobrażeń się nie spowiada. Wszelako czytając bacznie między wierszami i zważając, jak ustawicznie ma tylko świat starożytny na myśli, a chrześcijańskiego nie wspomina wcale (co Janicki robi często), zważywszy brak skrupułu, z jakim się rzuca w swoje miłości, można wnosić, że wpływ wieku, wpływ Włoch ówczesnych, wpływ autorów starożytnych, odbił się nietylko na jego obyczajach ale na jego pojęciach. Różne filozofie tego czasu nie były mu obce: znał zapewne i dyskutował najskrajniej nawet materialistyczne, jak dowodzi elegia ośmnasta księgi III. Tych nie przyjął: ale jakich się chwycił? wahał się zapewne, wybierał, nie wiedział co wybrać. I ostatecznie na podstawie tych wierszy można wnosić, że był on podobny do wielu młody humanista, z zapalem piszący wiersze, z głową zawróconą trochę filozoficznemi pojęciami współczesnych i starożytnych, z obyczajami przez ich wpływ trochę zepsutemi, z wiarą zachwianą przez wszystkie pytania i wątpliwości, które zewsząd słyszał. Wszystko to wciągał w siebie z łatwością umysłu bystrego, natury wrażliwej, z łatwością właściwą człowiekowi młodemu i Polakowi; a choć miłością głównie zajęty i jej poezycę swoją poświęcający, rad przecież i dumny z tego, że wiersze pisze, może opierający na nich swoje nadzieje sławy i powodzenia. Słowem, typ młodego humanisty: każdy wychodzący podówczas z uniwersytetu był mniej więcej taki, każdy, który zaczynał pisać wiersze, pisał podobne.

I to jest skutek, wpływ, znaczenie, tych lat spędzonych we Włoszech. Postawiły one Kochanowskiego na pierwszym szczeblu (najniższym) jego duchowego wyrobienia, jako skończonego humanistę, jako doskonałego europejczyka tych czasów. Indywidualność człowieka i Polaka miała się rozwinać i dobroczynnie działać dopiero później.

Ale czy miłość do Lydyi opanowała go we Francyi, czy we Włoszech, to zawsze jest i zostanie widocznem, że wiersze do Lydyi oznaczają już pewien postęp, wyrobienie, jeżeli nie talentu, to indywidualności młodego poety. One dają poznać tylko jedną stronę jego uczuć i jego życia, tylko zakochanego, dość rozpustnego, przez czas jakiś udreżonego młodzieńca. Było prócz tego życie inne i wyższe, które się w nim równocześnie wyrabiało i rozwijało, życie duszy i talentu, niezależne od wybryków krewkości, niezależne od Lydyi, choć ona pewien wpływ, jak Kochanowski sam świadczy, mieć tu mogła; życie, którego widzimy tylko skutki, a całego procesu, początku i przemian nie znamy. Zaszło coś w jego wewnętrznych dziejach, co go doprowadziło nie do zupełnej jeszcze dojrzałości, ale już do zupełnego rozkwitu; co z naśladowcy zrobiło go samodzielnym, co duszę opanowaną przez miłość otworzyło innym, wyższym, nie osobistym tylko uczuciom: co z doskonałego typowego humanisty zrobiło pierwszego poetę polskiego.

To jest ten szczebel drugi, na którym Kochanowski stanął za swego pobytu we Francyi.

W elegii szóstej ks. I, wspomina on już o swoich wierszach polskich, i mówi, że je miłość i Lydya natchnęła. Nie prostszego jak że młody i zakochany od tego zaczął; każdy tak robi, i wierzyć można, że pierwszemi dźwiękami jego Muzy polskiej, były te lub owe pieśni miłosne, których dziś rozpoznać nie możemy. Ale były inne, o których on nie wspomina, a które język, wiersz, styl poetyczny polski i samą jego duszę i jego talent ukazują w świetle nowem, i na wysokości, na jakiej się ich dotąd nie widziało.

Mianowicie po raz pierwszy ukazuje się w Polaku poetyczne patrzanie na świat, a w polskim języku poetyczny

styl. Jeżeli nawet, jak chcą nowi badacze, wiersz *Czego chcesz od nas Panie*, nie był napisany w Paryżu, to nie mniej rzeczą jest oczywistą (dowodzą nam pieśni), że Kochanowski to usposobienie ma, i że ma swój własny poetyczny język i styl; owszem, on pierwszy go tworzy.

Weźmy wszystkie, ile ich jest, wiersze ludzi starszych od Kochanowskiego, znajdziemy w nich rym, znajdziemy starannie liczoną i czasem równą liczbę zgłosek, muzyki nigdy. On pierwszy tak słowa wybiera i ustawia, że każde następne podnosi, utrzymuje dźwięk poprzedniego, pomaga mu, a wszystkie razem płyną jak muzyczne akordy. Zdanie lub okres piękny, zbudowany i zaokrąglony tak, że go słuchać przyjemnie, to także nowość; w prozie znajdzie się u Górnickiego, kto wie czy już w tych latach, w poezji go nie ma. U Kochanowskiego on jest taki pełny, taki płynny, tak doskonale odmierzony, jak u Wirgiliusza. Czy wiersz *Czego chcesz od nas Panie*, powstał w Paryżu albo nie, pewnem jest w każdym razie to, że Kochanowski od pierwszych swoich wierszy polskich, okazuje już wyrobioną formę, poetyczny styl, i że ma to, czego się dotąd u nas nie widziało, poetyczne usposobienie, poetyczne natchnienie. Wraciał do Polski z zagranicy nie wyćwiczony w sztuce wierszowania humanista, ale poeta prawdziwy, gotów już do tworzenia rzeczy trwałej, niezmiennej wartości.

Jak się ta przemiana, to wstąpienie na wyższy stopień w nim odbyło? Znowu nie wiemy. Niektórzy domyślają się wpływu Ronsarda. Że jego przykład mógł Kochanowskiego zachęcić do pisania po polsku, to bardzo możliwe i prawdopodobne. Ale jaki był zakres tego wpływu? Jaki jego rodzaj? Jaka natura ich stosunku i jakie skutki? Na te pytania różni różnie odpowiadają. Jedni (dawniejsi po większej części) mniej się troszczą o wpływ, ale radzi mówią o zażyłości i przyjaźni Kochanowskiego z Ronsardem. Inni (jak p. Przyborowski, p. Małecki) nie chcą przyznać wpływu żadnego. Wiszniewski dawniej, teraz p. Löwenfeld, przyjmują ten wpływ za konieczny i pewny. Co wynika z porównania ich poezyi?

Co do ich znajomości i stosunku mamy tylko jedno świadectwo pewne, własne Kochanowskiego zeznanie, w elegii do Karola. Cóż on tam mówi?

*Patrio modulantem carmina plectro
Ronsardum vidi, nec minus obstupui,
Quam si Thebanos ponentem Amphiona muros
Orpheave audissem, Phoebigenamve Linum.*

Oto wszystko. Z tych słów wnieść można, że Ronsarda znał; nie tylko widział, ale że z nim przestawał, że jego rozmowę, a zapewne i wiersze słyszał. Ale zażyłości, tembardziej przyjaźni, one nie dowodzą.

Z ciekawością szuka się, czy w dziełach Ronsarda nie ma jakiego śladu tej znajomości, jakiej wzmianki o młodym polskim poecie? Nie. Polskę wspomina Ronsard wiele razy, (z powodu Henryka III), bez uwag, bez czułości i bez niechęci; ale z Polaków tylko jednego Hozyusza. Ale czy Ronsard wpłynął na Kochanowskiego, a jeżeli tak, to w jakiej mierze?

Podobieństwo między nimi jest oczywiste i wielorakie; jest raczej podobieństw wiele. Pierwsze i najważniejsze jest to, że oba stoją na gruncie wspólnym humanistycznego wykształcenia i smaku; że z tego gruntu ciągną swoje soki żywotne: swoje pojęcie sztuki, swoje formy, swój styl, swoje porównania i obrazy; że oba zapatrują się na te same wzory i naśladują je w ten sam sposób; że obyczajem wieku biorą i przerabiają (nieraz bez ceremonii powtarzają) to, co im się w greckim lub rzymskim poecie podobało. Zakres poezyi, jej pojęcie i ideał, jej technika, wreszcie jej odnoszenie do osób lub zdarzeń, (w jakiegokolwiek formie od dytyrambu do epigramu), są u obudwóch te same; nie jednemu lub drugiemu wyłącznie właściwe, ale jednemu i drugiemu wspólne z całym ówczesnym europejskim światem, jako skutek historycznych i cywilizacyjnych pierwiastków wieku i jako

spuścizna po tych pokoleniach, które ich zrodziły i wychowały.

Ale czy jest naśladowanie? Byłoby naturalnem, żeby poeta młody i początkujący naśladował starszego i bardzo sławnego; żeby Polak naśladował Francuza starszego w cywilizacyi i w literaturze, i żeby za młodu przywykły podziwiać i naśladować, zachował ten zwyczaj na całe życie. Ale czy tak jest? Czy Kochanowski naśladuje Ronsarda? Po dokładnem zbadaniu i porównaniu ich poezyi przychodzi się do przekonania, że nie: że tylko oba naśladują te same wzory, obracają się w tej samej sferze form, uczuć i pojęć, że są dziećmi tego samego wieku i uczniami tych samych mistrzów, że wreszcie są do siebie dość podobni jako ludzie: ztąd pochodzi, tem się tłumaczy podobny charakter ich poezyi. Ale, żeby Kochanowski naśladował Ronsarda tak, jak naśladuje Tibulla albo Horacego, jak sam Ronsard naśladuje w Sonetach Petrarę, to nie.

Ale jeżeli przestaniemy mówić o naśladowaniu, a zapytamy, czy przykład Ronsarda na Kochanowskiego nie działał i wpływu nie wywarł, to odpowiedź wypadnie inaczej. Wpływ ten jest tak podobny do prawdy i logiczny, że bez pewnego dowodu, bez dokumentu poręczającego, przyjąć go musimy za nieunikniony, za konieczny, za pewny. Bez związku, w oderwaniu od współczesnej cywilizacyi całego świata, żaden poeta prawdziwy, żadna poezya godna tego imienia, nie da się pomyśleć. Kto nie chce przyznać, że Ronsard wywarł wpływ na Kochanowskiego, ten przyznaje tem samem, że poezya jego miała związek tylko z poezją starożytną lub z nowszą łacińską, a nie z żywymi powstającymi poezjami europejskich narodów; bo najsilniejszym łącznikiem pomiędzy temi a Kochanowskim musiał być Ronsard, i nikt inny być nim nie mógł. W interesie więc dobrej sławy naszej poezyi byłoby raczej szukać tego wpływu i dowodzić go, niż go przeczyć. Na szczęście słuszność jest niewątpliwie przy tych, co jak Wiszniewski i Löwenfeld wpływ ten widzą i przyznają.

Kochanowski byłby zapewne bez swego pobytu we Francyi, bez Ronsarda, przyszedł sam do przekonania, że jego powołaniem i obowiązkiem jest pisać po polsku. Ale że do uczucia tego obowiązku mogło, musiało mu pomódz to, co widział we Francyi, i przykład Ronsarda, to zdaje się być jasnym.

Kiedy przyjeżdżał do Francyi, Ronsard był już na szczycie sławy. To powodzenie, ta chwała, musiały olśnić młodego poetę, musiał on pomyśleć, że byłby szczęśliwym, gdyby takiej doszedł. I musiał także widzieć, że Ronsard dlatego był tak sławny i wielbiouy, że pisał po francusku. Wtedy naturalnie mogła obudzić się odrazu myśl, która byłaby zbudziła się i sama później, że w Polsce i po polsku nikt tak nie pisze. Czemu? Wszak i tam są ludzie i mają język, czemu nie mają nic takiego, jak Francuzi i Włosi? Dwa uczucia: poetyczny, szlachetny popęd tworzenia, potrzeba i żądza zdeterminowana wrodzoną zdolnością i z góry danem powołaniem, szlachetna żądza sławy także: i miłość ojczyzny, miłość własna narodowa, ta duma święta, która chce, żeby swoja ojczyzna nie była w niczem gorszą i niższą od innych; to świętsze jeszcze uczucie obowiązku, żeby ją podnosić, zdobić, kształcić, to są uczucia, które przyszłego poetę, a dotychczas tylko doskonałego humanistę i trochę rozpustnego, a trochę ekliwego kochanka, opadły, opanowały i porwały w górę. A jak na tego młodzieńca działać musiały nauki i upomnienia, które Ronsard nie jemu dawał, ale swoim ziomkom! On widział tego poetę (jak wszyscy) większym niż był w istocie, patrzył na niego z taką czcią, jak żeby to był Orfeusz (elegia do Karola). Z jakim nabożeństwem musiał słuchać tego Orfeusza, tego Homera, który uczył, „że to zbrodnia zaniedbywać swój język żywy i kwitnący, a odgrzebywać Bóg wie jakie popioły“. Doszły te pojęcia i do naszego poety, a może doszły z ust samego Ronsarda, który jeżeli wiedział, że młody cudzoziemiec pisze wiersze, a to mu z pewnością powiedział, czy sam Kochanowski, czy ten, kto w znajomości pośredniczył, jeżeli (co być może) niektóre z tych wierszy czytał, to z pewnością

musiał tego młodego Polaka zapytać, czemu nie pisze w swoim języku, musiał mu coś mądrego powiedzieć o koniecznej martwości poezji, pisanej w obcym języku, prosić go, żeby się nad rodzonym, ojczystym zlitował, przepowiadać mu, że inaczej zostanie zawsze gęsią przy rzymskich i greckich labędziach. Z ust Orfeusza nauki takie musiały robić wrażenie i trafiać do serca. To wpływ, jaki Ronsard na Kochanowskiego niewątpliwie wywarł.

Czy myślał, że zrobi więcej i lepiej niż tamten? Czy o tem wiedział? W każdym razie to pewna, że zrobił więcej i lepiej.

Francuzi mówią, że Ronsard czasem przesadzał, przeholował, dziwaczył, ale że tej wzniosłości, której żądał, czasem naprawdę osiągał; że im język poetyczny i wielki styl wykształcił, stworzył, i na tej zasadzie mówią o nim, że przy wszystkich swoich pomyłkach i dziwactwach miał gieniusz. Nie mamy prawa ani potrzeby im przeczyć. Ale o ileż więcej tego gieniuszu musiał mieć taki poeta, który bez poprzedników i przygotowań, z językiem do form poetycznych wcale jeszcze nie nagiętym, kusi się o tę wzniosłość, o ten poetyczny język, o ten wielki styl, i znajduje go odrazu; nie maca, nie błądzi, nie wpada w pomyłki i dziwactwa, nie nadyma się ani przesadza, ale z tego przedtem niestrojnego instrumentu, dobywa odrazu wszystkie tony, jakie chce, a żadnego nigdy nie weźmie fałszywie; który tej wzniosłości nie przesadzi, nie wyśrubuje nienaturalnie, utrzyma ją zawsze w mierze, a znajdzie rzetelniejszą i wyższą niż tamten. Takiego majestatu, takiej siły, takiej wielkości, jak ma styl niektórych psalmów, u Ronsarda niema nigdzie. Jaki dopiero gieniusz musiał mieć ten, który poezji nie odziedziczył po długim szeregu wieków, ale ją pierwszy stworzył i tak, że po wiekach nie się w niej nie przeżyło, nie zestarzało? Z Ronsarda wybierają Francuzi pewne wiersze, z wierszy ustępy i kawalki, które im się dziś podobać mogą. My z Kochanowskiego możebyśmy poświęcili *Szachy*, albo *Zuzanne*, albo *Brodę*: ale który *Tren*, który *Psalm*, którą *Pieśń* moglibyśmy wyrzucić albo amputować? U Ronsarda jest wiele

rzeczy nudnych albo brzydkich; u Kochanowskiego nie wszystko jest równe, ale brzydkiego, nudnego, cóż dopiero śmiesznego niema nic. A jak to dowodzi wyższego smaku i delikatniejszego artystycznego zmysłu, jak stworzenie poetycznego języka z niczego i stworzenie go doskonalszym niż język Ronsarda, dowodzi większej zdolności i siły, tak znowu wyższego, szlachetniejszego natchnienia, wyższego uczucia, większej duszy, dowodzą te z dzieł Kochanowskiego, którym ani równych, ani bliskich Ronsard nigdy nie napisał: *Treny*, *Psalmy*, niektóre *Pieśni* i niektóre ustępy *Odprawy*.

Wrócił do Polski (1557), szukał sobie miejsca w świecie i stanowiska: wierszami, łacińskimi i polskimi, miał sobie zrobić wziętość, z czasem sławę. Kiedy się znalazł na dworze Firlejów, kiedy z niego przeszedł do służby królewskiej, znowu oznaczyć się nie da. Tyle wiadomo, że na dworach kończyło się zwykle wychowanie młodego szlachcica w owym czasie, a zaczynała się jego dalsza promocya w życiu, która czasem doprowadzała nawet wysoko. Tego więc zapewne chciał, to sobie obiecywał i Kochanowski. I to pewna, że na Firlejowskim, czy na królewskim dworze, zostawał w otoczeniu ludzi oświeconych, a niewątpliwie i wykwintnie wychowanych, w środowisku najbardziej cywilizowanym z całej Polski. Stosunki, czasem zażyłość, niekiedy przyjaźń z najznakomitszymi w kraju ludźmi, daje się wysledzić często z jego wierszy; daje się z nich poznać także usposobienie, skłonne do miłości i miłostek, i skłonność do wesołego życia, do hulanki z miłymi towarzyszami.

Ale czem zaznaczyły się te lata w jego poezyi? Na pozór mało czem, a niezaprzeczenie to, co pisał po swoim powrocie do ojczyzny, daleko zostaje za późniejszymi dziełami z okresu jego zupełnej dojrzałości. Jednak nie przeszły te lata marnie. *Pieśni* nie mają tej sławy co *Treny* lub *Psalmy*; ale *Pieśni* były ogromnym krokiem naprzód, były poezją, pierwszą w polskim języku poezją liryczną, i — bardzo piękną.

Nieszczęsna nieznajomość życia Kochanowskiego, w jakiej nas zostawili jego współcześni, sprawia, że z wyjąt-

kiem pieśni okolicznościowych, spowodowanych jakimś zdarzeniem, nie możemy wiedzieć, ani nawet z jaką taką nadzieją pewności dochodzić, kiedy która z jego pieśni powstać mogła. Wszelako zważywszy jego młody wiek i jego usposobienie, przypuszczać możemy logicznie, że znaczna część jego pieśni miłosnych i jego *Fraszek*, musiała powstać w ciągu pierwszych dziesięciu lat po powrocie. Był młody, był dużo w mieście a zawsze między ludźmi, nie odosobniony na wsi jak później; wniosek ztąd prosty, że do czułych westebnień jak do pustych uciech, więcej miał teraz sposobności i popędu, niż później.

Wiersze łacińskie nie ustają, i nie ustaną do końca, a przy niejednym z nich można napewno położyć datę jego powstania. Elegia VII księgi II, na powrót króla z Inflanckiej wyprawy, była oczywiście napisana wkrótce po powrocie z zagranicy. I tak samo Elegia VII księgi I do Mieleckiego. Z roku 1559 lub 1560 musi być Elegia do Karola (VIII księgi III), ze wzmianką o śmierci Henryka II. Elegia V księgi III, na wjazd Padniewskiego na biskupstwo krakowskie, wskazuje niewątpliwie rok 1560. Z przed roku 1561 jest Elegia V księgi I do hetmana Tarnowskiego, a z roku 1561 Elegia łacińska II ks. III i polskie wiersze na jego śmierć.

Z pieśni polskich niektóre tylko, okolicznościowe, dadzą się odnieść do pewnego roku, lub poznać po roku wydania, jak *Pieśń o Potopie* (1558). Pieśń dziesiąta księgi I, naśladowanie zbyt wyraźne Horacego *Carmen Saeculare*, mogła także powstać w tych latach, kiedy poeta młody potrzebował się pokazać, popisać, i polskim wierszem, i szczęśliwym naśladowaniem starożytnych. *Pamiętka Janowi z Tęczyna*, pierwszy tak długi polski wiersz Kochanowskiego, a ozdobiony ustępami istotnie pięknymi, musiała być bliską śmierci młodego narzeczonego królowej szwedzkiej, zatem powstać w roku 1562. Ale pieśnię miłosne, od wszystkich tamtych ciekawsze, a po największej części i piękniejsze, jak, po czem poznać, kiedy która z nich była pisana? Do kogo? W jakich okoliczno-

ściach? Niema po czem poznać. Poznaje się tylko nadzieję lub smutek, w różnych stopniach mocy; ztąd wniossek, że gdzie stopień uczucia inny, tam i osoby inne być muszą. Przypuszcza się, że wszystkie musiał poeta pisać, kiedy miał jeszcze prawo, choćby coraz mniejsze, uważać się za młodego. Ale do jakiegokolwiek pewności, do bodaj przybliżonego oznaczenia, podstawy nie mamy żadnej. Nie mając jej, poprzestaśmy na tem co możliwe, na wskazaniu, jakie te pieśni są, i czem są dla naszej literatury.

Z góry, i raz na zawsze, powiedzieć trzeba, że w pieśniach polskich jak w łacińskich Elegiach, jest wiele naśladowania starożytnych; że nieraz zdarzają się całe pieśni przerobione, często wiersze a nawet ustępy od innych pożyczone. Należy jednak uważać, że co nie uszłoby w naszych czasach, tego tamten wiek poecie nie miał za złe, owszem, pozwalał zupełnie, a może nawet uważał za chlubę poety. Stosunek Pieśni do wzorów starożytnych jest dziś tak zbędany, że wiemy już dokładnie, który z nich wiersz lub ustęp, i w jakiej mierze, jest naśladowany lub pożyczony ¹⁾. W to więcej nie wchodząc, trzeba tylko krótko ale stanowczo stwierdzić, że Pieśni w ogólności, i Pieśni miłosne, jak były w swoim czasie pierwszym kwiatem polskiej liryki, tak są dziś, i zostaną zawsze, jej ozdobą i chlubą. Dziwić się raczej należy, że je tak mało znamy i pamiętamy; być może, że przyczynia się do tego i brak tytułów. Wiersz oznaczony tylko suchą cyfrą, nie utkwi tak w pamięci, jak ten, który samym napisem różni się od innego i chwytą uwagę czytelnika. Jakkolwiekbydz, są między pieśniami rzeczy śliczne, równe najpiękniejszym zagranicznym współczesnym lub dawniejszym; owszem rzeklibyśmy, choć nie śmiało, że nad niejednym sławnym lirykiem Kochanowski ma w każdym razie wyższość prostoty. Petrarka naprzykład, często sili się na sztuczne wymysły, na przerafinowaną czułość; jego włoscy i francuzcy naśladowcy tembardziej. Kochanowski nie wpada prawie nigdy w sztuczną przesadę; świeżość i szczerłość uczu-

¹⁾ Parylak. Zbiorowe wydanie pism Kochanowskiego.

cia, samorodność jego wyrazu, wydaje nam się u niego rzetelniejszą i większą.

Pieśni miłosne mają różny ton i charakter, zależny od uczucia, które je natchnęło. Kiedy to jest głębsze, mocne, tam w swojej prośbie, nadziei, gniewie czy smutku, poeta jest poważny, bardzo wzruszony, namiętny czasem, rzewny zawsze, i zawsze (w tych wierszach) uczuciem szlachetny. Nietylko kiedy chce lub spodziewa się tej, którą kocha, oddać serce, rękę, cześć, całe życie swoje, ale i w takich, gdzie o ślubie nie myśli, gdzie przedmiotem jego uczucia jest — ile domyślać się można — osoba zamężna. Jako przykład przytaczamy Pieśń siódmą i ósmą Księgi pierwszej.

Ale są i pieśni lżejsze, jak były w jego życiu lżejsze przelotne miłości. W tych pieśniach znowu jest taki zręczny i ujmujący, tak ładnie umie prosić, zalecać się albo skarżyć, że czytając go można wyobrazić go sobie wcale niebezpiecznym dla tych laskawszych czy sroższych piękności. A przytem, rzecz godna uwagi, myśl wiersza i jego cel nie są zapewne cnotliwe, ale wyraz jest zawsze delikatny, w mierze trzymany, nigdy gruby lub nieskromny. Śmiało nieprzyzwolity, nigdy nieestetyczny, we *Fraszkach*, w Pieśniach miłosnych, nawet lekkich, Kochanowski trzyma swoją lekkość na wodzy z takim dobrym smakiem i delikatnem uczuciem, jak nie każdy ze współczesnych liryków zagranicznych; a zarazem bardzo zręcznie, bardzo na prawdę *lekko*, umie tę lekkość swego uczucia dać poznać.

Otóż pieśni, nawet te młodzieńcze, mają to w naszej poezji znaczenie, że są wyrazem bardzo rozmaitym i wielostronnym, i wyrazem po największej części prostym, uczucia wspólnego wszystkim ludziom, ale podniesionego, wyszlachetnionego, w wybranej poetycznej duszy. Mają to znaczenie drugie, że pisane są z mimowolną może i niezupełnie świadomą, ale z wyrobioną już i wielką sztuką. Dźwięk i różnaitość rytmu, jak różnaitość tonu, zupełne opanowanie języka i wiersza i zupełne nim władanie, czyli wyrobienie formy, bez której niema poezji, jak niema człowieka bez ciała, to wszystko znajduje się w *Pieśniach*. Zo-

baczmy później Kochanowskiego głębszym i potężniejszym nawet w pieśniach; ale te, które w tych latach mógł pisać, już wystarczają na to, by on był prawdziwym poetą, a Polska miała prawdziwą poezję.

Ale nie same pieśni tylko, *Fraszki* także powstawać musiały w tych latach młodości i dworskiego życia. Ciągnęły się przez całe życie, ale część ich największa, i najbardziej charakterystyczna, z wszelkiem podobieństwem do prawdy, musi się odnieść do lat młodości.

Zbytecznie byłoby powtarzać, że *Fraszki* są rodzajem wspólnym całej humanistycznej literaturze europejskiej, że u nas kwitły długo (a nie osobiwie) aż do końca XVII wieku, i że *Fraszki* Kochanowskiego są bardzo ciekawym i bogatym dokumentem do studyowania i poznawania strony obyczajowej życia towarzyskiego w XVI wieku. I to także wiadomo zbyt dobrze, że ze wszystkich jakie są w polskiej literaturze, te są i najzabawniejsze, i najlepiej pisane. Owszem, możnaby powiedzieć, że one jedne pisane są dobrze, z miarą w żarcie choćby najgrubszym, ze zgrabną formą. Są to żarty i wybryki człowieka dobrze wychowanego, cywilizowanego, i artysty, który ma ten szczęśliwy zmysł i takt, że sam nie lubi i czytać nie każe tego, co grube, niesmaczne, odrażające, a tym zmysłem i taktem wiedziony, umie dotykać przedmiotów nieprzyzwoitych, chodzić po gruntach niebezpiecznych, a nigdy się nie zapaść w błota i rynsztoki i w nich nie zagrzać. We *Fraszkach* hulaszczych, nawet rozpustnych, Kochanowski ma wdzięk szczerej wesołości, dobrego humoru, i ma ten szczęśliwy wrodzony dobry smak, że w nieprzyzwoitości otwarty, nie jest w niej nigdy grubym, jak Rey naprzykład w *Figlikach*, jak młodszy o sto lat Wacław Potocki w *Jovialitates*. Fraszek zabawnych jest dużo, bardzo świetnych dowcipem mniej; ale takich niema wcale, które zamiast śmiechu wywoływałyby niesmak i obrzydzenie.

Ale są między *Fraszkami* i takie, które dowodzą, że i wyobraźnia poety była czasem wśród tych hulanki zajęta, i nieraz nawet jego uczucie było wstrząśnięte. Do kogo?

w jakich okolicznościach są pisane? Próżno łamać sobie nad tem głowę. To jedno zdaje się pewnem, że niektóre wierszyki oznaczają uczucie przelotne, płochę, a jednak żywe; inne pisane są w celu może nie budującym, ale z głębszym akcentem i prośby, i opinii o przedmiocie tego uczucia. Niektóre są bardzo ładne, a co dziwniejsza we *Fraszkach*, poważne smutkiem albo oburzeniem. Do tego rodzaju wierszy i natchnień, zaliczyć trzeba i jego przekłady lub przerobienia z Anakreona. Pierwszy to raz poeta grecki tłómaczony był na język polski; a ci, którzy tłómaczyli „zdrajcę staro-“ w wiekach późniejszych, może robili to równie dobrze, ale nie zdaje nam się, żeby lepiej, żeby z większym wdziękiem jak Kochanowski.

Ale młody, często plocho zakochany poeta, nie jest tylko używającym życia młodzieńcem, ani tylko artystą zamilowanym w swojej sztuce. Jego ojczyzna przebywa kryzys ważną; a on jest Polakiem, i dobrym Polakiem. Pod wpływem tych rozterków, które w Rzpltej widzi, tych gróźb, które nad nią wisieć mogą, pierwszy raz stroi on swoją lutnię na ton nowy, wychodzi ze sfery osobistych wrażeń i uczuć, i pisze *Zgodę*, a po niej *Satyra*.

W tem wielkiem religijnem i politycznem zamieszaniu, z czem odezwie się poeta? Jak je zrozumie, jak osądzi, jak na nie radzić spróbuje?

Na Sejmie roku 1562 ma się traktować wisząca oddawna sprawa Egzekucyi. Podkanclerzy Padniewski zagaja ten Sejm w imieniu króla mową, z którą Kochanowskiego wiersz ma związek widoczny. Król na to ten Sejm zwołał, „aby się w miłości i zgodzie Rzeczypospolitej posłużyło“. Do tego samego zmierza swoim sposobem poeta.

Zaczyna on od filozoficznego pojęcia *Zgody*, przypomina potem jak niezgoda zmogła i obaliła potężne mocarstwa, wreszcie szuka powodów niezgody polskiej. A więc naprzód ten, że „wszyscyście odstąpili od swego urzędu“. Nikt nie patrzy tego, co do niego należy, tylko każdy podgląda, strofuje, posądza lub szkaluje drugiego. Dalej rozterka religijna. Wszyscy opowiadają słowo Boże, nie pytając z kąd

prawo, kto im dał ten apostolski urząd. Jeszcze dalej „zbyteczne wolności wyciąganie“, Korona zostawiona na koszu bez tej władzy, jaką miała dawniej, a zanim nowy jakiś porządek jest obmyślany i opatrzony, burzy się wszystko co składało dawny. Są to spostrzeżenia niezaprzeczenie bystre, trafiające w samo jądro ówczesnego złego, i stałych usposobień polskich, a pod jednym względem, owej „na koszu zostawionej korony“ trzeba uznać Kochanowskiego głębszym od Modrzewskiego nawet. Czy to myśl z jego własnej głowy, czy może z królewskiej pochodząca? W każdym razie przez nikogo dotąd tak wyraźnie nie wypowiedziana.

Pierwszy raz w *Zgodzie* zabrał Kochanowski głos w sprawach publicznych: niebawem zabrał go po raz drugi w tym samym duchu, z tego samego popędu. *Zgoda* była poetycznym powtórzeniem tego, co w mowie od tronu powiedział Podkanclerzy Padniewski: *Satyr* odpowiada temu, co w rok później mówił od tronu jego następca Myszkowski. Podobieństwo jest mniej dokładne; poeta dodaje ustęp o szkołach, w myśl żądań, jakie się wówczas dawały słyszeć; zato pomija dwie najważniejsze myśli z mowy tronowej, mianowicie o wojnie zaczepnej z Moskwą, która jedna może być prawdziwem zabezpieczeniem Rzeczypospolitej, i o poprawie losu miast i poddanych. Mimo tego opuszczenia jednak, jest *Satyr* politycznie mądry, i patrzy daleko, kiedy przypomina jak Wielki Książ Moskiewski „listami wywodzi, że prawem przyrodzonym Halicz nań przychodzi“, i kiedy pyta „jaką przyjaźń z Niemcy macie“. Wyrzuca Polakom, że rzucili się do gospodarstw i starań około majątku, a zaniedbali rycerskie rzemiosło, zmiękli, zniewieścili: a na sejmach wyczyli się tylko radzić i gadać, a nie nauczyli się robić, i tem się stało, że „kiedy trzeba było się bić, to oni radzili“, i dali sobie wziąć Połock. W kwestyi religijnej stoi *Satyr* na stanowisku ściśle katolickiem. Tym co dysputują o wierze i nowe nauki wymyślają, każe „iść do Trydentu“, i tam pokazać co umieją. O sobie składa oświadczenie, że trzyma się tego, co na Chrzcie przyrzekł, i tego nie odstąpi, „choćby mi spaść miała głowa“. Kończy się

Satyr przemową Chirona do młodego Achillesa, która jest zapewne pod temi figurami nauką dla Zygmunta Augusta.

Satyr jest ważnym dokumentem do poznania przekonań Kochanowskiego, politycznych i religijnych, jest dalej ważnem w naszej literaturze zjawiskiem, jako *Satyra* polityczna, nie pierwsza, ale pierwsza dobrze a miejscami świetnie napisana. Trzeba jednak zaraz dodać, że on jest raczej wierszem dydaktycznym, otwarcie i wprost moralizującym, niż satyrycznym. Koniecznego pierwiastku *Satiry*, to jest ironii, sarkazmu, jest w nim bardzo mało; jak wogóle w całej literaturze polskiej tego wieku. Ale jest wiele politycznego rozumu, wiele bystrości, wiele patryotyzmu w kwestiach politycznych, w religijnych jest śmiałość, stateczność; jest wysoka cywilizacya, jest szlachetna forma. Dwa pierwsze Kochanowskiego wiersze polityczne, *Zgoda* i *Satyr*, rozpoczynają świetnie szereg, naszych patryotycznych poezyi.

II.

Modrzewskiego o Kościele Księga Druga. Orzechowski. Polemika z Modrzewskim i Stankarem. Dyalogi. Quincunx. Charakterystyka ogólna.

Kiedy tak młody pisarz zajmował w literaturze miejsce tak wielkie, jak przed nim nie zajmował nikt, co robili ci starsi, co zawód swój zaczęli dużo przed nim, a przed jego wystąpieniem sami jedni świecili pisarskim talentem?

Piszą wszyscy, a każdy pochwycony konsekwencyą swojej myśli i swoich czynów, jakimi dla autorów są pisma, kroczy dalej po drodze, na którą wstąpił. Ale zanim do nich wrócimy, należy się krótka wzmianka jednemu, który pisarzem nie jest, ale teraz, w starości, na schyłku swego życia, pisze małą książeczkę w kwestyi specjalnej ze swoim zawodem złączonej, a ważnej. Hetman Tarnowski wydaje (1558) *Consilium Rationis Bellicae*. Książeczka to ciekawa. Przez wojskowego pisana, na znajomości sztuki wojennej i na praktycznem doświadczeniu oparta, służyła z pewnością za pomoc tym nie wojskowym, którzy później o wojskowych sprawach pisali a przynajmniej wspominali. Stanowisko moralne jest to samo, co u Modrzewskiego w księdze o wojnie; tylko wojna obronna jest godziwą, a błogosławieństwo Boskie, główny warunek zwycięstwa, tylko na godziwą wojnę służyć może. Stanowisko religijne względem Rzymu raczej nieprzyjazne. Weale złośliwie wyraża się hetman o Papieżu, który na swoje cele ściąga annaty, ustanowione pierwotnie na obronę przeciw nioprzyjaciołom wiary. Kwestye ściśle wojskowe, dzielą się na obowiązki króla (Rządu) czyli przysposobienie zawczasu wszystkiego, co do wojny potrzebne, obowiązki hetmana w czasie pokoju i w kampanii, obowiązki oficerów wszelkiego stopnia, i żołnierzy. Zakładanie obozu ma swój rozdział osobny. Wymaganie karności i porządku, wówczas zapewne takie same jak dziś, a ubezpie-

czone surowymi artykułami prawa wojennego, dla czytelnika nie wojskowego będą dziś zapewne najciekawsze i najłatwiejsze do zrozumienia i osądzenia.

Modrzewski posuwa się coraz dalej i coraz śmieiej w kierunku protestanckim. W roku 1559 wychodzi zbiór jego broszur przez te lata pisanych, a pisanych po większej części w odpowiedzi Hozyuszowi, i jako polemika z jego dziełami (dyalogi o małżeństwie księży, o komunii pod dwoma postaciami etc. etc.) jako *Druga Księga o Kościele (de Ecclesia Liber Secundus)*.

Dzieło to jest w oczywistym i bliskim związku z tym programem protestanckim, który na Sejmie roku 1555 wystąpił tak silnie i tak namiętnie. Pisarz żąda prawie zupełnie tego samego, czego tam domagali się posłowie, czemu opierał się król, ustępując cokolwiek, zwlekając i dyplomatyzując więcej. Fryez tutaj, jak w pierwszej księdze o Kościele, chce pojednania wszystkich wyznań, jednego, powszechnego, ale kompromisowego Kościoła. Jest w dobrej wierze z pewnością: nie jest stanowczym luteraninem ani kalwinistą, ale katolikiem jest dużo mniej, niż się nim wydawał przed kilkoma laty. Powodem jest niewątpliwie z jednej strony logika własnych przekonań i coraz większa siła protestanckich dążeń, coraz namiętniejsze do nich przywiązanie. Z drugiej strony rosnące także przekonanie, że Kościół nie ustąpi, nowych nauk nie przyjmie, modyfikacyj w artykułach wiary nie dopuści: i ta obrona jaką swojej sprawie dają katolicy, coraz stalej i coraz energiczniej (pisma Hozyusza).

Pod tymi wpływami Fryez oddala się od Kościoła coraz bardziej. Śmiało znosi i kassuje Msze, odpusty, naukę o czyśćcu, i Sakrament Ciała i Krwi Pańskiej. Tem śmieiej żąda małżeństwa księży i nabożeństwa w krajowych językach. Robi ostatni krok w swojej rozpoczętej przed laty organizacyi Kościoła: opisuje sposób wyboru Papieża. Co lat dziesięć ma się odbywać Sobór powszechny całego chrześcijaństwa, złożony z duchownych i świeckich naturalnie, i ten wybiera dziesięciu mężów, znanych z enoty i nauki, którzy

kolejno jeden po drugim mają przez rok jeden rządzić Kościołem. Po roku Papież ustępujący ma zdawać sprawę ze swego urzędowania, a może być sądzonym i karanym, jeżeli się pokaże, że jest słuszny powód po temu. Taki projekt organizacyi (!) Kościoła przypisany jest komu? Papieżowi właśnie, Pawłowi IV.

To jest drugie stanowisko Modrzewskiego w kwestyach religijnych, daleko mniej jeszcze katolickie niż było pierwsze. Trzecie, na którym on okaże się w *Sylwach*, będzie jeszcze dalej posunięte w tym kierunku.

I teraz następuje długa i zacięta polemika między Modrzewskim a Orzechowskim. Ten ostatni, w roku jeszcze 1556 przez tamtego chwalony i sławiony za to, że miał odwagę się ożenić, ten sam, który w tym czasie pisał *Reputium Romae*, teraz przestraszony zdaje się szczerze postępem religijnych nowości, a przestraszony także o siebie, bo coraz mniej spodziewający się uznania swego małżeństwa przez Stolicę Apostolską, występuje teraz jako najgorliwszy, gwałtowny obrońca tego Kościoła, przeciw któremu się zbuntował.

Obrona i gorliwość dziwna; pełna niekonsekwencji, jak charakter i życie tego człowieka. W oracyi *pro Dignitate Sacerdotali*, upomina i zaklina Nuncjusza Bonioani, żeby zaprowadził porządek w sprawach religijnych (co znaczy, żeby wypędził heretyków), a zarazem upiera się przy prawności swego małżeństwa, dowodzi z oczywistą złą wiarą, że zawinił jedynie tem, że stan wyższy kapłański zamienił na niższy małżeński, a w końcu grozi zuchwale, że jeżeli Rzym nie uzna jego małżeństwa, to on sobie poszuka tego uznania w świętej cerkwi greckiej, a jak na tem Rzym wyjdzie, to wkrótce zobaczy.

Fricius, sive de Majestate Sedis Apostolicae, jest spokojniejszy od innych jego pism, wolniejszy od wykrętów i paradoxów. Ale jeżeli pismo lepsze, to uczynek brzydki, podstępny. Orzechowski przybił na drzwiach kościoła w Wolborzu tezy, na które Modrzewski miał mu odpowiedzieć: jeżeli nie odpowie, w sensie katolickim, do dwunastu godzin,

Orzechowski oskarży go o herezyę. Przybił zaś te swoje tezy w chwili, kiedy Modrzewski z Wolborza był wyjechał, i miał wrócić dopiero nazajutrz, lub za dni parę. Z podobnego podstępu wyszła i *Chimaera*. Orzechowski dostał jakiś rękopism, którego Stankar nie był wydrukował, może nawet obawiał się drukować, i przeciw niemu napisał *Chimaerę*, oskarżył go o herezyę, i żądał wygnania. Pisemko ciekawe, naprzód przez wielką zarozumiałość i samochwalstwo autora, a potem jako znak i miara przemiany w jego usposobieniu. Coraz mniej spodziewa się uznania swego małżeństwa, pragnie go coraz goręcej, i... pokorniej. Nie rzuca się, nie grozi; obstaje przy swoim, ale spodziewa się i ludzi, że tą gorliwą obroną Kościoła zaleci się biskupom i Papieżowi, i może otrzyma to, czego otrzymać nigdy nie mógł.

Chimaera jest już przygrywką do ostatnich pism Orzechowskiego; ten sam pomysł, tylko szerzej rozwinięty i wymowniej napisany, znajdzie się w *Dyalogu około Exekucyi*.

Dyalog ten oznacza ostatni okres w jego zawodzie, a zarazem świetną w literaturze polskiej nowość. Pierwszy to raz pisze Orzechowski po polsku; a jak wiersz u Kochanowskiego, tak język prozaiczny u niego po raz pierwszy dochodzi do piękności.

Zanosilo się na Sejm roku 1562. Zwołany on był na to, żeby raz załatwił wiszące sprawy sporne i żądania (Exekucyę). Orzechowski, który uznania swego małżeństwa dotąd się nie doczekał, a starzejąc się już widział coraz mniej czasu przed sobą, potrzebował ująć sobie opinię katolicką, a zwłaszcza biskupów. Ale obok tego lękał się tego rozprężenia, które w Rzpltej widział, lękał się o jej przyszłość: i chciał wypowiedzieć otwarcie w czem widział jej zabezpieczenie i ratunek.

Dawniejsi badacze (Ossoliński), przypuszczali w teokratycznym systemie Orzechowskiego tylko złą wiarę i chęć pozyskania biskupów. Nowsi (Kubala, Szujski), przypisują tym pismom jego wielki a szkodliwy wpływ na późniejsze pojęcia polityczne w Polsce, ale wierzą w szczerłość jego

trwogi o Rzeczpospolitą, i jego przekonania, że powrót do religijnej jedności będzie jej zabezpieczeniem, skoro religijna rozterka jest wielkim powodem jej rozprężenia.

Myśl podstawna *Dyalogów* jest ta, że król bierze swoje królestwo, swoją władzę, od Papieża, jest jego podwładnym. Główny argument i dowód jest ten, że skoro biskup (Prymas) wkłada królowi koronę na głowę, to oczywiście władza duchowna nadaje władzę rządzący świeckiemu, który też od niej we wszystkim ma być zależnym. Twierdzenie z nauką Kościoła o wzajemnym stosunku obu władz zupełnie nie zgodne, paradoxalne, a dowodzone naciągany sposobem, szumnym ale błahym. W kwestyi, która się właśnie toczy, w kwestyi *Exekucyi*, mówi Orzechowski, że ta powinna się zacząć od porównania faktycznego stanu rzeczy, z koronacyjną przysięgą króla; a w czem się od tej przysięgi odstąpiło, to ma być naprostowane i naprawione. Znaczyło to, że trzeba przywrócić jurysdykcyę biskupów, a heretyków skazać na wygnanie. *Exekucyi* w ścisłym znaczeniu słowa, zwrotowi nadań i dóbr królewskich, sprzeciwia się Orzechowski namiętnie, i w ustępach wielkiego retorycznego efektu. Sprawy sądowe miałyby być zdjęte z Sejmu, a oddane osobnym stałym sądom ziemskim, nad którymi byłby jeden sąd najwyższy (późniejszy Trybunał).

Dyalogi są książką bardzo znaczącą. Naprzód dlatego, że są pierwszą broszurą polityczną napisaną po polsku, a pisaną świetnie, z niezaprzeczonem talentem. Powtóre dlatego, że są bardzo nauczającym wyrazem ówczesnej opinii polskiej i jej pojęć. Wreszeie, przez wpływ jaki mogły wywierać. One pierwsze w literaturze świeckiej afirmują tak silnie dążność katolicką, powrót do dawnej jedności Kościoła; ale jak są objawem, a poniekąd może i jedną ze sprężyn podnoszącej się dążności katolickiej, tak są też wyrazem a niewątpliwie i utwierdzeniem, propagandą, tego pojęcia władzy warunkowej i na umowie opartej, które u nas tak było popularne: są jednym z rozdziałów tej teoryi, której skutkiem i praktyką były *Pacta Covrenta*. W tych dwóch

kierunkach *Dyalogi* podobały się, działały, i wywarły wpływ. A prócz tego wpływ Orzechowskiego przyczynił się niewątpliwie i do utwierdzenia nas w tej admiracyi dla siebie samych, w tej wierze w doskonałość naszego społecznego składu, która to admiracya i wiara stała się jednym z naszych wielkich nieszczęść. Ale ten pierwiastek nie występuje jeszcze w *Dyalogach* tak silnie, jak później w *Quincunxie* i w *Policyi*.

Na Sejm następny (1563/64), napisany był *Quincunxa* albo *Wzór Korony Polskiej na cynku wystawiony* (to znaczy kształt korony polskiej na ostrosłupie uzmysłowiony), obszerniejsze rozwinięcie drugiego *Dyalogu* około exekucyi, tego w którym Orzechowski wywodzi pochodzenie władzy świeckiej od kościelnej i jej od tamtej zależność. Te same co tam twierdzenia i dowodzenia, te same sofizmata i syllogizmy, (Prymas koronator króla, źródło jego władzy, jego sędzia i zwierzchnik nie poddany), tylko rozwiedzione szerzej, zacerpnięte głębiej, wywiedzione niby z samego dna prawd filozoficznych i politycznych, ozdobione szumną a w rzeczy bląhą erudycją, i poparte nowym zasobem sofizmatów i paradoxów, których w *Dyalogach* nie było. Jeżeli niedorzeczna teoria *Dyalogów* mogła stać się jeszcze niedorzeczniejszą, to stała się taką właśnie przez te pozory systematyczności i filozoficznej głębokości w *Quincunxie*. Do tego dodane szumne a niby ściśle dowodzenie, że w królestwach tylko może być wolność, bo jest koronacya, i odpowiedzialność króla przed tym od którego wziął koronę, w księstwach zaś, gdzie niema korony i koronacyi, musi być ostatnia i nikczemna niewola. W takiej niewoli jest Litwa, którą Orzechowski znieważa obelżywemi słowami: i to w tej chwili właśnie, kiedy toczy się sprawa Unii, kiedy Litwa silnie się jej opiera, kiedy interes i zdrowy rozsądek każe wystrzegać się wszystkiego, coby ją zrazić i odstręczyć mogło. Jest więc *Quincunxa* pismem zasadniczo bląhem, a praktycznie szkodliwem. Ale czy zgoła niema w niem prawdy, to inne pytanie. Odpowiedzialność króla przed Bogiem, zachowana pozornie w słowach, ale zniesiona w sumieniach i skasowana

przez *racyę stanu*, jak bywała nieraz hamulcem przeciw nadużyciom, tak może zawsze być rękojmnią wolności poddanych i ich obroną. Orzechowski się myli, jeżeli myśli, że jedynym niebezpieczeństwem Polski są nowe wiary, a jej bezpieczeństwo pewne, jeżeli cała do dawnej powróci. Ale nie myli się, kiedy nam przepowiada, że „będziemy mieli króla w duchownych rzeczach sędziego, ale tego, którego nam Bóg przez Turka, albo przez nasz roztryk domowy da“. Nie myli się, kiedy mówi, że „zewsząd wołają na nas, opowiadając upadek pewny“, a my nie słuchamy, jak nie słuchala Lota „ślepa Sodomą“. I nie dla żartu, nie dla retorycznego efektu, ale ze szczerego żalu i strachu o ojczyznę woła, „byś serce moje rozkroił, nic w niem nie znajdziesz jedno to słowo *Zginiemy*“. Dzieło jest blahe, może było szkodliwem; ale takiemu uczuciu należy się uszanowanie, a takie słowa powinny się zawsze brać do serca, żeby ten, co je mówił, nie wydał się nam potomnym, jak się wydał swoim współczesnym, *quasi ludens loqui*.

Niedługo czekał *Quincunx* na zasłużoną odprawę. W roku 1564 wyszła *Rozmowa Polaka z Litwinem*, napisana, jak dowiódł prof. Brückner, przez Augustyna Rotunda, znanego w swoim czasie prawnika i wójta wileńskiego. Nie tak wymowna i świetna jak *Quincunx*, książeczka ta należy do głębszych, do bardzo dobrych w literaturze politycznej tego czasu. Nietylko zbija sofizmata Orzechowskiego o niewoli księstw i pośledniości Litwy, przez to łagodzi jej urazę i pomaga do upragnionej koniecznej Unii, ale i Koronie mówi prawdy zasłużone a mądre, jak ta, że przez jej niedbałość i opieszalność Rzplta straciła Połock, lub że lepiej Podola od Tatarów bronić, niż na sejmach się swarzyć i popisywać wymową. Autor (katolik), jest świadomy zagranicznych praw i urządzeń: jest zaś względem swoich dziwnie śmiały, śmielszy może od wszystkich, kiedy im mówi otwarcie, że królestwa dziedziczne lepsze są od wybieralnych. Kto wie, co się stało w lat kilka później, i jak się wskutek tego losy Polski obróciły, ten nie może odmówić mu zasługi i musi żałować, że mu nie uwierzono.

Orzechowski pisze już potem bardzo mało. Jest tylko *Ziemiąnin*, mała broszurka przedsejmowa, najtrzeźwiejsza, najspokojniejsza z jego pism, a sympatyczna i szlachetna patriotycznym strachem o przyszłość: i jest *Policya*. Ta miała być największem, na rozmiar i na wartość, dziełem autora; gruntownym, systematycznym wykładem samej istoty społeczeństw ludzkich i państw, zasad i warunków ich bytu, i ich pomyślności. Miało to być zrobione z największą możliwą powagą, z wielkim apparatusem erudycyi i filozofii (Aristotelesowej głównie). Ale *Policya* została tylko fragmentem. Jest pierwsza księga cała, drugiej część nie wielka; reszta jeżeli była napisana, to zaginęła.

System *Policyi* jest ten sam co w *Dyalogach* i w *Quincunxie*, ustępów pięknych nie brak. Na tem kończy się zaś wód Orzechowskiego.

Sąd o nim jako o człowieku musi być bardzo surowy¹⁾. Jeżeli rzeczywiście tak po katolicku wierzył, i tak o potrzebie władzy kościelnej był przekonany jak mówił, to jakże mógł wbrew tej władzy stanowczym krokiem swego życia gwałcić nie wiarę zapewne, ale obyczaj, karność i powagę tej władzy i dawać gorszący przykład buntu? Jeżeli był tak prawowiernym, jak mówi, tak gorliwym prześladowcą kacerzy, tak fanatycznym, że wrzeszczał całe życie o ich wygnanie i infamię, to jakże mógł sam udawać, że nie widzi różnicy wiary pomiędzy Kościołem katolickim a schizmą, jak mógł odgrażać się odstępstwem? A jeżeli był tak dobrym i dobrze widzącym obywatelem, jeżeli wołał tak wymownie że zginiemy przez nierząd sprowadzony prywatą, to jak mógł własną prywatą nierząd ten podniecać, a w Annalach być jego adwokatem, obrońcą i panegirystą? W małych rzeczach, w sądzie o ludziach ta sama zmienność; oprócz Zygmunta Starego, na którego powagę się nie targa, i hetmana Tarnowskiego, którego stale wychwala (podług Ossolińskiego dlatego, że stale pobiera jurgielt od niego i syna) i oprócz Herburtów, niema nikogo, kogoby nie wynosił pod obłoki

¹⁾ Ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

i nie szkalował. Kmita i Radziwiłł przestali być jego ulubionymi bohaterami, odkąd przestali płacić jurgielt, jeżeli mamy dać wiarę Ossolińskiemu. Królowa Bona raz jest powodem wszystkich zaburzeń, drugi raz chwałą i ozdobą korony polskiej: Barbara ostatnią z kobiet, i znowu najlepszą królową, pełną dobrej woli, miłosierną, przystępną, używającą wpływu swego u króla na to tylko, żeby ludziom dobrze czynić; Kromer raz zaszczytem Polski, pisarzem, za którym on sam Orzechowski nie godzien nosić kałamarza, drugi raz zuchwałym mieszczańskim synem, który śmie mierzyć się ze szlachcicem Okszycem. Przykładów podobnych pełno. Jedno jeszcze, to jest, że jak przed potwarzają się nie cofa, tak się i pochlebstwa nie wzdryga; panegiryzm, pochwała szumna, zbyt uczona, przesadna, przebija w nim wszędzie gdzie mu ktoś chwalić wypada.

Wszystko to są właściwe a brzydkie rysy człowieka, który sam dla siebie jest przed wszystkim i nad wszystkim: co zaś najsmutniejsze, to że w tym egoizmie, w tej prywatności, w tej zmienności, jest przynajmniej tyle złej wiary, ile wrodzonej niestateczności. Kiedy przybijał tezy na drzwiach wolsborskiego kościoła i wyzywał Modrzewskiego na dysputę, dając mu dwanaście godzin czasu kiedy ten był nie obecny, działał ze złą wiarą: kiedy Stankara podszedł, i zdradliwie dowiedział się o treści jakiejś jego kacerskiej książki, którą tamten trzymał w rękopiśmie, i zaraz go zdał jako kacerza, żeby siebie jego kosztem podnieść, działał w złej wierze. Przypuściwszy, że *Fidelis Subditus*, że paszkwil o małżeństwie królewskim, były pisane ze szczerego przekonania nie dla przypodobania się opinii, pozwolewszy nawet, choć to może trudniej, że *Dyalogi* i *Quincunx* były pisane w dobrej wierze nie dla przypodobania się biskupom, to i wtedy nie można uwierzyć w jego dobrą wiarę w głównej sprawie jego życia, w sprawie małżeństwa. O szkodliwości Coelibatu mógł być przekonany, ale w to nie mógł wierzyć, żeby ksiądz wyświęcony mógł wchodzić w związek małżeński i żeby taki związek był czem innym jak rozpustą. W dobrą wiarę Lutra, który odrzuca razem i wiarę i karność i żeni się, można

wierzyć: nie w dobrą wiarę Orzechowskiego, który się żeni, a zostaje katolikiem i upiera się, że nie wykroczył w niczem przeciw Kościołowi. W sprawie tej uderzają dwie rzeczy: łagodność biskupów, i hardy upór i zła wiara Orzechowskiego. Że biskupi małżeństwa uznać nie mogli, to rzecz jasna: ale że przypadek tak niewątpliwy odsyłali do decyzji papieżkiej, to jest szczególne. Że z Orzechowskim postąpiono w ten sposób, powód był ten, że biskupi lękali się odpowiedzią stanowczą pchnąć Orzechowskiego do protestantyzmu. W epoce szerzących się herezyj, i w chwili takiego rozjątrzenia szlachty na duchownych, Orzechowski protestant, byłby dla Kościoła nieprzyjacielem nader niebezpiecznym. Zastanawiając się nad tem, istotnie dziwić się przychodzi, dlaczego Orzechowski nie zmienił wiary; był to najprostszy sposób, owszem jedyny, wydobyć się z położenia, z którego innego wyjścia być nie mogło. Ten był tak prosty, tak bliski, że musiał nieraz stawać mu w myśli. Dlaczego się go nie chwycił? Na to jest jedna tylko możliwa odpowiedź: musiał w gruncie na prawdę po katolicku wierzyć, i na zmianę wiary w sumieniu swoim zgodzić się nie mógł. Tylko takim uczuciem da się ta rzecz wytłómaczyć. On miał słuszość przeciw Kościołowi, on był po nad nim, ale z tym wyjątkiem, Kościół miał słuszość przeciw wszystkim. U ludzi, u których osobistość wzięła górę nad wszystkim, sprzeczność taka, taki wyjątek od absolutnej zasady dla siebie jednego, zdarza się nierzadko, zdarza się zwłaszcza w Polsce; nie na polu zasad religijnych może, ale na polu społecznem i politycznem many takich przykładów wiele. Republikanizm i demokracja naszych oligarchów jest takim przykładem. Prawie wszyscy oni wyznawali równość, zdawało im się, że szczerze; ale równość ta zatrzymywała się na ich domu. Równość obywatelska, równość podciągająca pod swój strychulec wszystkich, byle Kmita na przykład lub inny, głową nad ten poziom wystawał.

Złej wiary Orzechowskiego zaś w tej sprawie, dowodzi nietylko to, że nie mógł małżeństwa swego uważać za kanonicznie ważne, ale i całe jego postępowanie. Na pierwszym

sądzie biskupim przysiągł „uczciwości klerycznej strzedz i nie „bez wiedzy i pozwolenia biskupa nie ogłaszać“, a zaraz potem napisał książkę o *bezżeństwie*, a następnie ożenieniem groził. Pozwany na Synod piotrkowski, przyrzeka znowu nie żenić się dopóki by nie miał dyspensy od Papieża, a zaraz potem złożył butnie urzędy kościelne i ożenił się. Dość dowodów zlej wiary i łamania słowa? a wszystkie następne narzekania na biskupów, że go karzą za uczciwe życie, wszystkie upierania się, że zrobił dobrze i miał prawo tak zrobić, wszystkie wywody i paradoxa, że w tem tylko pobłądził, iż stan wyższy i doskonalszy kapłański zamienił na mniej doskonały małżeński, wszystko to majaki, któremi siebie i drugih do ostatka tumanił próbował.

Wszystko razem, Orzechowski jako człowiek, jest wzorem osobistości wybijającej nad miarę, nad wszystko, nad prawo, nad wiarę, nad Kościół, nad państwo, nad człowieka samego wreszcie, rozkielnanej ze wszystkich wędzideł zasad moralnych lub tylko logicznych. I przez to jest Orzechowski na nieszczęście typem bardzo polskim, jest podobny do wszystkich naszych rokoszanów; w innych okolicznościach i na innem polu jest tem samym, ezem na polu spraw politycznych Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwiłł albo Lubomirski.

Sąd ten tak surowy zmienić się nie da, jednak sprawiedliwość nakazuje łagodzić go okolicznościami, które na korzyść Orzechowskiego przemawiają. Okoliczności takie zachodzą nawet przy sprawie jego małżeństwa. Nie byłoby ściśle sprawiedliwym, gdybyśmy ten główny fakt jego życia mierzyć chcieli skalą dzisiejszych zasad i obyczajów. Człowiek i ksiądz w wieku XVI wiedział wprawdzie tak dobrze jak dziś, że ksiądz żenić się nie może, ale był pod tym względem narażony na nierównie silniejsze pokusy. Patrzył na wielkie zepsucie obyczajów w duchowieństwie, słyszał i czytał ustawicznie, że najpewniejszym i najprostszym na nie środkiem byłoby zniesienie celibatu: a nie był tak jak my nauczony powodów, dla których Kościół celibatu zniesić nie może, nie rozumiał ich, nie był o nich przekonany, nie

wierzył im tak jak my. Wszak nie protestanci tylko, z katolików nie jeden Orzechowski dowodzi, że małżeństwo księży jest potrzebne i zbawienne. W ówczesnej niestałości pojęć nie częstszego jak ludzie, którzy są i chcą być katolikami, a co do pewnych kwestyj i nauk myślą inaczej i robią swoje zastrzeżenia: co do żadnej zaś tak często, jak właśnie co do kwestyi celibatu. Orzechowski i bez swoich wittenberskich nauk, z niemi tem bardziej, mógł w dobrej wierze pisać swoją książkę przeciw celibatowi: nie mógł ożenić się w dobrej wierze, ale tu jego namiętność i namowy protestantów mogły tak złudzić jego dobrą wiarę i sumienie, że w chwili kiedy ten ślub zawierał, mógł nie widzieć jasno co robił, nie zdawać sobie sprawy z rozmiarów i skutków swego wykroczenia. Później ta sama namiętność tłómaczy, że się zuchwale biskupom i Papiężowi odgrażał. Oprócz namiętności zaś było coś większego i szlachetniejszego: wzgląd na kobietę, której los i cześć nierozważnie za sobą w przepaść pociągnął, którą szanował i szanować miał obowiązek, którą zapewne kochał, za której nieszczęście był odpowiedzialny; i wzgląd ojca na dzieci, kochane niewątpliwie, a przez jego postępek skazane na upośledzenie i upokorzenie, nacechowane piętnem nieprawości. Wtedy, w ostatnich latach swego życia, Orzechowski otrzeźwiony musiał być okropnie nieszczęśliwym, i samo pożałowanie łagodzi sąd surowy, jaki o nim wydać trzeba.

Jego stałość w wierze katolickiej jest tylko nowym i może najwymowniejszym dowodem jego niestateczności: ale i ona była szczerą i na przekonaniu opartą, a musi mu być policzoną za zasługę i za enotę, bo dla niej poniósł największe jakie mógł poświęcenie. Oczywisty interes nakazywał mu po ożenieniu zostać protestantem; zmiana wiary zmieniała odrazu stanowisko jego żony i dzieci, bo w nowem wyznaniu niktby ich prawności nie przeczył. Jaki prócz tego los świetny, jaką może w całej Europie sławę mógł sobie Orzechowski zrobić, przechodząc do protestantów! A jednak tego nie zrobił. Dlaczego? Kiedy kto działa wprost przeciw swojemu widocznemu i żywotnemu interesowi, kiedy wstrzymuje się od tego, do czego ten interes pcha go całą siłą jego lepszych

i gorszych uczuć i popędów, to nie może być inaczej tylko tamę, wędzidło, zakłada mu sumienie. Orzechowski kiedy nie został protestantem, musiał być katolikiem z przekonania i przez całe życie, katolikiem bez konsekwencji i statku, ale nie bez wiary i sumienia. Namiętność, upór, po części rozpacz, kazały mu do ostatka odgrażać się odszczepieństwem, ale przekonanie i sumienie trzymały go do końca, i utrzymały. I znowu ta stałość mimo pokusy i walki, ta wierność wbrew korzyści własnej, dowodzi, że pod namiętnością tego temperamentu i niestatkami tego umysłu, była wrodzona szlachetność, która w innych czasach i pod innymi wpływami kto wie do jakiej wysokiej, do jakiej heroicznej enoty mogła się rozwinąć i stać się zdolną. I to względ drugi, który nie uwalnia nas od konieczności surowego o nim sądu, ale go znowu żalować i w pewnej mierze szanować każe.

A trzecim jest jego miłość ojczyzny, jest ta żalność wyrwana z serca, w którym gdyby je rozkroić nieby się nie znalazło, tylko rozdzierający okrzyk: „zginieemy!”. To także szczerze, to także w dobrej wierze, i to sprawia także, że cokolwiek złego o Orzechowskim powiedzieć jest się zmuszonym, ma się dla niego zawsze nie tylko pobłażanie, nie tylko współczucie, ale poszanowanie i niekiedy nawet podziwienie.

Orzechowski jako pisarz jest do określenia trudny. Talent pisarski wielki, wymowa i energia niepospolita, giętkość i łatwość wielka, rozum, zdolność argumentowania, wszystko jest; a przecież to wszystko nie wydało ani jednego dzieła trwałego, ani jednego zupełnego, ani jednego dobrego i prawdziwego. Zbyteczna rzutkość i niestateczność charakteru musiała być powodem, że nad jedną myślą i jednym dziełem Orzechowski zatrzymać się nie był zdolny: a nadzwyczajna drażliwość temperamentu znowu musiała sprawiać, że przy każdej sposobności wybuchał, że się we wszystko mieszał, o wszystkim coś napisać musiał. Jego charakterystyczne właściwości są: wymowność naprzód, wielka energia i jędrność stylu, zwroty niespodziane a efektowne, słowem pozory pisarza bardzo świetne, olśniewające. Powtórę niepospolita acz

nieszlachetna weale zdolność dyalektyczna; nikt śmieiej nad Orzechowskiego paradoxu nie postawi i nikt go nie broni jeżeli nie z ręczniej, to przynajmniej zuchwalej, z większą, rzecby można bezczelniejszą otwartością sofistyki. Naprawdę, w gruncie, argumentuje blaho i słabo, może dlatego, że prawie zawsze broni bądź złej sprawy, bądź niedorzecznego założenia: ale napozór rozumuje ściśle, nierozważnego nie przekonana, ale olśni, zakrzyczy i pociagnie. Do tego wszystkiego ma wielki spryt i węż do poznania opinii publicznej, zawsze wie z kąd wiatr wieje i umie z ręcznie swoją łódkę tak obrócić, żeby ten wiatr wiał w jego żagle: zna wybornie publiczność, do której mówi, wie co jej się podoba, wie jak trafić w jej słabą stronę. Nie są to przymioty wielkiego pisarza, nie wystarczą na to, żeby dzieła stały się wiekopomnemi, a pisarz sławnym i wdzięcznie wspomnianym jak długo świat stoi, ale są właśnie te, których potrzeba, żeby u współczesnych mieć wielką sławę i wziętość. To też Orzechowski dziś czytany nie jest, ani z potrzeby, ani dla przyjemności, szukamy w nim jego języka raczej niż jego myśli: a gdyby nie jego sławne i dziwne przygody, oprócz historyków literatury, możeby nikt o nim nie wiedział. Ale w swoim wieku rozgłosu i sławy miał tyle, ile ich tylko próżność jego pragnąć mogła. Z takimi wrodzonymi własnościami Orzechowski nie mógł zostać wielkim pisarzem, ale stworzony był na to, żeby stać się wielkim w jednym, okolicznościowym i nietrwałym rodzaju pisania, w publicystyce. Rzeczywiście miał geniusz publicystyczny: z tą wymową, z tym darem działania na wyobraźnię, z tą sztuką olśniewania i porywania, z tą znajomością ludzi, z którymi miał do czynienia, których chciał przekonać i pozyskać, ich opinii, uprzedzeń, słabości, z tą z ręcznością, z jaką swój cel zawsze łączyć umiał ze sprawą chwilowo najpopularniejszą, jest Orzechowski (jak na to słusznie już zwrócił uwagę p. Kubala) pierwszym publicystą polskim, a może jedynym z najzdolniejszych ludzi w tym zawodzie. Że broszury jego dziś na nas robią małe wrażenie, że widzimy całą tę sztuczną łataninę paradoxów i sofizmów, nie dziwnego: ale ta jest natura pism tego rodzaju, że na

potomność się nie oglądając działać chcą doraźnie na współczesnych. I działały. Całe życie Orzechowskiego, wielka popularność jego sprawy i osoby, dowodzą, że ani *Turcyków*, ani *Subditusa*, ani *de Matrimonio* nie pisał napróżno. Nie pisał też napróżno *Dyalogów* i *Quincunxa*, skoro jednym i drugim przyczynił się do utwierdzenia nas w zbyt pochlebnem, złudnem mniemaniu o sobie i o doskonałości naszego politycznego organizmu.

Ale będąc przykładem zdolności publicystycznych dobranych tak szczęśliwie jak rzadko, jest on zarazem i zbiorem wszystkich własności, które publicystykę mogą robić niebezpieczną i nieuczciwą; jest typem publicysty złego. W niestateczności, w sprzecznej z sobą gorliwości o dobro Kościoła, przeciw któremu się buntował, o dobro ojczyzny, którą wicherzył, w sztuce kaptowania *aurae popularis*, paradoxu, szkalowania i pochlebstwa, w sztuce zuchwałego naciągania i przekręcania słów i faktów, w sztuce bezczelnego zmieniania zdań i bronięcia najsprzeczniejszych, słowem w tych wszystkich sztukach, przez które publicystyka może się stać rzeczą wzgardzoną i godną pogardy, a dla moralności publicznej i dla spraw politycznych niebezpieczną, jest Orzechowski mistrzem.

I dlatego, choć dzieła jego, oprócz dla ludzi trudniących się z powołania literaturą lub historią, nie są już dziś do poznania konieczne, to dobre do rozpamiętywania są w nim dla wszystkich dwie rzeczy, jego polszczyzna naprzód, a powtóre jego osobistość, jego życie, jego przykład; przykład człowieka, który pomimo wielkich zdolności, krajowi swemu na nie się nie zdał, a wiele zaszkodził; który u współczesnych bardzo sławny i wzięty, jak długo im podchlebiał, tak poszedł u nich w zapomnienie, że nawet daty ani miejsca jego śmierci nie zapisali: a u potomnych ma sławę bardzo zdolnego pisarza, który nie bardzo dobrego, pożytecznego i trwałego nie napisał, i smutniejszą sławę człowiek a bez zasad, przekonań i charakteru, który mógł być się stać wielkim i pełnym zasługi pisarzem i obywatelem: ale nim nie był

Rey w tym samym czasie rozwija czynność największą, i pisze swoje najważniejsze, najslawniejsze dzieła. Po ogromnym poetycznym *Wizerunku*, nie sili się już na kompozycje: ale nie porzuca ani swojej dydaktycznej moralizującej tendeneyi, ani swojej religijnej propagandy, ani nawet poezyi. Tylko forma tej ostatniej jest inna. Satyrycznym, ucinkowym, a obserwacyjnym i realistycznym charakterem, przypomina teraz Rey swoje początki, swoje prozaiczne dyalogi.

III.

Rey. Zwierzyniec. Żywot Poczciwego Człowieka. Apophtegmata.
Figliki. Charakterystyka ogólna.

Wartości poetycznej nie więcej ma od „Wizerunku“ „Zwierzyniec“. Poemat? Trudno przyznać tę nazwę zbiorowi epigramów: choćby był największy, choćby jak tu wystarczył na spory tom, choćby najporządniej jak ten podzielony był na rozdziały podług przedmiotów, taki zbiór całością nie będzie, pozostanie zawsze zbiorem epigramów. Wszystkie są ośmiowerszowe. Ograniczyć się do tej liczby wierszy, wyrazić w nich myśl swoją i w całym tomie ani razu liczby tej nie przekroczyć, było zapewne nie małą trudnością. Ale raczej moglibyśmy żalować, że biedny Rey krępował się tak mozolnie tą formą. Krótki kilkowerszowy epigram niewa nieraz wielki wdzięk, a im zwięźlejsza jego forma, tem bardziej uderza zawarty w nim dowcip. Ale takie małe arcydzieło, które zawsze należy do sztuk poetycznych raczej jak do sztuki, potrzebuje nadzwyczajnego wykończenia, wytoczenia, toku naturalnego i łatwego; jedno słowo źle użyte, jeden rym niezgrabny lub naciągnięty, psuje epigram na nie. Dlatego może on udać się tylko w epoce takiego wyrobienia języka, do jakiego Reyowi było jeszcze daleko, dlatego epigramy *Zwierzynca* najczęściej są kulawe: albo myśl nie może jasno się wyrazić, albo forma jest dla niej poświęconą: i gdyby

Rey zamiast łamać się z trudnościami tej obranej formy, był swobodnie wyrażał swoją myśl w dowolnej liczbie wierszy, to jego dowcip, jego spostrzeżenia, jego przycinki, charakterystyka osób i stanów, byłyby przemawiały wyraźniej i dobitniej.

A szkoda. Bo Zwierzyniec ten obejmuje nagany lub pochwały na wszystkie niemal znaczniejsze postacie historyczne owego czasu, charakterystykę całych okolic, powiatów, owszem całych narodów: dalej obowiązki znaczniejszych w Rzpltej urzędów duchownych i świeckich, a w końcu dopiero krótkie moralne sentencye i nauki. Gdyby ośmiowierszowa forma nie była tak bardzo utrudniała zadania, gdyby Rey swobodnie mógł być puścić eugle swoim spostrzeżeniom najczęściej trafnym i swojemu rubasznemu dowcipowi, mielibyśmy w Zwierzyncu może bardzo cenną i ciekawą charakterystykę wielu ówczesnych ludzi; teraz mamy epigramy ogólnikowe, pomiędzy którymi rzadko kiedy znajdzie się taki z którego możnaby się domysleć, jakim był człowiek na którego wiersz napisany.

Zamiast Przedmowy jest dialog pomiędzy Rzeczpospolitą strapioną i narzekającą, a jej nieprzyjacielem Prywatem. Staranny wydawca (Wierzbięta) ilustruje tę scenę drzeworytem, na którym Rzplta ubrana podług ówczesnej mody, jak Jagiellonki na portretach skarży się na swe nieszczęście, a Prywat z wielką pałką i miną bardą odpowiada, że on temu nie krzyw, zdawna to już tak jest, że na świecie „każdy sobie garnie“. W rozmowę miesza się tu Stańczyk i przepowiada, że na nie się nie przyda upominać: wołał on sam dosyć, i kamienie prawie wołają, ale „twarde sumienie“ niczego słuchać nie chce. Wprowadzenie tej figury ma zapewne uprzedzić czytelnika o żartobliwym i satyrycznym tonie Zwierzynca, a zarazem i o poważnej jego tendencji, bo Rzeczpospolita zamyka swoją przemowę życzeniem:

A gdzie takich Stańczyków było jeszcze wiele,

Coby plewli obludność, to wszeteczne ziele,

A prawdę świętą ludziom przed oczy miotali....

Rzecz prosta, że jako największe powagi, wzory enót i doskonałości, iść muszą naprzód sławni ludzie starożytności. W wieku XVI nie mogło być inaczej. Cały więc rozdział pierwszy poświęcony jest przykładom wyjętym z Erazma *Apophtegmatów* i z Fulgozy *Dicta et Facta* głównie (Chrzanowski Ateneum 1893) enót rzymskich i greckich bohaterów. Likurgi, Solony, Aristidesy, Fabiusze, Kureyusze, Cincinnaty, niezliczeni iuni, mają każdy po ośm wierszy i po drzeworycie mającym wyrażać ich podobieństwo. Rey czerpał swoje wiadomości o tych bohaterach, z dzieł i autorów różnych, ale to pewna, że micwa i takie wiadomości, które u niego spotyka się po raz pierwszy — i tak naprzykład Pompejus i Cezar wydają mu się cesarzami rzymskimi; inny znów dzieckiem przez matkę wyrzucony do jakiejś grotty, tam przypadkiem przez jakiegoś cesarza znaleziony i wychowany „został potem cesarzem, rządził wielkie pany“ a nazywał się Jamuziusz, dlatego, że był wyjęty z jamy, tłómaczy naiwny etymolog. Akteon królewicz, który miał z Dianą rozmowę, ma służyć za przestrożę, żeby się nie wdawać z chytremi paniami. Faëton co słońce wozil, jeden z szcześliwszych epigramów, ma być przykładem dla tych, co się porywają na wielkie rzeczy, przechodzące ich rozum i siły. Niekiedy trafi się i przykład jaki z chrześcijańskiego, nawet z muzuhnańskiego świata, Karol Wielki, cesarz Otto, Karkarnus książę Bawarskie, Alfons Arragoński, Tamerlan, Adatyr, Salmanazar, Saphiry, tatarsey Carzowie i t. d. Gdziekolwiek także, ale rzadko na nieszczęście, zastosowanie do stosunków polskich.

Większą ciekawość budzi naturalnie rozdział drugi, w którym „zaczynają się stany i domy niektóre zacnego narodu polskiego, a najpierwej on zacny Zygmunt, sławny król polski“. Po Zygmuncie następuje królowa Bona, ich dzieci, dalej liczny poczet senatorów, szlachty, wreszcie opisane w ośmiu wierszach dziedziczne skłonności i usposobienia całych rodzin. Możliwość się spodziewać nieocenionego źródła do znajomości wieku, a co najmniej zabawnych i ciekawych conceptów, może plotek i skandalików. Tego

nie ma; trudno mniej dotykać osobistości jak Rey, choć wyraźnie pisze o osobach. Ale i charakterystyki nie znajdzie się tam wiele. Czy opisywał tylko takich, których szanował i lubił, czy też nie chciał przycinać, dość, że wszystkie prawie epigramata *Zwierzyńca* zawierają pochwały, i to ogólnikowe, z których nie wiele można się dowiedzieć. Czasem trafi mu się jakiś zakrój na komplement dość zgrabny, naprzykład kiedy o królownie Annie i Katarzynie mówi, że zgodziły królewską powagę z łatwym i milem obejściem „acz układność z powagą nierada się godzi, przedsię to tym enym pannom nadobnie przychodzi“. Podchlebiać? zdaje się, że nie podchlebia, nawet największym, kiedy naprzykład pisze o królowej Izabelli (prawda, że zmarłej), że choć „wiele trzęsła światem“ a „króle, zacni książęta, a snać i pogani, mieli z nią pracy dosyć“ przecie, „dziwna była Pani“, a jej rozum, „wisiał na cienkiej nici“. Ale jeżeli w przycinkach jego nie ma żółci ani złości, to znowu rzadko kiedy znajdzie się w nich dowcip. Jest jego połysk w wierszu na Bonę naprzykład, która „Bona była z imienia, z skutku jako komu“. Albo w epigramie na rodzinę Kościeleckich, o których daje do zrozumienia, że byli bardzo dumni, bo pisali się z kościoła, a jak czasem jeszcze bardziej zhardzieją, to gotowi pisać się i z nieba. Z senatorami duchownymi obchodzi się dość łagodnie, nawet z Gamrata nie korzysta tak, jakby ze swoim usposobieniem rubasznym i protestanckiem mógł korzystać; przy Uchańskim tylko jest wiersz tak gruby, że się żadną miarą powtórzyć nie da. Karnkowskiego znał dobrze, kiedy przepowiada o referendarzu dopiero, zobaczycie, że ten popek wysoko urośnie.

Następują potem różne domy szlacheckie, kolejają województw, krakowskie naprzód, wielkopolskie, potem Podgórzanie, Sandomierzanie, dalej szlachta Ruska, Lubelska, Podolska, a na ostatku Litwini. Z tych najciekawsze są ze względu na przedmiot epigramy na siebie samego i na Jana Kochanowskiego.

Trzeci rozdział *Zwierzyńca* obejmuje obowiązki różnych stanów, urzędów świeckich naprzód, potem duchownych.

Wiersze na duchownych pełne protestanckiej namiętności i rubasznych konceptów; ciekawy jest jeden na Rzym, który jest bestyą o siedmiu głowach z Apokalipsy, i drugi na Wittenberg, który nazywa drugim Betleem.

Wiersze na różne państwa i narody europejskie, zawierają ich charakterystykę, ale nie zbyt trafną ani dowcipną; najlepsze na niedbałość polską, na opustoszały Kamieniec, na puste pola Podolskie, na Kozaków, zamykają w sobie przynajmniej zdrową i praktyczną radę. Dalej idą napisy na różne budynki, Zamek krakowski, Akademię, Sukiennice i t. d. Różne maxymy i przypowieści moralne; wreszcie z tych przypowieści, z porównania różnych skłonności ludzkich do podobnych u zwierząt, wyrabia się nieznaną wielką nowość, bajka, nie wyrobiona zrazu, nie doksztalcona, niezgrabna, ale już prawdziwa. Rey sam pisze ją jako porównanie, nie domyślając się (zda się) że wchodzi na pole Ezopa, a jednak jest to już zaród na bajkę Krasickiego, nawet na bajkę Niemcewicza i Morawskiego, bo nie jedna kryje w sobie i polityczną alluzję, n. p. Niedźwiedź, Sokół, Zajac.

Zamykają Zwierzyniec wiersze na siedm enót chrześcijańskich i na przeciwne im światowe rozkosze, a wreszcie na Gospodarstwo, w których autor uczy, jakie powinny być rzeczy należące do wygody i potrzeby człowieka, począwszy od domu, gumna, stajni i browaru, potem kuchnia, piwnica, sprzęty, broń, ubrania, nawet łaźnia. Nie wiedzieć jak i dla czego wmieszały się w to Plugawego chłopca Przypadki, któreby raczej pomiędzy Figlikami i to najrubaszniejszymi były na swoim miejscu. „Figliki“ wyszły aż po śmierci Reya, ale oczywiście pisane były przez cały ciąg jego życia.

Praca apostołska — w sensie protestanckim ma się rozumieć, nie ustaje. W trzy lata po *Zwierzyniu* (1565) wychodzi dzieło zdumiewające — śmiałością! *Apokalipsa*. Jeżeli już słusznie można było się dziwić, że Rey ze swoim zasobem nauki teologicznej nie zawahał się przed pisaniem *Postylli*, to o ileż dopiero dziwniejszem wyda się to przedsięwzięcie? Dziwne byłoby dla nas, w naszym wieku; da-

leko mniej u Reya i w ówczesnej Polsce. Ta zuchwałość jest u niego naiwną. On sobie nie zdaje sprawy z tego czem wykład Apokalipsy być powinien, czem być może. On widzi tylko, że do jego celu, do jego propagandy, on służyć może; a widzi także, że wiadomości i komentarze, jakie mogą być potrzebne czy jemu czy jego czytelnikowi, znajdują się w książkach gotowych. Z tych czerpie; to wystarcza mu zupełnie. Myśli, że jego wykład jest prawdziwy i dobry; ale o wykład chodzi mu naprawdę mało, a głównym przedmiotem i celem, są praktyczne przystósowania do ówczesnego świata polskiego. Uderzyć na to co ma za złe i to podkopywać; wskazać i szerzyć prawdę religijną i ideał moralny jak go pojmuje, to jego zadanie. I w tem poszczęściło mu się zapewne, bo przypuszczać można, że *Apokalipsa* działała na umysły, umacniała je w niechęci do kościoła, i w wierze, że to nowe Słowo Boże, które Rey pomaga głosić, jest na prawdę Bożem. Dla nas potomnych, ta strona historyczna *Apokalipsy*, te przystósowania i kazania do współczesnej Polski, jest jedyną, która zachowała jakąś wartość.

Następuje wreszcie ostatnie, najważniejsze, najlepsze dzieło Reya, *Żywot Poczciwego Człowieka*. Wyższość nad poprzednimi zapewnia mu nie tylko to, że jest pisane prozą, że autor, nałamawszy się z wierszem przez całe życie, porzucił formę, która w jego ręku była zawsze nieposłuszną i niedołączną, choć niezawodnie przyczynia się i to do wyższości *Żywota*. Ta sama rzecz, która w wierszu chromym, niewyrobnym, pozbawionym wszelkiego poetycznego polotu była sucha, ciężka i nudna, w trzeźwej prozie wyda się dobrze, bo nie razi tu sprzeczność pomiędzy zamiarem a wykonaniem, nie drapie uszów rym naciągany, nie męczy czytelnika mozolny przymus poety. Ale jest wyższość i w treści. Wprawdzie nie znajdziemy w *Żywocie* nic, czego byśmy już nie znali; te same pojęcia, te same maxymy moralne, ten sam ton dydaktyczny zaprawiony gdzie indziej ironią, upstrzony klasycznymi przykładami wątpliwej erudycyi, a częstokroć kaznodziejski. Ale *Żywot*, dzieło późnego wieku, jest jakoby rezultatem całego życia, zbiorem tych wszystkich

uwag, spostrzeżeń i reflexyi, jakie przez całe życie gromadziło w jego umyśle doświadczenie, i tu ułożone one są porządniej, systematyczniej, rozwinięte obszerniej i gruntowniej aniżeli w jego dziełach poprzednich, i prościej jak w tamtych. To już nie jakiś fikcyjny dysejput Hipokratesa wędrujący od filozofa do filozofa, błędzący po konwencyonalnych rajach, piekłach i zamkach rozkoszy, a obojętny i martwy, to wyraźnie i niezaprzeczenie człowiek jego wieku i jego narodu, który się odbija w autorze i w jego dziele. Rzecz prosta, że jeżeli to dzieło ma większą wartość bezwzględną przez to, że jest gruntowniejsze, porządniejsze i pisane prozą, to przez to, iż pisane jest wyraźnie i wyłącznie o ówczesnym Polaku i dla niego, ma większą wartość historyczną, jest dla nas nierównie ciekawsze.

Żywot wchodzi w zakres filozofii moralnej, przez co łączy się z mnóstwem podobnych traktatów humanistycznych; umiejętnej, spekulatywnej filozofii w niem nie ma. Oprócz małej w ogóle u nas skłonności do abstrakcyjnych badań, Rey, który uczył się mało lub nie wcale, nauką szkolną nie przesiąknął, autorów starożytnych znał niedostatecznie, Rey nie mógł dziełu swojemu nadać ani pozorów nawet dzieła naukowego, nie mógł ze swoją filozofią garnąć się pod sztandary bądź to scholastyków, bądź humanistów, nie mógł trzymać się wzorów, musiał po prostu pisać i po prostu myśleć, nie szukając dla swoich myśli abstrakcyjnych pryncypiów ani naukowego układu. Jego filozofia, zdziwilby się zapewne, że się tego słowa o jego książce używa, nie mogła być inną jak empiryczną, wziętą z własnych spostrzeżeń i doświadczeń jedynie, i nie mogła też być inną jak praktyczną; co jest człowiek, jaka jego natura, władze jego umysłu i ich funkcyje, nad tem Rey zastanawia się mało; on myśli o tem, co człowiek pocciwy powinien robić, jeżeli będzie w wojsku albo na dworze, albo w Izbie Sejmowej, albo na wsi jako gospodarz. A jeżeli ten charakter jego dzieła sprawia, że umiejętność nie raczyłaby przyznać go za swoje, to znowu dla historyi, literatury, dla znajomości ówczesnej Polski ma ono wielką wartość właśnie dla tego,

że jest takim, że nie zapuszczając się w głębokie dociekanie, daje poznać jak człowiek ówczesny pojmował życie i jego obowiązki.

Z góry jednak powiedzieć trzeba, że i z tego stanowiska sądzony, *Żywot* zawodzi oczekiwanie czytelnika. Ten sam przedmiot traktowany przez człowieka umysłu bystrzejszego, przez Kochanowskiego naprzykład, albo przez Orzechowskiego, gdyby Orzechowski przy swoim rozumie był miał moralną powagę i prostotę Reya, byłby niezawodnie mógł stać się wielkim skarbem najcenniejszych spostrzeżeń psychologicznych nad naturą ludzką i nad naturą polską. Reyowi do tej przenikliwości daleko; jego wzrok dosięga tylko do powierzchwni i na niej się zatrzymuje, widzi dobrze fakt, i zdrowym rozsądkiem zdrowo go sądzi, ale skrytości natury ludzkiej nie przenika. On wie ogólnie, że w tej naturze może się kryć obłuda, egoizm, podchlebstwo, zazdrość, i ogólnie przed niemi przestrzega; ale jakie są różne ich rodzaje i odcienia, jakie między sobą pokrewieństwa, jakie nieraz w człowieku dziwne kombinacye złego z dobrem, tego on już nie dojrzy; głębszego wzroku, poglądu bystrzejszego i oryginalnego nie ma.

Drugie zastrzeżenie, które także z góry postawić trzeba, jest to, że nie znajdzie się w *Żywocie* tego wdzięku naiwnej i oryginalnej prostoty, który u innych autorów tego wieku tak jest miłym. Nie żeby Rey nie miał prostoty; tak mało był dotknięty obcemi wpływami, że mieć ją musiał; jednak, pomimo całej swojej pierwotnej surowości i rubasności, czy to, że chciał wyglądać poważnie i uczenie, czy też, że przedmiot ciężył na nim swoją moralizującą tendencją, nie ma w *Żywocie* tej pierwotnej świeżości pomysłów i wyrażeń, jaka tyle dodaje powabu dziełom Górnickiego naprzykład. Rey ma to znamie prostoty, ale rzadko kiedy ma jej wdzięk: bo kiedy jest poważnym, mówi jak chłop, któryby chciał prawić poważne i uczone kazanie, a kiedy przechodzi w ton swobodniejszy i lżejszy, mówi jak chłop, któryby za mało na swoją mowę uważał i do zbytku swojej prostocie folgował.

Nie trzeba przypominać, że *Żywot* nie jest *Żywotem*, jakiegokolwiek pierwszego lepszego pocziwego człowieka, ale porządnego szlachcica polskiego stanu rycerskiego. Mickiewicz zwrócił już na to uwagę, że ideałem Reya był szlachcic; Montaigne uważa człowieka zawsze ze stanowiska jego pozycji socyalnej i jego stosunku do dworu, Castiglione widzi ideał człowieka w Dworzaninie; ideał Reya przeznaczony jest do życia ziemiańskiego; za granicę jedzie on na krótko, dworsko lub wojskowo służy do czasu tylko, nawet w służbie publicznej występuje tylko przygodnie, a stworzony jest na to, żeby siedział na swojej ziemi i orał *paterna rura*. Nie jest on też człowiekiem wielkiego majątku ani znaczenia, nie z senatorów, choć do senatu dostać się może; on jest z tej wielkiej przeciętnej większości narodu, która w ciągu tego wieku właśnie doszła do takiego w nim znaczenia, tak zaważyła na szali jego losów, która od drugiej połowy XV-go wieku coraz silniej czuła się w sobie i afirmowała, aż stała się sama swoim ideałem do którego stosowała i swój ideał Rzeczypospolitej. I niezawodnie jednym z powodów wartości Reyowego dzieła jest to, że jego ideałem jest szlachcic, jak osią Państwa i Historji, ideałem Polski XVI-go wieku była szlachta. Tylko z góry także powiedzieć trzeba, że ten ideał nie jest bardzo wysoki.

W tym ogólnym zarysie nie ma czasu ni miejsca na szczegółowy rozbiór *Żywota*. Jest on zresztą, z wyjątków przynajmniej, powszechnie znany; wszyscy wiedzą jak Rey opisuje różne usposobienia ludzkie, (cztery temperamenta), jakie daje rady młodzieńcowi, zabierającemu się do stanu małżeńskiego, jakie każe mieć porządki w domu, w ogrodzie i w gospodarstwie, i jak je sam lubi. Pomijamy więc z konieczności wiele jego pomysłów, dobrych lub charakterystycznych, poprzestając na tem, co nam się wydaje najistotniejszym i najbardziej znamionem.

Humanizm włoski, przynosząc do nas cześć i zamiłowanie nauk zwłaszcza klasycznych, nie przeniósł tego, co we Włoszech było jednym z jego zgubnych skutków sceptycyzmu i niedowiarstwa. U nas są katolicy mniej lub więcej

wierni, protestanci mniej lub więcej gorliwi, ale człowiek niewierzący jest wielkim wyjątkiem i wielkim zgorzeniem, a u protestantów i u katolików silne uczucie religijne jest nie tylko wiarą ale pobożnością. Wszystko zawsze odnosi się do Boga i do przyszłego życia; Bóg jest gruntem i początkiem wszelkiej cnoty, jego sąd jest ustawicznie każdemu przytomny. W poezyi, w historyi, w mowach sejmowych, w broszurach, spotyka się ciągle obok powag starożytnych cytacye z proroków, z nowego Testamentu, z Ojców Kościoła, i to są w mniemaniu tych wszystkich pisarzy te argumenta najsilniejsze, które na czytelniku powinny zrobić największe wrażenie. Wszystkie dzieła Reya tchną takim duchem religijnym i pobożnym, nawet w sprośnych facecyach odzywa on się niekiedy; w dziełach moralnych stanowi on najwybitniejszą cechę i nieledwie samą ich istotę. Nie dziwnego tedy, że pisząc Żywot Poczciwego Człowieka zaczyna Rey od tego jako i przez Pan raczył stworzyć człowieka, jak Adamowi w raju stworzył żonę, jak czart zwiódł Adama i Ewę, i jakie ztąd poszło zepsucie ludzkiej natury; jak Bóg dalej wsparł człowieka swoim przykazaniem, i jak tego tylko chce, żeby człowiek żyjąc poczciwie i dobrym będąc, mógł się zbawić. Co zaś ludzie zowią praedestynacją i mówią, iż Bóg chciał, iżby ten lub ów człowiek był złym, to nie prawda. Tego Bóg nie chce nigdy, a co nam się praedestynacją wydaje, to jest tylko wpływ planet różnych. Bo jako prawy syn swego wieku musi oczywiście Rey wierzyć na wpływ gwiazdy, pod jaką się każdy człowiek urodził; postęпки i obyczaje człowieka muszą być „wedle sprawy przyrodzenia oney planety“ i „człowiek nędzny z oney raz nadaney różnym planetom mocy rodzi się zły albo dobry, stanie się godnym albo niegodnym łaski Pańskiej jeźliże (wszelako) rozumem a bojaźnią bożą temu wezas zabieżeć nie będzie umiał“. Praedestynacja, której można jakimkolwiek sposobem „wezas zabieżeć“ nie jest bardzo straszna, i możnaby złapać Reya na gorącym uczynku logicznej sprzeczności. Ale dość na tem, że złemu wpływowi planet przeskodzić można dobrem wychowaniem i o to właśnie

starać się mają rodzice, których Bóg potomstwem pobłogosławił.

Tak zaczynają się pierwsze księgi Żywota, podzielonego na trzy części, z których pierwsza obejmuje dzieciństwo i młodość Poczciwego Człowieka, druga jego wiek dojrzały, ostatnia starość.

Mają tedy rodzice naprzód pilnie rozeznawać „przyrodzenie“ swego chłopca, a przede wszystkim jakiego jest temperamentu. Wiadomo jest, że fizjologia Reya (podówczas powszechna) dzieli rodzaj ludzki na cztery temperamta, pochodzące z czterech wilgotności: krwi, flegmy, kolery i melankolii, jak ówczesna fizyka i chemia składała naturę z czterech elementów: ognia, wody, ziemi i powietrza. Wiadomo także, że nie łatwiejszego, jak z cery, ruchów i zwyczajów dziecka poznać, czy ono jest krewnikiem, melancholikiem lub czem innym, a raz to poznawszy, rodzice w wychowaniu o to starać się mają, żeby ta wrodzona „wilgotność“ nie wzięła zupełnie góry nad dzieckiem i nie stała się szkodliwą. Zostawiając na boku kwestyę czterech wilgotności i łatwości ich rozpoznania, nie można zaprzeczyć, że Rey wie o wychowaniu tyle co i my, kiedy każe dbać o to, żeby skłonności wrodzone nie zapanowały wyłącznie nad dzieckiem. Nie wymyśliła też nowsza higiena nic innego jak on, kiedy radzi żywić dzieci samemi pokarmami prostemi i łatwemi do strawienia, ani nowsza pedagogika nie zdobędzie się na nic trafniejszego, jak to, żeby dzieci nie stroić kosztownie i wytwornie, bo to je uczy próżności, płochości i zbytków i „żeby je strzedz od towarzystwa głupich a plugawych chłopiąt“ lub czeladzi, która nieraz uczy rzeczy niepotrzebnych, lub grubych a nietrefnych obyczajów. Nie męczyć też dzieci nauką póki małe, nie podchlebiać im, nie unosić się nad każdym ich słowem; widocznie dziecko Reya ma być chowane od urodzenia z uwagą na jego przyszły charakter, ale zarazem i na jego układność, na to, co dziś nazywamy dobrem wychowaniem.

Skoro podrośnie, potrzeba mu praeceptoru. Do szkoły Rey oddawać nie radzi, przynajmniej nie za młodo, żeby

sobie dziecko „nie nabiło głowy obyczajami sprosznych chłopiąt szkolnych“. Widocznie myśli o synku rodziców zamężnych, którym na żadnych środkach wychowania nie zbywa: a korzyści wychowania szkolnego zdaje się wcale nie domyślać.

Zrazu tedy ma dziecko uczyć się „czytać a pisać, a po trosze słowa na polski język wykladać; a przede-wszystkiem bojaźni i miłości bożej. Ale, iż w tych zamieszanych czasiech iście nie każdy będzie umiał z tego się wyprawić co jest Bóg i jaka istność jego, przeto nie unosząc się zbyt za pisma i wymysły zawiklanemi, strzedz słów a dekretów pańskich, które nieomylnie wyszły przez Ducha św. z ust prorockich y apostołskich“. Następuje tedy krótka nauka wiary, o istności Boga, o Trójcy świętej, o sprawiedliwości i miłosierdziu boskiem, w czem wszystkim, rzecz dziwna, nie przebija się wcale tendeneya protestancka. Zapewne wiedząc, że większość szlachty jest katolicką, chciał Rey rozdział ten tak ułożyć, iżby dla katolików i dla protestantów zarówno był do przyjęcia; unika więc wszelkiej polemiki, stoi na gruncie wspólnym, a tylko na jednych Arianów mimochodem powstaje.

Kiedy już chłopiec podrośł „niechże go nie bawią owemi gramatykami, logikami, arytmetykami, abo owemi zawiklanemi poetyckimi fabułami“. Także Retoryka, Muzyka, Arytmetyka, Geometrya, Astronomia „acz je wyzwolonemi naukami zową“ są poważne a przytrudne. Czegóż więc ma się uczyć nasz przyszły poczciwy człowiek? Czego? Rzeczy najpotrzebniejszych właśnie ale takich, które naukami nie są, sprawiedliwości, roztropności, stałości, pomірności, miłosierdzia, znajomości siebie samego. — A oprócz tego czytaniem ćwiczyć się na przykładach wielkich i sławnych ludzi, „y fabuły aby mało wadziły, wiedzieć, wiedzieć o świecie y o morzu“. Otóż geografia, geologia i cała plejada nauk przyrodniczych policzona między „fabuły“, a uczona dla duchownego obroku, zawsze z przeważnym względem na przystosowanie moralne, bo „dobrze wiedzieć, jakie niebezpieczeństwa się tam ukazują, jakie tam dziwy i śpiewające

syreny, kiedybychmy też to sobie rozmyślali, jakie też tu syreny około nas harcują, a jeszcze chytrzejsze niż morskie, bo ztądby też ćwiczenie rosło, a rozumby się pole-rował“.

Zabawy przyzwoite a właściwe wiekowi mają oczywiście być pozwolone, zaś główną zdaje się rzeczą w dobrem wychowaniu powinny być stateczne rozmowy, które najlepiej umysł i serce kształcą.

Jedna uwaga: można przypuścić, że w tym systemie wychowania nie wszystko jest z czystego wymysłu, że nie jedno musiał Rey tak pisać jak widział; można przypuszczać, że kiedy uboższe żaki ślęczały po bursach i z trudnością wychodziły na bakałarzy i magistrów w akademii, a bogatsi uczyli się nie żartem w Padwie lub Bononii, wielka większość synów szlacheckich odbierała wychowanie podobne do tego, jakie opisuje Rey; cokolwiek encyklopedycznych wiadomości o wszystkim, z każdej rzeczy po trosze, a to wszystko luźnie, powierzchownie, bez porządku i bez pracy. W całym wychowaniu Rey'a, nauki i pracy nie ma właściwie żadnej; dowiedz się wszystkiego po troszę, zresztą doucz i ratuj się jak możesz własnym sprytem i przemyślem. Dziwimy się nieraz wielkiej powierzchowności, lekkości i niewiadomości Polaków z wszystkich wieków, dziwimy się, że choć z natury nie głupi weale, tak mało wiedzieli o świecie, czy to w naukowym czy w politycznym porządku rzeczy, że nieraz brakło im najprostszych elementarnych wyobrażeń o rzeczach. Jakże mogło być inaczej, jeżeli większość, i to większość tych, którzy jedni w kraju znaczyli i mieli łatwość oświecania się, odbierali wychowanie tak niedostateczne, powierzchowne, pozorne tylko, a tak wygodne przytem, tak zastosowane do dominującej w naszym temperamencie wilgotności, do naszego lenistwa i skłonności do słodkiego wczasu. Ani wielkie umysły, ani dzielne charaktery przy takim wychowaniu często u nas zjawiać się nie mogły. W nawiasie wspomnieć warto, że ta kwestya wychowania zajmuje bardzo naszych pisarzy. Modrzewski od niej poczyna *Poprawę Rzpltej*, Rey *Żywot Poczciwego Człowieka*. Inny

mniej głośny pisarz Marcin Kwiatkowski, wydaje (w roku 1564) osobną książeczkę, wyłącznie tej sprawie poświęconą: *O Poczciwem Wychowaniu Dziełek*. Dobra, rozsądna książeczka, która w radach i uwagach swoich bardzo się z Reyem zgadza, mówi o wychowaniu obszerniej niż on, ale pomimo tego nie może w literaturze tak być zapamiętaną, jak choćby jedna część Reyowego dzieła.

Kiedy podrośnie młody panicz, może sobie wyjechać za granicę; (zawsze tak bywało i jest) ale, że są różne kraje i narody na świecie z dobrami i z gorszemi obyczajami, więc mu pilnie zastanowić się wypada, gdzie się ma obrócić, a gdziekolwiek będzie zachowywać się uczciwie i statecznie, żeby sobie i krajowi swemu w mniemaniu obcych nie szkodzić, nie pić, nie grać, burd nie robić, nie być zuchwałym ani przesadnym ale miernym, a z godnymi tylko ludźmi się wdawać. Bo jeździć do cudzych krajów na to, żeby się wystawić na śmiech lub przyganę, to lepiej w domu siedzieć, żeby się obcy przynajmniej naszemu głupstwu a nie pięknym obyczajom nie dziwowali. Złota maxyma, która i dziś wyszłaby nam na dobre, gdybyśmy się jej trzymać chcieli. To także godne zapamiętania, że Rey nie wysłał wcale swojego młodzieńca po naukę i pracować mu nie każe. Mówi wprawdzie, że on „nie tego tylko ma patrzeć czem by się oczy napasły; małooby ci pomogło, choćbyś widział Etnę palającą, morza one srodze burzliwe, wieloryby po nich pływające, syreny śpiewające, kokodryły albo smoki latające, jeśli toż do domu w obyczajach z sobą przyniesiemy cochmy byli z sobą wzięli“. Ale tę przestrożę dawszy nie żąda Rey od młodego Polaka, żeby się bardzo pracą morderował, bo każe mu tylko „czytać co, albo się przypatrywać i rozeznawać co lepsze a co gorsze“. To cała jego czynność za granicą, i koniec jego wychowania.

Po powrocie do domu zaczyna się rozkoszne życie młodego szlacheica, który przetarty między ludźmi, a już dorosły i wyzwolony, ma swoje konie, jeździ gdzie chce, i wzbudza podziwienie rodziców, krewnych, przyjaciół i całej okolicy. Znowu nie wiedzieć kiedy to pisane, w wieku XVI czy

w XIX; młodzieniec w tych leciech powinien rodziców szanować, o przyjaźń sąsiadów się starać, usługi im oddawać gdzie może, do gospodarstwa się wkładać, konia i zbroi nie zaniedbywać. Ale czas ten nie trwa długo, to tylko wytechnienie, po którym ma nastąpić ostatni akt wychowania i początek kariery zarazem, ostatni okres młodości, konieczne uzupełnienie wychowania.

Podług ówczesnych pojęć młody szlachcic już dorosły i pięknie wyćwiczony, dwa miał sposoby, żeby się i sam wykształcił, i wyrobił, i ludziom dał poznać; Rey każe mu wybierać, czy chce iść na jaki dwór albo do wojska, ale jedno z dwojga wybrać musi, bo tam dopiero może pokazać co umie, tam zabrać znajomości z ludźmi, wyćwiczyć się w sprawach publicznych lub rycerskich. Jest to szkoła życia, którą koniecznie przebyć trzeba. Jeżeli młodzieniec pójdzie na dwór — oczywiście rozumie się dwór nie królewski, ale jakiś senatorski — to tam powinien Panu swojemu służyć wiernie i ochotnie, w wydatkach być oszczędnym, ale zawsze pokazywać się przystojnie i ozdobnie; źle nie mówić o nikim, ztąd nieprzyjaźnie, zwady i przeszkody w zawodzie, a gdyby mu wypadło Pana w czem upomnieć, tedy ma to zrobić po cichu, w tajemnicy i delikatnie. Ale lepiej mu niżli do dworu iść do wojska; nie ma na świecie stanu szczęśliwszego nad ten. „Jakie rozkosze a jakie krotchwile w ciągnienu, a cóż dopiero na leżach, gdy się do jednej gospody z potraweczkami znoszą, a one wdzięczne rozmowy, a pocziwe żarty, przejażdżki, myślistwa: owo tam żadny czas bez wždy jakiej krotchwili być nie może“. Jednego tylko ma się żołnierz pocziwy strzedz, co u nich częsta rzecz, to żeby w ciągnienu lub na leżach ludziom ubogim krzywdy nie czynił, a płaczu ich na siebie nie ściagał.

Gdyby Żywot ten pisany był przez Francuza, Anglika, Niemca, Włocha, niezawodnie młodzieniec obrawszy sobie zawód, jużby się go trzymał, i z dworu przeszedłby po mału do kancelaryi, zostałby urzędnikiem, dyplomata, jeździłby z poselstwami; zostawszy w wojsku, dosłużyłby się najwyższych stopni. Charakterystycznie bardzo, moralista polski

każe jednego lub drugiego z tych zawodów próbować, ale na to tylko, żeby się dać poznać, porobić sobie stosunki. Powołania, przeznaczenia, obowiązku, służby, ani Rey ani jego Pocziwy Młodzieniec nie widzi w tem weale. Kiedy odsłużył parę lat na dworze, albo kiedy się wojna skończyła, szlachcic wraca czempredzej na wieś. Karyera go nie nęci, obowiązku służby ciągłej nie czuje. Wychował się, dał się poznać, bił się parę razy z Tatarami, może wypocząć. Jak ogół nie pojmował regularnej i ciągłej służby ani w wojsku, ani w administracyi, ani w sejmie, tak indywidua w programie własnego życia nie mieściły ciągłej czynności, ciągłego obowiązku, pojmowały tylko służbę przypadkową i do czasu. Godne uwagi, że tak życie pojmowali, taki jego program stawiali nawet moralisci. Kto wie czy takie pojęcie życia i taka jego praktyka, nie wytłómaczyłyby w pewnej części tajemnicy naszego późniejszego upadku.

Kończy się młodość pocziwego człowieka, a z nią pierwsze księgi jego żywota. Wiek dojrzały zaczyna się od ożenienia; po podróżach, po wojacze i dworskiem życiu, ma pan młody szukać sobie „przyjaciela“. Jak w *Wizerunku* dzielił Rey miłość na cztery różne rodzaje i upatrywał jej popęd w próżności, w interesie, w zmysłach, i dopiero w rzetelnem uczuciu, tak i tu wedle tego samego podziału każe szukać w małżeństwie nie wielkiego posagu, ani świetnych stosunków i kolligacyi, ani samej piękności, ale zgodności uczuć i usposobień, wdzięku, wzajemnej sympatyi, gruntownej pocziwości i dobrego wychowania. Znany bardzo i zawsze cytowany jest rozdział, istotnie pełen zdrowego rozumu, w którym on opisuje kłopoty szlachcica, który wziął żonę z domu bogatszego i znakomitszego, jak musi cały tryb życia urządzić nakształt domu teścia, jak z uszczerbkiem majątku i poświęceniem własnych upodobań musi dogadzać pani, teściowi dać nad sobą przewodzić, znosić zachcenia pana szwagra, z tego wszystkiego wnosi Rey, że najlepsza jest między małżonkami równość majątku, wychowania i społecznego stanowiska. Ożenić się przecież człowiek pocziwy musi: nie ma nic gorszego, nie niemilszego Bogu jak stan

bezzenny, z którego tylko swawola wynika i zepsucie obyczajów, na które już mądrzy poganie starożytni surowe stanowili prawa.

Po ożenieniu cóż nasz szlachcic robi? Siedzi na wsi, gospodaruje, i Pana Boga chwali. A co to za szczęście mieć w domu żonę dobrą, dziatki mile, ogródek ładny, pokój czysto wymieciony, sprzęty porządne, obiad dobrze zgotowany, co za przyjemność drzewka szczepić, kwiatki i ziółka wiosną sadzić, latem chłodu pod cieniem używać, jesienią zbierać owoce, jarzyny, rydze, orzechy... Taka wiejsko-szlachecka idylla stanowi całe życie poczciwego człowieka, jeżeli go nieprzewidziany jaki przypadek na inne pole nie wyprowadzi: ale taki przypadek łatwo zdarzyć mu się może. Naprzykład może być wybrany posłem na sejm. I tu wchodzimy w zakres życia publicznego i jego obowiązków: mamy się dowiedzieć jak człowiek poczciwy zachować się powinien jeżeli został posłem, senatorem lub urzędnikiem.

Poselstwo jest rzecz wielka a sumienia zbliżka dotykająca. Chodzi tu o to, żeby zwierzonego sobie zaufania braci nie zawieść, a Rzpltej nie zaszkodzić. O politycznych posła obowiązkach nie mówi Rey wcale; co najwięcej każe mu znać prawo, a przy wolności stać, a stanowisko jego rozważa ze stanowiska moralnego. Przedewszystkiem każe posłowi strzedz się łakomstwa i przedajności: o to chodzi mu najwięcej, nad tem najobszerniej się rozwodzi. Czy wymagał tego ówczesny stan moralności publicznej? czy może Rey uważał, że to złe najpowszechniejsze między posłami? nie mówi tego, ale w każdym razie uderzające jest, że nie przestrzega posła ani przed nieznanomością spraw, ani przed lekkomyślnem trzymaniem się pewnych ludzi lub hasel, tylko żąda od niego przedewszystkiem, żeby się dał przekupić.

Senator jeszcze bardziej aniżeli poseł powinien być zaenym, rozumnym, poważnym, sprawiedliwym i t. d., ale co do obowiązków jego urzędu, to te zdaje się polegać podług Reya głównie w doглядaniu i kontroli czynności króla. Senator więc powinien być czynnym przegłądać pilnie przypadki jakie na Rzpltą spaść mogą, ale nadewszystko

upominać pana o wszystko złe jakiegoby w czym się dopatrył: o chciwość, o porywczosć, o niesprawiedliwość, o upodobanie w podchlebstwie i podchlebcach, o lekkie obyczaje, o małą wiarę i pobożność, słowem, ma być senator jakżeby cenzorem, czy spowiednikiem, stróżem królewskiego sumienia. Dobrze jeszcze, że upominać go ma po cichu i w tajemnicy, tak, żeby jawną naganą powagi jego na szwank nie naraził. Nadewszystko zaś gdyby widział, że pan na prawa i wolności poddanych mało dba, tedy już najmocniej upominać go powinien, że miłość poddanych jest najpewniejszą twierdzą królów.

O urzędach mówi Rey, że „gdybyś mógł bez tego się obejść, byłoby lepiej“. Kłopot z tego wielki, swobody i wezasu nie, a odpowiedzialność ciężka. Zawsze ten sam wygodny epikureizm polski, ten sam wstręt do czynności ciągłej i przy-musowej, ta sama obawa odpowiedzialności, narażenia się na naganę. Ale jeżeli już takie twoje przyrodzenie „szlachetne, któremu się wszystko bujać chce by orłowi ku górze“, jeżeliś ambitny i urzędów i władzy pragniesz, tedy masz pamiętać o tem, żebyś się zachowywał uczciwie, rzetelnie, sprawiedliwie, pilnie i t. d.

Wszystko to jednak, urząd, poselstwo, senat, to przy-padki i wyjątki; życie normalne to życie na wsi, do tego wraca i człowiek poczciwy, kiedy odbył swoje poselstwo, i Rey w swoim traktacie. Dalszy ciąg tej książki jest już czysto moralnym: obyczajów lub historycznych rysów i przy-stósowań coraz mniej, a za to, po rozdziele, w którym autor dowodzi, że prawdziwe szlachectwo nie zasadza się na herbie i urodzeniu, coraz więcej o enotach poczciwego człowieka i przeciwnych im grzechach. Wszystkie siedm grzechów głównych przechodzi Rey po kolei katechizmowym porządkiem i opisuje ich skutki. W opisach tych trafi się czasem ustęp, który wygląda na opis ówczesnej Polski, a nawet z dzisiejszą ma niejaki podobieństwo: naprzykład kiedy opisuje „szarą pyszkę“. Trafna także jest charakterystyka zazdrości, choć szkoda, że autor pomija ten jej odcień, który u nas był zawsze i zawsze wiele szkodził,

zazdrość polityczną. Kiedy mówi o łakomstwie, podaje jako jego przyczynę naszą skłonność do wystawności, przepychu i pompy, i wypisuje długą litanję ubiorów, materyj, potraw, których nazwiska już zapomniane, a które dają wyobrażenie o tem, jak się u nas zawsze jedni nad drugich i sami nad siebie w wytwornem życiu przesadzali, jak zawsze był ten rodzaj miłości własnej, żeby u mnie wszystko było tak jak u drugiego.

Po grzechach następują cnoty, które poczciwy człowiek nabywać ma, a pierwsza z nich, grunt wszystkich innych jest prawda: dalej stałość, sprawiedliwość, a ostatnie przychodzą uwagi o stosunkach towarzyskich, o przyjaźni, o obchodzeniu się z ludźmi, o żartach, pierwotne, po prostu wypowiedziane prawidła dobrego wychowania i taktu. O dobrodziejstwach i przysługach, żeby je świadczyć z rozeznaniem, żeby się wystrzegać marnotrawstwa równie jak skąpstwa; zamyka księgę rozdział, jako poczciwy człowiek ma gospodarstwa swego używać. Na nieszczęście nie dowiemy się od Reya nie o tem, jak nasi starzy w XVI wieku gospodarowali: rola, zboże, to co konieczne, to nie obchodzi go wcale: to co zbyteczne a przyjemne a zwłaszcza smaczne, o to gospodarz dbać powinien. Więc ogródeczek, więc morelki, brzoskwinki, orzeszki, ogóreczki, melunczki, sałatki, rzeżuszki, wineczka, pszczołki, rybeczki, grzybki, wszystkie kuchenne i spiżarniane zapasy mieć, hodować, zbierać, przechowywać na zimę, to głównie w gospodarstwie obchodzi tego moralistę, który na małe wygodki życia widocznie obojętnym nie był. Miernie używać, ale używać, to jego zasada i dążność jego książki: przez to „miernie“ jest filozofem praktycznym, epikurejczykiem bez swojej wiedzy; przez to „używać“ jest zupełnie Polakiem. Używać, używać wygodnie, spokojnie, w pewnym uczciwym, wesolym, nie głupim a miernym sybarytyzmie, to jego ideał życia; i kiedy człowiek poczciwy, niegdyś dylettant nauki, życia dworskiego i wojaczki, dziś ożeniony i ojciec dzieciom, a tu i ówdzie przypadkowo dylettant poseł lub urzędnik, urządził sobie dom, życie, ogród, kuchnię, piwnicę, nasadził szczepów

i jarzyn, zaopatrzył stawy i pasieki, niech dalej o świecie bożym nie myśli, a darów jego w imię boże używa. Niech czyta jeżeli umie, i nie rdzewieje, o koniu i zbroi niech pamięta, i niech tak żyje w radości „uczeiwej“ bo nie lepszego w żadnym „życioie — mówi Rey — jako radość i pociecha“. Co za dziwny wiek! w naszym kto by to napisał, dodałby zaraz „i nie rzadszego i trudniejszego“.

Część trzecia, starość Poczciwego Człowieka jest już traktatem czysto moralnym, i jako taki najmniej ciekawym. Dobrze, ale powtórzone sto razy przed nim i po nim nauki, że człowiek stary powinien zachować przyzwoitą wiekowi powagę, że powinien być przykładem cnoty, nie mając nie przed sobą prócz śmierci powinien jednać się z Bogiem i zbawienie duszy mieć ciągle na myśli; śmierć sprawiedliwemu straszną być nie powinna; wiek podeszły nie koniecznie musi nieszczęśliwym i nieużytecznym, bo człowiek stary doświadczeniem i rozumem swoim może bardzo przydać się, czy to swojej rodzinie, czy ojczyźnie, a w poszanowaniu powszechnem, w miłości swoich, w pokoju duszy może znajdować prawdziwą i wielką rozkosz. To są prawdy niezaprzeczone, ale ogólne, nad któremi Rey rozwodzi się szeroko, przechodząc dla lepszego ich dowiedzenia siedem grzechów głównych i ośm ewangelicznych błogosławieństw.

Ogólny sąd o Żywocie Poczciwego Człowieka wypadłby mniej więcej jak następuje: dzieło dowodzące bardzo zdrowego rozsądku raczej niż bardzo bystrego rozumu autora; napisane dość ciężko i rozwlekle: zwyczajem wieku upstrzone erudycją klassyczną i teologiczną co mu dodawało powagi, a dowodzące zarazem powierzchownej nauki autora i jego pierwotnej zbytecznej prostoty.

Ze stanowiska moralnego nie ma wiele do zarzucenia: poczciwy człowiek Reya, jest niezaprzeczenie człowiekiem poczciwym, istotą moralną, która wie, że żyje pod prawem i prawo to czci, prawo boskie, ojezyste, i prawo honoru. Sofizmu, paradoxu, nie ma w Żywocie ani jednego. Jednak błędziłby kto przez sympatyę łatwą do pojęcia dla naszego starego pisarza, chciałby unosić się nad nim i nad jego

dziełem, w nim widzieć wielki rozum i talent, w dziele złote słowa czystej prawdy. Tak nie jest: człowiek poczciwy Reya nie jest wcale człowiekiem jak być powinien, ani jego wychowanie ani jego życie nie daje mu prawa do bezwzględного podziwienia, i bez krytyki, bez nagany patrzeć na niego nie należy. Ideal to, ale ideał wychowania i życia pojętego mylnie choć uczeiwie: pojętego z pewnym sybarytyzmem uczeiwym, naiwnym, nie wiedzącym o sobie, ale niebezpiecznym. Dlatego nie jest Żywot zwierciadłem skończonego i doskonałego człowieka, jest tylko zwierciadłem szlachcica polskiego w rzeczywistości jego natury i życia. Ma on wszystkie przymioty narodowego charakteru i niektóre jego wady; nie te wady grube, bijące w oczy, oczywiście złe i zgubne, ale te, które i trafiają się często i u najlepszych nawet, nie domyślających się nawet, żeby to wady być mogły. Polak Reya, Polak XVI wieku, jest naprzód dobry, z natury i z usposobienia łagodny, łaskawy, wolny od nienawiści i złych a gwałtownych namiętności; w Boga wierzy po prostu i słucha go, w domu jest dobrym synem, bratem, mężem, ojcem. Jest rządny, gospodarny i mierny, co już nie jest tak powszechne; nie dba o zbytki, nie ma próżności, to jego strona idealna, takim autor chciałby go widzieć, ale rzadko widzi. Głowę ma otwartą, pojęcie bystre, do czego się weźmie, do nauki, do służby wojskowej, kancelaryjnej, dworskiej, sejmowej, wszystkiego nauczy się łatwo, we wszystkim może być przydatnym. To jego przymioty, niezaprzeczenie nie małe. Ale obok tych przymiotów ma i wady, i to wady powszechne, wady narodowego charakteru. Żyje jak żeby stworzonym był do wygodnego używania. Nie obrazić Boga, bliźniego nie skrzywdzić, to zda się jedyny obowiązek zawsze mu przytomny, o innych nie myśli. Czego się tknie, porzuci zaraz i ucieka do spokojnego domowego żywota: do wszystkiego zdalny, we wszystkim zostaje dyletantem. Obowiązek każdy spełni, i dobrze, byle ten obowiązek nie trwał za długo; czynność jest przypadkiem, wyjątkiem w jego życiu, regułą wezas i używanie. Pojętny i nie głupi o wszystkim coś wie, ale wszystko wie powierzchownie, bo naprawdę

nigdy się niczego nie uczył; przymusu nie zadano mu nigdy kiedy był dzieckiem i młodym chłopcem, on sam nie zadał go sobie nigdy kiedy wyszedł na człowieka. Taki jest ideał Reya, ideał nie doskonały wcale. Jest to po prostu rzeczywistość ówczesnego życia szlachty polskiej, przedstawiona jako ideał, jako wzorowy Żywot Pocziwego Człowieka. Czy książka ta miała wielki wpływ na współczesnych, dziś dojść trudno, ale jeżeli go miała, to musiał on być w znacznej części szkodliwym, bo nie tylko nie mógł poprawić nikogo z tej powierzchowności, z tej skłonności do używania, która tak zgubne miała skutki, ale owszem mógł w nich utwierdzić, bo przedstawiał te rzeczy jako dobre. Dlatego brać dosłownie Żywot Pocziwego Człowieka, brać go za dobrą monetę, byłoby wielką naiwnością. Ale ktoby w nim szukał polskiej natury, jej skłonności i upodobań, jej przymiotów i jej wad, które do dziś dnia nie wiele się zmieniły, ktoby chciał poznać jak ten naród w swojej warstwie oświeconej pojmował życie, a ztąd może wnosić dla czego temu narodowi w życiu domowem i rodzinnem wiodło się w przecięciu bardzo dobrze, a w życiu zbiorowem tak źle, tego Żywot Pocziwego Człowieka mógłby naprowadzić na rozwiązanie nie jednej z tych zagadek. I dlatego, bez wiedzy Reya zapewne, książka ta, jedna z pierwszych napisanych po polsku, pozbawiona wartości naukowej, pozbawiona talentu i wdzięku, w czytaniu nudna, licząca się do ciekawości ale nie do piękności naszej literatury, jest przecież odbiciem bardzo wernem polskiej natury, jest jedną z książek najbardziej i najściślej narodowych jakie mamy.

Apophtegmata, „krótkie a roztropne powieści człowiekowi pocziwemu słusznie należące“ to zbiór anegdot, przypowieści, maxym, powszechnie znanych, czerpanych z niezliczonych ówczesnych zbiorów podobnych. Rozróżnić w nich można dwa rodzaje. Jedne dłuższe, po kilkadziesiąt wierszy, w tonie poważne, w treści dydaktyczne, przypominające *Wizerunek*, opisują różne cnoty i wady. Drugie *Apophtegmata* krótsze z *przypadłości czasów i rzeczy zebrane* czterowierszowe, zawierają albo ogólne nauki moralne, albo też

uwagi na „osoby różne“, właściwie na różne urzędy. Te oczywiście najciekawsze, tu się szuka śladów czasu, zwłaszcza, że od króla począwszy aż do karczmarza, są wierszyki na wszystko, co tylko w Rzpltej mieścić się może — biskupi, wojewodowie, kanclerze, podskarbiowie, starości, burmistrzowie, rajcy, doktorzy, żołnierze, wójci, włodarze, poborecy, mytnicy, wszystkie zatrudnienia, wszystkie stany, nawet wszystkie wyznania. Byłaby to rzecz nieoceniona, gdyby był dowcip; ale go niema, a bez niego wszystko schodzi do rzędu obojętnych ogólników. Że szynkarka każe chłopu płacić za dwie miarki wódki, kiedy wypił jedną, że ziemianie narzekają na posłów, kiedy sejm uchwalił podatki, to podobno najbystrzejsze i najciekawsze w Apophtegmatkach spostrzeżenia. W zakończeniu są napisy na domy i inne budynki, na drzwi, okna etc., nawet na drobne sprzęty, jak łyżki, które ówczesna moda lubiła ozdabiać napisami.

Ciekawa, choć bez wartości poetycznej, jest jego Przemowa do poczciwego Polaka stanu Rycerskiego, dodana do Żywota, w której opisuje różne narody, a najobszerniej własny.

Zaczyna się więc ten przegląd narodów od Włocha, który jest mądry, mierny, ochędźny, polerowny, ale chytry a nie bardzo odważny. Czech, chodzi jako paw, ale ma tę enotę, że dotrzymuje słowa. Niemiec hardy, a przytem brudny, zaniedbany i pijak; Węgrzyn, to męźny naród, ale ma fanfaronadę i skłonność do imponowania. Turczyn, to chłop nikiemny z narodu swojego, a przecie ten naród prostaczy taki potężny i groźny? czem? oto pilnością około spraw wojennych i rzetelnością w sprawach pieniężnych Moskal znowu jest z głupia chytry.

Tatarzyn inszym stanom już ni w czem nie winien,
Bo barzo jego miłość na wszem psu podobien.

O innych narodach, Szwedach, Duńczykach, wie, jak sam mówi mało, o dalszych, Francuzach, Anglikach, Hiszpanach nawet nie wspomina. „Polak poczciwy, ze wszystkich

najlepszy i najszcześniejszy. U niego męstwo zawołane, u niego obfitość wszystkiego, żywności, pieniędzy, ochędostwa wszelkiego, fantazyja wielka, wspaniałość, w strojach wielka elegancyja, do tego miłość cnoty, sławy i wiary... niejeden musiał rósć polykając te miłe kadzidla, kiedy nagle chytry Rey zwraca się i po takich pochwałach chłoszcze bez miłosierdzia.

Ale gdy drugą kartę na wspak obrócimy,
Czego nam nie dostawa, snadnie obaczymy.

Nie dostawa zaś naprzód sprawiedliwości, nasze prawa są jak pajęczyna, „z której się bąk wybije, a uwięźnie mucha“. Obrony nie mamy żadnej. Zamki pograniczne łatwoby poprawić, ale przez naszą niedbałość idą w ruinę, „mury okolo miast wał się i wieże“ król Kazimierz bardzoby się dziwował, on, co tyle murów pobudował, gdyby je w takim stanie zobaczył. Do tego wielkie długi koronne, do tego prawa i zawikłane i nie strzeżone, słowem, wiersz przechodzi w krytykę całego stanu Rzpltej i staje się politycznym. Co więcej, rozumnie politycznym: bo już powyższe uwagi o obronie granic, skarbie i sprawiedliwości były rozumne i słuszne, ale to były rzeczy tak widoczne, że dojrzeć się dały samym zdrowym rozsądkiem. Dalsze zaś uwagi dowodzą, że Rey miał w tych rzeczach wzrok bystry i daleki. I tak, żali się bardzo na wypuszczenie Wołoszy z hołdu, a kiedy mówi o niebezpieczeństwach, jakie nam grożą od sąsiadów, wskazuje na nieprzyjaciół od wschodu, od zachodu na niepewnych przyjaciół, i przewiduje, że ci sąsiedzi zachodni kiedyś ze wschodnimi „na naszych granicach będą się witać“. Zapewne rozumie przez to, że tu wypadnie im rozprawić się z sobą, a myśli o Austryi i Turku, ale ze strachem mówi o tem, co nam takie witanie sprawić może.

Na szczególną uwagę zasługuje to, że gorliwie upomina o opisanie porządku Elekeyi:

A mili Polaczkowie ci, co rozum mają,
Widząc pewny upadek przed się go czekają.

Dotyka także i innych wielkich spraw ówczesnych, Unii z Litwą, Exekueyi, Wojska kwarcianego. Chee, żeby oba kraje jednemu Panu wiernie na wieki służyły, wspólnie go obierały i koronowały i wspólnie broniły się od nieprzyjaciół, ale żeby nawzajem nie wtrącały się w swoje prawa i zostawiły sobie wszelką wolność wewnątrz. Rzecz ciekawa, to, że poświęcając ustęp osobny stosunkom religijnym, Rey oszczędza w nim katolików, a uderza tem gwałtowniej na Aryanów, którzy zaprzeczają Trójęc św. i bóstwo Chrystusa i są jednym z wielkich powodów kary Bożej na Polskę.

Pięknie zamyka te polityczne wiersze upominanie do miłych Polaczków, aby się zawczasu mieli na baczności, „bo jeśli matka zginie pszczoły pewnie spadną“.

Ze względu tak na treść, jan na formę, wypadłoby może przyznać tej Przemowie pierwszeństwo w poezyi Reya, w każdym razie jest ona dla nas dzisiejszych najbardziej zajmująca.

„Żegnanie ze światem“, w którym poeta osobno żegna świat, towarzyszków, przyjaciół, krewnych etc., jestto wiersz moralny, obfitujący w zbawienne uwagi o marnościach tego świata, ale pozbawiony uczucia i zimny.

Są jeszcze *Figliki*, po śmierci autora wydane, ale pisane oczywiście przez długie lata, przy zdarzonej sposobności i ochocie. Mnóstwo było w ówczesnej Europie takich *Fraszek* i miały ogromne powodzenie. *Figliki* zapewne także. U nas już go nie znajdują. Żart gruby, rubaszny, może być zabawnym i podobać się zawsze: ale ludziom oświeconym podoba się nie dla swojej rubasznosci, tylko pomimo niej, dla trafnej myśli, jaka w nim tkwi, albo dla śmiesznego konceptu (naprzykład Rabelais). W *Figlikach* Reya myśl jest nieraz trafna i dobra, wyrażenie jej rzadko, bardzo rzadko zabawne, jeszcze rzadziej zgrabne. On sam musiał się trochę wstydzic tego lekkiego dzieła, bo w przedmowie mówi, że pisał je głównie dla ćwiczenia w języku i wierszu, a zasłania się poważną moralną tendencją: „a też młody człek, przeczedszy, może się wiele ludzkiemi przygodami

przestrzedz". Czegoby się można z *Figlików* przestrzedz lub nauczyć, domyśleć trudno. Jestto zbiór różnych anegdot, dykteryjek, facecyj i dowcipów; facecye przyzwoite, opowiedziane bez sztuki, bez dowcipu, bez humoru, nie mogą się podobać ani na chwilę. Inne wykraczają po za granice przyzwoitości. Bez zbytcej surowości ani wstydlivości sądząc, owszem przyznając, że żart nieprzyzwoity może nieraz być żartem bardzo dowcipnym, przyznając, że żart rubaszny może być zabawnym, trzeba przecieź powiedzieć, że jeżeli w wierszu niema ani dowcipu, ani przystosowania, a humor i wesolość zasadzają się na tem, że „poeta“ *con amore* najgrubszemi wyrazami mówi o najprozaiczniejszych koniecznościach ludzkiego ciała, to nie wywoła śmiechu, tylko obrzydzenie lub nudności. Rey, który w swoich poważnych poematach lubi nad wszystko porównania do świń, barłogów i t. d., w swoich utworach lekkich igra rozkosznie pośród odrażających śmieci i ich wyziewów, i to go bawi, to jego wesolość, to śmieszność i humor *Figlików*. Jak sztuka dla sztuki, tak u niego są śmiecie dla śmieci, a pod niemi nie ma dowcipu, ani przystosowania. Żart najgrubszy, najrubaszniejszy jest znośny, jeżeli jest prawdziwym żartem, ale jeżeli ktoś bez wesolości, ciężko, nudno, prawi rzeczy najbrudniejsze, a im grubszych słów używa, tem się dowcipniejszym sądzi, powstaje z tego niesmak i obrzydzenie.

Należy jeszcze zapytać, czy i jak wpłynął humanizm na Reya tak mało uczonego, na to dziecko natury niby, w którym upatrywać lubimy czysty specimen polskiej natury i głowy? Wpłynął i bardzo, i nie dobrze; i dlatego może Rey jest istotnie tak ciekawym typem swego czasu a przykładem dla innych, że widzi się na nim wyraźnie, jak silnie historyczne pierwiastki działają na głowy źle przygotowane, mało wykształcone, na ludzi wrażeniom przystępnych, sądu nie bardzo zdolnych.

Nieuk za młodu, w starszym wieku wstydzi się Rey swego nieuctwa, i chcąc je załatać jakoś i zatrzcć, czyta wiele, wiele zachowuje w pamięci. Ztąd te wiadomości o mythologii, o filozofach i bohaterach starożytności, któremi

się tak chętnie a tak nieraz niezręcznie popisuje: ztąd ta ślepa wiara w ich powagę. Ztąd wreszcie utkwione w jego pamięci różne kształty i różne treści pism obcych. Poemat filozoficzno-moralny jak *Zwierzyniec*, Traktat jak *Żywot*, *Figliki*, *Apophtegmata*, wszystko to było już znowuż wiele razy pisane. Chwałą go za jego samorodną niby oryginalność: niestety, on o tyle tylko jest oryginalnym, o ile zupełnie naśladować nie może. On ze swoich powierzchownych wiadomości nie mógł przejąć co było lepszego, filozoficznie głębszego lub artystycznie szlachetnego w starożytnych: pochwytał tylko ich nazwiska, a z ich nowożytnych naśladowców nie wziął nauki, wziął tylko pedantyczne pozory erudycyi. Ztąd ciężkość niesłychana takiego poematu jak *Wizerunek*, i ciężkość zaledwo mniejsza takiego Traktatu jak *Żywot*.

Z tego krytycznego ducha, który był w wieku XVI, on wziął tylko popęd i śmiałość do krytykowania tego co widział; o istotne tego rozumienie, o zbadanie natury i przyczyn tego co widział ani się nie troszczył, i prawdopodobnie nie domyślał się nawet, że to można, że się to należy. Coś usłyszeć i pochwytać, na coś się rozgniewać i oburzyć, nie dowiedzieć się, co i jak to jest naprawdę, a potem zarozumiale z parteru decydować, to jego zwyczaj, i jak sądzi jego prawo. I pod tym względem nie tak charakterystycznego, jak jego protestantyzm i ta propaganda, którą zapalczywie prowadzi (znowu odbicie powszechnych europejskich prądów, znowu wpływ wieku). Kiedy prosty szlachcic z XVI wieku, który nie naprawdę nie wie i nie umie, czynnie apostołuje nową wiarę, to znaczy jednych księży swata, a drugich, którzy się swatać nie dają, wypędza, tłómaczy się to ogólnym stanem rzeczy. Ale kiedy ten sam chce apostołować słowem i piórem, kiedy pisze Postyllę i komentuje Apokalipsę, naraża się na zarzut płytkości głowy i lekkości charakteru. Podziwiamy zwykle jego prostotę i dobrą wiarę: zapewne, jest dobra wiara o tyle, że pisze, co myśli. Ale tej głębszej i prawdziwszej, tej sumiennej rzetelności i dobrej wiary, przez którą zapytuje człowiek sam siebie, czy

też on wie to, o czem chce mówić, lub czy potrafi to, co chce robić, tej on nie ma. Czy był katolikiem czy protestantem, to jego rzecz; ale czy jednym czy drugim był na prawdę, jeżeli miał religijne przekonania i szczerze religijne uczucia, powinien był naprzód zastanowić się, czy tak jest, jak on myśli, a powtóre uznać, że nie wiedząc, nie ucząc się, nie umiając ani katolickiej ani protestanckiej Teologii, o kwestyach religijnych mówić nie ma prawa. Ale jemu wystarcza wrażenie: tak mi się zdaje, a więc tak być musi, a więc tak jest! i na wiarę tego wrażenia (choć popchnięty zapewne i whity w zarozumiałość przez swoich współwyznawców) rozcina swoją karabelą i swoim rozumem kwestyc wiary, jak żeby był Augustynem lub przynajmniej mądrym Kalwinem.

Zarozumiałość to charakterystyczna. Było to niewątpliwie skutkiem (jednym z najwidoczniejszych) odrodzenia nauk klasycznych, że człowiek, który się ujrzał bogatszym w wiadomości i w reflexyę, uczuł się silnie w sobie, i uznał się miarą, a nieraz i prawem wszystkiego. Rozwinięta i rozbujała indywidualność, jak w życiu prywatnem nie chciała znać nad sobą prawa i wędziła i doszła do strasznego zepsucia obyczajów (zwłaszcza we Włoszech), jak w życiu politycznem chciała wznieść się nad ogół i sama w Polsce wybierać króla *viritim*, a później swoją wolą, swoim *veto* tamować bieg spraw Rzpltej, tak w rzeczach religijnych, w rzeczach wiary za powagę uznawała tylko siebie. U głębszych i poważniejszych zasadą tej wiary był zbiór gorących uczuć i silnych świadomych siebie przekonań: ale płytszym, lżejszym, a z temperamentu porywczym, wystarczało zarozumiałe *widzi mi się*. Ponieważ książdz ten a ten w mojem sąsiedztwie nie jest takim, jak być powinien, więc *widzi mi się*, że Kościół katolicki prawdy mieć nie może i musi być apokaliptyczną bestyą o dziesięciu rogach i w tym duchu wykład Apokalipsy napiszę. W całym niestety protestantyzmie polskim jest podobna na dwie logika, podobna powierzchowność, podobny dylettantyzm teologiczny, a Rey jest jednym z najlepszych reprezentantów nie protestantyzmu uczeń-

szego i poważniejszego, ale tego, jaki panował w tłumie mało oświeconych, tego, który dziś nazwalibyśmy brukowym i kawiarnianym.

I nie pod religijnym tylko względem, ale i pod politycznym także. Protestantyzm u nas jak wszędzie kiedy się chciał wybić z pod władzy Kościoła, szukał w tej walce sprzymierzeńca we władzy świeckiej; a jak w północnych Niemczech lub w Anglii poddał się pod despotyzm, tak u nas za cenę swojego zwycięstwa skłonny był przyznać królowi większy zakres i większą sprężystość władzy. Ztąd te ponętne dla Zygmunta Augusta pokusy, ta wojna z oligarchią, te nadzieje dziedzicznego następstwa tronu, z którymi występuje protestantyzm polski, kierowany przez skrajny radykalny wynik swojego kierunku, przez arianizm: byleby król założył kościół narodowy. Będzie w Polsce panujący i populus szlachecki. Ztąd łatwe przejście do despotyzmu politycznego, a na spodzie plebs, poddany, coś nakształt rzymskiego niewolnika, i despotyzm religijny: wedle zasady *cujus regio ejus religio*, ty chłopie chcesz czy nie chcesz, bądź tem, czem ja być chcę. W ciekawej *Przemowie* Reya, pisanej a przynajmniej wydanej w chwili najgorętszego wrzenia sprawy protestanckiej, występują wyraźnie takie myśli o skupieniu władzy i dziedzictwie tronu, myśli politycznie niezadowolnie zbawienne i organiczne, gdyby nie kryły w sobie zabójczych pierwiastków dezorganizacji ducha. Później w lat parę, kiedy protestanci sami przelękli się tego rozprzężenia i zamętu i przewrotu wszystkich węzłów pojęć i podstaw religijnych, jakie przynosił z sobą arianizm, wtedy cofa się i Rey, i w swoich pismach ostatnich, w *Spólnem Narzekaniu* i w *Zbroi Pewnej* ostyga lub miarkuje się bardzo w zapale przeciw katolikom, a wszystkie swoje gromy chowa dla arianów, ale o wzmocnieniu władzy królewskiej już nie mówi, kiedy król narodowego kościoła nie założył.

Biograf Reya, Trzycieski, porównał go z Dantem, Mickiewicz z Montaignem. Pierwszego tłómaczy to, że naturalnie Danta nie znał, słyszał tylko, że to był najstarszy z włoskich poetów; jak drugi mógł upatrzeć podobieństwo między

tą intelligencyą, jedną z najpotężniejszych, jakimi świeci wiek XVI, a tą zwyczajną, jaką jest Rey, to wytłómaczyć trudniej. Jedno jest tylko między nimi zbliżenie, to, że oba są przykładami złego wpływu, jaki humanizm na umysły wywierał, oba jego wyrodzeniami, ale każdy w innym rodzaju. Montaigne jest ostatniem słowem tego sceptycyzmu właściwego XVI wiekowi, który w nim dochodzi szczytu i wydaje tę filozofię, której istotą i cechą jest wątpić o wszystkim, i tego wybujałego indywidualizmu, który w ostatniej swojej konsekwencyi staje się absolutnym egoizmem. Wszystko jest wątpliwe, prawdziwe tylko to, że ja jestem; i że dopóki jestem, mogę cierpieć, a cierpieć jest nieprzyjemnie. A więc żeby się od tej nieprzyjemności zabezpieczyć, najlepiej będzie nie pragnąć niczego, nie wzruszyć się niczem, nie przywiązać się do niczego i do nikogo, ludzi nie szacować i nigdy dobrego powodu w ich uczynkach nie przypuścić, nie kochać, broń Boże, nic i nikogo nie kochać. „Niech inni łamią sobie głowy nad tem, co jest prawdą lub co jest dobrem albo nie, my się o to nie troszczmy. Siedzmy spokojnie, ślizgajmy się po wierzchu, bo inaczej można się zapaść. Nie chwytac prawdy ani dobrego, żeby czasem jak woda nie przeciekła między palcami; nie sprzeciwiać się utartym wyobrażeniom; robić jak drudzy“ -- oto słowa Pascala, określające rozpaczliwą nicość filozofii Montaigna. Tylko, prócz młodszego od niego Szekspira, nikt w tym wieku tyle się nad człowiekiem nie zastanawiał, nikt w nim tyle nie odkrył.

Rey zastanawiał się mało, a nie odkrył nic: widział tylko to, co leży na wierzchu, a mówił tylko to, co od innych usłyszał. Ale jak Montaigne jest obrazem tego wyrodzenia, jakiemu pod wpływem sceptycyzmu i zbyt rozwiniętej świadomości siebie ulega natura i intelligencya bardzo bogata, tak na Reyu pokazuje się, co wpływy tesame robią z naturą poczciwszą i prostszą, ale z intelligencyą zwyczajną. Tam wydają potworną filozofię, złożoną z nicości i egoizmu, tu rzeczy nie tak złe i smutne, ale także nie dobre, zarozumiałość i zuchwałość przy płytkości myśli, a w pisaniu pedantyczne pozory erudycyi przy braku nauki.

IV.

Dworzanin Górnickiego. Modrzewskiego *Sylwy*. Goślickiego *Najlepszego Senator*. Kochanowski. Wyjście ze służby — *Muza*. *Proporzec*. *Wróżki*. Ciesielskiego *Oracya*.

Starzy pisarze schodzą z pola, występują nowi. W roku 1565 wychodzi *Dworzanin* Górnickiego. Młody pisarz i nowy rodzaj piękności, doskonałości, polskiego języka: nowe świadectwo ówczesnego obyczaju i stopnia oświaty. Wspaniała była proza Orzechowskiego w niektórych ustępach *Dyalogów* i *Quincunxa*: ale była wspaniała, podniosła, retoryczna. Język potoczny, zwykły, a szlachetnie prosty, a prostotą swoją wdzięczny, wdzięczny nie przez naiwną nieświadomość, jak u Bielskiego, ale przez doskonale wyrobienie i wykwintny smak pisarza, to jest nowość w naszej literaturze, to jest wielki postęp i nabytek, i to jest jedna zasługa Górnickiego, a zaleta *Dworzanina*. Drugą jest ten stopień cywilizacji, jaki on oznacza, jakiego jest pomnikiem. W *Żywocie* Reya jest rodzaj życia, pojęć, zajęć, obyczaju, zwykłego wiejskiego szlachcica, ogółu naszego ówczesnego społeczeństwa. Z *Dworzanina* dowiadujemy się, jaki był ten rodzaj życia, pojęć, zajęć, obyczaju u ludzi najwyżej wykształconych w owym czasie. *Żywot* jest może ważniejszy dlatego, że jest ogólniejszy; *Dworzanin* jest miłszy dlatego właśnie, że rzadszy, że daje poznać to, co w owym czasie było wyborowem i najwyższem.

W *Dworzaninie* przechowała się cała jedna strona życia¹⁾, której napróżno szukalibyśmy w kronikach, w dyaryuszach sejmowych, albo w natchnionych słowach wielkiego kaznodziei. Te wielkie źródła historyczne, wielkie pomniki literackie dają nam poznać Polskę polityczną, moralną, nau-

¹⁾ Ustęp skrócony z większej rozprawy o *Dworzaninie* (Studia do hist. lit. polsk. T. III).

kową wreszcie; niezawodnie czynią przez to zadość potrzebie największej. Jednak jest po za życiem publicznem i umysłowem inne jeszcze życie, nietylko zajmujące i ciekawe, ale do dobrego poznania naszych przodków potrzebne, bo dające zawsze miarę cywilizacyi narodu i wieku, to jest, życie towarzyskie. Jakim był Polak w XVI wieku na sejmie, na sejmiku, lub w boju, co myślał o Rzpltej, jak pojmował swoje w niej stanowisko, obowiązki swoje względem niej i te, które w jego mniemaniu Rzeczpospolita miała względem niego, to wiemy, a przynajmniej dowiedzieć się możemy z historyków i statystów. Ale jakim był ten Polak w stosunkach prywatnych, jakie było jego życie towarzyskie, czy jego wychowanie pod tym względem świadczyło o wysoko posuniętej cywilizacyi, objawiającej się oglądą obyczajów, należytem baczeniem na drugich i delikatnem z nimi obejściem, jak rozumiano grzeczność, przywoitość, takt w postępowaniu, co było w stosunkach towarzyskich zabawą lub rozmową godziwą a co nie: o tem wiemy mało. A przecież to nie obojętne: przecież nie dlatego tylko warto o tem wiedzieć, żeby ich lepiej sobie w wszelkich stosunkach życia mózż wyobrazić, ale dlatego zwłaszcza, żeby wiedzieć do jakiego stopnia, i czy na prawdę, czy na pozór tylko byli ludźmi cywilizowanymi. Naród dziki, gburowaty, w obejściu nieokrzesany, może mieć wielkie zalety i przyszłość, może błyszczeć po wierzchu wykształconymi i znakomitymi ludźmi, ale na wskróś oświeconym, prawdziwie cywilizowanym nie jest.

Otóż wiek XVI zostawił w Polsce bardzo mało śladów tej strony swojego życia, a najobfitsze i najwyraźniejsze jakie zostawił, złożone są w *Dworzaninie* Górnickiego.

W tych słowach zamyka się ważność i historyczna wartość tej książki i wielkie jakie ona wzbudza zajęcie; a że jest nietylko najlepszem jakie mamy źródłem wiadomości o naszym dawnem życiu towarzyskiem, ale nadto jeszcze, jest jedną z książek najpiękniej po polsku pisanych, klasycznym wzorem doskonałości i wdzięku języka i stylu, tak, że bez względu na treść, dla samej tylko formy możnaby

się w tej książce rozkochać, więc całość jest jednym z klejnotów naszej literatury.

Treść bowiem, nie dość że historycznie ciekawa i zajmująca, jest piękna i mądra: pełna rozumnych spostrzeżeń i uwag, pełna znajomości człowieka i świata, a nadewszystko nacechowana szlachetnem, wysokim, jednego i drugiego pojęciem; a my którzy po większej łagodności naszych praw i po wielkim postępie ekonomicznym wnosząc, tak pochopni jesteśmy przyznawać sobie samym wyższą oglądę obyczajów i cywilizację w stosunkach potocznego życia, z zadziwieniem możemy się z tej książki przekonać, żeśmy pod tym względem nie odkryli nic czegoby oni nie byli wiedzieli i praktykowali, że wszystko na czem w naszym pojęciu zasada się grzeckość, względ na drugich, delikatność, takt, słowem dobre wychowanie, im było równie dobrze znane w swoich przyczynach i objawach, i tak przez nich określone, tak wprowadzone do pewnych zasad i ogólnych z natury rzeczy płynących przepisów, jakbyśmy może dziś zrobić tego tak ładnie nie potrafili.

Cóż bowiem jest Dworzanin? Jestto człowiek moralnie zaeny, człowiek porządny, rozumny, w naukach ćwiczony i krajowi pożyteczny, w stosunkach z ludźmi, w stosunkach towarzyskich. Jaki ma być i jakim sposobem wyrabia się człowiek moralny i człowiek pożyteczny w społeczeństwie, o tem tu mowy nie ma; jest tylko o tem, czego potrzeba, żeby człowiek dobry i rozumny był ludziom miły, zatem, jak ma z nimi się obchodzić, jakim być względem starszych, względem przelożonych, względem równych wiekiem i położeniem, jakim względem kobiet, jak się bawić i żartować, jak się zachować przyzwoicie i poważnie w różnych położeniach i w stosunkach — słowem Dworzanin jestto człowiek szlachetny, rozumny i pożyteczny, porządny człowiek w całym znaczeniu tego słowa, ale człowiek do Boga i do ludzi, człowiek światowy, człowiek dobrze wychowany. Tamto wszystko przypuszcza się o nim z góry; to, w czem polega i jak się nabyć może, mówi książka. Dworzaninem zaś jest naprzód dlatego, że we Włoszech, z kąd on pochodzi, ogniskiem towa-

rzyskiego i polerownego życia były dwory niezliczonych książąt, około których zbierały się i dowcipy i młodź rycerska; powtóre dlatego, że u nas w Polsce choć nie było udzielnych dworów książęcych, przecież wychowanie szlacheckiego młodzieńca kończyło się zwykle na dworze jeżeli nie królewskim to pańskim. Mógł więc Górnicki, przerabiając swoje dzieło z włoskiego, tytuł jego zachować, a przeciw obyczajom krajowym i prawdopodobieństwu Dworzanina w Polsce nie wykroczyć.

Rzecz jest naturalna, że książka, która takiego człowieka opisuje i kształci, powstała w kraju najwyższej podówczas cywilizacji, w kraju, gdzie wszechstronne wykształcenie indywiduum stanęło na stopniu najwyższym, we Włoszech. Ale czy to naszemu Dworzaniinowi ujmuje, że nie wyszedł czysto z polskiej głowy, i że jest nie tłumaczeniem wprawdzie, ale kopią bardzo bliską oryginału Corteggiana włoskiego? Zapewne byłoby nam milej, gdybyśmy zupełnie jego autorstwo przypisać mogli Górnickiemu. Ale, różnica ta jest tylko dla naszej narodowej miłości własnej i dla sławy autora: nie dla wartości dzieła, czy to bezwzględnej, czy historycznej tylko. Prawda, że obraz człowieka porządnego i dobrze wychowanego skreślony jest przez Włocha; ale skoro go Polak kopiował, to znakiem, że go tak samo jak ów Włoch pojmował, że ten ideał i jego znamiona były dla obu wspólne, choć nie dosłownie z włoskiego tłumaczone, jednak często do tamtych zbliżone. Jeżeli czego żałować można, to że Górnicki nie chciał w tem naśladować Castigliona, iż tamten do rozmów swoich wprowadza i kobiety. Księżna Urbinu i Signora Emilia mało wprawdzie mieszają się do rozpraw, prowadzonych głównie przez mężczyzn; przecież słowa ich, choć nie obfite, nadają dyalogom jakieś ożywienie i rozmaitość, jak żeby z większem zajęciem czytało się to, co było mówione wobec pań dostojnych i rozumnych; a nadto, z tych słów przecie można odgadnąć choć trochę, jak te panie myślały i jak rozmawiały. Gdyby zamiast biskupa Maciejowskiego była królowa Bona na przykład, a zamiast dwóch lub trzech panów Bojanowskich lub Derśniaków,

dwie lub trzy polskie damy, byłoby to niezawodnie niejakim wdziękiem i przysmakiem Dworzaniowi polskiemu.

Ale nie myśląc o tem co się już odmienić nie może, zapamiętajmy dobrze to, czem jest ten *Dworzanin*, czego uczy lub dowodzi. Dowodzi on naprzód tego, że język polski, kiedy nim kto tak jak Górnicki pisać umie, jest tak piękny, tak szlachetny, ozdobny w swoich formach, w wyrażeniach tak nieprzebrany, dosadny i szczęśliwy, iż żadnemu z nowożytnych języków zazdrościć niema czego. Powtóre, uczy ta książeczka, że nasi starzy Polacy w złotym wieku, byli to ludzie, którzy umieli znać i cenić wszystkie te małe ale szlachetne obowiązki człowieka względem człowieka, bez których związek między ludźmi stałby się nieznośnym lub zgoła niepodobnym, jakimi są grzeczność, delikatność, względ na drugich. A jeżeli zmniejsza to naszą chlębę i przyjemność, że dzieło to jest tylko naśladowaniem obcego, to na pociechę sobie powiedzieć możemy, iż się w niem dość jeszcze właściwości polskich odbiło, a te, które się odbiły, świadczą pod niejednym względem o wyższości ówczesnej Polski nad Włochami. Nie pod względem intelektualnym oczywiście, ale moralnym. Dworzaniin polski jest od włoskiego w obyczajach i mowie poważniejszy. Tamten zabawia kobiety żartami lekkimi, których ten w gronie samych tylko mężczyzn sobie nie pozwala: tamten pobłaża swojej „lascywii“ i skłonności do używania, ten, samo zalecanie się kobiecie zamężnej, a nie dopieroż stosunek miłosny z nią, uważa za zdrożność; tamten przedewszystkiem ma uwagę zwróconą na własne powodzenie, zawód, i pokaz przed światem, ten na pożytek, jaki ludzie z niego mieć mogą; u tamtego główną sprężyną i regulatorem postępowania jest honor, u tego uczciwość. Słowem, Dworzaniin polski żywiej czuje nad sobą prawo moralne, lepiej go słucha i ściślej przestrzega. Pod wszystkimi względami więc daje on wysokie wyobrażenie o moralnem i umysłowem wykształceniu ówczesnej Polski, a ukazuje ją ze strony zkadinał nie znanej. Pełen rozumu, wdzięku, prostoty, a co do formy, „jedna z przedziwności języka polskiego“, jest Dworzaniin prawdziwym klejnotem

w naszej literaturze, jest, żeby skończyć jak się zaczęło, jedną z najmilszych i najciekawszych książek, jakie nam nasz złoty wiek zostawił.

Nadchodzi już koniec zawodu Modrzewskiego. Ostatniem jego dziełem są cztery *Sylwy* (1566—1569). Tendencya ich jak w dziełach poprzednich, to pojednanie wszystkich wyznań chrześcijańskich, a nawet i niechrześcijańskich, skoro pojednanie obejmować ma nawet arianów, w jakimś niemożliwym kompromisowym kościele, którego żadne z tych wyznań nie mogło, nie byłoby chciało, przyjąć. Środkiem zaś pojednania ma być Sobór, ale nie ten nieprawdziwy, łaciński, który zasiadał w Trydencie, tylko inny, lepszy, złożony z reprezentantów wszystkich wyznań i wszystkich stanów. Sobór ten miałby zwołać król, i powagą swoją uchwały jego w królestwie obowiązującymi uczynić. Znowu utopia. Król polski, nawet gdyby był chciał, nie byłby zdołał mocą swoją kościół jakiś poddanym swoim narzucić; a Zygmunt August tego nie chciał, i wiedział dobrze dlaczego nie chciał. Niechęć do Kościoła katolickiego, coraz wyraźniejsza; u Reya zdaje się zmniejszać z latami, u Modrzewskiego wzrasta.

Patrząc na tę postać, żalować przychodzi, że druga ¹⁾ połowa życia nie była poświęcona temu rodzajowi pracy co pierwsza, że tak dla Rzpltej, jak dla literatury jest zupełnie bezpłodną i niepożyteczną. Wszystkie bowiem jego pisma teologiczne, choć on sam może po nich właśnie największe obiecywał sobie skutki, nietylko że żadnych nie wydały, nietylko mogły się przyczynić do powiększenia i tak już wielkiego zamieszania pojęć, ale autorowi swemu sławy nie przynoszą i wpływają niekorzystnie na wyobrażenie, jakie sobie o nim robić można z *Poprawy Rzpltej*. Nie dlatego, że stanowisko jego było protestanckiem: nie przechodząc wcale na to stanowisko, należy przecież zostawić pisarza na tem, jakie zająć chciał, i z tego go sądzić; a tak sądzony Modrzewski w swoich pismach teologicznych okazuje się słabym. Bo jeżeli dążność do pojednania wyznań na

¹⁾ Ustęp skrócony z książki *Pisarze polityczni XVI wieku*.

polu politycznym, byłaby dobra, o tyle człowiek rozumny i poważny powinien był wiedzieć, że kuszenie się o pojednanie ich na polu religijnem, było rzeczą i próżną i nie dobrą; było utopią, i było bezprawiem, gwałtem, było żądaniem od każdego z tych wyznań, żeby się siebie wyparło. Że autor *Poprawy Rzpltej* podjął tę niewdzięczną pracę, że rozstrzygał kwestye dogmatyczne w sposób, który musiał oburzać wszystkich, w miłym złudzeniu, iż ich jedna i do siebie zbliża, to jest dziwne, to jest pomyłka, w którą on wpaść nie był powinien.

Ale jakkolwiek te pisma nie przyniosły pożytku ani Polsce, ani jej literaturze, ani wreszcie samej sprawie protestantyzmu, to pożyteczne są dla historii, bo rzucają wiele światła na postęp, a zwłaszcza na rodzaj protestantyzmu polskiego. Ma więc swoją wagę i ta część jego pracy.

Oni dwaj, Modrzewski i Orzechowski, skupiają w sobie i wyobrazają naszą literaturę polityczną z czasów Zygmunta Augusta: ale Modrzewski jest ze wszystkich pisarzy tego okresu najbardziej, najprawdziwiej reformatorem. Prawda, że i on nie jest dość systematyczny, że często wpada w ton kaznodziejski, że podaje nauki moralne zamiast środków politycznych, i prawda nadewszystko, że jego *Poprawa Rzeczypospolitej* nie jest całkowitą, bo on nie widzi, że przedewszystkiem poprawy i zmiany potrzebowała centralna władza wykonawcza. Ale jego organizacya wojska, skarbu, i sprawiedliwości jest najszersza i najpraktyczniejsza ze wszystkich, jakie w jego czasach były wymyślone; zaś co do samych podstaw pomyślności i potęgi Rzpltej, to znajduje dwie najtrwalsze i najpewniejsze, jakimi są harmonia społeczna i rozumna wolność. Do pierwszej prowadzi „jedno prawo dla wszystkich“, sprawiedliwość względem poddanych, przypuszczenie mieszczan do posiadania ziemi; do drugiej odpowiedzialność urzędów i zależność władzy wykonawczej od społeczeństwa samego, za pomocą prawa uchwalania podatków, które zawsze służyć ma sejmowi. Duch zatem, dążność dzieła jest i politycznie mądra i moralnie wysoka, chrześcijańska i cywilizacyjna. Współcześni i następcy Modrzewskiego na-

trafiają nieraz w szczegółach na pomysły lepsze, praktyczniejsze od jego pomysłów: ale tak obszernie, tak ogólnie żaden *Poprawy Rzpltej* nie pojął i nie zakreślił. Dlatego jest on główną środkową postacią tego działu naszej literatury w wieku XVI, postacią, której żadna ze współczesnych u nas nie dorównywa.

Modrzewski, śmiało rzec można, choć dziś tak zapomniany, jest jedną z ozdób, jedną z wielkich postaci literatury politycznej XVI wieku w Europie. Odbija się w niektórych młodszych pisarzach, jak Wolan albo Ciesielski; *Bazylika* przekład *Poprawy Rzpltej* świadczy, że miał wziętość, poważanie, i zwolenników, którzy pomysły jego chcieli rozszerzać, ale nie przeszedł do ogółu, nie przejął opinii polskiej. Szkoda jest nieoceniona i niepowetowana, bo polityczne, a zwłaszcza społeczne pojęcia Modrzewskiego, gdyby się były przyjęły, mogły być wykształcić nas na silniejsze, zdrowsze społeczeństwo. Wszelako to przyznając, nie należy zapominać, że jego *Poprawa Rzpltej* także zupełną nie jest, i że wyższy od współczesnych swoim pojęciem stosunków i potrzeb społecznych, pod względem reform politycznych jest ich blizkim, pod względem reformy rządu tak niedostatecznym jak oni wszyscy.

Jest nowy pisarz i na polu literatury politycznej; szkoda że wstępuje na to pole, jako młodzieniec, a potem schodzi z niego już na zawsze, to Goślicki, którego *Najlepszy Senator* (*de optimo Senatore* 1568) dowodzi, że autor mógł stanąć wysoko w rzędzie naszych statystów. *Senator* jest prawie akademiczną rozprawą, jest przytem skutkiem czy pomnikiem tego złudzenia, czy tej mody pisarzy XVI wieku, którzy wyobrażali sobie, że jak dobrze opiszą obowiązki różnych urzędów, to tem samem podadzą sposób na dobre rządy. (*Posel* Warszewickiego *Hetman* Paprockiego, *Kanclerz* Heidensteina, *Consiliarius* Cerioli etc. etc., wszystko pisane niby na wzór: w zamiarze i w złudzeniu naśladowania *Książca* Macchiavella). Ale *Senator* jest nietylko widocznie dziełem rozumnego człowieka; zawiera on nie jedno spostrzeżenie prawdziwie głębsze, nie jedną radę praktyczną; a przez

to każe sądzić, że autor miał zmysł polityczny w stopniu niezwykłym, i żałować, że on w późniejszych swoich latach kwestyj politycznych już nie traktował.

U nas są te kwestye coraz bardziej palące, domagają się rozwiązania, w przeciwnym razie grożą gorszym zamieszaniem. Sprawa egzekucyjna zakończyła się wprawdzie, polowicznie, marnie, bez pożytku, w roku 1564, a wielka sprawa Unii zakończyła się szczęśliwie, chlubnie, choć nie całkiem politycznie, choć ofiarą dziedziczości, zrobioną przez króla, w Lublinie, w roku 1569. Ale horyzont nie rozjaśniony przecie, a chmury na nim każą obawiać się burzy. Król, nie stary, ale schorzały, wyniszczony, może być bli skim grobu. A wtedy co? Kto zajmie jego miejsce i w jaki sposób? Jakie wewnętrzne rozterki i jakie zewnętrzne zamachy, mogą spaść na Rzeczpospolitą, pozbawioną głowy, a nieświadomą co począć? Gdzie na te pytania odpowiedź? Nie u Wolana. Ten w początkach roku 1572, zatem najbliższej śmierci Zygmunta Augusta, ukończył swoją książkę *de Libertate Politica seu civili*, ale tego najważniejszego pytania nie dotyka, a tego frasunku nie okazuje. Cechą jego jest naprzód to, że nie ma cech wybitnych, w pomysłach ani w ich przedstawieniu, a powtóre pewne dalekie podobieństwo z Modrzewskim: powtarzanie, oczywiście nierównie słabsze, wielu rzeczy, które tamten przed nim, i lepiej, powiedział.

Ta zaś troska, którą wyrażał silnie Rey (w *Przestrodze* i we *Wspólnem Narzekaniu*), im dalej, tem odzywa się eześciej i głośniej. Daje jej wyraz nawet Kochanowski, który od *Satyra* nie zabierał głosu w kwestyach politycznych.

Od czasów *Satyra* był on w kancelaryi królewskiej, pod swoim patronem Myszkowskim, nie bardzo rad ze swego losu; pisał niewątpliwie niektóre Pieśni i niektóre Fraszki; ale w końcu spotkało go coś bardzo bolesnego. Co? Nie-szczęśliwa zawiedziona miłość? Zawód w nadziejach co do stanowiska? Nieprzyjaźń i zazdrość ludzka, nie cofająca się nawet przed potwarzą? Różni dochodzą do różnych wniosków, niektórzy śmiało występują z twierdzeniami; tylko dowodów, czy to z własnych słów poety, czy ze świadectw

współczesnych, brak na każdy z tych domysłów. Tyle pewnego, że stało mu się coś bardzo przykrego, na co się gorzko żali, w niejednej Pieśni i Fraszce. Słowa jego wskazywałyby, że powodem smutku jest miłość i złość ludzka, nie zawiedziona ambicya. Ale tak jest w swoich skargach dyskretny, tak niewyraźny, że na pewno nie z nich rozpoznać się nie da. Dość, że się zniechęcił i dwór opuścił. Osiadł w Czarnolesie, z zamiarem, żeby zdala od zgiełku i swarów dworskich filozofować i Muzom służyć. Tego postanowienia wyrazem jest wspaniała Elegia IV księgi III, jest śliczny wiersz *do Muzy*. Ale niepodobna, choćby kto chciał najbardziej, odgrodzić się od świata, a zwłaszcza zamknąć serce przed radosnymi lub smutnymi wrażeniami. Do wiejskiego ustronia poety dochodzi to, co się dzieje w Rzpltej, a czy był sam osobiście w Lublinie na sejmie roku 1569, czy tylko o nim słyszał, zawsze serce zabiło mu silnie chlubą, kiedy obcy książę, składał jego królowi lemiczą przysięgę. Napisał *Proporzec*, którego początek jest bardzo pięknym takiego uczucia wyrazem. Dziwnie tylko, że kiedy Hołd Pruski pobudził go do natchnienia, to wielkie, święte dzieło Unii na tym sejmie dokonane, nie zaznaczyło się w jego poezji żadnem słowem tryumfu i błogosławieństwa. To jeden z tych braków w całym jego dziele, które się czuje żywo, za które ma się do niego jakiś żal.

Ale to nie obojętność; nie brak serca dla ojezyny. Że tego nie było nigdy, dowodzą w tej samej chwili *Wróżki*.

Kiedy pisana była ta broszura? Niewątpliwie w tych¹⁾ latach, bo o Zygmuncie Auguście mówi, jako o żyjącym, a o Unii jak o rzeczy dokonanej; króciutka, napisana w powszechnie wtedy ulubionej formie dyalogu, nosi tytuł *Wróżki* (dziś powiedzielibyśmy „wróżby“), a wróży, jak Orzechowski, jak Modrzewski, jak Rey, jak później Skarga, rzeczy bardzo smutne: upadek Rzeczypospolitej i utratę jej niepodległości.

¹⁾ Ustęp skrócony z książki *Jan Kochanowski*.

„Król syna nie ma, a my, jakżeby nas to nie nie obchodziło, sposobu elekcji obmyśleć nie chcemy, i skończy się to tem: że zanim uradzimy, jak króla obierać mamy, już ich kilku mieć będziemy“. Myśli tu nie o podwójnej, lub potrójnej elekcji, ale o królach postronnych, którzy korzystając z zamieszania, rozebrać nas mogą. Nie sprawdziło się to odrazu i nie co do słowa, ale niebezpieczeństwa elekcji przewidziane są bystro.

Kochanowski, któremu się zawsze marzy jakiś ubiegły wiek złoty, który on mieścić się zdaje za pierwszych Jagiellonów, który przytem za granicą napatrzył się rządów silnych i sprężystych, łatwo pojąć, że nie będzie wielkim przyjacielem naszych sejmów. „Źle, gdzie ich wiele rządzi; jeden król niechaj będzie“, powtarza on za Homerem, i dodaje, że o naszej Rzeczypospolitej powiedzą kiedyś to samo, co o jednym cesarzu: *multitudo medicorum occidit principem*. Sejmom zaś przygania dowcipnie, przytaczając wyjątek z jakiejś rzymskiej komedyi:

— *Quomodo rem publicam vestram amisistis?*

— *Proveniebant oratores novi, stulti, adolescentuli.*

U nas, gdzie każdy rwał się do oracyj i do rządzenia, takie przypomnienie, że mówcy głupi i niedoświadczeni gubią państwo, było bardzo trafne, a może i bardzo odważne, bo z pewnością w smak ogółowi pójść nie mogło.

W zakończeniu autor sam wytyka największy błąd broszury, kiedy Ziemianin zarzuca Plebanowi, że tylko złe ganić umie, a tego nie wskazuje, jak na nie zaradzić. Rzeczywiście to jest najslabsza strona tego pisemka, jak i większości pism moralno-politycznych. Pleban odpowiada, że to nie na jego rozum wprowadzie, ale że innym razem spróbuje powiedzieć, jak rozumie. Szkoda, że obietnicy nie dotrzymał. *Wróżki* są wprowadzie dziełkiem moralnem więcej niż politycznem, ale nie są weale bez wartości i zajęcia; ich dalszy ciąg, uzupełnienie, samo przez się zapewne nie byłoby gorszem, podwajałoby ich wartość, a w każdym razie byłaby

rzecz ciekawa widzieć, jakieby były lekarstwa poety na choroby Rzpltej.

W każdym razie nie można go uważać za człowieka obojętnego, bez stałych i własnych przekonań, za literata i artystę, który o rzeczach praktycznych mało wie, rozumie, i mało się o nie troszczy; ani też za człowieka, który politycznego zmysłu i rozumu ma nie wiele. Przeciwnie; jakby potrafił rządzić, to inne pytanie, ale widzi i sądzi bardzo dobrze, tak dobrze, trzeźwo a daleko przed siebie, jak się poetom i artystom rzadko zdarza, i jego *Wróżki* nie są bynajmniej słabym, lekkim wyrazem politycznej myśli, świadectwem politycznego rozumu ówczesnej Polski.

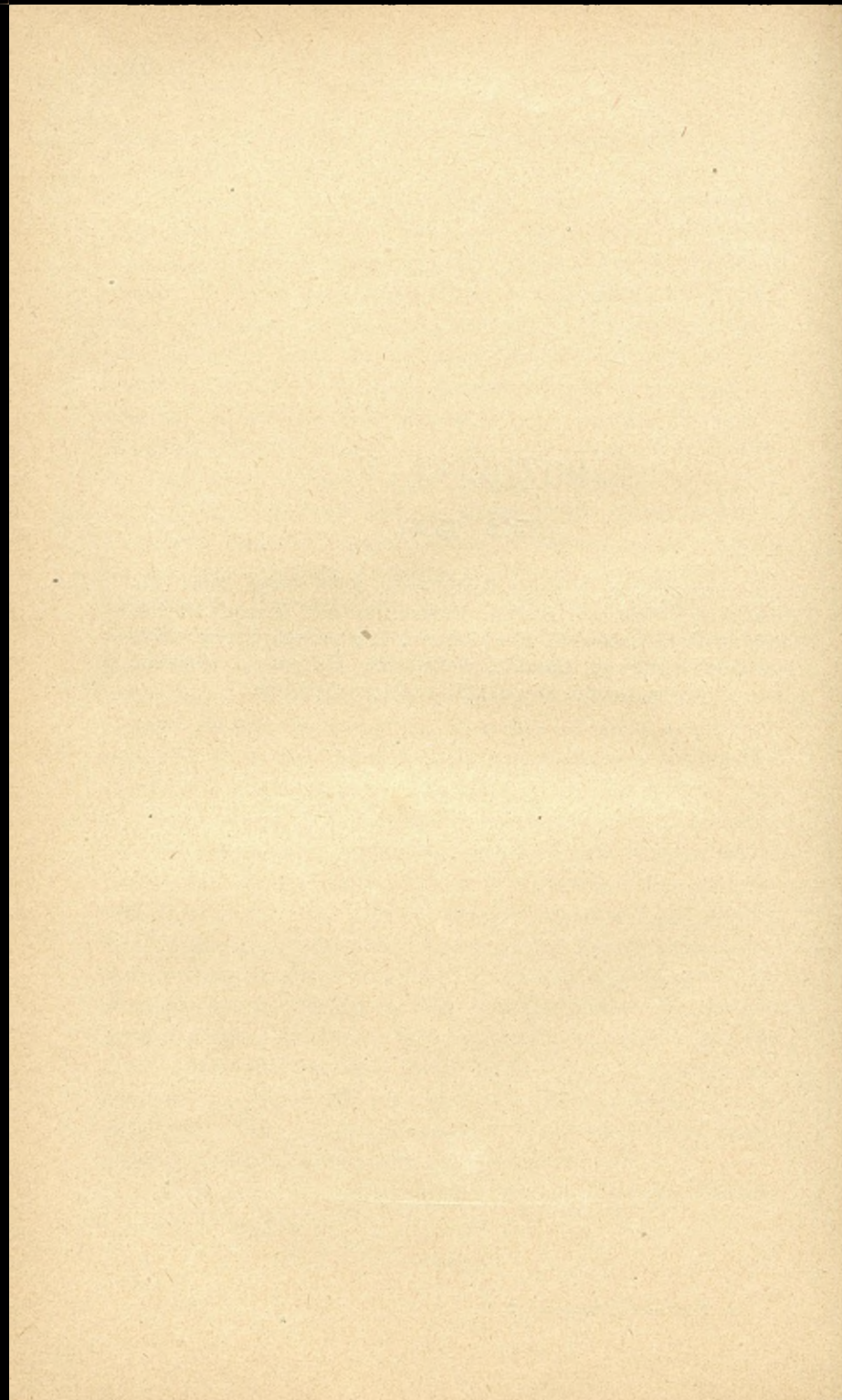
Za życia jeszcze, ale na bardzo krótko przed śmiercią Zygmunta Augusta, pisze Andrzej Ciesielski swoją *Oracyę ad Equites*. Zaslugą i główną treścią jej, jest sprawa następstwa po bezpotomnym królu. Sposobem wyjścia, najprostszym, byłaby adopcya. Tego przybranego syna wszakże niech król nie szuka między Polakami, bo tem zasiałby tylko ziarno nieskończonych zazdrości, w dalszym ciągu zaburzeń. Obecgo książęcia trzeba wziąć na tron, a z takich najlepszym, bo usuwającym niebezpieczeństwa ze strony Moskwy, byłby młodszy syn cara Iwana; nie tak dobrym, ale nie złym jeszcze, jeden z synów cesarza. I pomysł adopcyi, i wybór kandydatów, dowodzą, że autor miał rozum i zmysł praktyczny. Zmniejszają tylko tę o nim opinię utopijne warunki, jakie do owej adopcyi dodaje. Oto car Iwan miałby temu synowi, powołanemu na tron polski dać w posagu połowę swego państwa, tę, która z Rzeczpospolitą graniczy; a cesarz znowu miałby z tego samego tytułu dać swemu synowi Ślązk. Naiwność tego żądania zbyt wielka. Ale żądanie, żeby nie zwlekać, tylko zaraz, póki król żyje, postanowić na przypadek jego śmierci sposób Elekcyi, wyznaczyć tych, którzy i ją prowadzić i rządy sprawować mają, słuszne, rozumne, szkoda że nie usłuchane.

Król umarł: z Bezkrólewia wyszła Elekcya *viritim*, i *Pacta Conventa*.

ROZDZIAŁ V.

(1572 – 1586).

I. Literatura podczas drugiego Bezkrólewia. Król Stefan. Zenit Kochanowskiego. *Odprawa Posłów*. Kromer. *Psalterz*. *Treny*. Schyłek. Charakterystyka ogólna. II. Mniejsi poeci. Paprockiego *Satyry*. *Koło Rycerskie*. Historycy. Górnicki. Solikowski. Heidenstein. Orzelski. Strykowski. Sarnicki. Paprockiego *Herbarze*.



I.

Literatura podczas drugiego Bezkrólewia. Król Stefan. Zenit Kochanowskiego. *Odprawa Posłów*. Kromer. *Psalterz*. *Treny*. Schylek. Charakterystyka ogólna.

Chwila Bezkrólewia i pierwszej elekcji słabo odbija się w literaturze. Nie wiele pism, które się do niej odnoszą, jeszcze mniej takich, które wskazują wyraźnie, że to co się stało, jest spokojną, ale zupełną w państwie przemianą, rewolucją, i jakie będą jej skutki.

Ten sam Ciesielski wydaje po śmierci królewskiej drugą Oracyę, *ad Senatam*, w której wypisuje warunki, pod jakimi przyszedł król miałby być wybranym (*Pacta Conventa* w zarysie); inni przestają na ogólnikach, jeszcze inni zalecają tego lub owego kandydata. Zamoyski w oracyi do nowo obranego króla, Karnkowski w *Liście do Kromera*, który jest opisem i apologią elekcji, robią tylko szumne panegyryki tego co się stało. Kochanowski pisze konwencyonalną a naiwną odę (I Liryków), którą prosi Walezyusza, żeby nie zwlekał z przyjazdem: na jego przyjazd układa wiersz powitalny *in Aquilam* i *ad Regem Cracoviam venientem*. Potem w wierszu *Marszałek* tłumaczy się, że służby przy tym królu pełnić nie może. Wszystko to obojętne raczej, wszystko dowodzi, że oni zdaleka bali się tej elekcji, ale byli z niej radzi gdy spokojnie przeszła, a głębiej w to, co się stało, w to co się stać może nie zaglądali. Zasadniczej strony takiego sposobu elekcji nie widzą, nie rozumieją, nie boją się. Krzysztof Warszawicki, gorliwy stronnik Arcyksięcia Erne-

sta, wita Henryka najszumniejszą, najbardziej panegiryczną, trudno przypuścić iżby szczera, oracyą. Jeden tylko jest, który widzi i przewiduje dobrze, a mówi otwarcie i śmiało, to Solikowski w *Rozsądku o Warszawskich sprawach na elekcji*. Dowodzi on naprzód, słusznie, że *Pacta* uchwalone są nieprawnie, bo prawa mają być stanowione przez posłów, a na elekcji posłów nie było, tylko jechał na nią kto chciał, sam za siebie. Dowodzi dalej, że cztery główne zasady paktów, to są cztery kliny, które rozłupią Rzeczpospolitą. Konfederacya *inter dissidentes de Religione* rozbija jedność religijną; artykuł *de non praestanda obedientia* rozbija jedność władzy; artykuł o *diversitas judiciorum* rozbija nawet jedność terytoryalną prowincyi, bo każda z nich, jeżeli może stanowić sobie osobne jakie chee sądy, to z czasem gotowa powiedzieć, że może sobie stanowić i osobnego króla. Zaś przyboczna rada z szesnastu senatorów, powinna podług wszelkiego logicznego prawdopodobieństwa, wykształcić się zczasem na rządzącą oligarchię. Nie wszystkie te przewidywania sprawdziła późniejsza historia, ale sprawdziła ich tyle, że autora tej małej książeczki, uważać musimy za jednego z tych ludzi, którzy w ówczesnej Polsce najdalej wzrokiem sięgali.

Skargi *Proces na Konfederacyą*, należy także do głębszych pism z tej chwili. Dotyka tylko jednej strony rzeczy, kwestyi religijnej, wzajemnego stosunku różnych wyznań w jednym państwie; jest zaś ciekawem i ważnem świadectwem, jak stosunek ten pojmowała opinia katolicka. W każdym razie dużo względniej, dużo szerzej, niż protestanci i katolicy w sąsiednich Niemczech i we Francyi.

Lekkomyślny wybór skończył się źle. Henryk uciekł z zamku jak awanturnik, jak przypadkowy król dla zabawki, za jakiego się tu istotnie uważał. Po jego ucieczce już się pokazało, i już zaczęło się po trochu miarkować, jak dobrem dla Rzeczypospolitej było to, co się przed rokiem zrobiło. Upokorzenie, zawstydenie przed całym światem: niepewność co począć i zamieszanie; nowe spory, nowe starania i kandydatury; Tatarzy na Podolu; dwie elekeye wreszcie, a która

z nich prawna? Każda strona mówi to o swojej, każda drugiej zarzuca nieprawność.

Rzecz ciekawa, wrażeniom i uczuciom ówczesnej Polski daje wyraz najsilniejszy, prawie jedyny, nie żaden mąż stanu ani statysta, ale poeta. Kochanowski, który przez czas pierwszego Bezkrólewia i krótkiego Henrykowego panowania zabierał się nareszcie do stanu małżeńskiego, który na wstępie do tej swojej decyzji pisał *Dziwostęba*, jako starający się o pannę, pisał śliczną *Sobótkę*, tak oryginalną, tak odmienną od tradycyjnej klasycznej Sielanki, tak nawet chwilami realistyczną (rzecz u niego rzadka); który śliczną pieśnią drugą drugiej księgi zapraszał w dom narzeczoną, teraz, choć chciałby w domowym ustroniu zamknąć się przed troskami publicznego życia, nie może zamknąć swego polskiego serca przed boleścią i obawą, i ze swojej lutni dobywa ton najwyższy, jaki w tej chwili wydał polski patryotyzm.

Nie obojętność, zniechęcenie raczej i gorycz, dyktują mu ten ironiczny wiersz do Firleja, „Nie frasuj sobie Mikołaju głowy, kto ma być królem“. Że tak jest, dowodzi *Oda Czwarta* z Liryków, i *Trzecia* na zjazd Stężycki. Przypuszcza się, bez pewności niestety, że wspaniała *Pieśń Czternasta* księgi II (włożona później w *Odprawę Posłów* jako chór drugi), w tych okolicznościach, pod wpływem tych smutków odezwała się swoim głębokim uroczystym tonem. Ale czego już przypuszczać nie trzeba, bo jest pewne i jasne jak słońce, to że *Pieśń Piąta* księgi II powstała, kiedy napad tatarski nie wstrzymywany, nie odparty, zapędził się aż pod Sokal i Lwów. „Wieczna sromota i nienagrodzona szkoda Polaku“, to między patryotycznymi wierszami Kochanowskiego jeden z najwspanialszych, to jeden z klejnotów całej patryotycznej liryki polskiej. A tak mądry, tak głęboki, że na nieszczęście nasze do wielu późniejszych wypadków i czasów żywcem się da stosować.

Że Kochanowski podczas tego Bezkrólewia jedyny raz wystąpił czynnie w życiu publicznym, że na sejmie elekcyjnym zabierał głos, i to za kandydaturą austriacką, to do literatury właściwie nie należy. Że jego mowa nie sprawiła

skutku, była źle przyjęta, to naturalne i słuszne. Żeby była pozbawiona rozumnych i politycznych argumentów (jak twierdzi Orzelski), to przesada. W każdym razie przyszłość sprawdziła smutno tę bezmyślność i przypadkowość elekcji, którą on z trwogą przewidywał, kiedy z ironią radził zawiesić koronę na słupie, żeby ją ten brał, kto pierwszy dobiegnie.

Jeden jeszcze jego wiersz, odnoszący się do tego Bezkrólewia: ten mści na Henryku i jego Francuzach zniewagę, jaką Polsce wyrządzili. Już w roku 1574, zatem zaraz po ucieczce, wydał przyboczny poeta Henryka Desportes, obelżywy, potwarczy, nikezemny wiersz *Adieux à la Pologne*. Kochanowski odpisał *Gallo crocitanti* (gdaczącemu kogutowi i Francuzowi). Odpisał po łacinie, żeby on i wszyscy mogli czytać i rozumieć; a w tym wierszu nietylko kłamstwa odpiera, ale i odkrywa bez względu i pobłażania prawdę o bezwstydzie tego króla, o podłości jego dworaków.

Przyszł Stefan, a lata jego panowania, to okres najpiękniejszy, jak dla historii, tak i dla literatury XVI wieku. Król cudzoziemiec nie mógł ani znać ani pielęgnować polskiego piśmiennictwa; ale z wielkim człowiekiem jak żeby duch nowy wstąpił we wszystkich i wszystko ożywił. Nadzieja uspokojenia, zabezpieczenia Rzpltej naprzód, a potem nadzieja zwycięstw, potęgi, chwały, wpłynęły niewidzialnie ale widocznie na szlachetniejsze natury i umysły, wywołały w nich wyższy stopień siły, hartu, przedsiębiorczości. Teraz talent Kochanowskiego dochodzi do zupełnej dojrzałości, i do wysokości, jakiej jego dotychczasowa poezya, jakkolwiek świetna, nie zapowiadała. Teraz Heidenstein, jedyny w tym wieku (i na długo) godny następcą Długosza, wydaje najświetniejszą część swego dzieła, sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej, a otacza go liczba nie mała historyków różnego typu i stopnia. Skarga jeszcze nie jest kaznodzieją sejmowym, ale już wydaje dzieła świetne (o Jedności Kościoła Bożego, Siedem Filarów, Żywoty Świętych). Wujek dedykuje królowi swoje Postyllę. Teraz i Klouowicz zaczyna, i Szarzyński błyska nie trwałem na nieszczęście światłem. Literatura polityczna jedna mileży. Nie ma powodu upominać, doradzać, zagrze-

wać, bo coby jako zbawienne wskazywać miała, to się robi, staje się rzeczywistością. Ale w tych latach niewątpliwie dojrzewają w głowie Górnickiego te myśli, z których niezadługo złoży się *Rozmowa Polaka z Włochem*, a Wereszczyński już w roku 1576 szukał, jak się zdaje, *Drogi pewnej do osadzenia rycerstwem pustyni w ruskich krajach*. Wszystko się rozwija, kwitnie, jaśnieje; także wszystko niestety prędko więdnie, słabnie, przygasa.

Talent Kochanowskiego miał takie zasoby i siły, że zapewne i bez króla Stefana byłby się wzniósł wyżej, ponad ten stopień, jakiego dosięgł w *Pieśniach* i w *Sobótce*. Ale kiedy się widzi, że zenit tego talentu schodzi się z tem panowaniem, trudno oprzeć się przekonaniu, że między jednym a drugim zachodził jakiś związek; że w tym królu, którego nie chciał, którego elekeyi sprzeciwiał się ile mógł, znalazł to, czego oddawna dla swojej ojezyny pragnął. *Zgoda*, *Satyr*, *Wróżki*, z pieśni niejedna, wszystko dowodzi, że Kochanowski bał się o Polskę, i wskazuje czego się dla niej bał, i dlaczego. Ten nowy król zaś, od pierwszej chwili swego wstąpienia na tron ukazał się przeciwieństwem i nieprzyjacielem tego, co poeta miał w Polsce za złe: robił, dzielnie i mądrze, to co jemu wydawało się potrzebnem. Te początki musiały Kochanowskiego podnieść na duchu, dodać mu otuchy, a ta znowu dodała nowych sił i popędu. Nie znamy, jakie były, i nawet czy były, okoliczności, które poetę zbliżyły do króla; widzimy tylko, że stosunki z Zamoyskim były rzeczywiście, i bliskie, jeżeli nie ścisłej przyjaźni, to w każdym razie porozumienia i zgodności w pojęciach. Ale z tego co Kochanowski pisze, wnosić mamy prawo, że przylgnął całym sercem, że się zapalił do króla i do Zamoyskiego, i że chciał teraz, swoim sposobem, według sił i możliwości pomagać do ich wielkich celów.

Pierwsza rzecz, jaką napisał w tej łączności myśli i celu, to *Odprawa Posłów* (1577). Pierwszy prawdziwy, a zarazem na długie wieki najznakomitszy dramat polski, jest zarazem tendencyjną polityczną broszurą; ma za cel zganić i obrzydzić marność sejmowych rad i rozpraw, a za-

grzać do wojny wstępnej, zaczepnej; zagrozić także losem jaki wisi nad królestwami nierządnie. Być może, że ta tendencya źle wpłynęła na wartość artystyczną dramatu; że gdyby go Kochanowski był pisał swobodnie, sam dla siebie, a nie w pośpiechu na sceniczne przedstawienie, które miało wywrzeć wspomniane wyżej wrażenie, może dzieło sztuki byłoby mu się udało lepiej; może byłoby mniej tych naśladowań i zapożyczeń, które mu dziś wytykamy. Ale czy bez tej tendencyi, bez tej myśli patryotycznej, *Odprawa* miałyby ten charakter i ton tragiczny, jaki się odzywa z dwóch chórów, z przemowy Menelaja, z przepowiedni Kassandry? Może nie: a to więcej podobno warto niż artystyczna poprawność i doskonałość.

Zarzuca się *Odprawie* zwykle, i nie bez słuszności, dwie głównie rzeczy: brak dramatycznego pierwiastku i naśladowanie.

Co do pierwszego, nie miał zapewne Kochanowski geniuszu dramatycznego. Gdyby go miał, byłby zapewne inaczej wybrał przedmiot, a przynajmniej inaczej go ułożył. *Odprawa* jest właściwie prologiem do Trojańskiej tragedyi, nie samą tą tragedją; a budowa nie jest dobra, bo osoby wychodzą jedna po drugiej i po większej części nie wracają drugi raz na scenę, bo opowiadanie Posła zajmuje trzecią część dramatu; możnaby znaleźć więcej usterek podobnych. Jednak nie przecząc ich, nie można także słusznie zaprzeczyć temu prologowi Trojańskiej akcyi, dramatycznego choć nie wyraźnego układu i budowy. Pierwsze sceny, aż do wejścia Posła, stanowią zawiązanie, expozycję. Jego opowiadanie zastępuje właściwy środek akcyi, wielki błąd, bo ta narada u króla Pryama powinna się odbywać na scenie. Skarga Menelaja i chór oznaczają zwrot w tej akcyi, a przepowiednia Kassandry zastępuje katastrofę przez to, że ją ukazuje w przeszłości.

Co do naśladowań, prawda; nie tylko pisał Kochanowski na wzór Greków, ale brał z nich, nawet z Seneki całe myśli, całe wyrażenia i zwroty, i to nawet w miejscach najpiękniejszych, jak trzeci chór i Cassandra. Ale pomijając

już że te zapożyczenia mogły być spowodowane wielkim pośpiechem w jakim pisał, i to, że obyczaj wieku pozwalał na nie poetom, przypomnieć trzeba, że cała treść, sytuacja, choć z Homera wzięta, jest przez niego samego bez żadnej pomocy traktowana, że pomysły i stosunki, w jakich postawił te homeryczne osoby, są jego własne, że obok niektórych ustępów zapożyczonych jest nierównie więcej oryginalnych.

Piękność *Odprawy*, to naprzód ten charakter czy pozór grecki, jaki poeta na wskrósł przejęty znajomością starożytnych, umiał nadać swoim figurom bez osobnego po temu starania zapewne. Potem przepych prawdziwy języka i wiersza. A wreszcie ten ton wspaniały, patetyczny, tragiczny, jaki się odzywa groźnie w dalszych scenach dramatu. To lub owo może być pożyczonem; ale takie słowa mógł osobom swoim włożyć w usta tylko natchniony, wielki poeta. Alluzję do ówczesnej Polski, pierwsza rozmowa Antenora z Alexandrem, opowiadanie Posła, ostatnie słowa Antenora „radźmy jako bić — nie jedno się bronić“, ożywiają ten pozornie grecki dramat bijącym i bolesnym tętnem polskiego życia. Wszystko razem rzecz niezawodnie daleka od doskonałości, ale piękna, znakomita, w swoim rodzaju wielka; a nie widzimy we współczesnej poezji włoskiej i francuskiej dramatu, któryby do *Odprawy* choć się tylko zbliżał.

. Dlaczego ten pierwszy dramat polski był na tak długo ostatnim także i jedynym? dlaczego nie znalazł naśladowców, nie stworzył szkoły? Kto wie czy nie dlatego, że był zanadto wzniesiony nad średni poziom ówczesnych umysłów i oświaty, przez to nie przystępny. Co pewna, to że w *Odprawie* dopiero stanął Kochanowski, a przez niego poezja polska, na tym stopniu, gdzie się kończy poezja przyjemna, ładna i poruszająca, a zaczyna się wielka.

Dla króla Stefana i na życzenie Zamoyskiego znowu, na przyjazd króla do Zamchu (1578) pisany był *Pan i Dryas*. Pierwszy powitalny tylko i konwencyonalny, druga tendencyjna, polityczna, i dlatego zaraz w polskim przekładzie wydana, a w swojej politycznej myśli bardzo śmiała i stanowcza, kiedy królowi opowiada, jak dawny niegdyś

pan tych lasów na niedźwiedziach jeździł, założywszy im ostry kołec u nozdrza, i jak takim twardem prawem hardych można poskromić i ujeździć. Alluzya oczywista do tych hardych, którzy za lat kilka podniosą sprawę Zborowskich.

Z *Odprawą* równocześnie wychodzi Kromera *Polonia sive de situ, populis et moribus* etc. etc. Zaczęta zapewne w tej myśli, żeby nowo obranemu królowi Henrykowi dostarczyć najpotrzebniejszych wiadomości o jego królestwie, spóźniła się i pod tym względem chybiła celu; ale została zawsze ciekawą i ładną książką. Sam tytuł wskazuje, że autor miał na myśli wielki wzór, *Germanię*, Tacyta, a w sercu może nadzieję, że się do wzoru zbliży. Ta nadzieja spełnić się oczywiście nie mogła, a podobieństwo tytułów dziś może się zdawać wielką zarozumiałością ze strony Kromera. Ale on w swoim czasie musiał myśleć, że im bardziej się pod płaszczem Tacyta skryje i osłoni, tem lepszem, tem trwalszem będzie to co napisze; a choć się w tej rachubie pomylił, to jego *Polonii* zostaje zawsze dosyć zasługi i wdzięku.

Czem ona jest? wszyskiem potrochu; geografją, statystyką, etnografją, opisem prawa publicznego, jakimś *Legniczem* w drobnym zawiązku, wszyskiem tem naraz, niczem dokładnie, niczem zupełnie; jest jak żeby rodzajem małej *Encyklopedyi* podającej główne i najpotrzebniejsze wiadomości o Polsce.

Kromer ma tę zasługę, że chciał opisać, bodaj powierzchniowo Polskę pod względem geograficznym i statystycznym, w czasie kiedy nikt nie czuł tej potrzeby; dzieło jest dalekie od doskonałości, ale jest szanowne przez to samo, że jest, a jest zajmujące i ciekawe dla samej swojej treści naprzód, powtóre dla trafnych nieraz spostrzeżeń autora, wreszcie dla tego, że czytelnik uważny zdola z tej książki zrobić sobie jakieś wyobrażenie o tem, jak ta Polska zewnątrznie wyglądała, a nieraz zastanowi i zadziwi się nad tem, jak ona w wielu rzeczach musiała wyglądać podobnie do dzisiejszej.

Część pierwsza, geograficzno-statystyczna zaczyna od oznaczenia geograficznego położenia Polski, jej granic, pasma

gór i biegu rzek, potem przechodzi do miast; przesada to, czy też tak się rzeczy od tego czasu zmieniły, Kromer mówi o Krakowie, że zamożnością i pięknnością może się równać z miastami niemieckimi i włoskimi? Czyby był śmiały to napisać bez żadnej podstawy prawdy, kiedy kłamstwo było tak łatwym do wykrycia, bo przecież cudzoziemcy ten Kraków znali? Może to i prawda — bo w innem miejscu, mówiąc o żywności, powiada, że zamożność tak się w Polsce wzmogła, że lud prosty używa chleba pszennego i wina; po cóżby to był zmyślał? pokusa do przechwalania nie była wielka, zresztą w opisie swoim wydaje się zawsze rzetelnym i prawdziwym. Musiało tak być, że i kraj i Kraków wyglądał świetniej niż teraz.

Po miastach idą płody, te same co teraz, handel, ten sam co teraz, pod względem tak przywozu i wywozu; to samo zboże, te same deski, klepki dębowe do Gdańska, opasowe woły do Olomuńca i Wiednia; cyfr nie podaje, na ich wartości jeszcze się wtedy dobrze nie znano — a z szczególnem upodobaniem rozwodzi się nad tymi produktami, które służą do wygody i wytworności życia, a zwłaszcza stołu; wylicza mnóstwo gatunków ryb, ptaków, zwierzyny i chwali się z wielkiej ich obfitości, nie pomija owoców; a jeżeli cudzoziemcy, którzy w swym czasie Polonię czytali, musieli się dziwić opisom nieznanym sobie żubrów albo losi, to my dziś z nie mniejszem może zadziwieniem czytamy o uprawianych u nas winnicach, o rodzących się po sadach brzoskwiniach, figach, migdałach. Czy się klimat zmienił? czy ludzie nie umieją dbać o te rzeczy jak dawniej? czy też autor pozwolił sobie zafanaronować trochę i drzewa hodowane pod murami, na zimę chronione od zimna i rzadkie, policzył do krajowych produktów.

Ciekawe są niektóre naiwności Kromera, jak n. p. o strachach wyprawiających różne dziwy w kopalniach Wielkich i Bocheńskich, albo o garkach, które się czasem same w ziemi rodzą (tak tłómaczy urny i wykopaliska). Ciekawy opis polowania na żubry, podobny zupełnie do walki byków w cyrkach hiszpańskich; jest nawet płachta czerwona

którą odwraca się uwagę zwierzęcia od człowieka, na którego chce uderzyć. Czy istotnie tak polowano na żubry?

Po tem wszyskciem dopiero następują ludzie; ich natura fizyczna, typ twarzy, rodzaj pożywienia, sposób ubierania się, wreszcie ich charakter, w którego opisie i dzisiejsza Polska może poznać swój wierny wizerunek.

Niemniej ciekawe są pewne rysy obyczajów, naprzykład to, co mówi o biesiadach, o sposobie życia szlachty, o naszym upodobaniu w okazałości, i jak ją Polak ówczesny, jego żona i córka pojowali.

Księga druga jest opisem Prawa Publicznego polskiego, takim, jakiegoby uczono w szkołach średnich, gdyby tam takich rzeczy uczono. Zaczyna od króla, granic jego władzy, opisuje sposób następstwa na tron, obrzęd koronacyjny, stanowisko królowej etc. Następuje potem Senat, jego skład attribucyi i obowiązki, urzędy koronne, dalej ziemskie, a wreszcie nadworne, każdy dokładnie opisany; sądownictwo, podatki i ich pobór, wojsko, wreszcie sejmiki i sejmy. Synody duchowne i prawa duchowne przychodzą na ostatku, przyczem Kromer tak mówi o sądach biskupich, jak żeby nigdy nie się pod tym względem nie było zmieniło. Interim i konstytucyę sejmu 1565 ignoruje zupełnie, władza świecka obowiązana jest wykonywać wyroki sądów biskupich.

Prusy, jako mające osobne instytucye i prawa, mają i rozdział osobny, ostatni w książce. Dlaczego nie ma go Litwa rządzona swoim statutem, swoimi urzędnikami, mająca nawet swoje wojsko? Może centralizacyjna tendencya Kromera sprawiła, że nie chciał mówić o odrębności Litwy. Krytyki instytucyi polskich nie masz, jest tylko ich opis.

Pisarzem pierwszego rzędu nie jest Kromer w żadnym razie; i rozum jego i zdolność pisarska mają dobrą miarę średnią, która przecież pospolitą nie jest. Pisarz poprawny, ozdobny, jasny, bez wielkiej świetności, człowiek rozumny, uczony, myślący i zdolny, bez sił nadzwyczajnych i wyjątkowych. Ale ludzie tacy w literaturze jak w polityce są bardzo potrzebni i przydatni, bo tam jak tu geniusz jest rzadkim fenixem, a obfitość, ciągłość i skuteczność prac,

utrzymanie oświaty, jak utrzymanie politycznego działania i powodzenia, najczęściej polega na barkach takich porządnym zdolności drugiego rzędu. Im większy ich zastęp, tem większe bogactwo literatury a zwłaszcza nauki, tem większa skuteczność pracy; gieniusz zdobywa i podbija, ale tacy utrzymują zdobyte i strzegą ją od zmarnowania.

Kochanowski, który przedtem pisywał same rzeczy drobne, a wydawał je rzadko, teraz, jak gdyby przeczuwał, że mu nie daleko do końca, spieszy się z dziełami większych rozmiarów i wielkiej wagi. W dwa lata po *Odprawie* (1579) wychodzi *Psałterz*. Długimi laty pisany naturalnie; może w samych początkach stosunków z Myszkowskim powstał zamiar, a pewnem jest, że w roku 1571 było już przetłómaczonych psalmów trzydzieści. Wiejskie otia, i stałe niewątpliwie nalegania Myszkowskiego, sprawiły, że przez następnych lat kilka ogromna praca doszła do szczęśliwego końca.

Szczęśliwego zaiste, bo ten *Psałterz* to wielki w naszej literaturze wypadek, to wielki skarb naszego poetycznego języka i stylu.

Zadziwiający jest ten postęp w języku poetycznym¹⁾ tak nagły, to prawie doraźne objawienie poetycznego języka w Kochanowskim. Przed nim, szukajmy jak chcemy, stylu polskiego niema. Rey wyraża myśl swoją jasno i zrozumiale, ale też tylko tyle; byle była wyrażoną i dała się zrozumieć, o więcej się nie troszczy, albo więcej zrobić nie umie. W *Psałterzu*, i od niego już zawsze, tensam język umie oddać najdoskonalej i najłatwiej każdy stopień i każdą potęgę uczucia, jaka w duszy ludzkiej znaleźć się może.

Jakim sposobem język, zaledwo dotknięty ręką ludzką, nabył odrazu tyle siły, tyle energii i tyle giętkości, że najwyższa patetyczność była dla niego rzeczą dostępną? To sekret Kochanowskiego i to niezmierna zasługa jego *Psałterza*. Nasz język zmienił się od tego czasu, i w tej zmianie

¹⁾ Ustęp o *Psałterzu* jest skrócony z książki *Jan Kochanowski*.

nie jest mniej pięknym, ale piękniejszym nie jest nawet u Mickiewicza; a najwznioślejsze ustępy naszej nowej poezji nie mają toku bardziej uroczystego i patetycznego, jak ta jej pierwsza próba. Ztąd też, kiedy dla innych narodów liczne przekłady *Psalmów* z wieku XVI mają tylko wartość językową i historyczną, albo poprostu wartość modlitwy, *Psalmy* w tłumaczeniu Kochanowskiego dla nas mają rzeczywistą wartość artystyczną, są poezją; a dla naszej literatury mają tę wartość nieocenioną, że przez nie i od nich poczynawszy, nasz język stał się zdolnym do wszystkiego, że mógł już wyrazić wszelkie uczucie ludzkie w najwyższej potędze. Po *Psalterzu* Kochanowskiego, ale po nim dopiero stała się możliwą najwyższa piękność polskiego słowa, wymowa Skargi, doskonałość wiersza w Trembeckim, wzniosłość poetyczna w Mickiewiczu. Nie żeby wszystko w *Psalterzu* było równie pięknie; język, który się po raz pierwszy uczy służyć poezji, nie mógł odrazu stać się jej zupełnie powolnym. Często też zdarzają się w *Psalmach* rymy zbyt łatwe, te, które pierwsze zawsze nastroczają się rymującemu, a których w naszym języku, z powodu jego form gramatycznych, jest tak wiele. Kochanowski rymuje przymiotniki i imiesłowy w tym samym rodzaju i przypadku, rymuje słowa czasowe, których zakończenia w osobach i liczbach tak często są jednakowe, rymuje stopnie wyższe i najwyższe przymiotników (zakończony na *ejsze*); wszystko to, często powtarzane, jest wielką wadą, i wystarczyłoby samo, żeby poetę piszącego dziś potępić odrazu, jako nie umiejącego władać formą. — Wtedy, w chwili kiedy ta forma powstawała dopiero, usterki takie były nieuniknione i dziwić nikogo nie mogą. Co zaś dziwić musi, to całe ustępy, owszem nieraz całe psalmy przełożone z taką mocą wyrażen, z taką jędrnością wiersza i z takim bogactwem rymów, że dziś, przy całym wyrobieniu wiersza, po Mickiewiczu i Słowackim niktby lepiej nie potrafił. Jako przykład służyć może psalm *Super flumina Babilonis*, w którym jest coś więcej, jak sama uderzająca piękność wiersza, bo uderzająca, przejmująca analogia. Może to przypadek, choć uwierzyć temu trudno, ale z pewnością nie

złudzenie tylko szczera prawda, że język Kochanowskiego staje się najpiękniejszym, najpotężniejszym i najrzewniejszym razem w tych Psalmach, które oplakują los Izraela, albo żalą się przed Bogiem, że jego nieprzyjaciółom daje zwycięztwo. Jako przykład służyć może *Super flumina*, i niezrównany prawdziwie psalm LXXX (*qui regis Israel*). Niepodobna jest przytaczać wszystkich przykładów pięknego wiersza, energicznych lub wzniosłych wyrażań z *Psalterza*: ale sama obfitość i wielka różnorodność wiersza dowodzi, jaki postęp zrobił język pod jego ręką; zastosowanie zaś rodzaju wiersza do charakteru psalmu dowodzi, jak on znał naturę języka, jak wiedział, w jaki tok wiersza trzeba go ułożyć, żeby najlepiej oddał właściwy odcień uczucia.

Ta różnorodność miar, rytmów i tonu była to gimastyka, która, raz odbyta, została językowi na zawsze i dała zupełną łatwość i swobodę ruchów. Temu tylko wydziwić się dość nie można, że śmiały poeta próbował stosować język jeszcze surowy nawet do miar starożytnych i że mu się to udało. Również została już jako zdobycz zapewniona na zawsze ta siła i piękność wyrażań, ten poetyczny polot, który jest w *Psalterzu*, i który sprawia, że ten przekład, choć przekład, jest dziełem prawdziwego poetycznego natchnienia, i kto wie, czy nie mamy prawa bez zarzucia pytać, czy drugi naród w Europie ma taki przekład psalmów, który po trzech wiekach byłby zupełnie świeżym i dał się tak czytać, jak piękna, własna, z pierwszej ręki poezja.

W tysiącym roku także, po ośmiastu latach, wracał Połock do Polski. Smutny skutek tej opieszałości, na którą tak Kochanowski całe życie narzekał, odwetowany, naprawiony — w tej wojnie, do której długo zagrzewał, znaczny, wielki tryumf: nieprzyjaciół upokorzony, nasz król zwycięzki; a ta szala przeznaczeń, która się między Polską a Moskwą ważyła, zdawała się na dobrą stronę przechylać. I wtedy oczywiście rychło po tem zwycięztwie (31 Sierpnia), napisana była Oda XII *Lyrików*, *de expugnatione Polottei* (drukowana osobno 1580 r.) Myśli się, że ta naprawa dawnych zaniedbań, ta chwala polskiej broni, ten krok naprzód do potęgi i wiel-

kiego w świecie znaczenia, wydobędzie jakiś natchniony dytyramb z piersi poety, który tak doskonale położenie Rzeczypospolitej rozumiał, a czuł je tak żywo. Jest zaś inaczej. Oda XII, dość długa a zimna, powtarza innemi słowami to, co się już wiele razy w Kochanowskim czytało; często przypomina zwrotami jego dawniejsze wiersze, a robi wrażenie rzeczy chłodnej, wymuszonej, nieledwie napuszonej, jeżeli nie takie jak ody Naruszewicza lub Osińskiego, to nie lepsze jak ody Koźmiana na zwycięztwa Napoleona.

Ten brak natchnienia czy nie jest spowodowany nie-szczęściem? Może poeta zmusza się do pisania, zadaje sobie gwałt, a myśleć tylko o tem jest zdolny co go boli. W tym samym roku (1580), wyszły *Treny*.

Że one są samym szczytem poezji polskiej w wieku XVI, że takim zostały aż do odrodzenia tej poezji w wieku XIX, że tak zostały w pamięci i w ręku swego narodu, tak się nie zestarzały, nie zwietrzały, nie zbłądły, jak same tylko wielkie dzieła poezji, nad któremi czas ze swemi zmianami nie ma władzy, zbytecznie przypominać. Wiemy to wszyszey dobrze. Co będzie może naszej czytającej publiczności mniej wiadome, to, że *Treny* były w drugiej połowie naszego wieku przedmiotem badań bardzo gruntownych, bardzo umiejętnych, i że na podstawie tych badań możemy dziś z wszelkiem podobieństwem do prawdy oznaczyć kolej, w jakiej one powstawały, pierwszeństwo jednych a następstwo drugich, i związek ich z całym wewnętrznym życiem Kochanowskiego, ze wszystkiemi wyobrażeniami i pytaniami, jakie w ciągu tego życia przeszły przez jego umysł i duszę.

To ostatnie pytanie rozjaśnił Szujski (Rocznik Tow. Nauk. 1866)¹⁾ kiedy robiąc zestawienie historyczno-literackie i estetyczne *Trenów* i *Ojca zadżumionych* Słowackiego, znalazł i powiedział o *Trenach* wielką prawdę, która musi zostać jako pewnik, jako punkt wyjścia badań i sądów późniejszych. Od niego dopiero, już na zawsze *Treny* uważać się muszą

¹⁾ Ustęp o *Trenach* i następny, skrócony z książki *Jan Kochanowski*.

za „najlepszy wyraz indywidualizmu poety; a o ile ten poeta wiek swój wyobraził, o ile przedstawił najdelikatniejsze odcienie myśli i uczucia swoich czasów, uważane być muszą za najlepszy wyraz ówczesnej duszy narodowej“. Najlepszy wyraz indywidualizmu poety dla tego, że w tej chwili stanowczej i kulminacyjnej jego wewnętrznego życia, ta dusza ukazuje wyraźniej i zupełnie niż kiedykolwiek swoją naturę, swój sposób czucia; że ukazuje swoją historję, jeżeli się tak można wyrazić, w chwili walki i przełomu, wszystko czem była i czem żyła dotąd, na czem się teraz zawiodła i w czem odtąd szukała uspokojenia, prawdy, odpowiedzi na zagadkę życia. On także, Szujski, rozwiązuje z góry najtrafniej, najprawdziwiej wszystkie przeszłe czy jeszcze przyjść mające pytania i spory o religijne i filozoficzne Kochanowskiego przekonania i stanowisko. Mówi on, że Kochanowski jako syn i wychowaniec swego wieku, musiał podlegać jego wpływowi, ztąd ta chwiejność, niepewność, która się w nim nieraz widzieć daje, raz ustępuje, drugi raz powraca. „Zakotłowało mu w głowie, zabrakło mu gruntu pod nogami. Musiał przebyć otchłań rozpacz i niewiary, aby się wydostać na brzeg, aby powrócić do pojęć chrześcijańskich. Nie na pogańskiem uczuciu kończy się poemat Kochanowskiego. Zwyciężył on, a dzieje zwycięstwa z psychologiczną prawdą oddał w ostatnich czterech *Trenach*“. Pod tym względem są *Treny* jak żeby streszczeniem i obrazem wahań i walk całego jego życia, walk, które się powtarzały, odnawiały, a pod wpływem niedoznanego nigdy przedtem cierpienia stanowczo rozstrzygły.

Faleński (Felicjan) (Bibl. Warszawska 1866) miał tę wielką zasługę, że dochodził i zdaniem naszym trafnie doszedł, które z *Trenów* powstały najwcześniej, a które z czasem dopiero później były pisane. Kwestya to ważna, naturalnie się nasuwająca, a przedtem niedostrzeżona i nietknięta. Oczywiście niema p. F. żadnych znaków, żadnych podstaw do oznaczenia tego następstwa *Trenów* prócz samej ich treści. Ale ta pozwala mu wnosić, które z nich pisane były pod pierwszym wrażeniem żalu, które w innych jego chwilach.

Treny mówiące o ostatnich chwilach życia Urszuli i o pierwszych po jej śmierci, zatem szósty, siódmy i ósmy, musiały pierwsze wylać się na papier ze zbolalego serca ojca. To jest ten zawiązek, z którego rozwijały się, do którego przystały *Treny* inne.

Początek był zrobiony, dane było hasło do tego chronologicznego i psychologicznego zarazem szykowania *Trenów*, a za danym popędem poszedł i pracy dokonał prof. Nehring. Jego rozprawa o *Trenach* (Bibl. Warszawska 1881) przynosi nowe, bardzo cenne spostrzeżenia i konkluzye.

Trafnie chwytą on wskazówkę p. Faleńskiego, przyjmuje jego twierdzenie, że *Tren* VI, VII, VIII, musiały powstać najwcześniej, ale idzie dalej i dowodzi, że do tych wcześniejszych należy i trzeci, którego główne myśli tu razem zebrane, w innych szerzej są rozprawdzone, każda z osobna; że *Tren* IV musiał powstać wcześniej niż XV, który go przypomina, i wnosi, że porządek chronologiczny na pewno oznaczyć się nie da, ale że jest w *Trenach* następstwo i ład, które wprowadził Kochanowski sam, kiedy je do druku oddawał; że porządek ten logiczny jest następujący: dwa pierwsze *Treny* (później zapewne, może najpóźniej napisane) stanowią ogólny wstęp do całości; pierwsza po nim grupa, sześć *Trenów* (III—VIII) odnosi się do faktu samego, mówi o Urszuli i o jej śmierci. Druga część (od IX—XIII) obejmuje różne odcienie i stopnie rozpaczyny ojca, kiedy został sam ze swoim uczuciem, szarpany wielorakim rodzajem tortury, chorey do tego i nie mogący dać sobie rady. Po tem następuje już pewne uspokojenie, objawiające się wyraźnym i świadomym sobie pragnieniem pociechy (*Tren* XIV—XVII). W XVII to pragnienie doprowadza go do rzewnego płaczu i do szukania ulgi u Boga — początek rezygnacyi. XVIII jest wprost modlitwą, XIX kończy wszystko uspokojeniem, poddaniem się, nadzieją lepszego życia i w niem odzyskania straty. „Wypadłoby podzielić *Treny* na trzy części: rozpamiętywanie nieszczęścia, rozpaczliwy brak pociechy i szukanie pociechy, wreszcie jej znalezienie i uspokojenie. *Treny* pisane były w różnych chwilach, w różnych stadyach cier-

pienia, w usposobieniu nierównem... nie są wynikiem obmyślenia i planu... nie wypłynęły z jednej naczelnej myśli“ — ale pisały się w miarę jak je uczucie samo dyktowało. Niektóre zapewne rychło po śmierci dziecka pod świeżem wrażeniem. Ale sam fakt ich ułożenia w pewien porządek i wydrukowania, treść nie jednego z nich, widoczna wszędzie dbałość o formę, wreszcie i ten w nich wiersz (*Tren II*) „Jaka mnie z płaczu mego czeka cześć na potem“ — to wszystko dowodzi, że choć ten i ów powstał w chwilach najboleśniejszych, to całość jest dziełem umysłu już znacznie uspokojonego, zdolnego reflexyi, przywróconego do równowagi.

To jedna nowość i prawda, której zdobycz jest zasługą Nehringa. Drugą jest roztrząśnienie stosunku *Trenów* do autorów starożytnych. Nehring trafnie i zwycięzko dowodzi, że nie ma w *Trenach* takiego naśladowania starożytnych poetów, jakie zbyt często zdarzają się w Pieśniach, ale wskazuje bystro i słusznie związek *Trenów* z tymi autorami, z których Kochanowski głównie czerpał swoją filozofię życia. Chwila to ważna, pierwsza w życiu, kiedy ta spokojna cnota, ta miara i moc nad sobą, ten łagodny stoicyzm, dobry na mniejsze przykrości, nie wytrzymał próby wielkiego cierpienia. Kochanowski się zawiódł na swoich mistrzach, na Ciceronie i Senece, na Horacyuszu; nie tylko jego szczęście, ale zawałił się ten skład pojęć, których się w życiu trzymał jako zasad i dotąd szczęśliwie. W chwili, kiedy one wystarczać przestały, kiedy zawiódły, odzywają się, występują wszystkie z głębi jego umysłu; on jak żeby każdej, czy każdego pytał, dlaczego zawiódły, niekiedy ulega im na chwilę i zapada w głębsze czarniejsze zwątpienie; aż się przekonał, że był złudzeniem, otrząsł z siebie i do jedynej prawdy powrócił. Ta walka z różnorodnymi wyobrażeniami całego życia, którą Szujski już w *Trenach* widział, pokazana jest obszernie i wyraźnie w rozprawie Nehringa, udowodniona porównaniem tekstu, i postawiona jako treść niemal główna *Trenów*. Z czego znowu wynika sprawdzenie tego co mówił Szujski, że *Treny*

są „najlepszym wyrazem indywidualizmu Kochanowskiego“ wielkim dokumentem do historii jego pojęć i ich przemian.

Wskazuje mianowicie Senekę (*De consolatione, Ad Polybium, Ad Marciam i De vita beata, Cicerona Questiones Tusculanae*), jako źródła, z których K. już za młodu czerpał swoje teorie o cnocie, o szczęśliwości doczesnej, o niezachwianej pogodzie umysłu w każdej doli. Tych on się trzymał, tym wierzył, na ich wiarę „żył tak skromnie, że ledwie kto wiedział o mnie“ — a mimo to znalazło go w tym ukryciu nieszczęście i przekonało go, że próżno człowiek chce lub ludzi się przeciw niemu się zabezpieczyć, uzbroić i nie czuć. Tego zawodu wyrazem najdokładniejszym jest *Tren IX*.

Ale nie ona sama, nie mądrość tylko zawodzi. Wszystko tak samo. „Kogo kiedy pobożność jego ratowała? Fraszka cnota“! woła w *Trenie XI*, który jest szczytem jego rozpacz.

Jednak choć go ta filozofia zawiodła, ona w nim jest zawsze: jej nauki, maxymy, słowa, odzywają się ciągle w *Trenach*, a Nehring starannie i trafnie je oznacza. Sama ta „mądrość, która człowieka w anioła odmienia“ zgodna jest prawie co do słowa z niektórymi zdaniem Seneki, w rozdziale III, IV, IX, XV, XVI *Vitae Beatae*. „Fraszka cnota“, znowu i następne wiersze *Trenu XI* wyrażają te same myśli co Seneka w *Konsolacji ad Polybium III, 3*. „Błąd wiek człowieczy“, to znowu z *Konsolacji ad Marciam (XI, 1)*. Niobe, jak u niego, wspomniana jest u Cicerona (*Tusc. Disp. III, 26, 63*) „ludzkie przygody ludzko znosć“ (*Tren XIX*) prawie dosłownie w *Tusculanach (III, 17)* „humana humane ferenda“ a samo widzenie matki w *Trenie* ostatnim, kto wie, czy nie powstało pod wpływem tego ojca, który w konsolacji do Marcji wprawdzie nie staje sam przed córką, ale ją przez usta przyjaciela uspokaja i upomina.

Te wszystkie podobieństwa, te cytowane miejsca prowadzą go do wniosku i służą za dowód, że „Kochanowski w swoim ciężkim smutku szukał w tych pismach ulubionych pisarzy dla siebie konsolacji, i odczytywał tam myśli od dawna sobie znane, tylko przywiązując teraz do nich inne, jak dawniej uczucia“.

Do tych dawniejszych, przystępuje jako ostatni rozpoznawca różnych w *Trenach* pierwiastków p. Kallenbach (Filozofia Jana Kochanowskiego), i stwierdzając odkrycia pana Nehringa co do owych trzech *konsolacyj* Seneki, wskazuje nowe ich ślady w *Trenach*, a zarazem tłumaczy, jak sucha i retoryczna filozofia w umyśle i pod piórem Kochanowskiego przyjęła ton i kształt poetycznego uczucia i natchnienia, i jak nie tylko te ostatnie filozoficzne przekonania, ale wszystkie ogółem pojęcia, jakie przez całe życie przesunęły się przez głowę poety, aż do Lukrecyuszowych zwątpień i negacyi, odzywają się na nowo w tej chwili wielkiej boleści, żeby w końcu ustąpić nie przed pogańską sztuką życia, ale przed chrześcijańską jego mądrością i cnotą.

Kiedy w ten sposób wykryte jest następstwo *Trenów*, ich stosunek do autorów starożytnych i wreszcie ich ważność, jako świadectwa wyobrażeń Kochanowskiego i ich przemiany, to nie wiele już zostaje o nich do powiedzenia dla literackiej, estetycznej krytyki.

Jest więc w *Trenach* jak żeby cały przebieg żalu i wszystkie jego odcienia; gdyby ktoś chciał zrobić studjum psychologiczne tego, co człowiek czuje po stracie drogiej istoty, dokładniej i zupełnie opisaćby tego nie mógł. Tylko to się stało bez zamiaru, bez systemu. I może właśnie dlatego jest w *Trenach* taka wielka ogólna ludzka prawda, że Kochanowski bez reflexyi, bez zamiaru i wyrachowania, pisał poprostu, jak czuł; cierpienie jego odbiło się w jego wierszach, w całości i we wszystkich swoich odcieniach i mimo jego wiedzy i woli, złożyło tak dokładną i prawdziwą psychologiczną całość.

Myliłby się jednak ten, ktoby uważał *Treny* za dzieło natchnienia bardzo lotnego i wzniosłego, uczucia bardzo gwałtownego i namiętłego. *Treny* są jedną z najpiękniejszych niezawodnie, najbardziej w sobie skończonych poezyi lirycznych, ale jak cała poezya Kochanowskiego, jak jego natura, jak jego zdolność poetyczna, nie wnoszą się do najwyższych sfer natchnienia. Byli poeci z duszą głębszą, potężniejszą, choć zapewne nie było ich wielu z duszą tak normalną i har-

monijną i żeby już nie szukać przykładów za granicą: Słowacki, kiedy mówi o Termopylach i Cheronei, Mickiewicz w *Odzie do Młodości*, w *Pieśni Wajdeloty*, w *Improwizacji*, Krasiński w *Psalmie dobrej woli* i w piękniejszych ustępach *Przedświtu*, stoją na wysokości, do jakiej Kochanowskiemu daleko. Prawda, że oprócz tych trzech, nie wiedzieć, który z naszych poetów lirycznych (a lirycznymi są oni wszyscy), mógłby postawić którą ze swoich poezyj obok *Trenów*, które jako uczucie, jako prostota, jako ogólna ludzka prawda, jako piękność formy wreszcie, były przez dwa wieki z górą na szczycie polskiej poezji, a dziś, choć przewyższone, przewyższają jeszcze bardzo wielu.

Że *Treny* są najwyższym wyrazem poetycznym osobistego uczucia, jaki był dotąd w polskiej literaturze i że takim na długo zostały, że były dowodem tego wyrobienia formy, jakiego od starożytnych nabral nasz język i nasza poezja; że przeto są jednym z najpiękniejszych kwiatów humanizmu na gruncie polskim, to jasne i niezaprzeczone. Ale, czy nie dowodzą one innego jeszcze wpływu pojęć starożytnych i pojęć religijnych i filozoficznych XVI wieku na naszego poetę? Czy usposobienie sceptyczne, czy niedowiarstwo, a przynajmniej niepewność i wątpliwość nie wyrwały mu się z duszy niechęć, kiedy cierpiąc, niezupełnie nad sobą panował? Z *Trenów* czerpią swój główny argument ci, którzy sądzą, że przez wpływ humanizmu, Kochanowski doszedł, jak wielu w jego wieku, do Hamletowej jakiejś nieświadomości, gdzie jest prawda i co jest prawdą, czego się trzymać, komu i w co wierzyć. Jest on katolikiem, religijne rozterki uważa za klęskę; środek na nią widzi we wzmocnieniu sił katolickich i przy elekcji głosuje na cesarza — to wszystko prawda, ale to tylko wyrozumowana reguła postępowania w praktyce prywatnego, czy publicznego życia; w wewnętrznej twierdzy swego ducha, on zazdrośnie zamyka przed ludźmi wątpliwość, pytanie, czy są naprawdę prawdą te zasady, które głośno wyznaje i których broni. Bo gdyby w nie wierzył istotnie, to w chwili największego w życiu cierpienia, on w swojej wierze, w chrześcijańskim niebie,

w oddaniu się woli Bożej, szukałby dla siebie pociechy, w smutku i krwawym pocie oliwnego ogrójca, w brzemieniu dźwiganego krzyża, w siedmiu mieczach utkwionych w sercu Matki Bolesnej, szukałby porównania i przykładu dla swego cierpienia. On tymczasem wspomina Orfeusza i Niobę i płaczącego jakiegoś Heraklita, ale o tem nie wspomina, że jak on przy konającym dziecku, tak niegdyś *stabat Mater dolorosa juxta crucem*, i nie myśli o tem, żeby u Niej, która jego ucisk rozumie, bo znała, szukać ulgi lub ratunku; nie woła: *Neige du Schmerzenreiche dein Antlitz gnüdig meiner Noth*. A kiedy mu przychodzi wreszcie pociecha, to nie z chrześcijańskiego nieba, nie przynosi jej żaden anioł lub święty, ale z jakiegoś zaświata, który do pogańskiego Elizium raczej podobny, przychodzi własna matka, poważna i mądra, jak te cienie, które zbyły trosk ziemskich za stygijskimi i letejskimi wodami, i prawi mu o nieśmiertelności duszy, jak mógł prawić i Platon. On nie wie nawet, gdzie swego dziecka ma myśla szukać? Między aniołami przed tronem Boga, czy na Charona łodzi; on i tego nawet nie jest pewien, czy ono jest: „gdziekolwiek jest, jeźliś jest“. A że jak *in vino*, tak *in dolore veritas* i w chwili cierpienia wychodzi na wierzch bez naszej wiedzy i woli to, co jest samą treścią naszej duszy, więc z tych słów pokazuje się jasno, że dla praktyki życia miał Kochanowski wyrozumowane katolickie przekonania, ale dla siebie w sercu miał albo dręczącą wątpliwość, albo może nawet sceptycyzm stały, z pewnym do wyobrażeń pogańskich pociąganiem.

Wszystko to ma taki pozór prawdy i ścisłej logiki, że zrazu nie wie się, co odpowiedzieć. A jednak, o ile można bez materyalnych dowodów twierdzić coś śmiało, mam ochotę twierdzić śmiało to, że tak nie jest.

Czasy przeobrażenia, czasy moralnego trzęsienia ziemi, w których wali się jeden świat, a drugi ma powstawać, mają zawsze to nieszczęście i ten ból wątpienia, niewiadomości gdzie prawda, z gorącym jej pragnieniem. Pilat, kiedy pyta: *quid est veritas*, jest doskonałym wyobrazicielem całego ówczesnego świata i nieówczesnego tylko; a Pilat, który myśli

i czuje dobrze, a nie wie co robić i nie robi nic, waha się tylko i wątpi i pyta, jest bliskim krewnym nowoczesnego Hamleta. Nie darmo zaś Hamlet przyszedł na świat pod koniec epoki odrodzenia; on z jej gliny jest ulepiony, krew z jej krwi i kość z jej kości, a choć do dzisiejszego człowieka, do człowieka XIX wieku podobniejszy jeszcze, niż do swego otaczającego świata, to przecież i ówczesny człowiek obracał w głowie pytanie *to be or not to be* i jemu świat wydawał się *weary stale flat and unprofitable* i tylko miał instynktową obawę *of something after death*, ale czem jest *to something*, tego pewnym nie był. W takich epokach zaś niepewność ta musi udzielać się wielu bardzo, jeżeli nie wszystkim. U jednych zostaje usposobieniem stałym, sceptycyzm staje się podstawą i cechą całej ich świadomości siebie i świata; u drugich zjawia się czasem, przelotnie, jako zła myśl, jako paroxyzm złej gorączki, o której człowiek wie, że jest chorobą. Dusza zupełnie prosta, która nie wątpiła na chwilę, wiara niewzruszona, która nie pytała nigdy, była w wieku XVI prawie tak rzadką, jak w naszym. Że Kochanowski, stojący w samym przeciągu wszystkich wiatrów swego wieku, mógł dostać dreszczu i pytać i wątpić, to być mogło, to prawdopodobne, dajmy, że to pewne. Ale o to chodzi, czy to niepewność i sceptycyzm stały, czy przelotne pytanie; czy sama treść jego uczuć, albo ich jedno wzruszenie tylko, czy chroniczna choroba, albo zewnętrzny dreszcz?

Co do Orfeusza naprzód, Heraklita albo Nioby, przypomnijmy sobie ten dziwny chaos, jaki fanatyzm starożytności wprowadził w zwyczaje, w modę i w literaturę XVI w. Pomieszanie pojęć chrześcijańskich z pogańskimi, bóstwa Olimpu obok Jezusa Chrystusa, to najpowszechniejszy fenomen ówczesnej poezji w całej Europie, ale fenomen zewnętrzny, nie dowodzący niczego więcej prócz mody. Najprawowierniejsi, najpobożniejsi wpadają w tę modę nawet w swoich wierszach pobożnych czasem. Bez tego te wiersze nie wydałyby im się dość ozdobne i uczone, godne oświeconego czytelnika. Taką samą rolę gra mitologia w *Trenach* Ko-

chanowskiego, który był zanadto synem swego wieku, iżby mógł być nie hołdować jego zwyczajom, albo i przesądom.

Ale usunawszy najłatwiejszą ze wszystkich kwestyę Nioby i Orfensza, zostajemy wobec trudniejszej, wobec tej tak wyraźnej wątpliwości Kochanowskiego co do terażniejszego, a zwłaszcza przyszłego życia: „błąd wiek człowieczy, nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy, nie mając ani dobrych, ani złych na pieczy“ — wreszcie słowa: „gdziekolwiek jest — jeśliś jest“.

Żeby to wytłómaczyć, trzeba się udać do pomocy doświadczenia i do psychologicznej znajomości człowieka. Są zapewne tacy szczęśliwi, którzy umieją nigdy nie zbuntować się przeciw cierpieniu, nie skarżyć przeciw Bogu, nie pytać dlaczego On to lub owo robi, zsyła lub pozwała. Ale wielu jest takich? wielu dziś, a wielu być mogło za czasów Kochanowskiego? Ogromna większość ludzi nie przyjmuje cierpienia, a nie mogąc mu się oprzeć, pyta przynajmniej dlaczego. Wobec największego z cierpień, wobec śmierci, a dopieroż śmierci drugich ludzi, których się kocha, ten odpór staje się naturalnie silniejszym niż kiedykolwiek. I człowiek, który cierpi, tęskni, a na swoją stratę poradzić nie może, chciałby przynajmniej wiedzieć, że ją odzyska kiedyś. Religia mówi mu na to „wierź“! ale on, żeby się uspokoić, potrzebowałby więcej: nie wierzyć tylko, ale wiedzieć gdzie jest ten, którego stracił, jak mu tam jest, i czy kiedy go spotka. Tej wiadomości, tej pewności nie ma, nie może mieć, wie, że nie może i wtedy z wielkiego jej pragnienia przechodzi do pytania: „a nuż to wszystko nie prawda? a nuż jego już nie ma i mnie nie będzie? a nuż najświętsze naszych serc miłości były złudzeniem tylko, zabawką na krótko, bez dalszego ciągu, bez spotkania, bez wieczności? A może to wszystko, co nam mówią nieprawda, a tylko „nieznajomy wróg jakiś miesza ludzkie rzeczy?...“

U najwierniejszych, u najpobożniejszych, u najświętszych zdarzają się takie chwile; zwalczone rychło przez sumienie i wiarę, ale zdarzają się w boleści, zdarzają się zwłaszcza po śmierci ludzi, których się kochało. Że ta chwila,

to przejście, ten ton cierpienia jest w *Trenach*, to sprawia, że *Treny* są tak zupełnym, tak doskonałym obrazem ludzkiego cierpienia. Ale to jest chwila tylko, to jest przejście, to jest jeden ton zagłuszony, zwyciężony innemi, a dowód na to w *Trenach* samych. Nie w tych słowach matki: „alboż nas już umarłe macie za stracone?“ To może nie, to tylko myśl o nieśmiertelności duszy. Ale nie mówiąc o tej chrześcijańskiej rezygnacyi, której bardzo jednak jasnym wyrazem jest *Tren* XVIII i XIX, jakież to pytam, błogie elizejskie cienie oglądały kiedy „Twórcę wszech rzeczy w Jego majestacie“, jakie się cieszą, „że swej duszy grzechem nie zmazały“, jakie dziękują, że z trosk i niepewnych tego żywota kolei, „w młodych leciech wzięto je do nieba?“ Na pytanie: „gdzieś jest, jeźliś jest“, zdaje się, że odpowiedź dość wyraźna, i dość dobry dowód, że tamto było chwilowem i przelotnem tylko, a stałą prawdą jego uczuć i pojęć jest ta ostatnia pocieszająca odpowiedź. A jest dowód jeszcze silniejszy. Co Urszulka na tamtym świecie robi? „Między aniołami jako jutrzienka świeci, i za swemi rodzicami się modli“. To nie jest ani pojęcie starożytnych, ani mglisty sceptycyzm XVI wieku, ani chrystyanizm protestancki nawet; to jest najzupełniej i najeżyściej katolickie pojęcie bytu człowieka po śmierci, i związku jego z naszym światem. A że znajduje się w *Trenie* ostatnim właśnie, w tym, który przychodzi jako uspokojenie po wewnętrznej rozterce i jako odpowiedź po wszystkich pytaniach boleści, więc właśnie jest dowodem, że jeżeli cierpienie mogło u Kochanowskiego, jak u bardzo wielu, objawiać się chwilowem zwątpieniem, to stałą treścią jego uczuć i głównym pierwiastkiem w jego pojęciu człowieka i życia, nie był sceptycyzm, ale owszem religijne uczucie i wiara i poddanie się Bogu.

W każdym razie są *Treny* jednym z nader w poezyi świata rzadkich wyrazów miłości rodzicielskiej i jednym z najpiękniejszych; a jak były na swój czas, tak zostały szczytem poezyi polskiej aż do czasów Mickiewicza.

I teraz zawód Kochanowskiego jest tak dobrze jak skończony. Przez ostatnie cztery lata swego życia pisze on

bardzo mało, a to, co pisze, nie należy do jego rzeczy celniejszych. Z *Trzech Pieśni* (1580) druga zwłaszcza o *statecznym służce Rzpltej* piękna: ale *Epinicion*, długi wiersz, niemal poemat, na moskiewskie zwycięztwa króla Stefana, jest dziwnie sztywny i ciężki. Przedmiot mógł obudzić zapał i natchnienie; jeżeli tego nie dokazał, to można przypuszczać, że smutek i złe zdrowie odbiły się i na samej twórczości poety. *Jazda do Moskwy* (1581) wypadła lepiej; ma w początku zwłaszcza śmiałe zacięcie, siłę, i podniosły ton liryczny. Ale że Kochanowski, pomimo smutku i złego zdrowia, nie był złamany swoim nieszczęściem, że nie stracił ze wszystkiem ochoty do życia, a nawet wesołości choćby przelotnej, dowodzą *Fraszki*, które już po stracie dziecka zbierał, do druku przygotowywał i wydał.

Jakiż on jest jako poeta, i czem była, czem jest jego poezya dla nas?

O tej sąd jest już wydany i stanowczy, nieodwołalny. Kiedy trzy wieki zgodnie, jednomyślnie, przyznają pisarzowi jakiemu, że mają go za jednego z najwyższych w narodzie, to nie może być inaczej, tylko że ten pisarz musiał mieć w sobie coś rzetelnie wielkiego. Błyskotliwe pozory tak długo ludzie nie mogą. Zdolność i wartość mierna nie wytrzymuje takiej próby czasu. Kochanowskiemu świadczyli współcześni zaraz po zgonie, że go mieli za swego pierwszego poetę; świadczył wiek XVII wydaniem dzieł jego, naśladowaniem jego form przez poetów, samem tem częstem aż do swego końca przytaczaniem jego wierszy, które dowodzi, że one stały się zwykłym pokarmem umysłów, skoro tak były zawsze i na zawołanie przytomne pamięciom. Wiek XVIII, kiedy się oknał i zaczął nad odrodzeniem literatury pracować, znowu do niego się zwrócił, jak do jednego ze źródeł tego pożądanego odmłodzenia; a im więcej się w niego wpatrywał, im więcej z niego czerpał, tem bardziej rosło uszanowanie i przywiązanie, silniejsze i rzewniejsze w młodszem pokoleniu Książninów i Woroniczów, aniżeli w starszem Krasickich i Naruszewiczów. W wieku XIX czei go i podziwia Koźmian, Morawski, a Brodziński fanatycznie wielbi. Następuje wielka

zmiana w literaturze, ale co do Kochanowskiego zmiany nie ma. Z poetów romantycznych każdy prawie choć raz schyli przed nim głowę i wyzna, że go kocha jakimś synowskim uczuciem: a Mickiewicz tak go mądrze zgłębia i określa, że od niego dopiero zaczyna się naprawdę nasza rozumowa znajomość, i powodów swoich dobrze świadoma cześć Kochanowskiego. Tej zaś wierności piszących odpowiada i towarzyszy uczucie ogółu czytających i myślących, które nigdy Kochanowskiego nie opuściło, nie zapomniało, nie usunęło na bok i w tył, choć go w naszym wieku przewyższyli inni. A że on do naszego życia dziś jeszcze zupełnie należy, że z niego nie wyszedł, ale owszem znaczy w nim wiele i — jeżeli się tak wyrazić można — czynnie, dowodzi choćby to, że się nim zajmujemy tak żywo. Nie jest to zaś literackie tylko — archeologiczne czy anatomiczne — badanie przedmiotu, z którego życie uszło, bo kiedy jedni chcą go koniecznicie odgadnąć, poznać, zbadać, zdać sprawę sobie i drugim, jaki był on (a przez niego jaki był jego wiek), to inni — i wszyscy — czytają jego *Treny*, jak żeby były wczoraj napisane, to prości i nie uczeni, choć jego imienia nie znają, śpiewają „Kto się w opiekę“, to małe dzieci umieją jego wierszyki na pamięć i wiedzą o nim, o jego lipie i jego Urszulee. Oprócz wielkiego Szekspira kto wie czy jest drugi poeta tego wieku, któryby tak w swoim narodzie żywym pozostał, tak był z życiem potomnych złączony, jemu przytomny, potrzebny i poufały, jak Kochanowski.

Jest więc sąd ustalony i świadectwo za Kochanowskim wymowne; trzeba tylko co najwięcej zapytać, dlaczego są takie, na czym się zasadzają?

Czy na wyjątkowej mierze i wielkości poety? Nie, on nie jest z największych, on ze swoją naturą i zakresem swojej zdolności bardzo wielkim być nie mógł. Jego wyobraźnia nie musiała być bardzo silną, skoro się tak mało rwała do tworzenia (i nigdy z zupełnym skutkiem). Jego rozum, dobry i wcale niepospolity, gienialnym przecież nie był. Samo uczucie, choć głębokie i rzewne, nie ukazuje się nigdy w wielkiej potędze. Z takim usposobieniem, z takim zakresem zdolności,

on mógł być tylko poetą drugiego rzędu. Ale pomiędzy takimi nie wielu jest obdarzonych tak szczęśliwie, złożonych tak harmonijnie. Zdolność poety, charakter człowieka, rodzaj życia, wszystko sobie odpowiada, wszystko jest jednej miary, a z tej harmonii w duszy człowieka płynie wielki wdzięk jego poezyi. Piękność jej polega w wielkiej prostocie, w wielkiej rzewności uczucia, w tem natchnieniu, które nigdy nie buja bardzo wysoko, ale zawsze umie zastosować się do przedmiotu i przyjąć ton, jaki jemu przystoi i nigdy poetycznym być nie przestaje. Wyższości tego talentu dowodzi najlepiej ten zmysł szczęśliwy, który bez żadnej zewnętrznej pomocy kazał mu szukać poezyi w jej prawdziwych źródłach i wybił na niej prawdziwe piętno każdej poezyi: wzniosłość uczucia, właściwość narodową, i artystyczną piękność formy. Poezja ta jest nie tylko idealną, nacechowaną poetycznem i pięknem pojmowaniem rzeczy, jest jeszcze poezją szlachetnego i zacnego serca, jest piękną nie tylko poetycznie, ale i moralnie; nie w tem znaczeniu, jakoby miała moralizować czytelnika, ale że każda myśl, każde słowo poety dowodzi, iż poeta wszystko co czuje, czy to uczucie odnosi się do Boga czy do ludzi, do ojczyzny czy do rodziny, do natury czy do abstrakcyjnej, idealnej piękności we wszystkim, zawsze on czuje dobrze i pięknie.

Wielki także dowód jego talentu widzieć trzeba w tem, że choć wystawiony na rozliczne wpływy zewnętrzne, żadnemu z nich nie uległ zbyt znacznie; brał co było w nich dobrego, złe zostawiał. Rozkochany w poezyi starożytnej, nie stał się, jak większa część współczesnych pisarzy w Europie, pedantem starożytności. Oswojony z poezją włoską i francuską, ustrzegł się przesadnych wykwintów i wymysłów obu. Nie znać na nim żadnej mody, żadnych przemijających upodobań; zawsze prosty i prawdziwy, nie wpada nigdy w podejrzany smak, a przez to, że prosty i prawdziwy, odbija w swojej poezyi tylko to, co jest ogólną prawdą ludzkich uczuć i dlatego jest i będzie poetą, którego każdy wiek rozumie, w którym każdy znajdzie upodobanie. A w drugiej połowie XVI wieku, w czasie kiedy poezja włoska już się chyliła do ekliwej sielanki, francuska do ekliwej i wyszukanej manieri,

zachować smak dobry, była wielka sztuka i wielka zasługa. Nie gieniusz, ale człowiek bardzo rozumny, bardzo wykształcony i bardzo zdolny, z natchnieniem nie zbyt wyniosłym, ale natchniony we wszystkim co pisał, stworzony do używania raczej, niż do działania, umiarkowany nietylko przez wyrozumowaną filozofię, ale przez wrodzone zamilowanie spokoju i wczasu: bez ambicyi, skromny, ale znający się dobrze na swojej wartości i mówiący o niej otwarcie, śmiało, nie bez chluby: natura za bierna na bohatera, ale w sam raz na człowieka sprawiedliwego w normalnych warunkach życia: zdolność poetycka za bierna także, żeby go postawić na równi z Szekspirem lub Göthem, ale dostateczna, żeby wszystko co pisał, było pięknem — jest Kochanowski pomiędzy poetami drugiego rzędu jednym z najlepszych i najbardziej ujmujących; a że przytem jest szlachetnym i pociągającym exemplarzem natury ludzkiej, typem bardzo wiernym a cokolwiek idealnym natury swego narodu i reprezentantem świetnym swego wieku, przeto postać jego zajmowałaby miejsce zaszczytne w historii poezyi świata, gdyby ktoś taką napisał.

Sądzona ze stanowiska poezyi polskiej, okazuje się ona naprawdę bardzo wielką. Ten człowiek, który gieniuszem nie był, który do największych się nie zbliża, zrobił rzecz, którą pomiędzy największymi zrobiło tylko dwóch: Homer i Dante. Stworzył z niezego poezją całego jednego narodu; stworzył ją odrazu wzniosłą, szlachetną, narodową i piękną. Zwykle długiego trzeba czasu i przygotowania, zanim poezya stanie na tym stopniu; nieraz przez całe wieki rzemieślnicy obrabiają język zanim przyjdzie mistrz i z tego materiału stworzy arcydzieło. Szekspir miał poprzedników wielu, poezya niemiecka pracowała przez trzy wieki od odrodzenia, zanim się stała poezją. Kochanowski miał poprzednika jednego tylko i to rzemieślnika tak pozbawionego zdolności, że z niego nie mógł korzystać; miał język niezgrabny i niewyrobiony, który umiał oddać tylko najprostsze pojęcia, a nie umiał jeszcze przybrać żadnej pięknej formy poetycznej: a zostawił poezję, która nietylko zachwycała współczesnych, którzy nie lepszego nie znali w swoim języku, ale która po trzech wiekach, dla

ludzi, którzy mają poezycę wyższą i piękniejszą i znają wszystkie arcydzieła poetyczne całego świata, nie straciła nic ze swego uroku. To jest fenomenalna, genialna strona jego dzieła. Stworzył poezycę tam, gdzie jej nie było; stworzył język poetyczny pyszny, zdolny oddać każdą potęgę i każdy wdzięk, kiedy przed nim język ten zaledwo z trudnością naginał się do rymów i to co najłatwiejszych tylko. On pierwszy uprawiał, wychodował i rozwinął na gruncie polskim ten piękny kwiat umysłowości i oświaty narodu; on wybił na swojej ojczyźnie to szlachetne znamię wysokiej cywilizacyi, które się nazywa sztuką. A jak o Kazimierzu mówiono, że zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, to jest, że zastał ją pierwotną, dziką, a zostawił na takim stopniu kultury, z którego już mogła wyjść choćby najwyżej, tak o Kochanowskim można słusznie powiedzieć, że zastał literaturę polską drewnianą, jak buda, którą człowiek jeszcze prawie dziki, stawia z drzew i gałęzi, by ta go jakoś od deszczu chroniła, a zostawił ją murowaną, ugruntowaną na pięknym języku, ozdobną pięknymi dziełami. Dzieła te nie należą do najpiękniejszych na świecie? pomiędzy budynkami Kazimierza także nie było wieży Strasburskiej, ani kopuły świętego Piotra, ani żadnej z wielkich chwał sztuki budowniczej. Poezya Kochanowskiego podobnie nie jest w poezyi tem, czem w architekturze katedra kolońska lub paryska, ale tem, czem nasze kościoły Kazimierzowskie w Polsce. Tylko z takich początków, jak Kazimierzowskie kościoły, mogły w dalszym ciągu rozwinąć się najwyższe arcydzieła sztuki; z takiego początku, jaki zrobił Kochanowski, mogła nasza poezya dojść gdzie chciała, jeżeli nie do niedościgłej wysokości Szekspira i Danta, to pewnie do równości z Tassesem w wieku XVI, z Francuzami w XVII. Że się tak nie stało, powód był ten, że Kochanowski, jak Kazimierz, nie miał następcy.

Ale są tacy, którzy myślą, że Kochanowski wprowadził poezycę polską na złą drogę, nadał jej kierunek fałszywy, wstrzymał ją w jej naturalnym postępie, wszczepił pierwiastki obce tak silnie i głęboko, że ich już z siebie wyrzucić nie mogła, a przez to odjął jej na wieki ten charakter rodzimy

i polski, jaki mogła była z siebie rozwinąć i do godności form doskonałych doprowadzić. Gdyby nie on — mówią — gdyby poezya polska była została na drodze Reya, to zapewne później i z większym trudem, ale byłaby doszła do dzieł artystycznie pięknych, a treścią jak formą oryginalnych, na wskrós polskich. Rozmowa *Wójta z Plebanem*, *Gęsi z kurem*, *Zwierzyniec*, były zarodem ciętej, samodzielnej a zarazem specyficznie polskiej satyry, której nie zrodził rogaty i kosmaty leśny bożek Kochanowskiego. Z *Józefa*, właśnie dlatego, że on taki do szopki podobny, były się czasem rozwinął samorodny polski dramat, który się z *Odprawy* nie rozwinął. Z *Wizerunku*, jak cztery rzeki z raj, mogły być wypłynąć strumienie poezyi opisowej i poezyi satyrycznej i politycznego liryzmu lub dydaktyzmu. A cóż dopiero byłoby mogło powstać z tych nieznanych samorodnych pieśni albo epigramów, które rodziły się nie wiedzieć jak i kiedy i obiegały Polskę; perły rodzime, które czekały tylko na poetę, na artystę jakiego, któryby je z ziemi podjął, oprawił i blask ich wystawił na słońce! Ale przyszedł Kochanowski, nie dojrzał ich ani nie podjął, nie poznał się na nich, wołał Muzę uczyć w szkole siwej teorii, niż na wolnem powietrzu pod zielonem drzewem życia, wołał powtarzać jeszcze raz po łacinie czy po polsku to, co już od rzymskich czasów tysiące razy było powtórzone, i wprowadził w poezję polską obce pomysły i obce formy, zaraził ją naśladownictwem, zwarzył ją jak mróz, kiedy zaledwo liście puszczać zaczęła, zwichnął jej skrzydła, złamał jej siłę; sam był jej kwiatem (dość sztucznym i bladym), a kwiatów prawdziwych i naturalnych rozwinąć, pełnych dorodnych owoców wydać jej nie dał!

Twierdzić to łatwo, bo zbić nikt nie potrafi; nikt nie potrafi dowieść, coby się było stało, gdyby przed trzystu z górą laty nie było zaszło coś, co faktycznie zaszło. Ale tak samo jak nikt nie potrafi dowieść, że poezya polska nie byłaby wyszła wyżej po jakiejś drodze, którą nie szła, tak samo i tego nikt nie dowiedzie, że ona na tej, przez niego zapóźno wskazywanej drodze, byłaby istotnie wzbiła się wy-

soko. Owszem to założenie jeszcze mniej niż tamto może być dowiedzionem, bo się opiera na samych przypuszczeniach, na rachunku prawdopodobieństwa; a ten rachunek sprawdzić się nie da, zatem nie jest rachubą, lecz fantazją. My przynajmniej mamy za sobą fakt i nie mały. Kiedy mówimy: Kochanowski przyszedł i stworzył w Polsce poezję, sztukę, której przed nim nie było, to nikt nam zaprzeczyć nie może; może kto co najwięcej żałować (czy grymasić), że jej nie stworzył inaczej. Na tanto zaś zdanie my odpowiadamy pytaniem, które nie jest przypuszczalne i wiotkie, ale logicznie zdrowe i tęgie: dlaczego te rodzime pierwiastki, jeżeli były i tak silne do tego, dlaczego same z siebie poezyi nie wydały? Dlaczego nie wytworzyły sztuki? Dlaczego nie pominęły Kochanowskiego z jego złemi nowościami, a swoją drogą, idąc do swego urzeczywistnienia, do swego celu i kresu nie doszły? Dlaczego się tak nie stało, my wiemy i na powyższe pytanie odpowiedź mamy gotową, a ta odpowiedź będzie nią zarazem i na ową wątpliwość, czy Kochanowski czasem poezyi polskiej nie zwarzył i nie zwichnął, czy nie był jej skrzywieniem i jej nieszczęściem — czemyb oczywiście był, jeżeli to wszystko prawda.

Popatrzmy na inne narody europejskie i na ich literatury. Wszystkie były od nas w cywilizacyi starsze, wszystkie miały w swojej odwiecznej i nieświadomej ludowej poezyi zasób i form i treści nie już większy niż my (bo nasz był tak skąpy, że nie ma o nim co mówić), ale bogaty, a niektóre bardzo znakomity; wszystkie miały poezyc pisaną w swoich własnych językach przez całe wieki, kiedy nam jeszcze o pisaniu ani się śniło. Dlaczego więc cała ta i ludowa i artystyczna średniowieczna poezya przez całe wieki stała w mierze, raz trochę lepsza, drugi raz cokolwiek gorsza, ale zawsze do siebie podobna, jednostajna, niezdolna istotnego postępu, nie rozwijająca się? Dlaczego nie wydała nic naprawdę pięknego i wielkiego, nic, co by dożyło późnych czasów, jak ich dożył Homer naprzykład? Nie z braku poetycznego materiału: ten był obfity i wspaniały, czy w niemieckich sagach, czy w hiszpańskim cyklu romans, czy

w szkockich balladach, czy nawet w poczui trubadurów. Nie z braku chęci i popędu do obrabiania tego materiału, skoro byli trubadurowie i minnesängery, z powołania, ze stanu, z cechu poeci, i gorliwie poezję uprawiali. Nie z braku silnych uczuć i świeżej, ruchliwej, poetycznej fantazyi u wszystkich tych ludów, ani z braku talentów wreszcie, bo wśród niemieckich i prowaneckich poetów byli z pewnością ludzie z talentem, bo byli tacy widocznie w średniowiecznej poezyi francuskiej. A więc zkaąd ta jednostajność, ta niezdolność wyniesienia się wyżej, wytworzenia doskonalszej, długowiecznej piękności? A tymczasem jest jeden naród i jedna literatura, która w średnich wiekach wydaje i formy nowe, i dzieła które po dziś dzień żyją, które po wiekach i w bardzo odmiennej epoce cywilizacyi, nie straciły powszechnem uznaniem całego świata nic ze swojej wartości i są dla niego dziś tak dobre, tak mądre, tak pięknie, jak były w swoim czasie. Dlaczego, kiedy cała jak jest średniowieczna poezya europejska nie wydała nic wielkiego i żywotnego, to włoska XIV wieku liczy się do świetnych w całych dziejach ludzkości, a przez Dantego liczy się do najświetniejszych, najwyższych?

To zjawisko mogłoby nas naprowadzić na domysł — zaiste nie trudny — że na wydanie wielkich skutków nie dość jest jednej siły, jednego pierwiastka, jednej działającej przyczyny, ale składać się nań musi czynników więcej. Do istoty poczui w szczególności, skoro poezya jest sztuką, należy koniecznie forma. Nie rozpoznamy zapewne form Virgiliusza w *Komedyi* Dantego, ani form Horacego w *Sonetach* Petrarki; ale wyszlachetnienie form w nich widoczne, było już skutkiem tej znajomości i zamilowania starożytnych, jakie oni mieli, jakiego nie miała reszta średniowiecznej Europy. Jest to pięknem prawem historyi i dowodem solidarności ludzkiego rodu, że pokolenia i czasy dawno skończone, że cywilizacye zmarłe, pracują na przyszłe, pomagają im czynnie zasobem swoich wyrobów i posuwają je naprzód. Jak średniowieczne malarstwo, mimo całej wzniosłości duszy i natchnienia, jaka w niem jest, nie zdołało dojść samo do

doskonałości, ale dosięgło jej wtedy dopiero, gdy od starożytnych nauczyło się znać, rozumieć, rysować lub lepić doskonałe formy — tak poezya średniowieczna podobnie zostawała przez całe wieki, mimo wszystkich swoich zasobów, jednostajną, chudą, bez formy; jednym tylko żywiołem zasilana, miała charakter wyłączny, miejscowy, a zakres ciasny; mogła wystarczyć potrzebom wyobraźni czy uczucia pewnego, w sobie zamkniętego społeczeństwa (turniejowych rycerzy i dam), nie miała siły ani sama siebie kształcić, ani cywilizacyi naprzód posuwać, ani rozszerzyć swój widnokrąg tak, iżby mogła wystarczyć różnym narodom i różnym wiekom, nabrać trwałych i powszechnych znamion i warunków piękności.

To znaczy, że poezya na to, by stać się sztuką w całym znaczeniu słowa i zadanie swoje spełnić, potrzebowała sama odbyć szkołę, wycywilizować się. We Włoszech zrobiła to za pierwszego przedwstępnego odrodzenia w wieku XIII, którego produktem był Dante i Petrarca; po naszej stronie Alp odbywała tę szkołę dopiero w wieku XV. Potem dopiero okazały się skutki. Powtórna złota epoka literatury we Włoszech: we Francyi jeszcze w pierwszej połowie XVI wieku poezya, choć nie bez wdzięku, jest jednostajna, nieśmiała i skrępowana, a dopiero gdy przyszedł człowiek, który ją podług form starożytnych zaczął rozszerzać, weszła na tę drogę, na której miała z czasem stać się literaturą niemal uniwersalną.

Jeżeli więc literatury od wieków żyjące, zasobne, posiadające i materyał i nawet gotowe formy poezyi bohater-skiej, opisowej, uczuciowej, a nawet poniekąd dramatycznej, nie zdołały w całej Europie dojrzeć i dorósć do godności sztuki bez pomocy starożytnego świata, jeżeli tym nie wystarczyły na to rodzime pierwiastki i siły, choć silne i bujne, to wyobraźmy sobie, jak ze swoich wyłącznie pierwiastków byłaby zdołała rozwinąć się poezya polska, która za sobą nie miała ani ludowych legend bogatych w poetyczny materyał, ani rycerskiej poezyi, jak Niemcy i Hiszpania, ani dworskiej i miłosnej? Coby się z nią było stało, gdyby była

ciągnęła soki żywotne z własnego tylko gruntu, a w tym gruncie tych soków poetycznych nie znajdowała?

Coby się było stało? Przypuszczać można, że byłaby grała dalej na Reyową nótę, miałyby na swojej lirze dwie struny: jedną poważną, a drugą wesołą; ta poważna byłaby ciężka, ta wesoła byłaby rubaszna. Każda miałyby jeden ton tylko, a rytm byłby jednostajny i ubogi. Gdyby nie był przyszedł Kochanowski, poezya polska byłaby w najlepszym razie wyglądała tak, jak wyglądała średniowieczna europejska przed odrodzeniem. Popatrzmy na nią później, w sto lat po Kochanowskim, kiedy pomimo klassycznych reminiscencyj i form stereotypowo powtarzanych, ona żyje głównie własnymi, rodzimymi pierwiastkami. Czy autor *Wojny Chocimskiej* nie miał talentu? Przeciwnie, miał go bardzo wiele, w bohaterskim, epickim rodzaju z pewnością miał go więcej, aniżeli Kochanowski. Czy Wespazyan Kochowski nie miał talentu? Rada piekielna w *Kamieniu świadectwa* ma taką siłę fantazyi, *Psalmodya* ma taką samorodną formę i taki popęd rycerskiego, chrześcijańskiego, patryotycznego natchnienia, że trudnoby wyszukać coś do pary między wierszami Jana z Czarnolasu. A czemu *Wojny Chocimskiej* ani Kochowskiego nie czyta nikt prócz literatów z profesyi? Bo ich poezya nie jest dość piękna, bo oni nie są artystami, a nie są nimi dlatego, że nie byli dość cywilizowani. Być na równym stopniu cywilizacyi z innymi, to jest warunek konieczny dla poezyi, tak samo jak dla nauki, jak dla społeczeństwa. Bez tego społeczeństwo i nauka zasklepiają się w sobie, zatrzymują się na miejscu, słabną, tracą zdolność rozwoju i życia; sztuka (poezya) dzieje się i wyradza się pomalu. To dziezenie stwierdziło się w dziejach naszej poezyi tak samo, jak odrodzenie i odzicie przez odnowiony związek z cywilizacją powszechną. Kochanowski, kiedy stwarzając tę poezję, postawił ją odrazu w związku z cywilizacją powszechną, której wyrazem, łącznikiem i cechą był za jego czasów humanizm, oddał jej i nam największą możliwą usługę, stworzył ją najlepiej jak stworzoną być mogła, bo ją zrobił poezją narodu oświeconego, i przez nią cały ten

naród w cywilizacji podniósł. I to na bardzo długo. Jego spuścizną, jego wyrobem, jego językiem i wierszem żyje ta poezya przez cały wiek następny. Coby się było stało, o ile głębszym byłby upadek, gdyby ci wszyscy następcy nie byli mieli jego zwrotów, jego dźwięków, jego form, które im za wzór służyły i jako tako choć trochę ich w szrankach sztuki trzymały? Coby się było stało z językiem i stylem poetycznym, z dźwiękiem wiersza, gdyby on nie był ich wyrobil? Czy może byłby temu zadaniu podołał Klonowicz albo Grochowski a choćby Szymonowicz? Czy bez niego ci najlepsi nawet, jak Szymonowicz, Zimorowicz, Kochowski i dalej aż do Krasieckiego i Książczyna, byłiby mogli pisać jak pisali, gdyby nie on przed nimi? Nie. Ci, co żałują, że Kochanowski kształcił poezję polską na pierwiastkach klasycznych, robią zupełnie tak, jak ci Rosyanie, co się gniewają na Piotra, że stworzeniem flot i budową portów i przeniesieniem stolicy, zepsuł i zatarł właściwą narodową cechę Rosyi. Zapominają tylko, że zrobił ją tem, czem jest, Rosyą, mocarstwem, potęgą.

Podobnie bez Kochanowskiego poezya polska byłaby może więcej rodzimą, tylko nie byłaby poezyą; byłaby zo stała jakimś jej zawiązkiem czy zarodem, zwarzonym lub zeschlým zanim się rozwinąć zdołał.

Jeżeli chcemy lepiej jeszcze przekonać się, czem on był i co sprawił, to jeszcze raz pomóżmy sobie porównaniem. Poezya niemiecka miała za sobą świetną przeszłość i bogatą średniowieczną spuściznę, miała (nierównie bardziej niż Polska) rozwijać się z czego. A jaka jest w wieku XVI nudna, ciężka, uboga, bez życia; gdzie zaś żywsza trochę, tam bezkształtna, bezpowabna, pół dzika, bo ona w XVI wieku swego Kochanowskiego nie miała. I dlatego w owym okresie ona została w tyle za wszystkimi, wyprzedziły ją wszystkie, nawet ta najmłodsza i ostatnia, którą Kochanowski na swoich barkach jak Atlas prawdziwy dźwiga i bardzo wysoko wznosi. Że jej po nim drudzy nie podnieśli jeszcze w górę, to już nie jego wina; on zrobił wszystko, co mógł i tyle, jak rzadko kiedy jeden człowiek dokazał.

Kto chce wiedzieć, jakim był wiek XVI w Polsce, poznać go w jego religijnych uczuciach i walkach, w jego politycznych pojęciach i dążeniach, w jego filozoficznych dociekaniach i wątpliwościach, w jego moralnem i umysłowem i towarzyskiem życiu, w nastroju jego uczuć, smutku czy radości, w jego wesolości i żarciu, jeżeli chcesz poznać, czem była cywilizacya polska XVI wieku, jak wyglądała na stopniu najwyższym, którego dosięgła, czytaj Kochanowskiego, bo to wszystko znajdziesz w nim, tego się z niego możesz dowiedzieć z pewnością. Tego mu nikt zaprzeczyc nie może. A nie zaprzeczając tego, jak może kto zaprzeczyć mu narodowego ducha i charakteru, to już zgola zrozumieć się nie da. Ani też odpowiedzi nie potrzebuje. Odpowiedział na to naród sam, kiedy czwarty już wiek świadczy, że go za swego, za jednego z najlepszych, najmilszych, najbardziej zasłużonych między swoimi uważa.

Przykładamy tu jak ostatnią pieczęć to, co o Kochanowskim powiedział Mickiewicz: „Są niewidzialne, tajemnicze pokrewieństwa między ludźmi wielkimi w historii i w literaturze. Kochanowski podobny jest do króla Stefana. Jeden i drugi sereem i rodzajem swego gieniuszu Polak, jeden i drugi chował się w wielkiej szkole europejskiej cywilizacyi. Obadwa nowatorowie śmiali ale roztropni, znali oni oba miarę i zakres środków, któremi rozporządzać mogli. Usiłowali ująć w karby i zorganizować jeden Rzeczpospolitę, drugi literaturę. Jeden chciał stworzyć w Polsce europejskie państwo, drugi europejską sztukę“.

I ciągnie Mickiewicz to porównanie dalej, mówiąc, że jak Batory, tak Kochanowski nie był słuchanym za życia, nie żalowanym po śmierci. Co do Kochanowskiego nie jest to zupełnie słusznem. W czem innym za to byli na nieszczęście do siebie podobni, w tem, że ani jeden, ani drugi nie miał syna, nie miał godnego następcy.

Kochanowski, późno prawda, po wiekach dopiero, ale miał przecież godnych siebie, większych od siebie potomków...

II.

Mniejsi poeci. Satyry Bielskiego. Paprockiego *Koło Rycerskie*. Historycy. Górnicki. Solikowski. Heidenstein. Orzelski. Strykowski. Sarnicki. Paprockiego Herbarze.

Oprócz Kochanowskiego na niwie poezji nie rodzi się tak dobrze jak nie. Pod cieniem tego dębu puszczają wprawdzie mniejsze drzewiny, które kiedyś, jak zostaną same, staną się widocznymi. Ale teraz one bardzo jeszcze młode, nie znać ich. Jeden Grochowski zaczyna już puszczać w świat wierszy dużo, a wszystkie jednostajne, wszystkie do siebie podobne, wszystkie mierne. Odzywa się po raz pierwszy Klonowicz, ale już po śmierci Kochanowskiego, i pod wpływem tej śmierci, z jej powodu. *Żale Nagrobne* są ze wszystkich jego wierszy najwcześniej drukowane (1584): rzewność uczucia, myśl ładna, zwrot niespodziewany, zdarzają się w tych Trenach po śpiewaku Trenów, tak, że ten najdawniejszy utwór Klonowicza nie jest jednym z najslabszych. Ale zaczyna w tych latach swoją rolę pisarz, niebawem bardzo wsławiony jako heraldyk, jeszcze później wstrętny jako paszkwilista, a obecnie występujący z wierszami satyrycznymi i ucinkowemi, które go łączą z dawną tradycją dyalogów i Apophtegmatów Reya. To Bartosz Paprocki. Jego *Dziesięcioro przykazania mężowe* (1575) i *Fróba Cnót Dobrych*, to tylko zbiór dość źle rymowanych a bardzo oklepnych nauk i prawideł moralnych; ale *Koło Rycerskie*, w którym rozmaite stworzenia rozmowy swe mają (1576), jest wcale ciekawe. Dlaczego *Koło Rycerskie*? Co znaczy ten tytuł? Jaki ma związek z treścią, domysleć się niepodobna, bo podług treści dzieło to nie jest niczem innym, tylko zbiorem bajek. U Reya jest ich pewna liczba, ale zbiór Paprockiego jest godzien uwagi, choćby przez to, że

jest niezwykle obszerny, na liczbę może Krasiecki tylu bajek nie napisał. Można więc uważać go za bajkopisa z profesyi (nie tylko dlatego, że pisał genealogię), za ojca rodzaju, który po nim tak wysoko się u nas wykształcił, a z tego powodu bajka jego godna jest uwagi i pamięci.

Bajka to naturalnie w zarodzie, niewyrobiona, niekształtna, tak pierwotna, że ani swojego generycznego nazwiska bajki, ani nawet swoich tytułów (każda z osobna) nie ma. Jak Paprocki bajkę nazywa? Wcale. Nie umie jej nazwać, nie zna jeszcze tego określenia; raz nazywa ją powieścią, to znowu przypowieścią, najczęściej nie próbuje określić rodzaju swoich allegorycznych nauk moralnych. Nie mają także bajki poszczególne swoich tytułów, a raczej tytuł jest, tylko wzięty nie od allegoryi, ale od jej znaczenia: i tak „Mamy się strzedz, abyśmy podchlebcom wiary nie dawali“, albo „nie mamy się śmiać z cudzego złego przypadku“ i t. p.; przykład, na lisie i kruku, na bocianie, na wszystkich zwierzętach, jakie są na świecie. Zwierzęta te rozmawiają jak ludzie, pod wszystkimi względami reprezentują ludzi, zupełnie jak u Lafontaine'a lub Krasieckiego, słowem, z różnicą tytułów, z dodatkiem zazwyczaj jakiejś maxymy z jakiego starożytnego filozofa, albo z którego ojca Kościoła, z dodatkiem niekiedy drugiej bajki, krótszej, na poparcie głównej, która to druga nazywa się wtedy przypowieścią; jest to bajka, źle napisana wprawdzie, ale mająca wszystkie znamiona apologu i do dobrych podobna. Nawet formą, a przynajmniej rozmiarami, bo jest prawie zawsze mała, krótka.

Rzecz prosta, że człowiek, który źle władał formą, który nie umiał dobrze pisać wierszy, nie mógł napisać prawdziwie dobrej bajki. Dowcip może on miał, ale pod niedołącznym, niezgrabnym wierszem, domacać się go trudno. Przy stosowanie trafne, uchwycenie jakiejś prawdy moralnej lub jakiejś ludzkiej słabości, to najczęściej jest.

Warto jest istotnie rzucić okiem na te bajki, a zabawnie jest czytać niektóre z nich te same, które się zna z Lafontaine'a lub z Krasieckiego, a które wszyscy wzięli

z Ezopa. Porównanie naiwnej i pierwotnej formy bajki Paprockiego i doskonałej jej formy u Krasieckiego jest ciekawe.

Jest i znana bajka o baranku, co maćił wodę, o my-szy, co lwa z sieci uwolniła, o mleczarce, która podsko-czywszy rozbiła dzbanek mleka a z nim wszystkie swoje nadzieje i plany. Co zaś ciekawe, to, że w bajkach Paproc-kiego są nie same tylko moralne, ale i polityczne, ukrywa-jące pod mniej lub więcej szczęśliwą allegoryą, alluzję do naszych sejmów, do naszych niezgód, do ambicyi lub za-zdrości, grającej taką rolę w ówczesnem naszym życiu pu-blicznem. Taka naprzykład jest bajka o Puhaczu „co chciał być królem ptaszym“. Paprocki myślał może niesprawiedli-wie o Zamoyskim, ale mimo to apolog jego słusznie stos-ować się może do naszych wicherzycieli i rokoszanów. W innej bajce, o kaczce, której jastrząb dał do wyboru czy chce zjedzoną być sama, lub oddać mu swoje młode, także jest nauka moralna i patryotyczna.

Są inne o nowościach i niezgodach religijnych, o oby-czajach kobiet, o duchownych, wreszcie jedna ciekawa o au-torach i pisarzach:

Jedna małpa na księgach nadobnie kreślała,
Ale co w nie pisała, o tem nie myślała.

Każda bajka ozdobiona jest w pierwszym wydaniu drze-worytem, do którego rysunek dawać musiał jakiś najnie-szczęśliwszy z artystów, autor zaś tak jest systematyczny i porządny, że bajki swoje układa przedmiotami; razem trzy-mają się bajki o rybach, razem o ptakach, o zwierzętach czworonożnych, na początku są wszystkie o ciałach nie-bieskich.

Jakkolwiek niezgrabna i naiwna, Bajka Paprockiego zasługuje na uwagę choćby dlatego, że powstała w epoce, kiedy w literaturach zagranicznych o bajce jeszcze nie sly-chać. Autor zaś, u nas godzien jest pamięci jako daleki przo-dek Księcia biskupa warmińskiego, a przez bajki polityczne nietylko jego, ale także Niemeewicza i Morawskiego.

W tym samym roku, kiedy ze śmiercią Kochanowskiego przygasła gwiazda naszej poezji, dziejopisarstwo nasze dosięgło tego szczytu, na jaki w wieku XVI wznieść się miało. Wyszła część najświetniejsza może najznakomitszego w owym wieku dzieła historycznego, sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej z *Rerum Polonicarum Libri* Heidensteina.

Zostawiliśmy naszą historyografię w początkach drugiej połowy XVI wieku, w chwili, kiedy Kromer doprowadził do pewnej doskonałości główny jej kierunek annalistyczny kompilacyjny, a Orzechowski wskazał jej nową drogę, wniósł nowość konieczną i bardzo pożyteczną, przez to, że pierwszy zaczął spisywać dzieje swoich czasów. Historycy, którzy po nich nastąpili trzymają się do końca wieku tych dwóch kierunków. Jedni należą jeszcze do dawnej szkoły, sięgają daleko w przeszłość, i jeszcze raz opowiadają dzieje Polski od początku, od bajecznych czasów, czyli powtarzają na nowo robotę już przez kilku w ciągu tego wieku dokonaną, z tą jedynie różnicą, że niektórzy z nich czują potrzebę rozjaśnienia niektórych części dziejów, które kronikarze dawniejsi zostawili w cieniu lub pominęli zupełnie, próbują badać, choć usiłowanie to wiedzie ich najczęściej do wątpliwych rezultatów. Ten kierunek widocznie słabnie i ustaje; szkoła podupada, ma wprawdzie jeszcze dwóch lub trzech reprezentantów, ale nie ma już ani talentów tak prawdziwie niepospolitych jak Długosz, ani nawet takich pięknych talentów drugiego rzędu jak Kromer.

Historycy dziejów współczesnych występują nietylko w większej liczbie, ale i w większej różnaitości rodzajów i kierunków, i w ogóle z większemi zdolnościami. Nowość wprowadzona przez Orzechowskiego pociągnęła wielu swoim przykładem, a było to równie naturalne jak pożyteczne. Naturalne, bo ci ludzie musieli poznać się na tem, że kiedy historia polska od Lecha była napisana już tyle razy, to bez nowych źródeł i odkryć pisać jej nie warto; tych nie mieli, nie mogli więc zrobić nic więcej jak jeszcze raz swojemi słowami opowiadać to samo i tak samo, co już powiedział Długosz, Miechowita, Wapowski i t. d. aż do Kromera. Tej

potrzeby całości historii polskiej, jaka była jeszcze do połowy wieku, tej teraz już nie było; a natomiast wystąpiła inna, potrzeba spisywania tego co się działo obecnie; a działy się rzeczy tak ważne. Całe panowanie Zygmunta Augusta, ze swoją wielką mnogością i różnorodnością spraw wewnętrznych i zagranicznych, sprawy religijne, walka pomiędzy duchowieństwem a świeckimi, pomiędzy szlachtą a senatorami, wzrastająca wszechmocność stanu rycerskiego, a upadająca coraz bardziej władza i powaga króla; dalej Unia pomimo tak niekorzystnych warunków przecież doprowadzona do końca; potem stosunki zewnętrzne coraz bardziej zawiłane, potęga moskiewska wzrastająca i wdzierająca się uporeczywie w sprawy polskie, Inflanty, a z niemi zaród późniejszych nieporozumień ze Szwecją i z Moskwą; stosunki z Austrią utrudnione i tak dziwnie zmieszane z obustronnej potrzeby przymierza, i z apetytu polityki austriackiej na Polskę, zaostrzonego nadzieją sukcesyi po bezdzietnym królu, wszystko to wpływy przygotowujące nieuniknione a ważne zwrot w dziejach narodu, wszystko wypadki lub początki wypadków, które zapisane być musiały, jeżeli te dzieje miały nadal być zrozumiałemi. Potem zwrot następuje istotnie; król umiera, rozpoczyna się nowa epoka historii polskiej, Rzplta zaskoczona tym wypadkiem pośród rozprzężenia w jakim się znajdowała za ostatnich lat Zygmunta Augusta, wydana jest na łaskę i wolę wszystkich wewnętrznych facyi spiskujących mniej lub więcej ze wszystkimi wpływami zagranicznymi, demokratyczna i republikańska dążność szlachty na pozór odnosi zwycięstwo w Elekeyi Viritim i w opisanu króla Pactami, a na prawdę wygrywa w tej sprawie nie równość szlachecka ani republikańska wolność, tylko partykularyzm, interes prywatny, którego władza wykonawcza już kontrolować i hamować nie może, a prawodawcza nie umie.

A więc śmierć Zygmunta Augusta i następująca po niej rewolucya, zmiana prawa publicznego Rzpltej, pierwsza a niebawem druga elekeya, panowanie Stefana i to ówczesne ważenie się losów Polski, jej zewnętrznej polityki i wewnętrznego stanu, wreszcie przeważenie się ich na złą stronę,

elekcya i przyjazd Zygmunta i pierwsze lata jego panowania, stanowcza porażka władzy królewskiej w Sejmie Inkwizyeyjnym praeludium do rokосу Zebrzydowskiego, sprawy szwedzkie, a w nich zaród wojen długich i fatalnych, wreszcie energiczne działanie przeciw różnowiercom, dziwnie szybko i łatwo idące, to są te zmiany, te zwroty, te fakta składające wielką rewolucyę wewnętrzną Rzpltej, które historyk współczesny powinien był widzieć, rozumieć i notować.

Znalazło się kilku, którzy widzieli i spisywali, a byli i tacy, którzy rozumieli. Zdolności ich, zamiar i założenie ich prac, były bardzo różne. Są między nimi tacy, którzy z dziejów współczesnych zapisują to tylko, na co sami patrzali, którzy piszą raczej pamiętniki jak historyę, i albo, jak Górnicki, większą uwagę zwracają na wypadki ciekawe i zajmujące niż na ważne, albo, jak Solikowski, zapisują prawie takie tylko, w których mieli udział. Tacy mogą być ciekawi do czytania, mogą tu i owdzie służyć za wiarogodnych naocznych świadków, ale historykami na prawdę nie są. Ale są i inni, którzy na dzieje współczesne roztaczające się przed nimi patrzą oczyma ludzi stanu, którzy rozumieją jak się dzieje i dla czego, a nie tylko widzą co się dzieje, ale zapisują i to co się działo, i jak i dla czego, jak na prawdziwych historyków przystało. Tacy mają i wielką wartość źródłową, jako świadectwa z pierwszej ręki, i wielką dziejopisarską, jako ludzie, którzy i sądzić i pisać historyę umieją. Takim naprzykład jest annalista na pozór, a na prawdę historyk prawdziwy i niepospolity, Heidenstein.

Zacznijmy od tych, którzy właściwie piszą pod pozorem historyi, pamiętniki.

Takim jest przedewszystkiem pisarz, który do dziś dnia słusznie cieszy się wielką wziętością, najprzyjemniejszy może prozaik swego czasu, w języku mistrz jakich mało, Górnicki. Jego *Dzieje w Koronie Polskiej od roku 1538 do 1572* sądząc z tytułu, powinnyby być jedną z najważniejszych u nas książek historycznych. Tytuł ten bowiem zapowiada historyę ostatnich dziesięciu lat Zygmunta Sta-

rego i całego panowania jego syna, to jest tego okresu właśnie, który miał najmniej współczesnych annalistów. Wapowski w panowaniu Zygmunta Starego dochodzi do r. 1535, Orzechowski w panowaniu Augusta do r. 1553. Tę lukę ogromną zapelnąć obiecują „Dzieje“ Górnickiego, a to tem lepiej, że pisane są przez człowieka nietylko zdolnego, rozumnego i piszącego wybornie, ale przez człowieka nadto, który przez całe życie patrzył na te dzieje zblizka, z dobrego miejsca, z którego wszystko a przynajmniej bardzo wiele mógł widzieć i wiedzieć. Sam wprawdzie wielkiej roli nie grał w Rzpltej, ale przez całe życie był przy takich, którzy grali największe. Sekretarz Samuela Maciejowskiego zrazu, później królewski, powinien był znać wszystkie sprawy, wszystkie ich sprężyny i powody; człowiek tak rozumny powinien był sądzić je doskonale, pisarz tak wytworny powinien był doskonale je opisać.

Tymczasem „Dzieje“ w Koronie nie są bynajmniej tem co zapowiada ich tytuł. O Koronie polskiej, jej dziejach i sprawach, nie ma tam nic prawie, tyle tylko, ile koniecznie potrzeba, żeby powiązać rzeczy opisywane, oznaczyć ich czas i miejsce — jest to pozór tylko, a prawdziwą treścią są różne wypadki uboczne, ciekawe i dziwne przygody, uroczystości dworskie, sprawy prywatne — jest to prawie anegdotyczna historia Dworu polskiego za Zygmunta Augusta, spisana przez naocznego świadka, pamiętnik osobisty rzeczy, na które autor patrzył, lub w których brał udział.

Ten charakter wspomnień osobistych mają „Dzieje“ od samego początku. Na pierwszej karcie mówi autor, że „dnia Wielkanocnego r. 1548 przed wielką Mszą, król Zygmunt rozdzielił się z tym światem, i zaraz ks. Maciejowski wyprawił posłów do młodego króla“ i t. d. Zdawałoby się, że wejdziemy odrazu w burzliwy początek panowania Augusta. „Ale — dodaje autor — że mnie oddano do Krakowa na naukę w r. 1538, wspomnę y to, co się za tych mych lat pacholących działo“. Na samym wstępie wskazówka, że środkowym punktem tych „Dziejów“ będzie *Ja*, ich zakresem to, co *Ja* własnymi oczyma widział, czyli, że będą Pamiętnikami.

Jakoż, całe dziesięć lat Zygmunta Starego zajmują tylko kilka kart; autor w pacholęcym wieku nie wiele jeszcze mógł widzieć i wiedzieć, zamężcie królowej Izabelli i Beaty Kościeleckiej, turnieje wyprawione przy tej uroczystości (król Lewicz z Xciem Ilią na ostre gonił), potem historia starej Malcherowej spalonej o żydowską wiarę, układy o małżeństwo Zygmunta Augusta z Elżbietą, i przyjazd jej do Krakowa, to wszystko co on dostrzegł w dziejach tych lat dziecięciu. A dalej? za Zygmunta Augusta, kiedy już był człowiekiem dorosłym, dworzaninem Maciejowskiego, kiedy mógł wszystko ocenić i wszystko widzieć? dalej tak samo, zapisuje anegdoty tylko albo efektowe sceny. I tak zaraz w pierwszej, którą opowiada, sprawie Barbary, — wszystko w jego opowiadaniu znika, zostaje tylko jedno, dramatyczna chwila, kiedy deputacya sejmowa rzuciła się przed królem na kolana, i przez Górnickiego oczywiście napisana, wspaiała, Cycerońska perora Boratyńskiego. Już to mów nie szczędzi; prawda, że je ślicznie pisać umie. Umarł ks. Maciejowski, dworzanie jego odnoszą królowi pieczęć, Górnicki przytacza mowę, jaką od nich powiedział ks. Przerębski; królowa Bona wybiera się do Włoch, znowu mów kilka, któremi senatorowie usiłowali zatrzymać ją w Polsce; z tych wszystkich retorycznych wzorowych ustępów, najpiękniejsze są sławne klasyczne przemowy Czarnkowskiego i Oda chowskiego w sprawie Halszki z Ostroga.

Sprawa ta, opowiedziana szczegółowo, żywo, a bardzo zajmująca, zabiera najwięcej miejsca, jak żeby była najważniejszym wypadkiem w Koronie polskiej za czasów Zygmunta Augusta. To wskazuje dostatecznie, jaki jest charakter książki, pamiętnikowy, anegdotyczny; ale nie to jedno tylko. Nikt z Górnickiego nie dowiedziałby się, że były podówczas w Polsce jakieś spory i trudności religijne, gdyby nie historia Krupki Przeclawskiego; co w Polsce robił nuncyusz Lippoman, o tem nie mówi, ale to zapisuje, że nie przyjmował nic od nikogo, chyba od ks. Przerębskiego trochę zwierzyzny; nikt nie domyśliłby się z niego, że się za-

nosiło na jakąś Unię, a tylko króciutka wzmianka pod właściwym rokiem wspomina, że ona doszła do skutku. Za to kto zwyciężył na turniejach przy uroczystości trzeciego ożenienia króla, albo jak ks. Finlandzki starał się o królową Katarzynę, albo jak chłop jakiś ukradł mniejszą pieczęć koronną ks. Padniewskiemu, to wszystko opisane jest bardzo dokładnie i sumiennie.

Ztąd można powziąć miarę co to za historia; a jeżeli czego można żałować, to że Górnicki, kiedy już prawdziwej historii Zygmunta Augusta nie pisał, że nie napisał historii wyłącznie anegdotycznej i obszerniej, że tych drobnych przygód nie opowiedział z większymi szczegółami i że ich nie opowiedział więcej. Zapewne pierwsza i największa szkoda jest zawsze ta, że człowiek w jego urzędowym stanowisku, z jego stosunkami i z jego zdolnością, nie napisał politycznej historii swoich czasów, ale kiedy już pisał tylko pamiętnikową i anegdotyczną, niechżeby tę był napisał jak się należy, mieszcząc w niej wszystko co pamiętał i widział. W takim razie pamiętnik jego byłby nieocenionem źródłem wiadomości o ludziach tego czasu i ich obyczajach. Tak jak są „Dzieje“ nie są historią, bo o rzeczach ważnych prawie nie mówią, tylko o drobiazgach, nie są dobrym pamiętnikiem, bo na taki o tych drobiazgach nie mówią dosyć.

Z tem wszystkim jednak jest to książka bardzo zajmująca, bardzo przyjemna, która zawsze będzie czytana i zawsze będzie się podobała.

W tym samym rodzaju pamiętnikowym napisana jest druga historia współczesnych wypadków Solikowskiego „Commentarius Rerum Polonicarum a morte Sigismundi Augusti“. Opisuje w niej Arcybiskup lwowski pierwsze Bezkrólewie, krótkie panowanie Henryka i panowanie Stefana, i początki Zygmunta III; zatem znowu epokę niezmiernie ważną, którą znowu jako senator, jako człowiek pewnego znaczenia, używany kilkakrotnie do poselstw zagranicznych, powinien był, przynajmniej mógł być znać i opisać dokładnie. I znowu, jak Górnicki, opisał tak, że o przebiegu spraw najważniejszych daje tylko pobieżną elementarną wiadomość, a o we-

wnętrznym stanie Rzpltej zaledwo najslabsze tylko wyobrażenie. Nie żeby się gubił w drobnych szczegółach i anegdotach, w sprawach i przygodach prywatnych jak Górnicki; owszem, jego książka jest pamiętnikiem ściśle politycznym, mówi tylko o sprawach państwa; ale mówi obszerniej o tych tylko, w których autor brał udział bezpośredni i czynny, a te do najważniejszych bynajmniej nie należały. I tak, możnaby sądzić, gdyby się tych wypadków zkadinał nie znało, że pierwsza elekcyja poszła gładko i łatwo, August umarł, Henryka wybrano, wyprawiono do niego poselstwo, sprowadzono do Krakowa i przyjęto wspaniale... co się działo, zanim do tego przyszło, nikt się od niego nie dowie. Szczęście jeszcze, że wspomina o Konfederacyi Dyssydentów, bo pomija nawet nowość tak ważną, jak głosowanie powszechne na króla. Ale za to swoją wyprawę do Francyi za zbiegłym Henrykiem, którego do końca nie chciał odstąpić, argumenta, którymi próbował skłaniać go do powrotu, te opowiada obszernie. Zapewne ma i to swoją wartość; dobrze wiedzieć, jak się ten stosunek między Henrykiem a Polską rozwiązywał; ale równocześnie działy się w Polsce samej rzeczy nierównie ważniejsze, które on pomija. I tak ciągle: zawsze sam jest główną osobą swojej historyi; o tem co on ze Stefanem mówił, pisze więcej, aniżeli o tem, co Stefan robił — nie jestto próżność, ani zajęcie sobą, tylko pamiętnikowy sposób pisania. Później, kiedy osiadł na swoim arcybiskupstwie, zapisuje przedewszystkiem z dziejów Rzpltej to, co się tyczy województw ruskich albo miasta Lwowa, to, na co zblizka patrzył. I dlatego, choć krytycy przyznają mu pewne zalety, że ten lub ów szczegół opowiedział dokładnie lub go trafnie osądził, zawsze jednak ten jego komentarz, choć swoją cenę mieć może, nie jest historyą panowania Henryka i Stefana, ale tylko dodatkiem do tej historyi, pamiętnikiem, z którego można dowiedzieć się pewnych nowych szczegółów o tych wypadkach i sprawach, do których autor osobiście był wmieszany.

Wreszcie w tej nowej szkole historycznej zjawia się pisarz, który zamyka naszą historyografię XVI wieku, który

opisuje wypadki współczesne tak, jak ich dotąd nie opisywał żaden, i dla następnych, dla historyków XVII wieku zostaje przykładem, typem (choć oni sami może o tem nie wiedzieli), tak jak Długosz był typem i wzorem dla szkoły dawniejszej, Heidenstein.

Formą, metodą, jest on kronikarzem, annalistą. Trzyma się tego układu chronologicznego, dla historyi tak niekorzystnego, w którym porządek lat góruje nad porządkiem rzeczy, a sprawy pomniejsze, poboczne, przerywają ciąg ważniejszych i nie dają objąć ich całości. Tym usterkiem, który jest wielką szkodą, spłacił on dług wyobrażeniom i zwyczajom wieku. Zresztą zdolnością swoją, rozumem i sądem, to historyk prawdziwy, jedyny może u nas w tym wieku historyk niepospolity, mający wszystkie warunki i przynioty do tego potrzebne, a jego książka jest i najcenniejszym dziełem źródłowym, i pod względem kunsztu historycznego najpiękniejszym, jakie nam ten wiek zostawił; jego historyk ostatni jest zarazem największym jego historykiem.

Prawda, że znajdował się w warunkach dla historyka najpomyślniejszych. Przyboczny, poufny, sekretarz Zamoyckiego naprzód, a potem Batorego, i to poufny sekretarz nie z tytułu tylko, ale z rzeczy, czerpał wiadomości swoje ze źródeł, jakich mieć nikt nie mógł; nietylko z kancelaryi królewskiej, której wszystkie akta mógł czytać, a wiele sam redagował, ale co ważniejsze, z głowy tych dwóch ludzi, którzy wszystkie sprawy prowadzili. Jakże się dziwić wielkiemu zasobowi informacyi w Heidensteinie, albo jego głębokiemu sądowi w rzeczach politycznych, kiedy się wie, że jego historia była pisana nietylko z wiadomością Zamoyckiego i króla, ale pod ich natchnieniem i dozorem, tak dalece, że Stefan sam własną ręką robił poprawki i dopiski, że cały plan wyprawy na Połock, wszystkie powody, które obrać kazały ten a nie inny, Heidenstein miał sobie udzielony przez króla. Udział Stefana i Zamoyskiego w napisaniu tej książki był tak powszechnie znanym, że u współczesnych uchodził Komentarz o wojnie Moskiewskiej wprost za dzieło Zamoyskiego, i dlatego to podczas Bezkrólewia po Stefanie

zajadłość stronnicza Zborowskich i ich przyjaciół domagała się jako satysfakcyi dla siebie, jako warunku zgody, zakazania i zniszczenia dzieła.

Ale stanowisko samo, choćby najkorzystniejsze, jeszcze nie wystarcza. Górnicki także przepędził całe życie między ludźmi wielkiego znaczenia i wpływu, był także sekretarzem przy królu i także bardzo poważanym, a przecież historyi, choć chciał napisać, nie potrafił. Heidenstein musiał być człowiekiem niezwyklej zdolności i rozumu, kiedy i Zamoyski i Batory zrobili z niego powiernika swoich myśli; tego by nie było, gdyby nie byli uznali w nim prawdziwej politycznej zdolności i wypróbowanego charakteru. Kiedy go używali do spraw wielkiej wagi, mianowicie pruskich (jako tamtejszego obywatela), kiedy jemu powierzono zadanie takie, jak zebrać i uporządkować prawa tej prowincyi (Korrektura pruska jest jego dziełem), musieli widzieć w nim te przymioty, te zdolności polityczne i dyplomatyczne, które im były potrzebne, a których wymagano od sekretarzy, jako od ludzi, którzy pod zarządem ministrów wykonywali praktykę interesów: „doskonałą biegłość w łacinie (jak on sam sekretarza opisuje), znajomość i zamiłowanie nauk wyzwolonych, a zwłaszcza filozofii, znajomość prawa i ojczystego i obcego, a przedewszystkiem rzymskiego, historyi własnej i obcej — a gdy sekretarze częstokroć i do poselstw zagranicznych używani bywają, przeto potrzebna im jest i wielka w prowadzeniu interesów roztropność i ostrożność, którą każdy człowiek polityczny posiadaćby powinien“.

Że Heidenstein miał ten rozum polityczny, ten sąd i ten takt, tego dowodzi jego stanowisko przy Zamoyskim i królu, nawet gdyby nie dowodziła jego książka. Ale oprócz tych przymiotów miał inne jeszcze, na które tamci wpłynąć nie mogli, to zdolność pisarską, dar nie tylko zrozumienia i osądzenia rzeczy, ale i przedstawienia jej, a ten dar posiada on w wysokim stopniu. Z własnego li natchnienia, czy może wiedziony radą i zamiłowaniem Stefana i Zamoyskiego, za wzór wziął sobie komentarze Cezara, to pewna, że na dziele jego najbardziej wykończonem i wypracowanem, na

komentarzu Wojny Moskiewskiej, który napisany jako osobny pamiętnik tej wojny wszedł później jako część w większe dzieło, *Rerum Polonicarum Libri* (i stanowi w nich księgę VII—XII), widoczny jest zamiar pisania na wzór tego historyka, którego Zamoyski uważał za najdoskonalszego ¹⁾.

Ma on nad innymi historykami współczesnymi tę wyższość wielką, że i wszystko wie lepiej jak oni, i wszystko lepiej umie opowiedzieć, opisać. Nie ze wszystkiego co prawda, zdaje sprawę z tą samą dokładnością, ale to z czego sprawę zdaje, to pod jego ręką staje się tak jasnym i zrozumiałym, tak doskonale wytłómaczonym, że nie brakuje niczego. Naprzykład, jest to bardzo rzadkim darem u historyków, którzy najczęściej wojskowymi nie są, żeby umieli dać obraz dokładny i zupełny ruchów i planów strategicznych, a zwłaszcza, żeby tak umieli wytłómaczyć ich powody, żeby nie wojskowy czytelnik zrozumiał je i poznał. Dar ten, bardzo naturalny u Cezara, bardzo zadziwiający i rzadko doskonały u Thiersa, posiada Heidenstein w wysokim stopniu, jego Wojna Moskiewska należy niezawodnie do świetniejszych w historii opisów kampanii; prawda, że jak Thiers miał przystęp do wszystkich źródeł urzędowych, a miał pomoc jakiej tamten nie miał; Napoleon nie czytał historii Thiersa i swoich uwag i rad mu nie dawał, Stefan czytał historię Heidensteina i własną ręką robił poprawki i dodatki. Nie dziwnego zatem, że ta strona strategiczna jest wykonana ze znajomością rzeczy.

Ale jest przymiot ważniejszy i potrzebniejszy dla historyka, jak ten. Opis kampanii lepszy czy gorszy będzie zawsze tylko szczegółem; ale dar i zdolność osądzenia i przedstawienia wypadków ze strony politycznej, stronnictw i ludzi, powodów ich działania, wszystko to, co składa prawdziwy stan kraju i daje prawdziwy obraz społeczeństwa, to jest główny przymiot historyka i główna strona jego zadania.

¹⁾ Oczywiście tylko Wojna Moskiewska należy do czasów Batoro. Reszta dzieła pisana była później. Ale mówimy o całym odrazu, żeby już do tej materji nie wracać.

A ten sąd, ten dar rozumienia i przeniknięcia ludzi i dążności, a zarazem i przedstawienia ich w działaniu, to jest, co w Heidensteinie uderza, co go odróżnia od współczesnych naszych historyków. Wystarczy przeczytać kilka tylko pierwszych jego kartek i porównać je z tem, co o wypadkach tych samych mówią tamci. „Zygmunt August umarł, więc musiała być elekcya; chodziło przez jakiś czas o to, kto ją zwoła, Prymas czy Marszałek, ale się zgodzono; pod Wołą zebrały się Województwa kandydaci byli ci i ci; ich posłowie mówili to lub owo“ — oto wszystko, co o Bezkrólewiu dowiedzieć się można od innych, nie wyjmując nawet Bielskiego, który w przedstawieniu tych wypadków innych przewyższa, a wyjmując jednego chyba tylko Orzelskiego, który choć nie bardzo trafnie i głęboko sądzi, ale za to obfituje w mnóstwo charakterystycznych szczegółów. A zacząwszy tylko czytać pierwszą księgę Heidensteina, widzi się, że to Bezkrólewie to ogromna w polskim państwie rewolucya, ogromny zwrot w życiu i w historyi, widać, że to fakt wielki, którego wielkość pisarz rozumie i opowiada, jak mu przystało, ze wszystkim, co do niego należy, co go poznać i ocenić pozwala.

Zaczyna on swoją rzecz od wytlómaczenia ważności tej rzeczy nowej, jaką było Bezkrólewie, i zaraz maluje stan, w jakim śmierć Zygmunta Augusta zastała Rzpltą i jakie wywołała w nim zamieszanie. Litwa jeszcze nie dobrze z Koroną zrosnięta, jeszcze pamiętna swojej odrębności, Inflanty zagrożone od Szwedów i Moskwy, a jeszcze słabiej z całością złączone; z Prusami wiszące spory o ich prawa, o większą lub mniejszą ich autonomię; dopiero nad tem wszystkim najważniejszy moment w całym położeniu, interes religijny, strona katolicka i protestancka, stanowiąca główny podział stronnictw, punkt, o który zaczęły dopiero wszystkie usiłowania i starania zagraniczne, a głównie austryackie i francuzkie. Następuje potem charakterystyka stosunków Rzpltej ze wszystkimi państwami zagranicznymi, skreślanie ich polityki względem Polski, jej widoków i powodów, a na tle dopiero tak szeroko i mądrze zakreślonym rysuje się

przebieg wypadków, fakta następujące po sobie, dążności i role stronnictw i ludzi, słowem obraz Bezkrólewia najdokładniejszy a przynajmniej najrozumniejszy, najlepiej dający przebieg jego wyrozumień, jaki ktokolwiek ze współczesnych napisał. I z tego nawet nie robiłbym autorowi zarzutu, że mowy posłów zagranicznych przytacza tylko w streszczeniu. Gdyby żył za naszych czasów, byłby je dołączył w notach, jako dokumenta; wtedy tak ściśle rzeczy nie brano, a on czuł, że mowa taka w całej osnowie przerywa ciąg opowiadania i właściwie miejsca w nim mieć nie powinna. Treść zaś podaje bardzo wiernie, a obietnice kandydatów, tudzież punkta pactów Henryka w całej obszerności.

Poselstwo do Paryża, sprawy pozaczynane podczas pobytu Henryka, które nie miały czasu się skończyć, jego ucieczka wreszcie, uzupełniają księgę pierwszą. Jeżeli pierwsze Bezkrólewie opisane było z wielkim talentem historyka i z głębokim sądem polityka, to drugie może go jeszcze tymi przymiotami przewyższa. Za perłę całego dzieła uchodzi powszechnie sześć ksiąg Wojny Moskiewskiej. Nie mając powodu, ani chęci sprzeciwiać się temu zdaniu, przecież można powiedzieć, że obok nich godnie stają opisy Bezkrólewów, zwłaszcza drugiego i trzeciego. Opisane są przez stronnika i powiernika Zamoyskiego, zatem z jego stanowiska, w jego duchu, jak i całe dzieło; może być, że w swoim pojęciu rzeczy, Heidenstein pisząc ze stanowiska stronnictwa, czasem się myli, że jego podanie lub sąd tu i owdzie potrzebuje sprostowania, ale pod względem talentu dziejopisarskiego, Bezkrólewia te są bardzo niepospolite. Zwłaszcza ostatnie, po Stefanie, tak dramatyczne, tak pełne niebezpieczeństw, fakeye wybuchające z podwójną gwałtownością, uszczęśliwione śmiercią króla, który je tłumił, i wichrzące w Rzpltej, prawdziwie jak wichry wypuszczone z jaskini Eola — a po drugiej stronie Zamoyski dźwigający na sobie prawie sam jeden interes publiczny, sam jeden broniący go przeciw tysiącom interesów prywatnych, zwycięztwa wcale niepewny, odnoszący je nieledwie przypadkiem, Zamoyski rzeczywiście wspaniała i dramatyczny w tej chwili

jak nigdy, to w jego opisie wygląda bardzo pięknie, a zarazem bardzo smutno i bardzo nauczająco. Ta elekcya zbrojna, podobna do wojny domowej, nie legalna, przypadkowa, ta sprawa najważniejsza, w której dobrzy jak zli muszą prawo omijać albo je gwałcić, bo bez bezprawia, bez sztuki, bez większego lub mniejszego zamachu stanu skutku żadnego być nie może, co za wróżba dla elekcyi następnych i dla przyszłości Rzpltej, co za wytlómaczenie historii naszego upadku.

Wogóle w całym ciągu książki, nad wszystkim i nad wszystkimi, w wojnie czy w pokoju, w sprawach domowych czy postronnych, górują dwie kolosalne postacie Stefana i Zamoyskiego. Stało się to nie przez podchlebstwo autora, nie przez jego pisarską sztukę, może nawet nie z jego zamiarem, ale samą siłą rzeczy i prawdy. Tak było w rzeczywistości. Gieniusz polityczny, jak gieniusz wojskowy, był w tych dwóch ludziach tylko, jak rzeczywiście u nich skupił się i cały prawie duch polski, myśl państwa, myśl publicznego dobra; najwięksi patryoci jak najdzielniejsi ludzie tych lat, to oni, i za wielką zasługę tylko przeczytać trzeba historykowi, że bez pochwał i podchlebstw umiał tych ludzi przedstawić z ich mądrością i dzielnością, sam mało o niej mówiąc.

Sprawa dla niego najdrażliwsza i do opisania najtrudniejsza, sprawa Zborowskich, należy do najciekawszych ustępów książki i przynosi mu wielki zaszczyt. Wszystko, co na korzyść Zamoyskiego powiedzieć może, jego długą cierpliwość względem Samuela, przestrogi, jakie mu poufnie dawał, wszystko to przypomina, i słusznie, to powinien był zrobić dla samej prawdy. Ale względem strony przeciwnej jest bardzo umiarkowany i delikatny, zwłaszcza względem samego Samuela, o którym widocznie ma to przekonanie, że ze wszystkich braci był najmniej winnym, a fatalny zbieg okoliczności na tym właśnie wymierzył karę. Zaś dalszy ciąg sprawy, sąd na Krzysztofa na sejmie 1585, opowiedziany jest zupełnie obiektywnie, bez uwag ze strony piszącego. Instygator oskarżył go o to i o to, obrońca bronił tak

a tak, świadkowie zeznali to i to, wyrok zapadł ten a ten. Z tego prostego zestawienia faktów czytelnik widzi, że był słuszny, że był za łagodny.

Bitwa pod Byczyną, sprawa Maxymiliana w ogólności (pakta Będzińskie i wyniki z nich negocjacje dyplomatyczne), sprawa niedoszłego przymierza zaczepno-odpornego przeciw Turkom, wyprawa Zamoyskiego na Wołoszczyznę, wojna Inflancka (1600 do 1602), to są jeszcze świetne karty historii Heidensteina, która się kończy na tymże roku; ostatni fakt, jaki opowiada, jest zdanie Chodkiewiczowi dowództwa w Inflantach. I tu, w tej ostatniej części dzieła, można mu słusznie zarzucić, że zbył krótko rzecz takiej wagi jak Unia Brzeska, a powtóre że zbył krótko Zjazd Jędrzejowski i Sejm Inkwizycyjny, wogóle że nie dość kładzie nacisku na nieporozumienia pomiędzy królem a Zamoyskim. Całe jego dzieło dowodzi, że był zbyt mądry na to, żeby się miał być na ważności tych zajść nie poznać. Pada stąd podejrzenie, że dotyka tych spraw zlekka dlatego, że jego ulubiony bohater wygląda w nich mniej korzystnie. I to właśnie usprawiedliwia może najbardziej tę reputację oficjalnego historyka Zamoyskiego, jaką Heidenstein ma poniekąd.

Oficjalny jest on zapewne, jest nawet historykiem rządowym, pisze historię pod natchnieniem króla i ministra, w ich duchu, z ich stanowiska. Czy to ujmuje wartości jego dzieła? Sądzę, że nie: że owszem jest ono ciekawsze, przez to, że mamy w nim zapatrywania tych dwóch ludzi na ówczesną historię i politykę, ich sąd o wypadkach i ludziach, ich jakoby własne zeznania o sobie. Niektórzy mówią, że Heidenstein tak Zamoyskiego kochał i wielbił, iż historią swoją urwał na roku 1602 dlatego, żeby nie opisywać sejmów 1603-go i związku jego z rokoszem Zebrzydowskiego, choć żyjąc do roku 1620 mógł był dociągnąć ją dalej. Jeżeli nawet tak jest, to grzech niewielki, a w porównaniu z wielkimi zasługami historyka niknie on prawie zupełnie.

Jest to z historyków XVI wieku najznakomitszy, obok Długosza jeden prawdziwy historyk tych dawnych wieków.

Formą kronikarz, ale w rzeczy historyk wielkiej zdolności i na wielką skalę, człowiek, który na wypadki patrzy jak mąż stanu, a opowiada je jak bardzo znakomity pisarz. Nowsza szkoła historyczna polska, ta, która zaczęła się od Orzechowskiego, a przetrwała cały wiek XVII, ma w nim tak swój typ i swój szczyt, jak dawna kronika opowiadająca całe dzieje Polski od początków, miała swój w Długoszu. Ona cała była postępem w naszej historyografii, ale jej największą chwałą jest ten pisarz, który jeden z historyków polskich tego wieku jest czemś więcej jak kronikarzem, i wytrzymuje porównanie z współczesnymi historykami zagranicznymi.

Jednego jeszcze wymienić wypada historyka tego czasu: Jest nim Świętosław Orzelski. Należy on do tych historyków, którzy jak Górnicki lub Solikowski piszą nie historią, ale raczej Pamiętniki; a z takich jest niezaprzeczenie najlepszy. Książka jego jest źródłem historycznym niezmiernie obfitem i ważnym, w szczegóły obfitem, aniżeli Heidenstein; bo kiedy tamten, historyk, opowiada tylko to, co ważne, i kreśli obraz wielkimi rysami, to ten, pamiętnikarz, zapisuje wszystko bardzo skrętnie, bardzo dokładnie, a przecież z rozeznanem i wyborem, jego pamiętnik nie jest anegdotyczny, ale zupełnie historyczny. Nie dlatego zaś jedynie uchodzić on może za dopełnienie Heidensteina, że zapisuje mnóstwo okoliczności pomniejszych, które tamten musiał opuszczać: ale dlatego także, że każdy z nich patrzy na te same wypadki z innego punktu i obejmuje wzrokiem inny horyzont. Heidenstein przy królu i Zamoyskim patrzył na wypadki z góry, ze stanowiska politycznego — Orzelski był w tłumie szlachty, niezmiernie lubiony i poważany, znać u niej wiele, ale patrzył na wypadki z tego poziomu, co cała ta szlachta. W sądzie Heidensteina odbija się zawsze myśl mężów stanu, Orzelski wyobraża najeęściej to, co o wypadku tym samym myślała opinia powszechna. Prócz tego Heidenstein jest katolik, Orzelski protestant, różnica ogromna, która w przedstawieniu tych wypadków, w których spory religijne grały tak wielką rolę, odbić się musiała. Dlatego oni razem

składają całość ogromnej wartości, jeden drugiemu służy za kontrolę, niejako za środek sprawdzenia; jeden daje poznać myśl i sąd rządu, drugi opinię narodu o tych samych faktach; jeden świadczy, jak jedna i ta sama sprawa wydawała się katolikom, drugi, jak ona wydawała się protestantom. Z tego względu żałować trzeba, że Orzelski nie ciągnie swoich dziejów tak długo, jak Heidenstein. On kończy na koronacji Batorego, a wyprawy gdańskiej już w całości nie opowiada; zdaje się, że nie miał nawet innego zamiaru, tylko opisać dwa Bezkrólewia.

Te opowiada tak szczegółowo, jak żaden, i z tego względu jako źródło jest nieoceniony. Jest przytem bardzo ciekawy i zajmujący, tak dla rzeczy, które opowiada, jak dla własnego charakterystycznego sposobu widzenia ich i sądzenia. Ale choć uzupełnia Heidensteina, to mu nie dorównywa. Nie ma ani tej zdolności pisarskiej, ani tego głębokiego sądu, tego wzroku polityka, jaki ma tamten. Jeden jest najznakomitszym, jedynym zupełnie znakomitym historykiem naszym z tego wieku, drugi tylko jego najlepszym i najważniejszym pamiętnikarzem.

Zobaczmy teraz inny typ historyka.

Aż do Kromera (włącznie) wszyscy nasi kronikarze trzymają się w granicach tych samych zawsze faktów i wiadomości, jeden różni się od drugiego lub go poprawiać i prostować usiłuje w niektórych szczegółach tylko, ale ogółem wzięwszy, opowiadają zawsze to samo, zakres ich wiadomości nie rozszerza się wcale; więcej jak to, co podał Długosz, dowiedzieć się i powiedzieć nie usiłują, nie czują tej potrzeby. Pomału jednak zaczyna się budzić jakaś historyczna i krytyczna ciekawość, chęć dowiedzenia się czegoś więcej i pewniej, mianowicie pewna dążność do zbadania i opisanania pierwotnej, przedchrześcijańskiej przeszłości narodu. Kronika zostaje czem była, czem ją zrobił Długosz, zaczyna od Lecha a dociąga swoje opowiadanie do Henryka lub Stefana; ale zmienia się o tyle, że kronikarz, opowiadając czasy historyczne za drugimi tylko, krótko, pobieżnie, podejmuje na własną rękę ciężką pracę zbadania i wyjaśnie-

nia początkowych dziejów, i to uważa za główną część i główną zaletę swojej pracy. Rezultat jej jest najczęściej bardzo mały, bardzo blady, niekiedy śmieszny; w ich naukowem i krytycznem badaniu, nauki i krytyki jest bardzo mało. Ale chociaż w tych rzeczach dobra chęć nie staje za uczynek, przecież sama chęć jest ciekawym symptomatem; dowodzi, że pojęcie historyi zaczęło się zmieniać, rozszerzać, a te pierwsze prace, choć nie doprowadziły do wielkich naukowych odkryć i nabytków, przecież godne są wzmianki, bo otwierały historyografii nowe pole, wskazywały jej nowe, potrzebne, a dotąd zaniedbane kierunki.

Pomiędzy takimi tedy kronikarzami, którzy mają pewne zachcenia krytycyzmu i badania, stoi, jako najciekawsza w swoim rodzaju figura, jako zabawny i dziwny oryginał historyograf, Strykowski. Do czego właściwie natura stworzyła tego człowieka? Było w nim mnóstwo różnych gustów, pociągów, usposobień, może nawet zdolności. Przedewszystkiem była żywa wyobraźnia i wielka ciekawość, pewien gust do przygód i awantur, chęć niezwykła do poznania świata i jego strony zajmującej, malowniczej. Wypadki jego życia dogodziły tej jego skłonności. Czego tam nie ma w tem życiu? Przygody wojenne, niebezpieczeństwa przypadkowe, z których wychodzi prawie cudem, dalekie, a w owym czasie trudne podróże; i wtedy dopiero jest szczęśliwy, kiedy przedarłszy się z trudem przez Bałkany, zobaczył świat inny; ludzie, ich stroje, ich obyczaje, ziemia, drzewa, zwierzęta, wszystko to inne jak w jego ojczyźnie, wszystko nowe, i wszystko zajmuje go niesłychanie i budzi jego ciekawość tak, że cieszy się na myśl, że korsarze wezmą go do niewoli, bo to da mu sposobność poznania kraju, którego jeszcze nie widział, Azji Mniejszej, i żałuje bardzo, że go ta sposobność ominęła. Otóż ta żywość wyobraźni i ta ciekawość zapalona i namiętna mogły go zrobić jakimś wielkim podróżnikiem; gdyby był Anglikiem, Hiszpanem albo Holendrem, byłby może odkrywał jakieś nieznanne wyspy na morzach Nowego Świata; w naszym wieku puszczałby się na podróże około świata, albo do źródeł Nilu, albo do północ-

nego bieguna. A miał jeszcze jeden talent podróżnikowi takiemu bardzo przydatny, umiał rysować. To wszystko kwalifikowało go na geografa, naturalistę. Obok tego, jego kronika dowodzi, że miał usposobienie na pisarza romansów i powieści. Ta sama żywość wyobraźni, która kazała mu żałować, że się nie dostał do Azji, choćby kosztem niewoli na korsarskiej galerze, ta sama sprawiała, że w historii szukał i lubił przedewszystkiem to, co dramatyczne i efektowe, jakieś straszne kollizye i zbrodnie, morderstwa, truczizny, zemsty, zdrady, w jakie obfituje historia kniazioń litewskich, aż do chrztu Jagiełły, to on opowiada z największym upodobaniem; w naszym wieku z pewnością nie byłby pisał historii Litwy, tylko romanse na tej historii osnute. Jest w nim nawet pewien zakrój na poetę; kronikę swoją przeplata wierszami, a te wiersze nie są gorsze od wielu, które nasze historye literatury nazywają dobrymi; kiedy opisuje wierszem jaką bitwę naprzykład, przypomina on późniejszego Samuela Twardowskiego.

Co w nim dopiero dziwne, to, że z tem usposobieniem wziął się do historii z największym zapalem, i nie bez talentu, nie bez poczucia tego, czem historyk być powinien. Naprzykład, on rozumie potrzebę gruntowności, sumiennego badania; otacza się wszystkimi źródłami, o jakich tylko słyszał, ma ich tyle „żeby ich na dobrą furę nie zabrał“. Nie umie ich ocenić, osądzić, przebrakować, ale wszystkie wertuje i wszystkie cytuje. Przez tę precyzyjność i ten prawdziwy zapal do historii, może byłby mógł zostać historykiem prawdziwym, ale na przeszkodzie stały mu dwie rzeczy. Pierwsza, wyobraźnia, to coś poetycznego, co było w jego głowie. Cóżby on miał chodzić drogami, przez innych utartymi i zajmować się historią polską, Bolesławem, Kazimierzem, Zygmuntem, o których już wszyscy pisali! To oklepane; jemu potrzeba czegoś nowego, jakiegoś przedmiotu, nietkniętego ręką ludzką, pola dziewiczego jeszcze, na którym możnaby robić odkrycia nowe, niespodziewane, zadziwiające. Fantazyja kazała mu takich rzeczy szukać w historii dawnej Litwy, a że przy tym zapale do odkryć, przy

tym dylettantyzmie krytycznym i archeologicznym, nie było nauki prawdziwej i gruntownej — drugi powód, dla którego historykiem poważnym nie został —, więc i nagromadzona „fura“ źródeł nie pomogła, a historyk, zajęty tylko tą myślą odkryć, myślą odtworzenia przeszłości, pragnący namiętnie złożyć jej całość, a posługujący się w tej czynności głównie fantazyą, wyobraźnią, pomimo swojej tendencji badawczej i krytycznej, pomimo tego instynktu sumienności, jaki ma, pomieszał wszystkie źródła, pogwałcił chronologię, poplątał fakta z przypuszczeniami, uzupełnił je własnymi śmiałościami wnioskami, i złożył z tego tą dziwną fantastyczną historję, „Która nigdy przedtem świata nie widziała, Kronika Polską, Litewską, Żmudzką, i wszystkiej Rusi“ (1582).

Źródła, z których czerpał, a których spis podaje na początku kroniki, dochodzą imponującej liczby stu kilkudziesięciu; nadto, jak sam świadczy, nie przestał na źródłach pisanych, ale zbierał podania o dawnej Litwie, jakie się w pieśniach i legendach ludu zachowały. Praca istotnie *zawrotogłowa*, jak się w przedmowie autor chwali; tylko że uczeni dzisiejsi twierdzą, może ona zawrócić głowę nie samym swoim ogromem tylko, ale i swoją treścią, bałamutną mieszaniną prawdy i fałszu, fantastyczną chronologią, wymysłami, którymi autor zapelnia luki pomiędzy wypadkami znanymi, byleby ciąg i całość ułożyć; wszystko to jest tak widoczne, że kronika Strykowskiego nikogo nawet złudzić nie może, jego świadectwo jest tak oczywiście podejrzanę, że nikt nie będzie śmiał odwoływać się na niego bez zastrzeżeń i wątpliwości; a to najgorsze, że w tym oceanie nieprawdy i wymysłów trafiają się i pewne podania prawdziwe, informacje bardzo szacowne, a odróżnić jedne od drugich, rozgatkować, jest bardzo trudno, i dla mnóstwa przymieszanej nieprawdy, prawda sama idzie w podejrzenie.

Że zaczyna od Stworzenia Świata, to się ma roznieść. Historyk gruntowny powinien wywieść dzieje od samego początku. Podaje więc całą genealogię od Adama do Noego, a od Jafeta syna Noego już prosto, jasno i z niewąt-

pliwą pewnością, wywodzi rodowód Litwy. Jafet zrodził Gomera, Gomer Askanesa, od tego aż do Tuiskona protoplasty Niemców: a od drugiego brata Togormy idą znowu Gotowie, Alani, Pieczyngowie, Połowcy, Gepidowie, Heneci, i ci wszyscy siedzieli nad morzem Bałtykiem czyli Wenedykiem, i byli przodkami Litwy. Ale jednego razu morze zalało ich srogim potopem, a tego się uląkłszy, wyszli wszyscy razem na południe. Ta ich wędrówka, znana historykom rzymskim pod nazwą wtargnienia Cymbrów, zakończyła się zwycięstwem Mariusza. Niedobitki zostały we Włoszech; aż później jeden z nich, znaczny jakiś pan, którego Florus zowie Publiuszem Libonem a Latopiscy litewscy Palemonem, w wojnie domowej między Cezarem a Pompejusem „trzymał się Pompejusowej strony“, w skutku czego po przegranej uchościć musiał, chroniąc się zemsty Cezara „a iż bliżej Włoch nie mógł być bezpieczny w żadnej prowincyi, puścił się dalej na morze z kilkumnaście okrętów, od ujścia Tybru albo od Pizy“ i przypłynął do Żmudzi.

A jako z Eneaszem z Troi tak też z Palemonem z Włoch do Litwy przyszło do 500 szlachty, a przedniejsze między nimi były cztery familie z herbu Columnów, Ursinów, i t. d. Tego tylko z pewnością wiedzieć nie można, czy się to stało za Jul. Cezara, czy za Nerona; bo niektórzy latopisce twierdzą, że przed jego to prześladowaniem ucickał Palemon. Dość, że przyszedł z Włoch, rozgospodarował się w Litwie za zgodą Alanów, którzy ją wtedy zamieszkiwali, rozdał różne siedziby między swoich towarzyszy, i nazwał ten kraj, od swojej dawnej ojczyzny Italią; a że jako Włosi dodawali do imion artykuł „La“, przeto z tego imienia La Italia, ściągniętego razem w prędkim wymawianiu, zrobiło się z czasem Lituania, a znowu z czasem Litwa.

Cała ta historia o Palemonie, ta miła niepewność, czy on przyszedł za Cezara, czy za Nerona, te herby jego towarzyszków, wszystko to daje miarę krytyki Strykowskiego. Nie zastanowił się nawet nad tem, że Palemon i jego towarzysze mówili po łacinie nie po włosku, więc bez artykułu *La*; ani nad tem, że Colonnów i Ursinów za Cezara ani za

Nerona nie było. Po takim początku oczywiście cała jego historia musi się wydać podejrzanym zbiorem najdziwniejszych baśni. I na nieszczęście baśnią być nie przestaje i dalej, kiedy autor zbliża się do czasów już lepiej znanych i pewniejszych. Synowie Palemona Borkus (Porcius) Kunas, Spera i Dorsprungus rozradzają się w Litwie, ztąd powstają różne drobne księstwa, a od tych wywodzi Strykowski książąt litewskich nieprzerwanym rodowodem aż do Gedymina.

Historia litewska przeplatana jest ruską, (Ruś znowu pochodzi od syna Jafetowego Mosacha, który dał swoje imię Moskwie), a ta równie jak tamta wiarogodna. O początkowych dziejach Polski najmniej. Krótko wspomniana historia o postrzyżynach i chrzcie Mieczysława, a właściwie o rzeczach polskich, mówić zaczyna dopiero, odkąd dzieje Rusi płaczą się z polskimi, to jest od Bolesława; i to zawsze tak, że historia Litwy lub Rusi jest główną, a o polskiej mówi się tyle tylko, ile koniecznie potrzeba do wyjaśnienia tantych. I tak do końca; po Jagielle nawet, kiedy historia Polski i Litwy stała się jedną i tą samą, zawsze na pierwszym planie są sprawy, obchodzące Litwę i jej dotyczące, a nie sprawy Rzpltej całej. Tym sposobem doprowadza on swoją historję aż do roku 1582.

Jego chronologia jest zdaniem historyków najfałszywsza, jaka być może, genealogia książąt litewskich już w czasach historycznych, powikłana i mylna, rzecz sama pisana z wyraźnem przedsięwzięciem, żeby napisać historję całkowitą, nie historję prawdziwą, ztąd niezliczone umyślne przemilezania i naciągania; a przecież ci sami uczeni przyznają mu zasługę, przecież historia Litwy, pomimo Palemona i wszystkich innych baśni w znacznej części na nim się opiera. W czem leży ta jego zasługa i względna wartość? Oto w tem, że choć źródeł swoich przebrakować nie umiał, ani kontrolować, to miał ich wiele, i dziś już zaginionych, mianowicie stare latopisy litewskie i inflanckie, że zapisał o dziejach, obyczajach, pojęciach religijnych dawnej Litwy wiele rzeczy, które z ludowej tradycyi pochwytał i od zapomnienia uratował. Nie Gwagnin tylko okradł Strykow-

skiego, ale późniejsi historycy Litwy (Kojałowicz), na nim się opierają. Ma on więc swoją ważność nawet dla historyi; a dla zwykłego czytelnika ma pewien urok ciekawości; fantastyczna historia, w której genealogia synów Noego łączy się z przygodami Palemona, a bratobójstwa i inne zbrodnie książąt litewskich z przygodami życia i podróży autora, z wierszami, daje się przyjemnie i z zajęciem przerzucać. W historyi naszego dziejopisarstwa zaś pozostanie Strykowski jako ciekawa i oryginalna figura, jako szczególny *specimen* historyka, który chce być gruntownym, krytycznym, dokładnym, przerzuca wszystkie możliwe źródła, a spisuje największe fałszy i baśnie: jako osobliwsze połączenie zachcenia krytyki, z zupełnem niedoświadczeniem i z brakiem zmysłu krytycznego.

„Wjazd króla Henryka do Krakowa“ suche opisanie tej uroczystości, Goniec Cnoty, traktat moralny, w którym autor dowodzi przedewszystkiem, że prawdziwe szlachectwo zasadza się na cnocie nie na urodzeniu, wywód królów polskich, i „Wywód krótki sławnego narodu Litewskiego“ (powtórzenie tego, co było w kronice), wszystko wierszem, nie odznacza się niczem; a inne jego pisma, które byłyby zapewne ciekawsze i ważniejsze, jak Opisanie Turcyi Europejskiej, Historia Zygmunta Augusta, i t. d. albo zostały w rękopiśmie, albo zaginęły.

Jednak ten zwrot do początku dziejów polskich, ta chęć dojścia prawdy, raczej chęć złożenia nieprzerwanego ich pasma od najdawniejszych czasów, musiały nie być rzeczą zupełnie przypadkową i wyjątkową, skoro obok Strykowskiego zjawia się kronikarz drugi, który podobnie jak on, chce rekonstruować początkową historję, ale nie Litwy już ani Rusi, tylko Polski.

Jest to Sarnicki (1582), kronikarz także, i kronikarz jeden z najsuchszych, najuboższych. Całą historję Polski chrześcijańskiej przepisuje ze swoich poprzedników, a przepisuje w wyciągach bardzo krótkich i niedostatecznych. Cała historia dwóch ostatnich Jagiellonów i Stefana, mieści się na kilku kartkach, i jest wyliczeniem niektórych tylko fak-

tów, a jedna tylko rzecz zasługuje w niej na uwagę, to wiadomość dość obszerna o Rzpltej Babińskiej. Ale za to ma inną zasługę, daleko większą, z której się niepospolicie przechwala w przedmowie, a nawet dziwi się i skarży, że niewdzięczna Rzplta tej jego zasługi nie wynagrodziła dotąd, prosi natarczywie, żeby to zapomnienie naprawiła, oto pomnożył jej dzieje o całą trzecią część, wywiódł je od Assarmota jasno i niewątpliwie, tak, że z jego łaski mamy już całą historję polską, od Stefana w górę aż do Noego.

W przedmowie tej, do Senatu, w której przestrzega usilnie przed niebezpieczeństwem Bezkrólewia, powiada, że jak „Medea rozproszone członki Jasona, tak on rozproszone wiadomości o początkach narodu polskiego własnymi rękami zebrał i w całość złożył. Wprawdzie nie udało mu się spisać całego szeregu monarchów polskich od Assarmota, bo liczne wędrówki tych ludów sprawiły, że nie jedno imię królewskie zaginęło, i przerwy nieszczeniściem być muszą; ale zawsze dowiódł, żeśmy na tej ziemi nie przybysze, lecz rodowici pierwotni mieszkańcy, a historję naszą opowiedział nam nie od Lecha tylko (jak Długosz n. p.), ale przez cały ciąg czterech monarchij starożytnych, aż do Noego i wieży Babel.

Sam miał syna Jaktana, Jaktan Assarmota, a samo podobieństwo nazwisk dowodzi, że od tego pochodzą Sarmaci. Na tem podobieństwie opiera się cała jego historia; co robiło i gdzie było potomstwo tego Assarmota, czyli Polacy, za Nemroda, Ninusa, Semiramidy, Abrahama, Mojżesza, Dawida, Cyrusa, aż do rzymskich czasów, wszystkiego tego od niego dowiedzieć się możemy; a treść tego jest, że mieszkaliśmy na tej samej ziemi od najdawniejszych czasów, nazywaliśmy się Gotami lub Wenedami, co jest to samo co Gotowie i Wandalowie, i pomściliśmy na Rzymie krzywdy całego świata (bo fałsz, żeby Gotowie mieli cokolwiek wspólnego z Niemcami). Potem znów pobici przez Belizaryusza, jedni z nas Wandalów, przeszli do Afryki i Sarmatami być przestali, a drudzy z Lechem na czele wrócili do dawnej ojczyzny.

Odtąd już wszystko wiadome, autor powtarza tylko rzeczy znane i pewne, do Mieczysława jeszcze cokolwiek obszerniej, potem coraz krócej; jego missya jest spełniona, wysłedził dzieje Polski aż do początku świata.

Do tego dodana jest jak żeby mała Geografia, *Descriptio Veteris et Novae Poloniae*, alfabetyczny spis różnych miejsc, z oznaczeniem stopnia pod którym leżą, do niektórych dodany krótki opis lub historyczna wiadomość.

Sarnicki jak Strykowski i ich „krytyczne wstępy do Dziejów Polski“, wydają nam się dziś tylko śmieszni. Jednak nie mamy prawa bardzo im przymawiać, skoro pewności i prawdy pod tym względem sami nie mamy. Nasze hipotezy są zapewne podobniejsze do prawdy, oparte na jakichś przypuszczeniach więcej naukowych, ale któż wie co o naszych wiadomościach powiedzą ludzie za lat trzysta? W każdym razie nie można tego lekceważyć, owszem, trzeba im mieć za zasługę, że w tę stronę zwrócili swoje usiłowania, że uczuli potrzebę zbadania początkowych dziejów Polski.

Pomiędzy historykami wreszcie wspomnieć trzeba dzieło, które historią nie jest, które owszem często jest bajką, ale które przecież do historii należy i jest jej pomocnikiem choć ubocznym źródłem: o Herbarzach Paprockiego. Czy były jakie przed nim spisy rodzin szlacheckich i ich dziejów? Domyślają się niektórzy, że jakieś być musiały, że on z nich czerpał; przecież oprócz tych wiadomości, jakie podaje Długosz o niektórych polskich rodzinach, i które Paprocki sam przytacza z oznaczeniem Długosza, jako źródła, nikt innych spisów nazwać nie umie. Jeżeli więc były, to zaginęły tak zupełnie, że o nich dziś nie zgola nie wiemy: i mamy co najwięcej tylko prawdopodobieństwo, że heraldyk XVI wieku musiał mieć do swojej pracy jakąś pomoc. Bo kroniki mówiły tylko o ludziach, którzy coś znaczyli i robili, choćby nie wiele, w historii, z nich genealogii ani historii rodziny on złożyć nie mógł. W domowych legendach i tradycjach, choćby ich był znał bardzo wiele, mógł znaleźć wiele pomocy, ale trudno przypuścić, żeby był zbierał tradycje lub widział dokumenta i papiery familijne całego tego mnóstwa

rodzin szlacheckich, o których pisze. Że wiele ludzi i rodzin znał, że wiele mógł rozpytywać i pamiętać, wiele dokumentów widzieć, to łatwo można przypuścić; że po całej Polsce jeździł, szukając materyałów do swego dzieła, to wiadomo. Przecież trudno sobie wyobrazić, żeby o tych tysiącach rodzin był wiedział wszystko z powieści ludzkiej albo z dokumentów. Z drugiej strony znowu, jakkolwiek może być u niego wiele domysłu i niedokładności, to znowu przypuścić nie można, żeby był wszystko robił na domysł; owszem on układał Herbarz z zamiarem wielkiej dokładności; zatem, trzeba znowu przypuszczać, że gdzie mu zabrakło wiadomości z kronik, z dokumentów familijnych lub z tradycyi, tam on nie wymyślał czysto ze swojej głowy, ale zkądsi czerpać musiał. Ztąd wniosek, że przed nim jakieś spisy i genealogie rodzin szlacheckich być musiały.

Wniosek, który ma za sobą powagę Wiszniewskiego, ale który przecież jest tylko hipotezą. Jakkolwiek bądź: czy Paprocki miał pod ręką jakie gotowe herbarze i wywody genealogiczne, czy nie, to pewna, że dziś musi on uchodzić za pierwszego heraldyka polskiego, skoro poprzedników nie znamy; a jeżeli nawet byli poprzednicy, to w każdym razie jego herbarz jest pierwszym rozwiniętym, pierwszym tak wykształconym i na taką skalę ułożonym. Bardzo jest trafna uwaga Wiszniewskiego, że pojawienie się tego pierwszego Herbarza, zbioru genealogij szlacheckich i historii rodzin, wypada na tę chwilę, kiedy stan rycerski rozwinał się do całej swojej potęgi, i wtedy zapragnął poznać się także w swojej przeszłości, widzieć ją spisana i uratowaną od zapomnienia. Czy to było życzenie powszechne i wypowiedziane, i czy ono wyprzedziło Herbarz, czy też heraldyk instynktem tylko odpowiedział tej potrzebie społeczeństwa, wśród którego żył, w każdym razie, stanowcze zwycięstwo i ukonstytuowanie się Rzeczypospolitej szlacheckiej i Herby Rycerstwa, w charakterystyczny sposób schodzą się z sobą co do czasu i dobrze sobie odpowiadają, uzupełniają się nawzajem.

Nie ma co powtarzać rzeczy tak znanych, jak to, że są dwa Herbarze Paprockiego, z których drugi, obszerniej-

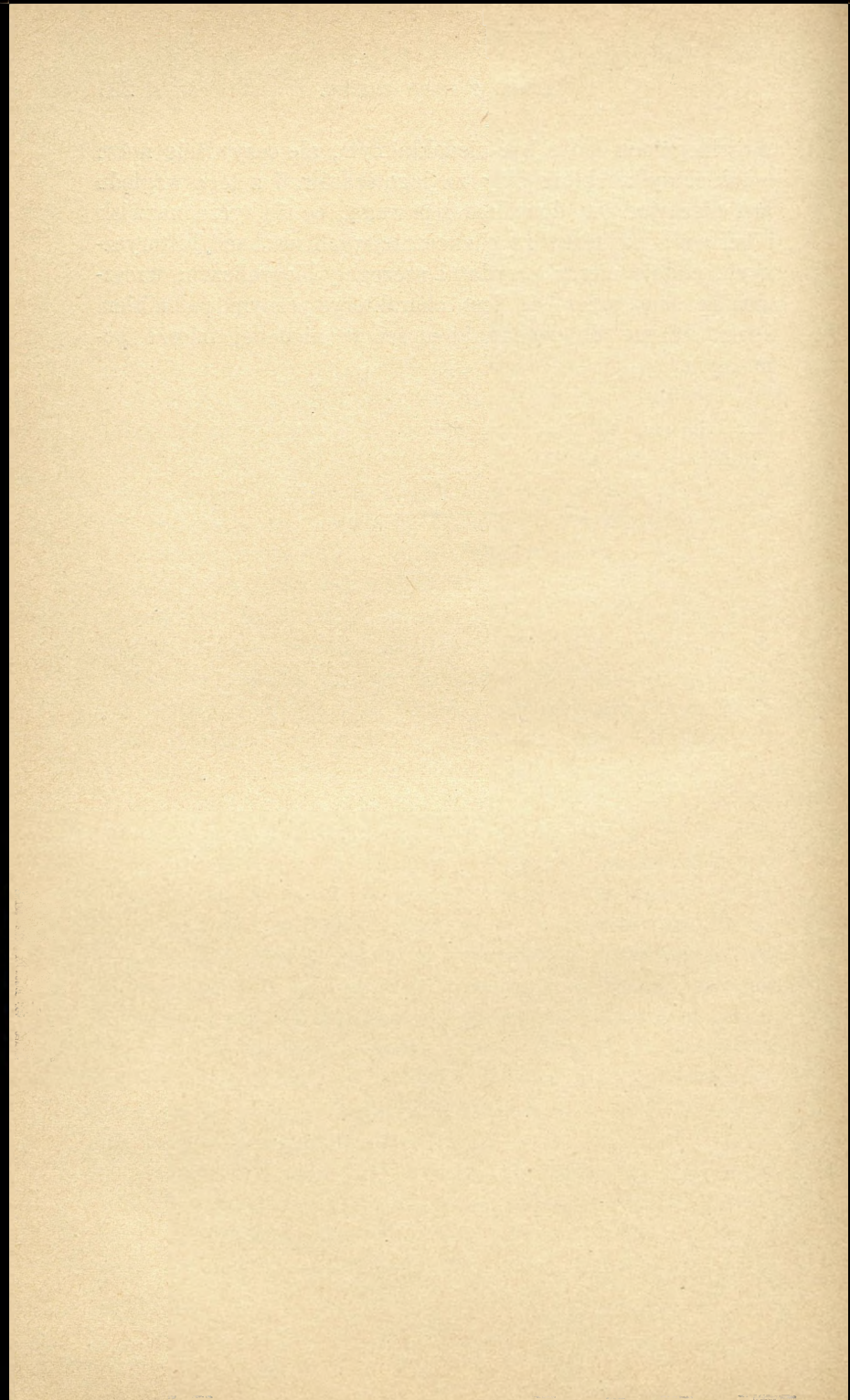
szy, Herby Rycerstwa (1584) jest tylko rozwinięciem pierwszego, Gniazda Cnoty (1578); że tu i układ jest lepszy, i więcej wiadomości o osobach, i więcej różnych szczegółów, i wywody genealogiczne, jeżeli nie dokładniejsze, to przynajmniej bardziej uzupełnione. I o tem także nie ma co mówić, że genealogie te są niedokładne; jest to rzecz wiadoma, prostowali Paprockiego heraldycy następni, jak sami sprostowania potrzebują, a nadto, jest to rzecz zupełnie naturalna. Zdaje się rzeczą wprost niemożliwą, żeby kiedykolwiek i gdziekolwiek na świecie mógł być Herbarz dokładny, wywód genealogiczny niezmylony i na wiarogodnych dokumentach oparty. Wyobraźmy sobie, że chodzi o taki wywód dla jednej tylko rodziny; przypuśćmy, jaknajwiększą zechcemy obfitość dokumentów i papierów, to przecież niepodobieństwo jest, żeby znalazły się w nich niewątpliwe ślady całego nieprzerwanego szeregu pokoleń. Co najwięcej, dałoby się to uwierzyć, o rodzinach panujących, bo zawsze mniej więcej, ludzie wiedzieli i zapisywali, z kim się ten lub ów król ożenił i jakie miał dzieci; dla rodzin prywatnych jest to niepodobieństwem, nawet dla feudalnej szlachty zagranicznej, choć tam od dawnych wieków zwracano na to uwagę, choć liczba tej szlachty nie była tak wielka jak naszej. Cóż dopiero u nas, gdzie oprócz wielkiej liczby rodzin senatorskich, nazwisk wspominanych w historii, były tysiące i tysiące rodzin szlacheckich; gdzie o dokumentach i ich przechowywaniu nie bardzo myślano, gdzie w napadach tatarskich mnóstwo ich poginać musiało, gdzie w całej długiej epoce podziału Polski, aż do zjednoczenia jej pod Łokietkiem, sam wątek dziejów Rzpltej ledwo z trudnością da się odszukać i schwycić, cóż tu mówić o pasmie genealogii lub dziejów rodzinnych? A do tego jeszcze dodajmy, że u nas bardzo późno powstały i ustaliły się nazwiska rodzinne, że w dawniejszych wiekach one się często zmieniały, a nie będziemy się dziwić Paprockiemu, jeżeli jego Herbarz nie jest dokładnym, owszem, dziwiłoby się raczej można Herbarzowi polskiemu, któryby dokładnym być zdołał; zwłaszcza co do czasów dawniejszych.

Inna rzecz, czy Paprocki w tem co pisze o współczesnych, był tak dokładnym jak być mógł. I tu zarzucają mu wiele fałszu, a co gorzej, bo od fałszów przypadkowych ustrzedz się w tych rzeczach trudno, zarzucają mu nierzetelność umyślną, naciąganie, przekręcanie, podchlebstwa, nawet przedajność. Jest o nim mniemanie, że za pieniądze gotów był dogadzać różnym próżnościom ludzkim, i dorabiać szumne genealogie nie jednemu, kto za to zapłacił, czysto z własnego wymysłu. Czy tak jest? Trzebaby samemu być heraldykiem i mieć w rękę dowody i dokumenta, żeby go złapać na uczynku; przecież rzecz jest bardzo prawdopodobna. Naprzód, było to zupełnie w zwyczajach wieku; kto żył, wywodził się z wielkich przodków; we Włoszech, gdzie było więcej erudycyi a mniej łatwowierności, jak u nas, uchodziły wymysły tak widoczne i niezgrabne, jak te, które wywodziły Estów od Herkulesa, Sforzów od Eneasza, Caetanich od jego mamki, Massimich od Fabiusza Max. i t. p. Widząc to, można jeszcze dziękować Paprockiemu, że był tak umiarkowanym, i że szlachty polskiej nie wiąże z bogami greckimi, ani nawet z rycerzami wojen krzyżowych. Być może, że gdyby u nas była podówczas istniała jakaś linia demarkacyjna, pomiędzy szlacheństwem starem i nowem, jaką we Francyi stanowiły wojny krzyżowe, a już co najwięcej wiek XIII, to jaki taki byłby chciał początek swojej rodziny widzieć po za tą granicą, a heraldyk byłby genealogią ciągnął i naciągał, ażby ją do żadanego punktu dociągnął. Ale takiego punktu szlachta polska nie znała, a więc i genealog nie potrzebował zbytecznie naciągać, zmyślać i fanfaronować. Że zaś zupełnie rzetelnym i prawdomównym nie był, że naciągał, może nawet naciągał za pieniądze, o tem z pewnością nie wiedząc, można przecież przypuszczać łatwo, znając Paprockiego z kądinąd, jako człowieka nie bardzo skrupulatnej uczciwości.

Ale jeżeli tyle jest w jego Herbarzu błędów, jakaż i z kąd ta wartość, którą mu przypisujemy? Jest ona dwójaka. Historyczna naprzód, która polega w tem, że on podaje wiadomość o mnóstwie rodzin i o mnóstwie osób, że

w szczegółach może być niedokładnym, ale oczywiście mówi o takich tylko, które były za jego czasów, i z tego względu jest niezawodnym dowodem i powagą, co się tyczy nazwisk i herbów; powtóre, że o znaczniejszych osobach historycznych, podaje nieraz przydatne szczegóły biograficzne; wreszcie, że sam przez się jest charakterystycznym pomnikiem swego czasu, do jego znajomości w niemałej mierze pomocnym.

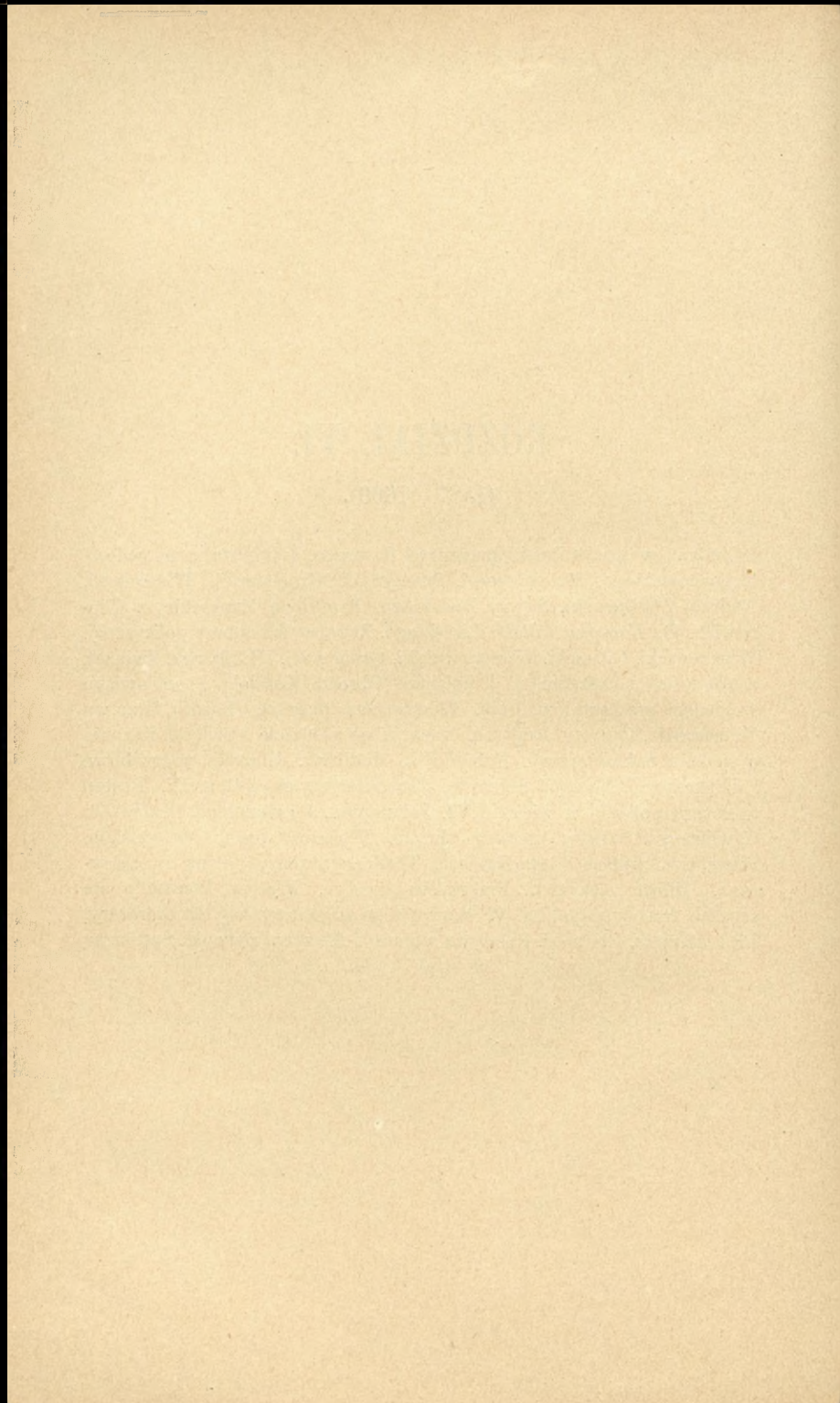




ROZDZIAŁ VI.

(1587—1600).

I. Zmiana w stanie Polski po śmierci Batorego, w literaturze po śmierci Kochanowskiego. Mniejsi poeci. Szarzyński. Grochowski. Wiśniowski. Andrzej Zbylitowski. Satyry Bielskiego. Paszkwile Paprockiego. Kłownicz. II. *Kronika Polska* Bielskiego. Zwrot w literaturze politycznej. Warszewicki. Górnicki. Wereszczyński. Grabowski. III. Skarga. Związek z kościołem powszechnym i polskim. Obrona Kościoła i stanowisko względem protestantów. Unia. Wewnętrzna poprawa Polski. Bractwo Miłosierdzia. Żywoty świętych. Kazania na niedziele i święta. Kazania o siedmiu Sakramentach. Pobudki do Modlitwy. Kazania pogrzebowe i dziękczynne. Kazania Sejmowe. Charakterystyka ogólna. IV. Postęp literatury polskiej w wieku XVI. Jej stopień. Jej znamiona. Uczciwość. Cywilizacya. Wpływ literatur obcych. Wyższość prozy nad poezją. Pierwiastki własne i oryginalność. Tendencya patryotyczna i praktyczna. Miłość ojczyzny. Przewidywanie upadku. Wzrost literatury ale schyłek Rzeczypospolitej. W skutku tego stopniowy schyłek literatury. Brak starania. Bierność. Fałszywa wolność i fałszywa równość. Spuścizna na wiek XVII.



I.

Zmiana w stanie Polski po śmierci Batorego, w literaturze po śmierci Kochanowskiego. Mniejsi poeci. Szarzyński. Grochowski. Wiśniowski. Andrzej Zbylitowski. Satyry Bielskiego. Paszkwile Paprockiego. Klonowicz.

Kiedy ubył król Stefan, kiedy ubył Kochanowski, musiała w stanie Polski i w jej literaturze zajść zmiana taka, że te lata 1586, 1584, można uważać za koniec jednego okresu, a początek innego.

W historyi zmiana jest głębsza, smutniejsza, i odrazu widoczna. Podwójna elekeya, w jej skutku wojna; a ta, choć zwycięstwem lepszej sprawy zakończona, była oczywistym skutkiem i znakiem, że proces wewnętrzznego rozprzężenia nie powstrzymał się ale postępował. Na tronie zamiast Stefana, Zygmunt III, z tą naturą zamkniętą w sobie, która mu odstręczała umysły i serca poddanych; nie bez myśli i zasad, ale te były raczej doktryną niż polityką; ze stałym przywiązaniem do tych myśli i zasad, ale w tej stałości uporu więcej niż woli; a brak i zdolności pozyskania drugich dla swojej myśli, i siły, żeby tę myśl narzucić i wykonać. Z tych zasad szczerze wyznawanych ale niezręcznie praktykowanych, z tego uporu przy swoim, wynikają nieszczęścia jego panowania: Wojny szwedzkie, mileżąca zgoda, jeżeli nie pozwolenie na wyprawę moskiewską z Dymitrem, powód wojen i klęsk późniejszych, i ta polityka austriacka, która króla wiedzie do układów z cesarzem o polską koronę, przez to musi naród od króla odwrócić, i sprowadza Sejm Inkwizycyjny

w dalszem następstwie rokosz Zebrzydowskiego. Ten sejm był upokorzeniem króla, z pod którego jego powaga trudno się już mogła podnieść; rokosz, a właściwie jego koniec, materyalne zwycięztwo króla, ale moralny tryumf i bezkarność rokoszu, to było ubezwładnienie korony, z którego się ona już nie podniosła. Smutny więc jest ten schyłek XVI wieku w historyi. Słońce zaszło; nastął zmierzch, który mógł być się rozproszyć, była niejedna po temu sposobność, ale się nie rozszedł tylko ciemniał i ciemniał, aż skończył się nocą.

Widok literatury nie tak smutny; owszem zrazu zda się jak żeby wszystko zostawało jak było. Jeden człowiek umarł, darmo, każdy umrzeć musi; ale jest innych wielu, i znakomitych. Najwięksi, najświetniejsi, przeciągają swój żywot w wiek następny, Skarga, Heidenstein, Górnicki; a młodszy i mniejszy, którzy zawód swój za króla Stefana zaczęli, długo jeszcze będą żyli i pisali. Piszą zaś i myślą, tak jak myślano i pisano dotąd, tak, że schyłek wieku zdaje się niezem nie różnić od jego trzeciej ćwierci, przejście z XVI w XVII jest łagodne i prawie nieznaczące. Nawet w poezyi na pozór różnica nie wielka. Zabrakło jednego wielkiego, ale za to zjawiają się mniejszy w liczbie większej niż dotąd, a między nimi pokażą się i niezwykle niezaprzeczone talenta, jak Szymonowicz.

A jednak różnica jest; współcześni może jej nie dostrzegali, ale my potomni nie możemy jej nie widzieć i nie przyznać. Jest przynajmniej bardzo widoczna właśnie w poezyi. Ilość nie zastąpi jakości; a kiedy po śmierci jednego poety, inni nie idą naprzód, nie wznoszą wyżej swoich natchnień i swojej sztuki, nie rozszerzają widnokręgu swojej myśli, nie próbują się w nowych formach, to znak niemylny, że przyszedł na poezję jakiś zastój, z którego jeżeli się nie otrząśnie, zacznie stopniowo chylić się do upadku.

Przy śmierci Kochanowskiego, i w najbliższych po niej latach, widzi się w Polsce poetów kilku. Cenili ich współcześni, a potomni przechowali ich pamięć i sławę, może

większą niż na nią zasługiwali. Ale talent prawdziwy musiał mieć z tych poetów jeden Sęp Szarzyński. Kto wie, ten może byłby godnym następcą Kochanowskiego; nieszczęściem umarł młodo, a zostawił po sobie ledwo kilkanaście wierszyków, które na próbki talentu ledwo wystarczą, ale na losy poezji wpłynąć, ani fundamentem wielkiej sławy być nie mogły. Szkoda, bo z tych próbek znać i talent, i umysł sympatyczny, pociągający. Widoczny jest na Sępie wpływ Kochanowskiego, ale widoczne i to, że on korzystał ze swego poprzednika jak człowiek rozumny i zdolny. Korzystał, przejął się nim, ale go nie małpował; kto wie, może marzył, może próbował wdrzeć się jego śladem na skałę pięknej Kalliopy, a z jego pomocą wdrzeć się jeszcze wyżej. Przynajmniej niezaprzeczona jest śmiałość, przedsiębiorczość, może ambicya poetyczna w tem, że choć co do zakresu i rodzaju poezji trzyma się dość ściśle w sferze Kochanowskiego, to przynajmniej próbuje form nowych, i to nie łatwych wcale. Prawda, że Kochanowski już przed nim dostatecznie wygiął był język: jednak nie bez zdziwienia, nie bez przyjemności spotyka się u niego Sonet, i to Sonet zupełnie dobry, lepszy, zręczniejszy napisany niż u Kochanowskiego, i dość liczny. Sonet taki, w którym myśl ważna i rozumna całkowicie i zrozumiale zamyka się w tej formie ciasnej i niewygodnej, ale doskonale skończonej i zaokrąglonej. Niezawodnie to postęp, jeżeli nie dla poezji, to przynajmniej dla języka. Może to złudzenie, a może przypadek: może gdybyśmy mieli więcej Szarzyńskiego wierszy, znalazłoby się i więcej niedoskonałości, ale w tych, które mamy, zda mi się mniej jest rymów łatwych i niedoskonałych, aniżeli u Kochanowskiego, a wyrażenia mają często piękność i siłę godną najpiękniejszych wierszy tamtego.

Czemby był Sęp gdyby był pożył? wiedzieć nie można; może, wnosząc z dwóch fragmentów o Strusiu i Herburcie poległych w bitwach z Tatarami, byłaby z czasem odezwała się żyłka epicka; to pewna, że fragmenta te są piękniejsze, niż naprzykład Kochanowskiego Wtargnięcie do Moskwy; ale dziś nie możemy uważać Sępa jak za lirycznego poetę.

W liryzmie jego jest wiele podobieństwa z uczuciem i natchnieniem Kochanowskiego. W jego kilkunastu wierszykach znajdują się jak w pieśniach tamtego i religijne, i miłosne, i okolicznościowo patryotyczne; religijne widocznie na wzorze tamtych kształcone, i na wzorze Dawida, którego parę psalmów tłómaczył Szarzyński, nie tak przecież pięknie jak wielki Jan; w miłosnych, znowu jak u Kochanowskiego, znać jakieś lekkie wesołe Horacyańskie usposobienie, naprzykład w pieśni:

Zaprząż nie tygry, nie lwice Cyprydo etc.

Jednak pogoda ta nie jest u niego stałą, a o ile z malej liczby pozostałych wierszy wnosić można, musiał być w tej duszy (i w tem do Kochanowskiego niepodobny) jakiś smutek posepny, jakaś skłonność do melancholii. Zniechęcenie do świata, żywe uczucie jego znikomości, ciągnęła myśl o Bogu, śmierci, wieczności, oto co najczęściej powtarza się w jego poezji tonem poważnym, głębokim i mężkim. Posepność to wrodzona, lub też nabyta w skutku jakich smutnych przeżyć, czy może przecucie wczesnej śmierci? któż zgadnie; ale takiego usposobienia wyrazem są najpiękniejsze z jego sześciu Sonetów, mianowicie drugi i czwarty. Piąty, jeszcze od tamtych lepszy, jest tak nacechowany jakąś mistyczną, gorejącą aspiracją do wszech miłości i wszech piękności, że przypomina nieco wiersze św. Teresy, albo niektóre Sonety Michała Anioła.

Z dziewięciu pieśni, pomiędzy którymi znajdują się i owe wiersze na śmierć Herburta i Strusia, najpiękniejszy jest może początek pieśni na śmierć Strusia „Izasz wódz Tebański iż umarł zgromiony“, i pełen zapału i uwielbienia wiersz do króla Stefana.

Oprócz tych, zostały po Sępie same drobne wierszyki, epigramy, nagrobki, napisy, drobiazgi, jak się wyraża pierwszy wydawca; ale między temi drobiazgami wiersz jeden, najpiękniejszy jaki on napisał, i taki, któryby zaszczyt przyniósł każdemu, nawet bardzo wielkiemu poecie; to Epitaphium Rzymowi.

I trzeba, żeby człowiek taki umierał w pierwszej młodości; a ręka braterska zaledwo kilkanaście wierszyków jego ocaliła od zapomnienia! Literatura ma swoje nieszczęścia jak historia; Kazimierz W., Zygmunt August, zeszedli bezpomyślnie, syn Władysława IV umarł dzieckiem. Na mniejszą skalę, ale podobnem nieszczęściem dla naszej poezji była może śmierć tego młodego Sępa, bo sądząc z jego pozostałych wierszy, wnosi się może mylnie, ale nie bez prawdopodobieństwa, że gdyby był żył, to jeżeli nasza poezja nie byłaby poszła w górę, przynajmniej upadek jej nie byłby tak szybki i tak zupełny.

Książd Stanisław Grochowski należy także do epigonów Kochanowskiego. Znać po jego poezjach, że i on miał ten wzór przed oczyma, i że starał się go naśladować; ale znać także, że poezja nasza już się była przesiliła i z zenitu swego chyliła się do zachodu. Grochowski wypada na schyłek wieku; jakkolwiek około jego połowy urodzony, w pismach swoich nie sięga po za czasy Stefana, a większą ich część przypada już na panowanie Zygmunta. Czy poeta był bez talentu, czy też na poezji już się pokazywało to wyczerpanie z sił i dzielności, które niebawem objawić się miało w życiu, dość, że Grochowski, choć pisze dobrym i czystym językiem, a zły smak objawia się u niego lekkimi dopiero symptomami, przecież nie ma ani tego języka i wiersza, ani tej poetycznej zdolności, co, o Kochanowskim już nie mówiąc, Szymonowicz albo Szarzyński. Nie jest to jeszcze zupełny upadek, ale nie jest już świetność i zdrowie; i ta poezja blada, bezbarwna, monotonna i nudna, wydaje się po tamtych tak, jak po jasnym dniu zmierzch.

Wiersze Grochowskiego są bardzo liczne. Większą część stanowią religijne; podobieństwo to z Kochanowskim nie jest zapewne skutkiem zamiaru i naśladownictwa, ale naturalnym skutkiem duchownego powołania autora. O tych poezjach nie ma nic do mówienia. Naprzód nie są one oryginalne ale tłómaczone; a jeżeli Kochanowskiego przekład Psalmów zawsze się wspominać każe dla swoich piękności językowych, i dla wpływu, jaki wywarł na wykształcenie języka,

to mdły język i wiersz co najwięcej przyzwoity Grochowski, jego przekładom nie daje prawa do ludzkiej pamięci. Przełożył on wszystkie Hymny i Prozy i Pieśni używane w nabożeństwach kościelnych, może wiernie, ale nie pięknie, a o całym tym zbiorze jedno tylko da się zrobić spostrzeżenie, że za autorem świadczące, że żadna z tych pieśni nie przyjęła się i do naszych czasów nie przeszła, żadna w jego teście po kościołach śpiewaną nie jest.

Jego poezya świecka składa się z dwóch pierwiastków; jest po części bładem i słabem odbiciem Kochanowskiego, po części już zapowiedzią zbliżającego się panegiryzmu. Wpływ Kochanowskiego, a raczej tylko chęć naśladowania go, znać w formie; poezye te to *Treny* i *Pieśni*, kute na wzór tamtych aż do niewolniczego niekiedy naśladowania wierszy, zwrotów lub myśli. W treści, to już początek i zaród panegiryzmu, bo wszystkie są okolicznościowe, wszystkie wesołe czy smutne, *Elegie* czy *Epithalamia*, wszystkie do kogoś, do jakiejś znacznej osoby, której powodzenie lub zgon poetę zdaleka tylko obehodziły. Umiera królowa Anna, pierwsza żona Zygmunta III, Grochowski pisze *Pogrzebowe Plankty wszystkich Prowincyi i Stenów*, umrze Zamoyski, on znowu wylewa *Łzy smutne* w tysiącu co najmniej wierszy; śmierć kardynała Maciejowskiego wydobywa z niego żalodne *Treny*, i tak dalej; a kiedy król Zygmunt przyjeżdża ze Szwecyi, kiedy Maryna Mniszchówna wybiera się do Moskwy, on sypie wiersze pochwalne i za wszystkich i od wszystkich wszystkim życzy i winszuje. Nie potrzebuje nawet tak wielkich okazji; byle Nowy Rok, jest mu dostatecznym powodem, żeby winszować i życzyć w kolendzie wszystkim kto żyje w Koronie i Litwie od króla począwszy. Otóż, kiedy Muza jaka tylko w takich okazjach i tylko na to budzi się i rwie do lotu, znak niezawodny, że to Muza słabiutka, okolicznościowa, przypadkowa, dworska, znak, że panegiryzm już niedaleko. *Treny* na śmierć Urszuli były także spowodowane wypadkiem, okolicznością? niezawodnie, i większa część poezyi, przynajmniej poezyi lirycznych na świecie tak samo. Tylko śmierć Urszuli wstrząsała i uczuciem ojca; śmierć

Bernarda Maciejewskiego, choć był może jego dobrodziejem, nie rozdarła serca Grochowskiemu; śmierć królowej Anny i jej tylko co narodzonego syna, mogła w nim obudzić co najwięcej ten żal zimny i lekki, jaki się składa w holdzie enotom osób enotliwych, ale nieznanych i obojętnych, albo ten żal konwencyonalny, jaki się składa na grobie figur wielkich a zwłaszcza koronowanych, przez uszanowanie (nie ma powodu posądzać go o podehlebstwo) dla żywych. Cóż dziwnego, że w takich Trenach, zwłaszcza, że są długie i złożone z kilku lub kilkunastu pieśni, on jest zimny i nudny, że się powtarza i sili na wymowne wykrzykniki żalu? On to co mówi, czuje może, ale nie bardzo żywo. Prawda, że nawet kiedy oplakuje śmierć tego, którego nazywa swoim najdroższym przyjacielem, Mikołaja Dobrocieskiego kanonika krakowskiego, zdobywa się także tylko na żal retoryczny a zimny, narzeka na bramę od domu tego kanonika, że niebaczna wpuściła śmierć, woła, kto mu da dość słów, żeby swój żal wypowiedział, dość łez, żeby go oplakał: ale sam rzecznego słowa ani łzy nie znajduje.

Że dobrego smaku nie miał, dowodzi choćby tylko przyjęty system, typ zawsze jeden, którego się w tych swoich lamentach trzyma. W Planktach na śmierć królowej Anny płacze nad grobem naprzód Korona Polska, potem każda po kolei z jej prowincyj, Wielkopolska, Małopolska i Litwa, potem Ruś, Prusy, Mazowsze, Podlasie i tak dalej, aż do Inflant. Człowiek, mający cokolwiek zmysłu artystycznego, byłby poznał z góry, że nie łatwo mu będzie dla każdego inną skargę wymyśleć, i że te narzekania wpadną w powtarzanie i muszą być nudne. On na tem nie przestaje, ale jeszcze wyprowadza małego królewicza Władysława, małą królownę, potem dwór królowej, potem jej spowiednika, potem Warszawę, potem Kraków, potem jeszcze Głos Pospolity, i to wszystko z osobna oplakuje i wychwala zmarłą w kilkunastu a nieraz kilkudziesięciu wierszach. Tego samego zwyczaju trzyma się i w innych nagrobnych żalach. Treny na śmierć Maciejewskiego, są najotwartszym naśladowaniem Trenów Kochanowskiego, ale i tu wzywa do pla-

czu naprzód brata, potem dwór kardynała, potem dyecezyę Gnieźnieńską, Krakowską, Łucką, potem Jezuitów, Duchowieństwo całe, Akademię krakowską, ubogich, każde w osobnym trenie. Podobnie i w żalach na śmierć Dobrocieskiego; owszem kiedy przestaje płakać a zaczyna tryumfować, na przykład w pieśniach na ślub Maryny z Dymitrem, znowu ten sam system; w każdej pieśni ktoś się raduje i tryumfuje, a w każdej kto inny, Wojewoda Sandomirski naprzód, potem car Dymitr, carowa, król, królewicz Władysław, Wiśniowieccy, Korona Polska, Moskwa... Łatwo sobie wyobrazić, jak ta monotonia powtarzanych a zaledwo słowami różniących się od siebie radości, staje się ekliwą i nużąca.

„Kalliopea Słowiańska“ jest zimnym panegirykem na koronację Zygmunta III. — „Pieśni Kalliopey Słowiańskiej na zwycięstwo pod Byczyną“, które doprawdy mogłoby być natchnąć człowieka zdolnego do natchnienia, są także retoryczną tylko pochwałą zwycięstwa i zwycięzcy. Jaki zaś był smak autora, jakie jego koncepta i jakie dowcipne gry wyrazów, można wziąć miarę z tego, że w wierszu na śmierć Hołubka, poległego pod Byczyną, rotmistrza kozaków, nabawiwszy się do woli tem nazwiskiem, które znaczy gołąbka, nałajawszy śmierci, że go wywabiała z gołębnika, kończy takim wierszem:

„Bodaj wszystkich wieszano na wysokim dębie,
Którzy wazą się strzelać na takie gołębie“.

Pewną ciekawość obudza jego „August Jagiello wzbudzony“. Warszawicki, niezdolny swoim pedantycznym umysłem ocenić wielkich zalet Zygmunta Augusta, a oburzony na niego za tolerancję względem różnowierców, zgorszony obyczajami niezupełnie przykładowymi, szarpnął niesprawiedliwie pamięć jego w swoich *Paralellach* królów i cesarzów. Grochowski wiedziony dobrem uczuciem sprawiedliwości, chcąc zmyć zmarłego króla z niesłusznych zarzutów, napisał tego „Augusta Wzbudzonego“. Myśl dobra i obudzająca sympatyę i do autora i do wiersza, ale wykonanie słabe. Przed

śpiącym Zygmuntem III staje zmarły wuj ze swoim kancle-
rzem Dębińskim, żali się na potwarze, które po śmierci zno-
sić musi od dawnych poddanych i rozkazuje kancle-
rzowi, żeby na odbicie tych potwarzy przypomniiał jego czyny i za-
sługi. Następuje więc rekapitulacya wszystkich zasług króla
i wszystkich przymiotów człowieka, słuszna, ale zimna
i martwa.

„Babie kolo“, wiersz satyryczny, czterozgłoskowy, w któ-
rym Baby kościelne roztrząsają przymioty różnych kandy-
datów na biskupstwo krakowskie, a w końcu oświadczają
się zgodnie ze zdaniem autora za Bernardem Maciejowskim,
wiersz, który nie wiedzieć dlaczego cieszy się pewną sławą
po naszych historyach literatury, ani dowcipem, ani piękną
formą nie ma do tej sławy prawa. *Święta Cecylia*, jedyny
obszerniejszy poemat Grochowskiego, osnuty na tle jednego
z najpoetyczniejszych może żywotów, jakie są w Martyro-
logium, bez inwencji, bez prostoty i wdzięku legendy, bez
uczucia, jest niegodnem obrobieniem pięknego przedmiotu.
Słowem, kiedy Grochowski często rad o sobie powtarza, że

Ani go Linus nie zwycięży pieniem,
Ani Orfeus łagodnych strun brzmieniem,

ładzi się i nikt mu z czystem sumieniem przyświadczyć nie
może.

Jednak historycy literatury przyznają mu czasem nie-
poślednie miejsce między poetami, a mianowicie język godny
Kochanowskiego. Tak nie jest. Język ten jest tylko popra-
wny i czysty, to znaczy, że jest dobry; pięknym nie jest.
Bez stylu, bez jednego zwrotu żywego, energicznego lub
wdzięcznego, język ten nawet w prozie nie byłby pięknym,
w poezyi jest do znużenia mdłym, poziomym i prozaicznym.
Że jest poprawnym, albo że rym jest bogatszy, wiersz gład-
szy aniżeli u Reya, to nie sztuka, skoro Grochowski pisał
już po Kochanowskim, ale pięknym, zupełnie dobrym, ten
wiersz nie jest. Nietylko Kochanowskiego nie jest godzien,
ale daleko częściej jak Kochanowski wpada w rymy łatwe

i oklepane, a krótki ósmiozłoskowy wiersz, którego najczęściej używa, zastosowany zwłaszcza do rzeczy dłuższych, staje się tak jednostajnym i dla ucha nużącym, że jedna tylko sztuka Słowackiego może zaradzić na wrodzoną jego monotonię.

Wszystko razem wzięwszy jest to poeta bez wielkich pretensyi prawda, ale też i bez talentu, w formie jeszcze poprawny, ale już nie piękny, w smaku jeszcze nie bardzo, ale już zepsuty, w pomysły ubogi; inwencyi, uczucia, wyobraźni pozbawiony zupełnie; jeszcze odbija słabo niektóre echa poezyi Kochanowskiego, już jedną nogą wstępuje na nieszczęsną błędną drogę panegiryzmu. Słowem stoi on, jak żeby na przejściu od pięknej i jędrnej do mdłej i zepsutej poezyi, i przejście to w wierszach swoich wyobraża.

Pomiędzy naśladowcami, którym laury Kochanowskiego spać nie dawały, a którzy myśleli naiwnie, że sławę podobną zdobędą dla siebie, jeżeli zrobią materyalne naśladowanie jego poezyi, najbardziej niewolniczym a najmniej szczęśliwym jest pewien Tobiasz Wiśniowski, o którym dlatego tylko wspomnieć trzeba, że zwykle wymienia go historya literatury; trzeba więc powiedzieć, że wspominać nie warto, a mówić nie ma o czem. Ten biedny młodzieniec, arianin jak się zdaje, bo w wierszach swoich mówi o zborze, a nigdy o kościele, i o świetle nowej prawdziwej wiary, stracił matkę, a zamiast żalować jej pocichu jak wszyscy, wylał żal swój w wierszach i ogłosił drukiem, pod formą i tytułem Trenów. Musiało się biedakowi wydawać, że Treny na śmierć matki będą parą do Trenów na śmierć córki, ale będą czemś różnym zupełnie — sam marzył może o tem, że stanie się parą do Kochanowskiego. Napisał więc Treny, dedykował jakiejś Pani z Jedlińska Kadłubskiej, która wychowywała jego nieboszczkę matkę, i puścił w świat, ozdobiwszy przemową do książek, w której autor przepowiada im, że mogą spotkać się z naganą, „bo różne obyczaje mają różne pany“, ale widocznie rachuje i na wdzięczność i na to, że „laskawy czytelnik pilno się nad niemi zabawi i zapłaknie“.

Niestety, nikt się ani nie zabawi ani nie rozplacze nad temi wierszami, które są naśladowaniem Trenów Kochanowskiego niewolniczem aż do śmieszności, a niedołącznem do największej ekliwkości. Jedyne różnica, prócz różnicy talentu, uczucia, języka, wdzięku, jest ta, że u Kochanowskiego jest Trenów dziewiętnaście, a tu dwadzieścia jeden. Zresztą w każdym ze swoich Trenów powtarza nieszczęsny poeta myśli z Trenu Kochanowskiego, oznaczonego tą samą liczbą porządkową. I tak w drugim dziwi się, że „jego pióro musi threnodiae pisać“ czego się nie spodziewał i

„Wolałby się był jeszcze czem inszem zabawić,
Niż wiersz nad zimnym grobem zacnej matki stawieć“.

A któż mu kazał? Ale nie lepiej nie dowodzi jego ciasnego pojęcia i żadnego nawet naśladowczego, pośledniejszego talentu, jak, że powtarza za Kochanowskim tę właśnie myśl; kiedy tamten mówi, że nie spodziewał się przeżyć swego dziecka, a wolałby pisać dla niej śpiewki do snu, pojmuje się i podziela się jego uczucie. Ale kiedy ten zaręcza, że wolałby robić co innego, jak płakać nad grobem matki, wydaje się to rzeczą tak prostą, że nie było warto mówić: a kiedy się skarży, że się nie spodziewał za nią płakać, chce mu się odpowiedzieć, że to jego własna wina, bo powinien był przypuszczać, że spadnie na niego smutek, który w porządku natury spada na ogromną większość ludzi. To tylko dowód, jak nie miał nietylko talentu, ale nawet rozeznania, kiedy kradł z Kochanowskiego takie myśli, które do jego celu nie służyły, które w jego Trenach wyglądały opacznie. Jak Kochanowski odpowiada z góry tym, którzyby go pocieszać chcieli: jak tamten do Nioby, tak on porównywa się do Andromachy i Cerery, nie dbając o to, że Niobe straciła dzieci jak Kochanowski, ale Cerera nie straciła matki jak on, a Andromacha płakała za mężem. Kochanowski narzeka rzewnie, patrząc na „nieszczęsne ochędóstwo żalosne ubiory swojej najmilszej córki“, ten także wspomina „skromne ubiory, mierne ochędóstwo“; wprawdzie zamiast

letniczka pisanego są biblie i książki do nabożeństwa, ale to jedyna różnica, bo nawet ta smutna wyprawa, którą strapiona matka dała Urszuli, nawet ta jest. Naśladownictwo posuwa tak daleko, że Tren jeden i to trzynasty właśnie kończy napisem grobowym jak Kochanowski; tylko zamiast lez jak tam, tu jest moral. Tren ostatni, znowu jak u Kochanowskiego, jest snem czy widzeniem. Zmartwionemu synowi ukazuje się matka, pociesza i uspokaja. Tylko ozdobił ten Tren konceptem i przewyższył w ten sposób Kochanowskiego, któremu się o niczem podobnem nie śniło. Tren ten jest Akrostychem: pierwsze litery wierszy składają znowu wiersz. Oczywisty i zastraszający symptom złego smaku, który niebawem zacznie grasować. A jest takich więcej; korzysta naprzykład z tego, że matce było na imię Róża, żeby z imienia tego wyciągać śliczne koncepta i porównania zupełnie śmieszne, kiedy się stosują do kobiety starej. Nazywa ją „różyczką, która rosła pod cieniem drzewa“, tem drzewem był mąż, dzieci były listkami, które teraz posechły i t. d.

Język jego nie jest zły, jest czysty i poprawny, ale jest mdły, ani jednego wyrażenia żywszego, silniejszego, rzuwniejszego. Najlepszy z tych Trenów, choć także tylko niegodne wzoru powtórzenie Kochanowskiego, jest ósmy, a wszystkie razem ciekawe są przez to tylko, że dają poniekąd miarę wrażenia, jakie sprawić musiały Treny Kochanowskiego na współczesnych, kiedy ludzie przypuszczali, że potrzebują tylko okraść i powtórzyć go, żeby napisać coś pięknego i dorobić się sławy.

Andrzej Zbylitowski występuje po raz pierwszy w roku 1587, z *Witaniem* nowo obranego króla Zygmunta III, a ten wiersz pierwszy jest niejako zapowiedzią dalszego zawodu, bo większą część swoich wierszy pisze on do króla albo o nim.

Są to po większej części wiersze małe, okolicznościowe, już panegirycznego zakresu, na jaki przyjazd królewski, na urodzenie królewicza Władysława, na wesele jakichś znajomych lub przyjaciół. Ten sam charakter okolicznościowy i pane-

giryczny ma jego wielki poemat w czterech pieśniach *Droga do Szwecyi*. Zygmunt III z żoną, z siostrą, z licznym dworem jedzie na pogrzeb ojca i swoją koronację. Poemat bardzo smutny: rodzaj dyaryusza podróży, który napisany prozą może i dziś miałby swoją wartość, a w swoim czasie ogłoszony w jakich Ephemerydach, jakie już w Europie (choć nie u nas) jawić się zaczynały, budziłby ogromne zajęcie. Król Jegomość przyjmowany był bardzo szumnie w Toruniu, potem w Gdańsku, na przemowy powitalne to i to raczył odpowiadać — potem wypłynął na morze, kto z kim jechał na jakim okręcie, jak trudną mieli przeprawę, jakie ich burze rzucały po morzu, jak paradnie odbył się pogrzeb króla Jana, a potem koronacja króla Zygmunta w Upsali: wszystko to w owym czasie byłoby czytane ciekawie, gdyby było pisane zwykłą prozą. Ale ta sama rzecz, która uszłaby w prozie, staje się nudną i nieznośną, kiedy się chce podnieść do wysokiego poetycznego tonu, a opowiada same drobne powszednie codzienne *faits divers*, do tego jeszcze opowiada je czystym dobrym polskim językiem, ale niedołącznym wierszem o rytmach albo zbyt łatwych albo źle dobranych. Wprawdzie biedny poeta sili się jak może, żeby swój przedmiot upoetyzować, ale na to nie umie wynaleźć lepszego środka, jak mythologię. Podróż jest morska, więc sposobność wyborna do poruszenia wszystkich bóstw wodnych od Neptuna do najostatniejszego Trytona; wszystko to jest ciągle na scenie, nie odstepuje okrętów, winszuje sobie, że ma honor przyjmować u siebie takiego wielkiego króla; Trytony dziwią się wdziękom ślicznej królowej, jakich nigdy jeszcze nie widziały, Nereidy i Syreny chciałyby jej służyć. Wszystko to jest okropnie nudne; czasem tylko staje się komicznem, to kiedy ten świat mythologiczny w bujnej wyobraźni poety wchodzi w bezpośrednią styczność z rzeczywistym. Mniejsza o to, że królowa, siadając na galar w Warszawie, oddaje się pod opiekę Wandy, jako gieniusza opiekuńczego Wisły, i obiecuje jej hojne ofiary, jeżeli szczęśliwie powróci; jest to dziwaczne, ale doprawdy ta modlitwa do Wandy, to jeszcze jedno ze szczęśliwszych miejsc całej poezji (Pieśń 1). Ale

bardzo komiczny jest Zygmunt III, miotany burzą po morzu, zagrożony niebezpieczeństwem i modlący się do Neptuna! Jakie to do niego podobne!

A te śmieszności, to jedyne oazy na oceanie tej nudnej żeglugi. Drobne szczegóły zapisane ze skrupulatnością jakiego mistrza ceremonii, a bynajmniej nie opisane, dużo szczegółów, ale żadnego z nich autor nie umie zrobić zajmującym; najciekawsze może to, że podaje nazwiska niektórych polskich okrętów. Tych biednych okrętów było tak mało i tak się mało wslawily, że nikt na nie nie uważał i nikt może nigdy ich nazwisk nie zapisał. Tutaj przypadkiem przechowała się pamięć jakiegoś Łabędzia, Rycerza, Wilka, Niedźwiedzia, na którym płynął Legat Papieżki, i jakiejś *Fortuny*, która ze wszystkich statków tej wyprawy była najszybsza. Co dziwniejsze, przechowało się i imię jakiegoś sławnego poety, który z królem był w tej podróży, a o którym nikt nigdy nie wspomniał. Na tej samej *Fortunie* jechał Dzierżanowski poeta. Musiał ten poeta tak chwalebny mieć wielką sławę ze swoich wierszy, skoro go król chciał mieć przy swoim boku, skoro jechał nie pomiędzy mniejszemi dworskimi figurami, ale z wielkimi honorami na jednej uawie z księdzem Podkanclerzym (bisk. Tarnowskim). Dziwna rzecz, że do nas nie doszły nietylko jego dzieła, ale nawet jego imię, i trzeba przeczytać *Drogę do Szwecyi*, żeby się dowiedzieć, że był na świecie taki poeta.

Pierwsza księga obejmuje podróż Wisłą, pobyt dworu w Gdańsku, a kończy się wsiadaniem na okręty; druga opowiada żeglugę morską, różne burze opisane bez najmniejszego talentu, a na wzór burzy z pierwszej pieśni Eneidy i przyjazd do Stockholmu; w trzeciej obrzęd pogrzebowy zmarłego króla i koronacyjny nowego, czwarta powrót do Gdańska, już bez żadnych przygód. Prawda, że takie dworskie ceremonialne podróże i obrzędy nie wiele mogą mieć w sobie poetycznego materiału; przecież gdyby nasz Zbylitowski był miał trochę daru obserwacyi lub obrazownia, mógł był z niejednej rzeczy skorzystać. Naprzykład przygody podróży nie były małe; okręty były w prawdziwym

niebezpieczeństwie: jeden z nich odbity, zawiął gdzieś do jakiejś dzikiej skały i tam tydzień przeszło czekał, aż mu jakiś drugi przyszedł na ratunek. Z tego epizodu dało się coś zrobić. Albo, gdyby był patrzył lub chciał powiedzieć co widział, to pobyt w Szwecyi otwierał mu szerokie pole do obserwacji. Pokazać, jak ten król katolik obejmował królestwo niechętnie mu i gotowe do buntu, spisek ukryty pod pompą oficjalnego przyjęcia i koronacji, Sudermana jak asystuje obrzędowi, a patrząc na koronę wkładaną na głowę synowca, myśli, jak rychło jego zdradzi, a ją na swoją głowę przeniesie. Wszystko to było materiałem, może nie bardzo poetycznym, ale ciekawym, a poeta choć przyszyłych wypadków nie mógł przewidzieć, to usposobienie luterskiej Szwecyi względem Zygmunta mógł widzieć. On tymczasem daje suchy spis dworskich uroczystości, i konwencyonalny opis zapału i radości wiernych poddanych na widok ukochanego króla.

Jego drugi poemat *Żywot szlachcica na wsi*, to rodzaj idyllicznej pochwały, w której szlachcic wystawia swoją błogostawioną mierność, swoje skromne ale miłe i dostatnie *Sabinum*, w którym *procul negotiis* i pokus wielkiego świata, Pana Boga chwali i nie obraża, a żyje przyjemnie na ojcowskiej roli, orząc swój żyzny zagon, ciesząc się swoim bydłem i końmi, polując czasem, bawiąc się rozmową z sąsiadem i chłodząc winem w cieniu drzew, lub grzejąc się jesienią przy kominie. Słowem, dobrze mu jest, rad z tego i opowiada jak mu dobrze, dziwując się przytem i narzekając, że są ludzie, którzy takiego szczęścia nie rozumieją, ale sobie i drugim i krajowi szkodzą próżniactwem, pijaństwem, zbytkami, niepokojem, ambicyjami, kłótniami etc. Poemat lepszy niezaprzeczenie, aniżeli *Droga do Szwecyi*, nie tak konwencyonalny i upstrzony mythologią, a gdyby mniej dyettancki, gdyby więcej biegłości, gdyby wiersz lepszy, rym nie tak jednostajny i łatwy, byłby może wcale przyjemny do czytania. Bo nie jest bez wdzięku widok człowieka tak poprostu i poczciwie uszczęśliwionego ze swego losu, a nie

jest bez prawdy i zasługi to, co on mówi współczesnym jako przestrogę i naukę.

Cel jest nauczający, moralny; coś podobnego do Reyowego *Żywota*, a nawet podobny sposób pojmowania życia i używania jego darów, jak świadczy sam początek. Ale cóż kiedy nasi Polacy na takim szczęśliwym a cnotliwym życiu przestawać nie chcą; rozpuścili się bardzo, zbytują, marnują, przesadzają się jeden nad drugiego w strojach, w biesiadach, w licznych orszakach służby; panie szlachcianki za przykładem mężów robią to samo, a z tego skutek, że i sami niszczą się na majątkach i Rzplta upada, bo niema jej komu poratować. To samo zupełnie, co u wszystkich statystów i moralistów XVI wieku, to samo co u Reya, to samo, na co między innymi powstawał i Skarga. I nie lepiejże siedząc na wsi, żyć spokojnie a wesolo, młodo się ożeniwszy doczekać prawnuka, patrzeć na swoje zbiory, na swój dobytek, na kosiarzy na łące i żniwiarki w polu, słuchać skowronka i słowika, patrzeć na piękną rzekę przed oknami dworu, z sąsiadami się bawić, dzban jeden i drugi wychylić, czytać piękne księgi wolnym czasem, a dopiero, jeżeliś uczony, piękne księgi pisać.

Komuby się takiego nie chciało żywota.

On, znać, że czuł ten jego wdzięk, który opisuje; znać, że to wszystko szczerze, pochodzące z prawdziwego przeżycia, a wzięte z doświadczenia, z natury, nie z cudzych opisów, ani z rozumowania. Owszem, zdaje się, że nasz poeta nie był pozbawionym pewnego uczucia natury, ani pewnego daru obrazowania. Naprzykład widok, na który patrzył z okien swego dworu i który mu się tak podobał, jest opisany tak dokładnie, że się dziś jeszcze zupełnie do miejsca stosuje. Polowanie tylko, którego zdaje się wielkim był amatorem, gorzej mu się udało. Zaczyna wprawdzie od przepiórek i kuropatw, od swego krogulca i swoich ogarów, zanosi się na zajmujący obrazek ówczesnych łowów; na nieszczęście miecza się w to mythologia; „śliczna Cynthia“ przypatruje się

jego polowaniu i cieszy się, i jak się wdał w historię Cynthyi, Atalanty i wszystkich mythologicznych myśliwych, tak o sobie, swoich psach i sokołach zapomniał zupełnie, i swego polowania nie opisał.

Był jakiś drugi poemat w tym samym rodzaju, *Wieśniak*, jeden z węzłów morskich literatury, o których od czasu do czasu wszyscy mówią, a których nikt nie widział. Czytał tego Wieśniaka Euzebiusz Słowacki i niektóre z niego wyjątki podał w swojej *Nauce Poezyi*, i odtąd od czasu do czasu powtarzają się w literaturze poszukiwania za Wieśniakiem i skargi o zniknione jego części, albo pytania czy on jest lub nie jest tem samym co *Żywot szlachcica na wsi*. Że nie jest tym samym ale innym poematem, dowodzi sama forma; wiersz w *Żywocie* jest trzynastozgłoskowy, w wyjątkach *Wieśniaka* ośmizgłoskowy, a *Żywot* jest rzeczą skończoną, nie w nim nie brakuje; zatem te wyjątki jego częścią być nie mogły, musiały należeć do jakiejś innej całości, która, wnosząc z zachowanych kawalków, mogła być dość miła, może ładniejsza od *Żywota*, ale w treści zupełnie do niego podobna.

Są jeszcze dwa małe wierszyki, *Fortunne lata* i *Kondycya Szlachecka*, z których ostatnia ma pewien humor przyjemny i dość typowy, samorodny.

Co w tym czasie zjawia się na nowo, często i nie bez energii, a szkoda tylko, że nie z większym talentem, to satyra, mianowicie satyryczny dyalog, spuścizna po starszych, po Reyu, po Wicie Korczewskim i t. d. Prym trzyma na tem polu stary Marcin Bielski, który ma niezaprzeczoną słusność w tem, co mówi, a byłby satyrykiem niepospolitym, gdyby mówił równie dobrze i zręcznie jak słusnie. Ale forma jest ciężka, a w skutku tego dobre pomysły i zdrowe prawdy, choć zbudować mogą, znużyć muszą. *Sen majowy* (1586), to satyra zupełnie polityczna. Treścią jej jest zdobycie Szigetlu przez Turków, miasta nieszczęśliwej ziemi Węgierskiej, której nikt pomódz nie chce, czy nie może, i bezwładność ziemi polskiej, która z żalem widzi, że tamtej nie pomoże, choćby mogła gdyby chciała, i sama w podobnem nieszczęściu się

znajdzie, jeżeli nie zechce o sobie radzić i do wojny się sposobieć. *Rozmowa Dwóch Baranów* (1587), to satyra obyczajowa na wszystkie stany, a zwłaszcza na zbytki i marnotrawstwo. *Sejm Niewieści* wreszcie (1586), jest znowu polityczny i może najciekawszy ze wszystkich.

Wydaje się on na pozór satyrą na kobiety. Jak w komedyi Arystofana schodzi się ich kilka, narzekają na mężów próżniaków, ograniczonych, niezdolnych, i radzą nad tem, że trzeba im rząd Rzpltej odebrać, a ująć go we własne sposobniejsze ku temu ręce. Tak radzi Ludomiła, jak nowoczesna emancypantka, domagająca się równouprawnienia kobiet: nawet rzecz swoją popiera podobnymi argumentami. Bóg tak stworzył kobietę, jak i mężczyznę, dał jej duszę, rozum, talenta, dla czegożby ona równie dobrze lub lepiej rządzić nie potrafiła. Owszem lepiej, bo panowie mężowie rządzą wcale nie szczególnie. Znajduje się jedna, Konstancya, która się z nich śmieje; mówi, że tych senatorów, którzy pójdą do rady prosto od robienia sera, czuć będzie serwatka, że u białych głów włos długi, ale rozum krótki. Przecież zakrzyczana przez towarzyski musi milczeć, a tamte uradziły, że wyprawią posłów do Polski, Matki swojej, żeby im pozwoliła sejm złożyć.

Jeżeli była myśl satyry przeciw kobietom rządziochom, to tu się kończy, a intencya satyryczna zwraca się przeciw mężom. Kiedy bowiem posłowe proszą Polski, żeby im dała władzę i urzędy, a samej będzie przy tem lepiej, Polska nietylko się z nich nie śmieje, ale owszem wdzięcznie przyjmuje propozycyę, pozwala próbować, i obiecuje im swoją pomoc i błogosławieństwo.

Może więc Polska spodziewa się, że niewiasty lepiej o niej radzić będą, kiedy mężowie radzą tak źle?

Staje sejm, a na nim uchwalają zebrane kobiety dwadzieścia artykułów, z których jedne są oczywiście satyryczne, dodane dla okraszy, dla żartu, jak n. p. że dziewczęta mają się chować na amazonki i żyć jak one, a mężczyźni pracować w domu i w roli, ale inne są poważne i zawierają to, czego by sobie autor był dla Rzpltej życzył. N. p. jak Orze-

chowski, Rey i Modrzewski, żeby województwa służąc koleją zastępowały stałe wojsko, żeby zawrzeć przymierze z Rzeszą niemiecką i prowadzić wojnę zaczepną z Turkiem, żeby zakazać zbytków, pijatyk, pojedynków, wielkich posągów (które cheiwość mężką pobudzają), żeby zakazać przywozu zagranicznych towarów, a obchodzić się wyrobem krajowym, żeby postanowić Trybunał i ułożyć kodex, cyganów z włóczęgów i złodziei przerobić na lud osiadły i pożyteczny, rozdając im grunta na kresach, Prusy mocniej z Koroną złączyć, zcentralizować — wreszcie rzecz najważniejsza i najlepsza, dawać podatki, choćby nie duże, ale stałe.

Słowem, te żony uchwalają to, co zdaniem autora powinni byli uchwalić mężowie, i jest pewna ironia w tym całym pomysle, zwłaszcza kiedy mówią, że same sprawy wojenne, prowadziłyby lepiej kobiety.

Że ta ironia nie przeciw kobietom jest wymierzona, dowód znowu w tem, że Polska nietylko uchwalone artykuły przyjmuje, ale sama nawet uczy swoje córki, jak wojować mają. Jak zamków dobywać, jak ich bronić, jak wojnę prowadzą Niemcy, jak Moskał, jak Tatar, a przeto jak się przeciw każdemu z nich zabezpieczyć: to są nauki, które Rzplta daje mężnym niewiastom, nauki wzięte z doświadczenia żołnierskiego autora. A cały Sejm Niewieści, jest pod formą Satyry broszurą polityczną, żądaniem pewnych zmian i ulepszeń w Rzpltej.

Nie satyrą już, tylko brzydkim paszkwilem, ale przez to historycznie ciekawym zabytkiem, jest Paprockiego „Pamięć nierządu w Polsce przez dwie fakeye uczinionego roku 1587, którego skutki co dalej to gorsze ku wielkiej się skazie Rzeczypospolitey zaczęły“.

Paprocki, stronnik austriacki a przytem heraldyk szlachty czeskiej, dedykuje Rosenbergowi Burgrabi królestwa czeskiego, wierszowany Paszkwil, w którym lży i czerni nie tylko Zygmunta III i całe jego stronnictwo, ale swoją ojczyznę, której przepowiada niechybną zgubę od Turków i Austriaków, jeżeli się nie powróci do swego prawego króla Maxymiliana. Wartości nie ma w tem żadnej; jednak zajmu-

jące to jest, jako charakteryzujące ówczesną opinię cesarskich.

Pycha tylko i prywata mogły tak oszukać Polaków, że nie bacząc na prawność i oczywiste korzyści wyboru króla z cesarskiego domu, sprowadzili niekczemnego Szweda. Elekcyja jego, bez Prymasa i nie w prawem oznaczonym miejscu odbyta, jest nie ważna, królem jest Maxymilian, a „ich Elektowi za sprawiedliwością miasto korony taras przyjdzie“.

Wszystko to intryga starej królowej Anny

Która się długo aniołem stawiała

Ale się na ostatku w czarta obróciła,

a nadewszystko Zamoyskiego. Całe pismo nie jest właściwie niczem więcej, jak jadowitym paszkwilem na niego. Żółć Zborowskich i innych upokorzonych i zajadłych dawniejszej daty arystokratów, wszystko co oni między sobą o Zamoyskim myśleć i mówić mogli, odbija się w tych wierszach Paprockiego. Zamoyski złodziej, okradł skarb publiczny, Zamoyski zdrajca, chciał oderwać Mazowsze od Rzpltej i zostać z Gryzeldą udziałnym jego księciem, spisek uknuty był z Batorym; Zamoyski tyran, kopie dołki pod wolnością; Zamoyski demagog, chce zniszczyć stare, zasłużone domy, filary Rzpltej. Jak żeby się słyszało echo jakiej rozmowy braci Zborowskich i ich stronników o nienawistnym kanclerzu. Po śmierci Batorego porozumiał się z królową, osadził jej siostrzeńca na tronie, sam sobie nadał dyktatorską władzę, i unika lepszych od siebie.

Dalej wzywa poprostu do zgładzenia Zamoyskiego. Takich ustępów dowodzących, jaką nienawiścią pałało stronnictwo austriackie do królewskiego, a zwłaszcza do Zamoyskiego, jest pełno. Ale nie jest to tylko złośliwe i jadowite, jest złe i szkodliwe, bo pod bardzo niezgrabną literacką formą, kryje się w tych wierszach niepoślednia zręczność intrygancka, i znajomość słabych stron szlacheckiego czytelnika.

Zwyczajna zręczność fakeyi, która wołając głośno w swojej wielkiej gorliwości o rzecz publiczną, spodziewa się łowić stronników i pomocników; ale łatwo pojąć, że na umysły szlachty ówczesnej, słowa takie mogły robić wrażenie, mogły się przyczyniać do utrwalenia niepokoju i zaburzeń.

Konkluzya jest, że Zamoyskiego trzeba zrzucić z Tarpejskiej skały, elekta Szweda uwięzić, a na tron wprowadzić prawego króla Maxymiliana ze „świętego“ cesarskiego domu. Inaczej będzie źle, bo ten król niezwyciężony upomni się o swoje prawa i krzywdy, wyprawi się z wojskiem na Polskę, a wtedy oczywista zguba: tej sile Rzplta nie podola.

Byczyna musiała być niemałą niespodzianką dla naszego heraldyka, a jego przepowiedniom taki zadała stanowczy fałsz, jak stanowczy cios całej jego fakeyi.

Ciekawem zjawiskiem w ówczesnej poezyi, jest przekład komedyi Plauta, z wyraźnym zamiarem przystosowania jej do publiczności polskiej. Czy do sceny także? Czy tłumacz, Piotr Ciekliński myślał o przedstawieniu, czy w tym celu tłumaczył? Pytanie zajmujące, a bez rozwiązania niestety. Ale w każdym razie jest to pierwszy przypadek tego, co później, w XVIII i XIX wieku, praktykowało się często, a nazywało się spolszczeniem komedyi. *Trinummus*, po polsku *Potrójny* (1597), odgrywa się we Lwowie, za Zygmunta III; wszystkie osoby mają nazwiska polskie, niektóre weale szczęśliwie wymyślone, jak na przykład *Pangracz*, miano młodego marnotrawcy. Że intryga bardzo prosta, naiwna, a akcja trochę długa i nudna, temu Plautus winien, nie jego tłumacz. Ten nie był bez talentu, bo wiersz ma dobry, dialog naturalny i żywy. Ta próbka zaś pozwala przypuszczać, że miał chęć rozszerzenia poezyi polskiej na formy nowe, może zaszczeplenia jej w teatrze, i każe żałować, że przekładów takich lub przeróbek nie ma więcej. Gdyby więcej i gdyby z komedyi zabawniejszych, może Ciekliński był dostarczył wzoru i nauki autorom tych późniejszych rodzimych dialogów, które nie wykształciły się na komedye dlatego,

że ich autorowie nie wiedzieli czem komedia właściwie być powinna i jak ma być zbudowana

Musiał być jakiś instykt, jakieś pragnienie poezyi dramatycznej, może obudzone *Odprawą* Kochanowskiego, bo przykład Cieklińskiego nie jest jedynym. Górnicki, którego poezya kusila także, który się w niej czasem próbował, (Elegia na śmierć żony), przetłómaczył *Troas* Seneki (1589). Szkoda, że tę sobie wybrał; byłby równie dobrze mógł tłómaczyć co prawdziwie pięknego, co greckiego: a choć nie byłby przez to rozwinął polskiego dramatu, skoro nie dała mu impulsu *Odprawa*, to byłby ozdobił literaturę dobrym przekładem pięknej rzeczy.

Klonowicza najwcześniejszem dziełem jest *Roxolania* (1584). Może ta byłaby najwyżej postawiła jego sławę jako poety, gdyby ją był napisał po polsku. Nie jest to karta geograficzna (jak jego późniejszy *Flis*); to obrazki nie szczególnie piękne, ale prawdziwe, szczerze ruskie, z których wieje jakieś naddniestrzańskie powietrze, a które dowodzą, że autor niewał jakieś poetyczne wrażenia, że na swój kraj patrzył z uczuciem i z zamiłowaniem jego wdzięku. Hucul idący w górę za niedźwiedziem, młodyca lub dziewczyna idąca do czarownicy po zioła na nieszczęśliwą miłość, wreszcie gród ruski, Lwów, opisany nie z wielkim talentem, ale z wielkiem uszanowaniem, a po części z fotograficznem podobieństwem, które się do dziś dnia nie zatarało, wszystko to wskazuje, że Klonowicz patrzył na Ruś inaczej, niż na resztę świata. W tej pieśni o Rusi jest więcej życia i poezyi, niż we wszystkich innych jego dziełach. I trzeba nieszczęścia, żeby to właśnie napisał po łacinie! Rokiem później (1585) wydał Klonowicz *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego*, poety zacnego. Treny po śpiewaku Trenów! Naśladowane z niego, nie tak niewolniczo, jak naśladował Wiśniowski lub Grochowski, ale naśladowane wyraźnie, a dość niedołąźnie.

Jednak choć Treny te nie mają wartości, jest jedna rzecz, która czytelnika rozbraja i ujmuje dla autora, to szczerze uwielbienie dla Kochanowskiego i wielka skromność. Na-

przykład zakończenie *Trenu XII*, w którym powiedziawszy, że *Apellesa* by trzeba, by *Kochanowskiego* malował, a *Homera*, by mu pisał nagrobek, tak potem kończy o nim i o sobie:

Jam się też tu prawie zerwał z motyką na słońce.

Jako całość, choć skończony zbyt prosto, po prostacku, ale z poczciwem uczuciem i słusznie, najładniejszy jest *Tren Piąty*.

Uważamy zwykle *Klonowicza*, jako pisarza przejścia i upadku, lepszego jeszcze od poetów XVII wieku, już nie tak dobrego jak *Zygmuntowscy*. W swoim wielkim poemacie dydaktyczno moralnym, ciężki i nudny, w satyrycznym nie lekki ani dowcipny, w opisowym, jeżeli *Flisa* opisowym nazwać można, jednostajny i prozaiczny, już dlatego, że jest satyrykiem, powtóre dlatego, że jest poetą miernym i nie zbyt wybrednym w smaku, uchodzi *Klonowicz* za poetę upadku. Jednak cieszy się wielkim poszanowaniem i sympatją historyków literatury. Jego smutne podobno życie, starość w niedostatku, niechęć współczesnych, nawet jego zła żona, wszystko to otoczyło go w pamięci potomnych jakimś urokiem cnoty surowej a prześladowanej. Nieszczęśliwy w życiu, patrzący bystro a z boleścią na wszystkie symptomata moralnego i politycznego upadku Rzpltej, karcący je ostro, a za to źle widziany od skarconych a poczuwających się do winy, został *Klonowicz* w naszym wyobrażeniu, jakimś poważnym i surowym cenzorem, na którym współcześni mścili się za prawdę, którą im mówił; poetą był niewielkim, ale był obywatelem i moralistą niepospolitej wartości; jego wiersz, choć nie szczególny, zasługuje na pobłażanie, bo zasługuje na szacunek indygnacya, która go zrobiła, człowiek który cierpiał prześladowanie dla sprawiedliwości.

Oto jest powszechne zdanie o *Klonowiczu*, które od historyków literatury przeszło do publiczności. Wyobrażamy w *Klonowiczu* sobie coś podobieństwa z *Juwenalem*, coś ze smutną wieszczką *Kassandrą*, coś nawet z *Sokratesem*, ofiarą złej *Xantypy* i niewdzięcznych ziomków.

Wyobrażenie takie może być, ogółem słuszne. We wszystkim, co on pisze, znać duszę szlachetną, oburzenie na złe, rozsądek zdrowy, i jakąś sympatyczną śmiałość w mówieniu prawdy. Historia o jego domowych nieszczęściach i o jego prześladowaniu przez szlachtę, Żydów i Jezuitów, przy bliższem zbadaniu, okazała się cokolwiek poetyzowaną. Prześladowanie ogranicza się do tego, że kiedy Klonowicz wydal swoją, bardzo zjadliwą, *Actio contra Jesuitas*, Wereszezyński, jako opat Sieciechowski, odebrał mu soltystwo, do tego opactwa należące. Trudno się dziwić i brać za złe księdzu, że nie chciał pomagać człowiekowi, który według jego przekonania, szkodził sprawie Kościoła. Domowe zaś nieszczęścia, miały być spowodowane przez matkę żony, złą, swarliwą, która go przyprawiła o rozliczne procesa i przez to zniszczyła na majątku. Ale czy to jest prawdą zupełną czy cokolwiek idealizowaną, to zdaje się pewnem, że pojęcie Klonowicza, jako pierwszego i poniekąd wyjątkowego w swoim wieku satyryka, jako niepośledniego moralistę i obywatela, jest nieco przesadzone. Niezaprzeczenie wszystko, co on mówi, wytyka i gani, jest słuszne i dobre; tylko to samo, wszystko to, co on mówi, powiedzieli już przed nim wszyscy pisarze XVI wieku. To samo czytał ten wiek w dziełach Reya, nie jedno w Modrzewskim, w Orzechowskim, w Kochanowskim, we wszystkich, którzy o Polsce i jej obyczajach mówili, a wiemy, że mówili wszyscy i wszyscy skarżyli się na zepsucie, na zbytki, na niesprawiedliwość, na niedbalstwa i t. d.; Klonowicz zaś, mówiąc to samo co oni, nie mówi tego lepiej od nich, ale owszem, gorzej. Nie zasługuje więc na to stanowisko, cokolwiek wyjątkowe, wzniesione nad innych, jakie mu wyznaczamy; nie ma prawa uchodzić za jakiegoś małego Juwenala, poetę gorszej epoki, noszącego na sobie jej cechy, ale odkupującego to wielką energią i wielką głębokością uczucia. Jest on poetą bardzo słabym, nawet słabym satyrykiem, tak, że zaledwo go za takiego uważać można, a słuszniej za suchego moralistę. Że jest wielkim werydykiem, to prawda; że czasem oburzenie podsunie mu jakiś zwrot lub obraz energiczny a rozsądek

jakieś spostrzeżenie trafne, to także prawda. Ale ustępy takie zdarzają się w jego poezji rzadko, a całość, bez dowcipu, bez ognia, bez siły, bez pięknej formy, ani za piękną ani nawet za ostrą satyrę uchodzić nie może. Tem mniej za piękną poezję. Jego dobra wola, śmiałość, gorliwość w mówieniu prawdy, to przymioty bardzo piękne dla człowieka, ale niedostateczne, żeby kogoś zrobić poetą. Że jest reprezentantem poezji, chyłcej się do upadku, to pewna; ale to nie dlatego, że pisał wiersze satyryczne, nie dlatego, że jego Muza czerpała natchnienie w uczuciach ujemnych oburzenia i zgrozy, nie dlatego, żeby wiek skażony był działał zabójczo na niego i na jego poezję (bo czemuż nie wpłynął tak szkodliwie na współczesnego mu Szymonowicza naprzykład?); ale poprostu dlatego, że był słabym poetą, poetą bez talentu, bez poezji.

Z większych jego dzieł, *Worek Judaszów* jest czysto satyryczny, nieszczęśna *Victoria Deorum* jest, nie wiedzieć jak ją określić, satyryczno, dydaktyczno moralna — a *Flis*? *Flis* także nie wiedzieć: powinien był być opisowym, a jest? Suchym przewodnikiem podróży, spisem miejsc, położonych nad Wisłą, wierszowanym poradnikiem dla flisaków, jak po Wiśle pływać mają. Jest tem wszystkiem razem, tylko nie poezją.

Zapewne nie jest Wisła z tych rzek uprzywilejowanych, które przepływają kraje, tak wyjątkowo piękne, że żegluga po nich stała się klasyczną ekspedycją turystów i miłośników pięknej natury. Nie ma nic bardzo romantycznego w tych brzegach płaskich, zarosłych kępami i zasianych wioskami: ale jest coś rodzimego i swojskiego, jest ten sam rodzaj widoku co w całym kraju, z tą różnicą, że nad Wisłą ten widok choć nie bardzo piękny, bywa ładniejszy, nie tak jednostajny jak w głębi kraju, a tu i owdzie staje się prawdziwie, nieraz i bardzo ładnym. Skalista wyspa Ulissesa, nie miała w sobie nic szczególnie pięknego, przecież on widział w niej jakiś wdzięk, czuł jakiś do niej pociąg, który Homer pięknie umiał wyrazić. Otóż, od Klonowicza, od poety Wisły, galarów i flisów, żądałoby się, żeby

wdzięk Wisły i jej brzegów czuł choć tak, jak Ulisses wdzięk swojej Itaki, żeby niebieskie dymy, unoszące się nad wsiami, duże jabrzędzie na zielonych pastwiskach, bydło i wiejskie dzieci, kąpiące się przy brzegu o zachodzie słońca, żeby to wszystko działało na niego tak, jak na tamtego klasyczny dym pamiętny z Odysei. O tem już nie mówiąc, że kto patrzy na świat okiem poety, kto ma uczucie natury, temu nie potrzeba, jak Telimienie Tyburu spadających wód i skalistego wydroża Pausylippu, ten, jak Pan Tadeusz zobaczy piękność i w prostej brzezynie, w najprozaiczniejszym lesie. Ale ani tego poetycznego spojrzenia na świat, ani tego nie obojętnego polskiego tylko spojrzenia na Wisłę, Klonowicz nie ma wcale. Wisła we *Flisie* jest Wisłą kart geograficznych; dowiemy się, koło jakich miejsc przepływa, ale jak wygląda, jakie nad nią drzewa, jakie słońce, jakie wioski, to w jego poemacie widać tyle, co na mapie. *Flis* jego także nie żyje, nie wioskuje, nie gada z towarzyszami, nie śpiewa, nie pali ogniska w nocy, nie rachuje naprzód talarów, z którymi wróci do domu, flisa nie ma. Jest tylko dla niego wiadomość, około których miejsc przepływa, gdzie się ma brać na lewo a gdzie na prawo, i tyle. Słowem, spis miejsc, położonych nad Wisłą i rzek do niej wpadających, i to nie wszystkich nawet, bo „Spuszczanie statków Wisłą“ zaczyna się od Warszawy dopiero.

To *Itinerarium* wszakże zaczyna się prawie w połowie dopiero poematu. Przedtem uczy autor swego flisa języka, używanego na galarach i różnych zwyczajów flisackich, to znowu mogłoby być ładne, ale jest suche i obojętne; rozwodzi się nad niebezpieczeństwami żeglugi i jej korzyściami, opowiada jej historię od korabiu Noego i wyprawy Argonautów, aż do odkrycia Ameryki; naucza, że pierwszą łódź wyrobił człowiek na wzór i podobieństwo ryby; owszem, zaczyna jeszcze zdalsza, bo od stworzenia świata, kiedy Bóg rozdzielił Chaos na cztery elementa, z tych czterech jednym jest woda, z wody są morza, jeziora, rzeki, stawy i t. d., w niej żyją różne ryby, na niej różne ptastwo wodne; ztąd dopiero przejście do Polski, do Wisły i do Flisu.

Zamykają poemat rady jak flisak ma w Gdańsku wystrzegać się niepewnych i podstępnych kupców, ustęp najżywszy może ze wszystkich, choć nie osobliwy.

Z tego można powziąć wyobrażenie, jak ten biedny *Flis* jest prozaicznym. Prawda, że autor, pisząc go, o poezyi nie myślał weale: *Totus libellus*, mówi w zakończeniu, *nihil docet aliud, quam securitatem navigandi, et mercaturam utiliter exercendi in Vistula fluvio*. Czy temu zadaniu odpowiedział, niech sądzą retmani i handlarze zboża. Krytyka literacka to tylko ma mu do powiedzenia, że kiedy mu chodziło o naukę żeglowania i handlu, to szkoda, że pisał ją wierszem, a do tegoż jeszcze wierszem safezycznym, który oprócz tego, że dla niego był trudny, dla czytelnika w dłuższym poemacie staje się nieznośnie monotonnym i nużącym.

Najlepszem jego dziełem jest podobno *Worek Judaszów*, czyli *złe nabycie majątności*. Dlaczego ten w tytule koncept, który już trąci wiekiem XVII? Dlaczego „Worek Judaszów“? Bo Judasz nosił worek Chrystusa i Apostołów, a że był cheiwy i zdrajca, więc ciągnął z niego korzyść dla siebie, i jest typem złodziei, ludzi sprzedajnych, podstępnych, słowem, wszystkich, którzy źle nabywają majątności. Worek ten, z czterech skór jest uszyty (znowu koncept w tytule), a te cztery skóry odpowiadają czterem głównym rodzajom złego nabycia majątności, i czterem częściami długiego satyryczno moralnego poematu. Pierwsza jest skóra wileza, pierwsza część obejmuje proste złodziejstwa i rabunki; druga lisia, a ta oznacza tych chytrych, którzy przez podstępny, a zwłaszcza przez udane nabożeństwo, dochodzą do pieniędzy; trzecia skóra, centkowana rysia, odpowiada prawnym wykrętom, niesłusznym procesom i wyrokom; czwarta wreszcie lwia, oznacza otwartą przemoc, gwałt i grabież. Koncept sam, cztery skóry, worek i Judasz, nie jest może smaczny, jest wyszukany i wymęczony, ale przedmiot jest niezaprzeczenie bogaty, a satyra na nim osnuta, może być pełną ciekawych rysów obyczajowych. To też, jakkolwiek nie ma w tym worku lekkości i humoru Horacyusza lub Krasickiego, ani potężnej piekającej ironii Juwenala, jakkolwiek palestrant

zbyt często uczy nas, jakie kary stanowiło prawo rzymskie, na różne opisywane przez niego przestępstwa, przecież czyta się dziś ta satyra z większym nierównie zajęciem aniżeli Flis; znać rodzaj niższy lepiej zdolności autora odpowiadał; a forma sama, wiersz, choć do bardzo pięknych nie należy, przecież, choćby przez to tylko, że łatwiejszy i prostszy, lepiej wygląda, niż męcząca a nie zawsze zgrabna strofa satyryczna we Flisie.

Część pierwsza, jest ciekawem w swoim rodzaju i bardzo gruntownem studyum złodziejstwa; znać, że autor w sądzie nabrał niepospolitej tych spraw znajomości. Zaczyna od definicyi prawniczej, a potem wylicza nieskończony szereg gatunków i kategorii złodziejstw i złodziei; są świętokradcy, którzy z największem upodobaniem poświęcają się kradzieży po kościołach, są oszuści, rzeźmieszki, złodzieje koni, pszczół i t. d. bez liku.

Wszystkie prawie te rodzaje złodziejstwa mają poświęcony sobie rozdział osobny. Ciekawy jest ustęp o Cyganach, o ich pochodzeniu, to przynajmniej co sami o niem opowiadają. Inny rodzaj złodziejstwa, który autor nazywa z rzymska *de Plagio sive Plagiatu*, a po polsku ludokupstwem, rzuca dość ciekawe światło na przemyśle, zdrożności i biedy wieku. Pokazuje się z niego, że byli wówczas ludzie, którzy robili sobie rzemiosło i zarobek z wyprowadzania pod różnymi pozorami ludzi do Turcyi, gdzie ich sprzedawali w niewolę. Przemysł ten, rozpowszechniony w Polsce, a zwłaszcza w Węgrzech, miał swoje nazwisko; Klonowicz nazywa tych ludzi z węgierska Martahuzami albo Marłakuzami.

Temat niewoli naprowadza go naturalnie na Tatarów, którzy jassyrem tak srodze naszym dokuczali, i nasuwa mu ustęp o Tatarach, jeden z najlepszych, jakie u niego znaleźć można.

Próżnowaniu, jako początkowi wszystkiego złego, poświęca Klonowicz rozdział osobny, opowiada, jak z próżniactwa dochodzi człowiek do zepsucia i niedostatku, ztąd do kradzieży, od kradzieży na szubienicę. Rozdział ciekawy, bo

można z niego zrobić sobie wyobrażenie, jak się odbywały śledztwa karne za jego czasów. Z tego, że to pisze sędzia, który się takich rzeczy napatrzył, i że nie tylko się na tortury nie oburza, ale zdaje się uważać je za konieczne, wnosić można, że obraz musi być prawdziwy.

„Wtóra część Worka Judaszowego, o skórze i naturze lisiej, a naprzód o tych, którzy pod płaszczykiem nabożeństwa oszukiwają“, obiecuje więcej niż dotrzymuje. Z ciekawością patrzy czytelnik jak nasz stary poeta opíše Tartuffa, ale Tartuffa nie ma. Jest nieco o wiejskich prorokach, cudach i zjawieniach, w które ludzie wierzą, a prorok przepowiada, daje lekarstwa i oszukuje; jest o pielgrzymach, którzy pod pozorem powrotu z Kompostelli lub Jerozolimy włóczę się rzemiennym dyszlem od wsi do wsi i od dworu do dworu i objadają chłopów i panów, szczegóły ciekawe przez podobieństwo do tego, co się i dziś czasem widzi; jest o takich, którzy zbierają pieniądze niby na stawianie kościołów lub na inne pobożne cele, na złych i chciwych księży — wreszcie do lisiej natury i skóry policzeni są i młodzi ludzie, którzy pod pozorem przyjaźni z mężem, szukają szczęścia u żony.

Część trzecia, o naturze i skórze rysiej, o wykrętach prawnych, niesłusznym wyrokach, wyludzonych zapisach, a głównie o lichwie, która pod piórem prawnika powinna była być najobfitszą w ciekawe szczegóły i przypadki prawne, jest mniej zajmująca od dwóch pierwszych. Czwartej zaś nie ma wcale. W kilku wierszach tylko mówi autor, że o lwiej skórze strach pisać.

Z przytoczonych ustępów można poznać, że Worek Judaszów nie jest wcale satyrą pierwszego rzędu; ani bardzo dowcipnie nie szczypie, ani bardzo silnie i wymownie nie gromi. Jednak jeżeli w czem pokazał Klonowicz talent, to w tem; do Horacego, do Krasickiego mu daleko, ale Naruszewicz naprzykład, o tyle od niego późniejszy, po literacku bardziej wykształcony, piszący podług wzorów i mający lepsze wyobrażenie o budowie satyry, wrodzonego ta-

lentu, zmysłu satyrycznego i żywości, nie miał więcej jak Klonowicz w swoich lepszych ustępach.

Ale wielkiem dziełem jego życia, tem do którego sam przywiązywał największą wagę i w który włożył wszystko co tylko myślał i wiedział, jest *Victoria Deorum* (1596). Wielki poemat łacińskim hexametrem, w czterdziestu czterech pieśniach, na siedmiuset blisko kartkach. Poemat, którego nikt dziś nie czyta, ale który używa pewnej w świecie powagi; nie zabawny, ale pelen rzeczy mądrych i prawdziwych! takie jest o nim zdanie; w nim to mieszczą się najlepsze pomysły autora, jego poważny i surowy pogląd na świat, jego znajomość ludzi i znajomość Polaków, jego nienawiść złego i żyłka satyryczna.

Jest w tem zdaniu prawda, ale jest i przesada. Twierdzić, że nie ma rzeczy dobrych w Victorii, byłoby niesprawiedliwie, jak twierdzić, że ich jest więcej lub że są lepsze jak u innych pisarzy. Pod względem moralnym i patriotycznym, *Victoria* ma wartość dobrego zamiaru i trafnego nieraz zapatrywania, ale wartość ta, która może byłaby niepospolitą, gdyby dzieło pisane było prozą, zmniejszona jest ogromnie przez to, że ono jest poematem. Pod względem literackim dzieło jest tak słabe, że nietylko najgorzej świadczy o artystycznych zdolnościach autora, ale szkodzi nawet tym rzeczom dobrym, jakie się w tem dziele znajdują.

Żeby się o tem przekonać, dość je opisać. W przedmowie mówi autor, że szczęście człowieka zamyka się w trzech rzeczach, które są, dobrze się urodzić, dobrze żyć, dobrze umrzeć. Celem, do którego dzieło zmierza, jest dopomódz ludziom do poznania, jak mają dobrze żyć, a dobrze żyjąc, przez całe życie uczyć się dobrze umierać. Co więcej, autor prawie nas uczyć obiecuje, jak się dobrze rodzić mamy; bo pod tem słowem rozumie nietylko samo szczęśliwe przyjście na świat, ale i pierwsze troskliwe i rozumne starania około wieku dziecinnego. Pobudziło go zaś do pisania obyczajów wieku naszego zepsucie, i dlatego on często w wierszach swoich pozwala sobie wiele jako w satyrze, zastrzegając się wszakże, że chce być monitorem a nie

derisorem (upominać nie wydrwiwać) „chrześcijańską miłością Juwenalową licencyę temperując“.

Zdawałoby się więc, że poemat będzie jakimś satyryczno-moralnem kazaniem na występki wieku, i traktatem o sztuce dobrego życia i dobrej śmierci. Ale do tego jeszcze dodaje, zawsze w przedmowie, że chce mówić o wychowaniu prawdziwego bohatera, rozumiejąc zdaje się przez tego herosa, poprostu porządnego człowieka. Zbiera się tych materyj tyle, że już z góry nie można się dziwić obszerności dzieła, a jeszcze nie słyszymy nic o bogach i o ich Victorii: nie domyślamy się jak ta zapowiedziana w przedmowie treść poematu zgodzi się z jego tytułem, i jakim sztucznym węzłem poeta jedno z drugim zwiąże?

Tego nie zgadniemy nawet, kiedy usłyszymy o bogach. W pierwszej pieśni, raczej rozdziale, opowiada nam autor, że bogowie i półbogi mythologii byli synami Jowisza, jak na przykład Herkules, Kastor i Pollux i inni, i ci byli dobrzy i szlachetni. Byli znów inni, synowie Neptuna podług jednych, Ziemi podług innych, źli i zuchwali, którzy chcieli bogów strącić z Olimpu, tacy byli Lestrygoni, którzy jedli ludzi, cyklopy, giganty i t. d. . . . Mniemamy już coś chwycić? Zapewne autor przysłuży się nam jakąś wielką quasi-epopeją o walce bogów z Tytanami, która będzie bardzo mythologiczną, z formy podobną do nieszczęsnych późniejszych alexandryjskich lub rzymskich poematów bohaterских, a w gruncie allegoryczną może, i ozdobioną satyrycznemi alluzyjami do wieku i jego zepsucia. To może Klonowicz zamierzał, może o takim poemacie marzył — gdyby nie, po cóżby był tych bogów wspominał i wyliczał, po co ich Victoria — ale nie zrobił nawet takiego. Kiedy w pierwszym rozdziale powiedział, że były jakieś zuchwale Tytany, które walczyły z dziećmi Jowisza, porzuca ich znowu, przez cały ciąg dzieła nie słyszymy o nich, aż dopiero w ostatnich rozdziałach wraca do nich znowu, opowiada ich pochodzenie i postać, dowodzi, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, byli kiedyś jacyś olbrzymi na świecie, szuka analogii pomiędzy mythem o Tytanach a zbuntowanymi aniołami z Pisma św.

tlómaczy, że przez gigantów rozumie wszystkich ludzi złych, bezbożnych, nieprzyjaciół Boga, i mówi, że jak Jowisz Tytanów, jak Chrystus szatana, tak enota zwycięży złych i złe, *Victoria Deorum est Victoria Virtutis*.

Treści epickiej nie ma żadnej, a bogowie, ich nieprzyjaciecie i ich zwycięztwo nie grają roli żadnej, są tylko okrasą na tytule, niesmaczną przyprawą, erudycyjno poetyczną zacheianką, której autor o tyle nawet usprawiedliwić nie umiał, żeby ją jakoś choć na pozór z treścią swego poematu połączyć.

Zaledwo go zaczął bowiem, zapomina o bogach i o gigantach i zaczyna prawić o szlachectwie, *de vera et falsa nobilitate*. Zkąd? dla czego? on powiada, że poemat cały jest o cnocie, a *nobilitas est virtutis alumna* przeto słusznie od szlachectwa zacząć powinien. Różnie pojmują je ludzie, a najczęściej błędnie, jedni zasadzają je na urodzeniu, drudzy na bogactwie, inni na godnościach i zaszczytach, na piękności, na zbytkach, na zręczności, na srogości. Wszystkie te zdania są mylne, i wszystkie autor po kolci zbić obiecuje, zapowiadając z góry w wielu rozdziałach i w których na które z tych zdań odpowiadać będzie. I tak naprzykład, że prawdziwe szlachectwo nie zasadza się na urodzeniu, tego będzie dowodził we wszystkich rozdziałach aż do 24, potem do 28, że nie polega w bogactwie. Ten porządny podział materji może być chwalebny, ale poetycznym nie jest.

Możemy więc zapomnieć o bogach i wszystkim innem, a śledzić ciągu jego myśli o szlachectwie. Szlachectwo, szlachetność, jest rzeczą konieczną na świecie, która zawsze była i będzie, a pochodzi ztąd, że jedni ludzie z natury są dzielni i zdolni, drudzy do niczego, pierwsi są u bliźnich w poszanowaniu, drudzy w pogardzie. Stopniowanie jest wszędzie i we wszystkim, orzeł jest pierwszym między ptakami, lew między zwierzem, słońce między planetami, nawet u bogów były stopnie, bo byli mniejsi i więksi, ale zasada i miarą szlachectwa jest szlachetność, jest wartość człowieka. Głównym jej warunkiem jest enota, enota doskonała, złożona ze wszystkich cnót poszczególnych, między którymi

pierwsze i kardynalne są Prudentia, Justitia, Fortitudo i Temperantia, a drugim i wielkim warunkiem prawdziwego szlachectwa jest nauka, wykształcenie, które jak do szlachectwa jest potrzebnem najlepiej można poznać ztąd, że samo słowo nobilitas pochodzi od nosse. Następuje dowodzenie, że samo szlachetne urodzenie nie stanowi szlachectwa. Wielu bohaterów, wielu świętych rodziło się w niskim stanie. I tak na przykład, Adam nie miał antenatów wcale, ojciec Abrahama, Thare, był jakąś małą nieznaną figurą, Cyrus był synem żołnierza, Agatokles garnearza, Servius Tullius był niewolnikiem, Tarquinius kupcem, Piast kołodziejem. Co więcej, wszakże bywali wiecej ludzie nie tylko z niskiego ale z nieprawego urodzenia. A co najdziwniejsze, (istotnie najdziwniejsze, że ktoś tego argumentu używa z wszelką powagą i zaufaniem w jego wartość), bogowie sami wychodzili z niskiej ekstrakcyi; Wenera urodziła się z piany morskiej, wcale nieszlachetnie, Jowisz miał kozę za mamkę. Jak musiała być powaga starożytności, jaka wiara w jej wyższość, i jak jej pojęcia i mythy musiały być żywe w tym wieku, jeżeli historia Jowisza i Merkurego mogła służyć za argument i przykład, jak żeby była wziętą z rzeczywistości, z historyi.

Na odwrót znowu z ojców szlachetnych rodzili się synowie podli: Vulkan, jedyny z prawego łoża syn Jowisza, Xerxes, syn Cycerona, największego z filozofów był głupi i t. p.

Dlaczego ludzie nie dziedziczą moralnych przymiotów swoich rodziców? powodem jest wychowanie fizyczne i moralne, pokarm mamki, nieraz i złe obyczaje matki. Z tego twierdzenia wysnuwa się długi ustęp satyryczny o kobietach i ich zepsuciu; ustęp kopiowany choć nie powtórzony żywcem z Juvenała satyry o kobietach, a przez to samo nie zastosowany wcale do współczesnego zepsucia w Polsce. Owe przykłady Pasiphay i Messaliny mogły mieć przystosowanie w Rzymie za Cezarów, ale Boileau już bardzo przesadził, kiedy podług tego wzoru opisywał zepsucie (jakkolwiek wielkie) za Ludwika XIV, w swojej satyrze les Femmes: tem bardziej przesadza Klonowicz, a z tego ustępu

o obyczajach kobiet, jedynym, który nosi na sobie cechę prawdy i rzeczywistości, jest ten, który prawie dosłownie znajduje się w drugiej części Worka Judaszowego.

Przechodzimy potem do zniewieściałości i zbytków szlachty polskiej, w mieszkaniach, biesiadach, ubiorach, do pochwały mierności i wiejskiego życia? W przedmowie autor obiecał mówić o sposobie jakim się wychowują prawdziwi heroës. Istotnie, o to mu chodzi. Nie trzeba dzieci chować w zbytkach i miękkości; to punkt wyjścia, który go prowadzi do owej dygressyi o przepychu polskim i jego zgubnych skutkach. Ale to, co o zbytku mówi, jak i to, co o mierności, to znowu czytaliśmy już nieraz u dawniejszych pisarzy, a zwłaszcza u Reya. Ustęp ten tak przypomina Żywot Poeziewego Człowieka, że w pochwałę wiejskiego i miernego życia, w opisie wiejskich zajęć i „rozkoszy“, w różnych porach roku, Klonowicz zgadza się z nim zupełnie co do myśli, jeżeli nie co do słowa.

Przytoczone epizody satyryczne o kobietach i zbytkach służyć mogą za przykład, jak luźnie i jak niezgrabnie autor wiąże je z treścią główną swego dzieła, i jak nieporządnie szykuje przedmioty; szlachectwo, wychowanie dzieci, zepsucie kobiet, gospodarstwo wiejskie, wszystko to pomieszane tak, że dojść nie można, gdzie się jedno kończy, gdzie drugie zaczyna, a przy każdej sposobności, choćby najblahszej, nie może wytrzymać, tylko wypowie wszystko, co tylko wie, czy to do rzeczy należy czy nie. Naprzykład przy pochwałę wiejskiego życia daje małą teorię gospodarstwa; gdzieindziej, mówiąc, że szlachetnemu człowiekowi potrzebna jest nauka, nietylko wylicza najrozmaitsze nauki, ale je nawet potrochu wykłada, daje jakieś elementarne wiadomości z matematyki naprzykład, z astronomii... kiedy mówi, że służba żołnierska jest najwłaściwszem dla szlachetnego człowieka powołaniem, podaje w krótkości główne nocey o sztuce wojennej.

Że szlachectwo nie zależy od bogactwa, tego tak długo dowodzić nie potrzebuje; mówi tylko, że gdyby tak było, szlachetnymi byłiby złodzieje, lichwiarze, oszuści, meretrices i żydzi. Wartość bogactwa i jego szlachetność, zależy od

sposobu jego nabycia i użycia. To znowu daje mu pocho-
p do uderzenia na nieprawe nabycie majątku, na gwałt, ucisk,
niesprawiedliwość, na wojny, na księży chciwych lub ambit-
nych, rzeczy te same niemal co w trzeciej części Worka
Judaszowego, z dodatkiem ustępu de rusticorum aerumnis,
który świadczy dobrze za autorem, choć nie za poetą. Ciekawe jest to, że kiedy mówi o sposobach zarobkowania po-
zwolonych i właściwych szlachetnemu człowiekowi, oburza
się na przesąd, który wzbraniał szlachcicowi rzemiosła i han-
dlu. Jedyne zajęcia jemu nie przystojne, są albo artes sor-
didae, jak lichwa, szulerstwo i podobne, albo artes ludicrae,
naprzykład, grywać za pieniądze, skakać na linie, ku-
glarstwo i t. p.

Im dalej tem bardziej zaciera się związek, a wątek
gubi pod mnóstwem epizodów; są niektóre nawet politycznej
treści, naprzykład o złodziejstwach skarbu Rzpltej, o nierzą-
dzie, o wolności i swawoli, o wojnach, kiedy je słusznie
prowadzić można i należy; samo zakończenie poematu jest
wzywaniem do wojny, jest to pod tytułem „Carmen Classi-
cum“, które autor przełożył na polskie, jako *Pożar i Wróżka
o Upadku Mocy Tureckiej*.

Ostatnie rozdziały jak wyżej wspomniano, mówią znowu
o Tytanach i bogach, mówią, że była między nimi walka,
w której bogowie odnieśli zwycięstwo. Wróżba, że enota
zwycięży złe, co będzie prawdziwem zwycięstwem bogów
i Boga, a na ostatku wezwanie do małego królewicza Wła-
dysława i małego Tomasza Zamoyskiego, żeby strzegąc
enoty i miłując ją, dopomagali do jej i bogów zwycięstwa.

Trzebaby być Rzymianinem a przynajmniej filologiem,
żeby sądzić hexametry Klonowicza i jego język. Nieznawcy
wydają się one ani bardzo złe ani piękne. Zresztą przyto-
czona treść wystarcza, żeby poznać, iż poemat jest istotnie
potworny. Gdyby Klonowicz był napisał prozą traktat o szla-
chectwie, nie znaleźlibyśmy w nim zapewne nic nowego;
w tem co mówi o swoim wieku, nic, czego byśmy już z jego
poprzedników nie znali: ale mielibyśmy drugie dzieło mo-
ralnej treści, w rodzaju Żywota Poczciwego Człowieka, może

równiej, może większej wartości. Przez swoją poetyczną formę zaś, stała się Victoria nudną i ciężką nad wszelkie pojęcie, a przez poetyczne dodatki bardzo zawikłaną i nieporządną. Nie można zaprzeczyć, żeby to, co Klonowicz mówi nie było słusznem i dobrem, ale wielkiego daru obserwacyi, bystrej nagany wieku, zatem prawdziwego talentu satyrycznego, dopatrzeć w tem dziele nie można.

Gdyby mniej prawil ogólników o zepsuciu obyczajów, a więcej powstawał na fakta i na zle specyficznie polskie, gdyby był dał pokój Messalinie, a uderzał na zepsucie w zyciu publicznem, miałyby więcej obywatelskiej zasługi a jego dzieło więcej historycznej a może i praktycznej wartości. Przedmiotu nie brakło, gdyby go był chciał widzieć; Pasiphae była w mythologii, Messalina w Juwenalu, ale Krzysztof Zborowski naprzykład, był w Polsce. Jego i jemu podobnych jednak Klonowicz nie widzi. Jego Victoria jakkolwiek żalować trzeba, że nie jest napisana po polsku, bo miałyby i dla nas więcej wartości i dla współczesnych może więcej skutku, jest dziwaczne dziełem moralisty nie wielkiego, ale rozsądnego i trzeźwego, który na swoje nieszczęście chciał zostać poetą; jest przytem dziełem człowieka naiwnego, jakich było wielu w tym wieku świeżym i niedoświadczonym w rzeczach literackich, któremu się zdawało, że im więcej spraw i rzeczy książka dotyka, na im więcej kwestyj odpowiada, tem więcej jest warta, i wyobrażał sobie, że można objąć wszystko w jednej książce. Włożył więc w nią całą swoją mądrość i naukę, wszystko co tylko wiedział, zrobił z niej jakieś Omnia in Omnibus, w którem luźnie i na pozór tylko powiązane z sobą epizody mówią o wszystkich rzeczach i niektórych innych, o szlachectwie, o enocie, o wychowaniu, o matematyce, o wojnie, o gospodarstwie, o astrologii -- encyklopedia naukowo nie wiele warta, artystycznie potworna. — Wszystko razem wzięwszy, Klonowicz jest pisarzem, którego największym błędem i nieszczęściem jest to, że pisał wierszem. Język jego jest jeszcze dość czysty, smak nie tak zepsuty, żeby był musiał być smutnym reprezentantem poezyi upadającej. Jego poezya

dlatego nie należy do dobrej epoki, że on nie miał poetycznego talentu. Gdyby był chciał poprzestać na prozie, to przy swoim wykształceniu nie pośledniem, przy swoim zdrowym i szlachetnym poglądzie na świat, przy swojej polszczyźnie jeszcze czystej i nie zepsutej, liczyłby się dziś może do dobrych pisarzy dobrej epoki i do znakomitszych rodzimych moralistów polskich, zamiast liczyć się do smutnego szeregu słabych polskich poetów.

II.

Kronika Polska Bielskiego. Zwrot w literaturze politycznej. Warszawski. Górnicki. Wereszczyński. Grabowski.

Cała ta poezya zostaje daleko w tyle za prozą tych lat. Historia jest wprawdzie uboższa, bo Heidenstein pracuje oczywiście nad pozostałymi księgami *Rerum Polonicarum*, ale ich nie ogłasza: a jedna teraz wychodzi i zamyka dziejopisarstwo XVI wieku *Kronika Polska* Bielskiego.

Ta, ostatnia, znowu podobna jest zupełnie do dawniejszych, znowu wiernie i ściśle trzyma się Długoszowego i Kromerowego typu kroniki, o nowe odkrycia się nie kusi, powtarza tylko tradycyjną historję od Lecha, dawne czasy opowiada wiernie za poprzednikami, dalsze, gdzie tamtych już zabrakło, na własną rękę; słowem, należy zupełnie do tej szkoły kronikarzy, którą otwiera Długosz, a składa Miechowita Decius Wapowski i Kromer, i jest w niej ostatnim. Po nim już takich kronik nie będzie; kierunek wskazany przez Orzechowskiego bierze górę stanowczo, i od końca XVI wieku historycy polscy są kronikarzami współczesnych sobie wypadków. Tworzy się szkoła nowa, której pierwszym praecursorem był Orzechowski, najświetniejszym reprezentantem w wieku XVI Heidenstein, a która utrzymując się przez cały wiek XVII, bo do niej należy i Piasecki, i Łubieński, i Kochowski, i Rudawski, kończy się już w wieku XVIII, na Otwinowskim.

Kronika Bielskiego jest więc ostatnią z rodu; i w najważniejszych, głównych rzeczach, sąd o niej musi być mniej więcej taki sam jak o kronikach poprzedników. Bielski postępuje zupełnie jak oni; powtarza za Długoszem, a podobno więcej jeszcze za gładszym i w jego czasach sławniejszym Kromerem, dalej powtarza za Wapowskim, za Orzechowskim, ezasy Stefana podobno za Heidensteinem, słowem, kompiluje jak dawniejsi, a różni się od nich tem jedynie, że *Kronika Polska* syna, jak niegdyś *Kronika świata* ojca, pisana jest po polsku.

Bo dziś już sprawa ta zdaje się być stanowczo rozjaśnioną, a autorstwo Kroniki Polskiej stanowczo przyznane Joachimowi Bielskiemu. Wiadomo, że wątpliwość wszczęła się ztąd, że syn wydał Kronikę jako dzieło ojca, Marcina, który miał ją pisać do swojej śmierci, zaszłej w roku 1575, a syn tylko ostatnie lat jedenaście dopisać. Wszelako z tego, co sam w przedmowie mówi, że musiał opowiadać dzieje kilku panowań, z przywileju królewskiego dołączonego do pierwszego wydania, z innych współczesnych świadectw, wreszcie z porównania języka i stylu w Kronice Świata i w Kronice Polskiej, dowiedli znawcy, że dzieło jest nie ojca, ale syna. Tylko niektóre ustępy rozpoznano jako będące Marcinowego pióra; mianowicie, jedno z nich weszły prawie w całości z Kroniki Świata (panowanie Łokietka i Kazimierza) — inne, nieliczne, były zapewne fragmentami lub notatkami do *Kroniki Polskiej* przez Marcina przygotowanemi. Zdaje się, że ojciec pisać ją zamierzał, po części może i pisać zaczął, ale księgę ułożył syn, a tylko niektóre zapiski ojca do niej wciągnął.

Nowsi krytycy, od Ossolińskiego począwszy, zajmowali się wiele tą kwestyą Bielskich, a w ostatnich czasach (Nehring), doszli do takiej w tej mierze pewności, że wskazują najdokładniej wszystkie źródła, z jakich Joachim wiadomości swoje czerpał, wszystkich autorów, za którymi powtarzał. I tak, rozróżniają w Kronice dwie połowy od siebie odmienne. Pierwsza dochodzi do roku 1553. W tej trzyma się Bielski zrazu Długosza, ale nie wprost, tylko za pośred-

nictwem Kromera, z którego bierze swoje wiadomości i którego błędy powtarza, gdzieniegdzie wciela w swoje dzieło całe ustępy z ojcowskiej *Kroniki świata* — dalej, gdy Kromera nie stało, trzyma się Wapowskiego, a do pierwszych lat Zygmunta Augusta służą mu *Annale* Orzechowskiego. Aż do tej daty, 1553, wszystko co wie, wzięte jest z tych pisarzy.

Dalej, do Zygmunta Augusta, źródeł mu zabrakło; z Gwagnina tylko miał gdzieniegdzie korzystać, ale to były lata współczesne, wypadki, na które sam patrzył, a w których nieraz brał udział, aktorowie, świadkowie najbliżsi żyli, on ich znał, miał więc żywych źródeł dosyć, a przez swoje stosunki mógł mieć i najważniejsze dokumenta. To też ta część *Kroniki*, panowanie Zygmunta Augusta, uchodzi za najcenniejszą i ze wszystkich najbardziej własną. Bo już panowanie Henryka i Stefana, jak dowodzą krytycy przytaczanymi ustępami, było pisane z pomocą Solikowskiego i Heidensteina. Jest więc Bielski do ostatka kompilatorem, jak cały ten szereg kronikarzy, do którego należy, szkoła występuje w nim po raz ostatni ze wszystkimi swojemi właściwymi cechami.

Co mu przyznać trzeba, to, że ją zamyka godnie, nawet świetnie. Bez takiej wielkiej zdolności i zasługi, bez takiej wartości źródłowej, jaką ma Długosz, bez takiej u współczesnych i potomnych sławy, jaką cieszył się Kromer, który i dla niego był największą powagą, ideałem historyka, ma on swój wdzięk osobny, który nie leży wprawdzie w jego talencie dziejopisarskim, i od niego nie zależy, ale który sprawia, że jest od Kromera miłszym. Pisze po polsku; w każdym razie byłoby to zasługą; ale w tem, jak pisze, tkwi jego właściwa wartość. Europejskie wychowanie Kromera, jego otarcie się po świecie, jego wykształcenie literackie, może i dyplomatyczne powołanie, wreszcie jego ozdobna elegancka łacina, nadają mu pewien pozór gładki, cywilizowany, ale nieco kosmopolityczny. Znamiona i właściwości Polaka znikły, został europejczyk. Bielski pisze po polsku, a w jego polszczyźnie klasycznie prostej i pięknej,

odbija się cała prostota, z jaką Polak ówczesny mówił i z jaką myślał. To jest język polski, jak go Pan Bóg stworzył i jak nim lud mówi, bez żadnych dodatków, ozdób, zwrotów, w jakie uposażyła go literatura, poezya, wymowa, teorya stylu i t. d. Tylko bez tych dodatków także, jakimi go szpeci przypadek, nienwaga, rubaszość, grubiaństwo i t. d. Prostoty i naturalności języka w takim stopniu jak on, nie posiada może żaden z naszych prozaików tego wieku, bo już proza Górnickiego, nie mówiąc o patetycznej prozie Skargi, jest sztuczniejsza, więcej literacka, zaś prostota i naturalność stylu Reya nie umiała być szlachetną i piękną.

A jak klassycznie po polsku pisze, tak i myśli; w wyobrażeniach jak w wyrażeniach ma jakąś pierwotną prostotę i naiwność, w pojęciach swoich ma zdrowy rozsądek i zdrowy zmysł moralny, które sprawiają, że jego Kronika wygląda tak, jak żeby była pisaną przez chłopca, któryby był rozumny i okrzesany, a któryby przecież nie stracił swojego typu, swojego charakteru wiejskiego.

Jego główne wady są te, że wypadki wiążą się u niego chronologicznym tylko porządkiem, że rzeczy drobne i annalistyczne zapiski zajmują zbyt wiele miejsca, że pisząc za drugimi, powtarza często ich pomyłki, a często i sam jest niedokładny — to wszystko prawda. Ale gdyby tych wad nie miał, byłby czemś więcej jak kronikarzem; on więcej niczem nie jest, i może się nie domyślał, że można być historykiem i czego do tego potrzeba. Ale jako kronikarz jest typowy; ma wszystkie cechy i własności rodzaju, nie jest gorszym od innych, jeżeli nie jest lepszym, a jest od nich prostszym, bardziej szczero-polskim, milszym. Jego szkoła była zapewne najniższym szczeblem dziejopisarstwa i musiała się skończyć, jeżeli ono miało naprzód postąpić — to też skończyła się zaraz, nie trzeba się na niego niecierpliwic, bo jest już ostatnim. Po nim już takich nie będzie, a przed nim byli kronikarze zdolniejsi, może byli ucieńsi, ale sympatyczniejszego, milszego podobno nie było.

Pisarze polityczni występują w większej liczbie i świetniej; a bieżące wypadki, stan Rzeczypospolitej, nadały im

charakter odmienny od tego, jaki miała ta gałąź piśmiennictwa przed śmiercią Zygmunta Augusta, przed wolną Elekcją. Aż dotąd statysci nasi widzieli potrzebę różnych zmian, upominali o nie, przestrzegali, że może być źle; ale obejmowali wszystkie zmiany, jakie mieli za potrzebne, wszystkie stawiali na równi, żadna nie wydawała im się pilniejszą i konieczniejszą od innych. Modrzewski zakreśla wielki program poprawy Rzeczypospolitej, a opiera tę poprawę na stosunkach społecznych. Tak się naprawia, takie układa się programy, kiedy się ma czas, swobodę działania i kiedy się liczy na bezpieczeństwo. Ale teraz, po drugim, a dopiero po trzecim Bezkrolewiu, po Elekeyach podwójnych, skutkach domowych fakeyi a zagranicznych pokus i wpływów, po uniknionej przypadkiem tylko (przez śmierć cesarza) wojnie za pierwszym razem, po wojnie choć zwycięskiej za razem drugim, musiało u ludzi myślących zrodzić się przekonanie, że w naszej konstytucyi jest jakiś błąd organiczny i że ten jest naszym niebezpieczeństwem głównym, zatem przedewszystkiem potrzebuje naprawy. Statysci więc, reformatorowie Rzpltej, zwracają odtąd największą uwagę na to jakieś złe, tkwiące w naszym prawie publicznem. Wielkie programy, poprawa obejmująca wszystkie stosunki, usuwają się w głąb; reforma społeczna zwłaszcza, najtrudniejsza, z natury swojej najpowolniejsza ze wszystkich, przypomina się jeszcze czasem, ale z cicha, jak żeby dla spokojności sumienia tylko; a na pierwszy plan występuje kwestya formy rządu, kwestya konstytucyi; poprawa Rzpltej zajmuje się głównie stroną polityczną tej sprawy. Tak będzie długo; aż do Staszycy, do schyłku XVIII wieku, kiedy widoczny i blizki upadek każe na gwałt brać się do ratunku, i łączy społeczny i polityczny pierwiastek naprawy Rzeczypospolitej — za późno.

Pierwszym, który ten zwrot w literaturze politycznej oznacza, jest pisarz najmniej z współczesnych sympatyczny, owszem nie sympatyczny wcale; nizki jako charakter, nie wysoki jako talent, ale rozumny, i przez swój sposób widzenia zajmujący, bo wyjątkowy, Krzysztof Warszewicki. Wy-

stępuje on widoczniej już podczas Elekeyi Henryka, i zaraz na wstępie daje poznać swoją naturę nieszlachetną, kiedy w szumnym panegiryku wynosi pod niebiosa tego Henryka, przeciw któremu wszystkimi siłami i wpływami swojemi pracował, jako gorliwy stronnik austriacki. W drugim Bezkrólewiu znowu Austriakom służy, a po niem znowu Batoremu i służy i kadzi, może nawet szczerze. W mowie bowiem *Po śmierci króla Stefana na głównym zjeździe Mazowieckim* (1587), tłómaczy nietylko dobrze ale wymownie (jedeny raz w życiu) zasługi i zamiary zmarłego. Domaga się też usilnie, natarczywie, jakiegoś sposobu uporządkowania Bezkrólewioń i zabezpieczenia Rzpltej. Do tej materii wróci on w swoim głównem dziele, *de Optimo Statu Libertatis*. Przedtem jednak, za Bezkrólewia po Stefanie, nietylko popiera znowu kandydaturę arcyksięcia (nie ogłoszona *Rozmowa Lechity z Czechem i Oracya pro Maximiliano Rege*), ale samego tego mniemanego króla uczy co ma robić, żeby Polskę zaburzyć (memoryał de Rebus Polonicis turbandis). Później, kiedy Austria stara się skierować na Polskę główny prąd i ciężar wojny tureckiej, Warszewicki znowu (1593) w czterestu *Turcykach*, do najwyższego stopnia retorycznych i suchych, w rozumowaniu zaś słabych, chce namówić i zagrzać Rzpltą do Ligi i do wojny przeciw Turkom. Wreszcie (1598) wydaje *de Optimo Statu Libertatis*, dyalog jak *Dyalogi* Orzechowskiego, jak Kochanowskiego *Wróżki*, z tą różnicą, że prowadzony między historycznymi i znacznymi osobami (kanclerz Ocieski, Padniewski i Orzechowski), a pisany daleko gorzej, niż pisywał Orzechowski. Główną myślą i zasługą tego dziełka jest rozumna i surowa krytyka bezradności i bezskuteczności sejmów, dalej krytyka Elekeyi, której dobrego sposobu nikt nigdy wynaleźć nie zdoła. Autor nie żąda wyraźnie jej zniesienia; zapewne brak mu odwagi. Ale ze wszystkiego, co mówi, znać, że te zniesienia uważałby za pierwszy warunek naprawy Rzeczypospolitej. Gorliwy zwolennik i wielbiciel austriackiego domu, austriackiej polityki, jest monarchistą stanowczym. Wszyscy inni żądają

tylko modyfikacyi, lepszego opisania Elekeyi; Warszewicki jeden wystawia ją jako zasadniczo, absolutnie złą.

Krytyka sejmów jest najostrzejsza może ze wszystkich, jakie dotąd były; sposoby ich uporządkowania i ich skuteczności, wskazane wcale rozumnie. Nieraz bardzo zręczne wskazówki, jak panujący może sobie radzić z opozycyami. Jednem słowem rozumna książka, w której prawd jest dużo. Szkoda tylko, że książka zła, ciężko, sucho, a szumnie pisana; szkoda większa, że rozumny autor, który widocznie mógł wyjść na pożytecznego człowieka, przez wykretny niski charakter stał się i szkodliwym i nie szanownym.

Jego druga książka, *de Legato et Legatione* (1595), jest naprzód lepsza, bo celowi swojemu zupełnie odpowiada, potem jest ciekawa, bo pozwala wejrzeć w mechanizm, w obyczaj dyplomacyi XVI wieku, dalej jest bardzo praktyczna, bardzo przydatna, kiedy uczy posła, jak się ma zachowywać względem obcego i względem własnego dworu, a wreszcie jest godna uwagi i wdzięczności przez to, że jedyna w literaturze, zajmuje się tem, co nasi pisarze zaniedbują a zapewne zaniedbywała i nasza Rzeczpospolita, służbą dyplomatyczną, jej zadaniem, obowiązkami i warunkami powołania.

Gdyby Warszewicki był tylko fanatykiem polityki austriackiej¹⁾, gdyby był za nią pisał, mówił, agitował na Elekeyach, możnaby mówić, że miał słusność lub nie, ale nie możnaby mu nie naprawdę zarzucić; byłby doktrynerem może uprzedzonym, krzywo rzeczy widzącym, ale szanownym zresztą, a ze względu na całość jego przekonań, oryginalnym w ówczesnej Polsce wyjątkiem. Na nieszczęście sympatye austriackie pociągnęły go po za granicę czynów, dozwolonych sumieniem porządnego człowieka i Polaka. Archiwum wiedeńskie przechowuje jego memoriał, podany cesarzowi Maxymilianowi po Elekeyi Batorego, teraz już (przez pana Wierzbowskiego) ogłoszony, w którym uczy go, jak ma uzurpatora z Polski wyrzucić, a tron sobie słusznie należący

¹⁾ Ustęp wyjęty z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

osiąść. Że cesarza uważał za prawego króla, Batorego za przywłaszczyciela, to jeszcze dałoby się usprawiedliwić. Elekcyja była podwójna, zatem zupełnie prawną nie była żadna, a choć prawniejszą i prawdziwszą była Elekeya Stefana, przecież da się przypuścić, że ktoś w dobrej wierze miał tamtego za prawego króla. Podobnie mógł myśleć przy Elekcyi Zygmunta III. Ale co w dobrej wierze zrobić się nie dało, co z sumieniem uczciwego człowieka i Polaka zgodzić się nie mogło, a przeto usprawiedliwionem być nie może, to zachęcać, namawiać cesarza, żeby szedł do Polski z wojskiem, uczyć go, jak ma korzystać z niezgód i ambicij polskich, jak podchlebstwem i przekupstwem czyli demoralizowaniem Polski, ma ją poddać pod swoją władzę. Sumienie ludzkie umie się wybornie tumanić i łudzić, więc i on zapewne wmawiał w siebie, że to wszystko radzi i mówi dla dobra Rzpltej; może w tem było więcej zaślepienia i doktryny, aniżeli podchlebstwa i przewrotności, ale zawsze była to brzydka intryga, która usprawiedliwić się nie da.

Zdaje się, że musiał to być człowiek rozumny, uczony, trafnie ludzi i rzeczy sądzący, ale próżny i ambitny; w ambicyi zawiedziony, stawał się zgryźliwym i zazdrosnym: uniżony względem tych, od których wywyższenia się spodziewał, umiał w potrzebie unżyć się i przed tymi, których tylko co szarpał i szkalował; człowiek, który miał darów i przymiotów wiele, tylko jednego nie miał, nie miał nic wzniosłego w duszy, w postępowaniu, w charakterze: ani w swoim talencie pisarskim. Czy miał wysokie zdolności praktyczne? Z usposobienia i pism zdawałoby się, że powinien był być zręcznym dyplomata; przecież jest jedna uwaga, która się temu przypuszczeniu sprzeciwia; oto najwyższe godności, jakie piastował, były kanonia krakowska i urząd sekretarza królewskiego. Za Stefana, może człowiek jego przekonań i stronnictwa wyżej wyjść nie mógł, ale Zygmunt III, który sam był tych samych zasad i tego samego stronnictwa, ten zda się powinien był używać go, lubić i wynieść. Tymczasem nie zrobił tego. Dlaczego? Zgadywać trudno, przecież przypuszczać można, że albo nie ufał jego

charakterowi, że Warszewicki z powodu swoich konszach-tów z Austryakami miał w Polsce złą reputację, albo też, że w nim nie widział zdolności dostatecznej do kierowania czemkolwiek.

Musiały zachodzić oba te powody. Zygmunt III nie miał powodu być łaskawym na człowieka, który mu i szkodził i ubliżał; dowierzać mu nie mógł: a reputacya? Ta niestety nie była szczególna. Źle czasem ludzie wychodzą na bliższem poznaniu, a o ile literaturze dobrą, o tyle Warszewickiemu złą usługę oddał p. Wierzbowski, kiedy przy nieznanym jego pismach wydał i listy (do niego i od niego) lub wzmianki o nim, z cesarskiego wiedeńskiego i z watykańskiego (w części) archiwum, z biblioteki Zamoyskich w Warszawie i Ossolińskich we Lwowie, wreszcie z aktów kapituły krakowskiej. Z listów tych bowiem, nabiera się przekonania, że był to w sutannie wprowadzie i z wielkimi zasadami na ustach (a może i w sercu), ale rodzaj politycznego awanturnika, przez współczesnych mało szanowanego, sławy nie szczególnej, nie wielkiej powagi i godności w sposobie życia, które zeszło na ustawicznej gonitwie za stanowiskiem i dochodami, na ustawicznej walce z ich brakiem.

Charakter był widocznie nie piękny, a to tłumaczy mały jego u współczesnych wpływ i znaczenie. Człowieka, którego nie szanują, wtedy tylko ludzie słuchają, kiedy ich złym skłonnościom pochlebia i do nich trafia. Tego Warszewicki nie robi; nieuczciwy jako człowiek, w działaniu, pi-smami swojemi nikogo nie psuje i Rzpltej nie szkodzi. Jest też jako pisarz szanowniejszy niż jako człowiek. A że rozumny niezaprzeczenie, że w kwestyi rządu śmielszy i wy-trawniejszy od wielu, musimy go zawsze uważać za pisarza politycznego niezwykłej miary i wartości. Byłby nawet znakomitym bardzo, gdyby był miał więcej talentu; jak byłby znakomitym zapewne i bardzo zasłużonym człowiekiem, gdyby był miał więcej charakteru.

Z Elekcją Zygmunta III łączy się, pod jej smutnem wrażeniem była napisana, Górnickiego *Rozmowa Polaka z Włochem*. Napisana: nie ogłoszona. W przedmowie do wy-

dania z roku 1616, świadczą synowie autora, że ojciec za radą znakomitych w ojczyźnie ludzi, Zamoyskiego między innymi, dziełko swoje w rękopiśmie zatrzymał, żeby nie oburzyć i nie rozjątrzyć rozmiłowanej w Elekeyi opinii. Z kopii jakiejś, a może i bez wiedzy czyjem było, wydał je Suski, pisarz grodzki, przemyski, w roku 1589.

Jest to jedna z pięknych rzeczy w naszej literaturze politycznej. Ślicznie pisana naprzód, znać na niej jednego z mistrzów języka. Potem od innych współczesnych pism tego rodzaju różna i wyższa tem, że nie moralizuje, nie prawi kazań ani ogólników. Wreszcie tak rozumnie, z tak niepospolitą siłą argumentacyi dowodzi, że mniemana nasza wolność i równość zawsze, ale przy Elekeyach szczególnie, jest wielkiem złudzeniem, którem się sami oszukujemy, że pod tym względem żaden z współczesnych pisarzy, a może i z następnych aż do Konarskiego, nie jest Górnickiemu równy. Argumentacya ta spokojna, bez namiętności i wybuchów, jest przecież bardzo wymowna, działa nie na sam rozum tylko, ale i na uczucie. Włoch, który wyobraża opinię autora, żąda innego sposobu Elekeyi, mianowicie żeby ona odbywała się *w murze* przez sejm, przez posłów, a nie *in ritim*. W takim razie i wolność jej byłaby prawdziwsza, i jej skutek mniej wydany na wolę losu, przypadku, zagranicznych intryg, domowych fakeyi, i t. p.

To jest myśl główna, ale nie jedyna. *Rozmowa* ma być nie o samej tylko Elekeyi, ale i o prawach; a wielka ilość nadużyć i gwałtów, wielka ich bezkarność zwłaszcza, wskazuje Włochowi, że i prawa polskie potrzebują poprawy. Mianowicie *Neminem captivabimus nisi jure victum*, doskonale w zasadzie, staje się złem i zgubnem, kiedy jak u nas służy i nadużywa się do tego, by winny różnymi sposobami oszukiwał sprawiedliwość, wykręcał się od sądu i kary. To prawo zatem miałoby być zniesionem, nie dlatego, jakoby było złe samo w sobie, ale że my nie jesteśmy dość dobrzy, by z niego korzystać jak należy.

Dalej żąda Górnicki reformy postępowania sądowego, i choć nieśmiało, niedostatecznie, zmiany prawa o karze na

mężobójstwo. W trzeciej Rozmowie wreszcie, podaje sposób, jakby te pożądane zmiany w życie wprowadzić, i wymyśla go, trzeba przyznać, źle.

Sposobem tym jest Dyktatura. W teoryi, w logice, rozumowanie słuszne. Kiedy stan kraju dochodzi do nierządu, tam władza jednego może przywrócić porządek. Ale w tym szczególnym polskim przypadku, środek niepraktyczny, błahy. Nikt tu nie był dość mocnym, żeby władzę zamachem stanu opanować; a żądać od sejmu, jak właśnie robi Górnicki, żeby dobrowolnie zrzekł się swoich praw i wolności, i na jakiś czas powierzył je Dyktatorowi, to utopia bardzo dziwna. Żadne ciało prawodawcze na świecie nie zdobyłoby się na taki akt; a sejm polski, gdyby był chciał, czy mógł, rozumieć, że nierząd grozi upadnięciem ojczyzny, i gdyby był zdolny tej ofiary, jakiej Górnicki od niego żąda, jużby Dyktatury nie potrzebował, bo miałby oczywiście dość mądrości i woli na to, by sam stan Rzeczypospolitej poprawił.

Pod Dyktaturą tedy miałyby się dokonać reforma sprawiedliwości (praw i procedury), dalej zmiana konstytucyi, sejm nieustający, ale jedno-izbowy, złożony z senatorów i posłów. W takim sejmie, w obecności króla i senatorów, posłowie mniejby rozprawiali i swarzyli się, a uchwaliliby więcej. Dalej miałyby być dozwolone ordynacye, a młodzi synowie mieliby iść na wschód, osiadać puste ziemie, kolonizować Ukrainę i dalej aż pod Krym. Poprawa obyczajów, lepszy byt miast, ożywienie handlu i t. d., wszystko to miałyby zaprowadzić Dyktator. Niepodobieństwo wykonania tych reform tą drogą, jest tak oczywiste, jak potrzeba i użyteczność reform samych.

Kończy się Rozmowa rozruchem na polu Elekeyi, dobywają się szable; Polak już nie chce jej chwalić, bo widzi, że się krwią obleje.

Droga do Zupetnej Wolności (kiedy napisana niewiadomo, wydana po raz pierwszy 1650), to zupełne przekształcenie konstytucyi polskiej. Prawdopodobnie widzi Górnicki, że ta, która jest, do złego końca doprowadzić musi; ale widzi zarazem zaślepienie szlachty, jej fałszywe pojęcie wol-

ności, i widzi, że to przeprzeć się nie da. Przypuszcza zatem, że rząd w formach bardziej republikańskich, może przyjąłby się łatwiej i może zdołałby być rządem prawdziwym. Przenosi tedy najwyższą władzę na sejm, a wykonywać ją każe dwom urzędom, przez sejm wybranym. Jest to zastosowanie konstytucyi weneckiej do Polski. Sejm Górnickiego wychodzi na to mniej więcej czem tam była *Wielka Rada*, *Urząd Górny* odpowiada *Signorii*, a *Urząd Dwunastu* jest kopią *Rady Dziesięciu*. Król sehdzi zupełnie na stanowisko Doży. Być może, że w teoryi Górnicki miał słusność, że czysto republikańska forma rządu, byłaby dla Polski mniej niebezpieczną, niż Elekeye i Bezkrólewia. Ale nie mówiąc już o tem, że ogromne atrybucye owych dwóch urzędów, prowadziłyby musiały prosto do absolutnej oligarchii, trzeba mu wytknąć ten błąd wielki, że kiedy chciał zaprowadzić republikę czystą, to powinien był znieść króla. Skoro go zostawia, to zostawia z nim razem te niebezpieczeństwa Bezkrólewioów i Elekeyi, o których usunięcie głównie mu chodzi.

Nie jest Górnicki Modrzewskim w swoich pomysłach¹⁾ politycznych, jak nie jest Kochanowskim w poezyi, Heidensteinem w historii. Miał śliczny sposób pisania, miał rozum bystry i bardzo wykształcony; zdolności pierwszego rządu nie miał. Pojętność, chwytność, dar przyswojenia sobie wielu rzeczy i pięknego przejrystego ich wypowiedzenia, oto sądząc z pism cechy umysłu, który ani w historii ani w literaturze do pierwszych ról i stanowisk najwyższych stworzonym nie był.

Ale to wszystko przyznając, gdyby zapytać czy w jego politycznych pismach jest jaka myśl nowa, występująca w literaturze bądź to po raz pierwszy, bądź po raz pierwszy wyraźnie i silnie, zatem, czy on do skarbu tej literatury co własnego wnosi a sobie zdobywa jaką osobną i ważną zasługę, to w odpowiedzi trzebaby zaświadczyć, że tak jest. Prawda, że od swoich poprzedników był bogatszy o doświadczenie Elekeyi; być więc może, że każdy z nich byłby pa-

¹⁾ Ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

trzał na sprawy jak on, gdyby był widział te same co on wypadki. Ale tego zaprzeczyć nie można, że przez cały ciąg panowania Zygimunta Augusta nasi statysci widzą i wskazują wszystko złe, jakie jest w Rzpltej, ale żaden nie mówi, żaden naprawdę nie czuje potrzeby wzmocnienia rządu. O większy porządek wołają wszyscy, o silniejszy rząd żaden. Dla Modrzewskiego, jak dla Orzechowskiego konstytucya polska, forma rządu, jest doskonała. Górnicki pierwszy spostrzega się, że tak nie jest. I to jest ta między nim a tamtymi różnica. To nowość w literaturze politycznej, która jest jego własną myślą i zasługą. Same jego pomylki, same jego sprzeczności, najslabsze jego pomysły, dowodzą, że tę potrzebę rządu czuł, i z jej świadomości pochodzą. Utopijną, niemożliwą jest ta Dyktatura, którą wymyśla w *Rozmowie*, ale to wymysł człowieka, który widocznie szuka i pracuje, jakby w Polsce rząd zaprowadzić się dało. A sprzeczność między *Rozmową*, która władzę królewską chce wzmocnić, i *Drogą*, która ją prawie znosi na korzyść oligarchicznej jakiejś Republiki, znowu świadczy za tem samem usilnem uporczywem szukaniem. Nie przyjmie Polska rządu w tej formie, podejrzywa króla, boi się, żeby tyranem nie został, i nie tego uprzedzenia przełamać, wykorznić nie zdoła; a więc skoro tym sposobem nie można, spróbujmy innego. Może przyjmą rząd sprężysty, rzeczywisty, jeżeli go dzierżyć będą sami, a byle był, byleby go ktoś wykonywał, mniejsza o formę. Ta sprzeczność może być tylko zmianą zdania u człowieka rozumnego i wytrawnego, który widzi, że rzecz konieczna jednym sposobem zrobić się nie da, i szuka innego.

Nie był najpotężniejszym u nas politycznym umysłem między pisarzami tego wieku, ale był tym, który w politycznym rodzaju najwłaściwiej, najlepiej pisać umiał. A dodawszy do tego, że ze wszystkich najwyraźniej dostrzegał potrzeby silniejszego rządu, że żądał ograniczenia Elekeyi (zawarcia jej w murze), że upomina o należyty wzgląd na miasta i o ubezpieczenie Rzpltej od Wschodu przez kolonizacyę kresów, przyznać mu trzeba, że nie największy z na-

szych pisarzy politycznych XVI wieku, jest na jego schyłku, w epoce już elekcyjnej, ze wszystkich najznakomitszym.

Osobną grupę, między naszymi pisarzami politycznymi, stanowią ci, którzy się zajmują przeważnie a prawie wyłącznie ówczesną kwestyą wschodnią, zabezpieczeniem Polski od Turków i Tatarów, przez to i od groźnego północnego sąsiada. Ci zasługują na szczególnie wdzięczną pamięć, bo i kwestya była pierwszej wagi, i pomysły ich są bardzo szlachetne, a przytem mądre, praktyczne. Jednym jest Józef Wereszczyński biskup kijowski, postać bardzo znana i znacząca, jeden z lepszych kaznodziei swego czasu; drugim jest ksiądz Piotr Grabowski, o którym tyle tylko wiemy, że był proboszczem Parnawskim, bo się tak na dziełkach swoich podpisywał.

Wereszczyński marzy o zakonie rycerskim, który miałby bronić wiary i ojezyny od Bisurmana, a zarazem kolonizować i uprawiać ziemie kresowe, zakorzeniać i krzewić w nich Polskę. Organizuje przytem wojsko, na podstawie niepospolicie nawet uciążliwego podatku i poboru rekruta. Oprócz tego podaje mądry, a nawet łatwy do wykonania sposób zaludnienia, zbogacenia i fortyfikowania Kijowa, przez co umocniłaby się pozycya Rzeczypospolitej nad Dnieprem i za nim, a Moskwie, która się coraz bardziej wdziera i wpycha w nasze granice, zawarłby się przystęp do Ukrainy.

Grabowski jest tamtego pomysłem swoim blizki. Nie zakłada rycerskiego zakonu, ale rycerskie kolonie z organizacją wojskową, których przeznaczeniem byłoby granic strzedz, a ziemię uprawiać, i osady sobą zasłaniać. Tym sposobem nie tylko moglibyśmy od Tatarów się zabezpieczyć i wzrosć w bogactwo na tych bujnych ziemiach, ale moglibyśmy posuwać się coraz dalej na Wschód i z czasem może o Krym się pokusić. W innem pisemku: *Zwierciadło Rzeczypospolitej*, mówi Grabowski o stosunkach wewnętrznych. W tem jego zwierciadle przejrzeć się mogła nietylko ówczesna Polska. Typy różnych *lekarzy* Rzeczypospolitej opisane są krótko, ale tak trafnie, tak dosadnie, że od greckich i rzymskich aż do dzisiejszych czasów poznać w nich można

wszystkich wicherzycieli, i wszystkich, którzy im opierać się nie śmia, i wszystkie zawsze te same powody tak wicherzenia, jak i tchórzostwa wobec wicherzenia. Koniec zaś i właściwy cel dziełka, to uregulowanie i skuteczność uchwał sejmowych, a co dziwniejsza, wzmocnienie władzy przez żądane dla króla prawa trzykrotnego *velo* przeciw uchwałom sejmu.

Śliczne są pisma tych obu księży. Tak pełne gorącej miłości ojczyzny, rozumu, szlachetnego popędu, że czyta się je z najgłębszą dla autorów sympatją i z najgłębszym żalem, że nie byli usłuchani.

III.

Skarga. Związek z Kościołem powszechnym i polskim. Obrona Kościoła i stanowisko względem protestantów. Unia. Wewnętrzna poprawa Polski. Bractwo Miłosierdzia. Żywoty Świętych. Kazania na niedziele i święta. Kazania o siedmiu Sakramentach. Pobudki do Modlitwy. Kazania pogrzebowe i dziękczynne. Kazania sejmowe. Charakterystyka ogólna.

Historja literatury kiedy przychodzi do tej epoki schyłku i przejścia, zastaje na wstępie, na samym tym punkcie zwrotnym, postać fenomenalnych prawdziwie rozmiarów i fenomenalnego, wyjątkowego charakteru: człowieka, który nigdy nie występował czynnie w historii, który w sprawach publicznych nie miał udziału, bitw nie wygrywał, w Senacie nie siedział, na sejmach nie głosował, który nietylko nie był mężem stanu, ale nie był nawet człowiekiem świeckim, księdza, którego cała czynność zamyka się w słowie i w piśmie, a który o świeckich rzeczach i sprawach nie nigdy nie mówił i nie pisał, tylko zawsze o duchownych i religijnych. Przecież ten ksiądz, każący o rzeczach wiary lub karności, o Sakramentach, o miłosierdziu, o jedności Kościoła, piszący Żywoty Świętych albo polemiczne dzieła przeciw różnowiercom, ma ten przywilej dziwny, że kiedy Polska dzisiejsza wspomina swoich bohaterów i swoich dobrodziejów, kiedy wdzięcznie i ze czcią mówi o tych, którzy jej najwięcej dobrego zrobili, lub zrobić chcieli, wymienia i jego

imię. W Walhalli wielkich duchów polskich, w pamięci i sercu potomnych, ten czarny habit ma swoje miejsce obok najświetniejszych koron i purpury, obok mieczów, buław i pancerzy, najbardziej poszczerbionych i krwią rdzawych: a gdyby przyszło kiedyś do wybudowania jakiego „narodowego pamiątek Kościoła“, w którym złożoneby były najdroższe po najlepszych relikwie, to w takim skarbcu pamiątek, obok miecza Chrobrego, obok księgi praw Kazimierzowskich, obok ślubnego pierścienia Jadwigi, obok pamiątek po Batorym, Żółkiewskim, Czarnieckim, obok bunuczków, zdobytych przez Jana III i czerwonej czapki Kościuszki, schowałibyśmy niewątpliwie różaniec albo brewiarz Skargi. A gdyby składać przyszło taki skarbiec polskiej myśli i słowa, wieleby laurów zwiedło, wieleby wzniosłych poezyi zbladło, przy bardzo prostych i skromnych słowach tych kazań. Dziwna istotnie postać tego człowieka, który niczem być nie chciał, tylko kaznodzieją, prostym i wiernym opowiadaczem słowa Bożego, a jest jedną z największych chwał i jednym z największych dobroczyńców swego narodu, który sławy nie szukając, znalazł sławę jednego z największych reformatorów Polski, jednego z najmędrszych jej znawców i lekarzy, który nie będąc gieniuszem, najwięcej może powiedział jej rzeczy mądrych i prawdziwych, nie będąc prorokiem najlepiej widział i przewidywał, nie będąc poetą był wieszczem prawdziwym, a pomiędzy natehnionymi jednym z najbardziej natehnionych.

Taka się u nas, dzięki Bogu, utrzymuje jeszcze cześć słów Skargi, takie jakieś religijne dla nich uszanowanie, że uważamy je prawie, jak żeby one nie były prostemi ludzkiemi słowami; mówimy o nich z dobrą wiarą, szczerze, jak o „proroctwach Skargi“. Nic dziwnego; tak się te słowa strasznie na nas sprawdziły, tak co do słowa, że my, zwłaszcza Polacy, z naszą skłonnością do wierzenia w nadprzyrodzone cudowne wpływy i środki, łatwo mogliśmy przypuścić w nich proroczego ducha, skutek bezpośredniego wyższego objawienia; możebyśmy i chcieli, żeby one były prorocze, nieomyłne, boskie, bo w takim razie, jak sprawdziły

się groźby Skargi, tak sprawdziłaby się i pociecha, ta obietnica, którą się ósme kazanie sejmowe zamyka. Czy jest objawienie, czy jest duch proroczy? któż się odważy dochodzić tajemnicy pomiędzy Bogiem a jego sługą; kto zwłaszcza taki pewny siebie i mądry, żeby odgadł i rozróżnił, gdzie się zaczyna objawienie niewątpliwe i nieomyślne, a gdzie się kończy wyjątkowe podniesienie ducha ludzkiego, przez spotęgowane uczucie do natchnienia? Kto tak mądry, żeby rozpoznał, w której myśli, lub w którym słowie człowieka jest więcej boskiej pomocy i łaski. Skarga sam powiada wyraźnie, że „szczególnego objawienia nie ma“, to znaczy, że nie doznał, nie pamięta, żadnego stanu wizyi lub ekstazy, za proroka Duchem świętym natchnionego się nie ma, widzi, myśli, czuje, jak każdy śmiertelny, nie wyjątkowego, nie nadludzkiego w jego życiu ani w jego słowach nie ma. On to wiedział najlepiej, a kiedy sam się tak opisuje, więc takim był. Przecież jest w nim jakaś siła natchnienia, jakaś zdolność przewidywania, której zwykłą nazwać nie może nikt, kto jego słowa z dzisiejszym stanem Polski porównał; przecież, jest w tych słowach taki ton groźby, żalu, lamentu, który się z żadnym świeckim natchnieniem, z żadną poezją porównać nie da, a przypomina tylko powagę, żalność hebrajskich proroków, Dawida, Jeremiasza, zatrwajające groźby Izajasza i gorzkie narzekania Joba. Zkąd to?

Ztąd, że w jednym wielkim sereu skupiły się i podniosły do najwyższej potęgi te uczucia i te myśli, które przez ciąg wieku były w sercach dobrych, i w dobrych głowach. Jak Mickiewicz wypowiedział za Polskę porozbiorową wszystko co ona czuła w swoim nieszczęściu, tak za Polskę XVI wieku wypowiedział Skarga to, czego ona się dla siebie bała, co w sobie zlego widziała. Ten patryotyczny strach, i ten instynkt ratunku, który się widzi wyraźnie we wszystkich naszych pisarzach od połowy panowania Zygmunta Starego, który rośnie za jego syna, a z każdym Bezkrólewem i każdą Elekcją więcej usprawiedliwiony, lęka się bardziej i głośniej o ratunek woła, ta zbiorowa summa i siła rozumu i miłości ojezyny, które były w wielu, wybuchła

teraz z duszy jednego, a ten stał się przez to jakżeby wcielaniem całej duszy narodu, wszystkiego co w niej było szlachetnego i wzniosłego.

Jak zaś związany ze swoją ojczyzną jest skutkiem, ostatnią wypadkową, jej uczuć patryotycznych, tak znowu związany ze swoim Kościołem, jest skutkiem, ale i dalszą przyczyną, dalszą siłą, tego odrodzenia i ustalenia, które się za jego czasów w Kościele odbyło. Jest w Polsce jego najwyższym, oprócz jednego Hozyusza, wyrazem. Należy do tego zastępu ludzi, którzy pod wodzą Hozyusza łączyli się z całym zastępem katolickim w Europie i prowadzili to dzieło, które po Reformie Lutra było nie tylko bardzo silną reakcją katolicyzmu, ale i bardzo rzeczywistą jego reformą, wewnętrzną regeneracją. Kościół zagrożony ze wszystkich stron naraz przez najróżnorodniejsze sekty, poznał rychło, że tylko przez najściślejsze określenie i przestrzeganie jedności nauki, zdoła obronić jej istotę i jej całość; to było powodem zwołania Soboru Trydenckiego i skutkiem jego prac. Ale równocześnie poznał Kościół w walce, że światowość, nadużycia, zepsucie w nim samym, były w wielkiej mierze powodem, a w każdym razie najdzielniejszym pomocnikiem Reformacyi, i ztąd wynikła ta, równocześnie z dogmatyczną obroną nauki katolickiej prowadzona poprawa obyczajów w Kościele. Obok Soboru Trydenckiego, obok doktorów i teologów jak Hozyusz, nieubłaganych stróżów jedności wiary jak Paweł IV, obok ludzi organizujących obronę jak Loyola, i wojujących na całej linii jak jego zakon, zjawia się i ścisły obrachunek z samym sobą, dążność nie do czystości tylko, ale do najwyższej surowości obyczajów, żarliwość religijna, posunięta do mistycyzmu i oderwanie się od świata posunięta do największego ascetyzmu — św. Teresa — wspaniałe przykłady poświęcenia dla wiary w misyonarzach, (św. Xawery) poświęcenia dla bliźnich, jak Karol Boromeusz, wreszcie, czego oddawna niewidziano, jeden z ówczesnych Papieży, Pius V, był tak świątobliwym za życia, że po śmierci czczony jest jako święty. Nastąpiło rzeczywiste i bardzo silne odrodzenie się katolicyzmu w całej Europie.

W Polsce zaczęło się ono za wpływem Hozyusza, a dziwnem, szczęśliwem zrządzeniem losu, objawiło się najpierwej w poprawie duchowieństwa. Wykorzenie protestantyzm i wszystkie jego sekty, przywrócić Polskę pod zupełne posłuszeństwo, zdobyć dla władzy kościelnej przewagę w jej sprawach świeckich, to się nie dało zrobić. Ale zmiana w łonie duchowieństwa, poddanie jego pod karność kościelną i utwierdzenie w prawowierności, to się udało bardzo szczęśliwie i prędko. Przez trzy ćwierci XVI wieku episkopat polski jest doskonałym wyobrażeniem dezorganizacji Kościoła. Biskupi ambitni, światowego usposobienia a lekkiego życia, jak Krzycki naprzykład, albo znów tacy, których nazwisko, jak Gamrata, wzięte było powszechnie na oznaczenie rozpustnika; obok tego kupowanie biskupstw, symonia na wielką skalę, obok tego wielka obojętność religijna w większości, a otwarta skłonność do herezy u niektórych, jak Uchański albo Drohojowski. Biskup zupełnie szanowany jak Samuel Maciejowski jest wyjątkiem, a przy takich pasterzach, duchowieństwo niższe naturalnie w rozprzężeniu; plebanie, po kilka naraz, dawane ludziom, którzy w tych parafiach nigdy nie postali, nieraz i świeckim; w obyczajach wiele zepsucia i zgorszenia; w karności kościelnej i w samej prawowierności wielkie osłabienie, jak tego dowodzą powtarzające się małżeństwa księży. Pod koniec wieku wszystko inaczej. Protestant mógłby oplakiwać energię i działanie tych ludzi, ale nie mógłby zaprzeczyć, że oprócz starszych, jak Karnkowski, Kromer etc, episkopat polski w końcu wieku reprezentowany jest bardzo godnie przez młodszych jak Goślicki, Bernard Maciejowski, Wereszczyński etc., a duchowieństwo niższe mogło się szczycić ludźmi takimi jak Sokołowski, *concionator prope divinus*, jak Wujek etc. Skarga, pośród takich wychowany i żyjący, nie potrzebował zwracać swoich usiłowań do poprawy duchowieństwa; rzecz była zrobiona. Co najwięcej należało upominać i przestrzegać przed złem tylko co minionem, przypominać, że złe w Kościele było w wielkiej części powodem jego nieszczęść, Reformacji. I to Skarga robi: w kazaniu o Sakramencie Kapłaństwa,

w swoich pismach polemicznych (o zachowaniu się względem heretyków); owszem wielokroć odzywa się w tym duchu do księży, którym nie pochlebia nigdy, choć ich, w tej chwili, do poprawy wzywać nie potrzebuje. Ale właśnie dla tego, że był pomiędzy duchowieństwem już przykładowym i gorliwym, właśnie dlatego tem silniej działał w tym kierunku, w którym jeszcze wszystko do zrobienia pozostawało. Za jego młodości Polska cała zalana była protestantyzmem, nie głębokim wprawdzie, ale szeroko rozpostartym; on porwany potężnym prądem katolickiego ruchu, musiał z protestantyzmem walczyć, i to stanowi jedną stronę jego czynności, to jest jedną z głównych jego myśli, dążnością, która się przebija bardzo wyraźnie we wszystkiem co mówił i pisał.

Świat dzisiejszy jest jeszcze często a dziecinnie przyzwyczajony bać się wszystkiego, czem go straszono przez długie czasy. Tak wszelkie wystąpienie w obronie katolicyzmu nauczył się podejrzyc o ukryte dążności, prześladowania innych wyznań, i tak łatwo wierzy książkom i ludziom uczącym, że protestantyzm jest prawie jednoznaczny z wolnością, a katolicyzm z despotyzmem, że pomimo dostatecznie i zbytecznie stwierdzonego fałszu tych paradoxów, fałszu, którego nie dowodzi lepiej nad ten fakt, że przed katolickim despotyzmem polskim lub rzymskim, wolności ludzkiej broni liberalizm pruski i rosyjski — pomimo tego, jeszcze do dziś dnia stanowisko katolickie wydaje się niektórym z nas jako wolności przeciwne, a pod jego obroną boimy się zawsze ukrytego zamiaru palenia heretyków na stosach. Ztąd pochodzą i zdarzają się tu i owdzie podejrzania przeciw Skardze. Szanujemy go, bo szanować musimy; ale był on katolikiem i swego Kościoła bronił z wielkim zapalem — był Jezuitą — całe życie walczył z protestantyzmem, który jest nibyto twierdzą i obroną wolności sumień i myślenia! więc kto wie, czy ten Skarga tak zasługuje na naszą wdzięczność jak się zdaje; kto wie, czy to, co on robił wyszło nam na dobre; kto wie czy nie byłaby Polska wyszła na tem lepiej, gdyby się protestantyzm był w niej dalej krzewił; — kto wie, czy Skarga, choć wielki mowca i wielki

patryota, nie zaszkodził Polsce przez to, że był katolikiem. Zdarzało się słyszeć zdanie, że Skarga, gdyby był chciał służyć Polsce jak się należy, to powinien był nie w katolicyzmie ją utwierdzać, ale prowadzić ją do narodowego osobnego Kościoła.

Wszystko to są rzeczy, na które ze stanowiska religijnego odpowiadać nie można. Kto jest protestantem, nie dziwnego, że sądzi, iż protestantyzm byłby Polsce pomógł. Kto wierzy, że prawda jest w Kościele katolickim, ten musi wierzyć, że dobrze robili ci, którzy tej prawdy bronili; wręczcie, kto mniema, że prawdy religijnej nie ma w żadnym wyznaniu, to jest, że jej nie ma zgoła, ten niech sobie tworzy jakie chce osobne kościoły własnego autoramentu, dla każdego kraju i państwa inny, jak mundur wojska. Ale ze stanowiska ścisłej logiki i sprawiedliwości powiedzieć trzeba, że wszystkie tego rodzaju zdania o Skardze są niesprawiedliwe i nierozsądne. Można by pojąć tego, ktoby powiedział, co za szkoda, że Skarga był katolikiem a nie protestantem; ale dziwić się i żałować, że będąc katolikiem i księdzem, po katolicku myślał i wierzył, to jest sprzeczność, niedorzeczność. Trzeba mu pozwolić być czem był; trzeba przez samą tolerancję przyznać, że jako katolik i ksiądz, i jeden z najznakomitszych między katolikami i księżami swego czasu, miał prawo, nawet gdyby kto nie chciał uznać że miał obowiązek, bronić swojej wiary i swego Kościoła bardzo zagrożonego.

Ale może ze stanowiska politycznego, jego działanie było zgubne; może powrót Polski całej do katolicyzmu miał złe skutki i przyczynił się do jej zguby?

Na to pytanie zaś, ze stanowiska czysto politycznego i samemi politycznymi argumentami odpowiedzieć trzeba, że zwycięstwo katolicyzmu było niewątpliwym Polski interesem, było dla niej logiczną i polityczną koniecznością. Koniecznością logiczną naprzód i od niej woli niezależną, dlatego, że zawsze w każdym kraju i czasie, ta religia ostatecznie zwycięża, która w nim zapuściła najgłębsze korzenie. Zwy-

ciężstwo jego było więc logiczną koniecznością, leżało w naturze rzeczy.

Czy było polityczną potrzebą, polityczną korzyścią Polski? Tak. Nie mówiąc o tem, że protestantyzm był jednym z najsilniejszych powodów zawichrzenia i rozkładu Polski w wieku XVI, trzeba przypomnieć to, że zgoda religijna jest jedną z pierwszych podstaw i rękojmi wewnętrznego spokoju i postronnego bezpieczeństwa państw, że tej zgody najlepszym środkiem jest religijna jedność, jeżeli się bez prześladowania i wojny da utrzymać; w Polsce utrzymała się bez wojen religijnych i bez prześladowania różnowierców. Zatem, przez zwycięstwo katolicyzmu, zwycięstwo bez rozlewu krwi, ustawała jedna z największych przyczyn do wewnętrznych zatargów, że znoszenia się i spiski różnych religijno-politycznych fakeyi polskich z różnemi dworami zagranicznymi, wpływ tych ostatnich na Polskę przez interes religijny, musiały ustać. Korzyść ogromna, korzyść widoczna dla nas dzisiaj, a o ileż więcej dla tych, którzy własnymi oczyma widzieli skutki sporów religijnych za pierwszego Bezkrólewia naprzykład. Że, choć ten powód złego ustał, nie ustały inne i złe trwało dalej, to prawda. Ale to nie zmienia rzeczy, nie zmienia faktu, że niejedność religijna była dla Polski szkodliwą, usunięcie jej, korzystnem, że zatem, jeżeli się bez użycia złych środków usunąć dała, to dobrze robili ci, którzy ten jeden powód złego usuwali. Protestantyzm lub kościół narodowy, wprowadzony do Polski, byłby jej połowę katolicką, zachodnią, rzucił w objęcia i pod panowanie Austrii, połowę wschodnią, schizmatycką, w objęcia i pod panowanie moskiewskiego cara.

Nie szkodził więc Skarga Polsce, kiedy walczył z protestantyzmem; chyba, że wywołał w niej rozruchy, lub wojny domowe, że prześladował, przelewał krew i podpałał stosy. Czy tak było?

W tej pracy nawracania na katolicyzm, jaka się wówczas w całej Polsce prowadziła, miał on wielki udział, to pewna. Jego wpływ miał przywrócić Kościołowi wiele dusz, mianowicie wiele głów z ówczesnego senatu, liczącego tylu

protestantów, żeby wymienić tylko Radziwiłłów, Xsięcia Sierotkę, Jerzego, późniejszego kardynała etc., że zaś w Polsce przykłady takie zawsze działały, więc wierzyć można, że nawrócenie takich kilku protestantów, musiało rozszerzać się na coraz szersze koła, i że jak dawniej za przykładem Górków, Łaskich, Firlejów, na protestantyzm, tak teraz za przykładem podobnym przechodziła szlachta na katolicyzm. Że Skarga do skutku tej propagandy przyczynił się wiele, to pewna. I to był jeden środek jego działania, środek oczywiście godziwy, środek, w którym przymusu i gwałtu nie było i być nie mogło. Drugim, były jego pisma polemiczne. Jest ich znaczna liczba; owszem pierwsze, które wydał, miało tę cechę kontrowersyi teologicznej. Było to dzieło napisane w odpowiedzi Wolanowi: *Pro Sacratissima Eucharistia*; a do końca życia nie ustawał Skarga w tej walce. Ile te jego pisma mają wartości teologicznej, o tem teologom sądzić; musi w nich przecież być dzielność niepospolita, skoro najdzielniejszy podobno z nowoczesnych polemistów katolickich, Bossuet, znał je i do nich się odwoływał.

Ale może w tych swoich pismach jest Skarga fanatycznym, prześladowczym? Przeciwnie. Wszystkie owszem dowodzą, że w owym wieku, któremu obcą była obojętność religijna, rzecz zła, osłoniąca pozorem rzeczy dobrej i nazywająca się tolerancją innych wyznań, Skarga był tak wyrozumiałym i dobrotliwym, jak mało kto z jego współczesnych. Najwyraźniej pokazuje się to w tych jego pismach, w których wyłożył swoje pojęcia o wzajemnym stosunku różnych wyznań w jednym państwie, a mianowicie w *Upomnieniu do katolików o zachowaniu się z Heretyki*, i w *Procesie na konfederacyę*. Skarga ma nowe wiary za fałszywe, a ich zjawienie się w Polsce za zgubne. Ale skoro już są, to gwałtem ich do Kościoła nawracać ani można, ani się godzi; a trzeba im zostawić nie tylko wolność wiary, ale dostęp do wszystkich urzędów i dostojęństw, i „sąsiedzkiego towarzystwa“ (życzliwości w stosunkach prywatnych), im dochowywać. Żąda zaś, żeby heretycy wiary swojej do miast królewskich nie wprowadzali (podług ich własnej zasady

cujus regio ejus religio), żeby sądom duchownym i publicznym nabożeństwu katolickim nie przeszkadzali, żeby oddali te kościoły i te kościelne majątki, które zabrali nieprawnie, bo nie były ich. Przypomnijmy sobie, jakie były w całej ówczesnej Europie prawa i postępowanie katolików przeciw protestantom, a protestantów przeciw katolikom, i zapytajmy potem, kto w ówczesnym świecie był więcej od Skargi, a choćby tyle co on, sprawiedliwym i miłościwym?

Ale w walce z protestantyzmem nie był on ani pierwszym, ani największym. Sprawa była już w toku, kiedy on swój zawód zaczynał, a działanie Hozyusza znaczyło i sprawiło więcej, niż jego pisma lub nawrócenia. Jest za to inne pole, na którem on należy do najpierwszych i najczynniejszych. Zachodni protestantyzm był jednym zewnętrznym niebezpieczeństwem Kościoła w Polsce; drugim była wschodnia Schizma.

W chwili, kiedy katolicyzm po reformacji skupił się w sobie i nabrał sam z siebie sił nowych i ogromnych, musiał on spostrzedz, że na wschodnich granicach Polski rozciągało się dla jego działalności pole ogromne, dotąd mało i bez skutku dotykane, a niezmiernie obiecujące. Był to punkt strategiczny, z którego spodziewać się było można, da się prowadzić dzieło zjednoczenia Kościoła wschodniego z zachodnim; przykład Rusinów, kiedyś z czasem, może usunie niechęci i uprzedzenia Moskali i Słowian południowych, zachęci ich do Unii, i w tej to myśli, Klemens VIII mówił: *o mei Rutheni per Vos ego Orientem convertendum spero.*

Że katolicyzm w Polsce, że Zygmunt III, Solikowski, Karnkowski, J. Radziwiłł, Jezuici, musieli zwrócić oczy w tą stronę, i za pierwszy swój obowiązek, po walce z protestantyzmem, uznać nawrócenie Rusi do Kościoła katolickiego, to było naturalne i konieczne.

Dziś, dziwnie to powiedzieć, to wielkie dzieło Unii, jest u wielu u nas ludzi dość niepopularne. Wiemy, że w dalszym ciągu wyniknęły fatalne skutki, nie z Unii, ale ze złego jej stósowania; i późniejsze upośledzenie tak wschodniej cerkwi jak wschodniego obrządku, późniejsze nadużycia

źle zrozumianego katolicyzmu, zwałyśmy czasem na Unię, jako na pierwszy powód.

Pojęcie fałszywe, niezgodne z historyczną rzeczywistością, ani z koniecznościami i korzyściami politycznego położenia ówczesnej Polski. Późniejsza zrobiła bardzo wiele złego, kiedy obrządek wschodni i duchowieństwo unickie zostawiała w poniżeniu, kiedy patrzyła z góry na unitów i dawała im uczuć, że obrządek łaciński jest *praestantior*; zrobiła bardzo wiele złego, kiedy na powtarzane wielokrotnie żądania nie przyjęła biskupów schizmatyckich a nawet unickich do senatu. Ale nie mieszajmy rzeczy późniejszych z dawniejszemi, a nadużyć, które się na Unii dokonywały, nie przypisujemy jej jako winę. Byłoby to to samo, co powiedzieć naprzykład, że prześladowaniom pierwotnego Kościoła przez Cezarów rzymskich, było winne chrześcijaństwo. Zapewne, nie byłoby prześladowań, gdyby nie było chrześcijaństwa; u nas gdyby nie Unia, nie byłoby może przyszło de staré pomiędzy katolikami i Grekami; ale nie Unia temu winna, że w późniejszych czasach nie umiano ani jej prowadzić, ani z niej korzystać.

Mysł była wielka prawdziwie, popęd był patryotyczny i cywilizacyjny. Bo wyobraźmy sobie dzieło Unii, prowadzone dalej tak energicznie, ale i tak mądrze jak w początkach. Patriarchat grecki byłby rzucił swoje gromy, moskiewski byłby prowadził swoje intrygi między Rusinami zapewne, ale gromy i podstęp byłyby się odbijały jak groch od ściany od serc i umysłów Rusinów jeszcze schizmatyckich, na widok, że ich najbliżsi sąsiedzi chwalą Boga jak oni, tym samym językiem, w tych samych formach, że wprawdzie poddali się pod zwierzchność rzymskiego Papieża, ale się przez to nie zlaszyli, łacinnikami nie zostali, a są we wszystkim równi temu Lachowi, który dla Rusina był bądź co bądź przedmiotem zazdrości i podziwu. Ten przykład byłby swój skutek wywarł, stosunki nieuniknione, przyzwyczajenie, czas wreszcie, byłyby zrobiły resztę, a Unia dalej tak mądrze pielęgnowana, jak była dobrze zaczęta, byłaby się stała nie tylko środkiem rozszerzenia wiary, nie-

tylko kanałem, przez który katolicyzm mógł rozlać się po wschodzie, ale środkiem zabezpieczenia i rozprzestrzenienia Rzpltej, kanałem, przez który byłaby przepłynęła na wschód cywilizacya zachodnia, Unią nie religijną tylko ale polityczną z Rusią, i taką na wschodzie Europy warownią dla Kościoła, dla cywilizacyi i dla Polski, którejby żadna siła wschodnia zdobyć ani obejść nie była mogła. Na tej opoce należało budować i Kościół i twierdzę graniczną, a bramy piekielne nie byłyby ich przemogły.

Tylko, kiedy fundament był założony, dalej nie umieliśmy budowy prowadzić. Czy to wina tych, którzy położyli fundament? Przynajmniej nie wina Skargi?

Żołnierz Kościoła, jak stał w pierwszym szeregu tych, którzy bronili jego jedności od protestantów, tak stał i w pierwszym szeregu tych, którzy pracowali około jego zjednoczenia z Kościołem wschodnim. Owszem, więcej jeszcze. Za ledwo popęd był dany, za ledwo Rzym zaczął porozumiewać się w tej mierze z królem Stefanem, on wystąpił z dziełem, najważniejszym może, jakie w owym czasie było w tej kwestyi napisane, jednym z najpiękniejszych, jakie sam napisał; z dziełem *O Jedności Kościoła Bożego* (1590).

Mickiewicz takie daje dziełu temu świadectwo, i tak treść jego opisuje: „Z jednej strony zbijając różnowierców powstających na Kościół, z drugiej wskazywał rządowi, jakiej drogi trzymać się był powinien. Przekładał Polakom, że główne żywotne zadanie wewnątrz państwa odnosiło się do ziem ruskich, że nie było innego sposobu spoić nieodwołalnie te ziemie z Rzpltą, jak tylko przez węzeł jedności z Kościołem. Dla dopięcia tego celu, radził dać większą opiekę ludowi, polepszyć jego byt materyalny, i na ostatek skłaniać go ku wierze prawdziwej, nie za pomocą środków gwałtownych, ale przez apostołstwo. Wielkie te prawdy zawarte są w dziele: *O Jedności Kościoła*“.

Z tych słów poznać się daje dwojaki cel dzieła: jeden jest teologiczny, czysto duchowny, nawrócenie Rusinów, drugi, przekonać Polskę, czem Unia dla niej być może, jak o nią dbać, jak się o nią starać powinna. Dla autora oczywiście

ten pierwszy jest ważniejszym; nigdy u niego interes świecki nad duchownym nie góruje ani temu za osłonę nie służy. Nawrócić Rusinów do Kościoła, to rzecz główna, dla tej używa wszystkich argumentów i całej wymowy; a co Rzplta przytem zyskać może, to natrąca mądrze, wyraźnie, ale mimochodem.

Nie można tu wchodzić w rozbiór teologicznej ani historycznej wartości dzieła. Dość wspomnieć, że znawcy przyznają mu pod tym względem dwie zalety: pierwszą, że historyczne przedstawienie dziejów schizmy jest w krótkiem zebraniu tak dokładne, a tak przytem prawdziwe i wierne, jak tylko być może; drugą, że we wszystkich kontrowersjach, jakie były prowadzone pomiędzy Kościołem katolickim a wscho-dnim, mało jest takich, któreby prawdy katolickiej dowodziły argumentami tak niezbitemi, tak zwycięzko i tryumfalnie. Teologia katolicka uważa je za jedno z najlepszych dzieł o schizmie i przeciw niej, jakie posiada.

Ze stanowiska świeckiego tylko dwie uwagi. Jedna ta, że Skarga, chcąc Rusinów dla Kościoła pozyskać, nie podchlebia im, nie ustępuje wcale. Ktoby był Unii pragnął i o niej pisał z pobudek świeckich i politycznych tylko, byłby niezawodnie chętnie i łatwo ustępował na wszystkich tych punktach, na których Kościół ustępować mógł i może, byłby gładko przystał na obrządek, na język, na małżeństwo księży: i owszem, to wszystko jedno, byle się rzecz zrobiła! Skarga inaczej. Wprawdzie przyznaje, że to są rzeczy, na których wiara nie należy, i bez których dobrą być może, ale uważając je za ważne, za potrzebne, wołałby, i z tem się nie tai, żeby Rusini przyjęli obyczaj Kościoła łacińskiego co do małżeństw i języka, i tłumaczy im powody, dla których zaprowadzony jest celibat i jeden wszędzie niezmienny język liturgiczny. Powody te są tego rodzaju, że mogłyby dziś przekonać każdego, ktoby pytał, jak się to czasem zdarza, dlaczego Kościół nie pozwala odprawiać Mszy w językach żyjących i wszystkim zrozumiałych. Druga uwaga jest ta, że Skarga bardzo trafnie i mądrze tłumaczy schizmatykom nieunikniony upadek religii, która się dostanie

pod zwierzchność świecką, jej konieczne poniżenie, obumarcie, zdegradowanie do rzędu świeckich biur, i tym argumentem, wiemy jak prawdziwym, Rusinów od Patryarchatu Konstantynopolitańskiego i Metropolii moskiewskiej odciaża.

To, co mówi do Polaków o potrzebie i korzyściach Unii, to jest na słowa i wiersze mało, ale na wagę wiele. „I w rzeczach świeckich państwo to byłoby potężniejsze“, gdybyśmy dawniej byli się o Unię starali.

Wspomniawszy jeszcze *Synod Brzeski* — opis faktu jak się odbył — i *Obronę Synodu Brzeskiego*, w której dowodzi przeciw oszczercom, schizmatykom, że Synod prawnie był zebrany, prawnie się odbył, i że co zrobił, było z dobrem nawróconych Rusinów, wyczerpie się ważniejsze jego pismo w sprawie Unii.

Ta i sprawa protestantyzmu, to były dwie sprawy zewnętrzne Kościoła polskiego za jego czasów. Działal on w obudwóch, działał skutecznie, z dobrem Rzpltej, i z dobrem Kościoła, któremu służył. Ale tak Kościół ten dążący podówczas do poprawy, jak i dobro Rzpltej, wymagały jeszcze czegoś więcej. Nie dość było przekonywać i nawracać różnowierców, trzeba było jeszcze podnosić katolicyzm przez poprawę katolików. To była wielka sprawa wewnętrzna, którą Kościół prowadzić musiał, na której jemu równie jak Rzpltej zależało. I to stanowi drugą stronę jednej i jednolitej zawsze czynności Skargi, stronę od tamtej jeszcze świetniejszą.

Na tem polu bowiem działał swoją najpotężniejszą bronią, tą zdolnością prawdziwie wyjątkową, a tak w nim górującą, że zdeterminowała jego właściwe powołanie, i stała się samą treścią jego życia; mówimy o jego wymowie, o jego zawodzie kaznodziejskim.

Utwierdzać ówczesną Polskę w wierze, podnosić w niej religijnego ducha, nawracać do jedności z Kościołem, to była jedna połowa zadania, która bez drugiej, bez poprawy obyczajów, bez podniesienia moralności i enoty, zostałaby bezskuteczną i nieplodną. Te dwie rzeczy tak do siebie należące, że jedna bez drugiej zupełną być nie może, jak się

nigdy rozdzielić nie dają, tak w działaniu Skargi idą obok siebie, równym krokiem i w równej mierze. Ktoby zaś nawet chciał zaprzeczać, że ówczesna Polska potrzebowała utwierdzenia w wierze, ten przecież nie zaprzeczy, że poprawy obyczajów potrzebowała gwałtownie.

Zaglądając głębiej w historię XVI wieku, jest się przeżonym doprawdy tem mnóstwem dziwnych nieraz nadużyć i wybryków, jakich się dopuszczał ówczesny Polak przez zupełną samowolę, przez wyzwolenie się z pod prawa pisanego i karności, dochodzący do zatracenia nocy prawa przyrodzonego, do dzikości, do okrucieństwa. Nie żeby był do gruntu zepsutym, żeby był zatracił wszelką znajomość złego i dobrego, Boga nad sobą i sumienie w sobie, i z tego wszystkiego szydził; zepsucie jego nie było sceptycznym, cynicznym i wyrafinowanym, jak było we Francyi w wieku XVIII, było to zepsucie natur prostych, jeszcze nie dostatecznie cywilizowanych, a przeto potrzebujących tem więcej karności i rygoru, które z pod tego rygoru wyłamane rozlułały się bez upamiętania. Było w tem więcej popędu krwi jak podszczeowań przewrotnego rozumu; było to coś jak zepsucie młodzieńca, który robi źle, bo nie rozumuje, nie zepsucie człowieka dojrzałego, który robi źle, bo sobie wyrozumował, że nie ma ani złego, ani dobrego, tylko on sam. Ale działały się rzeczy okropne, oburzające. Kiedy wszyscy pisarze XVI wieku, kaznodzieje, moralści, poeci, statyści, tak się na to zepsucie skarżą i tak ciągle grożą karą boską, a przemawiają ogólnie tylko, nie przytaczają faktów i nazwisk, można posądzić ich o przesadę, o zbyt czyny zapał, o surowość czeza, retoryczną, a nie zupełnie usprawiedliwioną. Tymczasem w skromnych i nieznanych zabytkach tej przeszłości, odsłaniają się ilustracye i przykłady do tego, co tamci mówią ogólnie; każde nadużycie, każde barbarzyństwo, na które się skarżą, legitymuje się jako rzeczywiste powagą aktów sądowych, do każdego przypada jakieś nazwisko, jakiś człowiek, jakiś fakt oburzający, straszny. I z tych dokumentów pokazuje się, że dwa były kierunki złego w ówczesnym obyczaju polskim: rozpusta prowadząca do

gwałtu, do dzikości, do barbarzyństwa, i cheiwość prowadząca do nieprawnych zysków, do podstępów sądowych, do nieuczciwości w rzeczach pieniężnych, czyli do rzeczy nieledwie gorszych od barbarzyństwa, bo do przewrotności i podłości.

Trzeba było w społeczeństwo to wszeześcić miłość dobrego i wysokie jego pojęcie; trzeba było przejąć je tem poczuciem, że są rzeczy, których się robić nie godzi, przypomnieć mu odpowiedzialność za uczynki, bojaźń Boga, i rzecz drugą: uszanowanie drugiej istoty ludzkiej, jej praw i jej potrzeb, miłość bliźniego. To było zadanie, któremu świeckie głosy i namowy sprostac nie mogły, pracowały nad niem przez wiek cały napróżno; potrzeba było wyższej powagi, upomnienia w imię samego Boga.

Takiemi były kazania Skargi, najwyższe, najpiękniejsze ze wszystkich, jakie były powiedziane przed nim i po nim. Zagrzewac ludzi do pobożności i do cnoty, to był ich cel, cel wszystkich kazań na świecie.

Na drodze, którą Skarga do tego celu dążył, spotykamy na wstępie dwa uczynki, jedną książkę i jedną instytucję pobożną. Książką są *Żywoty Świętych*, instytucją *Bractwo Miłosierdzia*.

Nie trzeba wcale mistycznej pobożności na to, żeby ocenić wartość tych dwóch rzeczy, a przynajmniej piękność tych dwóch myśli, żeby zrozumieć, iż obie rzeczywiście mogły mieć wpływ zbawienny. Miłosierdzie, pamięć o potrzebach i cierpieniach drugich ludzi, opieka nad starością, chorobą, nędzą, to może jedna z rzeczy dobrych na świecie, która nie ma dotąd nieprzyjaciół, przynajmniej nie ma oszczerców. Jest tak oczywiście, tak niewątpliwie dobra, że nie podniosło się przeciw niej żadne nigdy słowo powątpiewania lub szyderstwa. O Bogu, o złem i dobrem, o wierze, o duszy swojej, różnie człowiek mawiał i mówi!; ale o nieszczęściu i o zasłudze miłosierdzia, odkąd je poznał, mówi zawsze jednako. Zbytecznie mówić o zasłudze, jak zbytecznie dowodzić, że miłosierdzie zbiorowe, wspólne, zorganizowane, działające połączonemi siłami i środkami, jest od osobnego

dzielniejsze i lepsze, bo i cierpiącym więcej może przynieść pomocy, i dla szczęśliwych jako widoczniejsze może być przykładem; i wreszcie przepisami, ustawami, zbiorowością swoją wstrzymuje wolę ludzką od wrodzonych jej osłabień i unżeń, zadaje jej pewien przymus, a temsamem zapewnia zbawienną i konieczną regularną jednostajność działania. Skarga więc, zakładając Bractwo Miłosierdzia, i to w czasie kiedy stowarzyszenia tego rodzaju znane nie były, zrobił wielkie dobrodziejstwo i tym cierpiącym, którzy z uczynków miłosierdzia korzystali, i tym, którzy je wykonywali, i wreszcie społeczeństwu całemu, dobrodziejstwo nie w duchownem tylko, ale w świeckiem znaczeniu; bo nie tak człowieka nie miękczy, nie wyrabia w nim dobrej woli, nie humanizuje, zatem nie cywilizuje jak dobre, które on drugiemu człowiekowi wyrządza. Wpływ cywilizacyjny dobrych uczynków, katechizmowych uczynków miłosiernych, jest nieznaczny ale ogromny; jestto nieustający magnetyczny prąd dobrych słów, myśli i uczuć, przepływający pomiędzy tym, który miłosierdzie świadczy, a tym, który je odbiera. Ale w pomysle Skargi tkwiło jeszcze i coś innego. Polska jego czasów, nie przez złe serce, ale przez krewkość, przez brak zastanowienia się, była bardzo niemilosierna. Człowiek szczęśliwy i swobodny, nie zważał na cierpienia drugiego, nie myślał o nich, nie rozumiał czego sam nie doświadczył, nie liczył, nie odgadywał ile cierpień kryć może życie inne jak jego, ile może kosztować i boleć wyrzeczenie się, brak, rzeczy których on nie znał weale. Był więc wymagającym z braku zastanowienia, twardym z przyzwyczajenia; a że jak zawsze prawie istota ludzka z instynktami bardziej od zasad wyrobionymi, był samolubnym, więc, nieraz i sam o tem nie wiedząc, stawał się nielitościwym, okrutnym. W całym stosunku panów do poddanych, w największej liczbie krzyżujących nadużyć i bezprawioń ówczesnych, był taki instynktowy, nie wyrozumowany brak miłosierdzia. Otóż z pośród tych ludzi, niektórych do miłosierdzia pobudzić, w jego imię zgromadzić i kazać im działać, to było dla Skargi nietylko doprowadzić ich do wykonywania chrześcijańskiego katechizmo-

wego obowiązku, nie tylko podnoszeniem człowieka do cnoty przez wyrabianie w szczęśliwym litości, w możliwym i dumnym pokory, ale mogło być także i dziełem expiacyjnym. Skarga był synem i sługą tego Kościoła, który wierzy w wielki pomiędzy duchami ludzkimi komunizm dobrego, który uczy, że zasługi jednych mogą równoważyć i przeważać złe uczynki drugich, który to prawo związku, wspólności, solidarności, wyznaje między artykułami swojej wiary: Ewangelia mówiła mu, że Odkupienie jest zadośćuczynieniem za grzechy świata, Stary Testament mówił mu, że grzechy Sodomy miały być darowane dla dziesięciu sprawiedliwych: otóż te grzechy niemiłosierdzia w Polsce, ta nędza i ucisk wielu, ta ciężka oppressya zadawana przez tyłu, czy ona nie będzie choć w części okupioną, zmasaną przez miłosierdzie niektórych? Może przykład najpierwszych w kraju ludzi zachęci wielu do współczucia dla ubogiego i cierpiącego, do uznania w nim człowieka; może zwyczaj litości, wprawa, wyrobi pomału i powszechne złagodzenie obyczaju; w każdym razie litości i miłosierdzia nauczyć można ludzi tylko przykładem, praktyką. Jeżeli ten przykład będzie działał, to z czasem społeczeństwo to stanie się i w swoim sumieniu lepszym i w swoim obyczaju bardziej cywilizowanym; jeżeli nie, może przynajmniej dobre uczynki jednych uczynią po części zadość za twardość serca innych. Początek zrobić trzeba — Skarga go zrobił. Czy skutki były, czy przykład działał, czy dobre uczynki przez jego instytucję wykonane zmasały jaki dług zapisany na debet jego wieku, tego dowiemy się dopiero przy ostatnim obrachunku; ale myśl była bardzo chrześcijańska i bardzo cywilizacyjna, i po świecku nawet mówiąc pożyteczna, obiecująca dobre skutki, nie bez patriotycznej zasługi.

Żywoty Świętych (1585). Niema podobno w całej literaturze polskiej książki, którą tak trudno było sądzić ze stanowiska literackiego: a zarazem mało ich jest tak rozpow szechnionych, tak stale czytanych i tak szanowanych. Jak je sądzić? Jeden, nie jeden, ale tysiące powiedzą, że to książka jedna z najpiękniejszych na świecie, że jako książka

treści religijnej, tak treścią i formą odpowiada wszystkim potrzebom i uczuciom duszy ludzkiej, że ją nazwać można doskonałą, klasyczną, i stawiać może nie obok ale blisko *Imitacji Tomasza a Kempis*. Jak ta w rękę każdego katolika, tak *Żywoty Skargi* są od wieków w rękę każdego katolika polskiego. Nie jeden znawca dzieł literatury powie, że widzi i czuje w nich szczególnie wdzięk prostoty i świętości, że czytając je doznaje takiego wrażenia jak żeby zajrzał w duszę wierzącą i świętą i poznał, jak się w takiej duszy odbija świat, życie i ludzie. Inny mógłby tak samo powiedzieć, że nie widzi, co tu tak bardzo admiring: kilkadziesiąt krótkich żywotów, których treść wyjęta z *Martyrologium*, z *Roczników kościelnych* lub z innych gotowych żywotów; opowiedziane to wszystko tak po prostu, stylem tak trzeźwym i skromnym, że niktby się po nim nie domyślił, że autor mógł być wymownym; rzecz opowiedziana, jak we wszystkich legendach na świecie, czasem zajmująca, czasem naiwna do zbytku; wszystkiego przeczytać nie można i nie trzeba: kto zna kilka żywotów, na próbkę, zna je wszystkie.

Obadwa te zdania są możliwe, obadwa dadzą się dowodzić i zbijać z *Żywotami* w rękę, a pogodzić nie dadzą się podobno nigdy: średnio proporcjonalnej między niemi nie wynajdzie nikt. Dlaczego? Oto dlatego, że przy czytaniu i sądzeniu *Żywotów* wszystko zawisło od uczucia, w jakim się je czyta. Kto czyta z tem przekonaniem, że to są „*Żywoty Świętych*“, i na zewnętrzną literacką stronę rzeczy nie zważa, tylko szuka budujących przykładów cnoty, ten odniesie z czytania wrażenie wielkiej powagi, wielkiej świętości, a w dodatku znajdzie, że w prostocie z jaką to jest pisane, a która rzeczywiście po prostocie *Pisma Ś-go* jest może największa jaką spotkać można, znajdzie i wielką piękność, wielki wdzięk harmonii pomiędzy formą a treścią, słowem, powie sobie, że jest w tem mimowolna, ale niezaprzeczonej doskonałości nawet artystycznej.

Ktoby zaś sądził ze stanowiska ściśle świeckiego, literackiego, choćby bez uprzedzeń i z góry powziętego zamiaru szyderstwa, ten znalazłby w *Żywotach Skargi* zapewne da-

leko mniej powabu, niż w wielu średniowiecznych legendach o Świętych. Nie byłoby naprzykład nic dziwnego, gdyby jakiś człowiek sceptyczny, nie wierzący, albo człowiek innego wyznania, znajdował wielkie upodobanie we Fiorettach Ś-go Franciszka, a ruszał ramionami na Żywoty Skargi. Dlaczego? Oto dlatego, że we Fiorettach, jak we wszystkich legendach średniowiecznych, odbiła się indywidualność tego, kto je składał, ktokolwiek on był; a przynajmniej jeżeli nie jego indywidualność, to cała poetyczna naiwność wieku, mieszanina wiary i fantazyi, świat cudowny i nadprzyrodzony, stojący tej fantazyi otworem i tak jej dobrze znany, jak świat rzeczywisty. W tych legendach, a mianowicie we Fiorettach, żywot świętego pokazuje się zawsze przez bardzo istotnie uroczy pryzmat poezyi, i kto dla poezyi ma trochę zmysłu, ten, wierzy czy nie wierzy, czy czyta jak pobożną legendę czy jak bajkę Ariosta, musi znaleźć poezycę w Pieśni Brata Słońca albo w Kazaniu Ś-go Franciszka do wilka.

Inaczej w Żywotach Skargi. Tutaj tej poezyi subiektywnej, indywidualnej, tych śladów wyobraźni człowieka czy wieku niema wcale. Bardziej obiektywnie, bardziej ściśle, prawieby rzecz można, bardziej sucho, pisać nie można, jak on pisał Żywoty. Żadnej preokupacyi literackiej; żadnej chęci przedstawienia tego Świętego w jakiej aureoli poetycznej, tego lub owego cudu w jakimś świetle efektownem, tego lub owego męczeństwa w sposób obrazowy, malowniczy, dramatyczny. Słów tyle, ile ich koniecznie potrzeba, i to same najprostsze: wypadki życia opowiedziane jeden po drugim sucho, bez uwag, bez wykrzykników, bez rozczulenia, słowem, pisane z zastosowaniem ewangelicznego prawidła, mowa wasza niech będzie tak tak — nie nie. W ten sposób piszą ewangelisci; oni także nie płaczą nad męką Chrystusa, nie rozczulają się nad Betleemską stajnią, nie unoszą się nad tryumfem Taboru i Wniebowstąpienia. Skarga trzyma się ich wzoru — nie żeby naśladował — bo przekonany jest, że książka, którą pisze, jest także w treści swojej święta.

Przyznając zatem, że sąd o Żywotach Świętych musi zależeć głównie od katolickiego lub przeciwnego stanowiska

czytelnika, powiedziec tylko trzeba, że doskonalszej, idealniejszej prostoty i czystości języka, stylu, sposobu pisania, niema w całej literaturze polskiej, a powtóre, że w pracy Skargi zajmują one miejsce wielkie i bardzo ważne. Zagrzewać do pobożności, budzić zamięlowanie cnoty... tak, ale jakimi środkami. Słowem, nauką, groźbą, w kazaniach, to jedno, praktyką cnót, pokory, poświęcenia, miłosierdzia, to drugie; ale to nie wszystko. Polska duża, głos z kazalnicy nie wszędzie doniesie, nie każdy, mało kto zapisze się do Bractwa; ale czyta każdy, przynajmniej wielu czyta. Gdyby im dać książkę, w której bez wysilenia i przymusu, w krótkich i prostych słowach, czytałyby mogli opisy najszczytniejszych cnót i doskonałości, w której byłyby cała tęcza do bregu we wszystkich swoich barwach i odcieniach, od najpokorniejszych, najcieńszych, najłagodniejszych, aż do najdziwniejszych przykładów cnoty powstającej z przepaści prawie bezdennej złego? Różne są serca ludzkie i różnych trzeba słów, różnych przykładów, żeby do nich trafić. Jeden będzie patrzył obojętnie na Franciszka z Assyżu rozdającego najątek między ubogich, ale się zastanowi nad Augustynem; drugiemu męczeństwo Ś-go Sebastjana nie zrobi wrażenia, ale go uderzy tak pocieszająca dla słabych ludzi słabowierność Piotra albo Tomasza --- zebrać i opisać żywoty wielu Świętych, to znaczy zebrać na przypadek mnóstwo przykładów i wrażeń, z których każde do pewnego serca, do pewnego usposobienia trafić może. Kiedy Skarga pisał swoje Żywoty, robił to dla chwały Bożej naprzód i tych Świętych, o których pisał, potem dlatego, że literatura polska pobożna takiego dzieła nie miała, a potrzebowała. Ale musiał on myśleć i obiecywać sobie także, że jak się to dzieło rozejdzie, jak ludzie wejdą w znajomość, w towarzystwo z tymi przykładami, to każdy za innym przykładem trudniej, łatwiej, ale przecież do poprawy się skłonia.

W pismach polemicznych przeciw protestantom jest walka odporna, w pismach o Kościele wschodnim jest propaganda, w kazaniach nauka i groźba, w Bractwie przymus do praktyki cnót, w nabożeństwach, jakie zaprowadzał,

zachęcenie do pobożności, do modlitwy, do kontemplacji i chwały Bożej — w Żywotach jest dla każdego towarzystwo budujących przykładów zawsze dostępne a zawsze zbawienie działać mogące. Do zupełności i wszechstronności prac Skargi około wiary i moralności w Polsce, było to dzieło potrzebne. A musiało celowi swemu odpowiadać, musiało być dobre, skoro po wiekach i po tylu zmianach, jest u nas dotąd najbardziej rozpowszechnioną książką religijną.

Ale widząc i podziwiając najszczerzej, wartość i w swoim rodzaju wielką piękność *Żywotów*, trzeba przecież zauważyć i dodać, że dladzisiejszej literatury kościelnej one już takiego znaczenia nie mają, a nawet dla zwykłego byle oświeconego dzisiejszego czytelnika, nie mają tej wartości, jaką miały przed stu jeszcze laty. Biografia Świętych zrobiła bowiem w ciągu naszego wieku, a zwłaszcza w drugiej jego połowie, przez pisarzy francuskich głównie, postęp ogromny. Nie wystarczy już sam żywot wyciągnięty z Martyrologium lub z innych kościelnych źródeł; trzeba tego Świętego pokazać na tle całego jego czasu, w związku z jego pojęciami, stosunkami i walkami. Trzeba pokazać, jak pod wpływem tych stosunków i okoliczności życia, człowiek mający się i uważany za takiego jak drudzy, wyrabia się i podnosi w enocie aż do doskonałości i świętobliwości. Tak pojęty i napisany żywot jednego Świętego, staje się jednym rozdziałem w historii kościoła. Wyższość takiego sposobu jest oczywista; ale nie można słusznie żądać go od Skargi, skoro nikt w jego czasach tak *Żywotów Świętych* nie pojmował i nie pisał.

Wiadomo, że kazania Skargi rozpadają się na dwie grupy. Jedne *Kazania na niedziele i święta* (1595) obejmują wykład i przystosowanie przypadającej na każdy z tych dni Ewangelii, a przeto służyć mogą wszystkim czasom, wszystkim krajom, mają ten charakter ogólnego i niezmiennego przystosowania, który jest skutkiem przedmiotu samego. Jak nie zmieniają się słowa Ewangelii, tak jej wykład, pisma lub mowy homiletyczne, nie zmieniają się nigdy w swojej wartości. Homilie Ś-go Grzegorza lub Ś-go Ambrożego służą na-

szym czasom tak dobrze jak tym, w których były pisane. Podobnie *Kazania na niedziele i święta*: zawsze, i do końca świata będzie w nich ta sama nauka, to samo oświecenie w rzeczach wiary, to samo tłumaczenie jej artykułów lub dowodzenie jej tajemnic, przydatne i budujące dla katolika polskiego, jak dla cudzoziemca, gdyby na jego język były przełożone. Ale dlatego może właśnie, że jest w nich to samo, co w tysiącnych innych kazaniach lub książkach — a innego nie być nie może, bo nie ma dwóch sposobów wykładania Ewangelii — dlatego my potomni rzadziej do nich zaglądamy i mało o nich wiemy. Żle robimy, bo prawda jest, że znajdziemy w nich to samo, co każdy ksiądz każdej niedzieli mówi nam z ambony. Tylko rzecz ta sama powiedziana jest inaczej; tak, jak mało gdzie na świecie była powiedziana; powtórę w tych kazaniach, które zwykle uważamy za czysto dogmatyczne i moralne, jest także i cała ta strona patryotyczna, która nas tak dziwi i elektryzuje w *Kazaniach Przygodnych*. Rzecz naturalna: kazanie jest nauką, jest pukaniem do serc ludzkich i roztrząsaniem sumień, a niema jednej niedzielnej Ewangelii, któraby się nie stosowała do jakiegoś prywatnego lub publicznego grzechu; kaznodzieja wyciągając z niej naukę, musiał, choćby był niechęciał, dotykać złego, jakie widział w swoich słuchaczach. Są też rozsypane w tych kazaniach niemal wszystkie te prawdy gorzkie, które tak groźnie odzywają się z kazań sejmowych. Jest ich może więcej, lub raczej są bardziej zastosowane do szczegółów, do pewnych stanów i powołań, do pewnych złych skłonności, które tam objęte w ogólnem upomnieniu i groźbie, tutaj, gdzie większa liczba kazań zostawiała więcej czasu i miejsca, a właściwa Ewangelia dawała sposobność mówienia o jakimś złem szczegółowem, mają poświęcone sobie osobne nauki i rozbiory. Nic naturalniejszego, jak że Przypowieść o Bogaczu i Łazarzu naprzykład sama zawiodła kaznodzieję do nauki o zbytkach bogaczy i oppressyi ubogich, albo Ewangelia o Dobrym Pasterzu naprzykład, do roztrząsania obowiązków Pasterzy Duchownych. Mają więc i pod tym względem Kazania te wartość bardzo

wielką, są poniekąd szczegółowem, obszerniejszem, choć naturalnie nie systematycznym rozwinięciem tamtych. Wartość ich teologiczna, homilijna, jest zdaniem uprawnionych sędziów ogromna, oparta na głębokiej nauce i wielkiej bystrości w dowodzeniu. Wreszcie pod względem wymowy, są wspaniałe. I gdyby *Kazań Przygodnych* wcale nie było, to Kazania na Niedziele i Święta byłyby spełniły religijne i obywatelskie zadanie Skargi, i to bardzo świetnie: tylko nie tak świetnie. Są w nich ustępy, które mogą śmiało stanąć obok najwspanialszych z *Kazań sejmowych*, ale w przecięciu natchnienie nie podnosi się ani tak często, ani tak wysoko. Może być, że skutkiem treści samej, skutkiem tego, że mowca, tłumacząc naukę kościelną, chciał przede wszystkim być zrozumiałym, przystępnym, jasnym, i mówił bardzo spokojnie, bardzo trzeźwo, rzadko kiedy unosząc się zapalem. Ale taka wymowa spokojna i prosta ma swoją wielką piękność. U Skargi piękność ustępów takich polega w tem, że gdzie niema zapalu i natchnienia, gdzie jest ton spokojny i prawie potoczny, tam niema jednego słowa, jednej myśli zbytecznej: wszystko jest ważne, potrzebne i mądre — wszystko także powiedziane w formie najdoskonalszej. A przytem jedna rzecz, która mu jest właściwa, to bardzo częste zwroty do praktycznego i potocznego życia; jego kazanie nie jest prawie nigdy nauką abstrakcyjną; najczęściej nie mówi o grzechu, lakomstwie, pysze, lenistwie w ogólności, ale o różnych sposobach, jakimi się to zle objawia w Polsce. W takich ustępach ma ton prosty i gniewny, który niektórym wydaje się rubasznym. Czy nim jest? Czy nie jest tylko prostym, otwartym, nie obwijającym nic w bawełnę, ani nie strojącym w kwiaty Retoryki? (Przykład: Kaz. na Narodz. Matki Bożej albo na św. Katarzynę, na św. Mikołaja). Jak jest surowy, jak nie przepuszcza nikomu, niech dowiedzie to, co mówi do księży; (Kaz. na II Niedz. po WNocy i na IV po Świątkach), a jak tym potocznym tonem mówi bardzo wyraźnie i groźnie, mówi to samo co w Kazaniach sejmowych mówi w natchnieniu i uniesieniu, dowód w Kazaniu na Narodzenie Matki Boskiej. Że pod względem uczucia czysto religijnego trudno coś rzewniejszego,

bardziej przejmującego jak sławne Kazanie na W. Piątek na przykład, to rzecz powszechnie znana i przyznana.

Otóż, gdyby Skarga był po sobie zostawił tylko Kazania niedzielne, byłby spełnił całe swoje zadanie; tylko nie tak świetnie, jak je spełnił, kiedy oprócz tamtych zostawił jeszcze Kazania Przygodne.

Z ambony w każdą niedzielę i święto mówi ksiądz każdy, choć żaden może tak; ale nie każdy ksiądz jest kaznodzieją królewskim, nie każdy mieszkając na dworze przez lat kilkadziesiąt, ma sposobność tak poznać ludzi i ich sprawy, nie każdy mówi na ambonie w chwili, kiedy przybiega goniec z wiadomością o zwycięztwie pod Kirchholmem, nie każdy jest kaznodzieją sejmowym. A choć to stanowisko wyjątkowe było oczywiście skutkiem wyjątkowych darów kaznodziei, choć na innych ono tak szczęśliwie nie wpłynęło, przecież i największy dar wymowy i wyjątkowe usposobienie, musiały z takiego stanowiska odnieść wpływ szczęśliwy, musiały od okoliczności odbierać silne potraćenie do natchnienia.

Sam Skarga wydając zbiór tych kazań pod tytułem Przygodnych, oznaczył, że jak tamte służyły wszystkim powtarzającym się co roku niedzielom i świętom, tak te odnosiły się do pewnych szczególnych faktów, pod ich wpływem powstawały, służyły pewnej szczególnej okoliczności lub pewnemu przedmiotowi.

I te kazania słusznie sławniejsze, przewyższają Niedzielne pod względem wymowy i patryotycznego natchnienia, nie ustępują im pod względem uczucia religijnego.

Monografia Skargi przez M. Dzieduszyckiego dzieli je bardzo trafnie na cztery kategorie: na kazania ściśle religijne, pogrzebowe, trzecie, powiedziane z okazji jakiegoś szczęśliwego w Rzpltej wypadku, które pięknie nazywa tryumfalnymi, i wreszcie te, któreby równie słusznie nazwać można politycznymi jak pokutnymi lub proroczymi, Kazania sejmowe.

Pomiędzy ściśle religijnymi pierwsze każą o sobie wspomnieć Kazania o *Siedmiu Sakramentach*. Pod względem dogmatycznym najlepsze podobno ze wszystkich dzieł i mów Skargi. Teologowie przyznają, że mało jest dzieł w literatu-

rze teologicznej katolickiego świata, któreby naukę Kościoła o Sakramentach wykladały w sposób tak jasny, tak dokładny i wyczerpujący, a dowodziły jej w sposób tak przekonujący, jak te czterdzieści jeden kazań Skargi. Wrażenie człowieka świeckiego, nie teologa, zatem nie mającego w tych rzeczach głosu, zgadza się z tym sądem: przyznaje, że czytając uczy się i przekonuje. A nadto, czytając jest się zadziwionym dwoma przymiotami mowy: jego darem nauczania, i jego darem rozrzewnienia. Ten zmysł praktyczny, który Skargi nigdy nie opuszcza, sprawia, że nie przestając na tem, co ludzie mają o Sakramentach wierzyć i jak je przyjmować, uczy ich jeszcze, jak sobie mają w pewnych przypadkach radzić. Naprzykład jest w jednym z tych kazań, w piątym o Pokucie (z porządku 29) nauka dla penitenta, jak ma do spowiedzi się gotować, jak sobie ułatwiać rachunek sumienia i t. d.: dla spowiednika, jak ma spowiedzi słuchać, i ta ostatnia zwłaszcza, bardzo mądra, oparta na wielkiej znajomości różnych natur ludzkich, określająca tak trafnie sposoby, w jakie spowiednik ma mówić do ludzi różnego usposobienia, żeby im trafić do przekonania, z delikatną wyrozumiałością dla wątpliwości lub trwożliwości niektórych sumień. Podobna lub jeszcze piękniejsza w kazaniu drugim o Ostatniem Namaszczeniu (z porządku 33) nauka dla księży, jak mają człowieka chorego na śmierć przygotowywać, jak mu dodawać odwagi lub cieszyć; co mówić, jeżeli ten umierający jest zaprzątnięty sprawami i myślami światowemi, co, jeżeli się śmierci boi, co, jeżeli się bardzo wyzdrowienia spodziewa, i to wszystko tak pięknie, że trzymając się jego rady, nieraz zlagodzilibyśmy sobie tę twarde konieczność oświecenia chorego o blizkim końcu i skłonienia go, żeby się do śmierci przygotował. Są takie rady i dla świeckich, dla wszystkich, naprzykład w kazaniu X o Eucharystyi (XXIV), sposób słuchania Mszy; jak zaś w tych kazaniach jest czasem Skarga wymownym, rozezulonym i rozezulającym, to pokazuje może najlepiej przepyszna Modlitwa przy Mszy Św.

Już to modlitwy, jakie często przychodzą w ciągu jego kazań, a zwłaszcza przy końcu, należą do najpiękniejszych

na świecie; może wytrzymałyby porównanie z temi, które się wylewały prośbą lub hymnem pochwalnym z wezbranych a gorejących serc średniowiecznych Świętych, jak św. Bernard naprzykład albo Franciszek z Assyżu. I pod tym względem za najlepszy może przykład stanąć mogą jego Pobudki do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa: jedne z najpiękniejszych pomiędzy jego kazaniami.

W tem nabożeństwie także, kiedy je zaprowadził i do niego wzywał, była myśl expiacyjna i mistyczna. Za tyle płochości, lekkości, światowego roztrzepania, za tyle zdrożnego zgorszenia, za tyle umyślnej obrazy i bluźnierstw, czynić Bogu zadosyć ciągłą modlitwą, nieustającą adoracją Najśw. Sakramentu, i to w tych dniach zapustnych bardziej nad inne poświęconych światowym marnościami, modlić się, klęczeć, pokutować, może w ten sposób odwrócić zawieszoną karę, to cel tych nabożeństw i myśl tych kazań. Jak w Starym Testamencie po jakimś wielkiem sprzeniewierzeniu się Izraela, albo przed jakimś wielkiem przedsięwzięciem, sędziowie, królowie, prorocy, zwoływali lud do modłów i pokuty, do ofiar oczyszczenia i błagalnych, a te wezwania tem są groźniejsze, tem straszniejsze, że mówią o jakichś przewidywanych ale nieznanym dopustach gniewu Bożego, że ten lud pokutujący prosi i boi się, a nie wie, co i z kąd na niego spadnie: tak on wzywa do pokuty i modlitwy, każe klękać w konfesyjonał i przed ołtarzem, bić się w piersi, przeproszać i prosić, bo coś okropnego grozi, od czego tylko ręka Boska obronić nas może. I to mówi, nie jak w Kazaniach sejmowych, do tych, którzy złe ludzką radą mogą odwrócić, ale do całego ludu, do tych, którzy nie zrobić i poradzić nie mogą, tylko prosić. Wszystkie te dziewięć pobudek do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa tezną takim złowrogim strasznym przecuciem. Dlaczego? To nabożeństwo, to obrzęd w kościele zwyczajny, w Rzpltej nie się nadzwyczajnego nie stało, z kądże ten strach czegoś okropnego jak potop lub siarczysty deszcz Sodomy, dlaczego nadawać temu nabożeństwu ten charakter tak gwałtownej, niespokojnej prośby?

Nigdy, z wyjątkiem proroków Starego Testamentu, nigdy zbiorowe instynktowe przeczucie nieszczęść całego narodu nie odzywało się tak głośno i tak boleśnie; a u samego Skargi, zaledwie raz lub dwa odezwało się głośniejsz, groźniej i wymowniej. Czy może być jaka na świecie modlitwa, któraby lepiej oddawała uczucie narodu w ucisku i rozpacz, któraby z krzykiem bardziej rozdzierającym wołała o ratunek, w którejby żałośniejszym tonem odzywało się zwątpienie i strach blizkiej zguby, jak w zakończeniu pierwszej Pobudki.

A jak żeby chciał jeszcze bardziej przerazić, odjąć ostatnią prócz poprawy nadzieję ratunku, w drugiej pobudce mówi im, żeby w to nie ufali, iż czezą prawdziwego Boga i prawdziwą wiarę wyznają. Nie myślcie, że interesem jest Boga was bronić, On was nie potrzebuje, znajdzie sobie innych. Jerozolimie swojej wybranej Bóg nie przebaczył, a jakoż wam będzie. Albo może liczycie na to, że wielu jest między wami niewinnych? Byli niewinni i przed potopem, małe dzieci były niewinne, bydło było niewinne, a przecież wszystko potonęło. Jako obrazowość stylu, ten krótki ustęp o potopie jest wspaniały. Jak trzecia potop wodny, tak czwarta przypomina potop ognisty Sodomy, groźby coraz straszniejsze. Ale wreszcie w zakończeniu piątej Pobudki, jak żeby sam się ulitował nad swoim słuchaczem, już go nie gromi, tylko za nim prosi modlitwą najrzewniejszą, najżałośniejszą, najpokorniejszą, jaką można pomyśleć: *Ubogich owieczek swoich i bydłatek swoich nie opuszczaj* etc. Szósta opowiada historię Izajasza przepowiadającego niewolę Babilońską, i dodaje do niej nową a straszną pogroźkę. „Co czyni Pan Bóg, gdy poprawy nie masz“. Dopiero w trzech ostatnich następuje pociecha, nadzieja, ufność w miłosierdziu Boskiem; w ósmej przepyszne słowa o modlitwie, dowodzenie, że ona jest ratunkiem i pomocą, że jej Bóg od człowieka żąda, i dlaczego, a w zakończeniu ostatniej dopiero, jak hymn tryumfalny rozlega się w kościelnej modlitwie ufność, pewnośc, że „jako ojców naszych wysłuchiwałeś, tak i nas wysłuchasz“, przypomnienie Bogu, że sam obiecał proszących słuchać, jak żeby chęć zmuszenia go, żeby tej

obietnicy dotrzymał, a wreszcie wezwanie wszystkich mocy niebieskich, wszystkich Świętych polskich, żeby się ruszyli i pomagali. „Ruszmy a budźmy Patrony nasze tego Królestwa“. Niema może modlitw tak rozpaczliwych i rozdzierających jak pierwsze, tak natarczywych i gwałtownych, tak śmiało, tak prawie zuchwale domagających się wysłuchania. Niema też, z wyjątkiem Kazań Sejmowych, nie tak w całym Skardze natchnionego, tak przejmującego jak te *Pobudki* (1600). Kazania Sejmowe są więcej świeckie, więcej określone, wytykają bardziej to złe, te grzechy publiczne, za które grożą karą: *Pobudki* mają charakter ściśle religijny, a zarazem ogólniejszy. W nich chodzi tylko o obrazę Boską, którą Bóg pomści; mowca nie specyfikuje, zostawia tylko do domysłu, że ta obraza obejmuje grzechy przeciwko Bogu, ludziom i ojczyźnie. Co jest wyższe i piękniejsze, Kazania sejmowe czy *Pobudki*? O tem może sądzić osobiste tylko uczucie każdego: tam są ustępy jeszcze wznioślejsze, tu większa, równiejsza jednostajność natchnienia.

Kiedy w latach emigracyjnych, w latach ksiąg Pielgrzymstwa, Towianizmu, wszelkiego rodzaju religijnych, filozoficznych i politycznych dążności, błędzeń i cierpień, wierni katolicy na tulaćwie chcieli dla katolików polskich ułożyć książkę do nabożeństwa, w którejby były prośby na wszystkie te religijne i patryotyczne dążenia i cierpienia, kiedy szukali słów najlepszych, któremiby Polak mógł prosić Boga o zmiłowanie nad swoją ojczyzną, w którychby mógł wyplakać wszystkie lzy swego serca, szturmować do nieba i gniew Boży rozbroić, nie znaleźli lepszych nad słowa Skargi. W książce do nabożeństwa najbardziej u nas rozpowszechnionej, w Ołtarzyku Polskim, modlitwy do położenia Polski tak zastosowane, że je każdy odmawia jak modlitwy za Ojczyznę, to jest cztery nazwane tam do Opatrzności Boskiej, wyjęte są z *Pobudek* do czterdziesto-godzinnego nabożeństwa.

Pobudki do Modlitwy czasu wojny (1608), acz bardzo piękne, błedną obok tego. Bardzo piękna jest pierwsza, gdzie mówi o błogosławieństwach pokoju; a w dalszych określenie, która wojna jest sprawiedliwą i godziwą, a która

nie. Ciekawe jest do widzenia i to, jak ten kaznodzieja natchniony, w natchnieniu dochodzący do najwyższej exaltacji, zna się także na wartości ziemskich, ludzkich środków obrony, jak przysposobienie takowych zaleca jako obowiązek tym, którzy wojnę prowadzą. Są słowa wielkiej rzewności, w których odzywa się cała miłość jego do ludzi, naprzykład w pierwszej, kiedy mówi, że gdyby Bóg posłał go z oznajmieniem, że odjął od tego ludu zlitowanie swoje i postanowił go zgubić: „rzekłbych ja, proch i ziemia do Pana, niechaj Panie z poselstwem takim nie idę. Ja ten lud krwią Twoją odkupiony pilnie cieszyć chcę, i miłosierdzie Twoje im udawać aby nie rozpaczali, a ty mnie i cieszyć ich nie każesz“. Jest piękna na końcu Przemowa do Żołnierzy w samej potrzebie, która równie jak ułożone przez niego Nabożeństwo Żołnierskie, dowodzi, jak w tych czasach wojennych pilnie dbał o to, żeby żołnierz swoją powinność żołnierską godził ze swoim obowiązkiem chrześcijańskim, i żeby krwawem rzemiosłem zajęty, na tysiączne pokusy z natury swego położenia narażony, a każdej chwili śmiercią zagrożony, zawsze miał Boga w sercu, i zawsze gotów był bezpiecznie przed nim stanąć. Przecież wszystko to nie jest tak wzniosłe, jak wyżej wspomniane Pobudki do czterdziesto godzinnego nabożeństwa.

To samo powiedzieć trzeba o jego Kazaniach Pogrzebowych. Ale przy tych nasuwa się jedna uwaga: oto, że jest rzecz dziwna, i piękna, że tych kazań, z natury rzeczy pochwalnych, jest tak mało. Umierało przecież ludzi wielu znaczących w Rzpltej, wielu panów, senatorów, dostojników Korony, gorszych i lepszych, nieraz zapewne pobożna cześć lub światowa próżność pozostałej rodziny, byłaby rada usłyszeć pochwałę zmarłego z ust najwymowniejszych w Polsce; tymczasem jest ich tak mało.

Prawda jest, co on sam mówi, że godzi się umarłych chwalić; to nie podehlebstwo, bo nie nikomu nie przyjdzie z podehlebiana umarłemu, który się odwdzięczyć nie może. Przecież pochwała umarłych, jest tak często, nawet bez woli mówiącego, przyjemnem kadzidłem dla próżności żywych, że

mowcy najrozumniejszemu, obdarzonemu najdelikatniejszym taktem, bardzo trudno ująć podejrzenia i obmowy, jakoby zmarłego chwalać, żywym był chciał się przypodobać. Jeżeli zaś każdy mowca powinien strzedz się pozorów i nie dawać pola do posądzeń, to tem bardziej mowca kościelny, a zwłaszcza kaznodzieja dworski, żyjący pomiędzy wielkimi tego świata, a przeto bardziej jak każdy inny narażony na niebezpieczeństwa, a przynajmniej na podejrzenie podchlebstwa.

Skarga, czy się strzegł tak bardzo, czy nie strzegąc się, unikał niebezpieczeństwa szczęśliwym instynktem, ale wolny jest zupełnie od posądzeń tego rodzaju, i sama złość nie znalazłaby w jego pismach jednego słowa, któreby zakrawało na podchlebstwo, a choćby tylko na pochwałę przesadzona. Ale czy to przypadek czy zamiar, zawsze pomogło mu do tej czystości to, że o ludziach mówił tak rzadko i mało, bo kto wiele chwali, ten łatwiej w pochwałach miarę przebiera, aniżeli ten, kto ostrożnie skąpy jest w słowach. Gdyby Skarga był chciał wymową swoją podnosić chwałę wielu zmarłych, a przez to chwałę ich rodów i domów na ziemi, byłby przez to zapewne zjednał sobie nie jednego przyjaciela, nie jednego łaskawego a możnego protektora, nie dla siebie tylko, ale dla swego zakonu. On tymczasem bardzo rzadko mówił nad grobem. Może to przypadek tylko, ale to zawsze pięknie. Szkoda jest nieodżałowana, że Kazanie na pogrzebie króla Stefana zaginęło bez śladu. Zwazwszy przedmiot, trzeba przypuszczać, że było najwspanialsze. Ale jeżeli było drukowane, to tak gdzieś znikło, że go nikt z dzisiejszych, ani z dawniejszych, nie czytał.

Co dziwne, to, że kazanie na pogrzebie Anny Austriaczki jest piękniejsze niż na pogrzebie Anny Jagiellonki. Zdawałoby się, że powinno było być przeciwnie: że żywot kobiety sędziwej, wielkich cnót i wielkiej miłości u narodu, królowej, która cały swój wiek między nami przeżyła, a przeszła przezeń „dobrze czyniąc“, że śmierć ostatniej z królewskiego domu Jagiellów, mogła być, i powinna była nastroić mowę do rzewniejszego uczucia, aniżeli zgon królowej młodej, z obcego kraju, mało u nas znanej, która ledwie kilka

lat tu przeżyła, i choć zapewne musiała być bardzo dobra, pozostała nam obcą, tak, że dziś to jedno o niej pamiętamy, że była matką Władysława IV. Tymczasem, nie wiedzieć z jakiego powodu, stało się przeciwnie. Kazanie na Pogrzebie Anny Jagiellonki, jest niezaprzeczenie piękne. Jest w niem wszystko, co się o cnotach i zasługach zmarłej powiedzieć dało, jest i żal, tak słuszny, za ostatnią z długo panującego i prawdziwie błogosławionej pamięci domu królewskiego. Postać starej królowej w łagodnem świetle jej enót eichych i domowych, a chwalonej prostemi słowy („nikomu nigdy nie złego nie zrobiła“, fałszu nie było w jej sercu ani w jej ustach, „rękę miała zawsze otwartą dla potrzebujących“) — „cicho i pięknie do ojców swoich odchodzącej“, wygląda bardzo pięknie. Pięknie zwłaszcza przedstawia się, kiedy ją mowca pokaże w wykonywaniu jej obowiązków królewskich. Pod tym względem przywykliśmy uważać Annę za figurę dość mało znaczącą: i istotnie, ona się do polityki nie miesza i mieszać nie chce, stoi na boku, słucha, robi co jej każą, swoją osobą, wolą, losem, nie chce na nie wpływać i boi się przeszkadzać. Ale pomagać by chciała; a na to nie ma innego sposobu, tylko się modlić. I nie można bez głębokiego wzruszenia czytać tego, co opowiada o niej Skarga, że kiedy w razach wielkich potrzeb lub niebezpieczeństwach Rzpltej, naprzykład podczas Elekeyi, kiedy przeciwne strony stały naprzeciw siebie i lada iskra mogła wzniecić pożar wojny domowej, albo kiedy mąż, król Stefan, oblegał Połock i Wielkie Łuki, ta królowa, ta kobieta, nie mogąc inaczej ani niebezpieczeństwa zażegnać, ani do zwycięstwa pomódz, modliła się po całych dniach i nocach, pośleła, wymyślała sobie umartwienia przeróżne, jak kobiety starego testamentu w stanowczych dla Izraela chwilach, jak Estera lub Judyta, albo jak stary Mojżesz, klęczący przez cały ciąg bitwy z rękami podniesionemi do nieba. Ale to wszystko, to piękność przedmiotu, nie mowy, to zasługa Anny nie Skargi; i wszystko razem wzięwszy, wydaje się, że mowę taką samą, z wyjątkiem może pięknego na początku ustępu o śmierci wielkich tego świata, *na Pańskich śmierciach*

straszliwsza jest moc Boska, byłby mógł powiedzieć każdy kaznodzieja rozumny i dobry, bez wyjątkowych darów zdolności i natchnienia.

Kazanie tymczasem na pogrzebie Anny z Rakus, przechodzi tę miarę, i kaznodzieja zwyczajny, choćby bardzo rozumny i dobry, zapewne nie zdołałby się na takie zdobyć. Naprzód we wstępie, gdzie mówi o znikomości rzeczy ludzkich i o śmierci głów koronowanych, jest tak patetyczny, że nie zwyczajny mowca, ale Bossuet ledwie mu dorównywa: „Teraz głowa ta uwiędła etc.“. M. Dzeduszycki porównywa ten ustęp ze sławną mową Bossueta nad trumną Henrietty Angielskiej i porównanie rozstrzyga na korzyść Skargi. Słusznie: bo we wspaniałych mowach Bossueta, trafiają się przecież rzeczy wyszukane, które krytyka francuzka wprowadzie bardzo chwali, ale które zakrawają na puste frazesy, z powagą kazalnicy niezgodne; naprzykład, fontanny ogrodowe w Chantilly, płaczące nad W. Kondeuszem, albo w mowie na pogrzebie Henrietty, to miejsce gdzie mówi, że Monsieur, i król sam trzymali ją mocno rękami, ale na próżno, ona nim przecież odeszła. Prosta rzecz, zatrzymać życia i duszy nie mogli. W Skardze całym, jak jest, takiego czeżego marnego słowa się nie znajdzie; te zaś ustępy, w których Bossuet jest rzeczywiście wspaniały, może nie przewyższają dopiero przytoczonego.

A po nim następuje inny, z najpiękniej jak być może, wyrażoną pochwałą zmarłej, i z wielką rzewnością żalu, to ten, w którym Anna żegna swoje ziemskie królestwo, i oddając koronę, świadczy się, że ją oddaje czystą i jasną, jak ją wzięła, niczem jej nie zmazała, niczem nie nadwerekzyła, niczem czei i godności jej nie uchybiła.

Potem, rozrzewniająca, przejmująca jest śmierć tej Anny, młodej, szczęśliwej, kochającej męża tak, że jak mowca świadczy, mawiała, iż cały świat nie ma lepszego człowieka, szczęśliwej ze swoich dzieci, a wyrwanej z pośród całego tego szczęścia, i to w chwili, kiedy Polska cała „za mądrą i wdzięczną Panią mieć ją poczęła“. Także słowo godne uwagi. Inny kaznodzieja, kaznodzieja dworski,

byłby prawil oklepiane frazesy o nieutulonych łzach poddanych nad grobem ubóstwianej królowej. Ten powiada, że umarła w chwili, kiedy ją lubić zaczęli; a więc przyznaje, że przedtem nie lubili, przyznaje to wobec jej dworu, jej męża i dzieci. Ale tem chwali ją lepiej niż najszumniejszą pochwałą, bo zaraz nasuwa się myśl, że ta królowa musiała mieć wiele dobrego, kiedy zwyciężyła uprzedzenia i niechęci, kiedy ją za mądrą i miłą mieć zaczęli. I z tej prawdomówności jego zaraz ten skutek, że się wierzy już wszystkiemu co o niej powie; że się słuchacz nie boi przesady, ale wszystko bierze za dosłowną prawdę. Istotnie, prawda, szczerza prawda, to największy sekret piękności jego mów pogrzebowych. Czuje się, że on nie dodaje, że te kobiety były takie, jak je opisuje; a jeżeli jedna Anna pięknie wyglądała w blasku swoich cnót cichych, to może jeszcze piękniej wygląda w tem samem świetle ta druga Anna, bo młoda, szczęśliwa, kochająca, królowa, więc mająca prawo do świata, do wesolości, a żyjąca tak skromnie, umierająca tak chętnie i tak pogodnie. Na jej dworze, czasem tylko, z konieczności, świetne przyjęcia, stroje, tańce i uczy; zresztą chodzi zawsze skromnie ubrana, zabaw nie lubi, lubi opatrywać ubogich i sama im służyć; dwór swój utrzymuje w przykładowej stateczności obyczajów. Męża kocha bardzo; ale rozstaje się z nim spokojnie a mężnie, przytomnie, sama go do tego rozstania przygotowuje. Krótki opis jej ostatnich dni i zgonu jest bardzo rozrzewniający, a niemniej także to pożegnanie jej z królem i królestwem, którem się kazanie zamyka.

Kazań dziękczynnych jest kilka: na szczęśliwe wrócenie króla J. M. ze Szwecyi, drugie przy oddawaniu ślubów Panu Bogu w Częstochowy, gdy król J. M. ze Szwecyi wrócił; inne na dziękowanie za jakie pospolite całego Królestwa dobrodziejstwo (to ostatnie także zapewne nigdy nie powiedziane, ale mogące się do wielu przypadków zastosować). Przecież w tym rodzaju prym trzymają cztery kazania przy nabożeństwach dziękczynnych za odniesione zwycięstwa; te to są, które Dzieduszycki tak dobrze tryumfalnemi nazywa. Ale bo też i tryumfy prawdziwe, zdolne rozpalic serce najrzad-

szem z uczuć, uniesieniem radości i dumy. Raz obcy ksiązę, pretendent do korony, skarcony za swoją śmiałość, upokorzony, i zamiast na zamek krakowski, jak król, wstępujący na krasnostawski, jak jeniec. Potem, na ościennem księztwie osadzony, stale, jak się zdawało, wierny sprzymierzeniec i holdownik Mohyla, ztąd wzrost potęgi Rzpltej i nadzieja większego bezpieczeństwa od Turków. Dalej najezdnic szwedzki pobity, uciekający za morze, zostawiający za sobą swój obóz, tysiące poległych i Inflanty bezpieczne. Wreszcie król Polski, wstępujący w zdobytą twierdzę, która mu drogę do Moskwy otwierała: Byczyna, Zamoyskiego wołoska wyprawa, Kirchholm i Smoleńsk, to cztery tryumfy, którym odpowiadają cztery kazania, cztery dziękowania, za zwycięstwo pod Byczyną, wołoskie, inflanckie i moskiewskie. Z tych pierwsze nigdy nie drukowane, jak się domyśla Dzeduszycki, przez wzgląd na późniejsze związki Zygmunta III z domem austryackim, przechowuje się w rękopiśmie i w łacińskim przekładzie. Z trzech innych, najpiękniejsze są, na zwycięstwo wołoskie i inflanckie. W pierwszym, oprócz całej krasomówczej piękności, zasługuje na uwagę ustęp, w którym kaznodzieja uczy króla, jak ma królestwo swoje kochać i szanować. To przypominanie obowiązków wierności i wdzięczności, jakie miał Zygmunt względem Polski, to może nie jest bez celu; może mowca myśli, jak myślało wielu, że król o tę swoją koronę nie dba, że ją ustąpić myśli. Pewności nie ma, ale bardzo na to wygląda, że ten ustęp jest śmiałą a dla króla zapewne nie miłą alluzją, do jego ukrytych prawdziwych lub domniemyanych zamysłów.

Najsilniejszy ton tryumfu, a prawie aż urągania się nad pobitym, odzywa się w kazaniu na Zwycięstwo Inflanckie: „Zasiadłszy Pan Bóg zastępów“ i dalej „uciekaj na morze“.

Pozostaje to co w Skardze, co w całej literaturze Polski niepodległej najwyższe, a w porozbiorowej i przez największych zaledwo doścignione — *Kazania Sejmowe*.

Że człowiek, w którym skupiło się spadkowe cierpienie ¹⁾ wielu, i to cierpienie, które dręczyć miało następnych, człowiek z sercem dość wielkiem, żeby ten ogrom uczuć objąć, który także mógłby być o sobie powiedzieć, że nazywa się milion, bo za miliony kocha i cierpi katusze, mógł być wymownym, strzelać „grzmiącemi słowy do serca spółbraci“, to bardzo naturalne: wielkie dusze mają i wielkie słowa na usługi. Łatwo to zrozumieć, a dowodzić zbytecznie. Ale co może zbytiecznem nie będzie, to uwaga, że człowiek z takim przeznaczeniem jak Skargi, i w jego czasach, człowiek powołany do tego, iżby był ostatnim i najsilniejszym głosem przestrogi i upomnienia, musiał być... księdzem.

Było ich tylu przed nim, którzy przestrzegali i upominali; byli bardzo rozumni, bardzo szlachetni i bardzo wymowni. Wszystko, co o nierządzie polskim i jego niebezpieczeństwach mógł powiedzieć przyrodzony ludzki rozsądek, rozum polityczny, historyczne doświadczenie, wszystko to oni powiedzieli. Wszystkie dowody, wszystkie argumenta, wszystkie prośby i zakłęcia, jakich dostarczyć mogły ludzkie względy i uczucia, własnego bezpieczeństwa i dobra, honoru, wstydu przed ludźmi, miłości ojczyzny, wszystkie oni wyczerpali do dna, odwołali się do wszystkich, i na próżno: nie się nie zmieniło, nikt się nie obejrzał i nie zważał. Cóż więc pozostało? W imię czyje jeszcze można było przemówić do nich i prosić, żeby się ratowali? Rozsądku? Słuszności? Przyszłości własnej? Potomności? Ojczyzny? Wszystko to już słyszeli, i wszystko przebrzmiało bez wrażenia, odbiło się jak groch od ściany. Gdzież już większe nad te powagi, gdzie względy od tych wyższe? Na świecie, nie, bo na świecie nie ma już nic nad to. Ale Bóg? Gdyby jeszcze jego głos, jego powaga, jego groźba? Gdyby pokazać, że to, co rozsądek ludzki mianuje głupstwem, co rozum, nauka, doświadczenie nazywają rozpaczliwem niedbalstwem, co uczu-

¹⁾ Ustęp o Kazaniach Sejmowych skrócony z książki *Pisarze polityczni XVI wieku*.

cie honoru nazywa wstydem; a miłość ojczyzny brakiem publicznego ducha, gdyby pokazać, że przed Bogiem to wszystko jest grzechem? Gdyby przypomnieć, że rady rozumu, prawa honoru, zakłęcia patryotyzmu, są zgodne co do słowa z jego rozkazem; gdyby te zaniedbane i wzgardzone obowiązki publiczne, przedstawić jako obowiązki religijne także, obowiązki chrześcijańskiego sumienia, a te publiczne grzechy wykląć uroczyście i ogłosić za zbrodnię zelźonego Majestatu Boskiego? Gdyby to samo, o co napróżno dotąd wołał rozum, polityka, honor i ojczyzna, powtórzyć jeszcze raz, ale w imieniu Boga, ich prośby powtórzyć, jako Jego rozkazy? Kto wie? To możeby skutkowało. Środek to ostatni, największy, ale kiedy wszystkie inne marnie się zużyły, to czas spróbować tego; może on pomoże, może ten ostatni apel trafi do sere i rozumów. Polsce, leżącej do zguby, a nie chcącej się ratować, było tego potrzeba: trzeba jej było powiedzieć, że ten porządek, którym gardziła, to bezpieczeństwo, o które nie dbała, były obowiązkiem nie tylko moralnym i patryotycznym, ale religijnym, nietylko względem siebie, rodziny, ojczyzny, ale względem Boga.

A kiedy tej powagi trzeba było użyć, kiedy trzeba było mówić w tem imieniu, tedy żaden głos świecki dostatecznym już nie był. Potrzeba było wyższej powagi, wyższego powołania, wyższego charakteru. Świecki człowiek w ten sposób mówić nie miał prawa: odpowiedziano mu, że jest słuchaczom swoim równy, i nie więcej od nich ma prawa mówić o Boskich rzeczach, w imieniu praw Boskich. Księdzu poświęconemu, księdzu, który przyjął Sakrament kapłański, słuchacz katolik odpowiedzieć tak nie mógł; nie mógł odmówić mu prawa roztrząsania swojego sumienia, przemawiania w imieniu samego Boga. Kiedy książki i trybuny sejmowe wołały długo i głośno, ale na próżno, przyszedł czas na głos poważniejszy i uroczystszy, na Kościół i kazalnice. Najwymowniejszy, najbardziej natchniony z tych, którzy upadek Polski przewidywali i wzywali ją do poprawy, musiał przemawiać w imię najwyższych praw, najwyższej powagi, musiał być księdzem.

Dodajmy do tego, że ten stan i jego obowiązki wzniosłe pojęte, mogły, nawet musiały potęgować uczucia człowieka, a przez to siłę jego wymowy. Miłość ojczyzny, wrodzony zmysł moralny, mogły podnieść jego żal i oburzenie do wysokości natchnienia, ale kiedy do nich przybywała żarliwość religijna, gorąca wiara, przekonanie, że chodzi tu nie o same tylko dobro świeckie doczesne, ale o zbawienie tysięcy dusz nieśmiertelnych, o obrazę Boga, którego mówca nad wszystko miłował, rzecz naturalna, że wszystkie jego uczucia podwajały się przez to nową siłą, że oburzenie, zgroza, prośba, zakłęcie, wszystko nabierało tem większej intensy i mocy. Gdyby Skarga był człowiekiem świeckim tylko, gdyby był przemawiał tylko w imię ojczyzny, honoru i uczciwości, nie byłby wy dobył z siebie tyle zapału i tyle natchnienia, ile ich znalazł w swoim uczuciu religijnem, w tem przekonaniu, że spełnia obowiązek nie tylko obywatelski, ale kapłański, że swoim słowem broni nie tylko Pospolitej Rzeczy i jej całości, ale chwały Bożej i zbawienia pospolitej rzeszy Bożego ludu.

Te więc dwie rzeczy, miłość ojczyzny i obawa o nią, miłość Boga, religijna gorliwość i wiara, złożyły się na rezultat tak nadzwyczajny, jak jego natchniona, jedyna w swoim rodzaju wymowa.

Słowo to, dodajmy jeszcze, w ówczesnem społeczeństwie polskiem wyjść mogło tylko z pośród katolickiego i rządowego stronnictwa. Zbawcze słowo ratunku, życia, przyszłości, ten tylko może nosić w łonie, kto sam ma pojęcie i żywotną organiczną siłę jedności. Polityczna myśl i polityczna siła nie zjawia się wśród rozprzężonych i rozsypujących się, nie zjawia się wśród takich, którzy działają pod wpływem ujemnych uczuć i pobudek, negacyjnymi środkami. Protestanci polscy byli już podówczas stracili tę jedność i spójność, zatem tę zdolność działania, jaką mieć mogli przed laty czterdziestu; ogół szlachty uszczęśliwiony ze swojej wolności i grzęznący coraz głębiej, coraz bezwiedniej w tym zaślepionym konserwatyzmie i szczęśliwym z siebie partykularyzmie, jaki ona rozwinęła, także nie mógł zrozu-

mieć ani powstrzymać tych powodów rozkładu, które sam w sobie i nosił i cenił, w których się rozkochał, jak w swoim szczęściu i swojej chwale. Wielcy panowie, ci nie bezmyślnie na biernem, ale świadomie i czynnie na negacyjnem rozkładowem stanowisku stojący, ci czy byli protestantami jak Zborowscy, czy katolickimi dewotami, jak Zebrzydowski, ci ze swego ducha zbawienia ojczyzny wydobyć nie mogli. Najzdrowszą i najrozumniejszą częścią narodu byli ci katolicy oświeceni i przekonani, którzy wiedzieli, że bez jedności i jej jakiegoś środkowego punktu, nie może być ani państwa ani społeczeństwa; którzy za wzór, za podstawę, uważali i brali jedność religijną, a na tej oparciu spodziewali się dojść do politycznej organicznej jedności państwa i społeczeństwa. Nie rozumiał tej potrzeby ówczesny protestant, ani (gdyby był rozumiał) nie miał na takie przedsięwzięcie siły; nie rozumiał jej szlachcie ziemianin i sejmowy poseł: przeczył ją i udaremniał swoim działaniem magnat i senator. Wytłómaczyć, że Rzeczpospolita bez jedności Boga, państwa i rządu upaść musi, mógł tylko jeden z tych co rozumieli, że jak człowiek bez stosu pacierzowego, tak społeczeństwo nie zdoła trzymać się na nogach bez podpory i ześrodkowania w czemś stałym i niewzruszonym, w Bogu i Jego Kościele i — jakikolwiek mógł być Zygmunt III — w królu.

Kaznodziejstwo rzadko, i może ze szkodą rzeczy, wdaje się w publiczne sprawy i grzechy. Skarga jest pod tym względem świetnym wyjątkiem. W kaznodziejstwie polskiem wszakże zrozumienie tej potrzeby czy tego obowiązku, daje się widzieć tak, że możnaby nieledwie uznać w niem jego właściwość i cechę. Drugiego Skargi nie było, ale po nim nieraz odezwie się jakby jego echo w kazaniach Birkowskiego, Starowolskiego i Młodzianowskiego, a w wieku XIX z tego źródła były najwspanialsze natchnieniem i wymową kazania Kajsiewicza; w XVIII tylko — dość charakterystycznie — nie poczuwa się kazalnica do tego obowiązku, znać przechodzi on jej ówczesną miarę. Sam Skarga nie był bez poprzedników. Między jego kazaniem naprzykład a sławnego Sokolowskiego kaznodziei króla Stefana, pomimo całej różnicy

rodzaju wymowy i samego języka (tamtego znamy tylko łacińskie kazania) jest niewątpliwie podobieństwo ducha i zamiaru.

Nigdy może nie zdarzyło się w dziejach kaznodziejstwa, żeby wymowa kościelna tak wyraźnie i jedynie jak w Polsce zajmowała się życiem publicznem, żeby religia tak kontrolowała i krytykowała ludzi ze stanowiska ich obowiązków obywatelskich. Kazania treści czysto duchownej, kazania okolicznościowe, ze sprawami świeckimi połączone, pogrzebowe, dziękczynne i t. d. są rzeczą zwyczajną, znajdują się u każdego narodu i w każdym czasie. Ale takie, w których mowca przed narodem lub jego reprezentacją roztrząsa ich obowiązki i grzechy polityczne, gdzie dotyka nie tylko ich obyczaju w życiu publicznem, ale nawet ich instytucyi, takich nie wiele podobno znajdzie się w świecie. Może ci kaznodzieje średniowieczni, za którymi tłumy ludu chodzily jak za świętymi, może ci, którzy głosili skrucę i pokutę, może Savonarola piorunujący na zepsucie Florencyi i poruszający ją do tego stopnia, że lud znosił i palił wszystkie rzeczy potępione, jako zbyt kowe i bezbożne, Savonarola odmawiający rozgrzeszenia umierającemu Lorenzowi za to, że się targnął na prawo publiczne swego miasta, lub raczej pochichu zmianę jego przygotował, może tak jak Skarga przemawiać umieli w imię religii i Boga, o politycznych sprawach, do politycznych stronnictw lub osobistości. W późniejszej Europie, kiedy życie religijne oddzieliło się od świeckiego, kiedy chrześcijaństwo wyszło z życia, i tylko w pewnych oznaczonych dniach i godzinach wracało, zawsze na krótko, kiedy w kościele zostało, ale przestało być duszą, zasadą, regułą, wszystkich czynności i funkcji życia, wtedy i mowców takich być nie mogło. Nie można wyobrazić sobie Bossueta, gromiącego z kazalnicy politykę Ludwika XIV, wyrzucającego mu niebezpieczną ambicję, wojny niepotrzebne dla niej prowadzone, niezmierne wydatki, wyczerpanie skarbu i zasobów, przeciążenie poddanych podatkami: nie można wyobrazić sobie w naszym dzisiejszym świecie kaznodziei, któryby jakiejś większości parlamentarnej wy-

rzuczał, że źle postępuje, że uchwała prawa przeciwne moralności lub szkodliwe państwu, że się źle i niesprawiedliwie obchodzi z mniejszością, któryby wyrzuczał rządowi, że dla zapewnienia sobie zwycięstwa, używa środków nieczystych, fałszuje listy wyborcze, lub podobnie. Uznano by to rzeczą bardzo dziwną, powiedziano by, że są konieczności, których uniknąć niepodobna, że każdy rząd ma prawo bronić swojej zasady, i że kaznodzieja wdaje się w rzeczy nie swoje. Ztąd wymowa kościelna nowszych czasów, kiedy jej się zdarza dotyczyć publicznych spraw, urzędów i obowiązków, ogranicza się na same uwagi ogólne, mówi o tem, co i jak być powinno, a porównanie z tem co jest, zrobię sobie sami.

Skarga postępuje przeciwnie. Kiedy mówi przed sejmem polskim, nie stawia mu idealnego obrazu jego obowiązków, ale przeciwnie, obraz bardzo rzeczywisty jego błędów; nie mówi oto masz ideał, porównaj i osądź się sam, w czym i o ile do niego nie dochodzisz, ale stawia zwierciadło grzechów publicznych: kto od nich wolny, kto się do nich nie poczuwa, tego niech własne sumienie rozgrzeszy. Sposób postępowania nierównie praktyczniejszy, energiczniejszy, lepszy dla samego kaznodziei, bo więcej elektryzujący, silniej działający na jego wrodzone dary, i lepszy dla słuchaczy, bo zostawiający daleko mniej pola sofizmatom i wybiegom sumienia, uderzający na wszystko złe wprost, i mogący łatwiej zrobić wrażenie, trafić do przekonania, pobudzić do skruchy lub nawet do poprawy.

Że taka sposobność mówienia do Rzpltej samej, do Polski całej w sejmie zebranej, ta sposobność prawdziwie uroczysta i wielka, mogła szczęśliwie na mowę działać i jego samego silnie wzruszyć, to pewna. Ale trzeba było być mową wielkim, żeby z niej skorzystać, żeby zrozumieć i ocenić do czego go ta sposobność powołuje, jaką broń daje mu do ręki. Kaznodziei sejmowych było w Polsce wielu, przecież ten jeden tylko, poczuł się w tem swoim powołaniu, jeden rozumiał, że ma sposobność, a zatem obowiązek, zrobić rachunek sumienia Rzpltej!

Rzecz dla nas do pojęcia trudna, to, że współcześni nie zapisali nigdzie w którym roku na jakim sejmie (lub na jakich sejmach) kazania te były mówione. Nawet Wielewicki ¹⁾ który w swojej historii *Domus Professae* (Jezuitów) *ad Sectam Barbaram* niemal na każdej karcie ma coś do zapisania o Ojcu Skardze, nawet ten nie podaje nam tej wiadomości, która pozwoliłaby nam oznaczyć ściśle wśród jakich okoliczności *Kazania sejmowe* powstały, do jakich wypadków bezpośrednio się odnosiły. Wiemy tylko, że Skarga został kaznodzieją królewskim w roku 1588, i że *Kazania sejmowe* wyszły w druku po raz pierwszy w roku 1600. W tym więc przeciągu lat dwunastu były mówione: a nawet, zważywszy że na urząd kaznodziei dworskiego dostał się Skarga już po sejmie koronacyjnym r. 1588, i że na druk czas pewien także odliczyć należy, wypadnie skrócić ten okres czasu do lat dziesięciu (1589—1599). Sejmów odbyło się w tych latach dziewięć. Na którym z nich, albo na których mówił Skarga te właśnie kazania? Może być, że wszystkie należały do jednego sejmu (skoro wiadomo że uroczyste nabożeństwo z kazaniem odbywało się we wszystkie niedziele przez czas trwania sejmku). Okoliczność, że pierwsze nosi napis *na początku sejmku*, a ostatnie mówione było *na rozjeżdżaniu się sejmowem*, pozwalałaby wnosić, że wszystkie poprzednie następowały rychło po sobie co tydzień na jednym i tym samym sejmie. Ale być także może, że po jednym mówione były na każdym sejmie: a żadne podanie współczesnych, ani ich własna treść, nie daje żadnej pod tym względem wskazówki. Nie dla ciekawości tylko, ale dla lepszego zrozumienia i osądzenia kazań, byłoby rzeczą przydatną wiedzieć, w jakich okolicznościach które z nich było mówione: gdyby można schwyć na gorącym uczynku ten wpływ zdarzeń, który Skargę do głębi duszy wstrząsnął i obudził w nim natchnienie, dał mu poczuć powołanie i obowiązek *Kazań sejmowych*. Nasze osobiste, nie zdanie nawet, ale wrażenie jest, że ten potok wymowy nie mógł lać się długo a po trochu i na lata roz-

¹⁾ *Scriptores Rerum Polonicarum*. T. IV. Wyd. Akad. umiej.

kładać, że kazania nie ciągnęły się przez lat i sejmów parę lub więcej, ale przez jeden sejm tylko: a jeżeli tak, to prawdopodobnie był nim Sejm Inkwizycyjny jako najburzliwszy, najbardziej zasadniczo niebezpieczny ze wszystkich w tym okresie czasu. Ale znowu gdyby tak było, to dlaczego byłby je mówca aż po ośmiu latach ogłosił? Może być zatem, że sejm inkwizycyjny dopiero naprowadził go na tę myśl i drogę, i że kazania rozpoczęły się dopiero po roku 1592. Jakkolwiek bądź to pewna, że one są spowodowane i natechnione tym stanem rzeczy, który przez zawikłania szwedzkie i austriackie, przez układy z arcyksięciem Ernestem i małżeństwo króla, przez opozycję (choć z wielu miar słuszną i usprawiedliwioną) przeciw Zygmuntovi III, prowadził do rokoshu Zebrzydowskiego. Sejm inkwizycyjny był tego stanu rzeczy najwyraźniejszym objawem, punktem jego dojrzewania i miarą jego niebezpieczeństwa, zatem i środkowym punktem tych wypadków: i Skarga niezawodnie — jeżeli nie na nim kazania swoje zaczynał lub wypowiedział — to wielokroć w ciągu tych kazań miał go na myśli i do niego słowa swoje ściągał.

Mickiewicz mówi o Skardze (w Kursach literatury słowiańskiej), że stoi na pograniczu dwóch epok; z jednej wszystkie dobre myśli i uczucia w sobie zbiera i doprowadza do najwyższej potęgi, jest jej wyobrazicielem równie doskonałym jak wzniosłym; w drugą rzuca wzrok przenikliwy i dalekonośny, ponure groźne światło swoich przepowiedni. „Pogranicze“ to (czego Mickiewicz zapewne nie uważał), rozumieć można w znaczeniu najściślej dosłownem: bo dziwnym przypadkiem w pierwszy dzień tego smutnego wieku, który miał Polskę stanowczo do upadku nachylić, w Nowy Rok 1600, podpisuje Skarga tę przedmowę do pierwszego wydania *Kazań o siedmiu Sakramentach i Przygodnych*, w którym znajdują się *Kazania sejmowe*. Przedmowa ta, a raczej dedykacya do Zygmunta III, może poniekąd stanąć za jego osobiste wyznanie, i służyć za dowód, że w goryczy serca widział i rozpamiętywał dzieje minionego wieku, i z tego doszedł do wielkiej o ojczyznę swoją obawy, do gorącego

pragnienia, żeby w wieku następnym dźwignęła się w górę, i do przekonania, że na to potrzeba jej wielkiej i trudnej poprawy, a do tej znowu prawd gorzkich i upomnień surowych.

Rozbierać szczegółowo *Kazania sejmowe*, nie tu miejsce, gdzie wiele materyi pomieścić się musi. Dowodzić ich mądrości i wzniosłości nie potrzeba. Uczuje ją i zadrga od niej przerażeniem i podziwieniem każde polskie serce gdzie jest; gdzie go niema, tam żadne dowodzenie nie pomoże. Krótko więc tylko zapisujemy, że kazanie pierwsze jest jakoby programem, zapowiedzią tego, co znajdzie się w następnych, a słuchacza czy czytelnika, który myśleć i czuć umie tak owłada swoją mocą, tak przywiązuje swoją wzniosłością a przekonywa swoją prawdą, że on już nastrojony i usposobiony dalszych kazań słuchać będzie pod tem wrażeniem, w skupieniu myśli, sercem skruszonym i upokorzonym.

Kazanie drugie, *O Miłości ku Ojczyźnie*, najpiękniejsze ze wszystkich, gdyby nie było ósmego, to jest na całym świecie może najwspanialszy, najwznioślejszy wykład obowiązku miłości ojczyzny. Nie wiem, gdzie lepiej, gdzie silniej ona była ukazana chrześcijańskiemu sumieniu jako obowiązek względem Boga, jako Jego rozkaz. Powody naturalne, ziemskie, świeckie, miłości ojczyzny, to znowu najrzewniejszy hymn na cześć wszelkiej ojczyzny, a ojczyzny polskiej w szczególności. Część druga, *O Nieżyczliwości ku Ojczyźnie*, ma taką głęboką, taką straszną znajomość natury polskiej i grzechów przeciw ojczyźnie, do których nas ona prowadzi, że wszystkie nasze błędy i wszystkie nieszczęścia, od wieku XVI do początku XX dadzą się odnieść do tych naszych usposobień i przywar, które Skarga tu wskazuje, jak do swoich ostatecznych przyczyn.

Trzecie kazanie, *O Niezgodzie Domowej*, grozi w zakończeniu skutkami tej niezgody. To jest najwyższy wyraz i szczyt całej tej przeznaczeniowej strony ówczesnego usposobienia polskiego, to byłoby może i szczytem polskiej wymowy, obok ósmego kazania.

„Nastąpi postronny nieprzyjaciel iąwszy się za wasze niezgody, y mówić będzie: (Rozdzieliło się serce ich, teraz poginą)“. „Y tak niezgoda przywiedzie na was niewolę, w której wolności wasze utoną, y w śmiech się obróca. Bo wszyscy z domy y zdrowiem swoim w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą, poddani tym którzy ich nienawidzą“.

„Ziemie y księstwa wielkie, które się z Koroną ziednoczyły, y w iedno ciało zrosły, odpadną, y rozerwać się dla waszey niezgody muszą. Przy których teraz potężna być może ręka y moc wasza, y nieprzyjacielom straszliwa. Odbieżą was iako chałupki przy iabłkach, gdy owoce pozberiają, które lada wiatr rozwieie, y będziecie iako wdowa osierociąta, wy coście drugie narody rządźili, y będziecie ku pośmiechu y urąganiu nieprzyjaciolom swoim“.

„Język swój, w którym samym to królestwo między wielkimi onemi Słowieńskimi wolne zostało, y naród swój pogubicie, y ostatki tego narodu tak starego, y po świecie szeroko roskwitnionego, potracicie, y w obey się naród, który was nienawidzi obróciecie, iako się inszym przydarzyło“.

„Będziecie nie tylo bez pana krwi swoiey, y bez wybierania iego: ale też bez oyczyzny y królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, które popychać nogami tam gdzie was pierwey ważono, będą. Gdzie się na taką drugą oyczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby, y ozdobności, y rozkoszy mieć mogli? Urodzili się wam y synom waszym taka druga matka? iako tę straciecie, iuż o drugiey nie myślić“.

„Będziecie nieprzyjaciolom waszym służyli, w głodzie, w pragnieniu, w obnażeniu, y we wszystkim niedostatku, y włożą iarzmo żelazne na szyie wasze. Przeto, iżeście nie służyli Panu Bogu swemu, w weselu y w radości serdeczney, gdyście mieli dostatek wszystkiego, y dla dostatku, z wszeteceństwa waszego, gardziłiscie kapłanem, y królem, y innym przelożeniem, wolnością się Belialską pokrywaiąc, a iarzma wdzięcznego Chrystusowego y posłuszeństwa nosić nie chcąc“.

„Do takich utrat y przekłętwa, pewnie was ta wasza niezgoda y rostyrki domowe przyprawiają. Nie tak rychło, y nie tak żałośnie woyną y gwałty postronnych nieprzyjaciol zginąć możecie, iako waszą niezgodą. Iabłko gdy zwierchu się psować pocznie, wykroić się zgnitość może, iż potrwa: ale gdy wewnątrz gnić y psować się pocznie, wszystko zaraz porzucić musisz, y o ziemię uderzyć“.

Rzecz dziwna, dwa następne kazania nie mają tego wzniosłego natchnienia. Mówią one o trzeciej chorobie Rzpltej,

o niezgodach religijnych, o herezyach; zdawałoby się że gorliwość katolicka Skargi powinna była tu właśnie natchnąć go największą siłą uczucia i wymowy. Tymczasem i pod względem rozumowania, te dwa kazania są ze wszystkich sejmowych najmniej świetne. One są wspaniałe, i ustaliłyby na zawsze sławę każdego innego kaznodziei; tylko dlatego wydają się słabsze, że są jego, i że są Sejmowe, a z trzema pierwszymi i z ostatniem nie na równi.

Kazanie szóste o *Monarchii*, jest ze wszystkich najściślej polityczne. Mówi w niem Skarga, że monarchia jest nie tylko najlepszą, ale konieczną, bo przyrodzoną formą rządu w społeczeństwie ludzkim; rząd *popularitatis* zaś, czyli jak on nazywa *dymokracja*, musi zawsze mieć „swoje króliki“ oszukujące bezmyślnych pozorami i hasłami równości czy wolności, a w tej pozornej równości panujące nad drugimi, dla siebie. Ale nie despotycznej władzy, nie monarchii absolutnej on chce, ale takiej, która „prawy sprawiedliwemi i radą mądrą podparta jest, a moc swoją ustawami popoźnemi umiarkowaną ma“. Po naszymu nazwałoby się to monarchią ograniczoną, konstytucyjną. I znowu nigdy może przez cały ten wiek, nigdy nie była lepiej określona i silniej zgromiona wolność zła „bez prawa, bez urzędu żyć, na zwierzchność nie dbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do grzechu, do zabijania i wydzierania“. Nigdy także zasada, pierwiastek konstytucyi polskiej, nie był tak śmiało i tak prawdziwie opisany i osądzony w swoich skutkach. Kazanie szóste musiało się bardzo nie podobać naszej opinii. Nożyce musiały się głośno i groźno odzywać za tem uderzeniem w stół, kiedy w następnych wydaniach już to kazanie nie wychodzi. Gdzieś się schowało, znikło; ze szkodą może polskich rozumów i sumień, ze szkodą Rzeczypospolitej!

Kazaniu siódmemu, o *Prawach niesprawiedliwych*, to można zarzucić, że skoro już nie mówi o nich ogólnie, tylko niektóre wylicza, to lepiej może było wyliczyć ich więcej, Skarga pomiął nie jedno.

O ósmem niema co mówić. Kto raz w życiu czytał „Cóż mam z tobą uczynić nieszczęśliwe królestwo“, ten wie, że równego niema w polskim języku nie, że nigdy polskie serce nie przemawiało silniej do polskiego sumienia.

Nie ma nie we wszystkim co było kiedykolwiek po¹⁾ polsku powiedziane lub napisane, nie, co by takie robiło wrażenie jak to zakończenie *Kazań sejmowych*, ten wyraz najwyższy, najpotężniejszy, przeczuć jakie przez wiek cały miała o ojczyźnie bolejąca i strwożona jej miłość. Nasi wielcy poeci mają tę miłość ojczyzny mocną jak śmierć, mają słowa natehnione na wszystkie jej boleści i nędze, mają wreszcie wzniosłe podnoszące przeczucia odmiany: ale o tych, nie wie się czy są prawdziwe, a jeżeli nie, to jakże one bolesne, jakie w nich krwawe szyderstwo, jak się z nich śmiać będą tryumfatorowie przyszłości! Może to nie przeczucia, może tylko marzenia?.. myśli się że nie, wierzy się że nie, ale wiedzieć nie można. A tu, tu co innego, tu się wie, że wszystko co Skarga mówił było prawdą, że każde jego słowo stało się faktem; rodzimy się, żyjemy, umieramy, wśród rzeczywistości jego groźnych proroctw, jesteśmy sami temi włosami na trzy części podzielonemi, wygubieni od miecza, od ognia, inui rozprószeni po świecie. Dziś, kiedy cała nasza historia do dnia dzisiejszego jest usprawiedliwieniem i komentarzem tych słów proroczych przed trzema wiekami powiedzianych, dziś robi to na nas wrażenie większe jak cokolwiek innego: zapóźno jak zwykle na świecie. A oby dziś przynajmniej robiło wrażenie zupełne i wielkie. Jeszcze, zawsze, przydaćby się mogło.

Piękna jeszcze jest ta skromna spowiedź Skargi, że objawienia od Boga nie ma i nie wie z jakim rodzajem pogroźek Bóg go do narodu posłał, i to życzenie:

„Aby wam Pan Bóg tak groził, iakoby wam dał pomoc do powstania y pokuty, na odmianę dekretów y pogroźek swoich.

¹⁾ Ten ustęp skrócony z książki *Pisarze Polityczni XVI wieku*.

Abyśmy nie ginęli, ale się przestraszywszy, do ubłagania gniewu Pańskiego, wszystko serce y myśli obrócili“.

Cieszymy się zwykle, prosta rzecz, tem, co on mówi na końcu: „trzeciego dnia wzbudzi was“ — te słowa są: ale nie same. Przed niemi są inne jako ich warunek, od którego zależy będzie ich spełnienie. Przed dniem trzecim, usprawiedliwienia, są dwa inne. Pierwszy, dzień żałości, zaczął się dawno i trwa długo: drugi, dzień poprawy czy się już zaczął? jeżeli nie, zacząć się może każdej chwili „byleśmy chcieli“. Ale trzeci nie przyjdzie aż się drugi skończy: Skarga to mówi wyraźnie. Jeżeli mu wierzymy (a wierzyć musimy) kiedy mówi o pierwszym, jeżeli chcemy wierzyć temu co mówi o trzecim, wierzyć mu zupełnie, i pamiętać o tym drugim, pamiętajmy, że leczyć się zawsze możemy „bylebychmy chcieli“.

Klaczko w *Bezimiennym Poecie* mówi, że Polska miała między wieszczami swemi nie jednego Ezechiela objawiającego widzenie niebieskiej Jerozolimy, nie jednego, który ją poił nadzieją chwały i zwycięstwa a cenił jako lud wybrany, ale takiego nie miała któryby ją karmił jako lud zły i krnąbrny, nie miała takiego proroka bez litości jak Izajasz. W naszym wieku, prawda nie miała: ale go miała, tego Izajasza srogiego a sprawiedliwego, nie możemy tego zaprzeczyć, my co siedziny nad brzegami Babilońskiej wody. *Kazania sejmowe* jak są najpotężniejszym wyrazem wiekowych złych przeczuć, tak są najwymowniejszą dla Polski przestrogą, najmędrszą nawet politycznie nauką, najwyraźniejszym przewidzeniem jej przyszłości. Są w swoim rodzaju, jako kazania polityczne i patryotyczne, jedyne może w całych dziejach wymowy kościelnej, są szczytem wymowy Skargi, a zatem całej wymowy polskiej, i najwymowniejszem słowem jakie wydała u nas miłość ojczyzny.

Trzebaby osobnego i zupełnego dzieła na to, żeby Skargę gruntownie poznać i ocenić. W jednostajności tego życia jest tyle różności, tyle prac dokonanych, tyle do

powiedzenia o księdzu, teologu, polemście i propagatorze wiary, tyle o obywatelu, jego zasługach i zasadach w których działał, tyle o jego wyobrażeniach politycznych, tyle wreszcie o mowcy nie ze stanowiska religijnego i polskiego, ale tylko literackiego, że wszystkiego wyczerpać nie podobna. A gdyby nawet to wszystko i było wyczerpanem, to pozostanie zawsze jedna strona jego natury i życia do poznania bardzo trudna, to jest człowiek sam i jego wewnętrzna duchowa historia. Ludzie wielcy i bardzo szlachetni, bardzo święci, zazwyczaj mało mówią o sobie; cóż dopiero, jeżeli powołanie żąda od nich zupełnego wyrzeczenia się siebie. Skarga nie tylko miał tę szlachetną skromność wielkości, ale był księdzem, przez to obowiązany strzedz się wszystkich poruszeń miłości własnej, myślenia o sobie, które u człowieka świeckiego byłyby naturalne i nie zdrożne; i nie tylko księdzem ale zakonnikiem, obowiązany tembardziej do pokory, do oderwania się od siebie i świata, i nie tylko zakonnikiem ale Jezuitą, obowiązany przez swoją regułę do wyrzucia się ze swojej osobistości.

Z tego też wynika, że mało jest na świecie pisarzy, których wewnętrzne dzieje tak trudno dałyby się poznać. Znamy zewnętrzne fakta jego życia; z pism możemy składać sobie wyobrażenie o jego charakterze i pojęciach, ale znając wielkość talentu i enoty człowieka, nie znamy ani codziennej zwyczajnej jego fizyognomii, ani tych wpływów, które za każdym razem pobudzały jego natchnienie, znamy je tylko ogólnie. Musi to być wizerunek do skreślenia trudny, skoro w dziele tak gruntownem, wykonanem przez człowieka uczzonego i zdolnego, a wykonanem z największą troskliwością i miłością, w *Skardze* Rychcieckiego, jest wszystko co być może o jego życiu i dziełach, a postaci, osobistości Skargi nie ma. Trudno w pobieżnej pracy kusić się o to, co się nie dało zrobić w tak gruntownej i umiejętnej; dlatego nie siląc się na odtworzenie tej postaci, może zgoła niepodobne, trzeba poprzestać na rekapitulacji tego co się już powiedziało o różnych stronach jego czynności, i takimi

charakterystykami częściowemi, zastąpić o ile się da, brak jednej, ogólnej, zupełnej i wszechstronnej.

Treścią jego życia było kaznodziejstwo, mówmy więc naprzód o kaznodziei i kazaniach.

Tu bez bojaźni przesady powiedzieć można, że był jednym z największych mowców religijnych, wogóle jednym z największych mowców na świecie. Nie można oczywiście mierzyć go z mowcami świeckimi politycznymi, chociaż co do daru wymowy, co do jej niesłychanej potęgi i patetyczności, może zapewne równać się z największymi, i pod tym względem Kazania Sejmowe, Pobudki, Kazanie na zwycięstwo inflanckie, może godne są stać obok najwspanialszych Filippik i Catilinarii. Rodzaj jest inny, ale siła nie jest mniejsza. Z mowców religijnych pierwszy oczywiście nasuwa się do porównania Bossuet, bardzo powszechnem uznaniem największy z mowców katolickich ostatnich trzech wieków, większy od sławnych kaznodziei protestanckich, jak Tillotson, Burnet etc., jak przyznają protestanci sami. Otóż chcąc porównywać Skargę z Bossuetem, przychodzi się prędko do przekonania, że są tak różni, iż porównanie prawie niepodobne; jedyne podobieństwo, że obadwa byli kaznodziejami.

Co w Skardze każdego uważnego uderzyć musi, to zupełny brak dbałości o stronę literacką kazań. Czy znał jakie teorye stylu i wymowy? znać musiał, uczyli się ich wszyscy w jego wieku, niezawodnie Jezuita uczyli ich swoich nowicyuszów w których widzieli kaznodziejskie zdolności. Przecież niech kto wskaże w Skardze jedno miejsce, na którym byłoby znać wpływ jakiegokolwiek wzoru? wpływ Pisma św. w jego stylu, wszędzie; ale nigdzie wpływu wymowy literackiej, nigdzie retorycznej sztuki, nigdzie myśli o teoryi. Przekonać się o tem bardzo łatwo; styl Skargi jest najpiękniejszym stylem polskim na świecie, a są w nim takie grzechy przeciw regułom i teoryom, których ustrzegłyby się nietylko pisarz zajęty zewnętrzną elegancją tego co pisze, ale każdy chłopiec w szkolnem zadaniu; te same słowa blisko siebie powtarzane, albo słowa bardzo powszednie i potoczne, widocznie pierwsze które mu przyszły na myśl,

w miejscu gdzie pisarz reflektujący nad pięknością swego stylu byłby z pewnością położył inne. Oprócz tego ten zupełny brak preokupacji literackiej, widoczny jest w układzie, w budowie jego kazań, nawet najpiękniejszych. Wszędzie, nawet w ósmym kazaniu sejmowym ustępy najwznioślejszego natchnienia, najwymowniejsze, przeplatane są innymi potoczniejszymi, niższymi w tonie. Te były konieczne, bo w nich są dowody, przykłady i t. d., ale to przeplatanie jednych drugimi, mówiąc po literacku, szkodzi im, psuje efekt, ostudza słuchacza czy czytelnika. Otóż każdy, kto rzemiosło cokolwiek zna, kto o niem cokolwiek myśli, byłby tego nie zrobił; byłby kazanie inaczej zbudował, byłby systematycznie uszykował ustępy, dowodzące, rozumujące, potoczniejsze razem, patetyczne wymowne, uczuciowe razem, o ile możliwości na końcu. Skarga wiedział o tych wszystkich sekretach retorycznej teorii tak dobrze, jak my o nich wiemy, a przecież nie posługiwał się nimi, nie dbał o nie; czegoż to dowodzi? oto tego, że o literackiej stronie swoich kazań zgoła nie myślał.

I tu zaraz jedna różnica pomiędzy nim a Bossuetem. Bossuet wymowny, patetyczny, majestatyczny jak tylko być można, ogółem biorąc uroczywszy, pompatyczniejszy, aniżeli Skarga, Bossuet jest daleko więcej od Skargi literatem. On traktuje kaznodziejstwo naprzód jako misyją i obowiązek duchowny; ale bardzo widocznie także jaką sztukę wymowy. To artysta, który zna całą teorią, wszystkie tajemnice i efektu swojej sztuki, i nie tylko nimi nie gardzi, ale owszem kocha się w nich. Bossuet chce być retorycznie doskonałym, i jest takim; takich roztargnień w stylu, takich niesystematyczności w układzie i budowie kazania jakie u Skargi są wszędzie, u niego nie ma nigdzie.

Otóż w tem naprzód niech będzie wolno widzieć wyższość Skargi nad Bossuetem; nie przez pogardę dla retoryki i jej reguł, dla artyzmu w wymowie, bynajmniej. Ale ta literacka niedbałość Skargi, ta pogarda sztuki, dowodzi zupełnego, wyłącznego przejścia się przedmiotem, treścią. On myślał, że jest rzeczą niegodną przedmiotu i mowcy,

każąc słowo boże, po ludzku po rzemieślniczemu je piłować; on robił tak jak Mickiewicz, który „rymów nie dobierał i słówek nie składał“, raczej tak jak Chrystus uczył Apostołów; kiedy was zaprowadzą przed wielkich tego świata, nie myślcie naprzód co i jak mówić będziecie, Duch św. poda wam to co macie powiedzieć. Zapewne metoda to nie zawsze bezpieczna, wymaga albo pomocy Ducha św., albo nadzwyczajnych zdolności mówcy; ale dowodzi wyższego podniesienia ducha, wyższego pojęcia swego posłannictwa, aniżeli ta, która obok religijnego przejęcia zostawia mowcy czas i miejsce na literackie zajęcie i zastanowienie.

Potem Skarga ma więcej prostoty. Dowodzi jej samo to, że nie myśli o formie, o literackiej wartości swoich kazań, o sobie i swoim talencie w ogólności; dowodzi następnie i to, że największa liczba jego kazań, bez zapалу i uniesień, bez tego co w zwykłym znaczeniu nazywamy wymową, ma tę gołębią, dziecinną, ewangeliczną prostotę słów i stylu, jakiej Bossuet nie ma nigdy. Tanten mówi zawsze tak, jak żehy go słuchali ludzie wykształceni, nawet wykwiintui. znawcy; Skarga, zawsze, bo nawet w najwznioślejszych swoich chwilach, mówi dla wszystkich, a trafi do przekonania i do serca każdemu, najprostszy i najwybredniejszy słuchacz zarówno go rozumieją i zarówno odejdą wzruszeni; jeden tylko uczuje wrażenie jego wymowy, drugi ją zważy, skrytykuje, a znajdzie ją doskonałą, odpowiadającą wszystkim wymaganiom jego zmysłu artystycznego. I cóż ztąd wynika, oto, że ten, który mówi do wykształconych wykwiintnych i znawców, mimowolnie hołduje pewnym zwyczajom i wyobrażeniom czasu, stosuje się do pewnego smaku, odbija w swojej wymowie te wszystkie rzeczy czasowe i przemijające, a przez to w innym czasie, po zmianie tych zwyczajów i upodobań będzie miał coś w sobie zużytego, przestarzałego, zwietrzałego; a ten, który mówi do człowieka, do duszy ludzkiej, *sine acceptione* osób, stopni, czasów, literackich smaków i upodobań, nie zwietrzeje, nie zblednie, nie zmieni się nigdy, bo ta dusza, do której mówił, się nie zmienia; i ten zostanie tym samym zawsze dla wszystkich ludzi

i wieków klasycznym, nie przed sądem retorycznej teorii, ale przed sądem ludzkiej duszy i jej uczuć.

Czyż trzeba wreszcie dodać, że Bossuet nie powiedział nigdy kazań sejmowych? Że zespolenie się ze swoim narodem, takie, że człowiek ma intuicyą jego losów i przyszłości i dochodzi do proroczego niemal widzenia, jest wyższością? Że dowodzi wielkości serca i natchnienia, jakiej przyznać nie można takiemu, który darów podobnych nie miał a przynajmniej nie pokazał? Czy trzeba mówić, że te Izajaszowe groźby, ta rola głosu wołającego na puszczy, mają w sobie zasługę i wielkość religijną i patriotyczną, jakiej w kazaniach Bossueta nie ma? Że Skarga, jeżeli nie „szczególnem objawieniem“ i darem proroczym, to powagą ludzkiego uczucia i natchnienia musiał go przewyższać, musiał kochać głębiej, żywiej, mocniej, skoro takie przecucia i intuicye miał? Inna rzecz, że Bossuet w historii Kościoła Powszechnego, ma większe miejsce, i większą zasługę. Nauką z pewnością, potęgą umysłu prawdopodobnie, przewyższał Skargę. On się liczy słusznie do wielkich doktorów Kościoła, on ze wszystkich pogromców protestantyzmu jest podobno najbardziej zwyciężkim w wiekopomnych *Variations des églises protestantes*. Ale jako kaznodzieja, jako mowca tylko, choć sławę ma na świecie ogromną i niewygasłą, bo mówił w języku powszechnie znanym, a należał do narodu podówczas najpotężniejszego na świecie, jako kaznodzieja, Bossuet jest inny jak Skarga, ale zdaje nam się, że nie jest od niego większy.

To porównanie mogłoby stanąć zarazem i za charakterystykę jego kazań; jedną tylko dodać trzeba uwagę: oto tę, że dominującym charakterem jego kazań, jest wielka równowaga i wielki spokój. Z wielkich kaznodziei nie ma może ani jednego, któryby był tak zupełnie wolnym od namiętności. On czasem jest strasznie surowy, gromi jak nikt; ale nawet w ósmym kazaniu sejmowym jest spokojny, jest panem siebie, nigdy nie przechodzi w namiętność. Jeżeli się czasem daje porwać swojemu uczuciu, to prędzej się rozczuli i rozrzewni; ale gniewem, oburzeniem, potępieniem,

wzgardą, nie umiesie się nigdy nad miarę. To dowód, że nigdy nie nienawidzi, nie gardzi, dowód, że musiał być bardzo dobry, bardzo święty.

Dodawszy jeszcze, że w swoich kazaniach nie jest nigdy prawie abstrakcyjny, a zawsze praktyczny, że czasem w swoim stylu jest niezmiernie obrazowy, że nigdy jego osoba i jego uczucia nie wysuwają się naprzód, ale jest bardzo obiektywny; przypomniawszy wreszcie wyjątkową jedyną piękność jego języka, byłoby w krótkości wymienione wszystko, co stanowi charakterystyczne cechy jego kazań.

O jego stanowisku w literaturze polskiej, jako pierwszego mowcy, pierwszego mistrza języka, pierwszego prozaika, jakiego mamy, o jego stosunku do literatury politycznej i reformatorskiej, której wszystkie złe przeczucia w sobie koncentruje, wszystkie przestrogi, rady i przepowiednie, powtarza tak, jak nigdy drugi raz powiedziane nie były, mówić zbyt cznie.

O jego stanowisku w historii polskiej także długo rozwodzić się nie trzeba. Zasługa patriotyczna kazań, zwłaszcza sejmowych, mówi sama za siebie; zasługi innych jego prac, mianowicie obrony katolicyzmu, przeciw nowym wyznaniom, Unii, Bractwa miłosierdzia, już się dowodziło. Pozostałoby więc tylko przypomnieć jego wyobrażenia polityczne.

Co do tych, jest naprzód monarchistą. Monarchia wydaje mu się najlepszą formą rządu, hierarchia rękojmią i podstawą społecznej harmonii i porządku. Królestwo zaś wyobraża sobie, jako poddane Kościołowi, jako *Regnum Sacerdotale*; wszelako bez przesad i niedorzeczności Orzechowskiego, wyznaje zwierzchność władzy kościelnej nad świecką w rzeczach duchownych. Jego monarchia zaś nie jest wcale absolutną, kazanie o Monarchii, kazanie o Prawach, dowodzą, że pojmuje ją jako mieszaną konstytucyjną; najjaśniej, mówi o tem jego *Próba Zakonu Jezuitów*. Co zaś najbardziej w nim uderza to, że w jego politycznych wyobrażeniach nie ma żadnych z góry powziętych uprzedzeń, żadnej doktryny. Monarchista i katolik jak on, a do tego kazno-

dzieja Zygmunta III, łatwo mógł popaść w dwa błędy: jeden, że szanując monarchię, trzeba osłaniać błędy monarchów i udawać ich za nicomylnych i doskonałych; drugi, że mógł wziąć za ideał, za cel, połączenie, solidarność Polski z państwami monarchicznymi i katolickimi, z Austryą i z Hiszpanią. On tymczasem w jedno ani w drugie nie wpada. Królowi, jego zdaniem, zawsze trzeba przysadzać prawo, bo łatwiej o dobre prawo, niż o dobrego króla — to w ogólności, a w szczególe umie doskonale napominać Zygmunta III. — Jak zaś jego przekonania katolickie i monarchiczne dalekie były od panujących podówczas na naszym dworze doktryn, dowód najlepszy w tem, że nie mogąc odwieść Zygmunta od powtórnego ożenienia z Austryaczką, złożył swój urząd królewskiego kaznodziei, i tylko na rozkaz swoich przełożonych na nim pozostał. To dowodzi, że przewidywał skutki tego małżeństwa, że się obawiał zagranicznej polityki Zygmunta i jego ścisłych związków z Austryą, że nie chciał takiej reakcyi monarchicznej, jaką przewaga austryacka sprowadzić mogła, że związku i solidarność z interesem Polski nigdy nie stracił, ale jej słuszne obawy i dobre uczucia podzielał. Nawet taki szczegół pokazuje, jak on był Polakiem.

Jakkolwiek nie możemy szczegółowo i dokładnie poznać charakteru Skargi, nie możemy wiedzieć, czy to była natura żywa i wrażliwa naprzykład, albo reflexyjna i powolna, czy udzielająca się lub w sobie zamknięta, albo nie możemy poznać jego sympatyj i upodobań do ludzi, do rzeczy, do książek, a wszystko to są rzeczy bardzo charakterystyczne i do poznania człowieka bardzo pomocne wskazówki, przecież niektóre główne rysy jego duszy przeglądają dość wyraźnie przez jego pisma i mowy. Z nich dochodzi się do pewności niewątpliwej, że był naprzód bardzo dobry, że rzewne miękkie współczucie dla ludzi było mu bardzo właściwe; dalej, był bardzo prosty, *simplex sicut columba*, o sobie nigdy i w niczem nie myślący; trzeźwy przytem bardzo i konieczność świeckiego życia doskonale rozumiejący. On wie, że doskonałość chrześcijańska jest bardzo roz-

maita, że się stósuje do obowiązków każdego stanu i powołania; nie żąda oderwania się od świata, wyłącznej i mistycznej pobożności, chce żeby każdy żył, swoje obowiązki świeckie wypełniał, i był dobrym chrześcianinem i człowiekiem, nie przestając być dobrym żołnierzem, królem, posłem i t. d. Wielka energia i wielki spokój, najwyższe i najdoskonalsze pojęcie Boga i człowieka, prawa moralnego w świecie i historyi, to wszystko widoczne jest z jego pism. Przytem człowiekiem być nie przestał wcale, nie stał się czystym duchem, którego żadna ziemska boleść nie mogła dotknąć; kiedy oskarżano jego zakon, a choć bezimiennie przecież bardzo wyraźnie jego, że działa na szkodę Rzpltej, że spiskuje przeciw niej, że chce zaprowadzić *absolutum dominium*, on tę krzywdę czuje i nie schyla pod nią głowy, ale odpięra, broni się; jak żywo ją czuł, jak dzielnie i zwycięzko odpięrał, świadczy Próba Jezuitów.

Że nigdy nie podehlebiał, to rzecz wiadoma; a doprawdy nie musi to być rzecz łatwa przeżyć lat trzydzieści na dworze, i nie mieć na sumieniu ani jednego słowa zbytecznej, przesadzonej grzeczności. Największa pochwała, jaką daje Zygmunтови III, jest ta, że z pociechą patrzy na jego pobożność i prawowierność, na jego przykładowy budujący sposób życia. To nie przesada, nie podehlebstwo, to prawdziwe świadectwo, na które Zygmunt zasłużył. O jego synu mówi, że „obiecuje choć tak młody piękne przymioty“ — i to nie przesada; w pochwałach jakie oddaje dwóm zmarłym królowym, niema jednego słowa konwencyonalnego żalu, ani jednego konwencyonalnego komplementu. Jeżeli ta czystość od podehlebstwa dowodzi wielkiej prostoty, wielkiej prawdy i wielkiej godności w jego naturze, to jest znowu rzecz inna, która dowodzi wielkiej niepodległości w charakterze, może zakonnej pokory, może wysokiego szacunku siebie samego, może jednego z drugim. Sama dymissya ze swego urzędu, kiedy król stanowezo się skłonił do powtórnego austriackiego małżeństwa, dowodzi niepodległości zdania i charakteru, ale prócz tej jeszcze inna okoliczność. Oto przez trzydzieści lat swojego pobytu na dworze, Skarga nigdy o nie

nie prosił; raz tylko wyprosił u króla dożywotnią pensję, chleb łaskawy, dla starego stangreta Wojciecha, który go przez cały ten czas we wszystkich dworskich podróżach woził, a ani razu, jak wspomina to z wdzięcznością, nie przewrócił. Jak musiał być niepodległym dla siebie, a jak delikatnym względem króla, człowiek, który w takim przy nim stanowisku, mając zawsze przystęp do jego pokoju i ucha, prawie jego sumienie w rękę, wpływu swego raz tylko użył na prośbę, i to dla dobra starego wysłużonego i zapewne ubogiego sługi.

A potem ta święta wielka Skarga pokora i skromność. Mickiewicz, wielki geniusz i wielkie serce, przecież mniema mieć objawienia od Boga, słowa własne podaje, jak żeby przez Ducha św. natehnione; Skarga, którego słowa tak się sprawdziły, że je dziś za prorocze uważamy, mówi wyraźnie „ja szczególnego Objawienia nie mam“. I co jeszcze ciekawe: Mickiewicz kiedy zabrnął w mistycyzm i słuchał i czekał objawień, wpadł w wielką pogardę dla świeckiego rozumu, dla nauk, dla ziemskich środków działania. Skarga na prawdę podobno bliższy Boga, i mający więcej prawa mówić o intuicyach i objawieniach, Skarga, u którego mistycyzm byłby łatwym do zrozumienia, naturalnym, Skarga nietylko tem wszystkiem nie gardzi, ale szanuje i wynosi naukę i rozum przy niejednej sposobności, a skrętnie, zabiegliwe chodzenie około spraw ziemskich podaje zawsze jako obowiązek. On nie mówi wodzom i żołnierzom, że Bóg zrobi dla nich cud i da im zwycięstwo: on mówi, że Bóg dopomoże, ale zwyciężyć muszą oni sami, przez mężstwo, przez dobre rozporządzenie, przez dobre przygotowanie moralne, ale i taktyczne i administracyjne.

Jak zresztą sam powołanie i stanowisko swoje pojmował, to pokazuje wyraźnie Przedmowa do *Kazań niedzielnych*. Nie piękniejszego, jak to żywe uczucie obowiązku względem Boga i wiary, i obowiązku względem ludzi i ojczyzny. To jest cała historia jego życia, to mogłoby być napisane na jego nagrobku. A historia polska, kiedy sama nad sobą smutno dziś rozmyśla, stwierdza te ostatnie słowa

w których on protestuje, że robił co mógł, a cokolwiek się stanie, on wolny jest od zarzutu. Tak jest: cokolwiek się stało, jego musimy uczynić wolnym od zarzutu. On jest jeden z tych rzadkich, bardzo rzadkich, którzy zrobili wszystko co mogli, żeby nas od upadku powstrzymać, a nie żeby nas do niego popchnąć; on ze wszystkich upominał najlepiej, prosił najgoręcej, groził najostrzej. Smutny, ale wielki prorok narodowego upadku, stróż najczujniejszy narodowego sumienia, a zatem i dobra Rzpltej, Boga miłujący i o chwałę jego gorliwy jak apostoł, jest tem, czem go nazwał Mickiewicz, ideałem kapłana i obywatela. Woronicz mówi: „Jeżeli chcesz być politykiem, czytaj Skargę, filozofem czytaj Skargę, mowcą czytaj Skargę, i t. d., bo Skarga jest wszystkim dla wszystkich“. Nie wiem, czy jest wszystkim dla wszystkich, filozofem, politykiem, historykiem. Ale to pewna, że jeżeli chcesz być porządnym człowiekiem i dobrym Polakiem, służyć Bogu i ojezyźnie, obojgu być wiernym jak na poczciwego człowieka przystało, to czytaj Skargę. Do tego, w jakimkolwiek czasie i stanie postawił cię Bóg, on ci z pewnością pomoże, teraz, i zawsze, i do skończenia świata.

IV.

Postęp literatury polskiej w wieku XVI. Jej stopień. Jej znamiona. Uczeństwo. Cywilizacya. Wpływ literatur obcych. Wyższość prozy nad poezją. Pierwiastki własne i oryginalność. Tendencya patryotyczna i praktyczna. Miłość Ojczyzny. Przeczucia upadku. Wzrost literatury ale schyłek Rzeczypospolitej. W skutku tego stopniowy schyłek literatury. Brak starania. Bierność. Fałszywa wolność i fałszywa równość. Spuścizna na wiek XVII.

Patrząc na literaturę polską, jaką była w początku XVI wieku i jeszcze w jego połowie, a jaką się stała w czasie następnym, zdumieć się trzeba nad ogromnym dokonaniem postępu. Zrazu nie, później tak mało że prawie nie; a po latach stosunkowo nie wielu nietylko jest, ale jest

świetna. Obejmuje różne gałęzie nauki, wszystkie główne kwestye owego czasu, odbija jego cechy i dążności ogólnie europejskie i specyficzniej polskie, zdobywa sobie miejsce i to wysokie, w sztuce, w poczty; jaśnieje niepospolitymi umysłami i niezaprzeczenie wielkimi talentami. Bez żadnej zarozumiałości narodowej możemy o niej śmiało twierdzić, że w rzędzie współczesnych literatur europejskich nie jest weale ostatnią, i między innymi starszemi od siebie wydaje się zupełnie dobrze. Niema Szekspira (którego zresztą wieki wydały jednego na cały świat), niema nawet *Jerozolimy wyzwolonej* ani *Orlanda*. Ale we współczesnych Niemczech, nawet we współczesnej Francyi, nie widzę poety, któryby był Kochanowskiemu równy, i tak jak on przeżył wieki. Wielkich uczonych jest w obcych krajach liczba większa, a sława niejednego z nich przewyższa sławę naszych. Ale Modrzewski ma zalety, przez które może się równać ze statystami zagranicznymi, Orzechowski wydawałby się wszędzie świetnym talentem, Górnicki w każdym języku wykwiłnym i rozumnym pisarzem, Heidenstein znakomitym historykiem. Nie widzę zaś w owym wieku takiego Francuza czy Włocha, Anglika czy Niemca, który siłą natchnienia i wymowy był równym Skardze. Te wielkie światła zaś otoczone są znaczną liczbą mniejszych, które wydałyby się jaśniejszemi, gdyby nie były przyćmione przez tamte wielkie. Zważywszy zaś i to jeszcze, że tamte literatury miały za sobą całą pracę, cały podkład, wieków, a nasza zaczynała z nowego a potrafiła dojść tak wysoko, trzeba będzie przyznać jej bardzo niepospolitą siłę i żywotność. Wrodzony instynkt, zbiorowe uczucie narodu, dawno uznało, że to wiek złoty naszego języka i piśmiennictwa, i nie pomyliło się. On jest naprawdę bardzo świetny; a choć w trzy wieki po nim był drugi od niego świetniejszy, złotym on był i zostanie zawsze w naszej opinii i w naszej historyi, jak długo nasz język żyć będzie na ziemi.

Gdyby spróbować wybrać i wskazać główne znamiona tej literatury, trzeba by naprzód z chlubą i radością stwierdzić, że ona jest szlachetna, dobra, moralnie zdrowa W zar-

cie jest często rubaszna i nieprzyzwoita; w pojęciu świata, człowieka i życia, nie jest nigdy zepsuta, przewrotna, nie czysta. Współczesna literatura zagraniczna ma w sobie wiele pierwiastków zatrutych i zabójczych; cynizm ohydny Aretina, Macchiavela cynizm polityczny, sceptycyzm Montaigna, mogły i mogą zawsze psuć, psuły istotnie w owym wieku i człowieka i społeczeństwo. Mile i wcale wdzięczne, a częste *lascywie* (Brantôma na przykład), mogły źle działać na obyczaje. U nas, cokolwiek mogło być złego w życiu, w literaturze niema nie naprawdę złego. Jest u protestantów namiętność religijna i gwałtowność w napaściach na Kościół; jest u katolików nieraz żart grubo lub sąd niezemnie osłoniiony o zgorzeniach w stanie duchownym. Jedno jak drugie wywołane jest oburzeniem na złe rzeczywiste; to oburzenie może być przesadnem, albo wyrażać się nierozważnie, ale tkwi jednak w sumieniu zdrowem, sumienia nie przytępia, nie bałanuci, nie zaprzecza. Znajomość złego i dobrego jest u tych pisarzy zawsze pewna i jasna, i zawsze cześć, miłość, służba dobrego. Oni wszyscy tego chcą, na to piszą, żeby ludzie, żeby Polacy, byli lepsi niż są: żeby jak uczy katechizm „Boga znali, kochali, i Jemu służyli“. Jedni pojmują tę służbę po protestancku, drudzy po katolicku; ale wszyscy rzetelnie i szczerze do niej prowadzą, na nią pracują. Pojęcie obowiązku chrześcijańskiego jak obywatelskiego mają wszyscy zdrowe i wysokie, nawet kiedy w praktyce życia (Orzechowski) zasługują na przysłowie „Czyńcie pralacie jak nauczacie“. To moralne zdrowie jest niezaprzeczenie jedną cechą literatury polskiej w wieku XVI (i zostanie taką długo, bez zastrzeżeń i wyjątków). Drugą cechą będzie jej wysoka oświata, jej cywilizacya. Nie jest im obcem. Wiedzą wszystko, co wie i umie ich czas; jedni mają umysły głębsze i naukę głębszą, drudzy są więcej powierzchowni, ale ogólna summa czy ogólny poziom wypadają wysoko pod każdym względem, w nauce, czy w kwestyach religijnych i politycznych, czy wreszcie w pojęciu życia towarzyskiego (choć na tem polu różnica była zapewne największa między *Dworzaniem* Górnickiego a ogółem szlachty współ-

czesnej). W rzeczach religijnych, politycznych, społecznych, oni są tak daleko posunięci w cywilizacji, tak przesiąkli prawdziwą cywilizacją chrześcijańską, że wyprzedzają — niektórzy z nich — nie tylko swój naród, ale swój czas. (Modrzewski w *Filaletesie*, w *księdze o Prawach*, w *Oracyach o karze na mężobójstwo*).

Ta wysoka cywilizacja objawia się w pisarzach jednym jeszcze przymiotem, przed nimi nie widzianym, zmysłem artystycznym. Oni o sztuce z wyjątkiem muzyki, mówią nader mało i muszą o niej mało wiedzieć; nie okazują też zwykłej u artystów wrażliwości na piękność (w naturze na przykład). A jednak jako pisarze oni są artystami. Z poetów prawda Kochanowski jeden; przed nim chyba Janicki, po nim może Szarzyński. Prozaicy za to i chcą i umieją pisać nie jak Pan Bóg da, ale pięknie. Ta świadomość i wola pięknego pisania daje się poznać niemylnie z układu i budowy ich pism, z każdego niemal okresu i zdania. Artystą w pisaniu jest i Orzechowski, i Górnicki, i Kromer, i Heidenstein, i niezapreczenie choć zapewne mimowolnie Skarga. Posiedli w zupełności sztukę pięknego pisania; mają styl (każdy swój, każdy inny i charakterystyczny), mają biegłość i umiejętność stosowania języka i stylu do przedmiotu. Przez to wszystko dają nam literaturę nie tylko szlachetną, rozumną i dobrą w treści, ale i piękną.

Rzecz prosta, że nie nabyli, nie zdobyli tych przymiotów sami przez się, ale z pomocą całej cywilizacji wieku, nowoczesnej i wskrzeszonej starożytnej. Ale tu byłoby może miejsce na zapytanie, co oni wyczerpali z obcych, a co dobyli sami z siebie i dodali. Przypomnijmy więc krótko, że cały podkład pojęć filozoficznych, jest u nich jak u wszystkich, przejęty od starożytnych, (Platon, Aristoteles, najczęściej podobno Cicero i Seneka); dalej, że wszystkie formy, zwłaszcza w poezji, ale i w prozie z małymi wyjątkami także, są robione z wzorem starożytnych przed oczyma. Literatura religijna, polemiczna, pomaga sobie oczywiście wiadomościami i argumentami zkańdokolwiek one przyjdą; prote staneka oczywiście głównie z dzieł niemieckich. Ale po za

tem, nie znać, żeby współczesne języki i literatury, były na nas wiele wpływały. Za Zygmunta Starego widzi się nie rzadko przeróbki lub tłumaczenia z niemieckiego; a satyryczny i tendencyjny dyalog, dyalog Reya, Wita Korczewskiego, aż do późnych Bielskiego, niezawodnie znajdował początkowo pomoc i zachętę w licznych niemieckich satyrach tego typu i kształtu. Ale więcej wpływów niemieckich dopatrzeć się trudno. Ze angielskich nie było wcale na literaturę polską, choć mogły się udzielać polskim protestantom, to widoczne. Znajomość tego języka i piśmiennictwa przychodzi do nas bardzo późno, dopiero w XVIII wieku. Francuzi? Ronsard mógł działać na Kochanowskiego przykładem, a podobieństwa niejakie zachodzą między nimi. Ale nie można dojrzeć na naszych Polakach ani wpływu, ani znajomości nawet, czy Montaigna, czy Rabelais, czy Brantôma, czy wreszcie Plejady Ronsarda i jego następców. Włochów oczywiście znali, czytali, podziwiali, i jeżeli z którą literaturą żyjącą, to z włoską ówczesną nasza jest w związku. Że to nie jest tylko związek naukowy, filozoficzny, polityczny, ale i literacki także, dowodzi młodszy o jedno pokolenie Piotr Kochanowski. Ale teraz, w połowie i na schyłku wieku XVI, tego bezpośredniego wpływu Włochów znać mało. Kochanowski trzyma się nierównie więcej starożytnych niż Petrarcki, a nie zapatruje się wcale na Ariosta; i *Dworzanin* zostaje najwyraźniejszym świadectwem styczności tych dwóch literatur. Kto wie zaś, czy nie powinniśmy raczej żałować, że Włosi a nawet Francuzi, nie działali na nas więcej przez swoją literaturę. Gdyby Rey był znał Rabelais'go naprzykład, może *Wizerunek* byłby pełną życia satyrą, zamiast być ciężkim szeregiem lekcji i moralów. Satyry Bielskiego, paszkwile Paprockiego, miałyby może inną doniosłość i jędrność, gdyby do Polski była doszła znajomość Satyry Menippejskiej naprzykład. Mało skłonności, czy zdolności do abstrakcyjnego myślenia; to zostanie zawsze. Mało fantazyi, nawet u takiego poety jak Kochanowski; to się zmieni bardzo, choć nie prędko. Uczucia dużo, i dobre; sposób jego wyrażania poważny, ze skłonnością do retoryki i patetycz-

ności. Ironii mało; dobrego humoru dużo, nieraz dowcip prawdziwy choć gruby, czasem świetny i wykwintny. Często rozwlekłość i powtarzanie się; ale jasność myśli i zrozumiałość słowa zawsze. Piękne okresy Orzechowskiego są widocznie na rzymskich pisarzach wyrobione, a prawdopodobnie wszyscy zapatrywali się na ulubionego nad wszystko Cicerona. Ale którego ze starożytnych prozaików dałoby się uważać za wzór tego stylu jaki ma Górnicki, jaki ma w innym rodzaju i tonie Skarga, nie widzę.

Widoczna jest i obiecująca przewaga prozy nad poezją w tej literaturze. Znakomity poeta tylko jeden, znakomitych prozaików, na różnych polach, wielu. Z tego sądząc, możnaby wnosić, że rozważa i myśl były w tym narodzie czynniejsze, silniej rozbudzone, niż wyobraźnia lub uczucie; a z tego wniosku możnaby znowu wróżyć mu w przyszłości dojrzałość świadomej i statecznej woli. Wniosek i wróżba byłyby mylne; historia współczesna i późniejsza dowodzi na nieszczęście, że ta przewaga myśli nad wrażeniem i popędem, choć była w literaturze tego wieku, nie była w społeczeństwie polskiem. Jednak zapisać ją należy na zaszczyt tej literatury; bo z pewnością rozwój jej wszechstronny, równomierny, poezya i proza razem dochodzące do najwyższych możliwych szezyców, stanowią dopiero literaturę zupełną, chwalebłą, jej zadanie i jej cel. Ale z dwojga lepiej jest każdemu narodowi mieć świetną prozę niż świetną poezję; ta olśniewa, porywa i cieszy nierównie więcej, ale tamta z natury swojej bywa jędrniejsza, hartowniejsza, bardziej mężka, i więcej niż poezya może kształcić, wyrabiać, wychowywać jędrne, zdrowe, tęgie umysły i społeczeństwa, świadome warunków swego bytu i swoich celów.

Wiadoma jest i do zbytku powtarzana prawda, że literatura polska XVI wieku bierze bardzo znaczną część swoich myśli i pojęć, jak swoich form, ze wspólnego wszystkim gruntu, ze spuścizny starożytnych. Stwierdza to nasza poezya jak nasza proza, we wszystkich swoich kierunkach i gatunkach. Ale jeżeli tak jest, to cóż w tej literaturze będzie naszym własnem, oryginalnem, polskiem? Czem się ona różni

od innych, i co posiada takiego czego inne nie mają? Słowem, czy do wspólnego zasobu dodaje i przysosi ona coś, czego od innych nie wzięła?

Nie potrzebujemy się o nią bać. Pomimo wszystkiego, co mogła pożywać lub naśladować, ma ona w swojej istocie i w swoich kształtach, rodzimego własnego pierwiastku i charakteru dosyć; a nieraz może się i pochwalić pojęciami, pomysłami, jakich się gdzieindziej nie znajdzie.

Jedną oznaką tej rodzimości jeżeli nie zupełnej oryginalności, jest wrodzona właściwość i zdolność zapewne tylko instynktowa, przenoszenia na swój grunt, stosowania do swoich potrzeb, tych prawd i nauk, jakie pisarze XVI wieku znajdowali u innych. Wszyscy ilu ich jest, od tych co dla dogodności czytelnika polskiego tłómaczą *Żywot Jezusa*, a dla zabawy tego czytelnika *Rozmowy Salomona z Marcholtem*, aż do Kochanowskiego i jego epigonów, aż do Skargi, wszyscy bez wyjątku o polskiem społeczeństwie myślą, dla niego piszą, jego stosunki i prawa, jego potrzeby, jego naprawę moralną czy polityczną, mają na oku i celu. Ta służba praktyczna, to ściąganie wszystkiego do polskiego narodu lub państwa, jest ich niezaprzeczoną wspólną charakterystyczną cechą — ich naturą. Bardzo być może, że ta właściwość wychodzi poniekąd na złe ich wartości ogólnej, dla wszystkich, i ich sławie. Modrzewski byłby może tak znanym i pamiętanym jak Bodin, gdyby był pisał o *Rzeczach Pospolitych* w ogólności, a nie o *Poprawie Rzeczypospolitej Polskiej*; dzieła Skargi miałyby może taką w Kościele powagę, jak ma do dziś dnia *Konfessya* Hozyusza, gdyby mniej tych zwrotów i przystosowań do rzeczy polskich, i gdyby nie język nieznan. Tymczasem fakt jest, że z wyjątkiem dzieł ściśle teologicznych, jak właśnie *Konfessya*, oni zawsze piszą tylko o Polsce i dla Polski. Może jest w tem szkoda dla ich uniwersalnego znaczenia, ale jest także dowód dwóch rzeczy bardzo dobrych: wielkiej miłości ojczyzny naprzód, a potem trafnego pojęcia obowiązku, tego które wskazuje, że dobre jakie się ma i chce robić, trzeba robić naprzód w swoim najbliższym zakresie, u swoich, na

swoich przez swoich. Żaden z nas nie będzie nigdy odpowiadał za to, czy jest lepiej czy gorzej we Francyi lub w Niemczech; każdy będzie w jakiejś mierze odpowiadał za to, czy będzie lepiej albo gorzej w Polsce. Ta zaś cecha i dążność, u nich powszechna, sprawia, że w dziełach swoich, jakakolwiek jest ich treść i forma, oni zawsze rzucają wiele światła na stan swojego społeczeństwa, na jego obyczaj, oświatę, usposobienia; przez to zawsze, pomimo zależności od starożytnych lub naśladowania, wybijają na swoich dziełach piętno najoczywiściej, najprawdziwiej, najzupełniej polskie. Za wymowny przykład służyć może *Odprawa Posłów*; treść, forma, wiele ustępów, wzięte wprost ze starożytnych. Ale opowiadanie Posła, ale liczne i wyraźne choć niby osłonięte alluzye, ożywiają naśladowane dzieło własnym duchem i nadają mu odmienny oryginalny charakter. Tej oryginalności w pożyczonych formach i nawet treściach, dowodów jest wiele; jest takim przecie takie przerobienie jak *Wizerunek* Reya, takie tłumaczenie jak *Dworzanin* Górnickiego. Na Kochanowskiego słyszy się czasem żale i skargi, że naśladował za wiele, a szczegółowa analiza nie przepuściła jednemu wierszowi, jednej myśli, zapożyczonej. Ale czy naprzeciw tej analizy nie dałoby się, i nie należało, przedsięwziąć drugiej, wykazującej wiele jest własnego pomysłu i wynalazku, w pieśniach, we Fraszkach, w Sobótce, w Trenach (pomimo mithologicznej przyprawy), i w samych nawet Psalmach, choć one są tylko przekładem.

Niezaprzeczenie także rysem charakterystycznym tej literatury jest jej tendencya, reformatorska, moralizująca. Nie wchodzimy w to, czy ona jest potrzebna czy nie potrzebna, dobra czy zła, w dziełach sztuki, w poezyi. Stwierdzamy tylko, że cała niemal literatura XVI wieku, nawet w wielkiej mierze poezya, ma ten charakter: i że ile wiemy nie ma go w mierze równej żadna ze współczesnych literatur. Może to źle, może to szkoda; ale nam się zdaje, że tak nie jest, że to owszem dowód i znamie szlachetności tej literatury, patryotyzmu i wysokiego zamiaru tych pisarzy. I otóż zaraz odpowiedź na pytanie, czem się literatura polska różni

od innych w tym samym czasie. To różnica jedna z najwyraźniejszych i największych. Może nie dość znamy literatury obce, ale ile je znamy, to nie widzimy między nimi ani jednej, któraby o swoją ojczyznę tak dbała, tak ją ustawicznie i tak namiętnie wzywała do myślenia o sobie, tak jej radziła mądrze jak ta. W tych radach nie zawsze znajdzie się wszystko, co było potrzebnem; ale obejmując okiem nie szczegóły tylko ogół, musi się przyjść do przekonania, że braknie mało czego, i że gdyby nasza dawna Rzeczpospolita była lepiej swoich pisarzy rozumiała i słuchała, to dziś stałaby inaczej. Jest w tem nawet powód do uczucia bardzo bolesnego, do strachu. Nie było podobno narodu, któremu by tak bez ustanku, i tak dobrze, powtarzane było co jest winien swojej ojczyźnie, co ma robić, żeby i przed Bogiem nie zgrzeszył i ojczyzny nie zgubił. Przypomina się groźba zawieszona nad tymi, co z dobrych rad korzystać nie chcieli, spełniona na Jerozolimie kamieniującej proroki, i z trwogą obraca się w głowie pytanie, czy my także nie wzgardziliśmy łaską, która nam ciągle, uporeczywie towarzyszyła, a niemal się narzucała i wpraszała.

Zdaje nam się — może mylnie — że większa miłość ojczyzny i troskliwsza o nią dbałość, jest jedną różnicą między literaturą naszą a innemi. W tej miłości, z niej poczęły się myśli, które i Polsce pomódz mogły, i drugim mogły służyć za przykład i naukę. Nie mamy pretensyi aui prawa wynosić się nad innych, ale zdaje nam się, że nasi Polacy w wieku XVI (nasi pisarze), rozumieją naturę, warunki, granice, i wolności i organicznego składu społeczeństw lepiej aniżeli obcy. Zniesienie jurysdykcyi pana nad poddanym, jedno prawo dla wszystkich, pewtarzane nieraz żądanie podatków powszechnych, żądanie prawa posiadania ziemi zatem piastowania urzędów dla mieszczan, najgorętszy z obrońców katolicyzmu, Skarga, przyznający różnowiercom nietylko wolność wyznania, ale równość w prawach politycznych i przyjaźń w prywatnych towarzyskich stosunkach, to są myśli, pojęcia, uczucia, które się w wieku XVI nie wszędzie i nie łatwo znajdują. I te mamy na pamięci kiedy twierdzimy,

że literatura polska nie wszystko czerpała od drugich, że z siebie samej brała i do wspólnego skarbu dodawała niejedno, co należało najbliżej, najistotniej, do prawdziwej i chrześcijańskiej cywilizacji.

Z miłości ojczyzny wreszcie pochodzi najosobliwsza, najbardziej własna cecha tej literatury, jej strach o Rzeczpospolitą, jej przeczucie upadku. Jest ono w czasach świetności tak dziwne, że niektórzy prawie w nie uwierzyć nie mogą, i pytają czy te powtarzające się trwogi nie są także naśladowaniem, mianowicie naśladowaniem Rzymian, z tą różnicą, że Rzymianie mieli powód obawiać się o Republikę nachyloną do upadku, a Polacy za Jagiellonów, za Batorego, nie mieli czego drzeć przed upadkiem ojczyzny, który był daleki, a dał się przecie uniknąć i odwrócić? Nie trzeba tych obaw brać do serca tak bardzo i tak tych pisarzy podziwiać, lub żałować, bo oni się nieraz przecie w swoich przewidywaniach mylą: widzą powody i groźby upadku w czemś, co się nie stało, albo co się właśnie podług ich myśli zmieniło (naprzykład Orzechowski i jedność religijna). A więc zachodzi nieraz brak logicznego związku między przyczyną a skutkiem, zatem i złe przeczucie musiało być urojonem nie rzeczywistym.

Tylko że w przeczuciach właśnie ścisłej logiki szukać nie trzeba i nie można. One są z natury swojej nie jasne; instykt ostrzega, że coś złego stać się może, ale myśl, reflexya, szuka tego nieszczęścia gdzieśindziej, nie tam z kądem ono przyjdzie. Stwierdza się to zwykle na przeczuciach ludzi; boją się trafnie jakiegoś nieszczęścia, ale przypuszczają nie to, lub nie tak, jak na nich spadło. Z przeczuciami zbiorowemi może być podobnie. Orzechowski myli się, kiedy protestantyzm swego czasu uważa za powód upadku, którym grozi, ale się nie myli, kiedy mówi „Sąsiedzi was rozedrą, jak psy flak“; i nie dla frazesu, nie dla efektu, ale z głębi i w goryczy swego strachu szczerze mówi „Byś serce moje rozkroił nie w niem nie znajdziesz tylko to jedno słowo: Zginiemy!“

Tego nie zaprzeczymy, że się ich groźby sprawdziły, spełniły; że rozbiór Polski był, że zostaliśmy bez króla i jego wybierania, bez języka, któremu odzywać się nie pozwalają, bez Kościoła, który zamykają, bez kapłana, którego święcie nie dają... to wszystko jest. Kiedy się więc widzi, że oni wszyscy, przez wiek prawie cały, boją się zguby a wołają o ratunek, cóż można myśleć? Okoliczności tej zguby może widzieli nie jasno, choć i te czasem oznaczają z precyzją dziwną, kiedy mówią, że Moskwa zagarnie Litwę a cesarz kraje sobie przyległe. Ale fakt zguby, rzecz główną, przewidują trafnie, i w tem się nie mylą. Że zaś przewidują prawie wszyscy, przynajmniej wszyscy znaczniejsi, od Krzyckiego aż do Skargi, cóż można innego przyjąć i przypuścić, jak, że mają instykt, zbiorowe a trafne przeczucie nieszczęścia. Mają je z miłości ojezyny, mają z tego zmysłu zachowania życia, wrodzonego każdemu stworzeniu, ale mają naprawdę, i naprawdę cierpią tym strachem i dręczą się.

Tej cechy nie znajdziemy w literaturze żadnego narodu. Żaden, bo takiego losu nie doznał, takiej przyszłości przed sobą nie miał. I to jest dopiero najosobliwsza, najbardziej własna cecha literatury polskiej, najwznioślejsza a razem tragiczna. Ona także jest jedną różnicą między nami a innymi narodami, między naszymi a ich pisarzami. I ona, kiedy dochodzi do swojej najwyższej moey, wydaje zjawiska wyjątkowe potęgi i natchnienia: jak Skarga.

Literatura poszła ogromnie w górę przez ciąg XVI wieku; ale Polska na odwrót zeszała na dół. Pomyślne warunki, wiele obiecujące stanowisko, jakie miała w wieku XV, zmieniło się bardzo, a na gorsze. Nie literatura temu winna. Ona, jak była skutkiem i oznaką wznoszenia się wyżej, tak mogła być, i chciała, silną dźwignią dalszego i coraz wyższego postępu. Ale między teorią, jaką jest słowo pisane, a praktyką, jaką było życie, zwłaszcza publiczne, wielka jest różnica i odstęp. Teoria jest mędrsza i lepsza od praktyki; a ta ostatnia nie przejmuje się tamtą i do niej nie stósuje. Dlaczego? Musiało prawdopodobnie być tak, że wy-

borowe najwyższe umysły, górowały bardzo nad poziomem ogółu, a między tą warstwą najwyższą, a tą ogólną średnią, nie było ogniw łączących, nie było ludzi zdolnych i chętnych przejąć się myślami Modrzewskiego lub Skargi, i myśli te podawać dalej, rozszerzać je po województwach i powiatach, zaszczerpiać w umysłach braci szlachty. To co Szujski mówi o wielkich ludziach, że marnieją kiedy nie mają otoczenia, środowiska zdolnego i gotowego zrozumieć ich i popierać, prawdą jest także o dobrych myślach i radach. Każdy zasiew musi zawsze padać w znacznej części między ciernie i kamienie; ale może padać i na dobrą rolę także i wydać plon. U nas w wieku XVI tej roli, dobrze uprawionej, przysposobionej do przyjęcia ziarna, starannie plewionej z chwastów, musiało być za mało; i dlatego plon z zasiewu literatury nie zeszedł tak, jak był mógł i był powinien. Nie pod względem politycznej naprawy i potęgi tylko, ale nawet pod względem oświaty i umiejętności dobrego pisania. Literatura bardzo szybko i bujnie rozwinięta, rychło opada i więdnie. Co do poezyi jeszcze można to tłumaczyć powodami przypadkowymi, nie zależnymi od ludzi: nikt temu nie winien, że po Kochanowskim nie przyszedł drugi talent równy albo wyższy. Ale to wyczerpanie z sił i głębszej myśli, ten brak znakomitych pisarzy i większych pomysłów w prozie, ten dowodzi, że zabrakło owego środowiska, owej uprawionej roli, o których wyżej: że odległość była duża między społeczeństwem a jego literaturą z drugiej połowy XVI wieku, że ono stało od niej znacznie niżej, i tego odstępu nie czuło, nie starało się iść w górę. Pod koniec XVI wieku można uważać u nas wzrost jednej skłonności czy własności nie dobrej, której w wieku XV nie znać, która przez większą część XVI nie wychodzi na wierzch. Burzliwość, namiętność, gwałtowność, to cecha naszych ówczesnych dążeń i sporów, religijnych czy politycznych. Ale zaledwo te się uciszyły, występuje zaraz bierność, jakaś wygodna skłonność do przestawania na tem, co jest, do miłego wezasu i używania. Miękość, czy lenistwo? Dość, że powstaje jakiś kwietyzm i konserwatyzm zaślepiony a uparty, który w historii pozwala

czasem na bohaterski poryw, nigdy na stałe i stateczne działanie; w literaturze i oświacie przestaje na tem, co ma, a nie troszczy się o więcej.

Do tego usposobienia, które musi nam być wrodzonym, bo powtarza się bardzo, a przezwycięża trudno, dodał schyłek XVI wieku jeden pierwiastek szkodliwy i zły, podziwianie siebie samych, narodową zarozumiałość. Zdawało nam się, żeśmy rozwiązali najtrudniejsze z zagadnień, wynaleźli kamień filozoficzny, stworzyli i zaprowadzili doskonałą formę rządu. Uwierzyliśmy, że jesteśmy jedynym na świecie narodem wolnym, i uwierzyliśmy w swoją nad innymi wyższość. Ta zarozumiałość, to zakochanie się w sobie, musiało rozwinąć w nas wrodzoną bierność, miękkość, kwietyzm. Tylko nie nie tykać, nie nie zmieniać, bo wszystko jest doskonałe, najdoskonalsze jak być może! Takie usposobienie zaś raz wszczepione, nie zatrzymuje się na samem życiu publicznem i praktycznem, ogarnia stopniowo wszystkie kierunki życia; a rok 1573 zaszkodził nie tylko polskiej polityce i państwu, ale także i polskiej oświacie, polskiej literaturze, bo zaraził ją także przestawaniem na tem co jest, a niedbałością o to lepsze co być może, biernością, brakiem przedsiębiorczości i pracy. Z tego niewątpliwie wynika ten dylettantyzm, ten brak starania i pracy, który się pokaże rychło w wieku XVII, a sprawia, że talenta zupełnie niezwykle nie napiszą nic naprawdę i zupełnie dobrego, że trafne a czasem śmiałe i piękne pomysły marnieją w słabem wykonaniu. Za dowód może wystarczyć fakt, że zapal do nauk, żądza oświecania się, tak widoczna, szlachetna i skuteczna w wieku XV i przez większą część XVI, teraz słabnie. Wypaliła się, zgasła; indywidualna uczą się i kształcą, jeżeli chcą, ale ogół zostaje na miejscu a nie postępuje.

Oprócz tego zaszczerpił w nas wiek XVI, czy rozwinął, w każdym razie zostawił po sobie, fałszywe pojęcie wolności. Może ono nie było nam wrodzone, bo nie znać go w wieku XV; ale zakorzeniło się silnie, bo w XIX jeszcze w nas tkwi, jak zatruta strzała w ciele rannego. Wolność zrozumiana jako największa możliwa, jako niemożliwa, nie-

zależność jednego indywiduum; prawo jest tej niezależności ograniczeniem, władza jest jej niebezpieczeństwem i wrogiem; podejrzenie i opór jest obroną wolności, obowiązkiem obywatela, próbą i dowodem jego cywilnej odwagi. Że takie pojęcie wolności prowadziło nas prostą drogą, logicznie, do *Liberum Veto*, to jasne; a gdzie nas doprowadziło, to wiemy. To nieszczęście zaś rozwijało się przez ciąg XVI wieku, uprawiało stopniowo rolę, a dojrzało i rozsiało się w roku 1573. Że ono wydało plon, to wiemy.

Dalszem, tego bliskiem, a nie mniejszem złem, było nasze pojęcie równości. Równości wszystkich ludzi przed Bogiem i prawem, tej rzeczywistej, zbawiennej i koniecznej, nie rozumieliśmy i nie zaprowadzili. Ale rozkochaliśmy się w pozornej i uludnej równości znaczenia, która nigdy rzeczywistą nie była, nie jest i być nie może, a wiodła u nas jak wszędzie, do wielkiego oszukania i tej umiłowanej mniemanej równości, i tej wolności, o którą byliśmy tak zazdrośni. Cieszyły nas pozory głosowania powszechnego na sejmikach i na elekeyjnych sejmach, a to nam nie nie szkodziło, że na jednych jak na drugich rozstrzygał zawsze jakiś możny wpływ, zamieniający mniemaną wolność i mniemaną równość w marny pozór, blichtr, komedycę. Demokracja szlachecka, wyrobiona i ustalona w wieku XVI, była demokracją fałszywą. Nie dlatego tylko, że była wyłącznie szlachecką, stanową: ale dlatego, że była skrzywioną w samej swojej istocie i naturze. Była naprzód wielką nieprawdą, bo przedstawiała na pozorach, nie dbając o treść; była potem pierwiastkiem rozkładu i anarchii przez podejrzliwość względem wszelkiej władzy i wszelkiej wyższości, przez zazdrość. Rzecz prosta i nieunikniona, że z takiego usposobienia musiał korzystać, i zawsze też korzystał, demagog wiehrzyciel, w dawnej Polsce arystokratyczny, w porozbiorowej każdy. Kiedy społeczeństwo jakie przestaje lub nie chce być organicznym składem części różnych, równomiernych a połączonych jednym prawem i wspólnem życiem, kiedy uważa się za mechaniczną sumę jednostek lub stanów, tam organizm się rozprzega, traci jedność, wspólność i kierunek, a władzę nad

niem przypadkową na pewien czas, bierze pierwszy lepszy zręczny czy szczęśliwy. U nas było to o tyle łatwiejszem, że przez dziwną jakąś sprzeczność, mamy w sobie instynkta demokratyczne, egalitarne, ale obyczaj bardzo arystokratyczny. Mamy niechęć, zazdrość do urzędowego stanowiska, do władzy, nawet do wyższości; ale mamy uszanowanie wielkie, zbyt uczynne, czasem bałwochwaleze, dla pozycji towarzyskich i nazwisk, bez względu nawet na wartość osób. To złe, to zgubne usposobienie czy przyzwyczajenie wyrobił w nas znowu wiek XVI. Zostawiał nam z jednej strony fałszywą demokrację i zaślepione do niej przywiązanie, z drugiej arystokrację tem więcej skłonną do wichrzenia, że pozbawioną prawnej stałej podstawy, zatem utrzymującą się przy znaczeniu sztukami, zuchwałą względem króla, zazdrośną względem znaczących i wyniesionych, zręczną względem tej opinii publicznej, na której grali jak na klawiszach Kmitowie i Zborowscy a po nich inni.

Tak być musiało „Taki rząd *popularitates* musi mieć swoje króliki“, jak mówi Skarga, a u nas właśnie, jak znowu mówi Górnicki „*populus* wziął rząd na się... co dalej będzie, Bóg sam to wie“. *Populus* wziął rząd na się, ale sam rządzić ani umiał ani nawet chciał, a drugiemu tylko rządzić nie dawał. Ztąd ta u królów smutna, może konieczna, ale zgubna praktyka, rządzenia sztukami, wybiegami, konspiracyjnego poniekąd działania, bo myśl nieraz zdrowa i zbawienna dla Rzpltej, prostą, jawną drogą wykonać się nie dawała; ale praktyka, która znowu musiała podniecać i podżegać dyffidencje i niechęci.

Takie zmiany na gorsze, zostawił po sobie wiek XVI w naszym stanie wewnętrznym, i w naszym usposobieniu, pomimo swojej świetnej literatury, i wbrew jej. Wiek XVII rozwinie zarody złego do wyższej potęgi, a literatura już ich w tej mierze, z tą siłą, wskazywać i wstrzymywać nie zdola.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



Dzieła i rozprawy używane przy pisaniu pierwszego tomu.

Historya.

- Bobrzyński*. Dzieje Polski w zarysie. 3 wyd. Warszawa 1887.
- Szujski*. Dzieje Polski podług ostatnich badań spisane. Lwów 1862—66
4 tomy.
- Historyi polskiej treściwie opowiedzianej ksiąg dwanaście. Warszawa 1880.
- Opowiadania i roztrząsania historyczne. Kraków 1876—82. 2 serye.
- Smolka*. Mieszko Stary i jego wiek. Kraków 1881.
- Szujski*. Odrodzenie i reformacya w Polsce. Kraków 1881.
- Zakrzewski*. Powstanie i wzrost reformacyi w Polsce. Lipsk 1870.
- Po ucieczce Henryka. Kraków 1878.
- Pawiński*. Rządy sejmikowe w Polsce. Warszawa 1888.
- Rembowski*. Konfederacya i rokosz. Warszawa 1896.

Szkoły. — Oświata.

- Lukaszewicz*. Historya szkół w Koronie i w W. X. Litewskiem. Poznań 1849—51. 4 t.
- Małecki*. Klasztory i zakony w Polsce w obrębie wieków średnich. Lwów 1875 (*Przewodnik nauk. i liter.*).
- Windakiewicz*. Padwa, studyum z dziejów cywilizacyi polskiej. Kraków 1891 (*Przegląd Polski*).
- Materyały do historyi Polaków w Padwie. Kraków 1891. (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce*, t. VII.).
- Bolonia i Polska.
- Karbowiak*. Dzieje wychowania w Polsce w wiekach średnich. 1 cz. Kraków 1896.
- Brückner*. Kazania średniowieczne. Warszawa 1891 i 92. (*Biblioteka Warszawska*).
- Średniowieczna poezya łacińska w Polsce. (*Rozpr. Wyd. filolog.* t. 16, 22, 23).

Bibliografia i historye literatury.

- Estreicher.* Bibliografia polska. Kraków 1870—90. 11 t.
Wiszniewski. Historia literatury polskiej. Kraków 1840—57 10 t.
Mickiewicz. Literatura słowiańska wykładana w Kolegium francuskim.
 Poznań 1865. 4 t.
Bartoszewicz. Historia literatury polskiej. Warszawa 1861.
Spasowicz. Dzieje literatury polskiej. 3 wyd. Kraków i Warszawa 1891.

Polskie zabytki średniowieczne.

- Nehring.* Altpolnische Sprachdenkmäler. Berlin 1887.
Bruchnalski. Legenda aurea. Kraków 1885.
Kawczyński. O początkach poezyi polskiej. Lwów 1889. (*Kwart. histor.*).
Bobowski. Polskie pieśni katolickie od najdawniejszych czasów do końca XVI wieku. Kraków 1893.
Brückner. Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej. V. Wiersze polskie średniowieczne. Warszawa 1893. (*Bibl. Warsz.*).
Nehring. Początki poezyi dramatycznej w Polsce. Poznań 1887. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XV.)
Zeissberg. Dziejopisarstwo polskie wieków średnich. Warszawa 1877. 2 tomy.

Gallus.

- Gumplowicz.* Bischof Balduin Gallus von Kruszwica, Polens erster lateinischer Chronist. Wien 1895. (*Sitzungsber. der K. Akad. der Wissensch. Philos.-histor. Classe*, Bd. 132).

Kadłubek.

- Bielowski.* Mistrz Wincenty. Lwów 1863. (*Bibl. Ossolińskich*). t. II.

Baszko.

- Małecki.* Kronika Baszka czyli t. zw. Kronika Wielkopolska. Lwów 1894.
Kętrzyński. O kronice wielkopolskiej. Kraków 1896. (*Rozp. Wydz. histor.-filozof.* t. 33).

Czarnkowski.

- Kubala.* Jan Czarnkowski i jego kronika. Warszawa 1878. (*Bibl. Warsz.*).

Grzegorz z Sanoka.

- Seredyński.* Grzegorz z Sanoka. Kraków 1867. (*Przegląd Polski*).

Długosz.

- Szujski.* Stanowisko Długosza w historyografii europejskiej. Kraków 1880.

Semkowicz. Krytyczny rozbiór Dziejów polskich Jana Długosza. Kraków 1887.

Bobrzyński i Smolka. Jan Długosz, jego życie i stanowisko w piśmienictwie. Kraków 1893.

Ostroróg.

Jarochowski. Jan Ostroróg. Warszawa 1883. (*Niwa*).

Pawiński. Jana Ostroroga życie i pismo o naprawie Rzpltej. Warszawa 1884. (*Biblioteka Umiejętności prawnych*).

Rembowski. Jan Ostroróg i jego memoryał wobec historyi prawa i nauki politycznej. Warszawa 1884. (*Niwa*).

Bobrzyński. Jan Ostroróg. Studium z literatury politycznej XV. wieku. Kraków 1885. (*Pamiętnik Akad. Umiej. Wydz. filolog. i histor.*).

Caro. Jan Ostroróg i traktat jego o naprawie Rzpltej. Kraków 1885. (*Pamiętnik Akad. Umiej. Wydz. filolog. i histor.* t. IV).

Małecki. Kiedy powstał memoryał Ostroroga. Lwów 1887. (*Kwart. hist.*).

Callier. Ostroróg, monografia w głównych zarysach. Poznań 1891. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XVIII.).

Lewicki. Dwa przyczynki do życiorysu Jana Ostroroga. Lwów 1891. (*Kwart. hist.*).

Galle. Jeszcze o Ostrorogu. Warszawa 1898. (*Ateneum*).

Paweł z Brudzewa.

Balzer. Przedmowa do wydania Tractatus Zawisza de Góra. (*Monumenta Poloniae historica*, t. IV.).

Bobrzyński. Przedmowa do wydania Tractatus de potestate Papae et Imperatoris (*Starodawne prawa polskiego pomniki* t. V).

Zaborowski.

Bobrzyński. Stanisław Zaborowski. Lwów 1877. (*Przew. nauk. i liter.*).

Paweł z Krosna i Jan z Wislicy.

Kruczkiewicz. Przedmowa do wydania pism w „Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum“. Kraków 1887. t. II.

Jeżeniecki. Wpływ klasycznych poetów rzymskich na Jana z Wislicy. Kraków 1891 (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XIV).

Witkowski. Jan z Wislicy, jego życie i pisma. Lwów 1891. (*Przew. nauk. i liter.*).

Krzycki.

Węcłowski. O poezjach Andrzeja Krzyckiego. Kraków 1874.

Droba. Andrzej Krzycki jako pisarz i polityk. Kraków 1879. (*Przeegl. Polski*).

Morawski. Corpus antiquissimorum poetarum Poloniae latinorum (przedmowa). Kraków 1888. t. III.

Dantyszek.

- Siemiński.* Portrety literackie. Poznań 1865. t. I.
Finkel. Poselstwa Jana Dantyszka. Lwów 1879.

Janicki.

- Węcłowski.* Wiadomość o życiu, pismach, wydaniach i przekładach poezyj Klemensa Janickiego. Warszawa 1869.
Windakiewicz. Siedm dokumentów do życia Janickiego. Kraków 1890. (*Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce* t. VII.).
Ćwikliński. Klemens Janicki, poeta uwieczony. Kraków 1893. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XVII).

Modrzewski.

- Ossoliński.* Wiadomości historyczno-krytyczne, t. IV. Lwów 1852.
Matecki. Andrzej Frycz Modrzewski. Lwów 1864. (*Biblioteka Ossolińskich* t. V.)
Knapinowski. Andrzej Frycz Modrzewski, pisarz XVI. wieku, jako teolog. Warszawa 1881.

Orzechowski.

- Ossoliński.* Wiadomości historyczno-krytyczne t. III. Kraków 1822.
Kubala. Stanisław Orzechowski i wpływ jego na Rzpltą. Lwów 1870.
Korzeniowski. Orichoviana. Opera inedita et epistulae Stanisłai Orzechowski. Kraków 1891.

Rey.

- Tyszyński.* Wizerunek Mikołaja Reya. (*Wizerunki polskie*). Warszawa 1875.
Ptaszycki. Mikołaj Rey i ks. Józef Wereszczyński. Wilno 1880.
Bruchnalski. Mikołaja Reya Żywot Józefa w stosunku do literatury obcej. Lwów 1886. (*Muzeum*).
Nehring. Die dramatisirte Geschichte Josephs von Rey. Berlin 1886. (*Archiv für slavische Philologie*, t. I.).
Kniaziołucki. Materiały do biografii Mikołaja Reya z Nagłowic. Kraków 1892.
Chlebowski. Mikołaj Rey w świetle nowych świadectw. Warszawa 1893. (*Ateneum*).
Chrzanowski. Zwierzyniec Mikołaja Reya z Nagłowic. Warszawa 1893. (*Ateneum*).
 — Facecye Mikołaja Reya. Kraków 1894. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XXIII).
Windakiewicz. Wielcy pisarze polscy. I. Mikołaj Rey z Nagłowic. Kraków 1895.
Leciejewski. Zapatrywania Mikołaja Reya na wychowanie. Poznań 1897. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XXIV).

Górnicki.

- Czarnik*. Łukasz Górnicki. Lwów 1882. (*Przew. nauk. i liter.*)
Loewenfeld. Lucas Górnicki, sein Leben und seine Werke. Wrocław 1884 (przekład polski: Warszawa 1884).
Ptaszycki. Łukasz Górnicki, kilka nieznanych szczegółów z życia. Warszawa 1886. (*Bibl. Warsz.*)
Windakiewicz. Kilka szczegółów o Łukaszu Górnickim i jego rodzinie. Warszawa 1887. (*Bibl. Warsz.*)

Kochanowski.

- Przyborowski*. Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. Poznań 1857.
Szujski. Treny na śmierć córki Jana Kochanowskiego i Ojciec zadźmionych J. Słowackiego. Kraków 1866.
Faleński. Treny Jana Kochanowskiego. Warszawa 1867.
Gacki. O rodzinie Jana Kochanowskiego. Warszawa 1869.
Loewenfeld. Jan Kochanowski und seine lateinischen Dichtungen. Poznań 1877.
Plenkiewicz. Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań. Warszawa 1878. (*Ateneum*).
Parylak. O pieśniach Jana Kochanowskiego. Lwów 1879.
 — O elegiach i odach łacińskich Jana Kochanowskiego. Lwów 1880.
Rymarkiewicz. Kolebka, dom i grób Jana Kochanowskiego. Poznań 1880.
Faleński. Fraszki Jana Kochanowskiego. Warszawa 1881. (*Biblioteka Warsz.*)
Morawski. Kilka słów o „Satyrze”. Warszawa 1882. (*Ateneum*).
Krystyniacki. M. T. Cicerona tłumaczenie Arata przez Jana Kochanowskiego. Lwów 1883.
Kallenbach. Odprawa posłów greckich Jana Kochanowskiego. Kraków 1883.
 — Kilka słów o elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego. Kraków 1883.
Rymarkiewicz. Pieśń świętojańska o Sobótce. Poznań 1884.
Morawski. Z życia towarzyskiego w epoce Zygmunta Augusta. Kraków 1884. (*Przegląd Polski*).
Kallenbach. Jan Kochanowski w uniwersytecie krakowskim. Warszawa 1884 (*Ateneum*).
Małecki. Jana Kochanowskiego młodość. Kraków 1884. (*Przegl. Polski*).
Bobrzyński. Stanowisko polityczne Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Gasztowt. Poezya europejska XVI. wieku w stosunku do Jana Kochanowskiego (*tamże*).
Pawlikowski. Kilka słów o stosunku Kochanowskiego do Tibulla (*tamże*).

Blatt. Spostrzeżenia nad językiem Jana Kochanowskiego (*tamże*).

— Archaizmy w języku Jana Kochanowskiego. Kraków 1884.

Nehring. Treńy Jana Kochanowskiego. Poznań 1884. (*Studia*).

— Odprawa posłów Jana Kochanowskiego (*tamże*).

Chlebowski. Jan Kochanowski w świetle własnych utworów. Warszawa 1884.

W wydaniu pomnikowem (Warszawa 1884) objaśnienia językowe, krytyczne i historyczne:

Kryńskiego (Psalterz),

Włoszka i Plenkwiczu (Pieśni),

Chmielowskiego (Sobótka),

Plenkiewiczza (Muza),

Morawskiego i Nehringa (Odprawa i Satyr),

Loewenfelda (Treńy i łacińskie utwory),

Będzkiewiczza (Proporzec),

Pawińskiego (Jazda do Moskwy),

Przyborowskiego (Fraszki),

Egowskiego (Fragmenta).

Parylak. Jana Kochanowskiego Treńy. Lwów 1885.

Windakiewicz. Nieznane szczegóły o rodzinie Kochanowskich. Warszawa 1885.

— Życie dworskie Jana Kochanowskiego. Kraków 1885.

Kalina. Pieśń świętojańska o Sobótce. Kraków 1885.

Windakiewicz. Pobyt Kochanowskiego za granicą. Kraków 1886. (*Rocznik filarecki*).

Chmielowski. Sobótka. Kraków 1886. (*Studia i szkice* t. I).

— Ostatnie lata życia Jana Kochanowskiego (*tamże*).

Belcikowski. Jan Kochanowski. Warszawa 1886. (*Ze studyów*).

Ziomba. Piotr Ronsard. Kraków 1886.

Kallenbach. Filozofia Jana Kochanowskiego. Kraków 1888. (*Przegląd Polski*).

Brückner. Nowe przyczynki do dzieł Jana Kochanowskiego. Warszawa 1891. (*Ateneum*).

Sas. Przyczynek do poezji polsko-łacińskiej XVI. wieku. Kraków 1892. (*Rozpr. Wydz. filolog.* t. XVIII).

Plenkiewicz. Geneza i rozbiór Odprawy posłów greckich. Warszawa 1896. (*Bibl. Warsz.*).

— Jan Kochanowski, jego ród, żywot i dzieła. Warszawa 1884. (1897). (Dzieła wszystkie, wydanie pomnikowe, t. IV. część 1.).

Kromer.

Siemiński. Portrety liter. I. Poznań 1865.

Eichhorn. Der ermländische Bischof Martin Kromer. Braunsberg 1868.

Powidaj. O Kromerze Eichhorna. Kraków 1869. (*Przegląd Polski*).

Walenski. Marcin Kromer. Warszawa 1874.

Finkel. Marcin Kromer, rozbiór krytyczny. Kraków 1883.

Szarzyński.

Finkel. Mikołaj Sęp Szarzyński. Lwów 1880. (*Przew. nauk. i liter.*).

Faleński. Mikołaj Sęp Szarzyński. Warszawa 1881. (*Ateneum*).

Brückner. Źródła do dziejów literatury i oświaty w Polsce III. Sęp Szarzyński. Warszawa 1891. (*Bibl. Warsz.*).

Klonowicz.

Mecherzyński. O poezjach satyrycznych Fabiana Klonowicza. Kraków 1850. (*Roczn. Tow. nauk.*).

Mierzyński. De vita, moribus scriptisque latinis S. F. Acerni. Berlin 1857.

Kantecki. Sebastyan Klonowicz i jego poemat o Rusi. Lwów 1875. (*Przew. nauk. i liter.*).

Przyborowski. Rok śmierci Sebastjana Klonowicza. Warszawa 1878. (*Ateneum*).

Detmerski. Nowe szczegóły do życiorysu Klonowicza. Warszawa 1882. (*Ateneum*).

Skarga.

Ryckicki. Piotr Skarga i wiek jego. 2 wyd. Kraków 1868/9. 2 t.

Bobrzyński. Kazania sejmowe Skargi. Kraków 1876.

Półkowski. Żywoć ks. Piotra Skargi. Kraków 1884.

Czuczynski. Pochodzenie i rodzina ks. Piotra Skargi Pawęskiego. Kraków 1892. (*Przegląd powszechny*).

Pawelski. Domniemane wiersze Skargi. Kraków 1898. (*Przegląd powszechny*).

Warszewicki.

Wierzbowski. Krzysztof Warszewicki. Warszawa 1887.

Wereszczyński.

Hołowiński. Homiletyka. Kraków 1859.

Ptaszycki. Mikołaj Rey i ks. Józef Wereszczyński. Wilno 1880.

Ciesielski.

Krzyżanowski (*Rocznik Filarecki*).

A. Zbylitowski.

Abicht. Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego. Kraków 1899.

Grochowski.

Bełcikowski. Ks. Stanisław Grochowski, żywot i pisma. Lwów 1891. (*Przew. nauk. i liter.*).

St. Tarnowski. „Literatura“. T. I.

Windakiewicz. Ks. Stanisław Grochowski, studyum biograficzno-literackie. Poznań 1891. (*Roczniki Tow. Przyj. Nauk.* t. XVIII).
Chmielowski. Stanisław Grochowski. Warszawa 1892. (*Ateneum*).

Miechowita.

Borzemski. Kronika Miechowity. Kraków 1891. (*Rozpr. Wydz. histor.-filoz.* t. XXVI.).

Decyusz.

Hirschberg. O życiu i pismach Justa Ludwika Decyusza. Lwów 1873. (*Przew. nauk. i liter.*).

Wapowski.

Lukas. Rozbiór podługoszowej części kroniki Bernarda Wapowskiego. Kraków 1883.

Marycki.

Węclewski. Simon Maritius. Chełmno 1867. (*Progr. gimn.*).
Lericki. Szymona Maryckiego De scholis. Przemyśl 1885. (*Sprawozd. gimn.*).

M. Bielski.

Wisłocki. Gwalter Burley i Marcin Bielski. Kraków 1878.
Pawiński. O Marcynie Bielskim kilka nowych szczegółów. Warszawa 1880. (*Tygodnik illustrowany*).

Paprocki.

Adamowicz. Stanowisko herbarza Bartosza Paprockiego w historii naszej. Warszawa 1861. (*Bibl. Warsz.*).
Jireček. Bartosz Paprocki. Warszawa 1867. (*Bibl. Warsz.*).

J. Bielski.

Nehring. O życiu i pismach Joachima Bielskiego. Poznań 1860. (O historykach polskich XVI. wieku. Część II.).

SPIS TREŚCI.

	Str.
Przedmowa	VII.
Uwaga do tomu pierwszego	XIX.
 ROZDZIAŁ I. do wieku XVI.	
I. Późny początek literatury polskiej. Jego powody. Wiek Piastowski. Stan polityczny. Stopniowy postęp oświaty. Odrodzenie Polskiego Państwa. Kazimierz W. Połączenie z Litwą. Wzrost polityczny. Uniwersytet. Wzrost nauk i oświaty. Pierwsze oznaki humanizmu, Grzegorz z Sanoka. Zbigniew Oleśnicki	1
II. Zwrot w stanie politycznym i umysłowym. Jego ślady w dziełach pisanych. Paweł z Brudzewa. Ostroróg. Długosz. Język. Polska w końcu XV. wieku	21
 ROZDZIAŁ II. — 1500—1548.	
I. Skromny początek XVI wieku. Zaborowski. Miechowita. Decyusz. Poeeci: Paweł z Krosna. Jan z Wiślicy. Krzycki. Dantyszek. Zmiany w położeniu Polski i w jej oświacie. Nieznaczne przygotowania piśmiennictwa w polskim języku. Druki. Przekłady i ich wybór. Język. Stan wewnętrzny między rokiem 1530 a 1540. Jego odbicie w literaturze. Janicki	35
II. Wartość i cecha dotychczasowej literatury. Pierwszy występ pisarzy znakomitych. Rey, Orzechowski, Modrzewski. Pierwsze pisma każdego. Ich znaczenie i znamiona. Postęp nowości religijnych. Orzechowski w sporze z Biskupem. Śmierć Zygmunta Starego	57
 ROZDZIAŁ III. — 1548—1557.	
I. Sprawa królewskiego małżeństwa. Sprawa i pisma Orzechowskiego. Marycki. Modrzewskiego <i>Poprawa Rzeczypospolitej</i> . Statut Przyłuskiego. <i>Idea Apocalyptica</i>	75
II. Historia Kromera. <i>Annale</i> Orzechowskiego. Reya <i>Wizerunek</i> . Występuje Kochanowski	90

ROZDZIAŁ IV. — 1557—1572.

	Str.
I. Kochanowskiego młodość, poezye łacińskie. Pierwsze wiersze polskie. Stosunek do Ronsarda. Powrót do Polski. <i>Pieśni. Fraszki. Zgoda. Satyr</i>	117
II. Modrzewskiego <i>O Kościele Księga Druga</i> . Orzechowski. Polemika z Modrzewskim i Stankarem. Dyalogi. Quincunx. Charakterystyka ogólna	136
III. Rey. Zwierzyniec. Żywot poczciwego człowieka. Apophtegmaty. Figliki. Charakterystyka ogólna	151
IV. <i>Dworzanin</i> Górnickiego. <i>Sylwy</i> Modrzewskiego. Goślickiego <i>Najlepszy Senator</i> . Kochanowski. Wyjście ze służby. <i>Muza. Proporzec. Wróżki. Ciesielskiego Oracya</i> .	181

ROZDZIAŁ V. — 1573—1586.

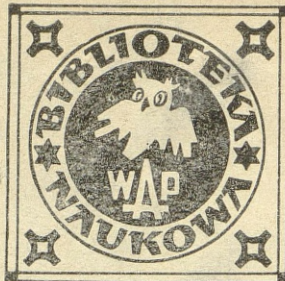
I. Literatura podczas drugiego Bezkrólewia. Król Stefan. Zenit Kochanowskiego. <i>Odprawa Posłów</i> . Kromer. <i>Psalterz. Treny</i> . Schyłek. Charakterystyka ogólna	193
II. Mniejsi poeci. Paprockiego <i>Satyry. Koło Rycerskie</i> . Historycy. Górnicki. Solikowski. Heidenstein. Orzelski. Strykowski. Sarnicki. Paprockiego <i>Herbarze</i> .	231

ROZDZIAŁ VI. — 1587—1600.

I. Zmiana w stanie Polski po śmierci Batorego, w literaturze po śmierci Kochanowskiego. Mniejsi poeci. Szarzyński. Grochowski. Wiśniowski. Andrzej Zbylitowski. <i>Satyry Bielskiego. Paszkwile Paprockiego. Klonowicz</i>	263
II. <i>Kronika Polska</i> Bielskiego. Zwrot w literaturze politycznej. Warszewicki. Górnicki. Wereszczynski. Grabowski	301
III. Skarga. Związek z kościołem powszechnym i polskim. Obrona Kościoła i stanowisko względem protestantów. Unia. Wewnętrzna poprawa Polski. Bractwo Miłosierdzia. Żywoty świętych. Kazania na niedziele i święta. Kazania o siedmiu Sakramentach. Pobudki do Modlitwy. Kazania pogrzebowe i dziękczynne. Kazania Sejmowe. Charakterystyka ogólna	315
IV. Postępliteratury polskiej w wieku XVI. Jej stopień. Jej znamiona. Uczciwość. Cywilizacya. Wpływ literatur obcych. Wyższość prozy nad poezyą. Pierwiastki własne i oryginalność. Tendencya patryotyczna i praktyczna. Miłość ojczyzny. Przeczucia upadku. Wzrost literatury ale schyłek Rzeczypospolitej. W skutku tego stopniowy schyłek literatury. Brak starania. Bierność. Fałszywa wolność i fałszywa równość. Spuścizna na wiek XVII.	732

Dzieła i rozprawy używane przy pisaniu pierwszego tomu . . . 387





322511

2